

SPRZEDANO PRAWA DO EKRYANIZACJI



ROSLUND & THUNBERG

RODZINNY INTERES. OSTATNI SKOK



ROSLUND & THUNBERG

RODZINNY INTERES. OSTATNI SKOK

Z języka szwedzkiego przełożył
Wojciech Łygaś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
EN BROR ATT DÖ FÖR

Copyright © Anders Roslund & Stefan Thunberg 2017
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Eric Thunfors
Zdjęcie na okładce: Mark Owen/Trevillion Images
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Ewa Penszyk-Kluczkowska
Korekta: Aneta Iwan, Marta Chmarzyńska, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8110-209-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Czarne dziury.

„Jeśli ja mogłem się zmienić, ty też możesz to zrobić”

Oko nabiegłe krwią

„Jeśli ty wciągniesz mojego brata, ja wciągnę twojego”

Złota nić

„Jeśli ty wydasz mnie, ja wydam ciebie”

Stalowe oko

Od autorów

Przypisy.

Czarne dziury

Krew.

Leo nigdy nie zastanawiał się nad tym, że jest aż tak czerwona.

Ani nad tym, ile jej jest w kobiecym ciele.

Wystarczająco dużo, aby zabrudzić całą kuchnię, przedpokój i schody na trzech kondygnacjach, aż do wycieraczki. Mimo to krwi zostało w niej tyle, że zdążyła uciec.

Szmata, którą trzyma w ręce, robi się coraz bardziej mokra. Leo napręży plecy, zapiera się stopami, pochyla nad podłogą, na której leży plastikowy chodnik, i usuwa ostatnią plamę. Wyciska ściereczkę do wiadra z ciepłą, spienioną wodą, przysuwa się do progu i czyści zalepione szczeliny.

To wszystko wydarzyło się tutaj. Jak to w rodzinie.

Mama skomlała jak ranne zwierzę. Odwróciła się i wybiegła z domu przerażona widokiem krwi, którą on próbuje teraz usunąć, żeby nie została po niej ani jedna plamka.

Leo podnosi się z podłogi i prostuje nogi. Długo były zgięte, bo przez cały czas trwał w tej pozycji. To dziwne. Powinien być zmęczony, a tymczasem czuje się ożywiony, w pewnym sensie podekscytowany, a zarazem spokojny. Silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Myśli ma jasne i dokładnie wie, co ma zrobić. Tego uczucia nie da się porównać z żadnym innym... no, może podobnie się czuł wtedy, gdy pierwszy raz napił się alkoholu. Trochę przesadził i po prostu się upił. Ale to, czego doświadcza teraz, to zupełnie inne uczucie. Jest bardziej dogłębne, łagodne w środku i twarde na zewnątrz.

W kuchennym oknie, które wychodzi na ulicę, wiszą kraciaste firanki. Leo wygląda na dwór. Szuka wzrokiem matki, ale nigdzie jej nie widać.

Są za to plamy.

I ojciec.

Dlaczego nadal siedzi w samochodzie, jak gdyby nic się nie stało? Na co jeszcze czeka? Przecież policja może się tu zjawić w każdej chwili. Niech to szlag!

Ojciec przyjechał tu prosto z więzienia pod Sztokholmem. Wpadł do środka i pewnie zabiłby matkę, gdyby jego najstarszy syn nie wskoczył mu na plecy, nie objął rękami za szyję i tak długo z nim walczył, aż ojciec przestał ją katować.

Kuchnia jest już wysprzątana. Nie widać ani jednej plamki. Wszędzie pachnie czystością.

Przedpokój wygląda o wiele gorzej. Mama kilka razy się tam poślizgnęła, plamy są większe i przypominają kałuże. Ogólnie jest ich mniej, bo wyszorował schody. Woda zabarwiła się na czerwono i przestała być taka przezroczysta jak przed chwilą.

Znowu podchodzi do okna.

Żółty van marki Volkswagen nadal stoi przed domem. Ojciec otworzył przednie drzwi, ale został za kierownicą. Lewą nogę wystawił na zewnątrz, szara szeroka nogawka jego spodni porusza się na wietrze. Brązowym butem stuka o asfalt.

Pewnie na kogoś czeka, bo co innego mógłby tam robić?

Może myśli, że mama do niego wróci?

A może jest po prostu wściekły i rozczarowany, że syn przeszkodził mu w chwili, gdy chwycił mamę za głowę i przyciskał ją kolanem do podłogi? Może postanowił wrócić do domu, wejść na trzecie piętro i zabrać się za niego? Przecież to dzięki niemu mama uciekła. Dzięki niemu żyje.

Na szczęście z racji uczucia, które go w tej chwili przepęśnia, niczego się nie boi. Nawet ojca.

W zielonej podręcznej apteczce mama trzyma różne rzeczy, których używa podczas chorób. Teraz leżą porozrzucane na frotowym dywaniku w łazience. Wieczko jest otwarte, widać, że ktoś w nim czegoś szukał. Leo nie zwraca na to uwagi. Najpierw musi wyrzucić szmatę do pojemnika na śmieci, a potem zmyć z siebie krew mamy.

Ciepła woda usuwa plamy z jego skóry i zamienia się w piękny jasnoczerwony wir, który po chwili znika w rurze odpływowej.

Felixa poruszyło to, co się stało. Często jest w takim stanie, ale tym razem od razu było widać, że czuje się naprawdę źle. Z kolei Vincent, jego najmłodszy brat, nie odezwał się ani słowem, tylko po prostu zamknął drzwi do pokoju i już szmatą nie wyszedł.

Trzeci rzut oka przez kuchenne okno. Nareszcie! W końcu zjawiła się policja. Niech go szlag! Wygląda na to, że on tam na nich po prostu czekał! Kiedyś już go tak zabrali. Było to przed czterema laty, gdy ojciec rzucił koktajl Mołotowa i spalił dom dziadków, w którym skryła się przed nim mama. Wtedy policja już na niego czekała. Tym razem jest odwrotnie: to on czeka na nich.

Jeden z funkcjonariuszy wchodzi na piętro i naciska dzwonek. Jest młody i wysoki. Leo widzi go przez jadasza. Policjant wchodzi do przedpokoju, ale plam po krwi nie widzi, bo zostały wytarte.

– Dzień dobry, posterunkowy Peter Eriksson. Chciałbym na początku poinformować, że zaraz będzie tu ktoś z opieki społecznej. Nie musisz się bać.

– A niby czego miałbym się bać?

– Jak masz na imię?

– Leo.

– Ile masz lat?

– Wystarczająco.

– Pytałem, ile masz lat?

– Czternaście.

Policjant rozgląda się po mieszkaniu, ogarnia wzrokiem przedpokój i lekko się wychyla, żeby zajrzeć do kuchni. Na szczęście niczego nie zauważa, bo wszystko wygląda tak, jak powinno. Stół jest na swoim miejscu, krzesła, wcześniej poprzewracane, stoją wsunięte pod blat, a chodnik, który Leo przewrócił na drugą stronę, żeby ukryć plamy krwi, leży równo między nogami stołu.

– Co tu się stało? – pyta policjant.

– A co się miało stać?

– Twój ojciec już się przyznał, więc i tak wszystko wiem. Przyjechałem, żeby się rozejrzeć.

– To się zdarzyło tutaj.

– Gdzie?

– Zaczęło się w przedpokoju, a skończyło w kuchni.

Policjant wodzi wzrokiem po całym mieszkaniu: ogląda przedpokój, podłogę, próg i zatrzymuje wzrok na kuchni.

– Widzę, że posprzątałeś. Czuję nawet zapach środków dezynfekujących. Ale teraz nie to jest najważniejsze. Chciałbym się dowiedzieć, czy twój ojciec już tu wcześniej był.

– Nie mieszka z nami od wielu lat.

– To znaczy, że nigdy nie był w tym domu?

– Nigdy. Przeprowadziliśmy się tutaj ze Sztokholmu cztery lata temu, gdy tata poszedł do więzienia.

Policjant kładzie dłoń na kłamce, jak gdyby chciał wyjść. Wygląda na to, że chyba nie ma więcej pytań. Zresztą nie powinien się w to mieszać.

– Jeszcze jedna sprawa – mów.

– Słucham.

– Pani, która pracuje w opiece społecznej i zaraz się tu zjawi, nazywa się Anna-Lena. Ma dopilnować, żebyście otrzymali należytą pomoc.

– Nie potrzeba nam żadnej pomocy.

– Każdy jej kiedyś potrzebuje.

Policjant wychodzi. Ani słowem nie zdradził, gdzie jest mama. Pewnie dlatego, że tata nie stawiał oporu.

Felix nadal ukrywa się za kanapą w dużym pokoju, ale gdy Leo daje mu znak, od razu stamtąd wychodzi.

– Czy ona nie żyje? Leo, powiedz prawdę. Tak to wyglądało.

– Oczywiście, że żyje.

– No to gdzie teraz jest? Gdzie? Na pewno bardzo cierpi.

– Jest pielęgniarką, więc dobrze wie, co ma zrobić albo dokąd iść.

– A dokąd mogła iść? Czy tata ją tam znajdzie?

– Nie. Policja go już zabrała.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Po co tu przyjechał. I dlaczego chciał ją zabić.

– Bo to ona rozbiła naszą rodzinę.

- Mówisz tak, bo on tak powiedział.
- Wcale nie. Znam go tylko lepiej niż ty. On już po prostu taki jest. Tak właśnie funkcjonuje.
- A jeśli ona...

Leo chwyta Felixa za dłonie. Dostrzega, że jego młodszy brat jest wzburzony. Wymachuje rękami i gwałtownie gestykułuje.

- Widzę, że jesteś zaniepokojony i przestraszony.
- Ja...

- Mama na pewno żyje. Widziałem to. A teraz potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o Vincenta. Chyba rozumiesz?

Leo puszcza ręce brata, który już chyba wszystko zrozumiał i dlatego przestał nimi wymachiwać i gestykułować.

- Rozumiem.
- Razem podchodzą do zamkniętych drzwi.
- Vincent? To ja, Leo.

Ich młodszy brat nie odpowiada, więc Leo naciska ostrożnie klamkę. Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Zagląda przez dziurkę i widzi, że tkwi w niej klucz.

- Vincent, otwórz drzwi.
- Leo przykłada ucho i słyszy, jak jego brat ciężko oddycha.
- Apteczka.
- Leż w łazience na podłodze. Leo, a jeśli on się skaleczył? Jeśli...
- Zajmę się tym.

Leo rusza w stronę schodów.

- Dokąd idziesz?
- Wejdę po rynnę.

Felix nie lubi zostawać w domu sam, chyba że tak postanowi. Wpatruje się w zamknięte drzwi pokoju Vincenta z drewnianą oskrobaną powłoką na samym dole i w nieruchomą klamkę, jak gdyby nie mógł oderwać wzroku. Dobrze wie, co Leo zamierza zrobić. Zbiegnie po schodach, wyjdzie na dwór i przedostanie się na tył domu. Kiedy czasem zapomną kluczy do mieszkania, wspinają się z tamtego miejsca na balkon. Tym razem w niczym im to nie pomoże, bo drzwi do pokoju najmłodszego brata też są zamknięte na klucz. Leo będzie się musiał wspiąć po innej rynnicy, która znajduje się między sypialnią mamy a zamkniętym pokojem, blisko okna, które Vincent lubi mieć otwarte. Wspiąć się tą drogą jest o wiele trudniej. Na szczęście wokół balkonu biegnie metalowa poręcz. Można ją chwycić i się podciągnąć. Między balkonem a oknem pokoju Vincenta jest już tylko wąski blaszany parapet. To niebezpieczne miejsce, pełne ostrych krawędzi, na których można sobie poprzecinać palce. Felix wie, że Leo jedną ręką złapie się rynnicy, drugą parapetu, a potem szybkim ruchem rzuci się do okna. To wcale nie takie proste. Niedawno padało, cała rynna jest więc zablokowana i śliska jak wilgotne jesiennie liście. Felix sam nie wie, czego powinien bać się bardziej: że Leo spadnie z rynnicy czy raczej tego, że Vincent zrobi sobie za zamkniętymi drzwiami jakąś krzywdę.

Kopie w klamkę i natychmiast tego żałuje. Nie powinien go straszyć.

Będzie po prostu czekał, nic innego mu nie pozostało. Będzie patrzył i liczył sekundy, aż drzwi się otworzą i stanie w nich Leo. Wtedy i on będzie mógł wejść do środka.

Dwieście czterdzieści osiem sekund.

W końcu coś słychać i drzwi się otwierają.

Felix nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział.

Podchodzi do łóżka, na którym leży Vincent, ale nie bardzo wie, czy może go dotknąć. Czeka, szuka wzrokiem Leo.

- Co mu się stało? Dlaczego jest obwiązany bandażem?

Na podłodze wśród zabawek i żołnierzyków leżą puste opakowania, które normalnie powinny się znajdować w apteczce. Tymczasem Vincent obwijał bandażami całe swoje ciało: od kostek przez uda, brzuch, ramiona, szyję aż po twarz. Zrobił to tak, jak tylko mógł najlepiej. Vincent siedmiolatek. Między poszczególnymi pasmami opatrunku porobiły się przerwy, wystają spod niego majtki, koszulka i goła skóra. Widać też otwór na usta, żeby mógł oddychać. Od jego oddechu brzegi bandaży zrobiły się wilgotne.

- Leo... ta krew... to chyba krew mamy, prawda?

- Tak.
- Tylko mamy? Przysięgnij!
- Przysięgam.

Leo kuca przed niezaścielonym łóżkiem Vincenta i jedną ręką chwytając końcówkę bandaży zwisającą z jego nadgarstka. Drugą dotyka zabandażowanego policzka.

– To my, jesteśmy z tobą. Taty już nie ma. Dlatego myślę, że najlepiej będzie, jak usuniemy to paskudztwo.

Zduszone zdążył nawet odwiązać pierwszej warstwy, gdy Vincent wyrwał mu bandaż z ręki i krzyknął coś zduszonym głosem, jak gdyby twarz miał zatkaną poduszką.

Felix nadal stoi w progu i nie bardzo wie, co rozgrywa się na jego oczach. Nagle słychać dzwonek u drzwi. To ta kobieta z opieki społecznej, o której wspominał policjant. Felix wie, co to oznacza, i dlatego wraca biegiem do starszego brata.

- Zrób coś, żeby ta pieprzona mumia stąd znikła – mówi.
- Nie krzycz tak głośno. Pójdę otworzyć, a ty się nim zajmij.

Tymczasem Vincent podniósł się z łóżka, wziął czerwony mazak i zaczął nim malować kropki na bandaży owiniętym wokół lewej ręki. Felix słyszy, jak Leo otwiera drzwi. Kuratorka wchodzi do domu i wieszka kurtkę na wieszaku. Felix podchodzi do Vincenta, który zajęty jest malowaniem dużej kropki na brzuchu, i szepcze mu do ucha:

- Musisz się położyć. Udawaj, że śpisz.
- Ale ja nie jestem zmęczony. Wy też nie leżycie.
- Słyszysz tę kobietę? Nie powinna cię tu teraz zobaczyć.
- A kto to jest?
- To nieważne. Ale jeśli cię zobaczy... i do tego w tych okropnych bandażach, to cię zabierze. Rozumiesz?

Felix poprawia prześcieradło i rozwija kołdrę.

- Kładź się, szybko!

Odwraca poduszkę na drugą stronę, żeby nie było widać plam potu. Może Vincent się położy?

- Bo zaraz tu przyjdzie!

Na szczęście Vincent kładzie się do łóżka, a Felix zakrywa go kołdrą po zabandażowaną głowę.

- A teraz masz oddychać, jak wtedy, gdy śpisz. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Powoli.

Felix wychodzi z pokoju. W przedpokoju spotyka Leo i kuratorkę. Kobieta wita go z uśmiechem.

- A wasz młodszy brat? Gdzie on jest?
- Śpi. Cały jest przykryty kołdrą. Ładnie to wygląda.

Kobieta zagląda do pokoju i widzi to, co powinna zobaczyć: dziecko, które leży pogrążone we śnie, więc nie wolno mu przeszkadzać. To dobrze, oznajmia i patrzy na Felixa, bo chciałaby porozmawiać z Leo w cztery oczy.

- Niech nam pani powie, jak się czuje nasza mama.
- Masz na imię Felix, prawda?
- Tak. Jak ona się czuje?

– Wszystko ją boli. Na szczęście jest w szpitalu, a oni wiedzą, jak się nią zaopiekować.

Kiedy zostali sami, a Felix usiadł na kanapie, żeby pooglądać telewizję, kobieta próbuje wyjaśnić Leo, jak wygląda sytuacja.

– Odwiedziłam waszą mamę w szpitalu. Lekarze zaglądają do niej co godzinę. Będzie musiała tam zostać przez kilka dni.

Kobieta chce mu położyć rękę na ramieniu, ale chłopiec uchyła się i ręka opada.

– Wasza mama chce, żebyście tutaj zostali, ale uważam, że to niemożliwe. Nie powinniście być tutaj sami.

Leo nie potwierdza skinieniem głowy, że się z nią zgadza. Słyszał, co powiedziała, ale nie zamierza się stąd wyprowadzać. Przynajmniej nie teraz. Przecież nie mogą stąd wyjść razem z Vincentem, bo w obecnym stanie przypomina mumię. Jeśli ktoś będzie chciał go zmusić do zdjęcia bandaży, wpadnie w histerię. Wtedy będzie jeszcze gorzej.

- Felix ma jedenaście lat, Vincent siedem. Chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Tak, rozumie. Pamięta też, co powiedział tata: „Od tej pory odpowiedzialność spoczywa na tobie”.

- Mogę się zaopiekować moimi braćmi.

– Masz dopiero czternaście lat.
– Wie pani, niektóre czternastolatki przeżyły o wiele gorsze rzeczy. Czytałem na przykład o pewnym chłopaku, chyba z Brazylii, który polował z harpunem na ryby, żeby zarobić pieniądze dla swojej rodziny. Pewnego dnia wbił sobie harpun w stopę i...

– Posłuchaj, co ci powiem. Rozmawiałam z twoją mamą przez dłuższą chwilę. – Kobieta znowu wyciąga rękę i kładzie mu dłoń na ramieniu. Tym razem jej się to udaje, chociaż Leo znowu próbuje się uchylić. – A jak ty się teraz czujesz?

– Teraz? Sam nie wiem...

Leo doskonale wie, jak się czuje, ale nie potrafi powiedzieć, czy czuje się dobrze.

– ...właściwie to dobrze.

Prawda jest taka, że czuje się jakiś taki dziwnie radosny. A przecież nie powinno tak być. Co ma czuć, jeśli ciągle ma przed oczami widok zakrwawionej matki, która próbuje uciec, żeby uratować życie?

– Wasza mama opowiedziała mi, co się stało.

Znowu gada. Głos ma poważny. Chce coś od niego wyciągnąć. Zaraz zacznie go wypytывать.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

O tym, co się wydarzyło, nie powie ani słowa. Nikomu. To tylko pogorszy sytuację.

– O czym nie chcesz rozmawiać?

– O tym, co pani chce wiedzieć... o tym, co zrobił tata.

Jej ręka nadal spoczywa na jego ramieniu.

– Twoja mama nie musiała mi nic opowiadać, sama się domyśliłam. Widziałam, jakie ma obrażenia. Za to opowiedziała mi, co zrobiłeś ty i jaki byłeś dzielny. To dzięki tobie zdołała stąd uciec.

Leo czuje, jak wszystko z niego uchodzi, chociaż wcale nie jest na to przygotowany.

Dudnienie w głowie ustaje i ulatnia się. To, co było do tej pory „łagodne” i „radosne”, opuszcza jego członki, mięśnie i myśli. Czuje, że zaraz się rozplacze, że to, co go do tej pory rozpiekało, znajdzie za chwilę ujście. Ale on się nie podda. Za nic w świecie. Jeśli teraz się rozplacze, i to w jej obecności, wszystko przepadnie.

Wstaje i idzie do kuchni, ale kobieta nie odpuszcza, rusza za nim. Na stole nadal stoi jedzenie, którego nie zdążyli zjeść. Jest już zimne. Leo chwytając garnek za rączkę i otwiera piekarnik. Sto pięćdziesiąt stopni chyba wystarczy?

– Gdzie jest tata?

Głos ma silny, chwila słabości minęła.

– Już tu nie wróci.

– Rozumiem. Ale ja pytałem, gdzie teraz jest.

– Na policji.

– Aresztowali go?

– Tak...

Leo widzi jej oczy. Tak właśnie wyglądają kuratorki z opieki społecznej, które uważają, że chłopcy w jego wieku nie powinni znać słowa „areszt”.

– On już tam kiedyś był... w areszcie.

– Nie musisz się bać, że tu wróci. Zostanie tam na dłużej.

– Wcale się nie boję. Niby dlaczego? Ja tylko nie rozumiem, dlaczego nie możemy tu zostać na te kilka dni.

– Bo masz dopiero czternaście lat, a na dodatek i ty, i twoi młodsi bracia przeżyliście coś, czego w ogóle nie powinniście byli doświadczyć.

„Nawet sobie nie wyobrażasz, co my jesteśmy w stanie znieść albo co już widzieliśmy”.

Właśnie to chciałaby jej powiedzieć, ale wie, że nie byłoby to zbyt mądre.

– Posłuchaj – mówi kobieta. – Chcę ci powiedzieć coś ważnego. Jeśli twoja mama szybko nie wróci, będziecie musieli się przeprowadzić do innej rodziny.

– Jak to... do innej rodziny?

– Załatwienie formalności trochę potrwa. Do tego czasu ktoś będzie do was zaglądał.

– Będzie tu do nas przychodził? Do naszego domu?

– Na razie nie potrafisz ci na to odpowiedzieć. Mamy listę osób, które nam w takich sytuacjach pomagają. To porządni ludzie. Sprawa wyjaśni się do wieczora.

Inna rodzina. Leo ponownie rozkłada na stole sztuce, które leżały tam wcześniej. Pewnie tata je porozrzucił, gdy przyciskał mamie kolano do twarzy. „My już mamy mamę, chociaż leży teraz w szpitalu”. Stawia na blacie szklanki i dzbanek z zimną wodą, którego mama nie zdążyła wyjąć. „Mamy też ojca, chociaż siedzi teraz w areszcie”. Odrywa kawałki papierowych ręczników z rolki i wygląda je grzbietem dłoni. „I dlatego podjąłem decyzję”.

– Wie pani co?

Leo próbuje zajrzeć kuratorce w oczy.

Kuratorce? Nadal nie wie, jak kobieta się nazywa. Ale i tak ma to w nosie.

– Słucham.

– W takim razie... czy mogłaby do nas zaglądnąć Agnetha?

– A kto to jest?

– Przyjaciółka mamy. Mieszka na drugim piętrze, często nas odwiedza i jest tak samo porządna jak ludzie z waszej listy.

Vincent siedział, a właściwie leżał na wpół zgięty na łóżku. Po tym, jak kuratorka zeszła na dół, wysunął się spod kołdry i pobiegł do łazienki. Teraz znowu będzie musiał obwiązać sobie bandażem cały brzuch.

Felix dał sobie chyba spokój. Oddycha spokojniej i opiera się plecami o brzeg łóżka. Jego zabandażowany brat już go tak nie przeraża.

– Leo, jak sytuacja? Chyba już poszła, co?

– Niedługo wróci.

– Mówiła coś o mamie?

Leo pochyla się nad nim i też opiera plecami o brzeg łóżka.

– Nie będzie jej kilka dni.

– To znaczy ile?

– Kilka.

– Ile?

– Nie wiem.

– Pytam: ile?

– Naprawdę nie wiem.

Leo widzi po minie Felixa, że nie jest usatysfakcjonowany taką odpowiedzią. Jego brat ma zwyczaj pytać tak długo, aż otrzyma odpowiedź. Ale on nie ma dla niego żadnej odpowiedzi i Felix chyba to czuje. Zamiast dalej powtarzać „Ile?”, zaczyna się śmiać. Leo nigdy wcześniej takiego śmiechu u niego nie słyszał. Brzmi jak chichot... nie wychodzi z głębi płuc, tylko jakby z ust, spomiędzy warg. Dochodzi znikąd i nie przypomina żadnego znanego mu dźwięku. Śmiech brzmi coraz głośniejszy, więc on też zaczyna coś mówić i śmiać się niepewnie: z mumii w łóżku, z policjanta i kuratorki, a potem nawet z plam krwi na podłodze. Ależ ta krew musiała tryskać. Tryskać! Felix chichocze, ale Leo nie jest w stanie tego dłużej słuchać. Wstaje z łóżka i podchodzi do Vincenta.

– Wszystko w porządku, braciszku?

Vincent obandażował już brzuch białym materiałem, dokładnie ułożył poszczególne warstwy. Zostały mu tylko palce prawej dłoni, nadal są na wierzchu. Vincent przykłada je do ust i odpowiada, odsuwając znad warg kawałek bandaża.

– Tak.

Potem znowu zsuwa bandaż, który sięga tuż nad dolną wargę.

– Nie.

I znowu bandaż do góry. I znowu na dół.

– Tak. Nie.

W górę i w dół. Małe usta otwierają się i zamykają.

– Tak. Nie. Tak. Nie. Tak. Nie.

Leo głaska go delikatnie po obandażowanym policzku.

– Już dobrze, braciszku. Super.

W tym momencie znowu ktoś dzwoni do drzwi. Leo zamyka pokój i schodzi na dół.

W progu stoi kuratorka, a za nią Agnetha. Obie uśmiechają się do niego.

– Zrobimy tak, jak proponowałeś. Agnetha zajrzy do was dziś wieczorem, w nocy i rano.

Jej kurtka wisi na wieszaku w przedpokoju. Kuratorka zapina po kolei guziki i długo na niego patrzy.

Leo ma nadzieję, że stoją wystarczająco daleko od siebie i kuratorka nie usłyszy jego chichotu.

– Ale zrobimy to pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że Agnetha będzie mogła was odwiedzić w każdej chwili, którą uzna za stosowną. Przez cały czas będę z nią w kontakcie. Zgadza się? Leo? Agnetha?

Leo kiwa głową i czeka, aż Agnetha zrobi to samo. Ale ona nie odpowiada. Od razu się domyśla dlaczego. Agnetha wpatruje się w miejsce, w którym ich mama upadła na schodach i mocno się uderzyła. Leo wie, że jest tam plama, której nie udało mu się do końca usunąć. Akurat tam zebrało się więcej krwi, a jemu się po prostu spieszyło.

Niecierpliwie czeka, aż obie kobiety wyjdą z domu.

Wiadro nadal stoi tam, gdzie je postawił – w łazience.

Nalewa do niego ciepłej wody, dodaje środków chemicznych, moczy ścierkę, pochyła się nad posadzką i zaczyna ją czyścić. Robi to tak długo, aż nie widać ani jednej zaschniętej kropki krwi.

Potem otwiera drzwi pokoju, w którym siedzą jego młodszy bracia – jeden wstrząsany histerycznym śmiechem, drugi owinięty bandażem – i siada na podłodze, opierając się plecami o brzeg łóżka.

– Nie wiem, ile dni mama zostanie w szpitalu, ale wiem, że sobie poradzimy.

– Jak to?

– Wszystko przemyślałem. I ty mi w tym pomożesz.

– Jak to?

– Masz jeszcze tamto pudełko z mapami?

– Tak.

– Przynieś je.

– Po co?

– Kuratorka twierdzi, że nie możemy tu dłużej zostać. Wyprowadzimy ją z błędu.

Felix wstaje z podłogi, ale nie jest już taki pewny siebie jak przed chwilą. Prostuje się powoli, jak gdyby chciał pokazać, że wykonuje polecenie wbrew swojej woli.

– Po prostu idź i przynieś – powtarza Leo.

Niebieskie pudełko jest nie większe niż widokówka, ale za to grube jak baton czekoladowy. Felix rzuca je bratu od progu. Pudełko, o mało nie uderzając Leo i Vincenta w głowę, ląduje na łóżku.

– Zadowolony?

W kieszonce z boku pudełka tkwi kompas. Leo wyjmuje mapę Falun w skali 1:5000. Są na niej zaznaczone wszystkie ścieżki rowerowe, dróżki i alejki.

– Spójrzcie na to.

Wskazuje jakiś punkt na mapie. Felix patrzy na niego, ale nie bardzo wie, o co bratu chodzi.

– Na co?

– Na drogi prowadzące z centrum do lasu.

Leo przesuwając palcem po dzielnicy mieszkaniowej położonej na obrzeżach miasta. To niezbyt daleko od nich. Litera na mapie tworzą napis S-L-Ä-T-T-A. Felix dobrze wie, jak to, co jest zaznaczone na mapie, wygląda w terenie. Był w tej dzielnicy kilka razy. Mają tam dość słabą drużynę piłkarską.

– I co dalej?

– Wszystko ci wyjaśnię, jak tam dojedziemy.

– Dokąd?

Leo pospiesznie składa mapę, a Felix prawie czuje, jak na jej powierzchni tworzą się nowe załamania, których tam wcześniej nie było.

– Pytam: dokąd? Oddaj mi mapę i przestań ją tak gniesć, bo zapłaciłem za nią piętnaście koron.

– Jak skończę, dostaniesz ode mnie dziesięć takich zakichanych map. A teraz chodź ze mną, coś ci pokażę.

– Co mi chcesz pokazać?

– Zaraz się przekonasz.

– A mumia?

– Powiedziała, że chce zostać sama. Nie ma sprawy. Niedługo wrócimy.

Nazwali to miejsce chyba punktem widokowym. Niewielkie wzgórze za kolczastymi krzakami rosnącymi wokół placu. Kucają na szczycie, blisko siebie. Wiatr rozwiewa im włosy, na asfalcie tańczą opadłe liście. Na chwilę prawie zapominają o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia.

- Leo?
- Tak.
- Co my tu robimy?
- Zaraz zobaczysz.

Leo zaciska zęby, co oznacza, że jest czymś całkowicie pochłonięty i analizuje dokładnie każdy szczegół. Czasem zamyka się w sobie. Felix podąża za jego wzrokiem. Przez plac idzie kobieta, mniej więcej w wieku mamy. Leo uważnie się jej przypatruje. A może patrzy tylko na skórzaną torbę, którą kobieta trzyma w prawej ręce?

- Widzisz ją?
- Tak, Leo patrzy na torbę. Jest brązowa i chyba niezbyt ciężka.
- Widzę.
- Wiesz, co w niej jest?
- A ty wiesz?
- Mhm.
- Co?
- Dwadzieścia pięć, a czasem czterdzieści tysięcy. Niekiedy nawet pięćdziesiąt.
- Pięćdziesiąt tysięcy... czego?
- Koron.

Kobieta wyszła przed chwilą ze sklepu należącego do sieci ICA i kieruje się do banku po drugiej stronie placu. Stawia zdecydowane kroki. Jej skórzane buty na wysokich obcasach stukają o asfalt. Wiatr niesie ten odgłos aż na wzgórze.

- Idzie tamtędy każdego dnia, zaraz po zamknięciu sklepu. Zawsze tą samą drogą. Przechodzi przez plac, w ręce niesie torbę. Dociera do banku i wrzuca wszystkie pieniądze do tamtej skrzynki.

Rzeczywiście, na ceglanej ścianie budynku wisi metalowa skrzynka. Wpłatomat. Kobieta otwiera ją i wrzuca do środka skórzaną torbę. Bezzębne urządzenie pochłania ją jednym ruchem.

- To pieniądze, które sklep zarobił przez cały dzień. W taki sposób wpłacają je na swoje konto.
- Skąd o tym wiesz?
- Syn właściciela chwalił się tym w palarni.

Kobieta wraca do sklepu.

- Czy to wszystko? Chcę już wrócić do domu.
- Nie rozumiesz, po co cię tu przyprowadziłem?
- Vincent został sam. Wracajmy.

- Chodzi mi o tę skórzaną torbę. Zamierzam ją zdobyć.

Felix, który przed chwilą wstał z ziemi, znowu się na nią osunął.

- Jak to „zdobyć”?

- Po prostu.

- Chcesz ją jej zabrać?

- Ukraść. Chcę zrobić skok. Przemysłany, zaplanowany.

- To nie brzmi zbyt mądrze.

- Nie martw się. Już nawet wiem, jak to zrobić. W momencie gdy będzie chciała wrzucić torbę do skrzynki, pojawię się ja.

- Ale przecież...

Felix umilkł, bo kobieta, która wrzuciła torbę do skrzynki, przestała być sama. Towarzyszył jej teraz umundurowany ochroniarz ze sklepu, który kręci się po tym terenie od rana do wieczora. Przed chwilą podszedł do kobiety.

- Cholera. To przecież starszy brat Robbana. To on pilnuje sklepu.

- Jakoś to załatwię.

– Nazywają go Świr: Świr z pałką albo Świr z wielkim radiem. Przecież on cię zna!

– Już powiedziałem: jakoś to załatwię.

Felix obserwuje ochroniarza przez długi czas. Jeśli Leo rzeczywiście chce wyrwać kobiecie torbę z pieniędzmi, Świr szybko go dopadnie. Dwa, trzy skoki i po sprawie.

– To niemożliwe. Zapomniałeś, że Świr szybko biega? Ale nawet jak cię nie dogoni, to przecież i tak cię rozpozna.

– Zapewniam cię, że nigdy nie trafię do pudła.

– A skąd ty to wiesz, pieprzony idioto? Skąd?

– Powiedziałem, że to załatwię. Nie słyszałeś? Będę zamaskowany. Podczas takiego skoku zawsze trzeba mieć maskę na twarzy. A wcześniej trzeba zrobić coś, żeby policja podjęła fałszywy trop.

Felix odnosi wrażenie, że ochroniarz robi się coraz większy. Widzi tylko jego mundur, pałkę i krótkofalówkę. Tymczasem Leo zachowuje się tak, jak gdyby w ogóle go nie zauważył.

– Chcę wracać do domu.

– Zaraz pójdziemy.

– Chcę już iść. Popatrz na tego faceta. To brat Robbana.

– Jeszcze chwilę.

Felix ciągnie Leo za rękaw.

– Zachowujesz się dokładnie tak samo, jak wtedy... gdy... gdy miałeś się bić z Kekkonenem i wzięłeś nóż taty. Albo gdy nikogo nie słuchasz i zamykasz się w sobie, gdy mnie nie widzisz, bo jesteś sam ze sobą.

Felix podnosi się z ziemi i odchodzi. Chwilę potem słyszy kroki. To Leo za nim biegnie.

– Zaczekaj!

Leo go dogonił i teraz idą obok siebie.

– Musisz mi pomóc.

– Zapomnij o tym.

– Zaplanowałem, że odwrócisz uwagę ochroniarza!

– Nie kumas? Nie chcę i nie zamierzam brać w tym udziału!

Leo chwytą go za ramię. Niezbyt energicznie, ale na tyle mocno, że Felix zatrzymuje się w miejscu. Uśmiecha się do niego, a potem zaczyna się nagle śmiać, jak wtedy, gdy czasem śmieją się razem.

– Posłuchaj; możemy zrobić, co tylko nam się spodoba. Ale musimy to zrobić razem. We dwóch łatwo wykiwamy Świra. Wykonamy manewr odwracający uwagę. Tak to się nazywa. Ten palant w ogóle się nie zorientuje.

– Powiedziałem, że nie chcę. Nie chcę. Nie chcę.

– Słuchaj, ja mam już wszystko opracowane, ty wcale...

Felix odwraca głowę, zakrywa uszy i rusza przed siebie. Leo idzie za nim, tak jak przedtem.

– ...Nie masz się czego bać. Ani trochę. Rynek jest nasz. Popatrz...

Felix jeszcze mocniej zatyka sobie uszy dłońmi.

– ...Na placu obok banku stoi pomnik z brązu. Widzisz? Ten pomnik to właśnie my, jak już będzie po wszystkim! Będziemy tam stać i świrować.

Felix jeszcze mocniej zatyka uszy dłońmi.

– A wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? Że to wyjątkowa okazja. Trzydzieści albo czterdzieści kawałków. Tylko ten jeden raz.

Leo patrzy na Felixa, który chyba naprawdę go nie słucha i jakby nigdy nic idzie przed siebie. Zawsze tak jest – jak się uprze, to na amen.

Postanawia zmienić taktykę.

Może zaproponował mu to zbyt wcześnie? Chyba tak. Ostatnio wydarzyło się tyle różnych rzeczy. Może więc najpierw powinni się zająć nimi, żeby wszystko inne się udało?

Kuratorka. Policjant. Rodzina zastępcza. Krew. Areszt. Obca rodzina.

Tego dnia padło wiele słów. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie rozmawiał z kimś, kto ma zatknięte uszy. Kiedy się nad tym zastanawiał i próbował te słowa zrozumieć, za każdym razem wychodziło mu na to, że trzej bracia zostaną sami w swoim mieszkaniu przez długi czas.

Ich mama zostanie na szpitalu, żeby się leczyć. Felix na pewno będzie przez to jeszcze bardziej niespokojny i smutny.

Za to ich tata trafi na długo do aresztu. Dzięki temu Felix na pewno się uspokoi.

Tak, Felix jest mu potrzebny. Bez niego skok się nie uda.

**„Jeśli ja mogłem się zmienić, ty też
możesz to zrobić”**

Dwieście metrów dalej ujrzał skromną tablicę informacyjną. Stała na dwóch metalowych nogach i wskazywała kierunek.

„Zakład penitencjarny 2 km”.

Ivan lekko zahamował i skręcił w lewo. Rozsiadł się wygodniej w zbyt miękkim fotelu. Wydawało mu się, że całe jego ciało zapada się w bezdenną przepaść.

Czas na zmianę.

Nie umiał już tak dalek gnać. Nie potrafił znaleźć drogi do domu i nawet nie wiedział, gdzie ten dom się znajduje.

Jedyny ratunek to zmiana. Wcześniej czy później musiała nastąpić. Był o tym święcie przekonany.

Tak jak o tym, że kręta boczna droga, w którą przed chwilą skręcił, kończy się grubym betonowym murem o wysokości siedmiu metrów. Dzisiaj zacznie się kolejny etap ich wspólnego życia.

Samochód zaparkował na samym końcu pustego o tej porze parkingu dla odwiedzających i opuścił szybę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Szybko się okazało, że potrzebuje go więcej, więc otworzył drzwi. Lewą nogę wystawił na zewnątrz, szara szeroka nogawka jego spodni poruszała się na kwietniowym wietrze. Brązowym butem stukał o suchy asfalt.

Z trzeszczącego głośnika, z którego zwisały luźne kable, przez cały czas płynęła muzyka. Ivan pochylił się nad tablicą rozdzielczą, żeby wyłączyć radio. Oddychał powoli, głęboko. Zamknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, gdy sprzed powiek zniknął mu snop kolorowych kropek. Był nawet pewien, że z miejsca, gdzie kończy się więzienny mur, dobiega świergot ptaków.

Ośma dwadzieścia dwa. Zostało trzydzieści osiem minut.

W jego starym gracie niewiele rzeczy funkcjonowało jak należy, ale zegarowi mógł jeszcze ufać.

Czas, który zazwyczaj gnał go do przodu i niepokoił, tego dnia był najważniejszy. Dlatego postanowił, że tym razem się nie spóźni. Jest trzeci kwietnia, dziewiąta rano. To był najważniejszy moment w jego życiu od wielu lat.

Wiosenne słońce świeciło coraz mocniej i z każdą kolejną minutą oblewało swoim blaskiem samotny samochód stojący na parkingu czterdzieści kilometrów na północ od Sztokholmu. Jego szyby były tak brudne, że promienie, które próbowały przebić się do środka, odbijały się od nich jak od jakiejś błony. Ivan opuścił osłonę przeciwsłoneczną i spojrzął na zewnętrzny mur zwieńczony drutem kolczastym. Więzienie w Österåker. To jeden z tych zakładów karnych, w których osadzeni z długoletnimi wyrokami odsiadują ostatnią część kary razem z innymi groźnymi przestępcami.

Im dłużej patrzył na mur, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jest on potwornie brzydki. Szare ściany długich boków, szare ściany od tyłu i tylko frontowa część pomalowana była na jasnoczerwony kolor. Jak gdyby ktoś chciał poprawić humor tym, którzy przyjeżdżają tu w odwiedziny. Ale jemu i tak było obojętne, na jaki kolor jest pomalowane więzienie. Najważniejsze było to, że już wkrótce otworzy się stalowa brama i wyjdzie z niej jego najstarszy syn. Człowiek, który odzyskuje wolność, właśnie w takiej chwili podejmuje ważne decyzje. Na pewno nie dzieje się to wtedy, gdy siedzi w celi. Za murami nie da się jasno myśleć. Kiedyś sam popijał więzienny bimbler, który smakował jak moc z pieśnią. Była to mieszanka soku pomarańczowego ze zgnitymi jabłkami i starym chlebem. Napój nabierał mocy w pojemniku ukrytym za kaloryferem. Kiedy jednak przed dwoma laty zrobił pierwszy krok ku wolności, podjął decyzję: ani kropli więcej do ust. Najważniejsze jest to, że wytrwał w tym postanowieniu. I wcale nie musiał chodzić na głupie spotkania terapeutyczne ani stosować cudownych metod, siedzieć w kółku z innymi, trzymać się za ręce albo śpiewać w chórze.

Za kraty trafił Ivan Dūvnjac, ale nie to, co tkwiło w jego wnętrzu. A jeśli mógł się zmienić ojciec, to i syn może to zrobić. I właśnie tak się wkrótce stanie, gdy Leo przejdzie przez stalową bramę w czerwonym murze. Ojciec popełnił błąd, gdy jego syn był małym chłopcem. Teraz spotkają się jako dorośli mężczyźni.

Nagle usłyszał szum silnika. Dobiegał z krętej bocznej drogi.

Po chwili nadjechał niebieski samochód. Jakaś japońska marka. Silnik nie pracował zbyt głośno, prawie wcale nie zagłuszał śpiewu ptaków, tylko raczej się w niego wtapiał. Samochód nie był nowy, ale za to świeżo umyty. Miał przyciemniane szyby, przez które można wyglądać na zewnątrz, samemu

nie będąc widocznym. Wóz zatrzymał się po drugiej stronie parkingu. Ivan zdążył zauważyć z przodu kobietę i mężczyznę. Doszedł do wniosku, że to pewnie ktoś, kto tak jak on czeka z utęsknieniem na jednego z tych, którzy wyjdą dziś na wolność. Władze zakładu wypuszczają ich mniej więcej o tej godzinie. Kiedy on dwa razy wychodził na wolność, nie czekał na niego pies z kulawą nogą. Nawet matka jego synów.

Za kierownicą wozu siedziała kobieta. Włosy miała przewiązane niebieską opaską w białe kropki, oczy zakrywały ciemne okulary. Ubrana była w płaszcz. Siedzący obok niej mężczyzna miał ciemne, trochę za długie, potargane włosy. Wielu się tak teraz nosi.

Ivan zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej. Ósma trzydzieści trzy. Zostało dwadzieścia siedem minut.

Ma dobry czas.

Przeciągnął palcami przez włosy i przejrzał się w tylnym lusterku. Nie dlatego, że zależało mu na ładnym wyglądzie. Po prostu wiedział, że zmiana, która zaczyna się w środku, powinna też być widoczna na zewnątrz.

Nagle kobieta siedząca w samochodzie po drugiej stronie parkingu otworzyła drzwi. Podeszła do muru i czekała. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ze wzrokiem wpatrzonym w bramę. Ciężar ciała rozłożyła równomiernie na obie nogi. Były od niej zdecydowanie i pewność siebie.

I nagle Ivan zrozumiał.

Poznał ją, chociaż część twarzy zakrywały jej ciemne okulary.

Już wiedział, kim kobieta jest i na kogo czeka.

Osiemnaście lat temu zachowywała się podobnie – była zdecydowana, patrzyła na niego pewnym siebie wzrokiem. Stała w takiej samej pozycji jak teraz i w taki sam sposób na niego patrzyła, gdy otworzył drzwi jej domu, przeszedł obojętnie obok dzieci, wszedł do kuchni i zaczął ją bić. Żeby zabić.

Britt-Marie.

Uczucia nie przemijają. Nienawiść jest jak uśpiony wirus – budzi się i eksploduje w chwili, gdy najmniej się tego spodziewamy.

Tamtego dnia stał z palcem na czarnym przycisku dzwonka i musiał dokonać wyboru. W końcu postanowił, że się nie cofnie, nie odejdzie stamtąd. Dzisiaj wie, że powinien był zachować się inaczej. Ciekawe, czy ona też tak uważa.

Lekko się przeciągnął i potarł palcami brudną szybę, żeby zetrzeć z niej przynajmniej to, co przykleiło się od wewnętrznej strony. Teraz trochę lepiej widział tamtego mężczyznę. Nagle poczuł gwałtowny przypływ nienawiści. A przecież powinien się kontrolować. Od dawna nie zaznał tego uczucia, zwłaszcza tak intensywnie jak teraz, gdy cały jego organizm szykował się, żeby wysiąść z samochodu, podejść do Britt-Marie i do faceta, który nadal siedział w wozie i pewnie czekał na jego syna. Chciał spojrzeć temu bydlakowi w twarz, zrozumieć, kim stała się Britt-Marie, bo przecież wybór partnera coś mówi o człowieku.

Znowu zerknął w tylne lusterko i przeciągnął dłonią po włosach. Musi poluzować krawat i wpuścić koszulę do spodni, żeby nie wyglądać jak łajza.

Bez względu na to, co się wydarzyło i co jeszcze się wydarzy, oboje do siebie należą. Są ze sobą związani. Na wieczne czasy. Łączy ich dziecko. To kwestia wewnętrznej odpowiedzialności. Trzeba ją okazywać wobec świata zewnętrznego.

Wysiadł z samochodu i ruszył przed siebie. Jeśli ona tam stoi, to obok niej powinien stać ojciec ich syna, a nie obcy facet w umyтым do czysta japońskim samochodzie. To jej nowy kochaś? Po co tu z nią przyjechał? Skąd może wiedzieć, czym jest więzienie? Ile razy kwitował odbiór osobistych rzeczy przechowywanych w kartonie, żeby chwilę potem wkroczyć w nową rzeczywistość?

Facet nie ma o tym zielonego pojęcia. Nieudacznik, który kryje się w samochodzie.

Ivan spojrział na mur i bramę i wydłużył krok. Musi pokazać, że jest pewny siebie. Nie wolno mu okazywać na zewnątrz burzy uczuć, która nim teraz targa. Nie powinien iść ani zbyt szybko, ani zbyt energicznie. Po każdym kolejnym kroku będzie odpoczywał.

Chciał odwrócić głowę, żeby zajrzeć do samochodu, ale chyba nie do końca do niego dotarło, jak bardzo jest to dla niego ważne. Może ten facet z długimi włosami odejdzie, gdy ujrzy, jak Britt-Marie rozmawia ze swoim byłym mężem? Na pewno mu powiedziała, kim jest – albo kim jest jej zdaniem.

Britt-Marie.

Stała nieporuszona przed stalową bramą, która za chwilę się rozsunie i otworzy ich synowi drogę do wolności. Ivan podszedł bliżej, ale nie za blisko – to jeszcze nie ten moment. Zatrzymał się przy drugim końcu bramy, żeby najpierw sprawdzić, jak Britt-Marie zareaguje na jego widok.

Nie powiedziała ani słowa. Nie obdarzyła go nawet jednym spojrzeniem.

Stała nieruchomo jak woskowa lalka, milczała i nie zwracała na niego uwagi.

– Ja się... zmieniłem.

Zero reakcji, jakby go tam w ogóle nie było. Jak gdyby całe milczenie, które utrzymywało się między nimi od lat, nie wystarczało.

– Nie było cię wtedy w chacie, gdy nas zatrzymali.

Zadymka śnieżna. Samochód, którym uciekali, wylądował w rowie. Domek letni otoczony przez policję.

– Ale ja tam byłem... gdy to się stało. Słyszysz, co mówię? Gdybym nie... Po raz pierwszym w życiu znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ale zachowałem się, jak należy.

„I przeholowałem”.

– Leo nie chciał się poddać. Dobrze o tym wiesz. Nasz najstarszy syn mógł zginąć. Słyszysz, co mówię?

– Ivan?

Britt-Marie przerwała w końcu milczenie. To znaczy, że dla niej istnieje.

– Po co ty sobie wmawiasz takie rzeczy? Żebyś mógł ze sobą wytrzymać? Zrozum: ty w niczym nie przeszkodziłeś! Gdybyś był inny w okresie, gdy nasi synowie dorastali... Boże... Leo nigdy nie zacząłby rabować banków! I nie znalazłby się z tobą w chacie otoczonej przez komandosów!

Britt-Marie nie zdjęła okularów, ale on i tak wiedział, że go obserwuje.

– To przez ciebie Felix i Vincent trafili do więzienia.

Ivan podszedł bliżej. W tym momencie dzieliła ich już tylko połowa metalowej bramy. Przez metalowe pręty widać było strażnika i drogę wjazdową.

– To, co się wtedy działo, gdy nasi synowie byli mali... sam dobrze wiesz, że to okoliczności ich ukształtowały. Zwłaszcza jedna: chciałeś stworzyć rodzinny klan.

Kiedy Britt-Marie wypowiadała te słowa, Ivan podszedł jeszcze bliżej. W tym momencie dzielił ich niecały metr.

Britt-Marie nie okazywała strachu. Była po prostu stanowcza i tyla.

– Ale ty nie dałeś za wygraną! Musiałeś to dalej ciągnąć, śledzić mnie, wkroczyć w moje nowe życie. To właśnie wtedy, gdy próbowałeś mnie zabić na oczach naszych synów, słowo stało się ciałem.

– Słowo stało się ciałem? Co to za brednie? Używasz teraz takiego języka?

– To ty go wpędziłeś w kłopoty!

– Gdybyś nie rozbiła naszej rodziny, nie stalibyśmy teraz przed więziennym murem!

Ivan chciał jakoś sprawdzić, czy Britt-Marie nadal jest tak ładna jak kiedyś, czy starzeje się w godny sposób. Niestety, chustka zakrywała czoło, a okulary większą część twarzy. Nie zmieniły się za to wąskie usta, które zawsze mocno zaciskała, gdy wpadała w złość albo była czymś poirytowana.

– Widzę, że przywiozłaś tu swojego nowego faceta.

Mówiąc to, zerknął w stronę samochodu. W tym momencie stał bliżej niż poprzednio, ale niewiele mu to pomogło. Nadal widział tylko ogólny zarys głowy mężczyzny, reszta ukryta była za przyciemnionymi szybami. Widać było jedynie długie włosy i gładko wygoloną brodę. W promieniach słońca, które odbijało się od szyb, trudno było nawet określić jego wiek.

– Czy na pewno zrobiłaś słusznie, przywołując go tutaj? Czy Leo wie, że oprócz ciebie czeka na niego ktoś inny?

Ten jej pieprzony szyderczy uśmieszek. Wargi układają się inaczej niż przed chwilą. Jego pytania sprawiają jej wyraźną przyjemność, widać, że rozkoszuje się faktem, iż Ivana denerwuje obecność innego mężczyzny w samochodzie.

Ivan ponownie zerknął w stronę wozu. Miał nadzieję, że tym razem uda mu się zobaczyć więcej.

Niestety, znowu niczego nie dostrzegł.

Był jednak pewien, że mężczyzna nie spuszcza z niego wzroku. W pewnej chwili poruszył się, uniośł rękę. Postanowił wsiąść z samochodu. Odważył się na to!

– Jakiś problem?

Taki młody głos. Niech to szlag! Trudno mu było w to uwierzyć. Mężczyzna był tego samego wzrostu co on. Miał takie same jak on ciemne włosy i szerokie bary. Britt-Marie znalazła sobie jego młodszą kopię. Co za brak wyobraźni!

– Mamo, wszystko w porządku?

Treść słowa „mamo” dotarła do niego z pewnym opóźnieniem.

Mama?

Czy to znaczy, że... chyba tak... Czy to naprawdę jego syn?

– Mamo, wszystko w porządku?

Mężczyzna poruszał się tak samo jak on. Wykonywał zdecydowane ruchy rękami, które wymagały dużej przestrzeni. Felix. Jego średni syn podszedł do bramy, żeby ich rozdzielić. Parking jest duży i pusty, ale wygląda na to, że za chwilę cała ich trójka znajdzie się na małym skrawku terenu, gdzie może dojść do jakiegoś starcia.

– Felix? To ty? To już...

Dopiero teraz zauważył, że syn wcale nie dorównuje mu wzrostem; był od niego wyższy i bardziej barczysty.

– ...może byśmy się kiedyś spotkali... ty i ja?

Widział go dawno temu. Tak jak ją. Nie licząc pewnego późnego wieczoru i kilku minut w przedpokoju, gdy Felix i Vincent pukali do drzwi pokoju ich najstarszego brata, żeby go przekonać, aby zrezygnował z ostatniego skoku na bank. Kiedy weszli do pokoju, zastali w nim przestępcę, który miał ich zastąpić. Ojca.

– Spotkali?

– Byłoby super... chętnie posłucham, co u ciebie słychać, jak się czujesz...

– Nic ci do tego, jak się czuję.

Jeszcze zanim zadał Felixowi to pytanie, wiedział, że to, co wydarzyło się wcześniej, będzie ich dzielić. Poznał to po jego minie.

– Upłynęło tyle lat...

– O sprawach, które chciałem z tobą omówić, nie będę rozmawiał tutaj.

Jego twarz mówiła wszystko. Nie musiał tego tłumaczyć słowami.

Jak gdyby chciał syknąć: „Stary, nie powinniśmy byli napadać na tamten bank, bo kosztowało to mnie i Vincenta kilka lat za murami”.

Felix wydał na niego wyrok. Był jak tarcza dzieląca dwoje eksmałżonków, którzy już nigdy nie mieli ze sobą rozmawiać.

Zerknął na zegarek. Być może zrobił to po to, żeby nie widzieć pogardliwego spojrzenia. A może czasy, których nie rozumiał, zaczęły dla niego w końcu coś znaczyć?

Bo za osiemnaście minut jego najstarszy syn stanie się wolnym człowiekiem.

Bo od dwóch lat nie wypił kropli alkoholu.

Bo jeśli on potrafił się zmienić, to i Leo może to zrobić.

Leo siedł w towarzystwie dwóch strażników długim na kilkaset metrów podziemnym tunelem biegnącym pod dziedzińcem więzienia. Szorstki materiał koszuli i spodni drapał go w skórę, ale dzisiaj tego nie czuł. Podobnie jak nie słyszał kroków strażników, które odbijały się głośnym echem od betonowych ścian.

Co pewien czas drogę zagradzały im zamknięte na klucz stalowe drzwi. Przy kolejnych, gdzie korytarz skręcał w lewo, znajdowały się schody prowadzące do Budynku C. Obaj strażnicy unieśli wzrok, wpatrując się w kamery wiszące pod sufitem. Kilka sekund oczekiwania i rozległ się charakterystyczny trzask otwieranego zamka.

Na monitorach widzieli innych więźniów, którzy szli do swoich codziennych prac. Jedni do warsztatów, inni do fabryczki, gdzie składali zielone i czerwone klocki albo segregowali śrubki według rozmiaru.

On też to robił. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Pierwsze pięć lat odsiadki spędził na zmianę w Kumli i w Hallu – zakładach o najbardziej zastrzyżonym rygorze. Ostatni rok odsiadywał w zakładzie karnym w Österåker. Razem z mordercami, cynglami, handlarzami narkotyków i kiasarzami segregował śruby przy taśmie. Kiedy wracał do celi i zapadał wieczór, czytał. Najpierw zapoznał się z aktami śledztwa dotyczących jego spraw: napadów na banki i konwoje z pieniędzmi, bomby podłożonej na Dworcu Centralnym w Sztokholmie i szantażowania policji. Sześć tysięcy stron niezgrabnego policyjnego tekstu. Kiedy protokołów przesłuchań i materiału dowodowego nauczył się prawie na pamięć, zaczął czytać książki. Uważał, że takie czynności jak lektura książek i segregowanie śrub niczym się od siebie nie różnią. Obie miały jeden podstawowy cel: sprawić, żeby nie myślał o upływającym czasie. Ale on i tak dokładnie wiedział, ile mu zostało do końca odsiadki. Miał w sobie wewnętrzny zegar, który odmierzał czas. Zresztą za murami, gdzie po raz pierwszy w życiu nie umiał rozróżnić dni i pór roku, i tak żadna chandra by go nie dopadła.

Kolejne stalowe drzwi.

Kolejna kamera, która objęła ich czujnym spojrzeniem.

Kolejny szum mechanizmu i trzask otwieranych krat.

Szli podziemnym tunelem, który prowadził do wolności, do tej części świata, w której czas biegnie do przodu.

Teraz znowu stanie się jego częścią. Będzie czuł ludzki oddech i obserwował biegnące sekundy. Od dawna wiedział, co zrobi, gdy przejdzie przez stalową bramę w murze.

Odbierze *to, czego nie ma*.

Kolejne drzwi w podziemnym korytarzu. Tym razem zamocowane bezpośrednio w betonowej ścianie. Nie prowadziły na górę ani nie były sterowane z centralnej dyżurki. Prowadzą do magazynu, w którym przechowywane są rzeczy należące do więźniów. Jutowe worki leżą w nieładzie, pachną stęchlizną i należą do osadzonych z krótkimi wyrokami; są też kartonowe pudła z nazwiskami skazanych na dłuższe wyroki, dla których zakład karny w Österåker stał się jedynym domem.

– Dûvnjac?

– Tak?

– Twoje rzeczy są na samym końcu ściany, po lewej.

Dla niego to symboliczne wyjście na wolność. Musi znaleźć swoje pudło wśród kilkuset innych i zapakować do niego czas, który upłynął od dnia aresztowania. W końcu znalazł „0338 Dûvnjac”. Rozerwał taśmę klejącą i otworzył karton.

Na wierzchu leżał zegarek, który miał wtedy na ręce. Wskazywał kwadrans po czwartej. Bateria padła dawno temu. Wyjął go z pudła i założył na prawy nadgarstek. Był też portfel. W jednej przegródce znalazł kilka pomiętych banknotów stukoronowych, w drugiej nieaktualne prawo jazdy. Ucieczkę z miejsca, gdzie przeprowadzili ostatni skok na bank, zorganizowali w taki sposób, żeby wyglądać jak zwykła rodzina, która w wigilię Bożego Narodzenia jedzie do krewnych samochodem wyładowanym świątecznymi prezentami. Plan popsuła im zadymka śnieżna i rów, w którym wylądowali. Dobił ich tamten gliniarz, John Broncks.

W stosie ubrań znalazł swoje dzinsy. Nadal są poplamione i śmierdzą mułem z rowu, w który wjechali w czasie tamtej zadymki.

To zapach klęski.

– Te szmaty możecie wyrzucić. Kupię sobie nowe.

Leo wrzucił dzinsy z powrotem do kartonu, na stos innych ubrań, które wydzielają taki sam zapach. Koszulka, majtki, skarpetki, buty. Czekał, podczas gdy jeden ze strażników grzebał w stosie innych kartonów leżących na środku magazynu.

– Masz.

Strażnik rzucił mu reklamówkę, która zrobiła łuk i wpadła mu prosto do rąk. Leo wyjął z niej ubrania, które w czasie ostatniego widzenia przyniosła mu mama. Zdjął brzydkie, obwisłe ubranie więzienne i rzucił je na podłogę. Razem z nim trafiło tam sześć lat odsiadki.

– Widziałem, że przed bramą czeka na ciebie cała rodzina.

Słowa te wypowiedział ten sam strażnik, który rzucił mu torbę z ubraniami, jeden z niewielu, z którymi można zamienić słowo, gdy nikt nie widzi.

– Tak to już jest między braćmi. Zwłaszcza w naszej rodzinie.

– Obaj są już chyba na wolności?

– Od dwóch lat. Teraz są już prawie w moim wieku. My się tutaj nie starzejemy.

– Najgorsze mają za sobą. Dwaj spośród trzech, rozumiesz? Dwaj spośród trzech czekają na ciebie przed bramą już po dwóch miesiącach. Recydywa. Sam wiesz najlepiej. Byłoby dobrze, gdybyś nie trafił na listę tych, co po wyjściu na wolność znowu popełniają przestępstwa.

Nowe dzinsy, skarpetki, majtki. Czysta koszula. Lekka kurtka i czarne reeboki. Wszystko w odpowiednim rozmiarze, takim samym jak w dniu, w którym trafił za kraty.

Wchodzą schodami do centralnej dyżurki. Ostatnie drzwi są zamknięte na klucz. Leo zerknął do środka, za oszklone ściany. W dyżurce siedziała umundurowana strażniczka i kiwała się na fotelu. Całe pomieszczenie, od podłogi do sufitu, było zastawione monitorami. Ekran emitował czarno-biały obraz z sześćdziesięciu czterech kamer. Osadzony Leo Dûvnjac przestał być obiektem ich zainteresowania.

Zostało kilka ostatnich metrów.

Zaraz stanie przed szarym, brzydkim, wysokim, betonowym murem. Zobaczy tych, którzy na niego czekają. Prawie fizycznie czuł, jak go obejmują. Mocno, serdecznie. Zawsze tak się witał z Felixem i Vincentem.

W więziennym świetle spędził sześć lat. Zaraz miał znaleźć się na wolności, w towarzystwie rodziny, z którą nadal łączą go silne więzi.

Dwadzieścia kroków po wyasfaltowanym dziedzińcu w kierunku stalowej bramy, którą ktoś powoli uchylił. To cudowne uczucie – znowu mógł w pełni oddychać. Zostawiał za sobą kurz, zamknięte na klucz drzwi, ograniczenia. Zatrzymał się, żeby nabrać powietrza, i nagle zakręciło mu się w głowie. I wtedy ich ujrzał. Całą trójkę, którą miał nadzieję zobaczyć. Tak bardzo za nimi tęsknił, każdego dnia, wiele razy. A teraz tam są: mama, Felix i Vincent.

Ruszył w ich stronę i od razu wiedział, że coś jest nie tak.

W środku stał Felix, który przypominał graniczny słup między dwiema wyspami. Nie widzieli się od tyłu lat, ale i tak go poznał – ciemne włosy, szerokie barki. Po jego lewej stronie stała mama. Lekko pochylona, miała rude włosy z delikatnym siwym odcieniem. Ubrana była w płaszcz, który niczym się nie różnił od jej innych płaszczów. Na prawo od Felixa stał... ojciec? Miał na sobie szary garnitur, nawet wyprasowany. Ale co on tu robił? I dlaczego nie ma Vincenta?

Brama otwierała się na całą szerokość i skrzywienie ustało. Przekroczył ją i po chwili zaczęła się powoli zamykać. Stał zwrócony do niej plecami. Miał za sobą wszystko to, co chciał tam zostawić, do czego nigdy więcej nie chciał wrócić.

Najpierw przywitał się z mamą. Była tak drobna, że łatwo zmieściła mu się w objęciach.

– Dziękuję za ubranie.

– Tak strasznie się cieszę, że znowu cię widzę.

Stali objęci, bo na wolności to, co się czuje w takiej chwili, jest zupełnie inne. Teraz nie tylko ona daje mu siłę, ale i on jej.

Felix.

– Fajnie cię znowu widzieć.

Niedźwiedzi uścisk. Jak zawsze.

– I wzajemnie, braciszku.

Leo odwrócił się i rozejrzał po parkingu.

– A gdzie jest Vincent?

– Jest... w pracy. Nie mógł się wyrwać.

– Wychodzę po sześciu latach, a on nie mógł się wyrwać?

– To przez klienta. Podobno strasznie marudził. Wiesz, jacy bywają klienci.

Jest jeszcze ktoś. Ojciec. Stoi i czeka na niego z rozłożonymi ramionami. Nigdy się z nikim tak nie witał, pewnie teraz nie chciał być gorszy od całej rodziny.

– Leo, synu.

– To ty? Nie spodziewałem się, że przyjdziesz.

Ivan nadal stał z ramionami rozłożonymi w geście powitania.

W końcu zrobił ostatni krok i objęli się. Ojciec z synem.

– Jeśli ja się zmieniłem, to i ty możesz to zrobić.

Lekko wymuszony uścisk. Ojciec wypowiedział te słowa szeptem. Po chwili je powtórzył, tym razem głośniej:

– Jeśli ja się zmieniłem, to i ty możesz to zrobić.

– O czym ty gadasz?

– O dwóch latach.

– Jakich dwóch latach?

– Od dwóch lat jestem na wolności i przez cały ten czas nie wypilem ani kropli.

Faktycznie. Leo nie czuł od niego zapachu alkoholu. A przecież ojciec zawsze pachniał czerwonym winem. Tym razem było inaczej.

– Posłuchaj, Leo, ja teraz...

– Później.

– Jak to później?

– Nie mam czasu, tato.

– Ale przecież wyszedłeś na wolność!

– No właśnie. Mam teraz mnóstwo spraw do załatwienia.

Ivan stał nieruchomo w miejscu.

– Nie wiedziałem, że Felix przyjdzie tu... z nią. Zarezerwowałem stolik, ale tylko dla nas dwóch, to znaczy dla ciebie i dla mnie. To będzie taki powitalny obiad. Mamy tyle spraw do omówienia...

– Dobrze, ale wieczorem.

Ani jednej kropli alkoholu?

Leo przypatrywał się ojcu uważnie. Nie był pewien, czy go te słowa szczególnie uspokoiły. Przed ich ostatnim spotkaniem ojciec też nie pił, bo taki mu postawił warunek: przez kilka dni przed skokiem miał być trzeźwy.

Tak czy inaczej wpadli.

Dlatego przez najbliższy czas będzie go trzymał z dala od siebie. Nie chce go widzieć. Woli nie budzić w nim ojcowskiego instynktu, który czasem daje o sobie znać.

– Powiedziałeś: wieczorem?

– Tak. Będziemy się mogli na chwilę spotkać. Mam... trochę spraw do załatwienia. Zgoda?

Wolał nie patrzeć ojcu w oczy, żeby nie widzieć jego rozczarowania. Minął lekko sfatygowanego saaba, którym ojciec chciał go podrzucić, i coraz bardziej oddalał się od muru, więziennej bramy i dni, które spędził w celi. Jego droga wiodła w innym kierunku.

Musi się dostać do miejsca, które leży kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Sztokholmu.

Na zwykły przydrożny parking.

Musi odgrzebać przeszłość i odebrać... to, czego nie ma.

Shczęście powinno go przenikać do szpiku kości. Wyszedł na wolność i po sześciu latach za kratami może pojechać w dowolnym kierunku, zatrzymać się i wysikać o każdej porze dnia i nocy. Jednak takiego przyjęcia przed więzienną bramą się nie spodziewał. Zastał tam mamę, brata... okej, ich obecność rozumie. Ale zamiast ojca spodziewał się Vincenta. „To przez klienta. Podobno strasznie marudził”. Vincent nie zjawił się w tak ważnym dla niego momencie. A przecież po sześciu latach powinien chyba przyjść na spotkanie ze starszym bratem?

Leo jechał na południe przez Sztokholm, którego od dawna nie widział. Mijał kolejne zjazdy z autostrady na Västertorp, Fruängen i Bredäng, a gdy dojechał do miejsca, gdzie stara droga biegła równoległe z nową, nie mógł się powstrzymać i przez cały czas rozglądał się za skrawkiem lasu, w którym kiedyś leżał na mchu wśród brzęczących komarów i obserwował pewnego wojskowego kontrolera. Kartotekę miał jeszcze czystą, dla policji był postacią anonimową. Nie miał też żadnych znajomości w przestępczym świecie: ani za więziennym murem, ani na wolności. To było w czasach, gdy z wojskowego magazynu skradł dwieście dwadzieścia jeden sztuk broni automatycznej i nikt tego nie zauważył.

Teraz już wie, kim jest.

Będzie musiał zacząć myśleć i pracować w całkiem nowy sposób.

Jechał przez tereny, które sprawiały wrażenie, że nigdy się nie skończą. Tu nie było cel ani murów zwieńczonych ostrym jak brzytwa drutem kolczastym. Minął Salem i Rönninge, a gdy mijał zjazd na Hall – najcięższe obok Kumli więzienie w Szwecji – pomachał ręką. Podczas całej odsiadki przynosili go tam trzy razy. Właśnie tak funkcjonuje system penitencjarny – nagle, niezapowiedziane przynosiny w inne miejsce o szarym świecie, żeby osadzony nigdy nie miał pewności, jak będzie wyglądał jego następny dzień, żeby nie zdążył zbudować siatki kontaktów. Uznano go za groźnego przestępcę, bo jeśli ktoś potrafił włamać się do magazynu z bronią, to może zdoła też uciec z więziennej celi.

Most koło Södertälje. Ciekawe, że zwykły most, z którego rozciąga się widok na kanał, może być aż tak piękny. Zupełnie o takich rzeczach zapomniał. Wkrótce dotarł do zjazdu prowadzącego na drogę E20, kończącą się na zachodnim wybrzeżu Szwecji, nad morzem, za którym leży reszta świata. Dla niego to za daleko, przynajmniej teraz. Zahamował przed tablicą drogową z odległościami do Örebro i Strängnäs, a potem przed następną, która była mniejsza od pierwszej i pomalowana na czarny i niebieski kolor. Umieszczono też na niej symbol banku w towarzystwie choinki i cyfry „trzy”. To tu znajdują się parking i pierwsze zaplanowane miejsce postoju.

Wyposażenie parkingu składało się z dwóch toalet, kilku ławek i paru koszy na śmieci. Stał na nim TIR z polską rejestracją.

Właśnie to miejsce wybrał na schowek, to tu urządził kryjówkę.

Parking przy ruchliwej drodze, na którym rzadko się ktoś zatrzymuje. Żadnych kiosków, sklepów ani stacji benzynowej. Po sześciu latach spędzonych w celi nie odróżniłby go od innych parkingów.

Leo wyłączył silnik i wysiadł z wozu. Cały parking zalany był blaskiem słońca. Poczł lekkie rozleniwienie. Ziewnął, przeciągnął się i rozejrzał wokół siebie. Dojrzał tylko jednego człowieka. Miał rzadkie włosy, był nieogolony i palił papierosa bez filtra. Kierowca TIR-a, który większość swojego życia spędza za kierownicą.

Leo skinął mu głową, kierowca odpowiedział takim samym gestem i odwrócił się do niego plecami. Są sobie obcy, nic dla siebie nie znaczą. Drogą pędziły z dużą prędkością kolejne samochody. Leo obserwował skraj lasu. Większość porastających go drzew stanowiły jodły, tu i ówdzie trafiła się pojedyncza brzoza ze zwisającymi gałęziami. Gdzieś tam leżały jeszcze białe płyty śniegu.

To było między siódmym a ósmym skokiem na bank. Stał wtedy dokładnie w tym samym miejscu co teraz. Trzydzieści dwa kroki od rowu zauważył wysoki, prawie okrągły kamień. To jego pierwsza wskazówka. Był tu jesienią, wczesnym rankiem i wszędzie czuł zapach naturalnego nawozu. Dzisiaj nad polem unosiła się woń topniejącego śniegu, żółtej trawy i spalin.

Podszedł do bagażnika, ale zanim go otworzył, sprawdził, że kierowca TIR-a znowu zapala papierosa, a potem w starym stylu wypuszcza kółka. Leo otworzył bagażnik i znalazł w nim wszystko to, co było mu potrzebne. Ten, kto wypożyczył dla niego samochód, zatankował go do pełna, zapłacił

z góry za wynajem i zostawił na stacji benzynowej koncernu OK koło miejscowości Västberga. Wszystko odbyło się zgodnie z jego instrukcjami. Po lewej stronie bagażnika leżały skrzynia, plastikowa miednica i składany szpadel; po prawej karton z nieprzemakalnymi butami, kompas i dwa telefony komórkowe z wpisanymi numerami.

Leo zmienił obuwie, zwinął kurtkę i poczekał, aż TIR odjedzie z parkingu. Dopiero gdy ciężarówka wjechała na zatłoczoną autostradę, a on upewnił się, że w pobliżu nikogo nie ma, wziął skrzynkę na ramię, przeskoczył przez zasypany piaskiem rów i wszedł do lasu. Brnął w wilgotnej trawie i mokrym śniegu, ale czuł się lekko. Nadal był silny, bo w ciągu ostatnich sześciu miesięcy więzienia dużo czasu poświęcił na ćwiczenia fizyczne wzmacniające mięśnie. Robił to jednak inaczej niż inni osadzeni. Nie chodziło mu o samą muskulaturę, tylko raczej o to, aby przy pomocy takich ćwiczeń jak podciąganie na drążku, podrzucanie sztangi, skłony czy brzuszki doprowadzić swoje ciało do stanu, w którym nie będzie ograniczało jego sprawności fizycznej. Jeśli w przyszłości znowu będzie go ścigać dwudziestu pięciu policjantów z jednostki specjalnej, będzie biegł szybciej i pokona dłuższy dystans niż jego prześladowcy.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy kamień rzeczywiście był wtedy tak duży, więc zaczął przesuwając dłonią po jego chropawej powierzchni, aż znalazł wąskie nacięcie. Ciężki, wilgotny śnieg obluźował się i zsunął na ziemię. Leo był pewien, że powinien stanąć w tym miejscu, tyłem do nacięcia. Stojąc w tej pozycji, znajdzie drugi znak identyfikacyjny: drzewo o rozwidlonym pniu. Jedna połowa już dawno temu zgniła i odpadła, podczas gdy druga nadal wznosiła się w niebo. Kiedy przyszedł tu pierwszy raz, od razu się domyślił, że w pień trafił piorun.

Odwrócił się plecami do drzewa, przyłożył kompas do błyszczącej mapy i obrócił go w taki sposób, żeby krzywe znalazły się w pozycji równoległej do linii na mapie. Strzałka „północna” wskazywała na północ, strzałka kierunkowa w lewo na ukos. Leo ruszył, żeby pokonać ostatnie dziewięćdziesiąt dwa kroki.

W dniu, w którym całą ich trójkę zamknięto w trzech różnych więzieniach, byli dla siebie wszystkim. W dniu, w którym znowu mieli się połączyć, jeden z nich nie stawiał się w umówionym miejscu.

Irytowało go to. Dręczyło. Gryzło.

Czternaście kroków.

W kieszeni miał dwa telefony komórkowe. Na pierwszy ściągnął specjalną aplikację, która będzie mu potrzebna później. Drugi telefon działał na kartę prepaidową i nie był zarejestrowany. Wyjął go i wcisnął klawisz z zakodowanym numerem abonenta. W końcu usłyszał sygnał: jeden, drugi, trzeci. Nikt nie odebrał.

Dwadzieścia siedem kroków.

Ponownie wybrał ten sam numer. Tym razem poczekał dłużej.

A może zrobił dwadzieścia osiem kroków?

Znowu nikt nie odebrał.

A może dwadzieścia dziewięć?

Zatrzymał się i głęboko odetchnął. Nie pomogło. Całkowicie stracił rachubę. Poczuł narastającą irytację, która kłuła go jak setki igieł.

Vincent nie tylko nie przyjechał pod więzienie, ale na dodatek nie odbiera telefonu!

Odwrócił się i wrócił pod drzewo – znak rozpoznawczy numer dwa. Stanął plecami do zdrowego pnia i przyłożył kompas do mapy. Ruszył przed siebie, licząc kroki, i trzeci raz wybrał ten sam numer.

– Halo...?

Vincent miał kiedyś głos nastolatka. Teraz usłyszał głos mężczyzny w wieku dwudziestu paru lat.

– Witaj, braciszku.

Vincent miał teraz tyle lat co on wtedy, gdy ich aresztowano.

– Leo?

– Tak.

– Czy ty już... cholera, nie skojarzyłem numeru.

– Nie przyjechałeś.

– Ja...

Piętnaście kroków.

– ...bardzo mi przykro...

Teraz łatwiej się liczy.

– ...to przez robotę, sam wiesz, jak jest... jedna z klientek nie mogła się zdecydować, jakimi kaflami chce obudować kominek.

Leo poczuł, jak złość powoli go opuszcza.

– Masz robotę? Mama coś wspominała. Słyszałem, że prowadzisz własną firmę!

– Mhm.

Sześć rozmów telefonicznych na zatłoczonym więziennym korytarzu. Jedna na rok. To był ich cały kontakt. A teraz rozmawiają ze sobą bez żadnych ograniczeń. Wyraźnie słyszy jego głos. Jego młodszy brat przebywa na jakimś placu budowy, prowadzi ustatkowane życie.

– Kiedy się zobaczymy?

– Zobaczymy?

– Tak. Chciałbym się spotkać z moim młodszym bratem.

– Cholera, sam nie wiem... Mam teraz tyle spraw na głowie...

– Może jutro? Chyba że znowu trafi ci się jakiś marudny klient?

– No może... ja...

– Próbujesz się wymigać? Nie chcesz mnie widzieć?

– Nie, to nie tak. Chyba rozumiesz. Ja tylko...

– No to jesteśmy umówieni. Jutro u mamy, zgoda?

– Jasne. Do jutra.

Trzydzieści dwa kroki. Wokół las, wszędzie cisza. Przez gałęzie drzew przebijały się promienie słońca, niektóre z nich grzały jak w kwietniu. Czterdzieści cztery kroki. O mało nie wpadł do wypełnionego błotem dołu. Rozejrzył się i jeszcze raz ustawił kompas. Pięćdziesiąt siedem kroków. Czerwona strzałka drżała pod plastikową szybką, wskazując biegun magnetyczny. W tym samym czasie druga strzałka prowadziła go do nowej przyszłości.

Dzieliło go od niej zaledwie trzydzieści pięć kroków.

Vincent jeszcze długo trzymał telefon w ręce. Rozmowa z bratem zawierała słowa, których nie chciał wypowiedzieć – jak zawsze, gdy się czegoś wstydził.

Gdyby tak wyłączył dzwonek... położył telefon wyświetlaczem na dół na czerwonej pokrywie skrzynki na szpachelki... I gdyby telefon znowu zadzwonił... nie musiałyby odbierać, bo nie usłyszałyby dzwonka ani nie zobaczyły rozświetlonego ekranu...

Kłęcząc w łazience wyłożonej zwykłymi białymi kafelkami. Tylko lustro w kształcie serca obudowane było wąską złotawą mozaiką. Jej kolor kontrastował z innymi kaflami i przypominał ranę, z której sączy się ropa.

Spróbował uśmiechnąć się do swojego odbicia w lustrze, ale mu nie wyszło, bo usta nie chciały się odpowiednio ułożyć.

„Próbujesz się wymigać? Nie chcesz mnie widzieć?”

Gdyby jego głos przepelniony był takim samym poczuciem winy co oczy patrzące z lustra, Leo zrozumiałby. Kłamstwo, którym jeden brat raczy drugiego.

Zostało mu tylko fugowanie. Dzięki kleistej masie ściana będzie gładka i równa. Z kuchni dobiegały szumięcia wilgotnego wałka. To jego pomocnik kładł na suficie kolejną warstwę farby. Jeszcze jeden dzień i praca dobiegnie końca, lokatorzy będą się mogli wprowadzić.

Nagle ogarnął go niepokój.

Próbował się go pozbyć.

Postanowił myśleć o czymkolwiek, każda ewentualność była dopuszczalna. Im większa burza myśli w głowie, tym lepiej. Najważniejsze, żeby wyparły straszliwy niepokój, który zagnieździł się przed kilkoma tygodniami w jego brzuchu, a potem przeniósł w górę. Stało się to w dniu, w którym sobie przypomniał, że jego starszy brat zostanie wkrótce zwolniony z więzienia i wyjdzie na wolność.

Ruszył na korytarz, odgłos jego kroków odbijał się echem po pustej przestrzeni. Rozejrzył się i uświadomił sobie, że to, co widzi, to jego praca i życie. Pół roku po wyjściu z więzienia założył własną firmę. Od tej pory żaden dyrektor ani prezes nie będzie go już pytał o przeszłość. Szybko się wdrożył, zwłaszcza że zaczął dostawać kolejne zlecenia. Przybywało zadowolonych klientów.

Pracy miał wystarczająco dużo. Wypracowywał zysk, który pozwalał mu na spokojne życie, ale na nic więcej. Zatrudnił też na pół etatu pomocnika, który właśnie teraz malował sufit. Przez długi czas nie

utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów, teraz razem malują, przybijają, kładą kafelki. Na razie nikomu o tym nie wspomniał, ani mamie, ani Felixowi. Nie wiedziałby, co powiedzieć, skoro sam nie potrafił sobie wytłumaczyć, po co zatrudnił dodatkową osobę, jeśli pracy wystarczyło tylko dla niego.

– Jak skończysz, zajmij się łazienką. Trzeba tam zamalować kilka plam.

Vincent stanął w progu i obserwował, jak jego pracownik rozprowadza wprawionymi ruchami farbę po suficie.

– Niedługo skończę. Zobacz: ci idioci chcą to pomalować matową farbą, nie błyszczącą. Co za głupki! Kto maluje sufit w kuchni na matowo?

Sufit jest na wysokości trzech i pół metra, a mimo to farba została rozprowadzona równomiernie i wydajnie.

– A właśnie... kto dzwonił? Z kim rozmawiałeś?

I dlaczego?

Tego Vincent nie wiedział.

Może chciał ożywić wspomnienia?

Miał siedem lat, gdy ojciec wrócił, wdarł się do ich domu przez wejściowe drzwi, wściekły i trzeźwy wpadł do przedpokoju i zaczął metodycznie okładać mamę pięściami.

To dlatego.

Pewnie taką miał nadzieję.

Niestety, mimo dwóch miesięcy spędzonych wśród kafelków i puszek z farbami nie posunął się zbyt daleko, niewiele więcej rozumiał.

– Vincent?

– Tak?

– Kto to był?

Pomocnik przyglądał mu się uważnie. Mieszkanie jest małe, łazienkę dzielą od kuchni nie więcej niż dwa metry, dźwięki rozchodzą się swobodnie po całej przestrzeni. Najwidoczniej malarz słyszał całą rozmowę i domyślił się, kto dzwoni.

– Jak to kto?

– Ten, z którym rozmawiałeś.

– Nikt.

Vincent zdusił w sobie resztę słów. Nazwał Leo „nikim”.

– Naprawdę nikt? A kto to jest „nikt”? A może rozmawiałeś z kaflami?

– Wiesz, kto dzwonił.

Nikt.

– Leo. Mój starszy brat, twój syn.

Nikt.

Vincent poczuł wstyd, tak jak przedtem, gdy wszedł do kuchni i ojciec utknął w nim wzrok. Ich ojciec. Ivan opuścił wałek z farbą i na folię spadło kilka jej kropel.

– Byłem tam. Dziś rano.

Kropłe farby na folii. Nie znosi tego. Farba zasycha, a jak ktoś w nią wdepnie, pęka jak skorupki gotowanych jajek. Brud przenosi się do innych pomieszczeń.

– Jak go wypuszczali.

Vincent dopiero teraz zrozumiał, o czym ojciec mówi. Trudno mu się było denerwować z powodu kilku kropel, gdy reszta świata waliła się na jego oczach.

– Byłeś... tam? Pod więzieniem?

– Tak.

– I nic mi nie powiedziałaś?

Ivan położył wałek na tacce, oparł kij o ściankę i usiadł na wiadrze z farbą.

– Tak. Uznałem, że tak będzie najlepiej.

– Najlepiej? W jakim sensie?

– Bo odniosłem wrażenie, że nie chcesz o nim rozmawiać.

Ivan wyjął z górnej kieszonki paczkę bibulek i tytoń i rozłożył go równomiernie na jednym z cienkich, suchych papierków.

– A może nie mam racji? Za każdym razem gdy próbuję pogadać z tobą o Leo, unikasz odpowiedzi. Od razu zabierasz się do jakiejś roboty, żeby się wykręcić od rozmowy.

Ivan wstał z puszki, uchylił okno, wyjął zapalniczkę i głęboko zaciągnął się skrętem.

– Obaj jesteście moimi synami, macie trzymać się razem. Kiedyś próbowałem wam to wpoić, a teraz jest to ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Musicie się trzymać razem, ale bez napadania na banki.

– A więc rzeczywiście tam byłeś? Pod murem?

– Tak.

– Stałeś tam razem z mamą i Felixem?

– Tak.

Vincent wykonał niespokojny ruch, jedną stopę postawił blisko kropel farby.

– Rozmawialiście? Opowiedziałeś im o... że pracujesz u mnie?

– Nie. Woląłem się nie mieszać. Obaj jesteście już dorośli.

Ivan kilka razy się zaciągnął i wypłuł na podłogę parę drobin tytoniu.

– Ten telefon od Leo... Dlaczego tam nie pojechałeś?

– Nie miałem czasu.

– Oczywiście, że miałeś.

Ivan spojrział na Vincenta, jak gdyby chciał go przesyć na wskroś. Głowę miał pochyloną, brodę wysuniętą, wzrok ostry. Leo i Felix opowiadali, że im też się tak przyglądał. On był wtedy za mały, żeby to zauważyć i zapamiętać.

– Nie odtrącaj go. Leo cię potrzebuje. Rozumiesz, co mówię? Leo może się zmienić, tak jak ty i ja. Nadal jesteście braćmi, bez względu na to, co się wydarzyło.

– Ja go wcale nie odtrącam.

Vincent podszedł bliżej. Byli tego samego wzrostu, mieli równie rzadkie włosy, które w identyczny sposób układały im się falami.

– Tu chodzi o coś innego... ja nie umiałbym tam tak po prostu stać i czekać. Nie pod tymi cholernymi murami. Nigdy więcej nie chcę już widzieć żadnego więzienia! Rozumiesz, co mówię? Kiedy zaczęliś napadać na banki, miałem siedemnaście lat. Siedemnaście! Wszystko zrozumiałem dopiero wtedy, gdy trafiłem za kraty w Mariefred: że to nikt inny, tylko ja, siedemnastoletni chłopak, rabowałem banki z pistoletem maszynowym na ramieniu. Zrozumiałem, że teraz już taki nie jestem i że nigdy więcej nie chcę wrócić do więzienia.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowa, pojawiła się złość, ale od razu ją stłumił. Nauczył się tego. Trzeba się jej pozbywać stopniowo, w małych ilościach, jak trującej pary. Jeśli wypuści się ją od razu, nie uleci, tylko będzie potrzebować więcej miejsca.

– Mam się z nim jutro spotkać. Zjemy razem obiad.

– Zamierzasz się spotkać z Leo?

– Z nim, Felixem... i z mamą.

– Ona też przyjdzie? – zdziwił się Ivan.

Niech to szlag! Jemu nawet by przez myśl nie przeszło, żeby zaproponować spotkanie wszystkich synów w jej domu. Byłoby to okropne i nikomu do niczego niepotrzebne.

– Tak... to ona zaproponowała... żeby się spotkać u niej.

Ivan obrzucił Vincenta obojętnym spojrzeniem, a potem sięgnął po wałek, żeby zabrać się za malowanie. Ale on też był wytrącony z równowagi. Vincent wdział to po nim. Za każdym razem gdy próbował się zbliżyć do „nowego” ojca – bo przecież lata spędzone z „dawnym” ojcem były stracone – rozmowa kończyła się, jeszcze zanim się na dobre rozwinęła. Słowa i zdania zatrzymywały się w jego ciężkim ciele, zasklepione i nieokreślone. Vincent zrozumiał, że ojciec nigdy go nie wpuści do swojego wnętrza, nic mu o sobie nie opowie.

Od zewnątrz też nic do niego nie dotrze. Kiedy więc Ivan zabrał się za malowane drugiej połowy sufitu, Vincent nalał wody do metalowego wiadra i wymieszał w niej masę do fugowania. „Leo może się zmienić, tak jak ty i ja”. Vincent pochylił się nad podłogą, wziął do ręki gumową szpachelkę i szerokimi, łagodnymi ruchami zaczął wypełniać wilgotną masą wolne przestrzenie między kafkami. „Tak jak ty i ja”. Kilka dni temu położyli czekoladowobrązowe kafelki o wysokim połysku. Resztę powierzchni aż do samego sufitu wyłożyli żółtopomarańczową wodoodporną tapetą. Teraz wszystko było kredowobiałe. Prosta zmiana, a od zewnątrz wyglądała ładnie. Ale w świecie, który Leo właśnie opuścił, w którym codzienne życie to jedna wielka strata czasu regulowana kilkoma prostymi zasadami, wydawała się brzydka. Przed sobą miał mur, nad sobą drut kolczasty, za sobą czas. Budził się rano, wykonywał rutynowe czynności i wiedział, że całe to gówno to tylko zwykła, cienka zasłona. Skrywa

ona przemoc, do której dochodzi na drabinie, po której wszyscy próbują się wdrapać. Bierzesz w tym udział, bo musisz, chwytasz mocno za rękę kogoś, kto walczy, żeby się uwolnić, a twoje kopniaki dosięgają kapusia, który potem nie jest w stanie leżeć, stać ani nawet się wysikać. To, czego doświadczył, stało się też udziałem Leo. Jego starszy brat, którego tak bardzo kochał i który kiedyś był dla niego wszystkim, spędził za kratami więcej czasu niż on, i to w więzieniach o bardziej zastrzyżonym rygorze.

To prawda, że gdy rozmawiał z Leo, okłamał go. Nie po to, żeby wykręcić się od spotkania, tylko ze strachu. Bał się, że po wyjściu na wolność Leo znowu zacznie snuć swoje przestępcze plany i do ich realizacji będzie potrzebował jego pomocy.

Leo położył kompas na rozpostartej dłoni. Jedna strzałka wskazywała północ, druga jego przyszłość. Zostało mu dwanaście kroków. Prawie widział i czuł to, po co przyszedł. Rozciągał się przed nim teren w kształcie trójkąta porośnięty trawą i mchem. Stały tam metrowej wysokości kamień, samotny świerk i dwie karłowate brzozy.

Leo spokojnie oddychał, jego klatka piersiowa unosiła się równomiernym rytmem. Coraz bardziej zagłębiał się w las. Od parkingu w północnym Södermanlandzie, gdzieś między Södertälje a Strängnäs, dzieliło go tylko sześćdziesiąt jeden kroków. Miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. Wszystko dokładnie zapamiętał, wiedział, gdzie i jak powinien kopać.

Dotknął dłonią ziemi. Była wilgotna i chłodna. Rozsunął warstwę trawy, mchu i brązowych liści, a potem ostrą krawędzią szpadla poprzecinał splecione korzenie wystające z czarnej ziemi. Na głębokości trzydziestu centymetrów natknął się na pokrywą. Była szczelnie owinięta w folię z tworzywa sztucznego i oklejona taśmą. W ciągu minuty przekopał się przez kolejne warstwy ziemi i odkręcił pokrywą. Jej wewnętrzna część była okrągła i gładka, wykonana z szarego twardego tworzywa. Właściwie była to zwykła rura kanalizacyjna z PCV. Kiedy dochodzi do awarii, wydobywa się z niej okropny smród, który czuć w całym domu. Z tej, którą odkopał Leo, nie wydobywał się ani zapach kanalizacji, ani ekskrementów, ani szlamu. Rura pachniała zwykłym smarem silnikowym.

Chwilę później jego oczom ukazała się kolejna rura z PCV. Przed sześciu laty zakopał w tym miejscu właśnie dwie ułożone równoległe do siebie rury.

Urządził tu swój prywatny sejf, na wypadek gdyby wszystko się posypało. Zawsze trzeba mieć przygotowane wyjście awaryjne. I tak się właśnie stało. Skok na bank się nie udał, a później napatoczył się ten policjant, John Broncks.

Leo położył się na brzuchu i wsunął prawą rękę do jednej z rur. W powietrzu unosił się zapach oleju silnikowego. Wyczuł palcami czarny worek na śmieci i okrągły kawałek metalu. Rury były osadzone wylotem do góry.

Wyciągnął na powierzchnię oba czarne worki, w których wtedy ukrył broń automatyczną. Była naoliwiona i owinięta w grubą warstwę folii. Potem pochylił się głębiej i zaczął czegoś szukać. Po chwili wyjął ze środka dwa pudełka amunicji. Każde zawierało po dwadzieścia nabojów i było umieszczone w próżni, aby je chronić przed wahaniami temperatury. Gdyby nie to, wypełniający je proch stałby się bezużyteczny z powodu wilgoci. Pod amunicją leżały paczki banknotów, ciepłe ubranie, maszyny do golenia, nożyczki i barwniki. Leo policzył pieniądze, wziął połowę, a resztę odłożył na miejsce razem z ubraniem i tym, co miało zmienić jego zewnętrzny wygląd, gdy będzie musiał uciec. Wziął do ręki szpadel i zasypał dół ziemią, liśćmi i mchem, a na końcu przejechał gałęziami po wierzchu, żeby zatrzeć ślady.

Zerknął na zegarek. Zostały mu cztery godziny i dwadzieścia trzy minuty. Musi się pospieszyć. Brat tego pieprzonego policjanta pewnie się zastanawia, gdzie on, Leo, teraz przebywa.

Leo wracał przez las ze skrzynką, która była wypełniona różnymi przedmiotami i trochę mu ciążyła na ramieniu. Włożył do niej dziesięć sztuk broni automatycznej, amunicję i pieniądze. Ostatni odcinek dzielący go od parkingu przemierzył ostrożnym krokiem. Wolał, żeby nikt go nie zauważył. Nie powinien zostawić za sobą żadnych śladów. Kiedy był w lesie, na parking wjechały dwie ciężarówki i zatrzymały się blisko wjazdu. Tak sięłożyło, że stanęły bezpośrednio przed jego samochodem. Leo przemknął bliżej wozu pod osłoną dwóch niskich świerków. Numery rejestracyjne obu ciężarówek wskazywały, że przyjechały z Litwy. Ich kierowcami byli dwaj młodzi mężczyźni, którzy palili papierosy, rozmawiali ze sobą i głośno się śmiali. Leo odczekał, aż opuszczą parking i tak jak polski TIR wjadą na autostradę. Upewnił się, że żaden nowy pojazd się nie zbliża, i ruszył pospiesznym krokiem do swojego wozu. Otworzył bagażnik, wyjął ze skrzynki torby z bronią i włożył je do pustej plastikowej miednicy.

Od najbliższej miejscowości – Strängnäs – dzieliło go niewiele kilometrów. Zatrzymał się na stacji benzynowej, na której była też automatyczna myjnia. Kasjerka miała miły uśmiech i uprzejmy głos. Poinformowała go, że na tyłach stacji znajdują się trzy duże, oddzielone ścianami stanowiska, na których można umyć wóz. Jedno z nich zaraz się zwolni i można je zarezerwować, ale nie krócej niż na godzinę. Leo zapłacił za mycie i płyn odtłuszczający i skierował się do wyjścia. Tuż przed drzwiami zawrócił.

– Poproszę jeszcze puszkę smaru. Może być 5-56.

– Coś się zacina?

– To tak na wszelki wypadek, żeby nic się nie zacięło.

– Słusznie. Ten smar można stosować przy różnych okazjach. Sama go używam do łańcucha w moim rowerze i...

– Dziękuję.

Trzy identyczne boksy, każdy wielkości typowego garażu. Leo zajrzał przez szybę drzwi do środka pomieszczenia po lewej stronie i zobaczył w nim granatową taksówkę. Kierowca sam mył swój wóz. Stał na drabince i szorował myjką dach. W prawym boksie stał stary samochód osobowy wyposażony w dodatkowe reflektory i światła przeciwmgielne. Miał też podwójną rurę wydechową i naklejkę przy tablicy rejestracyjnej o treści „Volvo – pełny wypas!”. Stał przy nim młody mężczyzna, który dokładnie mył samochód silnym strumieniem wody pod ciśnieniem. Na głowie miał złotawą bejsbolówkę założoną tyłem do przodu. Leo domyślił się, że wolne jest środkowe stanowisko, więc wjechał tam tyłem, żeby bagażnik był niewidoczny dla postronnych osób. Po obu bokach miał solidne ściany, a nie luźne zasłony, które bardziej odsłaniały, niż zasłaniały.

Najpierw umył karoserię z brudu. Być może zrobił to niezbyt dokładnie, ale na tyle porządnie, żeby lśniła wilgocią, gdy za chwilę ruszy w drogę. Jeszcze raz upewnił się, że samochód zasłania widok od jednej, a ściany od trzech pozostałych stron, i ostrożnie otworzył bagażnik. Wyjął z niego miednicę z czarnymi workami na śmieci i rozłożył je na ziemi. W środku znajdowały się dwa karabiny AK4. Zanim je zakopał, dokładnie nasmarował metal, a następnie pokrył go grubą warstwą oleju silnikowego. Broń prawie się w nim kąpała. Potem owinał je w plastikowe worki, żeby do środka nie dostała się woda. Tuszcz i smar miały uchronić metal przed rdzewieniem, a po owinięciu w dodatkową folię i ułożeniu w rurze PCV mogły czekać w takim stanie do końca świata. Dopóki amunicja pozostawała zapakowana próżniowo, głębokość dołu, w którym była przechowywana, nie miała większego znaczenia.

Teraz będzie musiał się tego wszystkiego pozbyć.

Rozwinął kolejne warstwy folii, nasmarował broń środkami odtłuszczającymi z zawartością napy i składników alkalicznych, chwilę odczekał, aż zaczną działać, a następnie sputkał je myjką ciśnieniową. W przeciwieństwie do właściciela volvo on nastawił urządzenie na pełną moc. Broń nie jest przecież tak delikatna jak silnik samochodu. Potem osuszył metalowe powierzchnie strumieniem powietrza, wytarł je szmatami wiszącymi na haku nad szlauchem i spryskał smarem.

W końcu opuścił stację benzynową i drogą 55 skierował się na północ. W Strängnäs przejechał most, z którego rozpościerał się fantastyczny widok na lśniące, spokojne wody jeziora Mälaren. W bagażniku

miał dwie sztuki gotowej do strzału broni automatycznej. Z opisu, który dostał od Sama, wynikało, że ma do przejechania dwadzieścia jeden kilometrów. Z mostu zjechał na drogę prowadzącą na przystań, z której co godzinę odchodziły promy. Czekala go podróż przez starą Szwecję. W tutejszych lasach było pełno kamieni runicznych i grobów z epoki brązu, na skraju drogi stały tablice reklamowe z informacją o noclegach ze śniadaniem i pachlich targach. Przy wiejskim sklepie miał skręcić w prawo, a ostatni odcinek pokonać krętą, źle utrzymaną drogą, o której sam Pan Bóg zdążył zapomnieć.

Sam to jego przyjaciel. Ktoś, komu ufa.

Przedtem nikomu nie ufał... z wyjątkiem swojej rodziny. Mimo to nauczył się ufać Samowi, chociaż podczas ich pierwszej rozmowy odczuwał wobec niego złość i niechęć.

Dość senne przedpołudnie, kolejna zmiana, na której segregowali śruby w skrzynkach. Wstał, rozprostował plecy i ujrzał przez okno samochód, który zaparkował przed więzienną bramą. Kiedy wysiadł z niego mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, poczuł w klatce piersiowej nagłe uderzenie. Przypominało eksplozję, która rozchodziła się falami po całym ciele, dotarła do gardła i zamieniła się w głośny krzyk. Tak właśnie wygląda ślepa złość. To przecież ten pieprzony gliniarz, Broncks! Prezentował się dokładnie tak samo jak podczas ostatniego dnia rozprawy sądowej. Pewnie miał też na sobie to samo ubranie: dżinsy, skórzaną kurtkę i pantofle na niskim obcasie. Chwilę później wewnętrzny krzyk wrócił, tym razem ze zdwojoną siłą. Osadzony ze środkowej celi po drugiej stronie korytarza, numer siedem. Nazywa się Sam Larsen i odsiaduje dożywocie. Strażnicy zabrali go na niezapowiedziane widzenie. No proszę... Będą ze sobą rozmawiać w ciasnym pokoju spotkań – gliniarz i Larsen! Broncks przyjechał tutaj, żeby się od niego czegoś dowiedzieć. Ten sam Broncks, który przesłuchiwał trzech braci, a potem ich rozdzielił i posłał za kraty. Na szczęście nie udało mu się odnaleźć miejsca, w którym ukryli broń. Gdyby to zrobił, stałaby się dowodem rzeczowym w sprawach o napady na banki wymienione w akcie oskarżenia. A dzisiaj składa wizytę Larsenowi, który jest mężem zaufania i ma dostęp do wielu tajemnic.

Tego popołudnia Leo po raz pierwszy wszedł nieproszony do celi innego więźnia.

Rozmawiał z nim o honorze i zasadach obowiązujących od zarania dziejów w zakładach karnych. Na samym dole więziennej hierarchii są kapusie i więźniowie osadzeni za przestępstwa popełnione na tle seksualnym. Istnieje coś w rodzaju pseudoetyki, hierarchicznej struktury ważnej dla kogoś, kto wybrał więzienie jako styl życia. Jego to w ogóle nie interesowało. Przecież nie jest przestępcą w pełnym tego słowa znaczeniu. Pytania zadaje tylko wtedy, gdy mają bezpośredni związek z nim. Zależy mu tylko na tym, żeby chronić siebie i swoich braci.

Sam spojrzął na niego i czekał, co będzie dalej.

– Skończyłeś?

– Nie.

– No to postaraj się, jeśli chcesz wyjść z tej celi na własnych nogach.

– Kapuś, który grozi innym? Zazwyczaj bywa odwrotnie, prawda? Zwłaszcza że niedługo wszyscy się o tym dowiedzą.

– Chcesz poznać prawdę?

– Tak?

– Ten pieprzony gliniarz, o którym wspominałeś... przyjechał tylko po to, żeby mnie poinformować o śmierci mojej matki. A teraz okaż mi trochę szacunku i wyjdź z mojej celi. Pozwól mi w spokoju obchodzić moją żałobę.

Zero gróźb. Spokojny głos.

Nie musiał się tak zachować.

Więzień, który wszedł nieproszony do celi numer siedem, poczuł się głupio. Zrobiło mu się wstyd, więc od razu wyszedł.

Dopiero wieczorem, gdy we wszystkich celach zamknęły się drzwi i nastąpiła kolejna długa noc, Leo zaczął się zastanawiać, dlaczego inspektor policji zatrudniony w wydziale śledczym ma w zakresie swoich obowiązków informowanie więźniów o śmierci ich rodziców. Długo nad tym myślał i w końcu doszedł do wniosku, że inspektor policji wcale nie ma takiego obowiązku, a Larsen nie powiedział mu całej prawdy; dlatego następnego dnia znowu odwiedzi go w jego celi i zostanie tam tak długo, aż dowie się wszystkiego.

Kręta, wąska i dziurawa droga wreszcie się skończyła. Za zakrętem i polaną, na którą uciekły dwie samy, Leo ujrzał piękny widok: błękitną taflę wody i kanarkowy prom. Po drugiej stronie cieśniny leżała wyspa Arnö. Nigdy nie umiał określić dokładnej odległości na morzu czy na jeziorze, ale tutaj ocenił ją na niecały kilometr. Spojrzał na wyświetlacz telefonu i stwierdził, że dochodzi pierwsza i wkrótce z budynku z czerwonych desek wyjdzie kapitan promu, który podniesie szlaban i uruchomi silnik. Po pięciu minutach dopłyną na jedną z wysp na jeziorze Mälaren. Ciszę od jeszcze większej ciszy dzieliło tylko pięć minut. Wyspa liczy tylko dwunastu stałych mieszkańców, turystów też tam jest niewielu. Tak właśnie opisał mu tę wyspę Sam, a on uznał, że to doskonałe miejsce, aby w spokoju się do wszystkiego przygotować i zrealizować plan. Nikt nie będzie ich tu niepokoił. Wjechał na pokład promu, pozdrowił pracownika, który pomachał mu ręką, a gdy odbili od brzegu, wysiadł z wozu, żeby poodychać świeżym powietrzem, popatrzeć na wodę i kilwater za burtą.

I tak właśnie zrobił: następnego dnia złożył w celi numer siedem kolejną niezapowiedzianą wizytę. Larsen stał odwrócony plecami do drzwi i słał łóżko. Leo złamał niepisane prawo i zrobił rzecz, która w więzieniu jest zabroniona: chociaż nikt go nie zapraszał i chociaż zobaczył umówiony znak – czerwony sznurek, który Sam obwinął wokół klamki drzwi, co na tym oddziale oznaczało, że wstęp do celi jest wzbroniony – wszedł do środka. Dzięki temu zdobył nad nim przewagę. Lokator tej celi nie był na to przygotowany. Leo otworzył ostrożnie drzwi i obserwował barczystą sylwetkę. Widział, że Sam jest bardziej rosy, a do tego silniejszy od niego, bo przez dwadzieścia lat spędzonych w zakładzie chodził na siłownię. W ten sposób całą swoją frustrację zamieniał w mięśnie. Gdyby Sam go zaatakował, miałby tylko tyle czasu, żeby zadać jeden cios. Jeśli dialog zamieni się w przemoc, uderzy go w grdykę. Po tak precyzyjnym ciosie kapuś nie będzie w stanie donosić glinom.

– Okłamałeś mnie wczoraj.

Sam odwrócił się, ale nie zaatakował go, a gdy po chwili się odezwał, nawet nie podniósł głosu.

Mimo to każdy centymetr celi o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych wypełniły ślepa agresja, niewypowiedziana i wisząca w powietrzu groźba, wzajemna nienawiść i wrogość.

– Słucham?

– O czym kablowałeś temu gliniarzowi? Chodzisz po całym oddziale, gapisz się na wszystko tymi swoimi wielkimi oczami, podsłuchujesz, a potem robisz ze mnie durnia i kryjesz się za idiotycznymi wyjaśnieniami – że niby tamten pies przyszedł tu tylko po to, żeby cię poinformować o śmierci matki.

– Bądź tak miły i wyjdź stąd. Natychmiast.

– Rozmawiałeś wczoraj z Broncksem. Poszłście we dwójkę do pokoju odwiedzin. Czego chciał się dowiedzieć od takiego więziennego szczura jak ty? Pytał, gdzie jest broń? Albo jak znaleźć łup z napadu na bank, żeby nas skazać?

Gdyby zamiast Sama był tam jakikolwiek inny więzień z ich oddziału albo z całego zakładu, już dawno polatały się krew.

– Wiesz co?

– Co?

– To przykre, że akurat ty nie uszanowałeś znaku na klamce i wszedłeś do mojej celi bez pukania. Wyżej cię oceniałem. Wiem, że aż dwa lata kiwałeś tego Broncksa. Zaimponowałeś mi tym.

Już wtedy, pośród grózb i nienawiści, ta rozmowa zaczęła nabierać dziwnej treści. I chyba dlatego Sam mówił dalej.

– To była także jego matka. Zmarła.

– Co?

– Słyszałeś.

Tak, Leo słyszał, ale z początku nie zrozumiał.

Przecież Sama dzieli od tamtego gliniarza nieprzekraczalna bariera. Obrzydzenie, dystans. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– To on jest... twoim bratem?

– Tak.

– Mówimy o gliniarzu, który do ciebie przyszedł? O Broncksie?

– Tak.

– Broncks jest twoim bratem, chociaż macie różne nazwiska? To znaczy, że jesteś bratem gliniarza, który mnie tu posadził?

– Tak. Jest policjantem i moim bratem. Sam wiesz najlepiej, jak to jest, gdy się ma brata. Do niedawna łączyła nas tylko matka. Tylko ona. Teraz, gdy nie żyje, nie musimy się już spotykać ani rozmawiać.

Tamta rozmowa zamieniła się z czasem w przyjaźń, której towarzyszyło pełne zaufanie. Tak wiele ich połączyło.

Obaj nienawidzili policjanta o nazwisku Broncks.

Obaj siedzieli zamknięci w celach w zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze.

Obaj dorastali jako najstarsi bracia w świecie opartym na tej samej strukturze: matka, która spajała całą rodzinę, i ojciec, który ją zniszczył.

Trzy kilometry krętej drogi. Okolica przypominała wiejską idyllę. Leo jechał przez gęsty las i rozległe pola, minął kościół z trzynastego wieku, dwór i twierdzę z osiemnastego stulecia, aż w końcu skręcił przy starej szkole, która kiedyś była pełna radosnych, hałaśliwych dzieci, a teraz stała pusta. Przez cały czas kierował się wskazówkami od Sama. Kiedy znowu zobaczył wodę, zwolnił. Po chwili ujrzał czerwony płot. Przejechał przez całą wyspę i dotarł do domku ukrytego za pięcioma cherlawymi jabłkami.

W tym samym momencie z domu wyszedł Sam. Wielki, rosy, ruszył przez trawę w stronę samochodu, który przed chwilą zatrzymał się przed domem. Objęli się – w taki sam sposób witali się za murem. Od wyjścia upłynęło dwa i pół miesiąca. Od dnia, w którym Sam wyszedł na wolność, jeszcze się nie widzieli. Mijał czas, a Leo wracał pamięcią do tamtej przerwanej rozmowy, gdy opuścił celę. Dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo była mu potrzebna. Zrozumiał też, jak bardzo może brakować prawdziwego przyjaciela za murami i zamkniętymi drzwiami. Gdy po dwudziestu trzech latach odsiadki sąd zmienił Samowi dożywocie na wyrok ograniczonego więzienia, wyszedł na wolność.

Leo kilka razy głęboko odetchnął. Świeże leśne powietrze pachniało znacznie przyjemniej. Przed twarzą uporczywie brzęczała mu mucha, wysoko nad nimi krążyła para drapieżnych ptaków. Poza tym panowała kompletna cisza. Nigdzie nie było żywej duszy.

– Na pewno nie ma tu glin?

Sam się uśmiechnął.

– To najbezpieczniejsze miejsce w tym kraju. Mój brat nienawidzi tego domu. Pewnie się domyślasz dlaczego. Sporo o mnie wiesz. O nas.

Leo wziął na ramię skrzynkę i obaj ruszyli w kierunku jabłonek i drewnianej chatki, która z bliska wydała mu się jeszcze mniejsza. Drzwi były uchylone, Sam zaprowadził go przez sypialnię do drugiego pokoju. Leo domyślił się, że do domku weszli od podwórza.

– Tam jest kibel, tam dalej mały pokój dzienny, a tam kuchnia. Razem czterdzieści siedem metrów kwadratowych.

Sam wskazał palcem dwie sypialnie.

– Ciasno. Jak dwie cele. Starzy w tej sypialni, ja z Johnem w drugiej. Spędzaliśmy tu każde lato, spaliśmy w jednym łóżku, aż skończyliśmy osiemnaście lat. Wtedy przeprowadziłem się do innej celi, z mniejszym kibelem. Latem było w niej trochę mniej słońca.

Leo dość długo oglądał sypialnię rodziców Sama. W końcu zatrzymał wzrok na nieposłanym podwójnym łóżku.

– Teraz też w nim śpisz?

Sam zaważał się, jak gdyby chciał dać mu do zrozumienia, że to nie jego sprawa. W końcu jednak się przemógł.

– Tu nie ma innych łóżek.

– Rozumiem, że to bardziej ty nie znosisz tego domu niż twój brat. On ma do niego chyba inny stosunek.

– Kiedy przyjechałem tu po wyjściu z pierdla, też mi się tak wydawało. A naprawdę? Czuję się tu cholernie spokojnie. Rozumiesz?

– Nie, wcale. Ja nigdy nie wracam wspomnieniami do lat dzieciństwa.

Mały pokój dzienny, a w nim fotel, stół z lat sześćdziesiątych i telewizor. Przez taki pokój tylko się przechodziło do zabudowanej szafkami kuchni, w której stały drewniane żeberkowe krzesła i czarny piec opalany drewnem. Był też stół, przy którym przez rok planowali swój napad.

Na stole znajdowały się zwinięta mapa formatu A3 i kartony, a w nich maski, buty i kamizelki kuloodporne. Obok leżały dwa kombinezony robocze – niebieski i czarny.

W prawie jazdy Sama widniała jego fotografia, ale opiewało na kogoś, kto nazywał się Johan Martin Erik Lundberg.

Trochę dalej, na kuchennej kanapie, czekało na nich to, co miało im posłużyć podczas ostatniego, zaplanowanego za dwa dni skoku: policyjne legitymacje służbowe. Zdjęcia zrobili sobie przed rukiem na przepustce. Leo ma na swoim ogoloną głowę. Przy legitymacjach stała drukarka 3D do stopów metali zamówiona w Szanghaju i dostarczona do Szwecji przez urząd celný w Lipsku. Bez niej nie mogliby wydrukować tego, co każdy policjant musi posiadać oprócz legitymacji.

– A wóz dostawczy do przewozu mleka?

– Jari właśnie go parkuje od strony zaplecza, gdzie odbywa się przyjęcie towaru.

– Czy nadal można mu ufać?

– Facetowi, który doprowadza takie maszyny do użytku, możemy w pełni zaufać.

Sam wyjął z kartonu prawo jazdy i podał je Leo, który przejechał kciukiem po plastikowej powierzchni.

– Prawdziwie. Wszystkie zabezpieczenia i oznakowanie ma oryginalne, promienie ultrafioletowe niczego nie wykażą. Kiedy ciężarówka będzie przejeżdżała przez blokadę i gliny zaczną sprawdzać dokumenty, nie będą mieli się do czego przyczepić. Jak już będziemy na miejscu... to bez względu na to, co się wydarzy... gdy na przykład obstawią całe centrum handlowe barierkami... i tak stamtąd wyjedziemy, bo będziemy mieć dobrze wyszykowany wóz. Oczywiście wcześniej je zamienimy. To będzie nasza czarodziejska sztuczka. Kamuflaż. Bo jeśli ten, który siądzie za kierownicą, nie będzie miał na głowie kominarki i nie podpadnie pod żaden rysopis, a gliny zaczną łapać tych, którzy w akcie desperacji próbują wyrwać się z korka, to jestem pewien, że ciężarówka z mlekiem przejedzie przez punkt kontrolny bez problemu. Zwłaszcza że ładunek można będzie łatwo skontrolować. Przecież to tylko mleko.

Skrzynka, którą przyniósł Leo, stała na podłodze. Teraz ją otworzył. W środku leżały dwa wyczyszczone i naoliwione karabiny AK4 i mnóstwo amunicji, na wypadek gdyby podczas ucieczki musieli się bronić. Jeden karabin podał Samowi, drugi zatrzymał dla siebie.

– Zdążymy przejechać najwyżej przez dwa punkty kontrolne.

– A ja nie rozumiem, dlaczego mamy się aż tak bardzo spieszyć? Przecież całą akcję planowaliśmy przez rok. Każdy jej szczegół. To teraz nie mamy czasu, żeby jeszcze raz omówić nasz cały pierwszy skok?

Rok. Za każdym razem kiedy przychodził do celi Sama, na drzwiach wisiał czerwony sznurek. Tak właśnie funkcjonuje więzienie: stref bezpośrednich kontaktów przybyło, a osadzonych łączyła tylko jedna rzecz – każdy z nich miał na sumieniu jakieś przestępstwo. Więzienia stały się wylęgarnią przestępczości, sprawcy byli już na miejscu i nawet siedzieli we wspólnych celach. Leo niemal codziennie spotykał się z Samem w jego celi i cieszył się każdą chwilą, którą z nim spędzał. Podczas długich rozmów uzgodnili harmonogram skoku, omówili zachowanie strażników i ochroniarzy, przeanalizowali drogi ucieczki i wybrali pojazdy, którymi się posłużą. Po wyjściu Sama z więzienia nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Bali się, że ktoś może ich obserwować albo podsłuchiwać. Dlatego to na Sama spadł obowiązek doprowadzenia przygotowań do końca. Miał się zająć wszystkim tym, co można zrobić tylko na wolności.

– Rozumiem, Sam; spędziłeś w pierdlu mnóstwo czasu i zawsze byłeś traktowany jako osadzony wysokiego ryzyka... ale nigdy nie napadałeś na banki. Widzę, że jesteś niespokojny i pewnie chciałbyś przełożyć robotę na później.

Leo sięgnął po zwiniętą mapę, zsunął z niej gumkę i rozłożył na stole. Potem wskazał palcem miejsce, które wkrótce zamierzali odwiedzić.

– Mam rację? Ale przecież sam wiesz najlepiej, dlaczego musimy się spieszyć. Wiesz, że jak ja zaplanuję jakiś skok, to się uda i że jeśli nie wykonamy go teraz, to nie zrobimy tego nigdy.

Sam nie odpowiedział, bo nie musiał. Leo słusznie podejrzewał, co się dzieje w jego głowie.

Mają do zrealizowania wspólny plan. Składa się z czterech kroków, które muszą wykonać w cztery dni.

Pierwszy krok, który podczas przygotowań nazwali roboczo „paletą mleka”, miał trwać zaledwie kilka godzin. Drugi, jutrzejszy, nazwali „odwiedzunami”. Za dwa dni wykonają trzeci krok – „test”; czwarty i ostatni – „komenda policji” – zacznie się o godzinie czternastej, gdy odchodzi transport. Jeden z tych, którymi w ostatni czwartek każdego miesiąca przewożone są niewielkie kwoty pieniędzy. Tym razem sytuacja jest wyjątkowa i pewnie upłynie wiele lat, zanim znowu trafi się podobna okazja, gdy wartość gotówki będzie aż tak wysoka.

Leo zamierzał zabrać stamtąd to, czego nie ma. To będzie największy skok w historii. Przy okazji zagra na nosie gliniarzowi, który wsadził go za kraty z dwójką braci. Potem znikną i nikt więcej o nich nie usłyszy.

– Pierwszy punkt kontrolny.

– Leo wziął szklanki do piwa i ustawił je w rogach mapy, żeby się nie zwinęła.

– Sądzę, że będą przewozić sześć kaset wypełnionych banknotami. Same pięćsetki. W sumie około pięćciu, sześciu milionów koron. Akurat tyle nam potrzeba.

Leo wskazała na kreskę w czworokącie znajdującym się mniej więcej pośrodku mapy. Potem uniosła karabin, wycelowała w coś i uderzył lekko dłonią w lufę.

– To nasz główny klucz do sukcesu. W chwili gdy wyświetli się komunikat „System chwilowo nie działa”, strażnicy otworzą od środka pojemniki na kasety z pieniędzmi. W tym momencie my użyjemy naszego klucza, otworzymy drzwi bezpieczeństwa i każdy strażnikom podnieść rączki do góry. System alarmowy będzie wyłączony, pojemniki z kasetami otwarte. Strażnicy zachowują czujność tylko wtedy, gdy przenoszą forszę. Ale jak już zamkną za sobą drzwi, czują się bezpiecznie. W tym momencie strzelimy po raz pierwszy. Włożysz niebieski kombinezon i będziesz Niebieskim Bandytą. Ale tu nie chodzi o zwykłą strzelaninę – kule mają przejść na wylot, trafić i uszkodzić, w najgorszym wypadku zabić. Musimy więc strzelić w zamek z boku. Dzięki temu unikniemy rykoszetu, bo kula utkwii w betonowej ścianie. Dlatego posłużymy się amunicją, której używa szwedzka armia. Takie pociski mają grubszą i twardszą łuskę. Z tego samego powodu użyjemy też szwedzkiej broni automatycznej – żeby nie strzelać wprost, tak jak to jest w przypadku kałasznikowa, bo po jego użyciu w środku zostają same strzępy.

Na rozłożonej na stole mapie były też narysowane dwa zielone kółka. Leo wskazał je palcem.

– To następny punkt kontrolny. Tutaj wszystko się rozstrzygnie. Nastąpi zamiana samochodów, po której obaj bandyci przestaną istnieć. Amatorzy zapominają o takich rzeczach. A przecież nad wszystkim trzeba mieć kontrolę, żeby gliny nie zdobyły nad nami przewagi.

Właśnie taki był sens dwóch zielonych kółek.

Pojazd numer jeden i pojazd numer dwa.

– Zamiana samochodów, i to na ich oczach.

Rozmawiali o tym już tyle razy, a mimo to Sam chciał to usłyszeć jeszcze raz: że to, co wielokrotnie omawiali i czego nauczyli się na pamięć, przestało być planem i staje się rzeczywistością.

– Kiedyś, przed jednym z naszych skoków, zaparkowałem dwa identyczne samochody przy dwóch różnych wyjazdach z małego miasta. Ten sam model, ten sam kolor, te same numery rejestracyjne. Ludzie dzwoniли do glin z różnych stron miasta i twój pieprzony brat gliniarz musiał prowadzić poszukiwania w dwóch oddalonych od siebie miejscach. W tym czasie nas tam już nie było. Innym razem zamieniłem samochody zaledwie sto metrów od banku, który wcześniej obrabowaliśmy. Ludzie, którzy nas mijali, jedli sobie hot dogi, a twój brat nie zauważył, że wóz zaparkowaliśmy obok takiego samego, który już tam stał. W ten sposób w jednym miejscu znalazły się dwie ciężarówky zwrócone przodem w dwóch różnych kierunkach. Dzięki temu mogliśmy się przesiąść z pierwszej do drugiej i nikt tego nie zauważył. Muszę ci się przyznać, że nigdy nie brałem udziału w numerze, który polegałby na tym, żeby zamienić samochody na miejscu przestępstwa, i to na oczach glin. Myślę, że przed nami nikt czegoś takiego nie zrobił.

Leo wypowiedział ostatnie dwa zdania wesołym, pewnym siebie głosem. Wiedział, że właśnie tak powinien to przedstawić swojemu kumpłowi, który za kilka godzin po raz pierwszy w życiu będzie strzelał z broni automatycznej do ludzi. Powinien zachować spokój i zrozumieć, że jeśli bandyta, który napada na bank, potrafi wykorzystać powstałe zamieszanie, to tym samym blokuje zarówno tych, którzy leżą na ziemi i zachowują się biernie, jak i tych, którzy krzyczą przez krótkofalówkę, że strzelają do

nich bandyci. Cała ta sytuacja stanie się dla nich na tyle nielogiczna, że całkowicie się pogubią, podczas gdy napastnicy zyskują na czasie i mają większą swobodę działania.

– Jak już będzie po wszystkim, siądziesz za kierownicą. Kiedy się zatrzymamy przed policyjną blokadą, gliny będą oglądać głównie ciebie. Jeśli zachowasz spokój, oni też zareagują spokojnie. Będą szukać bandytów w czarnym i niebieskim kombinezonie, uzbrojonych w broń automatyczną, a nie pracowników mleczarni. Jeśli ujrzą przed sobą kierowcę i pomocnika w zielono-białych kombinezonach, jeśli prawo jazdy będzie w porządku, a oni zachowają spokój, wtedy gliny zwrócą im te papiery i z ulgą stwierdzą, że samochód jest w porządku, bo to przecież zwykły furgon do przewozu mleka, więc *możecie jechać dalej, mamy ważniejsze sprawy na głowie niż kontrolowanie takich jak wy.*

Na podłodze obok pieca stała zardzewiała skrzynia wypełniona brzoźowym drewnem. Pokryte cienką warstwą mchu klocki były pocięte na mniejsze bierwiona. Sam wziął dwa kawałki i zaczął szukać na dnie drzazg na rozpałkę. W końcu znalazł trzy ostro zakończone kawałki.

– Myślisz, że tyle drewna wystarczy?

Sam otworzył ciężkie drzwiczki z kutego żelaza. W powietrze wystrzelił słaby snop iskier.

– Na pewno. Spalam dużo drewna, żeby nie włączać kaloryferów, bo są na prąd. Ciepło z pieca wystarczy na ogrzanie domu przez całą zimą.

Sam włożył do środka dwa grube bierwiona i poprzątykał je cienkimi wiórami. Ogień dopiero po chwili zaczął się palić równym płomieniem. W kuchni rozległo się charakterystyczne trzaskanie drewna.

– Leo... napijmy się.

Sam zdjął z szafki nad piecem butelkę z jakimś płynem. Leo domyślił się, że to wódka, bo na butelce nie było żadnej etykiety. Sam przyniósł dwie szklanki i napełnił je alkoholem.

– Dostałem to od faceta z promu. Samogon. Przyprawiony tym, co rośnie tylko na wyspie.

– Dzięki, ale nie będę pił. Nie przed naszym pierwszym skokiem.

– Przed chwilą mnie zagadywałeś, żebym się uspokoił. Teraz ja uspokoję ciebie.

– Powiedziałem, że nie chcę.

– Słyszałem. Ale tu nie chodzi o to, żeby po prostu wypić setkę czy pół setki wódki. Chodzi o to, że jesteśmy wolni i możemy robić, co nam się żywnie podoba.

Leo wziął od Sama szklankę i przystawił ją do ust. Zapachniało dzikim bzem, jagodami jałowca, a może nawet pięciornikiem. Mimo to znowu odmówił.

– Jeszcze nie jesteśmy wolni. Wolni będziemy wtedy, gdy wsiądziemy na prom, dopłyniemy do Sankt Petersburga i odwiedzimy Sbiernik. Szampana pijemy się dopiero, jak będzie już naprawdę po wszystkim. Dopiero w tym momencie będziemy wolni.

Leo wykonał symboliczny toast: pochylił szklankę nad zlewozmywakiem i wylał do niego jej zawartość. Potem wziął do ręki mapę, ostatni raz spojrzął na krzyżyk w czworokącie, otworzył drzwiczki piecyka i włożył mapę do środka. Papier zajął się ogniem, lekko zadymił i chwilę potem zamienił w kupkę szarego popiołu.

Żaden z klientów ogromnego centrum handlowego, którzy wysiadali z samochodów, nawet się nie spodziewał, że za cztery i pół minuty na parkingu przed głównym wejściem zobaczą człowieka leżącego w kałuży krwi.

Nie spodziewał się tego także żaden z setek klientów czekających cierpliwie w licznych kolejkach wewnątrz wielkiego kompleksu. Płacili za wybrane towary, a potem wychodzili przez ruchome drzwi z torbami pełnymi zakupów w rękach.

Nie spodziewali się tego także ochroniarze w samochodzie przewożącym gotówkę, który sunął wolno po wilgotnym od deszczu asfalcie.

Tego, że za chwilę ktoś zginie, nie przeczuwali dwaj zamaskowani mężczyźni ubrani w niebieski i czarny kombinezon. Obaj siedzieli w czarnym audi RS7 zaparkowanym przed głównym wejściem do budynku. Po przybyciu na miejsce zdarzenia policja zidentyfikuje go jako pojazd, którym uciekli sprawcy.

Godzina 16.14.10

Drzwi samochodu, którym przewożono pieniądze, otworzyły się. Jeden z konwojentów był tak barczysty, że kiedy wysiadał na namalowany na asfalcie czworokąt, widać było, jak bardzo opina się na nim jego brązowo-czarny mundur. W skład kompleksu handlowego wchodziły sklepy ze sprzętem elektronicznym, artykułami spożywczymi, meblami i towarami z wielu innych branż. Dlatego w najważniejszych punktach wisiały bankomaty, wpłatomaty i automaty do rozmienniania banknotów na drobne – krótko mówiąc urządzenia, bez których współczesny handel nie mógłby się obyć. Za barczystym ochroniarzem wysiadła z samochodu jego koleżanka. Miała na sobie luźne ubranie, torbę z pieniędzmi trzymała ciasno przy boku. Wiedziała, że potencjalny rabuś z większego problemu dostanie się przez srebrnoszarą powłokę do wnętrza torby, ale nie zdąży usunąć ampułek z kolorową cieczą, które uaktywnią się w chwili, gdyby na krótkim odcinku między samochodem a pokojem bezpieczeństwa doszło do napadu.

Drzwi rozsunęły się wolno i oboje podeszli do bankomatu wbudowanego w ścianę. Na ekranie widniał napis: „Włóż kartę”.

W momencie gdy ochroniarze dotarli do pokoju bezpieczeństwa i zaczęli wybierać pieniądze z umieszczonych w maszynie kaset, na ekranie bankomatu pojawił się komunikat „Chwilowo nieczynny”. Był to sygnał nie tylko dla spragnionych zakupów klientów, że muszą trochę poczekać, ale także dla dwóch uzbrojonych bandytów, że właśnie w tym momencie powinni wkroczyć do akcji.

Zamiast tak jak inni klienci wtopić się w tłum i skierować między regały wypełnione towarami, para ochroniarzy ruszyła w stronę stojących w kawiarni automatów do gry. Przy jednym ze stolików siedziały dwie młode kobiety w płaszczach, przy drugim kierowca taksówki i dwaj mężczyźni z dziecięcymi wózkami pili kawę z plastikowych kubków. Ochroniarze odsunęli wózek na zakupy blokujący wejście do pokoju bezpieczeństwa, wyjęli pęk kluczy, otworzyli drzwi, obejrzel się za siebie i dopiero wtedy weszli do środka.

Godzina 16.14.40

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że w tym samym czasie Niebieski Bandyta siedzący w fotelu dla pasażera w czarnym, zaparkowanym w niedozwolonym miejscu audi wyjął lornetkę i skierował ją w stronę bankomatów, a następnie całą swoją uwagę skupił na treści komunikatów wyświetlanych na ekranach.

Godzina 16.15.05

Pomieszczenie, w którym przebywali ochroniarze, było dość ciasne. Stało w nim drewniane krzesło i chwiejący się plastikowy stół ustawiony przy otwieranych tylnych ściankach bankomatów. Żeby je otworzyć, potrzebowali kluczy i kart magnetycznych. W pewnym momencie na ekranie pojawił się komunikat, że bankomat jest chwilowo nieczynny. Mężczyzna wyjął z maszyny prawie pustą kasety,

podczas gdy kobieta otworzyła torbę i wyciągnęła z niej sześć nowych kaset wypełnionych banknotami. Kiedy wymieniała trzecią, w pomieszczeniu rozległ się huk.

Zaraz potem padło osiem strzałów i pokój wypełniła gęsta chmura dymu. Okruchy szkła i beton urozpryskiwały się na ściany i sufit, kalecząc kobiecie i mężczyźnie twarze i ręce.

Cisza trwała nie dłużej niż sekundę, bo chwilę później padło pięć kolejnych strzałów. Kule wbijały się w ściany, które wydawały przy tym dziwne, syczące dźwięki, wypływając z siebie kolejne strumienie okruchów i odłamków. Ochroniarze padli na podłogę.

Potem rozległ się dźwięk przypominający vibracje. Powstaje on wtedy, gdy grube, gumowe podeszwy butów szurają o betonową powierzchnię.

Jeden z rabusiów – ten, który ubrany był w czarny kombinezon – wymierzył broń w stronę kobiety. Oczy miała zaczerwienione od pyłu, a gdy mrugała, zachodziły łzami, tworząc szarą zbitą masę, która odkładała się na rzęsach i pod nimi. Po każdym kolejnym mrugnieniu masa zasychała na nowo. To właśnie z tego powodu kobieta nie widziała, że napastnicy mają twarze zakryte czarnymi maskami, że niebieski kombinezon niczym się nie różnił od czarnego i że jeden z mężczyzn miał przewieszoną przez ramię dużą nylonową torbę.

Nie widziała też broni automatycznej ani ręki, która przyciskała jej głowę do podłogi.

Nie mogła nawet krzyknąć.

Wydobywała z siebie tylko ciche jęki zagłuszane dobiegającą z głośników reklamą promocyjnych cen. Klienci, do których była adresowana, ciągle jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że są świadkami napadu.

Godzina 16.15.45

Napastnicy obwiązali im nadgarstki i kostki sznurem, usta zakleili taśmą klejącą. Do uszu wetknęli im zatyczki, na głowy naciągnęli ciemne kaptury. Od tego momentu ochroniarze byli całkowicie odizolowani od otoczenia.

Godzina 16.16.10

Czarny Bandyta przeszedł przez rozbite drzwi bezpieczeństwa i skierował łufę w głąb sklepu, który natychmiast opustoszał. Klienci, którzy nie zdążyli uciec, ukryli się za filarami, regałami i stanowiskami kasowymi. Niektórzy biegli w stronę drzwi wyjściowych i parkingu, inni rzucali się w panice na asfalt. Czarny Bandyta strzelał ponad nimi. Opróżnił magazynek, włożył nowy i też go szybko wystrzelał. Chodziło mu o to, żeby ich przestraszyć.

Potem wyszedł przed sklep, gdzie podchodził do drzwi wejściowych i oddalał się od nich. Pod wpływem ruchu czujnik je otwierał i zamykał.

Mężczyzna trzymał karabin w obu rękach z łufą skierowaną w górę. Kiedy zjawi się policja, od razu zobaczy, że jest dobrze uzbrojony. Zauważy też samochód, który ma im posłużyć do ucieczki.

Czarny Bandyta rozejrzał się wokół siebie. Wszędzie było pusto. Sytuacja pod kontrolą. Drzwi samochodu otwarte, silnik pracuje na wolnym biegu.

W tym samym momencie na parking wjechał pierwszy radiowóz. Od miejsca, w którym stał Czarny, dzieliło go nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Za kilka sekund w stronę radiowozu pomknie pocisk. Na razie wszystko jest jeszcze pod kontrolą. Za chwilę na miejscu rozpęta się piekło.

Godzina 16.17.00

Niebieski Bandyta był przygotowany na wszystko – zgodnie z planem. Mimo to drgnął na odgłos strzałów, które słyhać było zarówno na parkingu, jak i w pomieszczeniu, w którym przebywał. Obaj wiedzieli, że najbliższy posterunek policji znajduje się w odległości kilometra od centrum handlowego i pierwszy radiowóz zjawi się prawie natychmiast. Zadanie Czarnego polegało na tym, żeby dziką strzelaniną wszystkich przestraszyć. Policjanci powinni od razu wiedzieć, że napastnicy dysponują równie potężną bronią co oni i że chowanie się za radiowozem nic nie da, bo pocisk wystrzelony z AK4 przebija blachę jak kartkę.

Niebieski upewnił się, że ochroniarze leżą na brzuchu, ręce i nogi mają związane, a głowy zakryte kapturami.

Za nic nie wolno im ujrzyć tego, co zamierzał zrobić.

Na podłodze leżała przed nim nylonowa torba, którą przed chwilą miał przewieszoną przez ramię. W środku znajdowało się sześć biało-zielonych kartonów na mleko o pojemności półtora litra. Niebieski wziął jeden z nich, chwycił za krótki bok i rozerwał. Zawartość wylała na podłogę, a pudełko przedarł na dwie części.

Wziął jedną z kaset na banknoty, włożył ją do dolnej części kartonu i przycisnął górną. Miejsce styku było prawie niewidoczne. Pierwsze opakowanie na mleko zamieniło się w pojemnik do przechowywania banknotów i zawierało dziewięćset tysięcy koron. Włożył je do torby i całą procedurę powtórzył pięć razy z pozostałymi kartonami i kasetami na banknoty. W pewnej chwili usłyszał, że strzelanina na parkingu zaczęła się na dobre. Pojedyncze strzały szybko przeszły w regularny grzechot.

Niebieski poczuł ten zapach, jeszcze zanim na podłodze pojawiła się jasnożółta ciecz. Jednym mocnym ruchem uniósł torbę, żeby mocz ochroniarza jej nie zamoczył. Pasek torby przewiesił sobie przez głowę w taki sposób, żeby zwisała mu przez lewe ramię, a cały ciężar ciała oparł na prawej. Potem pobiegł w kierunku drzwi wyjściowych, żeby poinformować Czarnego, iż pierwsza faza akcji dobiegła końca.

Po każdym kroku na podłodze robiła się kolejna żółta plama moczu.

Godzina 16.18.05

Pierwsze dwa radiowozy, które zjawiły się na parkingu przed sklepem, były już podziurawione od kul. Ustawily się w taki sposób, żeby zablokować napastnikom wyjazd. Pociski wystrzeliwane przez Czarnego zmusily policjantów do rzucenia się na ziemię. Jeśli któryś z nich nie wiedział wcześniej, jak bardzo wojskowa amunicja do karabinów automatycznych potrafi uszkodzić pojazd, dowiedział się tego po zapachu palonej gumy i wykładziny wewnątrz samochodów poszatkowanych seriami pocisków, które przebiły karoserię.

Godzina 16.18.15

Niebieski Kombinezon miał w nylonowej torbie przewieszonej przez ramię sześć wypełnionych po brzegi banknotami kaset. Wybiegł na plac przed centrum handlowym i krzyknął do Czarnego „Gotowe!”.

Teraz powinni wrócić do środka. Tak to zaplanowali w więzieniu, w celi numer siedem, na Oddziale H. Chodziło o to, żeby policjanci czekający na posiłki za podziurawionymi od kul radiowozami uwierzyli, że udało im się odciąć napastników od samochodu, którym ci zamierzali uciec, więc wrócili do sklepu, żeby poszukać w nim schronienia.

Napastnicy nie spodziewali się jednak, że posiłki przybędą aż tak szybko. Nie wiedzieli, że wśród zaparkowanych przed centrum samochodów znajduje się aż osiem policyjnych radiowozów, które po kolei zajmowały wyznaczone pozycje, a siedzący w nich policjanci zaczęli się szykować do interwencji.

Napastnicy nie byli też przygotowani na to, że policja odpowie na przemoc siłą i że zrobi to zupełnie inaczej niż podczas podobnych sytuacji, do których dochodziło przed laty.

Godzina 16.18.25

Pierwszy pocisk trafił Czarnego w prawą nogę, która natychmiast zdrętwiała.

Padając na ziemię, skierował lufę karabinu w stronę, z której – jak mu się wydawało – nadleciał pocisk. Nacisnął spust i wystrzelił kolejną krótką serię.

Spróbował wstać i w tym samym momencie zobaczył wyciągniętą dłoń, która chwyciła go za rękę, pomogła podnieść się z ziemi i podtrzymała go, jak gdyby zastępując niesprawną nogę. Ta sama ręka pociągnęła go mocnym ruchem w stronę wejściowych drzwi.

W tym samym momencie poczuł trzy twarde uderzenia w korpus. Czwarta kula wbiła mu się pod pachę, w miejsce, które nie było osłonięte kamizelką kuloodporną.

Była to jego ostatnia świadoma myśl, bo kolejny pocisk trafił go w tył głowy i wyszedł czołem.

Godzina 16.18.40

Sam wziął go za rękę.

Już wiedział, że jego przyjaciel jest martwy. W miejscu, w którym spod kominiarki wystawały skrawki skóry, zobaczył fragmenty kości i krople krwi.

Puścił jego rękę i pobiegł z powrotem do drzwi, spodziewając się, że następny pocisk przebije się przez jego niebieski kombinezon i utkwí w ciele.

Wiedział, że musi zejść z linii strzału. I tylko to było teraz ważne. Wróci do środka, dostanie się do drugiego samochodu, którym mieli stąd uciec, i zrealizuje kolejne punkty planu. Zrobi to sam.

Usłyszał, jak policyjne kule rozbijają oszklone drzwi na drobne okruchy. Na szczęście żadna z nich go nie trafiła. Wbiegł do środka i ruszył w stronę działu spożywczego. Poruszał się zgodnie ze szkicem, który razem z Leo przygotowali przed napadem.

Przeskoczył przez chromowaną poręcz i wyładował wśród koszy z pomidorami i skrzynek z cytrynami; przewrócił stos skrzynek z ogórkami, skręcił w lewo i pobiegł wzdłuż półek z różnymi gatunkami makaronu i puszkami sosu. Ponieważ zgodnie z planem miał w tym momencie sforsować drzwi prowadzące do magazynu, ruszył w tamtym kierunku. Torbę z pieniędzmi miał na ramieniu, karabin ścisnął mocno w dłoni.

Nagle zatrzymał się, żeby przez chwilę zaczerpnąć powietrza. Dopiero w tym momencie zauważył, co się dzieje.

Na jego widok ludzie pierzchali z przerażenia. Nikt nie biegł w tę samą stronę co on. Gdyby się bardziej skupił, usłyszałby tłumione oddechy klientów, którzy ukrywali się za ladami z mrożonkami. Ktoś płakał, ktoś inny mamrotał niezrozumiałe słowa. Normalnie brzmiał tylko głos lektora w głośnikach, nadal kuszący klientów aktualnymi promocjami.

Sam strzelił trzy razy, roztrzaskał drzwi magazynu i otworzył je. Stamtąd skierował się w stronę wyjścia na rampę.

Godzina 16.19.25

Ciężarówka z logo mleczarni namalowanym na burtach stała w tym samym miejscu, w którym zaparkowali ją przed napadem, naprzeciwko śmietnika i chłodni na produkty, których termin ważności do spożycia upłynął. Dobre, dyskretne miejsce. Nikt by się nawet nie domyślił, że ktoś chciałby tu coś ukryć.

Sam się rozejrzył. Wyglądało na to, że ruch uliczny odbywa się normalnie. Jeśli będzie miał szczęście, zdąży uciec, zanim policja ustawi blokady.

Dopiero po tym, jak zeskokczył z rampy na ziemię i pobiegł do samochodu, poczuł, że cały drży, że całe jego ciało wibruje jak po trzęsieniu ziemi. Splótł dłonie, aż zbielały mu kostki, i z trudem otworzył tylne drzwi paki wypełnionej paletami z kartonami mleka.

Godzina 16.19.55

Na każdej palecie stało osiem skrzynek po szesnastu kartonów. W górnej, którą wcześniej zdjął, brakowało sześciu kartonów. W ich miejsce wstawił teraz te, w których znajdowały się kasety wypełnione pięćsetkami.

Zdjął kombinezon i kominiarke, włożył je do torby, a tę wcisnął do jednej ze skrzynek. Tam też brakowało sześciu opakowań.

Miał też przygotowane miejsce na karabin. Pod dnem palety, między kółkami, zamocowali razem z Leo metalowe pierścienie, w które teraz wsunął lufę i kolbę. Karabin leżał w takiej pozycji, że podczas jazdy nie będzie wydawał żadnych odgłosów.

Zeskoczył z paki, cofnął się o krok i jeszcze raz uważnie wszystko obejrzał. W pewnym momencie wydało mu się, że słyszy głos Leo: „Bo jeśli ten, który siądzie za kierownicą, nie będzie miał na głowie kominiarki i nie podpadnie pod żaden rysopis, a gliny zaczną łąpać tych, którzy w akcie desperacji próbują wyrwać się z korka, to jestem pewien, że ciężarówka z mlekiem przejedzie przez punkt kontrolny bez problemu. Zwłaszcza że ładunek można będzie łatwo sprawdzić. Przecież to tylko mleko”.

Zamknął tylne drzwi. Zgodnie z planem mieli stąd odjechać obaj, a gdyby policja ich zatrzymała, mieli sobie wzajemnie pomóc.

Teraz ten plan jest już nieaktualny. Został sam i musi liczyć na własne siły.

Godzina 16.20.40

Kiedy wyjechał spod rampy i skręcił w ulicę, od razu się domyślił. Samochody poruszały się w wolnym tempie. Powód mógł być tylko jeden: policyjna blokada. Na końcu ulicy zobaczył kilka radiowozów

z pulsującym światłem na dachu.

Spojrzał na swoje dłonie, które na szczęście przestały się trząść. Przecież policja poszukuje bandyty, który ukradł nowe czarne audi, a nie furgon z mlekiem. Wsunął dłoń do górnej kieszonki, żeby sprawdzić, czy jest w niej prawo jazdy. Było. Odetchnął z ulgą.

„Jak już będzie po wszystkim, siądziesz za kierownicą. Kiedy się zatrzymamy przed policyjną blokadą, gliny będą patrzeć właśnie na ciebie. Jeśli zachowasz spokój, oni też zareagują spokojnie”.

Za moment dojedzie do barierki. Od miejsca, w którym policjanci sprawdzali każdy pojazd, oddzielały go trzy inne samochody. Zerknął w lusterko wsteczne i upewnił się, że krople krwi, które zaschły mu na twarzy, zniknęły.

To chyba największy telewizor, jaki widział w życiu. Zawieszony wysoko na ścianie prawie całkowicie ją zakrywał. Ekran sięgał od końca kontuaru do długiego wózka, którym przewożono głębokie półmiski z zieloną sałatką i białą kapustą skropioną oliwą.

Ivan oparł się łokciami o zniszczony stolik stojący w drugim rzędzie blisko okna. Często tu siadywał z filiżanką czarnej kawy i stosem kuponów, żeby zapoznać się z wynikami losowania w Keno. Wybierał różne stoliki, ale właśnie z tego miejsca widok był najlepszy – żadnych kolumn, które zasłaniały ekran, żadnych klientów stojących w kolejce do kibelka albo do kasy. Obraz w wysokiej rozdzielczości. Przez lata, które spędził za kratami, dokonał się w tej dziedzinie ogromny postęp. Ekran telewizorów stały się znacznie większe, choć wcale przez to nie „urośli”. Wyglądały tak, jak gdyby producenci postanowili zachować tę samą objętość i wagę, ale za to rozjechali je na płasko walcem drogowym.

Knajpa znajdowała się w pobliżu Skanstull. Ostatnio spędzał tam większość czasu. W centrum Sztokholmu podnajmował kawalerkę. Knajpa, a właściwie restauracja, nazywała się Drava. Jej właścicielami byli Dacso i jego żona Szilvia. Dacso miał brwi bardziej krzaczaste niż grzywka świni i ciągle biegał od barku do kuchni i z powrotem. Szilvia była ładną kobietą, ale miała zimne oczy, przez co wyglądała na znacznie brzydszą. Oboje wiedzieli, kim Ivan jest i co robił: kasierzem, który postanowił przestać pić. Zawsze byli dla niego uprzejmi, prawie mu nadskakiwali i zbyt często posyłali mu kelnerkę z dolewką kawy. Być może wynikało to z faktu, że podczas jednej z pierwszych wizyt w ich lokalu dał im do zrozumienia, że gdyby nie było go w tamtej hacie, w której ukrył się po ostatnim skoku na bank, jego syn, z którym ma się dzisiaj spotkać, już by nie żył. Wypowiadał się przed nimi jak przed rodzicami. Czasem takie informacje robią różnicę, napawają szczególnym rodzajem szacunku, który łatwo polubić i uzależnić się od niego. Teraz go to tylko irytowało. Przeszkadzały mu wścibskie spojrzenia, którymi obrzucali go zza lady.

A tak się dobrze zaczęło. Ten wieczór miał spędzić w rodzinnym gronie, a nie w towarzystwie loteryjnych kuponów. Przepelniała go radość i nawet stał się bardziej rozmowny, bo jego syn, Leo, wyszedł dziś na wolność i w tym lokalu zje z nim kolację. Po pierwszym wydaniu wiadomości Dacso podszedł do swojej żony i zaczął jej coś szeptać do ucha. A gdy na ekranie telewizora pojawiły się sceny z napadu w centrum handlowym, ich dyskretne spojrzenia stały się po prostu żalodne. W ich lokalu siedział facet, który kiedyś rabował banki, a dzisiaj jego syn napadł na konwojentów przewożących pieniądze.

Stali przy piecu do pieczenia pizzy i znowu coś szeptali. Tym razem nawet się z tym nie kryli. Przełączyli telewizor na inny kanał, na którym też leciały wiadomości. Nagranie przedstawiało sceny z napadu w centrum handlowym na południe od miasta. Wcześniej żadna inna stacja ich nie pokazała.

Ivan poczuł się nieswojo. Zrobiło mu się niedobrze.

Wiele lat temu siedział na kanapie przed swoim własnym telewizorem i oglądał program pod tytułem *List gończy*. Było to specjalne godzinne wydanie poświęcone grupie przestępców, którą media nazwały Gangiem Wojskowym. Nazwa wzięła się od sposobu, w jaki napadali na banki. Ich akcje przypominały wojskowe operacje. Były precyzyjnie zaplanowane, a oni posługiwali się przemocą. Gangiem Wojskowym nazywano ich też z powodu napadu na wojskowe magazyny. Śledczy byli przekonani, że jest on dziełem anonimowej grupy. I nagle Ivan się domyślił. Obserwując obu napastników, którzy z bronią gotową do strzału wtargnęli do banku, rozpoznawał pojedyncze ruchy, sposób poruszania się, stawiania stopy, gest wykonany ręką. Potem, gdy oglądał krótkie nagranie z kamer monitoringu, dostrzegł coś więcej: osobowość, która te ruchy wiązała. Fakt, że napastnicy mieli na twarzach kominiarki, nie miał znaczenia. Wystarczyło mu, że ruchy, które wykonywali, miały coś wspólnego z nim – z ojcem, który to nagranie oglądał i rozpoznawał te ruchy, które obserwował przez całe życie.

Wtedy nie czuł się tak źle. Przeciwnie, czuł do nich sympatię. A gdy się okazało, że jego najstarszemu synowi nie da się przemówić do rozsądku ani w niczym mu przeszkodzić, zmienił zdanie i poprosił ich, żeby znowu mógł uczestniczyć w ich życiu i żeby pozwolili mu wziąć udział w kolejnych skokach.

Tymczasem to, co czuł teraz, pojawiło się po emisji audycji telewizyjnej. To było zupełnie inne uczucie. Napastnicy starli się z policją na miejscu przestępstwa, przed centrum handlowym. Doszło do

wymiany ognia. Jeden z nich został śmiertelnie postrzelony.

– Twój syn się chyba spóźnia? Zarezerwowałeś stolik, chociaż u nas nigdy nie jest pełno.

Dacso. Ciekawość tak go zżera, że podszedł do jego stolika. Właściciel restauracji przyniósł dzbanek z kawą, proponując mu dolewkę.

– Leo jest już w drodze.

Czarna kawa. Z filiżanki unosiła się para.

– Prosiłeś mnie, żebym dla was kupił coś ekstra. Wybrałem to co najlepsze. Mięso.

Dacso nadal stał przy stoliku, chociaż zrobił dolewkę i powinien wrócić za bar. Odwrócił się w stronę telewizora i tak jak jego klient oglądał nowe wydanie wiadomości. Na ekranie pojawiło się nagranie wykonane telefonem komórkowym. Obraz skakał, film nakręcono z dużej odległości, ale mimo to był dość wyraźny. Na ziemi leżały zwłoki w czarnym kombinezonie, obok prawej ręki karabin.

– Sporo zapłaciłem.

Na ziemi było pełno krwi. Z zebranych informacji wynikało, że napastnik poślizgnął się na niej, gdy trafiony pierwszym pociskiem próbował się podnieść. Kula wbiła się w miejsce nieosłonięte kamizelką kuloodporną. Chwilę potem kolejny pocisk trafił go w głowę.

– Jeśli coś się stało i twój syn nie przyjedzie...

Ivan od dwóch lat nie wypił kropli alkoholu. Przez cały ten czas panował nad złością. Nikogo nie atakował, nikogo nie uderzył. Teraz z trudem się kontrolował. Miał ochotę chwycić Dacsa za te jego kiczaste brwi i wszystkie mu je powyrwać, a potem zatkać mu nimi gardło, żeby się zamknął.

– Po co tu tak stoisz i gadasz?

– Twój syn wyszedł dzisiaj na wolność. Chciałem powiedzieć, że...

– Leo nigdy więcej nikogo nie napadnie. Niedługo tu przyjdzie. A ty wracaj do kuchni i przygotuj to twoje drogie mięso.

– Filet wołowy. Długo kruszał w chłodni. Import z Argentyny.

– Podaj, co chcesz. Nie jem, żeby rozkoszować się smakiem. Gdyby tak było, nie przychodziłbym do waszego lokalu.

Dacso odszedł w końcu od stolika i zaczął coś szeptać swojej żonie do ucha. Ivan był pewien, że to zwykłe insynuacje. Pewnie gadał, że to nie przypadek, że do napadu doszło akurat w dniu, w którym Leo wyszedł na wolność.

Widział go dziś rano.

To dlatego czuł się tak fatalnie.

Tak samo czuł się rano, pod więziennym murem. Nie umiał tego dokładnie określić, ale wyczuwał pewną jego niedostępność. Leo zachowywał się tak, jak gdyby się od niego odgradził, jakby istniał tylko w swoim wnętrzu.

Wtedy mu się wydawało, a właściwie taką miał nadzieję, że powodem takiego zachowania syna jest fakt, iż w końcu znalazł się na wolności. On też przeżywał to samo za każdym razem, gdy wychodził z więzienia – lata tęsknoty i radość, które znikają w chwili, kiedy brama więzienia stała otworem, a na zewnątrz czekały niepewność i poczucie zagubienia. Ale ta cholerna krew w telewizorze... Czy to krew jego syna? To dlatego nie przyszedł? Na razie spóźnia się dziesięć minut. Przecież nie mógłby dokonać napadu na przedmieściu Sztokholmu, przebić się przez blokady, wymknąć się policji, ukryć łup, przebrać się i z niewielkim opóźnieniem przyjechać do węgierskiej restauracji w centrum miasta na spotkanie z ojcem.

– Dacso?

Właściciel restauracji, który ciągle szeptał coś do swojej żony, uniósł głowę.

– Tak?

– Zaczni już smażyć tę argentyńską wołowinę.

– A co, jeśli on nie przyjdzie...

– Po prostu zrób to!

Więzienny mur. Brama. Nawet Felix tam przyszedł.

„Gdybyś był inny w okresie, gdy nasi synowie dorastali... Boże... Leo nigdy nie zaczęłyby rabować banków!”

To Britt-Marie zniszczyła ich rodzinę i dlatego on zniszczył ją.

„To przez ciebie Felix i Vincent trafili do więzienia”.

Ale on to wszystko teraz naprawi – odbuduje rodzinę, tak jak odbudowuje się dom.

Wszystkie niepowodzenia i błędy mają już za sobą. Teraz może być już tylko lepiej. Jeśli ja się zmieniłem, ty też możesz to zrobić.

– Smażysz?

– Już zaczynam.

– On tu zaraz będzie!

Ivan pochylił się w stronę okna, żeby lepiej widzieć.

W tym samym momencie usłyszał kroki. Zdecydowane, pewne siebie. Leo. On zawsze tak chodził. Słyszysz je za drzwiami. Chwilę później Ivan po raz drugi tego dnia trzymał w objęciach swego syna.

– Dacso, do cholery! Chce nam się jeść!

– Ja nie będę nic jadł, tato.

Ivan wypuścił go z objęć i odprowadził na bok, z dala od wścibskich spojrzeń.

– Nie jesteś głodny? Usiądź, może czegoś się napijesz?

– Nie mam czasu. Chciałem tylko wpaść, żebyś na próżno nie czekał. Coś mi wypadło.

Salę wypełniły głosy dobiegające z ekranu telewizora. Oplotły ich, tworząc coś w rodzaju cienkiej błony. Zaproszony do studia ekspert opowiadał o coraz częstszych przypadkach aktów przemocy, do których dochodzi między policją a przestępcami. Inny specjalista określił atak mianem niezwykłego napadu z bronią w rękę. Na końcu głos zabrała rzeczniczka policji, która oznajmiła, że funkcjonariusze nadal szukają przestępcy, który przeżył.

– Muszę już lecieć. Zdzwonimy się.

Leo nawet nie wszedł do środka. Stał na czerwonym dywanie w połowie korytarza. W końcu odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– A co z kolacją? Co z mięsem? Wszystko jest już gotowe.

Dacso uniósł patelnię na dowód tego, że mówi prawdę. W odpowiedzi na to Leo wyjął z tylnej kieszeni zwitek pięćsetkoronowych banknotów i podał mu cztery.

– Wystarczy?

Dacso pokręcił głową.

– To o wiele za dużo.

– Reszty nie trzeba. Kiedyś tu wrócimy i zjemy w spokoju.

Po tych słowach wyszedł na dwór równie zdecydowanym krokiem jak wtedy, gdy wchodził do lokalu. Ivan poszedł za nim. Nie wziął nawet płaszczka. W ciągu dnia było dość ciepło, ale teraz na dworze znowu zrobiło się chłodno. Pogoda była brzydka, prawdziwie jesienna. Mniej więcej taka jak w Jugosławii, z której w latach sześćdziesiątych przyjechał do Szwecji. Tamtą Jugosławię oddzielała wtedy od Węgier rzeka Drava. Ivan dogonił swojego najstarszego syna przed restauracją, która nosiła tę samą nazwę co rzeka na granicy Węgier z dawną Jugosławią.

– Leo, zatrzymaj się.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mam czasu. Jestem umówiony na spotkanie.

– Widziałem, że masz dużo pieniędzy.

Dopiero po tych słowach Leo stanął.

– Czy to jakiś problem?

– Tak, zwłaszcza kilka godzin po tym, jak wyszedłeś na wolność. Myślałem, że...

Ivan zamilkł, a Leo domyślił się dlaczego. Ulicą szli dwaj mężczyźni w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Byli skuleni od zimna, ręce trzymali w kieszeniach kurtek. Skinęli Ivanowi głową, jak gdyby go znali, a on odwzajemnił się tym samym gestem. Często mu się to zdarza – ludzie całkiem nieświadomie chcą utrzymywać z nim dobry kontakt.

– ...że spaliłeś wszystkie pieniądze w piecu, zanim dopadła nas policja.

– Znalazłem je dzisiaj w lesie. Jeśli poszukasz we właściwym miejscu, przekonasz się, że rosną w ziemi. Wszędzie.

Ivan zerknął ukradkiem w stronę restauracji. Dacso i jego zimna żona stali w oknie i nawet się z tym nie kryli.

– A więc to dlatego? – spytał Leo.

– Co masz na myśli?

– To dlatego ta kolacja była dla ciebie taka ważna? Chciałeś mnie sprawdzić? Wypytać o moje przyszłe plany? Rozumiem. Oglądałeś wiadomości, dowiedziałeś się o napadzie. Ale nie musisz się martwić. Nie mam z tym nic wspólnego.

Leo rozejrzał się, żeby nie patrzeć ojcu w oczy. Pewnie się bał, że Ivan ujrzy w nich więcej, niż chciałby mu zdradzić.

Wieczór w stolicy. Dziwnie pusty i cichy.

– Tato... posłuchaj... wyszedłem dziś na wolność. Myślisz, że mógłbym od razu zrobić tamten skok? Nawet gliny w to nie wierzą. Nikt mnie nie poszukuje.

– Spóźniłeś się, a teraz mówisz, że nie masz czasu. Rano, przed bramą, czułem się tak samo jak wtedy, gdy próbowałem cię przekonać, żebyś tego nie robił. Dzięki temu przeżyłeś.

Tak mówił ojciec, który był przekonany o tym, że uratował swojemu synowi życie. Synowi, który był pewien, że uratował życie swojej matce.

– Nie próbuj mieszać naszych dywanów – odparł Leo.

– O czym ty bredzisz?

– Nie pamiętasz, jak kiedyś odwiedziłem cię w areszcie?

Obaj to pamiętali. Mimo to Ivan pokręcił głową.

– Nie pamiętam.

– Naprawdę?

– Nie pamiętam żadnych dywanów.

– Nie pamiętasz, jak to jest, gdy ktoś wierzy, że uratował komuś życie? I jak później taka osoba może mu je odebrać?

Leo uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Nie musisz się tak martwić. Gdybym to ja był tam, gdzie dzisiaj doszło do napadu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Kiedy ja coś organizuję, wynik jest inny. Moi współpracownicy nie giną.

– Nigdy więcej tego nie rób! Znowu cię zamkną, a wtedy to się już nigdy nie skończy.

– Nie było mnie tam. Przecież jestem tutaj, z tobą.

– Nigdy więcej. Zapamiętaj to sobie. Przedtem mieliście mnóstwo szczęścia. Ukradliście dwieście dwadzieścia jeden sztuk broni automatycznej, napadliście na konwój z pieniędzmi, a potem podłożyliście bombę, która eksplodowała w centrum Sztokholmu. Odsiedziałeś wyroki za dwa napady, Felix i Vincent za jeden! Tyle samo co ja, który brałem udział tylko w jednym. Dlatego mówię, że albo miałeś cholerne szczęście, albo prokurator spartolił robotę. Bez względu na to, jaka jest prawda, zrozumiałem jedno: to, że spędziliście kilka lat w różnych więzieniach, o niczym jeszcze nie przesądza. Śledczy trzymają w biurkach grube stopy akt i czekają na lepsze czasy. Jeśli ty albo twoi bracia znowu podejmiecie jakieś ryzyko, następnym razem posłają was za kraty za wszystko. Kiedy po latach wyjdiesz na wolność, będziesz panem w średnim wieku, takim jak ja.

Kolejne spojrzenie w stronę okna. Dacso i jego żona przestali się w końcu gapić. Dacso wycierał kieliszki, jego żona ustawiała solniczki na stolikach.

– Leo, popatrz na mnie.

Ivan tak długo szukał oczu swojego syna, aż się upewnił, że nawiązali kontakt wzrokowy.

– Możesz się jeszcze zmienić, tak jak ja.

– No proszę. To znaczy, że taki, jaki jestem teraz, już ci nie wystarczam?

– Nie musisz powtarzać moich błędów. Każdy może się zmienić. Nawet ja to zrobiłem. Wystarczy, że będziesz miał silną wolę. Zapomniałeś, że siłą woli można przenosić góry? Właśnie tak ci to przedstawiałem, gdy byłeś mały, a ja uczyłem cię tańczyć z niedźwiedziem.

– Tato, ja napadałem na banki, a nie chlałem wódę. Napad na bank to kwestia wyboru. Jeśli wszystko zaplanujesz jak należy, jeśli zminimalizujesz ryzyko... Alkohol piją tacy jak ty, ludzie, którzy nie radzą sobie z rzeczywistością.

To miał być miły wieczór, wspólna kolacja, smaczny posiłek, poważna rozmowa. Tymczasem stoją na mokrym chodniku w ciemnym zaułku i dzieli ich taka sama bariera jak na początku rozmowy.

– Po tym, co było dawniej, nie został ślad. Wszystko jest jeszcze przed nami i tylko to się liczy.

– Ivan, miło cię było widzieć.

Samochód, którym przyjechał Leo, stał zaparkowany w taki sposób, że przednie koła zachodziły na następną kopertę. Wszystko potoczyło się tak szybko. Leo nie miał zamiaru zostać dłużej. Na tylnej szybie samochodu umieszczona była reklama. Wynikało z niej, że samochód należy do wypożyczalni. Ojciec z synem nie zamienili już ani słowa, nie popatrzyli na siebie. Leo otworzył drzwi, usiadł za kierownicą, włączył silnik i powoli odjechał.

Ivan.

Za każdym razem gdy dystans między nimi się zwiększał, Leo przestawał mu mówić „tato” i zwracał się do niego po imieniu. Ojciec przestawał być dla niego „tatą”, stawał się „Ivanem”.

I właśnie to nieprzyjemne uczucie, które męczyło go rano, zaczęło w nim drążyć jeszcze większą dziurę. Jego najstarszy syn naprawdę się od niego odciął. Zawsze tak postępował, gdy miał coś zrobić. W takich momentach nie potrafił do niego dotrzeć.

Mrok, w którym można się zagubić. Kompletna ciemność, w której można się ukryć.

Leo zaparkował samochód na końcu wąskiej leśnej drogi. Wyłączył silnik i zgasił światła. Ogarnęły go całkowite ciemności.

Powoli oddychał. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Serce nadal biło mu przyspieszonym rytmem. Wrażenie czuł jego mocne uderzenia. Wokół zalegała kompletna cisza.

W lesie panował typowy dla tej pory roku zimowo-wiosenny chłód. Na ziemi leżało o wiele więcej śniegu niż na parkingu, przy którym wykopał broń. Kiedy przyjechał na prom odpływający o trzynastej, w ogóle nie zwrócił na to uwagi. W głębi lasu jest zawsze chłodniej. Szedł w stronę światła, a wszystko to, co w ciągu dnia stopniało i zamieniło się w sztywną skorupę lodu, pękało z trzaskiem pod jego stopami. Na końcu drogi, nad samym brzegiem jeziora Mälaren, mniej więcej czterysta metrów od miejsca, gdzie się znajdował (tak przynajmniej wynikało z mapy), paliły się trzy latarnie, które pięły się dumnie, rzucając strumień jasnego światła na teren przystani promowej.

Poczuł, że idzie zbyt szybko. Kierowała nim niechęć, a przecież powinien okiełznać serce, które biło przyspieszonym rytmem. Nie wolno mu się poruszać w zbyt szybkim tempie, bo to on ma ich zauważyć pierwszy – nie oni jego. Kiedy ich zobaczy, będzie musiał zawrócić.

Na prowincji jest zupełnie inaczej niż w wielkich miastach. Nad Sztokholmem unosi się potężna łuna światła, sztuczny blask, który zalega nad domami jak miękka czapa. Im bardziej się człowiek do niej zbliża, tym mocniej łuna świeci. Tutaj są tylko gwiazdy i trzy uliczne latarnie. Sygnał, za którym podążał, doprowadził go we właściwe miejsce.

O tej porze dnia uczucia ulegają zmianie. Leo poczuł ulgę. To nagroda za to, że udało mu się przebić przez liczne blokady ustawione przez policję. Ale tym razem to nie on kierował przebiegiem wydarzeń, zarówno pod centrum handlowym, jak i podczas ucieczki. To dlatego spóźnił się na spotkanie z ojcem. Musiał się dowiedzieć, jak im poszło! Dlatego postanowił, że najpierw posłucha wiadomości nadawanych w radiu za kwadrans piąta. Zatrzymał się na skraju drogi, żeby wysłuchać ostatniego serwisu na temat napadu na konwoj przewożący pieniądze i strzelaniny, do której doszło po przybyciu policji. Spiker obojętnym tonem relacjonował przebieg wydarzeń:

„...z posiadanych przez nas informacji wynika, że jeden z napastników został postrzelony...”

Jeden z napastników? Który?

Wokół niego nadal panowały kompletne ciemności. Przypominały dziurę, która często mu się śniła, coś w rodzaju wiecznej pułapki. Kiedy był dzieckiem, nurkował często w morzu i zastanawiał się, co by się stało, gdyby został na dnie.

Nagle w krzakach po prawej stronie drogi usłyszał szelest. Chwilę potem poczuł intensywny zapach, zawsze wskazujący na obecność żywych istot – stada łośi albo dzików – które w taki sposób reagują na dźwięk ludzkich kroków. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Wibrował bezdźwięcznie w górnej kieszeni kurtki. Sam?! Wyjął aparat i przyłożył go do ucha. Chwilę później usłyszał głos. Ale to nie był Sam. To nie był telefon z zakodowanymi w nim numerami, tylko ten drugi. Numer na wyświetlaczu zaczynał się od 08. Dzwonił ktoś ze Sztokholmu. To pewnie Sam, który używa innego aparatu. Może ma kłopoty? Powinien odebrać, ale nie tutaj, nie tak blisko osób, które być może na niego czekają. A może to Jari? Nie. Ani Sam, ani Jari nie dzwoniliby z aparatu, który nie jest zakodowany. To zresztą bez znaczenia, kto dzwoni, bo i tak nie powinien w tym momencie odbierać. W takiej ciszy dźwięk rozchodzi się o wiele donośniej. Leo skrzył lekko w stronę drogi i ruszył wzdłuż rowu. Wpatrywał się intensywnie przed siebie, żeby sprawdzić, czy przed opuszczonym szlabanem nie stoi jakiś samochód, który chce się dostać promem na drugą stronę. Chciał się też upewnić, czy ktoś nie czai się koło przystani, nie czeka na niego.

Już wtedy, gdy przed piątą słuchał wiadomości, chciał zawrócić i od razu tutaj przyjechać, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Mimo to pojechał na spotkanie z ojcem i ledwo na nie zdążył. Chciał, żeby wszyscy go zobaczyli i zapamiętali, nie tylko ojciec. Nalegał, żeby zapłacić za jedzenie, którego nawet nie ruszyli. Wydał przynajmniej tysiąc koron za dużo. Właściciel lokalu na pewno go zapamięta. Jeśli...

a właściwie: kiedy w restauracji zjawi się policja, żeby zadać rutynowe pytania, Leo Dûvnjac będzie miał zagwarantowane alibi, potwierdzone przez kogoś spoza rodziny. Właściciel lokalu poda godzinę, o której się tam zjawił, co teoretycznie powinno wykluczyć tezę, według której na jednym z przedmieść Sztokholmu napadł na konwój z pieniędzmi, uciekł z miejsca zdarzenia, a następnie zjawił się w węgierskiej knajpie w centrum miasta.

Sytuacja była dla niego nie do zniesienia: stał na chodniku przed restauracją i gapił się w ekran telewizora, na którym spiker podekscytowanym głosem opowiadał o napadzie, który on zaplanował, ale nie wziął w nim udziału.

Został mu jeszcze cztery dni. To dlatego nie mógł wziąć udziału w napadzie, bo był jedną z trzech osób, które policja na pewno poddałaby rutynowej kontroli. Jest przestępcą, który w przeszłości napadł na banki, wszyscy go znają i dopiero co wyszedł z więzienia. Natomiast Sam i Jari siedzieli na Oddziale H z innego paragrafu. Jeśli więc nie chce tracić czasu na zbędne przesłuchania, zdążyć wykonać główny skok i odebrać *to, czego nie ma*, powinien sobie zagwarantować stuprocentowe alibi.

Stojąc przed witryną restauracji, oglądał na ekranie telewizora nagranie wykonane telefonem komórkowym. Tak to przynajmniej wyglądało z zewnątrz, przez zamglone szyby. Autorem nagrania był jeden ze świadków. W ostatnich latach telefony komórkowe niesamowicie się rozwinęły, stały się prawie częścią ludzkiego ciała. Podczas poprzednich skoków na bank musieli uważać tylko na to, żeby poruszać się poza zasięgiem kamer monitoringu. Dlatego po wkroczeniu do lokalu natychmiast do nich strzelali, żeby utrudnić śledczym prowadzenie dochodzenia, na przykład ustalenie cech łączących wszystkie skoki. Dzięki temu policja miała do dyspozycji jedynie chaotyczne zeznania świadków, a co za tym idzie, fragmentaryczne i zamazane obrazy, które się z takich zeznań wyłaniały, bo gdy człowiek jest w szoku, widzi zazwyczaj to, co chce widzieć. Z takich fragmentarycznych zeznań policja musi potem złożyć całą układankę. Od niedawna ich uzupełnieniem są nagrania wykonane telefonem komórkowym. W trakcie planowania nie można tego niestety wykluczyć, bo społeczeństwa nie da się aż tak bardzo kontrolować. Z amatorских nagrań, które oglądał na ekranie telewizora, wywnioskował, że to właśnie Sam leżał w kałuży krwi.

W tym momencie był już bardzo blisko trzech latarni i domku, w którym pracownik obsługujący prom spędzał czas między jednym a drugim kursem. Z miejsca położonego na brzegu widać było żółtawy korpus na tle czarnej jak smoła wody. W tym momencie znowu zadzwonił telefon. Wyświetlił się ten sam numer zaczynający się na 08. Leo poczekał, aż aparat przestanie wibrować, i ruszył dalej. Na podjeździe do promu stał czerwony samochód z wyłączonym silnikiem. Może czekał na niego? Może to wóz policyjny? Czy ktoś kryje się w ciemnościach? Leo podszedł jeszcze bliżej. Nie miał wyboru, musiał się upewnić. Sama nie da się nikim zastąpić. Przecież to z nim przez tyle miesięcy układał plan. Jari siedział za zabójstwo i szantaż. To zwykły cyngiel. Udział w skoku zaproponowali mu później. Na pierwszej rozmowie ustalali z nim wyłącznie zapłatę za robotę. Obie strony musiały pójść na kompromis. Jari dostał propozycję udziału w szybkim skoku. Miał odegrać aktywną rolę podczas ucieczki. Ich nowy wspólnik stosował dość prosty system rozumowania, tak jak wszyscy ci, którzy wiedzą, że są w czymś dobrzy i że to, co potrafią, może być dla kogoś przydatne. Nie chciał zbyt dużo wiedzieć i zawsze robił to, co mu kazano. Poza tym dla wszystkich jest oczywiste, że na przesłuchaniach zawsze milczy. W końcu uzgodnili, że dostanie piętnaście milionów koron. Obie strony były zadowolone z takiego układu. Za taką kwotę każdy, kto działa w świecie przestępczym, do końca życia będzie trzymał gębę na kłódkę. W normalnym świecie jest inaczej: gdy chodzi o informacje tajne, obowiązują podpisane kontrakty i klauzule.

Jeśli więc Sam nie żyje albo dostał się w ręce policji, ze skoku nic nie będzie, bo ogranicza go czas. Jeszcze nigdy nie musiał wykonać tylu czynności w tak krótkim czasie. Zanim trafił do policyjnych kartotek i pierwszy raz poszedł siedzieć, bez przeszkód planował i realizował jeden skok za drugim. Był postacią anonimową, a kolejnych napadów dokonywał tylko po to, żeby przeprowadzić ten największy, ostatni skok swojego życia. Teraz to już nieaktualne. Od pewnego czasu wszyscy go znają, figuruje w każdej kartotece i każdy policjant wie, że jest jednym z niewielu przestępców zdolnych do przeprowadzenia skoku na tak dużą skalę. Teraz trafiła mu się wyjątkowa okazja. Ryzyko jest większe niż wcześniej, ale gotów jest je ponieść, bo łup też będzie większy. Taka szansa już nigdy się nie powtórzy.

Z serwisu informacyjnego nadawanego o godzinie siódmej dowiedział się niewiele więcej. Tożsamość zabitego przestępcy nie została podana, nie padło też ani jedno zdanie o drugim bandycie:

nie wiadomo, czy został schwytany, czy też nadal jest na wolności. Wszystkie informacje dotyczyły strzelaniny i zabitego napastnika. Nowym elementem były zeznania świadków, którzy przebywali wtedy na parkingu albo w budynku centrum handlowego. Opowiadali chaotycznie o tym, jak pociski dziurawiły samochody i wszyscy rzucili się na ziemię. W ich głosach nadal pobrzmiwał strach. Żaden z nich nie wspominał jednak o drugim napastniku.

Leo był już blisko domku, w którym przebywał pracownik obsługujący prom. Cztery okna, po jednym z każdej strony. Ze środka bił słaby blask. Leo zaczął się podkradać do okna wychodzącego na las, bo w razie czego będzie mógł się ukryć po tej stronie na krzakami. Podszedł do ściany i zajrzał do środka. W pokoju siedział samotny mężczyzna. Na stole, obok filiżanki kawy, leżała gazeta. Leo rozpoznał tego samego człowieka, który obsługiwał prom po południu.

Nikogo innego na pewno w środku nie było.

Na ścianie wisiał biały duży zegar, podobny do zegara szkolnego. Wskazywał dziewiętnastą czterdzieści pięć. Do odplynięcia promu zostało piętnaście minut.

Leo wrócił tą samą drogą, wszedł w gęste krzaki i zrobił koło, żeby przyjrzeć się od tyłu samochodowi czekającemu na podjeździe do promu.

Za kierownicą siedział mężczyzna, obok niego kobieta.

Kiedy Leo podszedł bliżej, okazało się, że to jakiś starszy model bez anteny radiowej i podwójnych bocznych lusterek. To na pewno nie był wóz policyjny. Para siedząca w samochodzie słuchała radia Uppland, wnętrze wozu wypełniały dźwięki muzyki. Leo podszedł tak blisko, że mógł położyć rękę na karoserii. Kobieta ubrana była w kapelusz i płaszcz z podnoszonym kołnierzem. Mężczyzna miał rzadkie włosy, pikowaną kurtkę i czapkę bejsbolówkę. Leo doszedł do wniosku, że policja dopiero się tu zjawia.

Jeszcze raz podszedł do domku. Zegar na ścianie wskazywał za jedenaście ósmą. Pracownik przystani, który nadal popijał kawę z filiżanki, zachowywał się tak samo spokojnie jak przedtem. To jedyne człowiek, który widzi każdego pasażera udającego się na wyspę i z powrotem. W dzień roboczy, wieczorem, prom kursuje znacznie rzadziej. Mężczyzna miał na sobie żółtą kamizelkę odbłaskową. Siedział spokojnie przy stole, jak gdyby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Leo doszedł do wniosku, że gdyby coś się stało, mężczyzna zachowywałby się bardziej czujnie. Wyszedłby na zewnątrz i rozejrzał się po terenie, zamiast siorbać kawę i czytać wiadomości sportowe.

Leo odetchnął wilgotnym powietrzem. Wiedział, że ze swej strony zrobił wszystko. Niedługo wsiądzie na prom odpływający o dwudziestej, bo akurat tym promem musi płynąć. Wiedział, że zdąży, nawet nie biegnąc. Mimo to lekko przyspieszył kroku.

Ivan czuł się naprawdę źle.

Siedział przy tym samym stoliku w restauracji Drava co zawsze. Przy innych stolikach też siedzieli ci sami stali klienci. Ten sam Dacso stał pochylony nad piecem do pieczenia pizzy. Na głowie miał czapkę, w ręce trzymał łopatkę do wyciągania pizzy.

Mimo to Ivan czuł się fatalnie. Odnosił wrażenie, że coś mu rozsadza całą klatkę piersiową. Nigdy by nie pomyślał, że takie uczucie może się rozprzestrzeniać w tak szybkim tempie, dzielić i atakować, jak niezamordowane komórki rakowe.

Z kolacji wyszły nici, chociaż bardzo się starał. Tak samo się starał przed ostatnim skokiem, po którym trafili do aresztu.

Przez chwilę stał na ulicy i obserwował, jak jego syn odjeżdża w kierunku placu Gullmarsplan i po chwili znika mu z oczu. Wrócił do restauracji, ale nieprzyjemne uczucie dręczyło go coraz bardziej. Mimo protestów gości zgłosił dźwięk, żeby wysłuchać kolejnych wiadomości i obejrzeć nagranie z napadu. Co jakiś czas zerkał na Dacsa i jego wścibską żonę, która stała skulona za barem. Widać było, że jest zainteresowana informacjami o napadzie w takim samym stopniu jak on. Dwie hieny, którym się wydaje, że wiedzą, kim jest jego syn.

Nad ich głowami stały butelki z czerwonym winem.

Ivan doświadczył tego uczucia po raz pierwszy od dłuższego czasu. Czuł się tak, jak gdyby śwędziąła go amputowana ręka. Oczami wyobraźni ujrzał wino. Dręczyło go upiorne pragnienie. I nagle do jego głowy zakradło się błogie, usypiające uczucie.

Nie. Za żadne skarby. Ani kropelki. Nie teraz.

Wiedział, że tylko on może przekonać Leo, żeby się zmienił i zawrócił z drogi, którą podąża. Bez względu na to, dokąd ta droga prowadzi.

Wstał z niewygodnego plastikowego krzeselka i po raz trzeci tego wieczoru poprosił Dacsa o telefon bezprzewodowy pobudzony mąką, którą ten sypał do ciasta na pizzę. Ale i tym razem usłyszał tylko regularny sygnał. Porównał numer, który wybierał, z tym, który był zapisany na kartce. Wyprosił go od Vincenta. Leo dzwonił do niego wcześniej z tego samego numeru. Ivan nie spodziewał się, że Leo odbierze już po pierwszym sygnale.

– Słucham?

Leo. Tak, to jego głos.

– To ja... Ivan.

W słuchawce zapadła cisza. Ivan próbował wywnioskować, gdzie Leo się znajduje, ale ze słuchawki nie dochodziły żadne dźwięki.

– Czego chcesz?

– Ja... no wiesz... chciałem ci powiedzieć, że mi na tobie zależy. Rozumiesz, prawda?

– Słucham?

– Pamiętaj o tym. Jeśli kiedyś będziesz potrzebował pomocy, możesz na mnie liczyć.

– Skąd dzwonisz?

– Z restauracji.

– Skąd masz ten numer?

– Od Vincenta.

W słuchawce znowu zapadła cisza.

– Ivan?

– Tak?

– W przyszłości będziesz do mnie dzwonił tylko z tego numeru, który ja ci wybiorę.

W słuchawce zapadła cisza, ale inna niż poprzednio. Leo się po prostu rozłączył.

Ivan znowu poczuł się nieswojo. Był niespokojny i zły.

Leo go od siebie odepchnął. Trzeci raz w ciągu jednego dnia.

Najpierw pod więzieniem, potem w czasie kolacji, która nie doszła do skutku, i trzeci raz przed chwilą. Jak on to powiedział? Że ma do niego dzwonić tylko z tego numeru, który on wybierze? Będę dzwonił z każdego numeru, jaki mi się spodoba, pomyślał.

Nagle ogarnęło go inne uczucie. Zakradło się blisko niego, ale z początku niczego nie poczuł. Poczuł się brudny. No bo jak to? On mówi synowi, że mu pomoże, powtarza mu to kilka razy, zapewnia, że mu na nim zależy, a Leo stawia warunki? Chce mu wybierać numery?

– Dodzwoniłeś się do niego?

Dacso. Ta hiena stała przy piecu do pieczenia pizzy. Hiena, która ma żonę hienę. Dwie hieny patrzyły na niego z uśmiechem. Jak to u hien.

– A co cię obchodzą moje rozmowy telefoniczne? Zajmij się swoją robotą.

– Ale dzwoniłeś do swojego chłopaka, prawda? Tak to przynajmniej brzmiało.

– Widzę, że hieny potrafią też podsłuchiwać.

– Co?

– Zajmij się swoją pizzą i nie podsłuchuj rozmów, które cię nie dotyczą.

Ivan zerknął na telewizor. Na ekranie pojawiła się plansza, którą od razu rozpoznał. W telewizji pokazyują ją przed każdymi wiadomościami. Jeszcze bardziej podkręcił głos, nie zwracając uwagi na protesty gości, którzy tak jak przedtem wyrażali swoje niezadowolenie. Jeden z nich podniósł się nawet z krzesła, żeby użyć wobec niego argumentu siły, ale gdy zobaczył, z kim ma do czynienia, rozmyślił się. Podszedł do wózka do rozwożenia dań i udawał, że szuka serwetek albo solniczki.

Pierwszą wiadomość spiker odczytał poważnym głosem. Widać było, że bardzo dba o swą aparycję, ale w niczym mu to nie pomogło. Gesty miał wyczone i zachowywał się tak, jak gdyby tylko udawał powagę. Dłonie oparł o blat biurka, lekko skrzywił głowę, sztucznie ściszył głos. Z tyłu wisiał ekran, na którym zastygł obraz przedstawiający karabin leżący w kałuży krwi.

Kiedy obraz ożył, Ivan zerwał się z krzesła, żeby lepiej widzieć przesuwające się klatki. Na początku spiker powtórzył informacje znane z wcześniejszych audycji. Mnóstwo krwi, zabity napastnik, zszokowani ochroniarze na noszach. Po minucie Ivan chciał wyłączyć telewizor, gdy nagle jego uwagę przykuł nowy materiał. Na ekranie telewizora pojawiła się rzeczniczka prasowa policji na tle radiowozu.

Ivan widział ją pierwszy raz. Kobieta znajdowała się na miejscu zdarzenia, przed wejściem do jasno oświetlonego centrum handlowego. Jej wystąpienie przypominało przypadkową scenografię z jakiegoś filmu, jak gdyby wszystko wcześniej przygotowała i przemyślała. Wyglądała dość sztucznie, tak jak spiker z telewizji, który udawał powagę. Nawet głos też miała sztucznie ściszony. Rzeczniczka poinformowała, że śledczy potwierdzili, iż atak na konwój przeprowadzili dwaj zamaskowani napastnicy. Jeden z nich został zabity podczas wymiany ognia i niedawno zidentyfikowany. Drugi napastnik nadal przebywa z całym łupem na wolności. Jest uzbrojony po zęby, zdesperowany i bardzo niebezpieczny.

Ivan sięgnął po szklankę z wodą. Pije tu wodę i kawę, chociaż wino kusi go swoim widokiem. Oparł się o krzesło i opróżnił szklankę, nie odrywając wzroku od policjantki.

Widać było po niej, że po wygłoszeniu oficjalnego komunikatu nie jest już taka pewna siebie. Po jej zaplanowanym i wyważonym wystąpieniu posypały się nieprzewidziane i spontaniczne pytania dziennikarzy. Rzeczniczka zaczęła się jąkać. Stwierdziła, że ze względu na dobro śledztwa jest jeszcze za wcześnie na podanie szczegółów. Mimo to Ivan wiedział, że kobieta kłamie. Gliny zawsze więcej wiedzą, niż mówią. Na pewno zaczęli już węszyć, żeby ustalić tożsamość drugiego napastnika. Tak to już jest: jeśli ustali się tożsamość jednego, wkrótce potem w sidła policji wpadają pozostali. On i jego synowie coś o tym wiedzą.

Jednego był pewien: tym drugim napastnikiem nie mógł być Leo. Dowodem jest ich spotkanie w restauracji.

Mimo to nic mu się w tym wszystkim nie zgadzało.

Dlaczego pierwszego dnia na wolności Leo zachowywał się wobec niego tak dziwnie? I gdzie teraz przebywa zamiast jeść umówioną kolację ze swoim ojcem?

Przeprawa promem, który łączy jeden brzeg z drugim, trwa pięć minut. Tę samą drogę pokonał kilka godzin wcześniej. Jednak tym razem towarzyszył mu niepokój. Może wszystko się skończy, zanim jeszcze się zaczęło? Ostatni odcinek drogi przebył z wyłączonymi światłami. W końcu zahamował i wóz się zatrzymał. Dom stał pogrążony w ciemnościach. Nie widział go, ale dla niego był w tym momencie wszystkim.

Pod jednym warunkiem: że zostanie w nim Sama.

A jeśli go tam nie ma?

Leo odczekał chwilę w samochodzie i opuścił szybę. Intensywnie myślał, jego umysł wciąż sprawnie pracował. Jeśli nadal będzie tu siedział, niczego się nie dowie. Być może Sam żyje, a łup jest w jego posiadaniu.

Telefon dzwonił jeszcze dwa razy – uparcie, natarczywie. Może to Niebieski? W końcu wyjął aparat z kieszeni i odebrał. Ojciec. Dzwonił z restauracji. Stał w tłumie ludzi i rozmawiał, chociaż ktoś go mógł podsłuchać.

Leo zamknął szybę, bo na dworze zrobiło się zimno, a w samochodzie ciągle jeszcze było ciepło.

Zawsze jest jakieś rozwiązanie, wyjście.

A teraz? Co będzie, jeśli tym razem nic nie wymyśli?

Co się stanie, jeśli w domu czekają na niego policjanci? Co będzie, jeśli wcześniej przepłynęli na wyspę w nieoznakowanym samochodzie, nie informując o niczym faceta obsługującego prom? Co zrobi, jeśli czekają na niego w ciemnościach? Jeśli obserwują go przez noktowizor i widzą zarys jego postaci odmalowany zielonkawą, lśniąca poświatą?

Otworzył drzwi, stanął pewnie na nogach i podszedł do bramki w ogrodzeniu. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Nie było słycać nawet wiatru.

Było ich dwóch, potem dołączył do nich trzeci. Ksiądz, zabójca i cyngiel. Teraz jeden z nich nie żyje. Zostało ich znowu dwóch – ale który zginął?

Trawnik był oblodzony, a jego powierzchnia zrobiła się tak gładka, że grube podeszwy butów Leo ślizgały się po niej bezradnie. Kiedy przebywał tu po południu, przy murze stał zaparkowany samochód Sama. Teraz to miejsce było puste. Może to oznaczać, że albo Sam nie żyje, albo przeżył, a wóz ukrył gdzie indziej.

Leo przypomniał sobie, że w drzwiach wejściowych, mniej więcej na wysokości twarzy, dostrzegł niewielkie okienko, przez które i tak nic w środku nie widać. Mógłby zajrzeć do kuchni przez zwykłe

okno albo przez okno na tylnej ścianie domu, ale to zbyt duże ryzyko. Ktoś go może zauważyć.

Położył dłoń na błyszczącej klamce z jasnego metalu i ostrożnie ją nacisnął. Nie wyczuł oporu, co oznaczało, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Wszedł do ciemnego małego przedpokoju i skierował się do kuchni. Przeszedł koło pieca, w którym spalili mapę.

W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy oddech.

Przy stole stały dwa krzesła, ale nikt na nich nie siedział, podobnie jak na narożniku.

Przeszedł przez kuchnię i znalazł się w dziennym pokoju. Nagle zobaczył, że ktoś siedzi na fotelu, lekko pochylony do przodu. Przypominało to ludzki cień.

– Równie dobrze mogłem to być ja.

Sam. To jego głos.

Leo nie do końca był pewien, co tak naprawdę czuje: wielką radość, głęboką ulgę czy raczej coś w rodzaju ukrytej złości.

Sięgnął po krzesło i przysunął je bliżej cienia.

– Ale nie byłeś. To nie ciebie tam zastrzelili.

– Kurwa, na własne oczy widziałem, jak nim zachwiałem... złapał się ręką tutaj.

Sam wskazał ręką miejsce między biodrami a ramieniem.

– Wypadłem ze sklepu i podbiegłem do niego. Złapałem go i próbowałem... nawet nie pomyślałem, że dostał jeszcze jedną kulkę, w głowę. Ale czułem, jak Jari umiera... czułem po jego ręce... wiesz, jak to jest, gdy mięśnie wiotczeją. Dopiero teraz to do mnie dociera... że to mogłem być ja.

Leo nigdy wcześniej nie dotykał Sama, jeśli nie liczyć rytualnych gestów, gdy się z nim witał. Na Oddziale H takie same gesty wykonywali też inni osadzeni. Teraz zachował się inaczej: wyszukał w ciemnościach jego ramię i położył na nim dłoń.

– Ale żyjesz. Czuję to po twojej ręce.

Leo miał przed sobą człowieka, który mimo popełnionego przestępstwa dziwnym zbiegiem okoliczności nie wiedział, na czym polega przemoc. Użył jej tylko jeden raz, przed dwudziestu pięciu laty. Potem nigdy więcej się nią nie posłużył.

Dotknął jego ramienia, ale Sam nie zareagował, nie odwzajemnił jego gestu. Leo uściśnął go mocniej, ale tamten znowu nie zareagował, jak gdyby nie chciał podtrzymywać kontaktu. Leo wstał z krzesła i opuścił żaluzje w obu oknach. Potem schylił się i zaczął szukać w ciemnościach kabla lampy stojącej na podłodze. Włączył ją i pokój rozjaśnił słaby blask żarówki. Wystarczył jednak, by się widzieli.

Jasne włosy Sama były gładkie, prawie przylizane, jak wtedy, gdy ktoś zakłada na głowę kominiarkę, zbyt długo ją nosi i poci się pod nią. Oczy miał zapadłe, przed jego źrenicami ciągle rozgrywała się krwawa scena przed centrum handlowym. Nieustannie odtwarzała te same sekwencje. Ledwo widoczne krople krwi zakrzepły przy lewym oku i lewym kąciku ust – w miejscach, których nie zasłaniała kominiarka.

– Gliny na blokadzie zachowały się dokładnie tak, jak przewidziałem.

To były pierwsze słowa, które wyszły z ust Sama oprócz zdania „Równie dobrze mogłem to być ja”. Wypowiedział je chrypiącym głosem, jak gdyby jego struny głosowe nie chciały ich wypuścić z gardła.

– Gliniarz na blokadzie wziął moje prawko i był nim bardziej zainteresowany niż mną.

Sam przysunął się bliżej i chrypienie ustało.

– Kominiarka, kombinezon, buty; wszystko spaliłem, tak jak kazałeś.

– A kombinezon, który miałeś na sobie podczas kontroli na blokadzie?

– Też.

Leo prawie fizycznie czuł, jak Sam odrywa wzrok od tamtego parkingu i wraca do rzeczywistości.

– Ciężarówkę też spaliłem. Wszystko poszło z dymem.

Jego oczy – oczy spanikowanego bandyty, który napadł na konwój z pieniędzmi – uratowały go, gdy kontrolujący go policjant uznał jego nieobecny wzrok za typowe spojrzenie pracownika mleczarni, który codziennie przewozi wyroby mleczne.

– Broń... moją broń... zatopiłem razem z pustymi kasetami dwadzieścia pięć metrów pod wodą, dwie minuty łódką od brzegu, koło pomostu.

Spojrzeni na siebie. W tym momencie ich przyjaźń i zaufanie uległy dalszemu wzmocnieniu. Leo miał przed sobą człowieka, który kiedyś wyrzekł się przemocy, a mimo to zgodził się jej użyć ostatni raz w życiu. Przemoc uderzyła rykoszetem w niego, a gdy trzymał w dłoni rękę, z której uciekało życie, postanowił, że dalej będzie funkcjonował, jak gdyby nic się nie stało. Mimo doznanego szoku działał

według uzgodnionego planu – z bandyty stał się w jednej chwili zwykłym człowiekiem; przejechał przez policyjną blokadę, spalił ubranie i samochód, przesiadł się do swojego osobowego i pojechał na wyspę, gdzie pozbył się broni i wszystkich innych dowodów. Wszedł do domu, zgasił światło i dopiero w tym momencie uznał, że może odreagować.

Na myśl o tym, że dobrał sobie takiego współnika, Leo uśmiechnął się z pewną dumą. Wstał z krzesła i poszedł do kuchni. Stał przed spiżarnią, otworzył drzwi i zaczął odkręcać metalową pokrywę w ścianie między drugą a trzecią półką.

Wlot powietrza.

– To chyba tutaj?

Sam skinał głową. Leo zdjął metalową pokrywę, pod którą ukazała się na tyle szeroka szczelina, że mógł w nią włożyć dłoń i wyjąć ze środka paczkę owiniętą w ochronną folię.

– Masz jakąś linijkę albo calówkę?

– Chyba tak... ojciec miał tu gdzieś miarkę.

Sam wysunął szufladę spod blatu stołu, przez chwilę w niej grzebał, a potem podał Leo czerwono-zielono-żółtą miarkę metrowej długości. Leo rozciągnął ją i przyłożył miękka, śliska taśmę do paczki banknotów.

– Dwadzieścia centymetrów. Jeśli na każdy centymetr przypada pięćdziesiąt tysięcy koron, to dwadzieścia centymetrów równa się milion. Sześć paczek tej samej długości to sześć milionów. Wystarczy nam to na przygotowanie naszego wielkiego skoku i na kieszonkowe.

Leo wsunął paczkę z banknotami z powrotem w otwór w ścianie i położył ją na tych, które tam leżały. Potem przykręcił pokrywę i zamknął drzwi spiżarni.

– Gdzie jest drugi karabin?

– Został na parkingu, koło Jariego. Nie miałem szans, żeby go stamtąd zabrać.

Stara zasada: nigdy nie zostawiaj po sobie żadnych śladów.

Chyba że robisz to celowo.

Leo i Sam patrzyli na siebie. W pokoju zaległa specyficzna cisza. I chociaż blask lampy docierający do kuchni był zbyt słaby, żeby dojrzeć i odczytać coś więcej niż tylko rysy twarzy, Leo był pewien, że Sam już się otrząsnął z traumatycznych wspomnień po niedawnych wydarzeniach i wrócił do rzeczywistości. Jedyną rzeczą, która przypominała o napadzie i śmierci Jariego, były krople krwi zakrzepłej przy lewym oku i w lewym kąciaku ust.

– Jutro musimy się zastanowić, co dalej. Jeśli dobrze znam gliny, to z powodu karabinu, którego nie zdążyłeś zabrać, spędzę parę godzin w pomieszczeniu, w którym już nigdy nie zamierzałem się pojawić.

Drugi z karabinów, którymi posłużyli się podczas napadu na konwój i który też powinien teraz leżeć na dnie jeziora, badali technicy z działu kryminalistycznego. Leo dobrze wiedział, co to znaczy, że policja po raz pierwszy znalazła na miejscu przestępstwa prawdziwy ślad. Gliny mogą go teraz namierzyć i przesłuchać, ale tylko po to, żeby sprawdzić jego alibi. Na szczęście alibi ma stuprocentowe. Oprócz podejrzeń wynikających z przestępstw dokonanych w przeszłości nie mają nic, żeby powiązać go ze skokiem. A podejrzeń nie da się powiązać z napadem w taki sposób, aby utworzyły wiarygodny łańcuch poszlakowy.

– Kiedy twój brat glina skończy mnie przesłuchiwać, będę potrzebował paru godzin, żeby znaleźć zastępstwo za Jariego.

Żeby zrealizować ostatni punkt planu – skok na komendę policji. Zrobi to z kimś, do kogo ma pełne zaufanie, chociaż prawda jest taka, że nigdy nikomu nie ufał, bo brakowało mu czasu na zbudowanie bliskich relacji. Wybór ograniczał się więc tylko do dwóch osób: Felixa i Vincenta.

– Chciałbym, żebyś się skontaktował z Albańczykami i przeniósł „odwiedziny” na wieczór.

Może zaproponować tę robotę Felixowi, który już raz mu odmówił? To najbardziej uparty człowiek, jakiego zna. Albo Vincentowi, który też odmówił i teraz go chyba unika?

– Najważniejsze, że żyjesz, a łup leży nietknięty w twojej spiżarni. Jutro będziemy mieć pewne opóźnienie z powodu tego, co... no wiesz... stało się dzisiaj. Ale i tak zdążymy. Mój plan trzyma się kupy i za trzy dni będzie po wszystkim.

Britt-Marie nie wiedziała, jak i kiedy ogarnęła ją panika.

Kolejny raz przewróciła się w łóżku na drugi bok. Cała była spocona – od pośladków aż po kark. Zerknęła na budzik stojący na nocnej szafce: wskazywał kwadrans przed północą.

Położyła się półtorej godziny temu, to znaczy wcześniej niż zwykle. Miała nadzieję, że w ciemnościach szybciej zaśnie. Zrobiła to, bo nie chciała wiedzieć, o której godzinie i w jakim stanie Leo wróci do domu. Kiedy obudzi się rano, jej syn będzie leżał w gościnnym pokoju i lekko chrapał owinięty w kołdrę, jak wtedy, gdy był jeszcze chłopcem.

Nieustannie nachodziły ją dziwne myśli, które były się ze sobą w jej głowie. Przez pierwszą godzinę próbowała zrozumieć, czy rzeczywiście są aż tak nienormalne. Przecież jest tylko zwykłą kochającą matką. Niepokoi się o swego syna, który po odsiedzeniu kilkuletniego wyroku wyszedł rano na wolność, a teraz pewnie gdzieś baluje z tej okazji.

To chyba całkiem normalne zachowanie z jej strony. Jest przekonana, że to, co odczuwa, to po prostu macierzyńska miłość. Ale pozostaje to drugie uczucie – panika. Dobrze je zna, bo jest tak silne, że za każdym razem, tuż przed zaśnięciem, do jej głowy zakrada się i ożywa obraz więziennej celi. Denerwuje ją, że obraz pojawia się właśnie w tym momencie i nie daje jej zasnąć. Zaraz potem ogarnia ją panika. Przypomniła sobie, jak spotykała się z nim w brzydkich, zatęchłych pokojach w kilku różnych zakładach karnych, chociaż nie powinna była tego robić. Z czasem pogodziła się z faktem, że te wizyty stały się elementem jej codziennego życia. Nie bacząc na odległości, co dwa tygodnie odwiedzała swoich trzech synów, którzy siedzieli za więziennymi murami w różnych zakątkach kraju.

Rozejrzała się po swoim małym, skromnym domu.

Na szczęście to jej dom.

Zbudowano go przed wielu laty w Tallkrogen, dzielnicy położonej około pięciu kilometrów na południe od centrum Sztokholmu. Powstały ciasne, acz wygodne domy dla zwykłych ludzi, którzy chcieli sobie urządzić życie w tym miejscu. Było jej tu dobrze, chociaż dom stał w pobliżu ruchliwej drogi prowadzącej do Nynäshamn. Na szczęście za dnia nie słyszała samochodów, bo z czasem zdążyła się do nich przyzwycząć. Teraz jednak, gdy zapadła noc, wyraźnie słyszała przejeżdżające pojazdy, zwłaszcza TIR-y. Od ich ciężaru trząsł się cały dom, łącznie z drewnianą fasadą, podłogą i łóżkiem. Wprowadziła się tu wkrótce po tym, jak policja aresztowała jej synów, przed ich procesem. Zrobiła to głównie po to, żeby uniknąć gadaniny na ich temat. Falun, gdzie mieszkała przedtem, to małe miasto, więc kiedy o sprawie zaczęły się rozpisywać miejscowe gazety, prawie czuła, jak ludzie szepczą za jej plecami, zarówno na ulicy, jak i w domu opieki dla przewlekłe chorych, w którym pracowała. Chciała też być bliżej synów, gdy sąd postanowi ich rozdzielić i wysłać do któregoś z zakładów karnych o zastrzyżonym rygorze.

Każdego z nich odwiedzała dwa razy w miesiącu. Kiedy pierwszy raz pojechała do Vincenta, od razu zauważyła, że dokonała się w nim zmiana. Żałował tego, co zrobił, i obiecał jej, że nigdy więcej nie popełni żadnego przestępstwa. „To było ostatni raz, mamó”. Tak właśnie powiedział: „ostatni raz”. Nadal nie wie, co będzie z Felixem, ale ma nadzieję, że on też się zmieni. Jakoś przeżył przesłuchania, ale ani jednym słowem nie wspomniał o przestępstwach, za które został skazany. Nawet gdy byli sami, nie zająknął się słowem na ten temat. A Leo? Wystarczyła jedna wizyta i od razu wiedziała, że jej najstarszy syn nigdy się nie zmieni i nie zejdzie z przestępczej ścieżki.

Przewróciła się na bok. Czoło i skronie też miała złane potem. Zaczęła się wsłuchiwać w tykanie zegara, którego cyfry i wskazówki lśniły w ciemnościach.

Panika nie ustępowała.

Chyba na dobre zagościła w jej łóżku, wsunęła się pod kołdrę, a teraz leży obok i napiera na nią.

A przecież powinna być zadowolona, a nawet szczęśliwa! Wdzięczna losowi, że cała trójka jest już na wolności. Nawet nie pamięta, kiedy widzieli się wszyscy ostatni raz. Jutro, kiedy przyjdą do niej na lunch, zawoła na cały głos: „Moje kochane dzieci, czy rozumiecie, że to dla naszej rodziny początek nowego życia?”. Podświadomie czuła jednak, że stanie się inaczej, że to raczej początek końca.

Znowu ogarnęła ją panika. Dopiero teraz zrozumiała, skąd się bierze.

To przez te więzi!

Właśnie o nie w tym wszystkim chodzi. O patetyczne, chore i pieprzone więzi, które stworzył Ivan. Dziś rano przyszedł pod bramę więzienia, jak gdyby chciał jej o tym przypomnieć. Wszystko, co zbudowała od nowa przez te wszystkie lata, gdy trzymała się z dala od niego, w jednej chwili przestało mieć znaczenie. Ivan wkroczył w jej życie w taki sam sposób, jak robił to kiedyś.

Te przekłete więzi, nienormalne dla nich samych i wobec innych ludzi. Teraz też pewnie skłonią Vincenta do zmiany decyzji.

Czy Felixowi i Vincentowi wystarczy silnej woli, żeby się przeciwstawić starszemu bratu?

W chwili gdy zadała sobie to pytanie, panika dotarła do najgłębszych zakątków jej umysłu.

Zaczęła się bać, że Leo znowu zacznie grać na braterskich uczuciach, że kolejny raz pociągnie swoich braci na dno, że będzie się odwoływał do rodzinnych więzi w taki sam sposób, jak robił to Ivan, że będzie się zachowywał jak mężczyzna, którego musiała opuścić, żeby przeżyć. A przecież nie chce zostawić swojego syna własnemu losowi.

Nagle usłyszała kolejny samochód. Bardzo wyraźnie. Ale ten nie jechał drogą na Nynäshamn.

Warkot silnika wtargnął do środka przez kuchenne okno wychodzące na drugą stronę domu, to znaczy tam, gdzie mieszkają sąsiedzi, a willową dzielnicę przedziela wąska ulica w kształcie półksiężyca. Samochód był coraz bliżej, aż w końcu zatrzymał się przed jej domem. Zaraz potem usłyszała kroki: zdecydowane, a zarazem miękkie. Od razu je rozpoznała. Leo nadal tak chodzi.

Otworzył drzwi wejściowe.

Wprawdzie nie usłyszała szczyknięcia klucza w zamku, ale podłoga w przedpokoju zaskrzypiała tak samo jak zawsze.

Już wiedziała, że to on, że za chwilę ujrzy swojego najstarszego syna. Zobaczy, jak wygląda, i spyta go, co się z nim dzieło.

Zanim wyszła z sypialni, poprawiła nocną koszulę.

Leo stał w blasku bijącym od lodówki, a ponieważ oświetlenie w kuchni było wyłączone, jego błąda po długim pobycie w więzieniu skóra wydawała się prawie całkiem białą.

– To ty, mamó? Jeszcze nie śpisz?

Śmierć. Właśnie ona przyszła jej w tym momencie na myśl. Jej syn będzie tak wyglądał, gdy serce w jego młodym organizmie przestanie pompować krew. Ma dopiero trzydzieści jeden lat.

– Nie. Dopiero dwunasta.

Wiejski ser z wędzonym baleronom. Leo postawił obie zakąski na kuchni.

– Gdzie jest chleb?

Britt-Marie przyniosła ze spiżarni pleciony kosz z chrupkim pieczywem.

– Gdzie byłeś?

– Chciałaś powiedzieć: gdzie balowałeś?

Britt-Marie skinęła głową. Leo wzruszył ramionami.

– Nigdzie nie balowałem.

– No to co robiłeś?

– Nic szczególnego.

Nóż do sera był tępy i dlatego plasterki zamieniły się w stos pomarszczonych strzępów. Leo rozłożył je równomiernie na chlebie.

– Głównie jeździłem po mieście. Cieszyłem się samą jazdą.

Leo ukroił sobie kilka grubych plasterów baleronu i położył je na kromce.

– Jak widzisz, nie ma powodu do niepokoju.

Jego skóra, która przed chwilą była biała, teraz zrobiła się niebieska. Britt-Marie próbowała wrócić do równowagi, ale to, co przed chwilą usłyszała, nie przyniosło jej żadnej ulgi. Stała więc boso na chłodnej podłodze, w nocnej koszuli, z włosami związanymi w coś w rodzaju kitki, żeby jej się nie potargały podczas snu.

W porównaniu z Leo wydawała się całkiem mała. Mimo to trzymała się pewnie na nogach, zachowując równowagę. Tak jak wiele razy wcześniej, gdy stała przed Ivanem.

– Bez względu na to, co planujesz, nie wciągaj w to Vincenta i Felixa.

Po tych słowach wspięła się na palce, pogłaskała go dłonią po zarośniętym policzku i wyszła.

Leo wsłuchiwał się w jej kroki do momentu, aż umilkły w ciemnościach.

Niedobrze. To jej dotknięcie. Zawsze było konkretne, a zarazem miękkie. Tym razem jej dotyk nie sprawił mu przyjemności.

Zjadł dwie kanapki, popił dwiema szklankami soku pomarańczowego i poszedł do pokoju gościnnego. Sofa była rozłożona i nakryta czystą pościelą. Britt-Marie postawiła na krześle lampkę nocną, a obok niej położyła szczoteczkę do zębów, czyste majtki i nowe skarpetki.

To jego pierwszy dom po wyjściu z więzienia. Później ma się przenieść do mieszkania socjalnego w Lönnen. Dadzą mu tam pokój o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych. Zamieszka wśród podobnych mu ludzi, którzy niedawno wyszli na wolność z zakładów karnych albo zostali wypisani z domów opieki społecznej i są niebezpieczni dla siebie albo dla otoczenia.

Ale on na pewno tam nie zostanie. Ma inny cel i żeby go osiągnąć, musi zrobić to, czego przed chwilą zabroniła mu matka. Jariego powinien ktoś zastąpić. To może być tylko Felix albo Vincent.

„Nie mam wyboru, mam. Niestety, już niedługo dam ci kolejny powód do niepokoju. Broń, której używał Jari, jest teraz w rękach policji. Jutro dowie się o tym ten gnojek, Broncks. Podczas obiadu, a raczej po nim, przyjdzie po mnie do twojego domu”.

Elisa otworzyła najpierw jedno, potem drugie oko.

Brzeg stołu, kuchenka, szafka i biała ściana.

Od razu sobie przypomniała, co się stało: zasnęła w pracy.

Jak to możliwe?

Ze szczeliny między koszulą a brzegiem spodni wystawał jej kawałek ciała. Wyglądało to tak, jak gdyby był przymocowany do podszewki. W plecy wrzywała jej się czerwona kanapa przykryta narzutą.

Z dziedziczna gmachu policji do pokoju socjalnego wpadało światło.

Kiedy zasypiała, było ciemno. Teraz światło atakowało ją przez szybę. To dlatego się obudziła. Czula się jak człowiek, który jest ubrany, ale wydaje mu się, że jest nagi.

Zerknęła na zegarek na lewej ręce. Siódma dwadzieścia pięć. Chyba rano? Wstając z twardej kanapy, poczuła, że plecy i kark całkiem jej zdrętwiały. Nic dziwnego, pod głowę wsunęła zwiniętą pikowaną kurtkę, która udawała poduszkę. Znajdowała się w pokoju socjalnym na tym samym piętrze, na którym mieści się biuro wydziału śledczego. To sam środek budynku. Siedziba policji w Sztokholmie składała się z wielu różnych wydziałów, które znajdują się w dzielnicy Kungsholm. To tu bije serce szwedzkiej policji. Elisa poczuła się nieswojo, bo kiedyś sobie przysięgła, że nigdy nie zaśnie w pracy z kubkiem czarnej kawy i dwoma ciastkami na talerzyku.

Pokój socjalny znajdował się obok toalety. Elisa wypłukała usta, umyła twarz bezwonny mydłem w płynie i zwilżoną dłonią ułożyła włosy. Pośliniła palec wskazujący i wygładziła ciemne brwi. Jest jednym z najmłodszych inspektorów policji, ma dopiero trzydzieści cztery lata, ale powierzono jej już kilka ważnych śledztw. Za każdym razem obiecywała sobie, że nigdy nie zachowa się jak typowy policjant: nie zaśnie nad papierami, po całym dniu pracy nie pójdzie do policyjnej stołówki na niesmaczny posiłek, a co najważniejsze, nigdy nie będzie się powoływać na swój kobiecy instynkt, bo śledztwo to układanka, w której każdy element pełni osobną funkcję. Co jakiś czas trzeba się od tej układanki oderwać i przyjrzeć się jej z boku, świeżym okiem, bo tylko tak można ją ułożyć w całość. Dlatego nigdy nie będzie niczego zgadywać ani nikogo faworyzować, bez względu na to, kogo to będzie dotyczyć i jakie będzie mieć konsekwencje – dla niej albo dla innych. Za każdym razem puzzle i tak trzeba ułożyć w jedną całość. Sam instynkt bywa zwodniczy i rzadko ma powiązanie z rzeczywistością. Posługują się nim ci, którzy nie potrafią zebrać wystarczającej liczby dowodów. Argumenty oparte na instynkcie nie obronią się w sądzie. Jeszcze nikogo w ten sposób nie skazano.

Tej nocy złamała dwie zasady, które kiedyś sobie wyznaczyła: zasnęła przy pracy i zjadła marną kolację. Wczoraj o dziesiątej wieczorem – cztery i pół godziny po tym, jak wezwano ją na parking przed jednym z centrów handlowych, gdzie w kałuży krwi leżał martwy bandyta – wyciągnęła dokument dotyczący przestępstwa sprzed siedmiu lat. Liczył czterdzieści jeden stron. Kiedy zobaczyła, że to coś więcej niż zwykły napad na konwój z pieniędzmi, nie chciało jej się wrócić do domu. Wieczór zamienił się w noc, a po piątej naszła ją taka senność, że natychmiast musiała się położyć na kanapie w pokoju socjalnym, żeby choć przez chwilę się zdrzemnąć.

Wyszła na pustą o tej porze korytarz i ziewnęła. Łamanie zasad zawsze ma swoje konsekwencje. Zatrzymała się przed automatem. Numer 41 – kawa latte; numer 12 – dwie kromki chleba z serem; numer 23 – jogurt waniliowy, torebka okrągłych ciastek i plastikowa łyżeczka. Jej torba z wilgotnym dressem treningowym nadal stała przy biurku. Postawiła ją tam poprzedniego dnia, gdy w czasie treningu została nagle wezwana do akcji. W jej pokoju nie ma mowy o stereotypowych zachowaniach, zwłaszcza dzisiaj. Nie ma w nim tarczy do strzałek ani niekompletnych rysopisów przestępców, które się potem dołącza do akt śledztwa. Nie ma też przepełnionych koszy na śmieci ani plastikowych kubków po kawie czy wodzie.

Zaprowadziła tu swój własny porządek. Akta bieżących śledztw podzieliła na trzy kupki i rozłożyła je na biurku.

Na samym wierzchu umieszcza zawsze zdjęcia, które pełnią tę samą funkcję co plakaty filmowe: jeśli ktoś oglądał film, a potem zobaczył plakat, może zrekonstruować w myślach daną akcję i przyporządkować plakatowi poszczególne sceny.

Trzy stosy dokumentów. Trzy kluczowe momenty.

Elisa poczuła, że chyba na dobre się rozbudziła. Ziewnęła i roztargnionym ruchem wzięła do ręki zdjęcie leżące na dokumentach po lewej stronie biurka. Dla swoich własnych potrzeb nazwała je „Uderzyłeś pierwszy, gnojku”. Do przestępstwa dochodzi w momencie, gdy myśl zamienia się w czyn. Wyraźne, ostre zdjęcie przedstawiało rozbite drzwi bezpieczeństwa, a w tle łup, który zainteresował przestępców i stał się ich celem. Uderzyli w chwili, gdy ochroniarze czuli się bezpiecznie.

Dokumenty leżące na środku biurka nazwała „Spieprzyłeś to”. Są to akta dochodzeń, które niedawno zostały wszczęte i dlatego mają małą objętość. Papierów przybywa dopiero z czasem. Jednak w tym przypadku zebrała ich sporo już na samym początku. Na wierzchu leżało zdjęcie martwego bandyty, ale to nie dlatego nazwała tę sprawę „Spieprzyłeś to”. Powodem nie była też kałuża krwi, w której leżał przestępca, ani fakt, że został zabity. Głównym powodem była broń. Karabin automatyczny AK4 leżał niecały metr od ciała. Zdjęcie znajdowało się w liczącym czterdzieści jeden stron raporcie, który zamienił jej wieczór w noc, a noc w ranek.

Po prawej stronie biurka leżał trzeci stos akt. Te sprawy nazwała „Nie myśl sobie, że się z tego wykręcisz”. Robi to wtedy, gdy ślady prowadzą bezpośrednio do sprawcy. Leżąca na wierzchu fotografia przedstawiała mężczyznę, który wchodził na rampę odwrócony plecami do obiektywu kamery. Ubrany był w bejsbolówkę i luźną kurtkę. Czarno-białe zdjęcie zrobiła jedna z kamer monitoringu.

Elisa napiła się cierpkiej, rzadkiej i pozbawionej smaku kawy. Automat nie działa od kilku ładnych godzin. Zanotowała na kartce, żeby zadzwonić do serwisu i poprosić o naprawę. Pozbawiony smaku, chłodny napój i chleb z serem – typowa papka dla dorosłych.

Leżały przed nią akta trzech spraw, w których dochodzenie dopiero się zaczęło. Brakowało istotnych faktów, zeznań świadków i dowodów. Zajmowała się nimi pobieżnie, bo niedługo i tak będzie musiała je oddać komuś innemu. W normalnych okolicznościach czułaby się z tym fatalnie, ale zważywszy na rodzaj broni i dokument, który przed chwilą wyjęła ze stosu numer dwa, jak również na policjanta, który wróćte te sprawy przejmie, decyzję swoich przełożonych uznała za zrozumiałą i oczywistą.

Ponownie wyszła na korytarz i drugi raz tego dnia podeszła do automatu, który był czynny całą dobę. Wcisnęła klawisz numer 41, żeby zrobić sobie kawę. Potem wcisnęła klawisz bez numeru i napełniła drugi kubek ciepłą wodą. Srebrna herbata. Wiedziała, że śledczy, który ma od niej przejąć sprawę, przychodzi do pracy wcześniej rano i najchętniej wybiera ten drugi zestaw. Pracuje cztery pokoje dalej, więc jeśli się pospieszy, włoży zdjęcie i akta pod pachę, a brzegi kubków obejmie palcami, zdąży dojść do pokoju, zanim się poparzy.

– Puk, puk.

Drzwi były otwarte na oścież. Elisa uniosła oba kubki, jak gdyby chciała pokazać Bronckowski, dlaczego „zapukała” do drzwi werbalnie. Tak zwana „srebrna herbata” to najczęściej sama woda, czasem napój złożony z gorącej wody i mleka albo śmietanki do kawy, która nadaje mu srebrzystej barwy. Można też dodać cukier albo miód. Najciekawsze było to, że tak przyrzeczony napój nie zawiera ani jednej kropli prawdziwej herbaty.

Broncks spojrział na nią znad biurka i skinieniem głowy zaprosił do środka. Elisa weszła do pokoju.

– Pomyślałam, że razem poświęcujemy. Kubek dla mnie, kubek dla ciebie.

Usiadła naprzeciwko człowieka, który bez względu na to, w co się ubrał, zawsze wyglądał tak samo. Tego dnia John Broncks miał na sobie niebieskie dżinsy, szary sweter i czarne buty. Jediną rzeczą, która różniła go od dawnego Broncksa, jakiego zapamiętała z ich pierwszego służbowego spotkania, było chyba to, że od tamtego czasu stracił trochę włosów, a na skroniach porobiły mu się głębokie zakola. Jeszcze rok i zacznie sobie golić całą czaszkę. Tak właśnie robią mężczyźni w jego wieku, gdy tracą coraz więcej włosów. Poza tym Broncks wyglądał dokładnie tak samo, jak jego nijaki pokój, w którym stały typowe meble i typowy sprzęt biurowy. Ściany były lekko podniszczone i nie wisiały na nich ani jeden obrazek. Bronckowski pewnie nawet nie przyszło do głowy, żeby usunąć z pomieszczenia ślady pobytu poprzedniego użytkownika. Monotonię pomieszczenia zakłócały jedynie grube segregatory z aktami spraw, które w odróżnieniu od jej papierów leżały porozrzucane po całej podłodze. Wszystkie miały już swoje lata, ale dla niego nadal były aktualne. Elisa wiedziała, że to same ciężkie przestępstwa. Zastanawiało ją, że w przeciwieństwie do innych policjantów Broncks potrafił zachować dystans do takich spraw. Inni śledczy wprost żyli swoimi dochodzeniami, co łatwo było wyczytać w ich oczach, glosie i zachowaniu. Tymczasem Broncks uznał, że żadna sprawa nie może wpływać na jego prywatne

życie ani zadomowić się na stałe w jego wnętrzu. I rzeczywiście tak było. Elisa uważała taką postawę za nienormalną. Dlatego wiedziała, że nigdy nie chciałaby się obudzić u boku kogoś takiego jak Broncks.

– Dzięki. Domyślałam się, że chcesz świętować kolejne zakończone śledztwo i orzeczony wyrok?

Broncks wskazał głową duży budynek widoczny za oknem – stary ratusz miejski. Właśnie ruszył tam proces w sprawie, którą media zdążyły ochrzcić mianem Napadu Stulecia, największego skoku w historii Skandynawii. Sprawcy zarabowali sto trzy miliony koron. Przez ostatni rok Broncks poświęcił temu dochodzeniu każdą wolną chwilę. Potem zajmowały się nią kolejne sądy: rejonowy, wojewódzki i apelacyjny. Dwa tygodnie temu Sąd Najwyższy uznał, że nie ma podstaw do kolejnej apelacji, i tym samym proces został oficjalnie zakończony.

Oznaczało to, że wyrok jest prawomocny i sprawcy napadu trafią do więzienia. Internet uznał Broncksa za bohatera, bo to on postawił ich przed sądem. Na dodatek udało mu się odzyskać cały łup. Bandyci nie wydali nawet korony, bo byli bardzo ostrożni i postanowili nie zmieniać dotychczasowego trybu życia.

– Dziękuję za kawę – powiedział do Elisy – ale jeśli pozwolisz, wolałbym ją wypić sam. Ostatnio i tak było wokół mnie sporo zamieszania.

Uśmiechnął się, upił kawy i przez chwilę spoglądał na budynek ratusza.

„Napad Stulecia” – taki nagłówek pojawił się w większości szwedzkich gazet. Inne redakcje zatytułowały swoje teksty inaczej, np. „Najcenniejszy transport gotówki w historii”. Pieniądze miały być przewiezione z głównego oddziału Narodowego Banku Szwecji mieszczącego się w galerii handlowej położonej w samym sercu Sztokholmu do firm, które zamierzały nimi zapełnić swoje bankomaty w centrum miasta przed wyprzedają zaplanowaną na okres między drugim dniem Bożego Narodzenia a sylwestrem. Przez ten tydzień sklepy notują największe obroty i dochody w ciągu roku. I właśnie wtedy doszło do napadu na furgonetkę firmy ochroniarskiej. Jadąca nią pracownica została pod groźbą użycia broni zmuszona do wydania napastnikom samochodu z pieniędzmi. Do pewnego momentu zarówno media, jak i policja uważały ją za ofiarę. Dopiero Broncks spojrzął na to z innej perspektywy. Ustalił, że kobietę łączyły bliskie więzi z jednym z napastników. Dwa lata przed napadem zaczęła ubiegać się o pracę w firmie organizującej konwoje z pieniędzmi, a potem tylko realizowała założony wcześniej cel. Miała zdobyć zaufanie swoich zwierzchników, aby tamtego dnia wejść w skład obsługi tego konkretnego konwoju.

– Przykro mi, bo wiem, co masz na myśli, ale nie zamierzałam świętować akurat z tej okazji. Jestem tego samego zdania co ty: że to tylko praca. Przecież w tym, że robimy to, za co nam płacą, nie ma nic szczególnego.

Broncks poczerwieniał. Elisa zauważyła to, chociaż próbował zasłonić twarz kubkiem. Był zawstydzony swoim przypuszczeniem, że Elisa to kolejna osoba, której zaimponował jego sukces.

– Miałam na myśli to. – Spreczywała swoje słowa, wskazując na dwa dokumenty, które leżały na jej kolanach. Wzięła jeden z nich i położyła go na biurku Broncksa koło kubka. – Przyszłam świętować z tej okazji.

Broncks zerknął na fotografię i od razu ją rozpoznał, bo poprzedniego wieczoru widział ją wiele razy w mediach. Zdjęcie przedstawiało zwłoki leżące na asfalcie.

– Jari Ojala. Cyngiel, facet od ściągania haraczy. Za duże pieniądze zrobiłby wszystko. Odpowiedzialny za niejedno przestrelone kolano. Nigdy nienotowany w związku z napadem z bronią w ręce.

– Rozumiem. Chcesz świętować jego zejście?

Urażona ambicja. Ale przynajmniej już się nie czerwieni.

– Nie. Ojala nas nie interesuje. Za to broń, która leży koło niego na ziemi... – Elisa wychyliła się, żeby wskazać palcem na zdjęciu. – ...właśnie z jej powodu powinniśmy świętować. Wiem, że od dawna czekałaś na tę okazję. Dzięki tej broni będziesz mógł się w końcu pozbyć stosu tych papierów.

Mówiąc to, Elisa wskazała akta jednego z niedokończonych dochodzeń, które leżały na podłodze i liczyły sześć tysięcy stron.

– Ta broń doprowadzi nas do osób, które są winne wszystkich popełnionych przez siebie przestępstw, a nie tylko tych, za które zostały już skazane.

Elisa położyła na biurku drugi dokument.

Była to kopia jednej z sześciu tysięcy stron wspomnianych akt. Wyciąg ze zgłoszenia napadu z bronią w ręce, który zapoczątkował całą serię podobnych napadów.

Towar: broń	Towar: broń	Towar: broń	Towar: broń	Towar: broń
Model: AK 4	Model: AK 4	Model: AK 4	Model: AK 4	Model: AK 4
Nr: 11237	Nr: 10042	Nr: 11534	Nr: 12621	Nr: 10668

Dokument zawierał tabelkę, w której na kolejnych stronach wymieniono dwieście dwadzieścia jeden sztuk broni automatycznej skradzionej z tajnego magazynu broni należącego do wojska. Dochodzenie w tej sprawie prowadził John Broncks. Nie udało mu się ustalić, jaki był dalszy los łupu.

– Karabin widoczny na zdjęciu to jeden z tych, które znikły bez śladu i których nadal poszukujesz. Numer serii się zgadza, podobnie jak pieczęć z trzema koronami. To jeden z tych karabinów, których – jak twierdziłeś – Leo Důvnjac i członkowie jego rodziny używali podczas napadów na banki. Tego samego dnia, w którym Leo wyszedł na wolność, broń pojawiła się podczas kolejnego skoku.

Elisa wzięła swój kubek, wykonała gest, jak gdyby chciała wznieść nim toast, i wypija resztę pozbawionej smaku kawy.

– To twoja szansa. Sprawdź, jak ten karabin trafił na parking przed centrum handlowym, a być może dowiesz się reszty.

Broncks nie przyłączył się do jej „toastu”. Słyszał, co mówi Elisa, ale jej słowa nie w pełni do niego dotarły.

Důvnjac?

Czy ona ma na myśli ten konkretny skok na bank?

Broncks wstał zza biurka, pochylił się nad stosami papierów zalegających podłogę i zaczął je przerzucać. Całą dokumentację znał prawie na pamięć, więc wiedział, czego szuka. W końcu znalazł zdjęcia przedstawiające tunel wykopany pod bunkrem. Włamywacze wysadzili w powietrze podłogę i zabrali ze środka broń. Kradzież zauważono dopiero pół roku później, chociaż skład był codziennie sprawdzany. Tyle że od zewnątrz.

– Masz rację. Numer seryjny zgadza się z tym, które znajdują się w zgłoszeniu o kradzieży. To rzeczywiście może mieć coś wspólnego z Leo Důvnjaczem. Nie można jednak wykluczyć, że po tym, jak próbował nas szantażować, po prostu sprzedał komuś nielegalnie całą broń.

– Chyba sam w to nie wierzysz.

– Cały łup mógł trafić do obiegu już wtedy. Broń, która jest na twoim zdjęciu, może się teraz znajdować w posiadaniu kogoś z gangów.

– Sam w to nie wierzysz, bo dobrze wiesz, że od tamtej pory upłynęło sześć lat, a w tamtych czasach to właśnie karabin AK4 był tą bronią, której tradycyjnie używano podczas napadów na banki. Dzisiaj nikt się nim nie posługuje. Zastanów się: kiedy ostatnio słyszałeś o tym typie broni? Teraz przestępcy używają kałasznikowów. Doszłam do takich wniosków ostatniej nocy: połączyłam to, co podpowiadał mi instynkt, z faktami. Podczas napadów, do których doszło w ciągu ostatnich lat, ani razu nie użyto karabinu AK4.

Broncks spojrział na nią spod oka i usiadł na stosie papierów, jakby to był zwykły stołek.

– Leo Důvnjac... dobrze go pamiętam. Ale on nie strzelał do ludzi podczas napadów, to nie w jego stylu. Leo strzelał do kamer monitoringu, w ściany, szyby pancerne, sufity i do wszystkiego, co było pod ręką... Robił to tylko po to, żeby przestraszyć ludzi i zniechęcić ich do stawiania oporu. Za każdym razem to działało. Nawet policja się przed nim cofała. Miał broń dużego kalibru i udowodnił, że wie, jak się nią posługiwać. Przemocy używał w mądry sposób. Każdy jego strzał był jak... hm... jak słowo. Strzelanie na oślep, bez potrzeby? To do niego niepodobne.

Elisa spojrzała na niego spod łba.

– John?

Wiedziała, że to, co powie, nie zabrzmii zbyt przyjemnie.

– Ty nienawidzisz przemocy, bo przemoc cię nakręca. Tak samo jak dobieranie elementów układanki do momentu, aż będzie gotowa. Rozumiesz?

Elisa nacisnęła dźwignię fotela i lekko opuściła siedzenie.

– Kręciłeś się wtedy w miejscu, przez dwa lata działałeś tylko na podstawie tego, co podpowiadał ci instynkt. Wiedziałaś, że Leo ma na koncie dziesięć skoków na banki i wybuch bomby na dworcu, a poza tym odpowiada za największy w północnej Europie skok na kasę. Mimo to udało ci się go skazać wyłącznie za dwa przestępstwa, bo na inne nie miałeś dowodów. Instynkt to błąd, instynkt każe dobrym

policjantom iść na skróty. A gdy w końcu muszą zmienić kierunek, instynkt nadal wskazuje im błędną drogę – tak jak na początku.

Elisa nie była pewna, czy Broncks jej słucha, czy raczej myślimi jest gdzie indziej.

– Policjant, który kierował się instynktem i po pewnym czasie zrozumiał, że to błąd, powinien go zastąpić czymś innym. Jak myślisz, czym? Tylko nie mów, że pokorą, bo to błędne przypuszczenie. A co z prestiżem? Policjant, który prowadzi jakieś śledztwo, nie powinien się nim kierować. Słuchaj, co do ciebie mówię, i skup się na faktach. Jeśli podążysz śladem znalezionej broni, dowiesz się reszty.

Zamilkła. Jeśli Broncks rzeczywiście jej słuchał, powinien zareagować. Na przykład powiedzieć coś.

I tak się właśnie stało.

– Muszę ci się przyznać, że to dzisiaj już druga porcja – powiedział. – Sięgnął po kubek, żeby się napić, rozsiadł się na stosie papierów na tyle wygodnie, na ile to było możliwe, i przetarł oczy. – Pierwszą porcję przygotowałem sobie sam, w pokoju socjalnym, zaraz po przyjsciu do pracy. Zauważyłem, że całkiem smacznie ci się tam spało.

Po tych słowach uśmiechnął się do niej.

Elisa zrozumiała, że obudziła się tylko dlatego, że do pomieszczenia, w którym spała, wszedł Broncks. Tak, obudziła się, bo usłyszała, że po pokoju socjalnym ktoś się kręci.

– No dobrze, John. Jeśli uważasz, że ta broń to za mało, żeby powiązać Leo z napadem, to skupmy się na ucieczce. Doszło do niej w momencie, gdy policja była przekonana, że napastnik numer dwa – ten w niebieskim kombinezonie – nadal przebywa w pokoju bezpieczeństwa.

Elisa wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, nacisnęła klawisz z symbolem strzałki i podała go Bronckowski. Na ekranie pojawiło się nagranie zarejestrowane przez kamerę monitoringu, bez dźwięku. Rozdzielczość też nie była najlepsza – wprawdzie można było coś zobaczyć, ale na pewno nie wystarczy to dla celów identyfikacyjnych. Broncks opuścił lekko telefon, żeby świetlne refleksy nie odbijały się od ekranu.

Nagranie przedstawiało mężczyznę, który wchodzi na rampę odwrócony plecami do kamery. Przez ramię ma przewieszoną torbę. Emisja była przerywana, ponieważ przy każdym kroku zrobionym przez mężczyznę brakowało dwóch klatek. Mimo to było widać, jak zeskoczył z rampy, pobiegł w kierunku zaparkowanej ciężarówki, otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka. Dwadzieścia jeden sekund później zeskoczył z wozu i przeszedł szybkim krokiem do szoferki.

Broncks uniósł wzrok, spojrzał na Elisę w oczy.

Oboje pomyśleli w tym momencie o tym samym.

Kogo brakuje na nagraniu? Jaką rolę podczas ucieczki miał odegrać martwy napastnik? Kierować wozem czy tylko załadować do niego worki z łupem?

– Kolejne punkty planu świetnie się ze sobą zazębiają. Sam wiesz najlepiej, że to cecha szczególna napadów, które przygotował Dûvnjac. Muszę powiedzieć – chociaż robię to niechętnie – że jestem pod wrażeniem.

Elisa wyciągnęła rękę i Broncks oddał jej telefon.

– Napastnicy wiedzieli, że firma organizująca konwoje nadal pracuje w systemie o nazwie Generation 2, w którym chroniona jest torba, a nie kasety z pieniędzmi. Z dużym prawdopodobieństwem wiedzieli, że trzeba się liczyć z faktem, iż w pobliżu pojawi się jakiś radiowóz, że policja zdąży na miejsce i zobaczy nie tylko samochód z włączonym silnikiem, przy którym stał uzbrojony napastnik. Rabusie wiedzieli też, że my wiemy, iż przestępcy uciekają z miejsca zdarzenia tym samym wozem, którym przyjechali.

Elisa znowu przycisnęła właściwy klawisz. Czynnności, które wykonywał mężczyzna w niebieskim kombinezonie, puściła w zwolnionym tempie. Mimo to jego ruchy i tak były szybkie. Widać też było wyraźnie, że Niebieski Kombinezon wykonuje poszczególne czynności jak gdyby w zastępstwie drugiego napastnika, który leżał martwy na parkingu.

– Zaplanowali to tak, żebyśmy przez cały czas byli skupieni na niewłaściwym samochodzie, podczas gdy oni zamierzali uciec innym, który wtopi się w otoczenie. Zaparkowali go w tamtym miejscu na krótko przed skokiem. Ustaliłam, że poprzedniej nocy ktoś ukrał ciężarówkę z centrum logistycznego Arla w Västerås. Godzinę później skradziono tablicę z numerami rejestracyjnymi z wozu w centrum dystrybucyjnym Arla w Kallhäll.

Broncks wiedział, że to była ciężarówka do przewozu artykułów mlecznych. Na bocznej burcie znajdował się logotyp firmy. Widać to było wyraźnie na sekwencji obrazów, które przesuwają się na

wyświetlaczu w zwolnionym tempie.

– Zaplanowali to w taki sposób, że w momencie gdy opuścili miejsce zdarzenia, przestali być brutalnymi przestępcami i razem z samochodem, który wcześniej ukradli, wtopili się w otoczenie. Przejechali przez nasze blokady i nikt ich nie zauważył. Przyznaj, John, że w tych wszystkich sprawach, które prowadziłeś w ostatnich latach, na takie sztuczki stać było tylko jednego kasjarza.

Broncks nadal siedział na stosie papierów. Sprawiało mu to nawet pewną przyjemność, bo stos lekko się chwia, zmuszając jego plecy do niewielkiej aktywności fizycznej. Musiał balansować, żeby zachować równowagę.

Tak, Elisa miała najprawdopodobniej rację.

Całkiem możliwe, że skok zaplanował Důvnjac.

Napastnicy wykazali się niezwykłą pomysłowością: zamienili samochody, dzięki czemu drugi z napastników znikł bez śladu. Broncks bez trudu rozpoznał ten styl: genialny plan ucieczki i atrakcyjny obiekt napadu. Przestępcy za każdym razem wybierali niewielkie, położone na uboczu banki. Mieli kilka alternatywnych dróg ucieczki i mnóstwo pieniędzy w sejfie.

– Czwarty.

– Co czwarty?

Dokument. Elisa wyjęła go z drugiej kieszeni. Wyciąg z rejestru Służby Penitencjarnej.

– Oj! wyszedł na wolność pięć miesięcy temu. A wiesz, gdzie siedział?

– Nie, ale domyślam się, że ty wiesz?

– W Österåker, na Oddziale H.

– Naprawdę?

– Na tym samym oddziale siedział Leo, który na wolność wyszedł wczoraj.

Broncks wstał ze stosu tak energicznie, że papiery rozsypany się po podłodze. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. To nie był „prawdopodobnie” Důvnjac – to „na pewno” był on. Prawie zakręciło mu się w głowie, jak gdyby energia, którą kiedyś posiadał, przepelniła go na nowo.

– Niech to szlag!

– Zgadzam się. Tak sobie właśnie pomyślałam ostatniej nocy.

– I naprawdę chcesz mi tę sprawę oddać?

– Tak. Na moim biurku leżą trzy inne dochodzenia, które właśnie zaczęłam.

Broncks zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Krążył między biurkiem a oknem, a gdy się znowu odezwał, słowa wyrzucał z siebie z prędkością karabinu maszynowego.

– Wiesz co?

– Słucham.

– Zapomnij o tym. Nie chcę tych akt.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym, żebyś poprowadziła tę sprawę razem ze mną. Wspólnie wsadzimy tego gnojka za kraty.

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią, czekając na reakcję, a może nawet na uśmiech. Ale Elisa się nie uśmiechnęła. Siedziała w milczeniu, jak gdyby nie rozumiała jego słów.

– Powiedziałem, że chciałbym ci zaproponować współpracę...

– Słyszałam, co powiedziałeś. – Wstała energicznie z krzesła. – Nie jestem jednak pewna, czy jej chcę.

Zanim wypowiedziała to zdanie, Bronckowski wydawało się, że Elisa jest nieobecna duchem. Po tych słowach zrozumiał, że policjantka panuje nad myślami.

– Wolałbym cię dobrze zrozumieć: nie jesteś pewna, czy chcesz pracować przy tej sprawie?

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie jestem pewna, czy chcę pracować z tobą.

Elisa nie spuszczała z niego oczu. To, co powiedziała, było dokładnie przemyślane. Broncks powinien się obrazić, ale on tylko spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Co masz na myśli?

– Źe to, co niedawno chciałeś zrobić, zrobiłeś drugi raz. O jeden raz za dużo.

– Drugi raz? O co ci chodzi?

– Przed chwilą zastosowałeś najstarszą znaną sztuczkę – wyciągnąłeś mi dywan spod nóg. Powiedziałeś: „Nie chcę tych akt”. Pewnie miałeś nadzieję, że z radości padnę przy tobie na kolana i z wdzięcznością wezmę od ciebie to, co mi zechcesz zaoferować. Powiedziałeś: „Chciałbym, żebyś poprowadziła tę sprawę razem ze mną”. Przed chwilą, gdy przedstawiałam ci fakty, które udało mi się

zebrać – z którymi ty się nie zgadzałeś – próbowałeś mnie zmarginalizować, mówiąc, że przyglądałeś mi się, jak spałam na kanapie. „Zauważyłem, że całkiem smacznie ci się tam spało”. Tak postępują psychopaci. Nie lubię takich zachowań.

Broncks znowu zaczął chodzić po pokoju, chociaż nie robił tego z własnej woli. Po prostu rozsadała go energia.

Powinien się na nią obrazić wcześniej, ale nie zrobił tego.

Teraz znowu powinien się poczuć urażony. Ale nie był.

– Zanim wyjdiesz z pokoju i przekażesz mi akta sprawy, muszę cię poprosić o pewną rzecz.

Elisa, która pokonała już połowę odległości dzielącej ją od drzwi, zatrzymała się w pół kroku.

– Słucham.

– Chciałbym, żebyś go przesłuchała. Zrób to dla mnie. Jeśli usiądę naprzeciwko niego na tym etapie, nie zrobi to na nim żadnego wrażenia. Tak samo było przez prawie sześć miesięcy tamtego śledztwa. Obaj okopaliśmy się na swoich pozycjach. Poza tym wolałbym, żeby nie wiedział, że to ja prowadzę to dochodzenie. Przynajmniej na razie.

– Chcesz go zatrzymać? Za co? Z tego co widzę, nic na niego nie mamy. Możesz go tu przetrzymać najwyżej parę godzin.

– Zgoda. I on o tym wie. Jeśli go jednak nie zatrzymamy, zacznie się niepokoić i stanie się czujny. Przecież wie, że mamy broń, która została przy Ojali na parkingu, a którą on wcześniej ukradł. Wie też, że będziemy próbowali powiązać go z napadem, do którego doszło w dniu jego wyjścia na wolność. Tymczasem ja chcę, żeby poczuł się bezpiecznie, żeby dalej zajmował się tym, co można nazwać „programem finansowania”, bo podejrzewam, że to tylko wstęp do czegoś większego. Chcę go aresztować, gdy popełni przestępstwo, które dopiero planuje. Przy okazji znajdę resztę broni.

Elisa nie odpowiedziała. Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Broncks rzucił jeszcze za nią:

– A co ty o tym myślisz? Spędziłaś w tym brzydkim budynku całą noc. W pewnym momencie byłaś już tak zmęczona, że padłaś i zasnąłaś w pokoju socjalnym. Czy możesz mnie szczerze zapewnić, że ten facet cię nie interesuje?

Ból w piersi przybierał na sile. Pojawiło się też pieczenie.

Broncks od dawna nie czuł się tak źle. W pewnym momencie wydawało mu się nawet, że przepelniająca go energia próbuje znaleźć ujście odcinkiem, który zaczynał się w żołądku i kończył w miejscu zwanym po łacinie *solar plexus*, to znaczy splot słoneczny.

Trwało to pół godziny. W końcu pieczenie zaczęło słabnąć. Za każdym razem kiedy przesunął kursorem po osi czasowej nagrania z napadu na konwój, które skopiowała i wysłała mu na maila Elisa, napastnik – dobrze zbudowany, ubrany w luźny kombinezon mężczyzna – zeskakiwał z rampy i odjeżdżał ciężarówką do przewozu mleka.

To pierwszy ślad po tylu latach.

Pieczenie w piersi, które tak bardzo go przerażało, gdy był jeszcze dzieckiem, pojawiała się w momencie, kiedy mięśnie żołądka kurczyły się do środka zamiast rozkurczać na zewnątrz. A gdy miał do czynienia z przemocą, fala pieczenia mogła uderzyć dosłownie w każdej chwili. Najgorsze było zawsze to czekanie.

Dzisiaj, jako dorosły, potrafi to uczucie okiełznać. Nosi ten żar ze sobą jak człowiek pierwotny i chroni go, żeby płomień nigdy nie zgasł, żeby płonął tylko wtedy, gdy on będzie tego chciał.

Znowu przesunął kursorem po linii czasu i jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie z torbą na ramieniu. Rysopis się zgadzał, ale Broncks nie umiał określić, czy to naprawdę jest Důvnjac. Napastnik był od niego trochę bardziej barczysty. Nie ma w tym nic dziwnego, bo więźniowie budują za murami dodatkową masę mięśniową. Siłownia to nie tylko miejsce, gdzie ćwiczą i wymieniają się anabolikami. Jest też przestrzenią spotkań, gdzie osadzeni nawiązują nowe kontakty, a ich pomysły nabierają konkretnego kształtu. Podobnie jest w wielu innych zakładach karnych.

Broncks pochylił się w stronę zamazanego obrazu na ekranie monitora.

Jeśli mężczyzną, którego widzi na nagraniu, jest Leo Důvnjac, to dlaczego podczas napadu zginął Jari Ojala, a nie któryś z braci?

Kiedy ich przesłuchiwał, wyczuł, że istnieje między nimi pewna rysa, chociaż żaden z nich nie powiedział mu o tym wprost. Domyślił się, jak powstała – obaj młodsi bracia postanowili zrezygnować z przestępczego procederu, podczas gdy ich starszy brat dalej napadał na banki. Robił to razem z ich ojcem, aż w końcu obaj trafili za kraty. I właśnie dlatego jego młodsi bracia też poszli siedzieć. Dwa tygodnie po burzy śnieżnej i po rozbiciu samochodu, którym uciekali, Felix i Vincent zostali pojmani w pewnym mieszkaniu w Göteborgu. Zatrzymanie przebiegło bez żadnych problemów, jak gdyby siedzieli i czekali, aż ktoś po nich przyjdzie. Cała czwórka została poddana śledztwu, podczas którego obaj młodsi bracia doszli do wniosku, że prawdopodobnie całkowicie unikną odpowiedzialności. Jednak sprawa stała się we wszystkich mediach tak głośna, że na policję zaczęło wpływać coraz więcej nowych informacji. Jedną z nich była na tyle precyzyjna, że udało mu się znaleźć zniszczony karabin, którego rabusie użyli podczas podwójnego napadu. Pewna osoba poinformowała policję, że widziała pojazd pokazany na zdjęciach w telewizji. Był to samochód firmowy, którym bracia poruszali się po okolicy. Wspomniany człowiek obserwował, jak wóz wjeżdża w las, a potem ci, którzy nim jechali, wyładowali z niego jakieś ciężkie przedmioty i zatopili w niewielkim jeziorze. Sprowadzeni na miejsce nurkowie znaleźli na dnie owe „ciężkie przedmioty”. Okazało się, że były to skrzynie z elementami broni zalane betonem. Dzięki badaniom DNA i odciskom palców policji udało się powiązać całą trójkę z jednym z napadów.

Gdyby Leo Důvnjacowi udało się namówić do udziału w tym skoku swoich braci, na pewno by nie dopuścił, żeby któryś z nich zginął. Stworzył więc nową grupę przestępczą, a teraz jeden z jego współników nie żyje.

Jeśli to on jechał tamtą ciężarówką z mlekiem, to niewykluczone, że z nowej grupy pozostał tylko on.

Jeśli jednak nie on jechał tym wozem, oznacza to, że miał jeszcze jednego współnika, który nadal żyje.

Broncks po raz kolejny obejrzał nagranie z napastnikiem ubranym w kombinezon.

Leo albo jego współnik działają z zimną krwią. Po wyjściu na wolność zachowują się zwyczajnie. Jeden z nich został zastrzelony, a mimo to Leo albo jego współnik postępują tak, jak gdyby nic się nie

stało.

A on? No cóż, od sześciu lat nie czuł się tak dobrze.

Aż płonął ze szczęścia.

Los dawał mu drugą szansę, żeby posłał Leo Dûvnjaca za kraty i zamienił jego życie w takie samo piekło, z jakiego wyszedł wczoraj. Jednak tym razem zostanie w tym piekle znacznie dłużej.

Czarny samochód. Zbyt nowy, zbyt drogi i zbyt błyszczący. Już trzeci raz przejechał przed jej oknami, zwolnił przed podjazdem, ale ani razu się nie zatrzymał.

Britt-Marie wyraźnie widziała dwóch mężczyzn siedzących w środku: starszego o siwych włosach i młodszego krótko ostrzyżonego. Za każdym razem tych samych.

Samochód nie pasował do tego miejsca.

Ściana domu, na której były okna, wychodziła na szeroką, śmierzdzącą spalinami szosę do Nynäshamn. Od drogi, na której od świtu do wieczora trwał ciągły ruch, dom oddzielał jedynie cienki żywopłot. Z kolei z okna wychodzącego na stronę, na której ulica łącząca czternaście niewielkich domków tworzyła zakręt w kształcie litery „U” (a może „V”?), widziała jedynie samochody sąsiadów. Czarny błyszczący pojazd o opływowych kształtach przypominał jej łapy jakiegoś drapieznika.

Pierwszy raz zauważyła go około dziewiątej rano, zaraz po tym, jak się obudziła. Tego dnia miała wolne i nie musiała iść do domu opieki, więc zaparzyła sobie świeżej kawy. Samochód pojawił się przed oknem w porze, gdy zazwyczaj nie jeździ tu nic. Na osiedlu było zupełnie pusto, bo większość mieszkańców pracuje zawodowo, więc mogą sobie pozwolić na dojazd do pracy własnym samochodem. Ten pojazd zwrócił jej uwagę tylko dlatego, że kierowca zachowywał się tak, jak gdyby nie wiedział, którędy pojechać. Potem przestała go obserwować i zajęła się obiadem. Garnek z ziemniakami i woda będą czekać na płycie do gotowania. Wystarczy przekręcić pokrętko. Na desce do krojenia leżał płat różowego łososia przypominający dużego malinowego żelka. Wcześniej usunęła z niego drobne przezroczyste ości. Przypominało to depilowanie brwi, z tą tylko różnicą, że ości łososia są trudne do usunięcia. Wprawdzie są delikatne, ale trzymają się mocno, jak pręty zbrojeniowe. Potem włożyła rybę do długiej formy i postawiła na najwyższej półce lodówki. Kiedy wszyscy jej synowie zjawiają się na miejscu, wystawi go na dwadzieścia minut, doda soli i pieprzu, zaleje tłustą śmietaną, posypie koprem i odstawi na kolejne dziesięć minut. To ulubiona potrawa Vincenta, który od wyjścia z więzienia odwiedził ją już kilka razy. Nie jest tylko pewna, czy Leo nadal lubi łososia, tak jak kiedyś. Upłynęło tyle czasu...

Zjedzą obiad razem.

Była poruszona myślą o wspólnym posiłku. Tak rzadko widzi ich razem.

Drugi raz czarny samochód przejechał pod jej oknem jakieś pół godziny później. Wtedy poczuła się naprawdę nieswojo, choć sama nie wiedziała dlaczego. Nagle pomyślała o Ivanie. Może to on ma z tym coś wspólnego? Zjawił się przed więzieniem i brzęczał jak śmierzdząca mucha plujka. Po co on tam w ogóle przyszedł? Chce się jak kiedyś mieszać w jej sprawy? Znowu zacznie gadać o tym, że się zmienił, że podjął ważne decyzje, że chce zacząć wszystko od nowa i że dotyczy to także innych osób, choć one wcale sobie tego nie życzą?

Ivan chce zmienić coś, co od dawna jest zabetonowane na stałe i dlatego nie da się tego zrobić.

To, co się stało, już się nie odstanie.

Po tym, co się wydarzyło, postanowiła, że przez kolejne sześć lat nie będzie o nim myśleć. Właściwie to nie sześć, tylko osiemnaście. Niestety, przed sześcioma laty musiała pomyśleć o nim ponownie. Stało się tak w związku z napadem na bank, procesem sądowym i wymierzoną mu karą. Skąd biorą się w ogóle tacy ojcowie, którzy robią skok na bank razem ze swoim synem? Czy oni naprawdę wierzą, że to dobry sposób na bliższe poznanie dzieci, które się utraciło? Że można w ten sposób okazać im bliskość, a zarazem oczekiwać jej od nich? A potem miał czelność zjawić się pod bramą więzienia i twierdzić, że Leo żyje tylko dzięki niemu? Te jego durne marzenia o klanie, który ma trzymać sztamę przed całym światem! Te jego pieprzone więzi rodzinne! Czy jej synowie znowu wpadną przez nie w kłopoty? Więzi, które Ivan stworzył między nimi, gdy byli dziećmi, są naprawdę silne! Zrobił to wtedy, gdy chcieli pójść w innym niż on kierunku.

Britt-Marie pochylała się niżej, żeby lepiej widzieć. Jeden policzek oparła lekko o szybę. Obserwowała, jak tajemniczy samochód znowu zwolnił i trzeci raz przejechał koło jej domu. Nie chcąc go spuścić z oczu, biegała od okna do okna, z pokoju do pokoju, aż wóz wjechał na szosę do Nynäshamn i zniknął wśród innych pojazdów. Uznała, że znowu zaczyna sobie coś wmawiać, ale dobrze wiedziała, że dzieje się tak na skutek nocnej paniki. To te więzi, którymi są tak silnie połączeni,

ciągną ich w dół. To przez nie jest taka niespokojna i nadwrażliwa. Wszystko, co niedawno ją tak denerwowało, gdy pozwoliła Ivanowi zakraść się do swojej głowy, jak gdyby był jakimś drapieżnym zwierzęciem, a potem kręcić się koło niej i pilnować jej – wszystko to kazało jej tłumaczyć to, co widziała, w zupełnie inny sposób.

W tym momencie usłyszała szczerzy, perlisty śmiech.

Do jadalni weszli Felix i Leo. Felix śmiał się tak, jak od dawna tego nie robił. Wyglądał na radosnego, prawie szczęśliwego, że znowu może usiąść przy jednym stole ze swoim najstarszym bratem. Tymczasem Leo zaczął się wygłupiać, udawał kogoś innego. Zupełnie jak kiedyś, gdy przebywali tylko w swoim towarzystwie. Jest w tym naprawdę dobry. Tak jak dawniej rozmawiają ze sobą swoim własnym żargonem. Leo zawsze wiedział, jak łatwo złamać upór młodszego brata.

Britt-Marie od razu otrząsnęła się z przykrego nastroju, jaki wywołał w niej widok tajemniczego samochodu. Powinna się w końcu rozerwać. Świętować wspólne spotkanie, cieszyć się, że znowu są rodziną. Bo właśnie taką rodzinę sobie zawsze wyobrażała.

Nazą taką rodzinę czekała i za taką tęskniła.

Ten obiad był dla niej czymś w rodzaju rodzinnego zjednoczenia. Przy stole zasiadają jej trzej synowie. Marzyła o takim widoku przed każdą wizytą w więzieniu. Dzięki takim marzeniom wytrzymała w czekaniu.

Domowy telefon dzwoni rzadko. Po tym, jak policja aresztowała jej synów, większość znajomych przestała się z nią kontaktować. Tak to już z nimi bywa. To kwestia wstydu. Zresztą jej też nie za bardzo zależało na podtrzymywaniu kontaktów. Wstyd izoluje człowieka od innych ludzi. Ten, kto się czegoś wstydy, separuje się od innych.

I właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Pokój wypełnił ostry dźwięk.

– Cześć, mam.

– Vincent! Fajnie, że dzwonisz.

Britt-Marie przeszła ze słuchawką pod lodówkę. W jednej ręce trzymała aparat, w drugiej foremkę z łososiem.

– Za ile będziesz? Mam wstawić łososia już teraz? To trochę potrwa, pewnie pamiętasz, że śmietana musi stwardnieć. Taką lubisz najbardziej.

– Mamo, ja nie przyjadę.

Britt-Marie stanęła nieruchomo, starając się zachować równowagę.

– Czy coś... czy coś się stało?

– Po prostu nie zdążę. Jutro mam odbiór mieszkania, a tu się okazało, że pękły dwa duże panele podłogowe. To ten włoski szajs, który zawsze pęka w starych sypialniach. Od samego początku ostrzegałem właścicieli.

Britt-Marie wsłuchiwała się w słowa syna, który rzadko wypowiadał się w tak precyzyjny sposób. Jego wyjaśnienia były zbyt szczegółowe, żeby mogła je uznać za prawdziwe.

– Mówisz prawdę?

– Mamo?

– Słucham.

– Ja już nie wyrabiam.

Może powinna się poczuć zawiedziona, że jej marzenie się nie spełni. Miało być trzech synów, będzie tylko dwóch. Z drugiej strony poczuła ulgę. Domyśliła się, dlaczego Vincent powiedział, że już „nie wyrabia”. To przez te więzi, z których jej udało się wyrwać. Wczoraj nie przyszedł pod więzienie. W pewnym sensie fakt, iż jej syn w końcu zrozumiał, że takie więzi mogą się zamienić w pęta, ucieszył ją. Dopiero teraz Vincent będzie mógł zachować wobec nich pewien dystans, stawić im czoło. Nawet jeśli musi przez to okłamywać własną matkę.

– Zostawię trochę dla ciebie. Schowam do lodówki. Wpadnij, jak zgłodniejesz.

Britt-Marie otworzyła piecyk i włożyła półmisek z łososiem do środka. Pomieszała ziemniaki i wyjęła dzbanek z zimną wodą. Skórki po cytrynie mieszały się z kawałkami lodu i uderzały o szklane ścianki. Poszła do jadalni, gdzie nadal dominował głośny śmiech jej dwóch synów. Jak za dawnych czasów. Postawiła na stole karafkę z wodą i zdjęła jedno nakrycie.

– Zaraz podam jedzenie. Niestety, zjemy bez Vincenta. Dzwonił, że nie przyjedzie.

Britt-Marie odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, ale gdy doszła do progu, odezwał się Leo.

– Mamo?

- Tak?
- Dlaczego Vincent nie przyjedzie?
- Powiedział, że coś z... popękały mu jakieś włoskie panele, a jutro ma odbiór mieszkania.
- Niech to szlag! Znowu ta praca.

Ten jego głos. Nie lubi, gdy Leo mówi takim tonem. Domyśla się prawdy. Wie, że Vincent skłamał, a ona tylko przekazała im to kłamstwo. Leo zrozumiał, że jego młodszy brat go unika. Kiedy więc weszła do kuchni, śmiech – jeszcze przed chwilą tak szczerzy i serdeczny – ustał.

– Mamo?

Leo patrzył na nią z głębi pokoju.

– Jeśli Vincent znowu zadzwoni, przekaz mu, że ja też pracowałem w budowlance, kładłem kafelki i robiłem inne rzeczy, i dobrze wiem, czego ktoś, kto dokonuje odbioru, szuka, żeby znaleźć jakieś niedoróbki.

Felix milczał, ale kiedy Britt-Marie wyszła do kuchni, pochylił się w stronę brata i szepnął:

– Daj mu spokój. Vincent sam się odezwie, jak będzie gotowy.

Leo nie odpowiedział. Wstał od stołu i ostrożnie zamknął drzwi. W pokoju zapadła cisza.

– Mamy teraz chwilę dla siebie.

– Dla siebie? O czym ty mówisz?

– Pamiętasz, jak byliśmy mali, a mama wołała do nas z balkonu, że jedzenie będzie zaraz gotowe?

Leo sięgnął po dzbanek i kostki lodu znowu uderzyły o szklane ścianki. Zamknięte drzwi, woda, oni dwaj, a za drzwiami ich matka. Jak na rozprawie sądowej.

– Felix?

– Tak?

– Jak zamierzasz dalej żyć? Mówię o prawdziwym życiu.

– Nie zaczynaj znowu.

– Chcesz wegetować za studenckie stypendium? Skarżyć się rzecznikowi praw konsumenta, że masz długi? Odchodzić z kwitkiem, gdy bank odmówi ci kredytu? Usłyszeć, że nie dostaniesz roboty, bo figurujesz w rejestrze przestępców? Czy raczej wolisz mieć mnóstwo pieniędzy, wynieść się z tego pieprzonego kraju i zacząć nowe życie?

Felix odchylił się, jak podczas negocjacji, gdy chcemy dać komuś do zrozumienia, że nie spodobało nam się zadane pytanie.

– Zaraz wejdzie mama... o co ci chodzi?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Jakiej pomocy?

– Musiałbyś kogoś zastąpić.

Felix poczuł, jak kostka lodu utknęła mu między policzkiem a zębami. Kiedy ją rozgryzł, w pokoju rozległ się głośny trzask.

– Zastąpić? Wczoraj doszło do strzelaniny. Ja też oglądałem telewizję.

Leo odczekał, aż Felix przestanie gryźć kostkę lodu.

– To sprawa jednorazowa. Bez użycia broni. Coś zupełnie nowego w porównaniu z tym, co robiliśmy wcześniej. Superskok.

– Jednorazowe zastępstwo? Superskok? Tak samo to brzmiało ostatnim razem. Nie pamiętasz? Przed sklepem ICA. Zanim zwinęliśmy trzydzieści tysięcy ze skórzanej torby... tylko ten jeden raz i później będziemy mieć spokój. Jak powiedziałaś, braciszku? Skok? Tak, skok!

– Właśnie o tym mówię. Mam genialny pomysł. Wpadamy do środka, zabieramy sto milionów i nikt nawet nie zauważy. Nigdy bym ci tego nie proponował, gdyby chodziło... powiedzmy... o dwadzieścia milionów. To nie wystarczy, bo żeby zniknąć, trzeba sporo wydać. Forsa skończyłaby się po dwóch latach. Ja mówię o stu milionach. A oni nawet się nie domyślą, że coś takiego robimy.

Leo położył dłoń na łokciu Felixa, który aż się wzdrygnął. Potem obaj żałowali: Leo – że go dotknął; Felix – że zareagował tak nerwowo.

– Jak już o tym mówimy... potem już tego nie robiliśmy. Przynajmniej przez dziesięć lat.

– A ja i tak wiedziałem, że nie zrezygnujesz i kiedyś to znowu zrobisz. Taki właśnie jesteś. Taki się stałeś, gdy tata pobił mamę, a ty zająłeś jego miejsce.

– Psycholog amator. Pełno takich spotkałem... za murami.

– Nazywaj to, jak chcesz. Ja wiem, że nigdy nie chodziło ci o pieniądze... żeby ukraść bankowy worek, w którym jest trzydzieści tysięcy. Tak naprawdę zależało ci na tym, żebyś mógł zaplanować skok, umknąć pościgowi i kontrolować sytuację i żeby wszystko przebiegło sprawnie. Tak samo było w przypadku dziesięciu banków, które zrobiliśmy. Tam też nie chodziło o forszę. Przynajmniej tobie, bez względu na to, co twierdzisz. To bez znaczenia. Dla ciebie zawsze ważne było tylko to, żeby ci się udało. Jeden skok, drugi, trzeci. Nie wiadomo, do czego by w końcu doszło, gdyby ktoś tego nie zatrzymał.

– Posłuchaj, ja...

– Co znowu?

– Właśnie próbuję ci to wytłumaczyć... przyłącz się do mnie, żebyśmy dokończyli to, co ktoś nam przerwał. Mówię o największym skoku w historii Szwecji.

– Żebyś znowu mógł udowodnić, co potrafisz?

– Nazywaj to, jak chcesz, bracie, jeśli wprawia cię to w dobry humor. Ale ja to zrobię. Wchodzisz w to czy nie?

Felix zerknął w kierunku drzwi.

– Rozlana krew.

– Co?

– Jest o wiele lepsza niż czarna dziura.

– Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze. Pytanie brzmi, czy ty czujesz się dobrze. Czy rozumiesz, czego chcesz i dokąd zmierzasz? Bo ja wiem, jaki mam cel. I za każdym razem wybieram rozlaną krew.

– Felix... o czym ty, kurwa, gadasz?

– Kiedy byliśmy mali... ile miałeś wtedy lat? Dziewięć? Dziesięć? Ty, ojciec i ten wasz pieprzony niedźwiedzi taniec. To była wasza filozofia, filozofia przemocy. To on ci ją wpoił, żebyś umiał oddać, jak ktoś nas zaczepi. Na pewno to pamiętasz. Ale ja zapamiętałem, jak ojciec bił mamę i jej zaczerwienione oczy. Pamiętam też czarne dziury, które uderzały w środku. Zapamiętałem, że czerwony kolor później zniknął, zostały tylko tamte dziury. Kumasz, bracie? To proste, ale taka jest moja filozofia przemocy – rozlana krew jest lepsza niż czarne dziury.

Leo uśmiechnął się szyderczo.

– Teraz kumam! Chodziłeś na spotkania z więziennym psychologiem, a on nawcisnął ci bzdetów o tym...

– Dlaczego?

– ...że w tym pieprzonym tyglu dzieciństwa wszyscy czują się źle...

– Dlaczego?

– ...że grzebią się w popsutych zabawkach...

– Dlaczego?

– ...siedziałeś u niego i cofałeś się w rozwoju, podczas gdy ja się rozwijałem, a potem...

– Leo, posłuchaj mnie do cholery! Dlaczego ty to robisz?

Felix zerwał się z krzesła i przestał szeptać.

– Odpowiedz!

– Bo to moja jedyna szansa.

– Nieprawda. My już mieliśmy swoje szanse.

– Za dwa dni zrobimy coś, czego policja nigdy nie rozgryzie. Tamten baran, Broncks, też się nie skapuje. Do czasu, aż znikniemy.

– Znikniemy?

– Na zawsze. Po takim skoku nie będziemy mogli zostać w kraju. To dlatego z tobą rozmawiam. Nie chcę stąd wyjeżdżać bez ciebie ani bez Vincenta.

Felixowi łatwiej było rozmawiać ze starszym bratem, gdy Leo się wygłupiał i hałasował. Teraz okazało się, że to wcale nie żarty. Wszystko, o czym mówił, brał na poważnie, a na dodatek domagał się jednoznacznych odpowiedzi.

– Nie chcę twoich pieniędzy ze skoku. Podjąłem taką decyzję na długo przed tym, jak trafiłeś za kraty. Dobrze o tym wiesz.

Leo spojrzął w stronę okna – wydawało mu się, że ktoś dzwoni do drzwi wejściowych. Dwa głośne, dwa ciche i znowu dwa głośne sygnały.

– Dlatego powtarzam: nie będę brał udziału w żadnym skoku. Sam wtedy powiedziałeś, że to sprawa jednorazowa. A tu proszę: żyjącej się następne. Wiem, że tak będzie. I ty też o tym wiesz. Ale ja już nie chcę prowadzić takiego życia. Koniec z tym.

Przy drzwiach znowu rozległ się dźwięk dzwonka, a po nim kroki Britt-Marie. Kiedy otworzyła drzwi pokoju, usłyszeli szum kuchennego wentylatora.

– Leo, ktoś do ciebie.

Szum wentylatora mieszał się z zapachem prawie gotowej tłustej ryby z koprem. Britt-Marie zajrzała do pokoju. Jej twarz nie była już tak radosna jak przed chwilą. Uczucie szczęścia zgasło na dobre.

– Policja. Chcą z tobą rozmawiać.

Drzwi były na tyle szeroko uchylone, że dało się przez nie zajrzeć do przedpokoju. Stali w nim dwaj mężczyźni i kobieta. Ubrani byli po cywilnemu, ale Leo od razu odgadł, że pracują w policji. Widział ich rano, gdy jeździli po dzielnicy czarnym samochodem. Starszy miał siwe wąsy, młodszy był wysportowany i opalony. Leo domyślił się, że ich wizyta jest zapowiedzią czegoś poważniejszego, a oni stanowią coś w rodzaju przedniej straży, która ma potwierdzić, czy Leo Dûvnjac na pewno przebywa w tym domu.

Po śmierci Ojali jego karabin wpadł w ręce policji. Leo był pewien, że Broncks go odszuka. Nie wiedział tylko kiedy. Od razu się domyślił, jak Broncks to zrobi: dopadnie go w domu jego matki, bo w takiej sytuacji ryzyko użycia przez niego przemocy będzie stosunkowo niskie.

Pora obiadu, na kilka godzin przed zapadnięciem zmroku.

Leo rozumiał, że będzie potrzebował więcej czasu, żeby przystąpić do realizacji drugiego punktu swojego planu – „odwiedzin”. Będzie musiał wprowadzić w nim pewne zmiany. Teraz, kiedy Broncks znalazł tę broń, przygotowania do „odwiedzin” i same „odwiedziny” pochłoną więcej czasu, niż przewidywał. Ale nowy plan wcale nie musi być gorszy. Nowe okoliczności należy zawsze obrócić na swoją korzyść. Leo dobrze o tym wiedział. Po południu, kiedy Broncks weźmie go na przesłuchanie, sprowokuje go i skieruje na fałszywy trop. Dzięki temu dopiero po tym, jak już będzie po wszystkim, Broncks zrozumie, że został oszukany podwójnie.

Leo wzruszył ramionami i wstał z krzesła. Felix pochylił się w jego stronę i syknął: „Nigdy więcej mi tego nie proponuj”. Leo minął Britt-Marie, uśmiechnął się do niej, pogłaskał ją po policzku, tak jak ona pogłaskała go poprzedniego wieczoru, szepnęła jej do ucha „Wszystko będzie w porządku” i wyszedł do kuchni. Rozejrzał się, zerknął za okno. Na podjeździe stały dwa samochody. W jednym z nich siedział policjant, który na niego czekał.

Ale to nie był Broncks.

Leo odwrócił się do policjanta z siwymi włosami.

– Czego chcecie?

Odpowiedź przyszła natychmiast, ale nie ze strony policjanta, tylko policjantki, która była od niego niewiele starsza.

– Nazywam się Elisa Cuesta. Pojedźcie pan z nami na przesłuchanie. Chcemy coś wyjaśnić.

Leo przyjrzał się jej uważnie – wysoka i szczupła, stanowczy, niewzruszony wzrok. Tak samo patrzyła na niego mama, gdy był chłopcem: jej oczy nie były ani smutne, ani pełne wyrzutu. Radość i nadzieję zastąpiła poza, którą czasem przybierała, gdy on i jego bracia byli mali. Taka poza była jednak znacznie gorsza. Leo skinął bez słowa głową. Nie było sensu dyskutować, więc po prostu ruszył do wyjścia i podszedł do samochodów stojących na podjeździe.

– Zabieramy pani syna na przesłuchanie, ale przeszukamy dom, ponieważ pani syn wskazał ten adres jako miejsce zamieszkania.

Britt-Marie spojrzała na młodą policjantkę. Chcą przeszukać jej dom? Bezpieczne miejsce, w którym po przeprowadzce na nowo ułożyła sobie życie, zostawiając za sobą wstyd i skryte szeptki na temat swojej przestępczej rodziny?

– Nie bardzo rozumiem...

Obcy ludzie chcą grzebać na oczach sąsiadów w jej bezpiecznym miejscu?

– Proszę mi pokazać nakaz...

Wtedy nie przeszukali jej mieszkania. Czyżby stało się coś gorszego? Czy Leo zrobił coś strasznego? Wczoraj wrócił do domu późno. „Głównie jeździłem po mieście. Cieszyłem się samą jazdą”.

Britt-Marie zamierzała ponownie zwrócić się do policjantki, która chyba kierowała całą akcją, o przedstawienie nakazu, ale w tym samym momencie wtrącił się Felix.

– Mamo... oni nie muszą mieć nakazu. W tym kraju policja może wejść do każdego domu i wywrócić go do góry nogami bez pozwolenia. Wystarczy, że jakiś prokurator ma zły dzień.

– Domyślam się, że mam do czynienia z Felixem?

Elisa spojrzała na chłopaka, który był trochę wyższy od swojego starszego brata i mocniej od niego zbudowany. Miał też ciemniejsze włosy, bo Leo był blondynem.

– Tak, to ja.

– W takim razie chciałabym prosić...

Policjantka wyjęła z górnej kieszeni kurtki jakąś kartkę i wskazała na tekst znajdujący się w dolnej części.

– ...żebyś sprawdził, czy adres się zgadza.

Felix skinął głową.

– Tak, zgadza się.

– A ten drugi adres, twojego młodszego brata? Też się zgadza?

– Tak.

– Dziękuję. W takim razie wpisz na samym dole, w tej kratce, adresy, gdzie można was zastać w ciągu dnia.

Policjantka podała mu długopis, a Britt-Marie otworzyła piecyk i wyjęła z niego łososia. Śmietana trochę się przypaliła. Britt-Marie postawiła go z trzaskiem na płytce pieca.

– Chciałabym w końcu usłyszeć, o co tu chodzi! Wyprowadzacie z domu mojego syna i zbieracie informacje o dwóch pozostałych, chociaż obaj już odsiedzieli swoje wyroki! Od dwóch lat są na wolności i przez cały ten czas nie zrobili nic, co mogłoby was zainteresować!

Podniesiony głos Britt-Marie nie wywarł na policjantce żadnego wrażenia.

– Przykro mi, ale to rutynowe czynności. Mam nadzieję, pewnie tak jak pani, że dzięki nim żadnego z pani synów nie będziemy musieli ponownie przesłuchiwać.

Britt-Marie spojrzała na policjantkę, ale jej słowa nie do końca do niej dotarły. Usłyszała za to coś innego: skrzypienie drzwi szafy w jej sypialni, trzask wieszaków na ubrania rzuconych na łóżko i szuranie szuflad wysuwanych z komody, w której trzymała bieliznę. Przeszła szybkim krokiem do pokoju i ujrzała, jak policjanci wyrzucają zawartość szuflad na podłogę, jak w podobny sposób traktują komodę koło nocnej szafki, a z narożnej szafy wyciągają ręczniki i pościel. Chciała przejść przez próg, żeby zaprotestować, ale w tym momencie podeszła do niej policjantka.

– Jeśli pani stąd wyjdzie, dopilnuję, żeby moi koledzy traktowali pani rzeczy łagodniej.

Policjantka odczekała, aż Britt-Marie wróci do kuchni.

– Przerwijcie to.

Policjanci popatrzyli na nią, ale nie przestali grzebać w majtkach i powłóczkach.

– Powiedziałam: przerwijcie.

Dopiero teraz wykonali jej polecenie.

– Od tej chwili macie to robić z szacunkiem. Nigdzie nam się nie spieszy. Takie zachowanie podkopuje zaufanie do policji. Przecież nie można wykluczyć, że jeszcze będziemy potrzebować pomocy tej kobiety.

Elisa odczekała dłuższą chwilę, żeby się upewnić, czy jej słowa zostały dobrze zrozumiane, po czym odwróciła się do Britt-Marie, która stała przy piecyku plecami do niej i zdrapywała z łososia warstwę przypalonej śmietany.

– Bardzo przepraszam. Wiem, co pani czuje. To tak, jak gdyby była pani świadkiem włamania do własnego domu.

Britt-Marie nie odpowiedziała, chociaż młoda policjantka zwróciła się do niej uprzejmym tonem. Nawet się do niej nie odwróciła, bo po prostu nie miała już sił. Przypaloną śmietaną, która nie nadawała się do jedzenia, zdrapywała widelcem do kosza na śmieci. Potem całą formę owinęła w folię. Przez cały czas słyszała, jak dwaj policjanci przeszukują jej sypialnię, chociaż teraz robili to w delikatniejszy sposób. Potem drzwi wyjściowe zamknęły się z trzaskiem i policjantka zaprowadziła Leo do jednego z samochodów.

Dopiero w tym momencie do niej dotarło, że to, nad czym od pewnego czasu tak intensywnie pracowała, nigdy się nie uda. Proces ponownego scalania rodziny to trudna rzecz. Tak właśnie wygląda proces rozpadu, gdy raz naruszone więzi zaczynają w pewnym momencie pękać.

Ciasny, sterylnie czysty pokój. Trochę jak większa garderoba. Prosty stół, a na nim szesnastocalowy monitor. Puste ściany, słabe oświetlenie. Kubek herbaty.

To wszystko.

Broncks sięgnął po kubek i wypił łyk napoju.

Srebrna herbata. We wcześniejszym życiu rzecz wprost nie do pomyślenia. Lekarz poinformował go przed pięcioma laty, że w wieku trzydziestu pięciu lat przyjął już życiową dawkę kawy. Teraz odczuwał osobliwą pustkę. Dziwne... coś tak trywialnego jak kawa. Od tamtej pory musiał zapomnieć o dwunastu kubkach kafeiny dziennie. Jego wstrzemięźliwość w tym względzie osłabła już po dwóch tygodniach – pojawiły się zmęczenie, bóle głowy, drżenie dłoni, a wszystko przez rezygnację z napoju, do którego przez tyle lat zdążył się przyzwyczaić. Nie dawało mu to spokoju. Nie mógł już wodzić palcami po brzegach kubka, czuć jego ciepłego dotyku i tego, jak po całym ciele rozchodzi się rozgrzewająca fala. Wtedy przypomniał mu się dziadek, siwy, mądry człowiek. Każdy dzień zaczynał od tego, co nazywał „srebrną herbatą”. Była to podgrzana zwykła woda. Co jakiś czas pozwalał sobie na odrobinę luksusu i dodawał do niej łyżeczkę śmietany. Kiedy następnego dnia Broncks zjawił się na komendzie i poczuł charakterystyczne ssanie żołądka, poszedł do pokoju socjalnego, zagrzał wody w czajniku i po raz pierwszy w życiu przygotował sobie porcję „srebrnej herbaty”. Dawny nawyk ustąpił miejsca nowemu. Taka „herbata” też utrzymywała ciepło w całym ciele.

Broncks postawił kubek obok monitora i poprawił mikrofon połączony ze słuchawką zawieszoną na uchu. Nie chciał, żeby urządzenie ześlizgiwało mu się w trakcie wykonywanych czynności.

– Eliso?

Brak odpowiedzi.

– Słyszysz mnie?

W słuchawce rozległy się trzaski. Widocznie Elisa robiła to samo co on: poprawiała mikrofon i słuchawkę.

– Teraz cię słyszę, i to świetnie.

– Doskonale. Zanim zaczniesz, powtórzę, co uzgodniliśmy. Dûvnjac w żadnym wypadku nie powinien się domyślić, że to ja nadzoruję śledztwo. Czuję, że to początek czegoś większego. Powinien stąd wyjść uspokojony, żeby mógł dalej robić to, co zaplanował. Powodzenia.

Broncks włączył ekran monitora. Widać było na nim taki sam pokój jak ten, w którym się znajdował. Zimne ściany, brzydki stolik jako główny mebel, a zamiast monitora kamera do nagrywania. Jednak jego nie interesował ani stolik, ani to, co na nim stało, tylko człowiek oparty łokciami o blat.

Znał go, a jednocześnie wcale go nie znał.

Jasne włosy, niebieskie oczy, cienkie, stalowe wargi.

Kiedyś spędził w tym pokoju prawie sześć miesięcy. Jego rozmówcami byli członkowie tej samej rodziny: najstarszy brat, średni brat, najmłodszy brat i ich ojciec. Z ich ust nigdy nie padło ani jedno nieprzemyślane słowo. Ich zeznania współgrały z przygotowanymi zawnazu reakcjami. Pełne wyższości milczenie, prowokujące spojrzenia kierowane w podłogę. Uśmiech towarzyszący stwierdzeniom typu „Bez komentarza”, „Nigdy o tym nie słyszałem” albo „Nie znam go, nigdy go nie spotkałem... jak on się nazywał?”

Dwadzieścia dziewięć godzin na wolności. A teraz ten gnojek znowu tam siedzi i czeka, aż otworzą się drzwi, ktoś wejdzie do środka, przyciągnie do stołu drugie krzesło i zacznie zadawać pytania, na które znowu nie będzie odpowiedzi.

Broncks przysunął się bliżej do ekranu.

Leo Dûvnjac wydawał się spokojny, w ogóle nie przypominał kogoś, kto poprzedniego dnia napadł na konwoj z pieniędzmi i był przy śmierci swojego kompana. A przecież policja miała w posiadaniu konkretne fakty, takie jak znaleziona broń, zwłoki bandyty, który się nią posługiwał, ucieczka, określony czas napadu. Broncks był pewien, że Elisa zbierze te elementy i stworzy z nich logiczną układankę.

„Widzę cię. Wiesz o tym?”

Leo nie tylko wyglądał na spokojnego, ale także skoncentrowanego i prawie zadowolonego. Tak jak dawniej patrzył na brzydki stolik i opierał się na nim łokciami. Broncks już wcześniej zauważył, że

w jednym względzie obaj są do siebie podobni: każdego z nich fascynuje dramaturgia przesłuchania. Leo wpatrywał się w blat stołu, powoli przesuwał po nim dłonią. Później podobny ruch zaczął wykonywać tylko środkowym palcem. Delikatnie, prawie namiętnie. Jak gdyby chciał poprawić swoją sytuację w niewidzialnej grze planszowej i tylko czekał, aż wolno mu będzie przesunąć figurę na inne pole.

Figurę – ale nie mnie, ty gnojku. Nie tym razem.

Broncks nie zdążył zastanowić się nad treścią tego zdania, bo w pewnym momencie Leo pochylił się i spojrział w obiektyw kamery. Wzrok miał ożywiony, jak gdyby patrzył na żywego człowieka. Nagle uśmiechnął się, jak gdyby kierował ten uśmiech do lustra. Mało brakowało, a Broncks też by to zrobił.

W końcu ktoś nacisnęła klamkę i Broncks usłyszał lekkie kroki, które od dwóch lat słyszał codziennie na korytarzu wydziału śledczego. Elisa. Następnie rozległo się szuranie krzesła, które ktoś – na razie niewidzialny dla kamery – przesuwał po podłodze, a potem na nim usiadł. Z ujęcia kamery po lewej stronie ekranu widać było barki, policzek i krótkie ciemne włosy na karku.

– Kazaliście mi czekać. To taki świadomy zabieg, prawda? Mam się stresować? Jeśli tak, to powinniście wiedzieć, że na mnie to nie działa. Już kiedyś stosowaliście wobec mnie tę sztukę.

Leo mówił opanowanym głosem, jak podczas każdego przesłuchania. Tylko on jeden spośród trzech braci wprowadzał od czasu do czasu do przesłuchań elementy prawdziwej rozmowy, wplatając kolejne wątki między jedno stwierdzenie typu „Bez komentarza” a drugie. Mimo to w tym, o czym mówił, nigdy nie było żadnych sprzeczności. Nigdy też się nie wygadał. Prawdopodobnie zachowywał się tak ze zwykłej potrzeby prowadzenia inteligentnej, acz przymusowej wymiany zdań. Okazało się, że Leo jest niezwykle czytany, a jego poczucie humoru było efektem rozważań, które prezentował z dużą swobodą.

– To pokój przesłuchań. Widziałem ich już tyle, że od razu się domyśliłem. U mamy w domu wydawało mi się, że zamierzała pani tylko wyjaśnić pewne sprawy, a nie mnie przesłuchiwać.

Elisa nie odpowiedziała. To nie było pytanie.

– Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym włączyła kamerę?

– Tak.

– Naprawdę? A dlaczego, jeśli...

– Myślę, że byłoby to dość dziwne, a nawet dziwaczne. Przecież kamera i tak jest już włączona.

Leo znowu spojrział w obiektyw i się uśmiechnął. Broncks wiedział, że ten uśmiech przeznaczony jest dla niego. Doskonale pamiętał, co poczuł, gdy sobie uświadomił, że człowiek, którego przesłuchiwał i który jego zdaniem na pewno miał na swym koncie dziesięć napadów na bank, posiada mózg dorosłego dziecka. Bardzo chciałby się tam wedrzeć i zrozumieć procesy, które w nim zachodzą.

Krzeselko Elisy znowu zaskrzybiało, ale nie tak jak przedtem, tylko inaczej: tym razem plastikowe nakładki na nogach przesuwały się po linoleum. Elisa podeszła do mikrofonu przy kamerze, odnalazła czerwoną diodę i upewniła się, że urządzenie rzeczywiście jest włączone. Kiedy znowu się odezwała, głos miała ironiczny i uszczypliwy.

– Faktycznie, ma pan rację... kamera rzeczywiście jest włączona. Technik, który ją włączył, powinien mnie o tym poinformować.

„Technik”.

Wymawiając to słowo, Elisa popatrzyła w obiektyw kamery. Na Broncksa.

I miała rację. Rzeczywiście, powinien ją o tym poinformować. Ale cóż, bardzo mu się spieszyło, a poza tym wiele oczekiwał po tej rozmowie. Czuł się tak, jak gdyby za chwilę miał ujrzeć starego przyjaciela. Już zaraz zobaczy, czy twarz mu się postarzała, czy oczy nabrały innej głębi, czy uśmiech zastygł mu na wargach, czy po latach spędzonych w więzieniu cokolwiek zrozumiał i czy codzienne życie w roli słynnego kasjarza pośród najgorszych kryminalistów w Szwecji nie utwierdziło go w jego przestępczej tożsamości. Broncks czuł się prawie tak, jak gdyby spotkał starego druha. Z jedną różnicą: miał nadzieję, że ów druh nie zmienił się z czasem na lepsze.

Elisa znikła z ekranu, ale chwilę potem ujrzał to samo co poprzednio: jej barki, kark i policzek.

Prowadząca przesłuchanie (PP) Elisa Cuesta: Przesłuchanie wyjaśniające z udziałem Leo Ivana Důvnjaca (LD) rozpoczęło się o godzinie 14.17 w siedzibie Policji Miejskiej w Kronobergu.

Elisa wzięła do ręki teczkę z dokumentami i uderzyła nią mocno o blat stołu, jak gdyby chciała ułożyć to, co było w środku. Po chwili znowu uderzyła nią o stół i znowu rozległ się głośny trzask,

który odbił się silnym echem od pustych ścian, wtargnął do mikrofonu, wwiерcił się w niego i dotarł do uszu Broncksa. Elisa dobrze wiedziała, dokąd ten dźwięk trafi, a Broncks domyślił się, że chciała mu w ten sposób dać coś do zrozumienia. Na wszelki wypadek, gdyby trzask miał się powtórzyć, ściszył dźwięk.

Elisa położyła teczkę na stoliku, otworzyła ją, wyjęła jakiś dokument i przesunęła go po blacie w kierunku Leo.

PP: Wie pan, kto to jest?

LD: A skąd mam wiedzieć? Przecież on ma kominiarkę na głowie.

Zdecydowana mina. Pewne siebie zachowanie.

Żadnego ulotnego gestu, takiego jak dotknięcie palcem czubka nosa, skroni albo podbródka. Właśnie tak zachowują się inni przestępcy – dotykają twarzy, żeby poczuć się bezpiecznie w sytuacji, która oznacza dla nich niepewność. Kiedy ich wzrok biegnie ukosem w prawo, wiadomo, że ich mózg konstruuje właśnie nowe kłamstwo. Kiedy patrzą w górę z głową zwróconą lekko w lewo, oznacza to, że błyskawicznie przeszukują wspomnienia. Tymczasem Dívnnjac ani na moment się nie zawahał.

A przecież Elisa pokazała mu zdjęcie martwego człowieka, z którym być może coś go wiązało.

Nic z tych rzeczy.

Leo przeciągnął ręką po blacie stołu, poprawił coś, czego nie było widać, i przesunął figury na niewidzialnej planszy.

PP: To może teraz się dowiem, kto to jest? To ten sam człowiek, ale na tym zdjęciu nie jest zamaskowany.

Zero reakcji, chociaż zgodnie z tym, co uzgodnili z Broncksem, na fotografii, którą Elisa miała pokazać na początku, widniały zwłoki leżące wśród połyskujących metalowych rurek na stole sekcyjnym. Widać było pozbawione życia oczy i usta, na których w chwili śmierci zastygło zdziwienie. Szczelina na czole przypominała czerwone błyszczące płatki kwiatów, które właśnie rozkwitły i wystrzeliły z otworu, teraz zalepione go fragmentami kości czaszki, skóry i kępkami włosów.

LD: Nie.

PP: Co „nie”?

LD: Nie wiem, kto to jest.

Elisa wyjęła zteczki trzecie, ostatnie zdjęcie.

PP: Spróbujemy jeszcze raz. To ten sam człowiek. Wtedy jeszcze żył. Ta fotografia pochodzi z Krajowego Rejestru Przestępców, w którym pan też ma swoje konto.

Elisa przesunęła fotografię w kierunku Leo w taki sposób, żeby znalazła się na krawędzi stołu.

PP: Wie pan, kto to jest?

LD: Tak.

PP: Może usłyszę coś więcej?

LD: Tak, wiem, kto to jest.

PP: No dobrze. Jeśli mamy rozmawiać w tym stylu, to proszę bardzo. Kto to jest?

LD: Jari Ojala.

PP: Skąd go pan zna?

LD: Siedzieliśmy na tym samym oddziale w Österåker. Ale o tym już pewnie wiecie?

PP: Czy dobrze się znaliście?

LD: A jak dobrze zna pani człowieka, który siedzi teraz i patrzy w ekran monitora po drugiej stronie kamery? Ludzie, którzy pracują na tym samym korytarzu i siedzą za zamkniętymi drzwiami, nie zawsze dobrze się znają, prawda?

Kiedy Broncks usłyszał te słowa – „...człowieka, który siedzi teraz i patrzy w ekran monitora po drugiej stronie kamery” – od razu zrozumiał, co znaczą. Leo doszedł do wniosku, że to on, Broncks, prowadzi śledztwo. Zasiał w nim ziarno niepewności i dlatego chciał się upewnić.

PP: Niech pan patrzy na mnie. To ja prowadzę przesłuchanie i to ja chcę się dowiedzieć, czy po tym, jak Ojala wyszedł z więzienia, mieliście ze sobą jakieś kontakty.

LD: Nie.

PP: A czy mieliście ze sobą jakiś kontakt po tym, jak pan wyszedł na wolność?

LD: Nie.

PP: W ogóle?

LD: Posłuchaj no, marionetko Broncksa. Jeśli...

„Marionetka Broncksa”. Kolejny chwyt.

LD: ...rzeczywiście jest tak, jak pani mówiła – a mianowicie, że na tych trzech zdjęciach jest ta sama osoba – to nie bardzo rozumiem, jak to w ogóle jest możliwe. Przecież trudno jest utrzymywać kontakty ze zmarłymi.

Cały czas ten sam wyraz twarzy i opanowane ruchy. Bez względu na to, jak odpowiada i czy przyznaje się do utrzymywania kontaktów czy nie.

Broncks patrzył, jak Elisa wkłada zdjęcia z powrotem do teczki. Zaplanowana przerwa przed następnym pytaniem.

PP: Gdzie się pan znajdował wczoraj o godzinie szesnastej trzydzieści?

LD: W samochodzie.

PP: To znaczy?

LD: Jechałem na kolację z ojcem do restauracji Drava w Skanstull. Może to potwierdzić wielu świadków: ojciec, właściciel lokalu i jego żona, którym zapłaciłem za jedzenie, i pozostali goście, którzy pili tam piwo. Nie rozumiem tylko, dlaczego policja tak się tym interesuje? Czy jestem o coś oskarżony?

PP: To ja zadaję pytania.

LD: Nie. Pytania zadaje...

W tym momencie Leo uniósł się nagle nad stolikiem i uderzył czubkami palców w obiektyw kamery.

LD: ...ten, który tam siedzi.

Mówiąc to, spojrział w obiektyw wyzywającym, prowokującym wzrokiem. Broncks pogratulował sobie w myślach, że usiadł w sąsiednim pokoju i pozwolił Elisie poprowadzić przesłuchanie, bo wyraźnie odczuł prowokacyjne i wyzywające zachowanie Dûvnjaca. Miał ochotę zerwać się z krzesła i wyrzyczyć to z siebie.

LD: Tam!

Leo znowu uderzył ręką w kamerę. Nie tylko utknął w niej wzrok, ale także wwiercił się przez nią w głąb pokoju, w którym siedział Broncks. W tym momencie kierowała nim szczerą nienawiścią do policjanta, który kiedyś posłał go za kraty.

PP: Hm... na kolację z ojcem? W takim razie spytam, gdzie przebywał pan przedtem? Przed godziną szesnastą trzydzieści?

Rozczarowanie.

Właśnie to ujrzał Broncks na twarzy przesłuchiwanego Dûvnjaca, który zareagował inaczej, niż się tego po nim spodziewał.

Podczas całego przesłuchania Elisa ani razu nie przyłapała go na kłamstwie. Nie uzyskała też potwierdzenia tego, na co czekał Broncks, chociaż Dûvnjac ją atakował i stale jej przeszkadzał.

PP: Chyba pan nie zrozumiał, o co pytałam... w takim razie zacznę od początku. Powoli. Gdzie pan przebywał przed godziną szesnastą trzydzieści?

LD: Siedziałem w więzieniu. Od sześciu lat.

Broncks domyślił się, że zaraz po tych słowach Elisa obrzuciła Leo takim samym spojrzeniem, jakim Leo spoglądał przed chwilą przez obiektyw kamery na niego. Spojrzenie miała zimne, jak gdyby chciała zgromić nim kogoś, kto próbuje ją zbagatelizować.

PP: Zacznę po raz trzeci. Zapytam jaśniej. Wyszedł pan na wolność z zakładu karnego w Österåker o godzinie dziewiątej trzydzieści. Jedenaście minut później zniknął pan z zasięgu więziennych kamer w samochodzie prowadzonym przez młodego mężczyznę, którym – jak się później okazało – był Felix. W wozie była też kobieta w średnim wieku – wasza matka. Chciałabym spytać, co pan robił między dziewiątą trzydzieści a szesnastą trzydzieści.

LD: A dlaczego marionetka Broncksa chce to wiedzieć?

PP: Bo podczas napadu na konwój z pieniędzmi użyto broni typu AK4 numer seryjny 10663. Karabin pochodzi z partii broni skradzionej prawie osiem lat temu. To pan był oskarżony o tę kradzież. To dlatego zadaję to pytanie.

Potem wypadki potoczyły się w szybkim tempie. Dûvnjac chwycił za mikrofon i obraz na ekranie monitora ściemniał, bo Leo zasłonił go pierścią.

PP: Czy może pan wrócić na miejsce?

Głęboki oddech. Usta Leo znalazły się tuż przed ekranem.

– Broncks?

Leo znowu uderzył kilka razy wewnętrzną częścią dłoni o mikrofon. Głuche uderzenia zabrzmiały w pustym pokoju jak trzask bicza.

LD: Przed chwilą rozmawiałem z twoją marionetką o tym, jak dobrze ludzie znają swoich sąsiadów z korytarza. Nie zawsze tak jest, bo czasem ukrywają swoje tajemnice za zamkniętymi drzwiami. Tak jak ty: próbujesz się przede mną ukryć. Ale jedną rzecz powinieneś wiedzieć: ludzie w więzieniu poznają się na korytarzach. Mamy na to mnóstwo czasu, bo wszyscy siedzimy tam razem – kasiarze i dilerzy. Czasem trafi się nawet ktoś, kto... zamordował swojego ojca.

Obraz na monitorze stał się niewyraźny, ale dla Broncksa nie miało to znaczenia. Dla niego liczyło się tylko to, co mówił Leo.

LD: Ty, Broncks, na swoje zaufanie musisz sobie najpierw zasłużyć. Mnie, tam za murami, darzyło nim wielu.

Jego plan polegał na tym, żeby Leo wyszedł stąd uspokojony.

LD: Poznałem kiedyś pewnego więźnia... wyobraź sobie, że mi opowiedział, jak w domku letniskowym zadźgał nożem swojego ojca.

Ale nigdy się tak nie stanie, jeśli on, Broncks, nie ujawni się, to znaczy nie zrobi tego, do czego Leo chce go zmusić.

LD: Dwadzieścia siedem pchnięć zadanych własnemu ojcu w klatkę piersiową.

Wiedzieli o tym obaj. Dwadzieścia siedem pchnięć. Oprócz śledczych nikt inny nie wiedział. Teraz wie o nich Leo. Skąd?

LD: Broncks? Mogę ci o tym opowiedzieć ze szczegółami.

Broncks nawet nie zauważył, jak zerwał się z krzesła, podbiegł do drzwi i je otworzył.

Od czasu gdy ostatni raz widział się z Samem, upłynęło wiele lat. Jego brat siedział wtedy w Kumli, ale co jakiś czas przynoszono go do innych zakładów. Pamiętał jednak, że kiedy pojechał poinformować go o śmierci ich matki, Sam siedział w Österåker. Czyżby Sam znał tego gnojka?

LD: Broncks... to był chyba nóż myśliwski. Facet zadawał jedno pchnięcie za drugim. Czy chcesz usłyszeć więcej?

Dopiero gdy już nie słyszał głosu Leo przefiltrowanego przez mikrofon i ujrzał zdumiony wzrok Elisy, dotarło do niego, że wszedł do pokoju przesłuchań.

– Myślę, że na dzisiaj skończymy.

– Skończymy?

Elisa szukała jego wzroku, ale Broncks odwrócił się i spojrzał na Leo.

– Odprowadzę cię do wyjścia.

Znowu nad sobą panuje. Jest świadom każdego kroku, który stawia, który oni stawiają.

Szli obok siebie w milczeniu jednym z wielu korytarzy komendy policji w Kronobergu. Zeszli po schodach i znaleźli się na następnym korytarzu.

To były korytarze Broncksa, jego świat.

To on miał przejrzeć Dûvnjaca i wtargnąć do jego mózgu. Tymczasem stało się odwrotnie: Leo przejrzał jego i on wdarł się do jego umysłu. Dopiero w momencie gdy Broncks położył dłoń na chłodnej kłamce ciężkich żelaznych drzwi, przez które mieli wyjść na zalaną popołudniowym słońcem ulicę Bergsgatan, przestał patrzeć w podłogę i odważył się spojrzeć na młodego człowieka.

Ten gnojek zna Sama lepiej niż on. Zna ich historię.

Nigdy do niej nie wraca, a dzisiaj nawet przerwał przesłuchanie i wtargnął nieproszony do pokoju. Z twarzy Dûvnjaca zniknęło pełne wyższości szyderstwo. Została skumulowana nienawiść.

– Broncks?

Przed chwilą się rozstali, Leo zszedł kamiennymi schodami na sam dół. Kiedy się tam znalazł, znowu zaatakował Broncksa.

– Czarna nić.

Broncks oparł się o drzwi i popatrzył na Leo, od którego nadal biła szczerą nienawiść.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, ale to bez znaczenia. Na dzisiaj skończyliśmy.

Leo ruszył przed siebie, a Broncks stanął w drzwiach, żeby się upewnić, czy Dūvnjac rzeczywiście sobie poszedł. Po dziesięciu krokach tamten zatrzymał się i zamachał rękami jak wioślarz albo gimnastyczka. Broncks nie wiedział, jak te ruchy wytłumaczyć, bo nie pasowały do żadnego kontekstu.

Leo spojrział na niego i powiedział coś, czego Broncks nie zrozumiał, chociaż dla Leo te słowa były całkiem jasne.

– Broncks, to, co wydarzyło się dzisiaj, to dla ciebie prawdziwa czarna nić.

Leo znowu się odwrócił i zdążył jeszcze zobaczyć, jak ta suka Cuesta wchodzi do budynku, a ciężkie, żelazne drzwi zamykają się za nią z trzaskiem. Przesłuchanie na komendzie trwało o wiele krócej, niż przewidywał.

Szedł ulicą Hantverkargatan, na dworze panował lekki chłód, zegar wiszący na ścianie kawiarni, obok której właśnie przechodził, wskazywał kwadrans po trzeciej. Minął kilka pograżonych w cieniu przecznic. Wiatr szczypał go w policzki, ale na tyle słabo, że sprawiało mu to przyjemność. Na ulicach zaczął się popołudniowy ruch, więc postanowił kontynuować spacer i przebyć resztę drogi piechotą. Dojdzie tak do Skanstull. O tej porze dnia przechadzka zabiera mniej więcej tyle samo czasu co przejazd autobusem.

Dopiero w pobliżu Urzędu Miejskiego zaczął rozumieć, co skłoniło go do tego, żeby tak niespodziewanie użyć wobec Broncksa określenia „czarna nieć”. Po prostu mu się wymknęło, bo nie mógł się dłużej powstrzymać. Najpierw obraz, potem słowa, a teraz wspomnienie. Kiedy wchodził do budynku policji, czuł się dokładnie tak samo jak kiedyś, gdy był chłopcem i lekkim krokiem wychodził z innego budynku policji. To, co czuł wobec Broncksa, odczuwał dawniej wobec swojego ojca, niezależnie od tego, czy to było w pokoju przesłuchań czy w celi aresztu śledczego, i niezależnie od tego, czy chodziło o Broncksa czy o ojca. Za każdym razem gdy uderzało mu się zmienić jakąś sytuację na swoją korzyść, zwyciężyć i czerpać z tego siłę, czuł się oszołomiony.

„Chciałeś mnie przesłuchać, żeby coś wyjaśnić, tak? W takim razie ja cię oświecę, glino”.

Teraz posłuży się i Broncksem, i ojcem. Połączy antagonistę z „wtedy” z antagonistą z „teraz” – dwóch ludzi, którzy w pewnym sensie byli odpowiedzialni za to, że on i jego bracia zostali aresztowani, a łączące ich więzi osłabły. Zrobi ojcu prezent i zadba o to, żeby ani on, ani Broncksi nie stanęli mu na drodze, gdy wejdzie do tego samego budynku policji, z którego przed chwilą wyszedł, by wykonać swój ostatni skok.

Mostem pokonał kanał i ruszył wzdłuż torów kolejowych. Obszedł wyspę Riddarholmen, przez pewien czas podziwiał resztki kry płynącej z prądem i obejrzał pływające domy zakotwiczone przy nabrzeżu Söder Mälarstrand. W środku paliły się lampy, nad miastem wznosiła się kopuła miejskiej łuny, której tak mu brakowało na wyspie u Sama. Minął Slussen i Götgatsbacken, którą niedawno przerobiono na pasaż, i skręcił w ulicę Götgatan. Przeszedł obok przebudowanej siedziby urzędu skarbowego, która mieściła się w wieżowcu i była symbolem władzy państwowej i kapitału, a następnie skierował się na Ringvägen, która zaczynała się przy południowym filarze mostu Johanneshovsbron i leżącej w pobliżu restauracji Drava.

Ale to nie tam się wybierał – na razie. Przy Ringvägen skręcił do centrum handlowego i wszedł do budki telefonicznej. Rzadko z nich korzystał, bo jeśli ktoś chce mieć bezpieczny i niedostępny dla innych telefon, powinien go nabyć w inny sposób. Jego własny telefon został wyprodukowany w Japonii i nazywał się Quasar X. Podczas testów uznano go za najlepszy telefon dla terrorystów. Tymczasem on przyszedł tu, żeby kupić telefon „najgorszy dla terrorystów”, to znaczy taki, którego w żaden sposób nie da się zakodować, ale za to łatwo można go będzie namierzyć.

Kiedy dwadzieścia minut później wyszedł ze sklepu, miał w kieszeni prezent dla ojca. Przeszedł przez Ringvägen i minął sklep Ählensa w Skanstull z wielkim niebieskim zegarem na fasadzie. Po pięciu minutach znalazł się w pobliżu restauracji, w której ojciec umówił się z nim na kolację. Dziwna sprawa: ojciec spędza tam większą część dnia, chociaż postanowił, że już nigdy nie będzie pił alkoholu. Może chciał w ten sposób zademonstrować przed całym światem, że ma silną wolę i hamuje pociąg do mocnych trunków?

W oświetlonej witrynie wyróżniał się wielki napis DRAVA złożony z zielono-biało-czerwonych liter. W środku było prawie pusto, jeśli nie liczyć dwóch alkoholików. Tacy jak oni nigdy nie spadną poniżej pewnego poziomu, bo nie chcą, żeby ktoś ich pomylił z tymi, których społeczeństwo już dawno wykluczyło ze swego grona. Udało im się przestrzegać pewnej rutyny w regularnym picciu. Leo zobaczył przez okno, jak jego ojciec pochyla się nad kontuarem i ogląda nalewaki z różnymi gatunkami piwa. Może chce sobie wypić mimo zobowiązania? Może na kontuarze już stoi kufel ze złocistym spienionym trunkiem, a Ivan tyłko go zasłania swoim ciałem?

Wczoraj mówił coś zupełnie innego.

„Od dwóch lat jestem na wolności i od dwóch lat nie wypilem kropli alkoholu”.

Leo wszedł do restauracji i poklepał go po lekko pochylonych, ale nadal szerokich plecach.

– Tato.

Ivan odwrócił lekko głowę.

– Widzę, że dzisiaj znowu jestem twoim ojcem. A jeszcze wczoraj byłem Ivanem.

Ponownie spojrzął na ustawione w jednym rzędzie nalewaki z piwem. Wszystkie pachniały tak samo – kwaśno i słodko. To pewnie dlatego unosiły się nad nimi dwa czarne punkty. Zauważył je zaraz po wejściu do lokalu, gdy rozglądał się za Dacsem. Miał wielką ochotę napić się kawy.

– Chciałbym cię przeprosić, że wczoraj, gdy do mnie dzwoniłeś, nie odbierałem.

Czarne punkty ponownie przykuły jego uwagę. Oba były wyposażone w cudowne skrzydła, które zaprzeczały wszelkim prawom grawitacji. No proszę, wzrok coraz bardziej go zawodzi, a mimo to zauważył muchy, które nie wydawały z siebie żadnego dźwięku. Poczuł się tym podbudowany, chociaż dobrze wiedział, że zapach, który skusił oba owady, świadczył o tym, iż Dacso niezbyt dba o czystość w swoim lokalu.

– Nie miałem powodu, żeby... to znaczy...

– Nie miałeś powodu?

Ivan odwrócił się do niego i poirytowany wzruszył ramionami. Dobrze wiedział, że Leo kłamie. Kłamstwa odkładają mu się zawsze z tyłu głowy, w jej dolnej części. Zaczynają go swędzieć, jak gdyby coś zapowiadała, jak gdyby ostrze siekiery miało mu oddzielić głowę od tułowia.

– Zawsze istnieje jakiś powód. Jestem już na tyle stary, że sam wiem o tym najlepiej. Wiem też, że jeśli człowiek musi pobiec nagle do kibla, to nie dlatego, że coś zjadł, tylko dlatego, że wepchnął w siebie jakieś paskudztwo.

– Do kibla? Ostatni raz prosiłem cię o takie pozwolenie przed wielu laty. Na szczęście od pewnego czasu oswajam się z myślą, że już nie muszę cię o to prosić.

Leo przez cały czas trzymał w kieszeni pewien przedmiot. W końcu położył go na kontuarze i zakrył dłonią.

– Podczas całej odsiadki nie było ani jednej rozmowy, której klawisze by nie zanotowali. Nie wiem, tato, co czułeś po wyjściu na wolność, ale kiedy ktoś do mnie dzwoni, a ja nie rozpoznaję numeru, cieszę się jak dziecko.

Leo przesunął w stronę ojca tajemniczy przedmiot i zdjął z niego dłoń. Okazało się, że to czarny telefon komórkowy z szerokim błyszczącym ekranem.

– Z tego aparatu możesz do mnie zadzwonić, kiedy tylko będziesz chciał. Potraktuj go jako gorącą linię, dzięki której będziemy mogli porozmawiać. I nawet go na ciebie zarejestruję. Musisz tylko podpisać odpowiedni dokument i odesłać go pod wskazany adres. Będziesz miał własny abonament, który ja będę opłacał. Jeśli coś cię zaniepokoi albo po prostu będziesz chciał pogadać, wystarczy wybrać mój numer.

Ivan wziął do ręki czarny błyszczący aparat, który leżał na dokumencie o nazwie „Umowa użyczenia”, i przez chwilę ważył go w dłoni. Telefon był wąski jak paczka papierosów, lekki jak piórko i miał nie więcej niż dziesięć, jedenaście centymetrów długości.

– Cholernie mały... To gówno zginie mi w kieszeni. Nie zdążę go znaleźć, jak będziesz dzwonił.

– Chwilczkę, zaraz sprawdzimy.

Leo nacisnął w swoim telefonie jeden z klawiszy w systemie „szybkiego wybierania” i w następnej chwili Ivan poczuł, jak czarny przedmiot zaczyna wibrować w jego dłoni jak mała wiertarka, emitując dźwięki przypominające grę na trąbce.

– Myślę, że nawet ty go od razu znajdziesz.

Ivan podrapał się po karku. Ból powoli ustępował. Rozmowa zaczynała przebiegać tak, jak tego oczekiwał podczas zaplanowanej na wczoraj kolacji.

– Kiedy zadzwonisz pod ten numer, będę wiedział, że to ty. A gdy ja zadzwonię do ciebie, też będziesz wiedział, że to ja, a nie ktoś obcy.

Ivan spojrzął na syna. Teraz znowu czuł się dobrze.

– Postawić ci kawę?

– Od kogo dostałeś wczoraj mój numer: od Felixa czy Vincenta?

– A więc nie chcesz kawy?

– Obiecuję, że wypiję ją jutro, jak się spotkamy.

Tym razem Ivan był pewien, że Leo go nie okłamuje.

Jego syn na pewno do niego zadzwoni.

– Twój numer dał mi Vincent. Od kogo innego miałbym go dostać?

Leo skinął głową. Zrozumiał. Ivan nie utrzymuje kontaktów z Felixem. Potrzeba będzie lat, żeby znów zaczęli ze sobą rozmawiać.

– Jak znajdę Vincenta? Gdzie teraz mieszka?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, gdzie pracuje i że dzisiaj wróci późno do domu.

– Skąd o tym wiesz?

– Czasem pomagam mu w pracy.

Ivan zauważył zdumienie na twarzy syna. Sprawilo mu to pewną przyjemność.

– Chcesz powiedzieć, że razem pracujecie?

– Tak.

– Od kiedy?

– Od dwóch miesięcy. Dokładnie nie pamiętam. Pomagam mu trochę przy malowaniu.

Leo sięgnął po serwetkę, złożył ją wpół i z pojemnika stojącego przy kasie wyjął długopis.

– Zapisz mi jego adres. Ten, pod którym go znajdziesz.

Ivan przypomniał sobie nazwisko na tabliczce na drzwiach, zapisał adres i zwrócił serwetkę. W tym momencie z zaplecza wyszedł Dacso z niebieską tacą w rękach. Stały na niej białe filiżanki, które przed chwilą wyjął ze zmywarki. Były jeszcze ciepłe i unosiła się z nich para. Jedną z nich napełnił kawą, postawił na konuarze i uśmiechnął się.

– Leo... chyba tak masz na imię? Napijesz się kawy? A może zjecie to, za co już zapłaciście?

– Innego dnia.

– Zapraszam, o każdej porze.

Leo położył dłoń na ramieniu Ivana.

– W takim razie zadzwonię do ciebie.

– Na mój nowy telefon?

– Obiecuję. Spotkamy się jutro na trochę dłużej.

Tymczasem Dacso przyniósł pojemnik z brązowym cukrem w kostkach i postawił go koło parującej filiżanki Ivana.

– Wiesz, Ivan, wczoraj tego nie zauważyłem, ale teraz widzę to dokładnie. Twój chłopak ma jasne włosy, ty ciemne. Czy to nie było tak, że któregoś dnia zabłądził u was listonosz?

Dacso wrzucił do filiżanki dwie kostki cukru. Wiedział, jaką kawę pije Ivan.

– Za to po jego oczach widać, że to twój rodzony syn. Jest w nich tyle zdecydowania. Ta wasza iskra, ten błysk! Obaj macie je w oczach!

Ivan spróbował kawy – tej samej lury co zawsze – i skinął głową żonie Dacsa, która wyszła z zaplecza przez wahadłowe drzwi.

– Jednak nie miałem racji. Wy nie jesteście hienami.

– Co takiego?

– Ty i twoja żona.

– To dobrze. My naprawdę nie jesteśmy żadnymi hienami.

– Nie, bo oboje jesteście jak huba. Zwykła huba! Wy nigdy nie iskrzycie! Między wami w ogóle nic nie iskrzy!

Widać było, że Dacso nie do końca zrozumiał, co te słowa znaczą. Ivan zabrał filiżankę i podszedł do okna. Patrzył, jak jego syn powoli się oddala w zapadających ciemnościach. Spotkanie szybko dobiegło końca. Kiedy Leo się zjawił, na dworze było jeszcze jasno. Teraz powoli zapadał zmrok.

Złapał się na tym, że czekał, aż Leo się odwróci i pomacha mu ręką na pożegnanie, tak jak dawniej, gdy był jeszcze chłopcem. Miał niemal absolutną pewność, że jego syn wstąpił na drogę, która zaprowadzi go z powrotem do więzienia. Po tej rozmowie stało się to dla niego oczywiste.

Na razie Leo pojechał do Vincenta. Zawsze miał na niego silny wpływ, bo w pewien sposób zastępował mu ojca. On, jego prawdziwy ojciec, nigdy takiego wpływu nie miał.

Po chwili Leo odwrócił się i pomachał mu ręką.

Leo czuł, że ojciec go obserwuje, więc odwrócił się i pomachał mu ręką. Ivan stał w oknie z filiżanką kawy i wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Jego sylwetka wpasowała się między litery A i V tworzące nazwę lokalu. Wyglądał na zatroskanego.

Idąc Ringvägen, wypalił półtora papierosa. Potem wsiadł do niebieskiego autobusu i siedemnaście minut później wysiadł na Sankt Erikoplan. Z tego miejsca do schodów prowadzących na Rörstrandsgatan miał do przejścia dwieście metrów. Jeszcze raz spojrzął na serwetkę, na której ojciec zapisał mu swoim koślawym charakterem adres Vincenta: numer domu dwanaście, kod do domofonu 7543, trzecie piętro, na drzwiach tabliczka z nazwiskiem STENBERG.

Podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Przycisk był stary, oryginalny, a mimo to emitował nowoczesny, elektroniczny sygnał.

Leo przyłożył ucho do drewnianych drzwi i przysłuchiwał się, jak sygnał rozchodzi się echem. Z mieszkania dobiegały reklamy płynące z przenośnego odbiornika radiowego – standardowego elementu wyposażenia każdego budowlanca. Leo podciągnął klapkę w otworze na listy i muzyka od razu stała się głośniejsza. Oślepiło go zimne światło lampy budowlanej.

Jeszcze raz nacisnął dzwonek.

Dwa razy miał nadzieję, że Vincent przyjdzie tam, gdzie się go spodziewał: przed więzienną bramę i na lunch, który mieli zjeść wspólnie z mamą i Felixem. Teraz było na odwrót – jego młodszy brat nie spodziewa się takiej wizyty.

Trzeci dzwonek. W końcu ktoś ściszył radio i podszedł do drzwi.

– To ja, braciszku.

Vincent popatrzył na niego i nie odezwał się.

– Nie cieszysz się na mój widok?

Kiedy poprzedniego dnia dzwonił do Vincenta z lasu, zauważył w jego głosie pewną zmianę: jego młodszy brat przestał być nastolatkiem i stał się dorosłym mężczyzną. Teraz ujrzał tę zmianę na własne oczy. Takie zmiany stają się widoczne po upływie dłuższego czasu. Jednak zmiana, która dokonała się w Vincencie, obejmowała także coś innego: nie tylko dorósł i zmienił się pod względem fizycznym – na przykład na twarzy – ale też zachowywał się inaczej wobec niego. Utrzymywał również pewien dystans, chociaż stali blisko siebie.

– Leo?

– Wpuścisz mnie?

– Co ty tu robisz?

– Czy naprawdę chcesz o tym rozmawiać na klatce schodowej?

Vincent otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Leo chodził po całym mieszkaniu, czemu towarzyszyło echo jego kroków. Dźwięk, nie napotykając na swej drodze na żadne przeszkody, odbijał się od gołych ścian. Świeżo wycyklinowana podłoga, sztukateria, a do tego drewniane, błyszczące listwy przypodłogowe. Leo oszacował, że mieszkanie ma ponad sto metrów kwadratowych.

– Wiesz co?

Leo wszedł nawet do łazienki.

– To nie jest włoski klinkier.

– Słucham?

Leo chodził po mieszkaniu, podczas gdy Vincent nadal stał przy drzwiach wejściowych z ręką na klamce.

– Mam na myśli ten popękany klinkier.

Leo zawrócił w długim przedpokoju, który był prawie całkiem pusty. Tylko w jednym rogu znajdowały się skrzynka z narzędziami, puszki z farbą i nóż do cięcia glazury.

– Tak mówiłeś mamie.

Leo przesunął dłonią po białych futrynach drzwiowych. Powierzchnia była gładka i równa.

– A odbiór? Klient nie miał zastrzeżeń?

Popatrzyli na siebie jak dwaj bracia, którzy dobrze wiedzą, że kłamstwo funkcjonuje tylko do momentu wyjścia na jaw.

– Vincent?

Leo wyciągnął z rogu przedpokoju dwie długie, wysokie skrzynki z narzędziami.

– Odejdź w końcu od tych drzwi i usiądź tu ze mną. Musimy porozmawiać.

– Dlaczego?

– Chciałbym cię spytać, czy wiesz, gdzie i kiedy doszło do największego skoku na bank na terenie Szwecji albo całej Skandynawii.

Jedyną rzeczą, która się nie zmieniła, był naturalny sposób prowadzenia rozmów o przestępczych planach.

– No, bracie. Pytam o największy skok.

To, co w innym towarzystwie brzmiałoby niezręcznie, u Leo było czymś zwykłym.

– Chyba... skok na terminal?

– I ty chcesz uchodzić za starego kasjarza? Nie, podczas napadu na terminal łupem padło marne czterdzieści pięć milionów.

– To może napad w Brommie?

– Tak. Do tej pory to największy skok. Marne pięćdziesiąt trzy miliony koron.

– Zapomniałeś o Skoku Stulecia.

– Nie.

– Owszem. Łup był o wiele większy.

– Ale gliny przyskrzyżowały ich z całą kasą, więc to się nie liczy.

Leo przesunął skrzynię bliżej brata.

– Siedzisz wygodnie, braciszku?

– Powiedz, po co przyszedłeś.

– Pytam, czy siedzisz wygodnie? Posłuchaj, co ci powiem: wyobraź sobie łup z Brommy i pomnóż to przez dwa, trzy albo cztery.

– No i?

– Właśnie do takiego skoku się szykuję. W najbliższy czwartek. Ale mam pewien problem: było nas trzech, zostało dwóch. Potrzebuję kogoś do kompletu.

Vincent wstał ze skrzynki, która pełniła funkcję krzesła, i przeszedł się po pustym mieszkaniu. Buty miał miękkie, ale i tak starał się iść delikatnie, żeby nie porysować podłogi.

– Vincent... wróć do mnie i usiądź.

Vincent uderzył w pełnym rozpaczycy geście o framugę drzwi sypialni. Na podłogę posypały się płaty świeżej farby.

– Usiądź wreszcie. Muszę z tobą porozmawiać!

Vincent ponownie uderzył pięścią we framugę drzwi. Tym razem na podłogę spadły nie tylko płaty farby, ale także odłamki drewna.

– Czy ty nie rozumiesz...

W miejscu, w które uderzył Vincent, framuga zabarwiła się na czerwono. Podobnie jak kostki jego dłoni.

– ...że właśnie tego się tak potwornie bałem? I dlatego nie chciałem się z tobą spotkać?! Wiedziałem, że przyjdziesz, że nam opowiesz o jakimś głupim pomysle i zaproponujesz, żebyśmy się do ciebie przyłączyli.

Kiedy Vincent szedł do łazienki, na podłogę spadały krople krwi. Odkręcił kran i poczekał, aż poleci lodowato zimna woda. Dopiero wtedy obmył palce, nadgarstek i całą rękę.

– Siedziałem cztery lata. Kiedy wyszedłem na wolność, miałem w kieszeni pięćset koron i bilet na pociąg. Czy ty wiesz, jak trudno jest wrócić do normalnego życia? Do ludzi? Starałem się. Zapłacił za to Fundusz Odszkodowań dla Ofiar Przemocy. Mimo to nie było łatwo. Sam wiesz, jak to jest, gdy twoja dziewczyna dowiaduje się, co zrobiłeś i że za to siedziałeś, albo gdy dowiadują się o tym jej rodzice, przyjaciele i rodzeństwo i zaczynają ją namawiać, żeby z tobą zerwała. Nigdy więcej nie popełnie przestępstwa. Zapamiętaj to sobie!

Mówiąc to wszystko, rozwinął rolę papieru toaletowego i obwiązał sobie dłoń kilkoma warstwami, żeby nie przesiąkł krwią. Potem usiadł na skrzynce z narzędziami i do dłoni obwiązanej papierem przyłożył drugą.

– Skończyłeś?

– Nie pojmuję, że tobie się jeszcze chce. Czy ty nie możesz z tym skończyć?

– To największy łup w historii. Przy okazji utrzymy nosa Broncksowi, bo od ostatniego skoku chodzi z zadartą głową. My się cholernie wzbogacimy, a on stanie się zerem.

Vincent uderzył zranioną dłoń w pierś. Papier, którym była owinięta ręka, trochę się obluźował.

– Obiecałem sobie, że nigdy więcej nie popełnię przestępstwa.

– No to złam obietnicę.

– Co?

– Złam obietnicę. Tylko na tym zyskasz. Podejmę ryzyko, ale potrzebuję kogoś, żeby je zminimalizować.

Rana znowu zaczęła krwawić. Vincent poczuł, że zbyt mocno uderzył ręką w pierś.

– A nie mógłbyś sobie po prostu odpuścić? Zacząć normalnie żyć? Znaleźć pracę?

– Normalnie żyć? Masz na myśli życie w strachu? Tak jak ty? Człowieku, nie chodzi o to, że się boisz wrócić do pierdła. Problem polega na tym, że ten glina cię załatwił. Przeskrzytnął cię i przesłuchiwał, a potem wysłał za kraty. Nie kumasz, że właśnie o to mu chodziło? Żeby nas podzielić?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie.

– Ojciec w ciebie wierzył.

– Naprawdę?

– Często powtarza, że jeśli on mógł się zmienić, to i ty możesz to zrobić.

– Owszem. Słyszałem, że razem pracujecie i pewnie dlatego macie mnóstwo czasu, żeby o tym pogadać.

Vincent spuścił wzrok i odwrócił głowę. Może sam chciał mu o tym powiedzieć?

– Co będzie później? Jak wyobrażasz sobie dalsze życie po tym, co zaplanowałeś?

– Kiedy już będzie po wszystkim, zniknę. Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś się do mnie przyłączył. Wiesz, że cię kocham.

– Ja też cię kocham. Ale teraz nie o to chodzi.

– Ulotnimy się z łupem. Ty i ja. My przeciwko całemu światu. Zgoda?

Z salonu można było wyjść na balkon. Leo zauważył to zaraz po wejściu do mieszkania. Podczas gdy Vincent zastanawiał się nad jego propozycją, on otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Powietrze było chłodne i rześkie, mróz szczypał go w policzki mocniej niż wtedy, gdy jechał na spotkanie z ojcem. Wychylił się przez poręcz i zaczął myśleć o młodszym bracie, któremu bardzo zależało, żeby stać się zwykłym człowiekiem. On już nie miał żadnych trupów w szafie. Leo kilka razy głęboko odetchnął i już miał się odwrócić, żeby wejść do środka, gdy ujrzał puszkę po kawie pełną niedopałków papierosów. Vincent nie pali, więc od razu rozpoznał, co jest w puszcze. Skręty, bibułka i tytoń marki Rolling. Taki, jaki pali ojciec.

– Leo?

Vincent nadal siedział na skrzynce z narzędziami, lekko pochylony, jak przed chwilą.

– Odpowiedź brzmi: nie.

– Naprawdę?

– Nigdy więcej.

Leo spojrzął na brata i zrozumiał, że Vincent nie zmieni zdania.

– W takim razie, braciszku... już nigdy więcej się nie zobaczymy. W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą. Ja nie mam innego wyjścia. Nie mogę, tak jak ty, złamać obietnicy, którą sobie złożyłem.

Minęła minuta, może więcej. W końcu Vincent wstał ze skrzynki.

– Nigdy nie obrabowałbym żadnego banku, gdybyś mnie do tego nie namówił.

Vincent popatrzył na Leo spokojnym wzrokiem.

– Wszyscy znani mi faceci po dwadzieście przynajmniej raz w życiu snuli przy skrzynce piwa fantastyczne wizje na temat wielkiego skoku. Ale dla mnie i Felixa istniała zasadnicza różnica: byłeś z nami ty. Bo to ty umiesz powiedzieć: „Okej, wchodzimy w to”. I inni idą za tobą.

Dorośle, samodzielne oczy.

– A jak jest dzisiaj? Po tak długim oczekiwaniu? Czy wiesz, jak czuła się mama? Zaprosiła nas razem na obiad. Ja nie przyszedłem, a ciebie zgarnęły gliny, które potem przewróciły jej dom do góry nogami. Konsekwencje twoich działań ponoszą inni, nawet jeśli nie bierzemy w tym udziału. Bo i tak to robimy.

– Niech ci będzie, braciszku. W takim razie umówmy się, że wpłacę na twoje konto milion koron.

– Wolę sam zarabiać na życie.

Vincent podszedł do Leo z rozłożonymi ramionami, objął go i wypuścił z uścisku dopiero wtedy, gdy się pożegnali. Potem długo stał w pustym przedpokoju. Ostrożnie przyłożył zranioną dłoń do policzka. Kostki mu spuchły i dopiero teraz zaczęły go naprawdę boleć. Puls nie był przyspieszony.

Cała ta sytuacja wydawała mu się wprost nierzeczywista.

Bo gdyby nie ból w ręce, wcale nie byłby taki pewien, że przed chwilą po raz pierwszy od sześciu lat spotkał się ze swoim starszym bratem. Pierwszy raz od sześciu lat i ostatni raz w życiu.

Jest ciemno i zimno. Drogi są śliskie, jak zawsze gdy temperatura utrzymuje się na poziomie zera.

– Za pięćset metrów zjedziemy ze skrzyżowania.

Leo dał znak i Sam przyhamował. Położył dłoń na dźwigni zmiany biegów i czekał na sygnał. Jechali przez jedno z przedmieść Sztokholmu, dzielnicę mieszkaniową o nazwie Tumba. Obaj bardzo dobrze ją znali. Kiedyś tu mieszkali, a później przez dwa lata była ich bazą, w której snuli plany swoich szalonych skoków.

W końcu ujrzeli dom, który niczym się nie różnił od wielu innych.

– Przy tym niebieskim budynku skręcimy w prawo. Pięćdziesiąt metrów dalej w prawo.

Brama wjazdowa w trzymetrowym ogrodzeniu z siatki zabezpieczonym od góry drutem kolczastym. Tu się zatrzymają. Wcześniej, kiedy Leo wpadł na ten pomysł, nie przyszło mu do głowy, że ogrodzenie aż tak bardzo przypomina więzienny mur.

Zaparkowali obok czarnego bmw. Najnowszy model, z tego roku. Domyślili się, że pozostali uczestnicy spotkania są już na miejscu.

– Drukarka 3D jest w skrzyni na pace, tak jak chciałeś, Leo. Nie zapomnij jej potem zabrać, bo nową nie zdążymy sprowadzić.

Mówiąc to, Sam skinął głową w kierunku niewielkiego samochodu dostawczego ze skrzynią na pace. To ich klucz do sukcesu. Dzięki niej będą mogli przeprowadzić test w komendzie policji, a potem swój ostatni skok.

– Posterunkowy Dūvnjac bardzo dziękuje.

Samochód dostawczy miał zgaszone reflektory, przez co otaczały ich całkowite ciemności. Działka i dom były niezamieszkałe. Przeszli asfaltem tak samo nierównym jak kiedyś. W pęknięciach i szczelinach zebrała się woda, która wieczorem zastygała, tworząc lodowe skorupy. Minęli duży garaż, w którym jeden z mniej znanych dealerów samochodowych prowadził kiedyś salon. Tam właśnie tworzyli kopie wnętrza bankowych w skali 1:1. Rolę okienek kasowych odgrywały płyty wiórowe, manekiny udawały kasjerki. Mieli wystarczająco dużo miejsca, aby wszystkie ruchy i czynności opanować do perfekcji. Sto osiemdziesiąt sekund – tyle miał trwać napad. Każdy z nich miał przypisaną rolę. Wszystko znali na pamięć.

Po garażu przyszła kolej na dom, w którym Leo zamieszkał z Anneli. Przed każdym kolejnym skokiem urządzali w nim swoje centrum dowodzenia. Nic się tu nie zmieniło. Dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych – przynajmniej oficjalnie, bo dzięki niemu trochę ich przybyło: po prostu podzielił je na dwie kondygnacje.

Przed wejściem na górę zrobili krótką przerwę. Leo zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Zajrzał przez siatkę na działkę sąsiada, na której stała piękna drewniana willa. Bardzo się podobała Anneli. Właśnie tak wyobrażała sobie ich przyszły wspólny dom.

Tymczasem skończyło się na tym, że każde z nich trafiło do osobnej celi.

Przez płot niewiele było widać, bo krzaki, które posadził sąsiad, zamieniły się w małe drzewa. Mimo to w jednym z okien zauważył światło. Przypominał sobie, że w tym pomieszczeniu znajdowała się kuchnia. Dom nadal zamieszkiwała ta sama rodzina. Na stole stały zapalone świece. Jego sąsiedzi nie mieli pojęcia, że mieszkają obok jednego z najgroźniejszych przestępców w Szwecji. Nie wiedzieli też, że w sąsiednim domu dojdzie wkrótce do zawarcia interesu między tym przestępcą a przedstawicielami albańskiej mafii.

Leo rozgniół obcasem niedopałek papierosa, skinął głową Samowi i podszedł do drzwi domu, który kiedyś należał do niego. Po lewej stronie, pod domofonem, nadal wisiała biała tabliczka z ręcznie wypisanym nazwiskiem „Dūvnjac”. W oknie w kształcie diamentu widać było pęknięcie – pamiątka po kłótni z Felixem przed ich ostatnim skokiem.

Leo nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Czas, który dla niego zatrzymał się w miejscu, tutaj nabrał innego kształtu. W nozdrza uderzył go smród bijący z nieszczelnej kanalizacji, na podłodze było pełno zaschniętych plam, których nie miał kto wytrzeć. W gardle czuł drapanie wywołane stęchłym powietrzem wypełniającym niewietrzone wnętrza.

Dwaj Albańczycy czekali na nich w pomieszczeniu na lewo od wejścia. Kiedyś był tam pokój gościnny. Starszy z nich stał pochylony nad parapetem okiennym. Jego wygląd zgadzał się z opisem. Ubrany był w garnitur, miał rzadkie włosy i spłaszczony, „bokserski” nos. Leo domyślił się, że mężczyzna nieraz w życiu obcował z przemocą. Mimo to wzrok miał pewny siebie. Wygląd drugiego Albańczyka odpowiadał stereotypowi ochroniarza, który towarzyszy swojemu szefowi, na wypadek gdyby zdarzyło się coś, co nie powinno się zdarzyć. Był wysoki i mocno zbudowany, chociaż na pewno nie wskutek jakichś wyszczupionych ćwiczeń siłowych. Miał gładką, ogoloną czaszkę, ubrany był w szare luźne spodnie od dresu, których chyba od dawna nie prał. Pod kangurką na pewno ukrywał jakąś broń. Ręce pokrywały mu blizny – identyczne sznity na całej długości obnażonych ramion, od nadgarstka do zgięcia. Taki człowiek jest niebezpieczny nie tylko dla swojego najbliższego otoczenia.

– No proszę, właściciel domu we własnej osobie... Czy zauważyłeś, że...

Dopiero teraz, gdy mężczyzna w marynarce wypowiedział te słowa, Leo uświadomił sobie, jak głęboko tamten ma wgniecioną kość nosową. Nie był w stanie normalnie mówić. Przy każdym wydechu przeciągał słowa i mówił przez nos.

– ...zjawia się w towarzystwie swojego śmiesznego ochroniarza?

Sam był mądrym człowiekiem i nie odpowiedział na zaczepkę. W więzieniu nauczył się panować nad odruchami. Leo przez chwilę się zastanawiał, czy nie odpowiedzieć Albańczykowi równie sarkastycznym tonem, ale ostatecznie uznał, że szkoda czasu na dawanie nauki waśniakom, którzy służyli swoim bossom jako chłopcy na posyłki. Przyjechał tutaj po to, żeby doprowadzić do końca transakcję, którą zaczął przygotowywać przed rokiem. Zamierzał załatwić tę sprawę sprawnie i szybko.

– Jahmir? Tak się chyba nazywasz? Mam to, czego chciałeś. Czy ty masz dla mnie to, co ja zamówiłem?

Czekając na odpowiedź, Leo rozejrzał się po pokoju. Szczególną uwagę skupił na podłodze. Wszystko wskazywało na to, że nic się tutaj nie zmieniło. Przez pięć lat odsiadki udawało mu się ten dom utrzymywać. W szóstym roku skończyły mu się pieniądze na spłatę kapitału i odsetek, a na dodatek nie miał już czego sprzedać. Bank wystawił dom na sprzedaż i wszystko wskazywało na to, że jest stracony. Leo nie miał więc innego wyjścia i zgodził się na układ z kimś, kogo poznał w więzieniu.

Wobec takiego człowieka nie warto mieć długów.

– Mam twój tytuł własności, umowę kupna i klucze od domu. A czy ty masz nasze pieniądze?

Dwa i pół miliona koron. Takiej kwoty potrzeba było w czasie aukcji, żeby kupić dom, a jego oficjalnym właścicielem uczynić Sama. Za kolejne dwa i pół miliona koron Albańczycy zgodzili się poczekać rok na odkupienie przez niego działki wraz z zabudowaniami.

– Mam ze sobą dokładnie sto centymetrów pięćsetek. Są w reklamówce z centrum handlowego w Kungens Kurva. Robimy tam zakupy.

Albańczyk ze spłaszczonym nosem przejechał paznokciem po banknotach, które wydały z siebie dźwięk przypominający tasowanie kart. Najwyraźniej zadowolony skinął głową i podał Leo klucze z dokumentami.

– Pamiętam, że zamówiłeś też specjalny rodzaj komputera?

Albańczyk w marynarce dał swojemu ochroniarzowi znak głową, żeby otworzył stojącą na podłodze czerwoną torbę adidasa. W środku znajdował się zwykły z pozoru laptop.

– Właśnie taki zamówiłeś. Kosztuje dwa centymetry twoich pięćsetek. Będziesz też potrzebował loginu. Zapłacisz mi za niego kolejny centymetr.

Kiedy Albańczycy odjechali, Leo odczekał, aż tylne światła ich samochodu znikną w ciemnościach, i wrócił do pokoju gościnnego.

– Pomóż mi przenieść kanapę.

Razem z Samem chwycili za dwa końce mebla i wynieśli go do kuchni, żeby im nie przeszkadzał. Leo zostawił kiedyś na środku pokoju gościnnego cztery obluźwane płytki podłogowe. Teraz w szparę między nimi wsunął klucz od domu i podważył pierwszy panel. Trzy pozostałe usunął już bez problemu. Ich oczom ukazał się betonowy bloczek z dwoma metalowymi uchwytami. Leo chwycił je w dłonie, podniósł bloczek i odstawił go na bok. Pod spodem krył się sejf. Był wmurowany w podłogę i leżał na tylnej ścianie. Leo wpisał kombinację cyfr, przekręcił gałkę i otworzył go. Zawartość wnętrza była przykryta czarnym aksamitem. Nawet gdyby policja odkryła to miejsce, niczego więcej by nie znalazła. Ściągnięty na miejsce technik z zakładu kryminalistycznego zbadałby każdy milimetr wnętrza i znalazłby tylko to, co on kiedyś zaplanował i przygotował: dwa pomięte banknoty o nominale tysiąca

koron, stos dokumentów, które na pierwszy rzut oka wyglądały na ważne, i kilka pocisków karabinowych. Policja oddałaby je do analizy balistycznej, która nic by nie wykazała.

– Sam?

– Co?

– Podejdz do okna i stań w miejscu, w którym ten Albańczyk w marynarce opierał się o ścianę. Widzisz tam puszkę rozdzielczą? Otwórz pokrywę i połącz luźne kable.

Leo wyjął ze schowka dokumenty, banknoty i naboje i czekał nad otwartym sejfem, aż Sam połączy kable i zamknie obwód prądu. Leo chciał być blisko, przekonał się na własne oczy, czy wszystko nadal funkcjonuje, jak należy.

I rzeczywiście – funkcjonowało.

Rozległ się metaliczny dźwięk i dno sejfu zaczęło powoli opadać. Czarna szczelina między ścianką a dnem robiła się coraz szersza, aż w pewnej chwili ich oczom ukazała się na dole ciemna przestrzeń.

W tym momencie Leo poczuł się tak samo jak dawniej. Wiele razy obserwował, jak dno sejfu opada. Pokój wypełniał się wtedy zapachem smaru.

W takich chwilach czuł się naprawdę szczęśliwy.

– Pod podłogą jest wolna przestrzeń. Piwnica, której nie powinno tu być, bo całą dzielnicę zbudowano na dnie starego jeziora.

Sam zerknął mu przez ramię w głąb otworu, którego nie powinno w tym miejscu być, podczas gdy Leo pochylił się głębiej i sięgnął po luźno wiszący kabel. Chwycił go w dłoń, wyciągnął na górę i włożył wtyczkę do gniazdka w ścianie.

W tym samym momencie pomieszczenie rozświetlił snop światła. Ich oczom ukazała się przygotowana pod podłogą kryjówka.

– Czy ty wiesz, ile metrów sześciennych piasku i błota wynieśliśmy z tego miejsca?

O ściankę pomieszczenia oparta była aluminiowa drabinka. Leo przyciągnął ją do otworu i zszedł na dół. Poczekał, aż Sam zrobi to samo, i rozejrzał się.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile taczek mułu wydobyliśmy z tego dołu, żeby nie zalała go woda. Stare jezioro przez cały czas próbowało odebrać nam swoją własność. Tyle samo pracy poświęciliśmy na zawieszenie sejfu na szynach i przyspawanie go do podłogi. Potem wszystko musieliśmy znieść na dół i poustawić na półkach.

Leo obszedł dookoła pokój, który wykopał łopatami razem z braćmi. Nie musiał nawet liczyć tego, co stało na półkach, bo i tak wiedział, co tam zobaczy: osiemdziesiąt dwa karabiny AK4, sto trzynaście pistoletów maszynowych i cztery ciężkie karabiny maszynowe. Wszystkie stały w należyтым porządku, tworząc największą w kraju prywatną zbrojownię.

– Wyjdz na górę – polecił Leo. – Będziesz je ode mnie odbierał.

Sam wspiął się po drabince, klęknął i wziął do ręki pierwszą sztukę broni, którą Leo podał mu przez otwór w sejfie. Potem przyszła kolej na drugą, trzecią, czwartą i piątą. Sam wziął ich dokładnie tyle, ile potrzebowali. Potem wstał i wyprostował się.

– Pięć, Leo. Tyle nam wystarczy.

– Weźmiemy wszystkie.

– Tylko pięć. Dwie do mundurów i trzy na skok. Tak wcześniej uzgodniliśmy.

– Weźmiemy całą broń i zapakujemy ją do samochodu.

– Tylko pięć. Taki jest nasz wspólny plan.

– Był. Taki był nasz wspólny plan. Do momentu gdy Jari zostawił broń, którą znalazł twój pieprzony brat. Broncks myślał, że mu to wystarczy, żeby mnie przyskrzynić. Gapił się nawet na mnie przez monitor i wyobrażał sobie, że ma nade mną kontrolę, że dzięki tej broni mnie dopadnie.

Leo trzymał broń za lufę z uniesioną kolbą.

– Cała moja kolekcja broni i tak trafi w jego ręce. Twój brat będzie dumny, pomyśli, że szczęście mu dopisało.

W tym momencie w cementowej rurze rozległo się bulgotanie: to pompa drenażowa zamontowana w rurze sygnalizowała, że nadal jest w dobrym stanie technicznym i właśnie zamierza rozpocząć pompowanie wody, bo podniosła się do zbyt wysokiego poziomu.

– Tyle że w czasie, gdy twój pieprzony brat będzie stał i gapił się na to miejsce, odbierzemy mu to, czego nie ma, bo jest dokładnie na odwrót: to ja mam nad nim kontrolę.

– Ty?

– Tak.

– Nie bardzo rozumiem. Dla kogo ta cała broń? Czy w skoku będzie nam pomagał ktoś, kogo nie znam? Do tej pory o wszystkim zdecydowaliśmy my dwaj, więc jeśli mam brać w tym udział, niech tak zostanie.

– Przykro mi, stary, ale Jari sparał robotę, a ja musiałem iść na przesłuchanie. Masz rację, tego nie było w planie, ale już tego nie zmienimy. Zaufaj mi, o wszystkim opowiem ci w samochodzie, jak już stąd odjedziemy. Okej? Na tym polega robienie wielkiego skoku. Zawsze powstają nowe okoliczności i trzeba się do nich dopasować, bo inaczej wszystko się posypie, a wtedy obaj trafimy tam, skąd niedawno wyszliśmy – do pierdła. Tymczasem ty nie tylko nie chcesz się dostosować, ale na dodatek chcesz przewrócić wszystko do góry nogami. Masz rację, powinienem był ci o tym powiedzieć, ale nie było jak. Zabrakło czasu i sytuacja się skomplikowała.

Sam stał przez dłuższą chwilę i gapił się na kolbę broni – szósty pistolet automatyczny, który zawiśł między nimi. W końcu podjął decyzję, sięgnął po niego i położył go obok pięciu pozostałych sztuk broni. Zanim zdążył się odwrócić, Leo podał mu kolejne sztuki. W końcu dwieście sztuk broni automatycznej znalazło się na podłodze pokoju.

– Cześć, tato.

Wychodząc po drabince na górę, Leo wybrał numer telefonu ojca – ten sam, który niedawno mu przekazał i który gwarantował, że nikt ich nie namierzy.

– To ty, Leo?

Podszedł do okna, przy którym niecałe pół godziny wcześniej stał albański mafioso. Rozpoczął rozmowę, której mógł się też przysłuchiwać Sam, ponieważ głos ze słuchawki docierał do niego przez otwór w podłodze.

– Chciałem tylko usłyszeć twój głos, tato.

– Mój głos? Chciałeś...

Mimo tylu lat spędzonych w Szwecji ojciec nadal mówił z obcym akcentem. Leo poznał po jego głosie, że ojciec jest prawie dumny z faktu, iż zadzwonił do niego jego najstarszy syn.

– ...usłyszeć mój głos? Kilka godzin po tym, jak się widzieliśmy? Chyba się domyślasz, jaką mi sprawiasz radość?

Ton głosu ojca zdecydowanie odbiegał od ostatniego obrazu, który Leo zapamiętał: mężczyzna w restauracji skulony i smutny macha do niego ręką.

– Tak, wiem. Chcę ci też powiedzieć, że jest mi przykro, że znowu się tak szybko rozstaliśmy. Zdzwonimy się jutro.

Sam przysłuchiwał się uważnie tej dziwnej rozmowie. Docierało do niego każde słowo.

– Leo?

– Tak?

– Co to, kurwa, było? Jaja sobie robisz? Zajmujemy się tu skradzionym towarem, za którym wieszą gliny, a ty prowadzisz bezsensowną rozmowę ze starym w domu, w którym mieszkałeś? Przecież gliny łatwo mogą was namierzyć.

Puszka elektryczna przy oknie, którą otworzył Sam, nadal była otwarta. Leo wsunął do środka kciuk i palec wskazujący i po raz drugi złączył ze sobą dwa luźne kable. I znowu rozległ się charakterystyczny dźwięk, gdy metalowe cylindry zamocowane na dnie sejfu zaczęły powoli go unosić.

– Masz rację. Ale właśnie o to mi chodzi: żeby łatwo mogli namierzyć to miejsce. Dlatego płytki podłogowe zostawimy poluzowane, a puszkę z kablami lekko niedomkniętą. Z tego samego powodu przy półce na czapki zamontuję i ukryję kamerkę internetową. Spytasz, dlaczego to robię? Bo moja kolekcja broni jest gwarancją, że nikt nam nie przeszkodzi, gdy wykonamy ostatni skok, a potem na zawsze znikniemy.

Oko nabiegłe krwią

Ktoś ciągnie go za prawą rękę.

Wielka paszcza wlecze go przez gęsty kolczasty las i strome góry, aż w końcu wpada bezwładnie w niewidoczną, pozbawioną dna szczelinę.

– Felix, obudź się.

I chociaż szczelina zdaje się nie mieć końca, on wreszcie się zatrzymuje, bo wpada w inną paszczę. Teraz obie o niego walczą, ciągną go i szarpią za ręce, każda w stoją stronę.

– Felix!

– Co?

Na samym dnie zawsze panują egipskie ciemności.

– Obudź się i wstawaj, bracie.

Felix widzi nad sobą paszczę. Jasne zarysy w głębokich ciemnościach.

– Kto... Puść mnie! Puszczaj!

Jasność staje się coraz bardziej wyraźna. To włosy Leo. Jego twarz. Tak, to on.

– Przecież jest kompletnie ciemno!

– Ciiii... Nie tak głośno, bo obudzisz Vincenta.

– Czy coś się stało?

– Nie. Na razie.

Leo ubrany jest w kurtkę i obuwie sportowe.

Felix siada na brzegu łóżka i patrzy na niego w milczeniu.

Ubrany? W domu? W środku nocy?

Czuje, że ręce i nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Chce nimi poruszyć, ale nie może. Są jak z betonu.

W pewnej chwili czuje, jak jego jedna stopa powoli się unosi, ktoś wsuwa mu ją do buta i zawiązuje sznurowadła. Potem to samo dzieje się z drugą stopą. Następnie ktoś rozsuwa mu ręce na boki i zakłada ciepłą kurtkę. W końcu widzi, jak Leo wychodzi do kuchni. Chwilę później słyszy, że coś płynie z kranu. Leo wraca do pokoju ze szklanką pełną krwi.

– Wypij to.

Okazuje się, że to nie krew, tylko czerwony, mieszany sok. Leo nalał mu go aż po brzegi.

– No pij. To cię od razu orzeźwi.

– Orzeźwi? A po co?

– Zobaczysz.

Kiedy są już w przedpokoju i idą w stronę drzwi wyjściowych, Leo skręca do pokoju Vincenta. Spogląda na obandażowane ciało, wsłuchuje się w regularny oddech.

– Leo... chyba go tak nie zostawimy?

– Niedługo wrócimy. Najpóźniej za pół godziny.

Leo zaciąga żaluzje i w pokoju robi się półmrok. Nie dociera tu ani poświata księżyca w pełni, ani blask latarni, która ma stłuczony klosz i jaskrawo świeci.

– A jeśli się obudzi i zobaczy, że jest sam?

– Nie obudzi się. Vincent śpi jak niedźwiedź. Pamiętaj: mumii nigdy nie wolno budzić wbrew jej woli, bo to uwalnia klątwę. Nie wiedziałeś o tym?

Poszerzają Vincentowi otwór w zabandażowanych ustach, żeby łatwiej mu się oddychało, obrzucają go ostatnim spojrzeniem i wychodzą z mieszkania. Felix dziwi się, że Leo zabrał ze sobą torbę na książki. Przecież szkoła jest w nocy zamknięta?

Na schodach nie ma już żadnych śladów po ucieczce mamy. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. Leo zdołał z nich w końcu zeszkrobać ostatnie plamy krwi. Przechodząc koło drzwi Agnethy, która mieszka na drugim piętrze, idą na palcach. Agnetha zobowiązała się, że przez kilka pierwszych nocy, które ich mama spędzi w szpitalu, będzie nocowała u nich. Leo przekonał ją jednak, że bez niej też sobie poradzą. Obiecał, że jeśli będą potrzebowali jej pomocy, dadzą jej znać, a on dopilnuje, żeby młodszy bracia poszli wcześniej do łóżek.

Ciemność. Długi szereg latarni. Z daleka słychać muzykę i samochody, które gwałtownie przyspieszają i hamują. Piątkowy wieczór w Falun. To tam, w centrum miasta, toczy się życie. Tutaj, po obu stronach asfaltowej alejki prowadzącej do szkoły, panują spokój i cisza.

Leo głęboko oddycha. Jest o wiele cieplej, niż się spodziewał. A może jest mu tak gorąco, bo jego organizm właśnie w ten sposób próbuje rozładować napięcie?

Jest wrzesień. Na chodniku leżą stosy liści, fajnie się w nich brodzi. Jesienny semestr zaczął się ledwie miesiąc temu. On chodzi do ósmej klasy, Felix do piątej, a Vincent poszedł właśnie do pierwszej. Wszyscy trzej uczęszczają do tej samej szkoły.

Leo dokładnie wie, czego potrzebują, żeby skok się udał.

Sprawdził, gdzie sprzedają peruki z długimi włosami, i kupił taką za 125 koron. Nabył też szarą luźną kurtkę z kapturem. Takie jak ta są dostępne w sieci H&M za 99.50 koron. Kurtka już niedługo zmieni kolor na zgniłozielonkawą. Odpowiedni barwnik kupi w sklepie z akcesoriami krawieckimi. Musi też zmienić resztę swojego wyglądu. Wypchać watą ramiona, powiększyć brzuch. „Zbuduje” go z waty, którą znalazł w tym samym sklepie z farbami. Na samym końcu zaopatrzy się w papierosy – będzie palił te najmocniejsze, bez filtra, marki John Silver.

Tę samą markę wybierają alkoholicy.

To cudowne uczucie, gdy można wyjść z domu w samym środku ciepłej nocy. W pewnych okolicznościach coś takiego można przeżyć tylko w małym miasteczku, chociaż akurat tutaj jest pusto. Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że tu też żyją jacyś ludzie, jest rowerzystka, która pojawiła się za ich plecami. Słyszą, jak dynamo ociera się o przednie koło. Dziewczyna jest coraz bliżej, w końcu mija ich i znika w ciemnościach.

Lars Ćpun. To dobra ksywka. Pasuje do jego charakteru.

To on ma wyrwać kobiecie ze sklepu ICA torbę z pieniędzmi.

Niestety, udział w skoku słono kosztuje. Dlatego Leo obudził swojego młodszego brata o drugiej w nocy i zmusił go, żeby wstał z łóżka.

– Dzisiaj wypożyczyłem w bibliotece książkę.

– Coś takiego. I dlatego tu teraz jesteśmy?

W Falun mają do szkoły znacznie dalej niż w Skogås pod Sztokholmem. Leo nigdy nie zapomni, jak ich ojciec wychodził na balkon na ostatnim piętrze wieżowca i obserwował, jak szli przez parking i krzaki.

To było cztery lata temu. W innym życiu.

– Nie. Ale musiałem coś wypożyczyć, żeby nam się udało.

– Nie kumam.

– Zrozumiesz później. Muszę przyznać, że była całkiem ciekawa. Opowiadała o Stanach i takich tam różnych sprawach. Na przykład o prohibicji i o facecie, który nazywał się Al Capone.

– Słyszałem to nazwisko.

– Od razu pomyślałem o naszym tacie.

– W książce napisali o naszym tacie?

– Jasne, że nie. Ale pomyślałem sobie, że... tata też mógłby robić to co Al Capone. To znaczy, gdyby w Szwecji wprowadzono prohibicję.

– To znaczy co mógłby robić?

– Handlować alkoholem i mieć wszystko w nosie.

Zbliżają się do łąki porośniętej pojedynczymi drzewami, które wyciągają drobne konary do nieba. Po drugiej stronie łąki stoi ich szkoła. Oświetla ją słaby blask bijący ze ścieżki rowerowej.

– A ja tak nie uważam.

– To znaczy?

– Że nasz tata robiłby to co Al Capone. On nie lubi niczego sprzedawać, prawda? Wypiłby ten cały alkohol do dna, a potem zaczęłyby bić ludzi.

W końcu ich oczom ukazała się ta część szkolnego kompleksu, w której znajdowały się klasy starszych roczników. To tam uczęszczał Leo. Felix nigdy tam nie chodził, bo jest uczniem młodszej klasy. To jakby dwa różne światy oddzielone pilnie strzeżoną granicą, której wolą nie przekraczać, bo gdyby to zrobili, naraziliby się na bójkę z silniejszymi od siebie. Kiedy przeprowadzili się do Falun, chodził do pierwszej klasy i był w trakcie roku szkolnego, co oznaczało, że naukę musiał rozpocząć w zupełnie nowym środowisku. Chociaż tak naprawdę to tylko on był tutaj nowy. Większość młodzieży

nie lubi zmieniać szkoły i szukać nowych kolegów, ale on jest inny. Nie tak jak Joanna, którą dobrze zapamiętał. Włosy miała zawsze spięte żółtą klamerką, a przed przeprowadzką płakała tyle razy, że któregoś dnia nauczyciel muzyki musiał przerwać z tego powodu lekcję. Joanna nie chciała się przenosić do innej rzeczywistości. Felix stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Wprost uwielbiał przeprowadzki. W nowej klasie żaden z kolegów nic nie wiedział o jego dawnym życiu w Sztokholmie, zwłaszcza o ojcu, który trafił do więzienia za podpalenie domu.

Felix był absolutnie pewien, że po tym, jak urzędniczki z opieki społecznej postanowiły, iż dla ich dobra należy ich przenieść do miasta odległego od Sztokholmu o dwieście dwadzieścia kilometrów, ich największe kłopoty natychmiast się skończą. Od tej pory wszystko miało funkcjonować normalnie. Bez skurczów żołądka, bez ucisku w klatce piersiowej i bez dławiącego uczucia w gardle.

Tymczasem wygląda na to, że wszystkie te dolegliwości „przeprowadziły” się razem z nim.

W końcu dotarli do szkolnego dziedzińca i w milczeniu przykucnęli za szafką transformatora. W pewnej chwili obok nich przejechał jakiś rowerzysta.

Ściany ich dawnej szkoły w Skogås były obłożone ozdobną cegielką, podczas gdy ściany szkoły w Falun pokryte są zwykłym, jasnożółtym tynkiem. Dwa oddzielne skrzydła spaja przeszklony łącznik, w którym uczniowie przebywają podczas przerw.

– Twoje zadanie będzie polegało na tym, że staniesz na czatach.

– Na czatach?

– Później ci to wyjaśnię. Teraz musimy szybko działać. Nikt nie powinien nas tu zobaczyć.

I nagle Leo zaczyna biec. Felix chce go spytać dokąd, ale jest już za późno, więc rusza za bratem po wilgotnym asfalcie. Z ust wydobywa im się para. Szybko pokonują ostatni odcinek dzielący ich od łącznika, w którym wszystkie okna wyposażone są w lufcik.

– Leo, o co chodzi z tym staniem na czatach?

– Jak zobaczysz, że ktoś jedzie ścieżką rowerową, zapukasz w parapel okna. Użyjesz tego.

Leo podał Felixowi jednokoronową monetę, która błyszczała w blasku latarni.

– Potem od razu się schowaj.

– Mam się schować? A ty...

Po przebiegnięciu ostatniego odcinka Felix nadal ciężko oddycha, z wysiłkiem wyrzuca z siebie poszczególne słowa.

– ...dokąd się wybierasz?

Leo nie odpowiada, tylko uśmiecha się tajemniczo. Wkłada rękę do torby na książki i wyjmuje z niej przedmiot przypominający dłuto. Potem wskakuje na wąski metalowy parapet i próbuje utrzymać równowagę. Staje na palcach i sięga rękami do trochę węższego parapetu, który znajduje się nad nim.

Felix obserwuje to wszystko z miejsca, w którym stoi. Nie bardzo rozumie, w czym bierze udział. Nie jest pewien, czy wszystko, co widzi, dzieje się naprawdę. Patrzy, jak Leo wypycha lufcik do połowy i za pomocą dłuta usuwa śrubę mocującą metalowy pałąk, który uniemożliwia utworzenie lufcika do końca. Zabiera mu to trochę czasu, bo stoi w niewygodnej pozycji i cały czas zsuwa się po śliskiej powierzchni.

Felix na czatach twarz ma pokrytą czerwonymi plamami, policzki płoną mu czymś więcej niż tylko samym oczekiwaniem. Najchętniej wróciłby od razu do domu.

Leo jest rozgrzany jeszcze bardziej niż przed chwilą. Czuje, jak przepełniające go emocje próbują sobie znaleźć ujście. Wszystko szczegółowo zaplanował i plan wypalił. W łączniku stoi długi stół, przy którym chłopaki z 8b grają w karty. W każde popołudnie o drugiej otwiera się bufet. Uczniowie kupują w nim ciastka, batoniki, kanapki z serem i sok w kartonikach ze słómkami. Ostatnio serwowano jakąś białą rybę. Tego dnia osiągnięto rekordowy obrót.

W białej kasetce przechowywane są pieniądze za sprzedane przysmaki. Każdego dnia po godzinie czwartej kasetka jest opróżniana, ale zgodnie z przepisami zostaje w niej trochę drobnych. W co drugi piątek sytuacja wygląda jednak inaczej. Wynika to z grafiku zajęć Leny, która prowadzi bufet: co dwa tygodnie zastępuje ją pani od wufeu i to ona prowadzi sprzedaż. Cały utarg zostaje wtedy w kasetce, która zamykana jest na weekend w szafce. Pieniądze czekają tam do poniedziałku, gdy obowiązki w bufecie znowu przejmuje Lena.

To dlatego Leo został dziś w szkole dłużej, chociaż niepokoił się o Vincenta, który nie chciał zdjąć z siebie bandaży. Po ostatniej lekcji poszedł do szkolnej biblioteki i udawał, że chce wypożyczyć jakieś książki. Po pewnym czasie jedną z nich zaczął nawet „czytać”. To była książka o Capone i o prohibicji. Podczas lektury zauważył, że jeśli się usiądzie naprzeciwko tylnych regałów z książkami, można z tego

miejsca bez przeszkód obserwować wszystko to, co dzieje się w łączniku. I tak właśnie zrobił: przyglądał się, jak kobieta w bufecie sprzedaje ciastka i batoniki. Dwadzieścia po czwartej włożyła kasetkę z pieniędzmi do szafki i wyszła.

Leo obserwował też ochroniarza, który jak zwykle udał się na swój rutynowy piątkowy obchód, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Mężczyzna chodził po łączniku, oglądał każde okno, ustawiał stoły i krzesła na swoim miejscu. Potem poszedł do biblioteki. Leo błyskawicznie przesiadł się dwa stoliki dalej. Jeśli potem ktoś spyta ochroniarza, gdzie siedział Leo, zezna, że w miejscu, z którego nie widać, co się dzieje w łączniku.

„Musisz iść do domu – powiedział do niego ochroniarz. – Szkoła jest już nieczynna”. Leo udał, że posłusznie wykonuje jego polecenie. Spakował torbę, podczas gdy ochroniarz przez cały czas go obserwował. Potem „nagle” mu się przypomniało, że musi jeszcze zabrać coś ze swojej szafki numer czterysta czterdzieści dwa. Ochroniarzowi obiecał, że zrobi to migiem, i poprosił go, żeby popilnował mu torby.

Leo nie pobiegł do szafki, tylko do miejsca, w którym był niewidoczny dla ochroniarza: do łącznika. Podstawił krzesło pod ścianę i odkręcił oba uchwyty przy lufciku. Tym samym, przy którym teraz stoją w samym środku nocy.

Leo wspina się wyżej, gładko przeciska przez otwór, ląduje miękko na podłodze i idzie do bufetu.

Dopiero teraz czuje, że w budynku panuje zupełnie inna atmosfera.

Szkoła nocą. Puste sale, cisza. W całym budynku jest tylko on.

Super uczucie! Coś wymyślił, zaplanował, a teraz to realizuje.

Nagle całe jego ciało znowu zaczyna przepieścić coś nowego, żywego i radosnego. Uczucie, które uczyniło go łagodniejszym wewnątrz i silniejszym na zewnątrz, gdy czyścił podłogę z krwi i uratował mamie życie, i nawet się nie bał, że tata może wrócić i go pobić.

Szafka jest zamknięta na kłódkę. To dlatego zabrał do torby młotek i dłuto. Nie zniszczy kłódkę, tylko podważy zawiasy.

Wystarczyły dwa uderzenia i zawiasy wraz z kłódką spadły na podłogę. Teraz może już otworzyć szafkę.

Plastikowa kasetka z pieniędzmi stoi na dolnej półce.

Leo rozgląda się po ciemnym, pustym o tej porze łączniku i wkłada ją do torby.

Już chce wyjść, gdy nagle jego uwagę zwróciły duże drzwi koło szafki. Każdy uczeń w szkole wie, co się za nimi kryje. Ze środka dobiega zapach czekolady i płatków kokosowych.

„Hm, jak już tu jestem...”

To zwykle drewniane drzwi. Jeśli wciśnie dłuto tuż przy zamku, wyważy go prawie bez żadnego wysiłku i bez hałasu.

Ścieżka rowerowa jest dalej pusta. Przez cały czas, gdy Felix stał na czatach, nikt nią nie jechał. Co jakiś czas widział przez okno brata. Leo włamał się najpierw do jakiejś szafki, a potem wyłamał zamek w drzwiach.

Leo wspominał, że chce zabrać jakąś kasetkę. I chyba to właśnie robi. Czyżby jeszcze jej nie znalazł?

Po pewnym czasie Felix ujrzał, jak Leo podszedł do okna. Miał ze sobą czarny worek na śmieci, który potem wyrzucił na zewnątrz przez lufcik.

– Felix?

Leo trzyma w ręce pusty czarny worek. Ten sam, który wyrzucił przez lufcik.

– Zapakuj to.

Leo rzuca na wilgotną trawę karton. Jest na nim nalepka z obrazkiem przedstawiającym czekoladowy batonik. Na kolejnym kartonie jest obrazek z kulkami kokosowymi.

– Przecież to nie jest żadna kasetka! Leo! Gdzie jest kasetka? Przecież to po nią tu przyszliśmy. Tak mi powiedziałeś... że po to mnie obudziłeś.

Leo patrzy mu prosto w oczy i milczy. Potem nagle odwraca się i zostawia go bez słowa. Biegnie z powrotem do pomieszczenia za drewnianymi drzwiami. Robi jeden nawrót i drugi. Felix rozgląda się, wyteży wzrok. W pobliżu nikogo nie ma. Drżącymi rękami rozwija pusty worek i wrzuca do niego kartony.

A jeśli ktoś się nagle zjawi?

Kolejne dwa kartony lądują mu prawie na stopach. Sok gruszkowy. Ciastka.

„Będę się musiał schować, ale ten pieprzony worek trzeba będzie zostawić”.

Felix chwytą oba kartony i wrzuca je do worka.

„W każdej chwili może się tu zjawić jakiś rowerzysta; zatrzyma się od razu i domyśli, co jest grane”.

Leo wyrzuca z łącznika coraz więcej kartonów z sokiem i ciastkami. Spadają na ziemię jak ciężkie krople deszczu.

– Leo! Wyłaż w końcu!

– Za chwilę.

Leo uśmiecha się do niego. I po chwili rzeczywiście wraca. Felix czuje, że zbiera mu się na płacz. Tak bardzo się boi! Najgorsze jest jednak to, że Leo wcale go nie słucha. Wcześniej też się zdarzało, że jego brat pograżał się w myślach.

„Już nigdy w życiu mu nie pomogę. Nigdy!”

Wreszcie w worku znika ostatni karton.

Kiedy Leo włamywacz przeciska się w końcu przez lufcik i zeskakuje na ziemię, Felix czuje, jak ogarnia go złość. Za to Leo jest bardziej spokojny i radosny niż kiedykolwiek.

– Braciszku, o co chodzi?

– O nic.

– Mamy cały worek, widzisz? Vincent nas...

– Jeśli ktoś je czegoś za dużo, po pewnym czasie mu to zbrzydnie. Bez względu na to, jak dobre to jest.

– Wolałem to zabrać. Na wypadek gdyby coś się stało.

– A co się może stać?

– Nigdy nie wiadomo.

– Powiedz mi: co się może stać? O co tu chodzi?

Wracając tą samą drogą, otacza ich ta sama cicha noc. Ale teraz nic nie jest już takie samo jak przedtem. Zrobili coś, czego nigdy wcześniej nie robili. To dlatego Leo uważa, że worek, który niesie, jest całkiem lekki; kiedy jednak przychodzi kolej na Felixa, stwierdza on, że worek jest ciężki. Ale chociaż kartony z ciastkami uciskają go w plecy, nie zamierza narzekać ani płakać. Za nic. W drodze do domu nie poskarży się nawet jednym słowem.

Światła w ich budynku są zgaszone, świeci się tylko w mieszkaniu ochroniarza, który nigdy nie śpi. Na tle szarej fasady okno przypomina rozświetlony nos. Wszyscy mieszkańcy śpią. Na drugim piętrze migocze lampa sufitowa, na trzecim warczy owczarek. Niedługo zacznie się nowy dzień.

Otwierają drzwi i wchodzą do swojego mieszkania. Tu też panuje cisza.

Zaglądają do pokoju Vincenta, który robi to samo, co inni sąsiedzi: powoli oddycha i też śpi.

– Mówiłem, że tak będzie.

Leo zerka na Felixa.

– Mumie zawsze śpią długo i głęboko. Bandaż mu się trochę obsunął.

Kasetka trafia na środek kuchennego stołu. Leo wybiera to samo miejsce co mama, gdy stawiała na nim ciepły garnek, jeszcze zanim... zanim...

– Felix, przynieś ręczniki.

– Po co?

Wygląda na to, że Leo chce się zabrać do tego w taki sam sposób jak mama, która rozbijała kotlety wieprzowe drewnianym tłuczkiem.

– Po prostu przynieś.

Felix wychodzi do przedpokoju i wraca z jednym ręcznikiem. Leo patrzy na niego zdziwiony.

– Tylko jeden?

– Tak.

– Przynieś wszystkie, jakie są.

Felix pędzi do sypialni mamy, bo tam jest garderoba. Otwiera ją i wyciąga stos białych ręczników. Każdy z nich ma wyhaftowane trzy czerwone litery: BMA. To skrót od Britt-Marie Axelsson. Axelsson to panieńskie nazwisko ich mamy.

– Zadwolony?

Felix podaje bratu sześć ręczników. Leo kładzie je pod kasetką, wyjmując z plecaka narzędzia i owijając rękawiczką dłuta siódmym. Cofa się o krok, ale w ostatniej chwili postanawia ustawić kasetkę do góry

nogami. Uważa, że w ten sposób łatwiej mu będzie się do niej dostać.

- Trzymaj tutaj.
- Za kasetkę?
- Rękami. Z obu stron.
- Chcesz wyważyć wieko?
- Tak.
- W takim razie nie zrobię tego.
- Dlaczego?
- A jak nie trafisz?
- Zaufaj mi. Załatwię to jednym uderzeniem. Popatrz, jak to się robi.

Leo waży dłuto w rękach, a następnie wsuwa ostrze w szeroką na milimetr szczelinę biegnącą równoległe do mechanizmu zamka. Zerka na Felixa, który stoi z zamkniętymi oczami, ale robi to, co mu kazał. Leo celuje i uderza. Dobre trafienie! Niestety w chwili, gdy młotek trafia w dłuto, co powinno przenieść na nie całą siłę uderzenia, Felix zwalnia uchwyt. Mechanizm broni się przed uderzeniem metalu, który próbuje wtargnąć do środka. Kasetka przesuwa się na brzeg stołu i spada z głośnym trzaskiem na podłogę. Hałas rozchodzi się echem w kuchni i przedpokojku.

- Co ty, kurde, robisz? Miałeś trzymać!
- Bałem się, że trafisz w moją rękę.

Leo przesuwa dłonią po zmiętych ręcznikach, wygładza je, podnosi kasetkę z podłogi i ustawia na tym samym miejscu co poprzednio.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, obudzimy Vincenta albo sąsiadów. Trzymaj, jak ci kazałem.

Felix chwytą kasetkę w dłonie, zaciska powieki i wzmacnia uchwyt.

Leo celuje i trafia w sam środek mechanizmu zamkowego.

Tym razem się udało. Szczelina zrobiła się na tyle większa, że można w nią wsunąć końcówkę dłuta. Leo pochyla się nad nią całym ciężarem ciała i zaczyna podważać wieko. W końcu rozlega się upragniony trzask.

Puścił zamek.

Leo chwytą kasetkę i ustawia ją w normalnej pozycji. W takich kasetkach jest zawsze luźna przegródka na monety, więc musi uważać, żeby nie wyspały się na podłogę.

Wieko kasetki unosi prawie z nabożną miną. Jego oczom ukazują się przegródki na pieniądze. Każda z nich jest wypełniona prawie po brzegi banknotami. Leo wysypuje na ręczniki monety i zatrzymuje te, które toczyły się na podłogę.

- Zaczynij je sortować. Ułóż na osobnych kupkach jednokoronówki i resztę drobniagu.

Leo celowo nie sprawdził na początku, ile pieniędzy mieści się w przegródkach. Wie jednak, że chciałby tam znaleźć tyle gotówki, żeby wystarczyło mu jej na wszystko. W końcu zagląda do środka, gdzie leżą poukładane banknoty pięciokoronowe. Jest całkiem pewien, że kwota z tej przegródki nie zadowoli jego oczekiwania. Wyjmuje je i zaczyna liczyć.

Dwadzieścia siedem banknotów po pięć koron.

Razem sto trzydzieści pięć koron.

Mało. Monety na pewno nie wyrównają różnicy.

Razem z Felixem zaczynają układać monety według nominalów. Robią się z nich trzy kupki o różnej wysokości. Leo liczy w milczeniu. Czterdzieści siedem koron i pięćdziesiąt öre.

Razem z pięciokoronówkami mają tu sto osiemdziesiąt dwie i pół korony.

Leo idzie pospiesznie do swojego pokoju. Na głosniku leży kartka. Bierze głęboki oddech i rozwija ją. Kurtka 99.50, peruka 125, papierosy 14, farba do materiału 28.50, wata 20 koron. Tych wszystkich rzeczy nie wolno mu nigdzie ukraść, chociaż nie byłoby to wcale trudne. Ale nie robi tego, bo jego plan zakłada, że ryzyko podejmie tylko raz: podczas głównego skoku. Jediną rzeczą, jaką załatwi bez ponoszenia zbędnego ryzyka, będzie rower, który posłuży mu do ucieczki. Ukradnie go dopiero w noc poprzedzającą skok.

- Brakuje sto cztery i pół korony.
- Jak to brakuje?
- Brakuje. Potrzebuję dwieście osiemdziesiąt siedem koron.
- Na co?
- Dla Larsa Ópuna. Ale już wiem, gdzie znajdę resztę.

Leo odmierza 450 gramów mleka – trochę więcej niż w oryginalnej recepturze – i cztery łyżki stołowe kaszki manny. Zgodnie z przepisem. Do tego sól, ale niezbyt dużo, właściwie tylko szczyptę. Przez cały czas miesza wszystko drewnianą chochłą i zatacza nią szerokie kręgi, żeby potrawa się nie przypaliła, bo ani Felix, ani Vincent jej nie ruszą.

W tym samym czasie Felix nakrywa do stołu. Talerze, łyżki, serwetki, szklanki. Potem przysuwa krzesło do szafki i wyjmuje z niej torbę cukru i słoik z cynamonem. Są teraz sami, więc mogą sobie pozwolić na więcej.

– Felix, idź obudzić Vincenta.

– Już do niego zaglądałem. Ciągłe jest taki... Jak długo będzie jeszcze obandażowany? Przez całe życie?

– Na pewno nie. Uwolnię go od tego.

Felix wychodzi z kuchni, ale nie idzie do pokoju Vincenta, tylko do kosza na pranie, który stoi w rogu przedpokoju, przy drzwiach wejściowych. Kosz, wykonany z brązowego tworzywa, jest trochę mniejszy od tego, który stoi w łazience. Tamten jest tak ciężki, że mama z trudem znosi go do pralni w piwnicy. Felix wsuwa rękę między brudne majtki, skarpetki i T-shirty i wyjmuje z nich parę dżinsów. Na niego są za małe.

– Co ty tam robisz?

– Pomyślałem sobie, że... no wiesz... chcemy odwiedzić mamę. Zrobimy to, o czym mówiłeś... żeby Vincent przestał być mumią.

Felix idzie do pokoju Vincenta, ale Leo chwyta go za nogawkę spodni.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo jest na to za wcześnie.

– Na wszelki wypadek spytam go.

Obaj zaczynają ciągnąć spodnie za nogawki, każdy w swoją stronę. W końcu Felix je puszcza i uwalnia się z uchwytu starszego brata.

– Leo, zrozum... jeśli go namówimy, żeby poszedł z nami do mamy, to będzie musiał zdjąć z siebie te bandaże!

– A jak twoim zdaniem wygląda mama?

Felix zatrzymuje się w pół ruchu i stoi jak wmurowany.

– Jak to?

– Na twarzy. Nie pamiętasz, jak krwawiła? Jak myślisz, ile bandaży założyli jej w szpitalu? Nie chcę, żeby Vincent ją oglądał. A ty?

Dopiero teraz do Felixa dociera sens tego, o czym mówił Leo. Kiedy tata bił mamę, prawie nic nie widział, niewiele z tego pamięta. Czasem odnosi wrażenie, że tamte ciosy wybiły w jego pamięci czarną dziurę.

– Leo?

– Co?

– Jak myślisz, jak ona teraz wygląda?

Felix patrzy na starszego brata, jak gdyby na więcej nie miał odwagi, jak gdyby odpowiedź, którą za chwilę usłyszy, mogła przez to nabrać słabszego wydźwięku.

– Niedługo ją zobaczymy, braciszku.

Nagle poczuli zapach spalenizny.

Kasza się przypaliła. Cholerne mleko! Leo zdejmuje gwałtownym ruchem garnek z płyty, nalewa do niego zimnej wody, a brązową masę wyrzuca do kosza na śmieci. Potem próbuje oskrobać dno, ale udaje mu się to dopiero wtedy, gdy bierze druciany zmywak i zaczyna nim zdrapywać spaloną skorupę.

W końcu jeszcze raz odmierza przepisowe miarki mleka, kaszy i soli i miesza je ze sobą.

W tym samym momencie słyszą szcęk klucza w zamku. Ktoś ma własny klucz od ich domu?

– Dzień dobry.

Starszy kobieciey głos. Agnetha.

Klucz dostała pewnie od mamy albo od tamtej kobiety z opieki społecznej.

Leo podbiega do okna i otwiera je na oścież, żeby Agnetha nie pomyślała sobie, że nie potrafią zagotować zwykłej kaszy manny.

– O, widzę, że już jecie?

Agnetha staje w progu. Zerka na zastawiony stół i na Leo, który miesza kaszkę w garnku.

– Jeszcze nie. Felix miał ugotować kaszę, ale nie umie, bo przez cały czas trzeba mieszać w garnku.

– A ja wam kupiłam... no cóż, będziecie mieli na jutrzejsze śniadanie. W drugiej reklamówce macie obiad i kolację.

Agnetha otwiera lodówkę i wstawia do niej zakupy.

– Jutro rano nie musi pani do nas przychodzić, sam się wszystkim zajmę. To ja zawsze przygotowywałem dla nich śniadanie.

W tym momencie ktoś puka lekko w futrynę drzwi. Leo i Agnetha odwracają się odruchowo w tamtą stronę.

Felix.

– Mumia nie chce jeść.

– To zostaw go w spokoju. Zje później.

Agnetha zdążyła już rozpakować pierwszą torbę. Chciała się zabrać za drugą, ale wstrzymała się z tym.

– To Vincent nadal jest obandażowany?

– Tak. Uważam, że powinien to zdjąć, ale Leo jest innego zdania.

– Wcale tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że nie powinniśmy go zmuszać do zdjęcia bandażu ani żeby pojechał z nami odwiedzić mamę.

Agnetha widzi, że opinie w tej sprawie są skrajnie różne. Odwraca się do obu braci i zerka to na jednego, to na drugiego.

– Zgadzam się z Leo. Bandaże należy zdjąć dopiero wtedy, gdy Vincent będzie na to gotowy. Innymi słowy: kiedy wyzdrowieje. Możecie iść do mamy, ja z nim zostanę.

Kaszka się w końcu zagotowała. Leo bierze ze stołu dwa spośród trzech przygotowanych talerzy.

– Chciałabym jednak porozmawiać z wami o pewnej sprawie.

Agnetha czeka, aż Leo napełni talerze kaszką, i siada przy stole.

– Ostatniej nocy coś mnie obudziło. Usłyszałam, jak ktoś szedł po schodach. Myślę, że chyba te kroki mnie obudziły. Wydawało mi się, że osoby, które szły schodami, minęły moje drzwi, a potem weszły do tego mieszkania. Potem zasnęłam, ale znowu się obudziłam. Usłyszałam dwa, może trzy silne trzaski. Jak gdyby ktoś uderzał w ścianę. Potem zapadła cisza albo po prostu zasnęłam.

Leo i Felix przeżuwali w milczeniu kanapki z chrupkim pieczywem i serem. Jednak tym razem ani kanapki, ani kaszka z dodatkową porcją cynamonu nie smakowały im jak zawsze.

– Czy to wy tak hałasowaliście?

Leo zerka na Felixa, Felix na niego.

– Ja nic nie słyszałem. A ty, Felix?

Leo widzi, że Felix się waha. Na szczęście Agnetha niczego nie zauważa. W końcu Felix mówi cichym głosem.

– Nie. Ja też nic nie słyszałem.

Do szpitala w Falun nie jest zbyt daleko. Mimo to dojście na miejsce zabiera im dużo czasu. Felix wlece się powoli, z każdym krokiem idzie coraz wolniej. Leo domyśla się dlaczego.

– Pospiesz się wreszcie.

Niepokój. Wkrótce zobaczą coś, czego żaden z nich wolałby nie widzieć.

– A dlaczego? Gdzieś nam się spieszy?

– Mama będzie wyglądać tak, jak wygląda.

Leo już wcześniej postanowił, że nie będzie myślał o jej wyglądzie. Woli myśleć o innych rzeczach: o sklepie ICA, rynku i ochroniarzu, który może im popsuć szyki. Wie, że musi przekonać Felixa, bo bez niego będzie mu trudno. Wprawdzie plan może się też udać i w pojedynkę, ale ryzyko, że coś pójdzie nie tak, znacznie wzrośnie. Felix ma odwrócić uwagę Świra, bo to on stanowi dla nich największe zagrożenie.

Po drugiej stronie parku, za drzewami, widać budynek szpitala. Za kilka minut będą na miejscu. Felix stawia coraz krótsze kroki, coraz cięższe.

– Braciszku?

– Co?

– Tak jak mówiłem: tylko wtedy, jeśli będziesz chciał.

– Nie rozumiem.

– Ja pierwszy zajrzę do mamy. Jeśli się okaże, że twarz ma zmasakrowaną, powiem ci i nie będziesz musiał do niej iść.

Kompleks szpitalny składa się z trzech budynków, które różnią się od siebie wyglądem. Jeden jest jasny i ma czternaście pięter, drugi ciemniejszy i ma dwanaście kondygnacji. Trzeci jest wciśnięty między dwa poprzednie i liczy tylko siedem poziomów, wliczając w to dolną kondygnację bez okien. Budynki wyglądają jak trzech bracia.

Leo i Felix zatrzymują się przy szpitalnym kiosku. Cięte kwiaty są zbyt drogie. Za to torebka żelków – takich, jakie mama lubi – kosztuje niewiele. Leo płaci monetami, które zabrał z kasetki.

Korytarze. Winda. Szpitalne zapachy.

Ludzie w białych kitlach z identyfikatorami. Są tu po to, żeby leczyć. Inni nie mają identyfikatorów. To pacjenci.

Sala z trzema łózkami. Dwa są puste. Trzecie zajmuje mama.

Leży na tym boku, którego nie uszkodził jej tata. Głowę ma odwróconą do ściany.

– Mamo, to my.

Britt-Marie podskakuje. Może spała?

– Vincent przyjdzie kiedy indziej.

Leo nadal stoi w progu. Felix zagląda do sali przez szczelinę, która powstała między jego ramieniem a framugą drzwi. Nie jest zbyt szeroka, więc jeśli mama się odwróci, Felix jej nie zobaczy. Szczelina przypomina ekran telewizora, a jak wiadomo to, co na nim widzimy, nie zawsze odpowiada rzeczywistości.

– Dzień dobry, synku.

Mama odwraca głowę i Leo przesuwa się gwałtownie w bok. Ekran przy framudze przestaje istnieć. Felix domyśla się, że twarz mamy nie wygląda najlepiej.

– Wejdźcie, chłopcy.

To głos mamy. Jest bardzo słaby.

Leo odwraca się do Felixa, ale nadal zagradza mu drogę.

– Chcesz wejść?

– Nie.

Leo patrzy na mamę i kręci głową. Britt-Marie próbuje mówić silniejszym głosem.

– Chcę, żebyś ty też do mnie przyszedł.

– Nie.

– Chcę cię tylko potrzymać za rękę.

Felix chrząka i dalej stoi za starszym bratem.

– Czy bardzo cię boli, mamo?

– Jasne, że ją boli. Nie powinienes nawet o to pytać.

– Tak, boli mnie.

Britt-Marie próbuje się unieść w łóżku i wydaje przy tym bolesny jęk. Pewnie chce ich lepiej widzieć.

– Ból można odczuwać na różne sposoby. Czasem w ogóle go nie widać.

Ból jest jednak tak silny, że Britt-Marie opada z powrotem na łóżko.

– A jak teraz wyglądasz?

– Mój wygląd nie jest teraz najważniejszy. Za kilka tygodni albo za miesiąc po wszystkim nie będzie śladu.

Leo wraca na poprzednie miejsce. Między jego ramieniem a framugą drzwi znowu powstał ekran.

Dzięki temu Felix widzi twarz mamy.

Na czole ma gruby opatrunek. Nos i policzki, a właściwie dużą część twarzy, zakrywają plastry. Tworzą coś w rodzaju białego krzyża, który zasłania czerwoną skórę.

– Proszę, mamo, twoje ulubione.

Leo wchodzi do pokoju jako pierwszy. Torebkę z żelkami chciał położyć na brzuchu mamy, ale w ostatniej chwili wybiera puste miejsce na pomarszczonej koldrze. Britt-Marie przekłada ją od razu na wysuwany stolik połączony z szafką. Na czymś takim chorym podawane są posiłki.

W końcu Felix decyduje się wejść do sali. Idzie za bratem i obaj siadają po obu stronach łóżka. Britt-Marie próbuje zmienić pozycję, ale ból wykrzywia jej twarz. Mimo to uśmiecha się. Przecież musi widzieć ich obu.

– Bardzo dziękuję za żelki. Zjem je później.

Niektóre słowa dochodzą do nich z trudem, bo mama mówi bardzo słabym głosem. Jej wargi prawie wcale się nie poruszają. Felixowi przypomniał się pewien brzuchomówca z lalką, którego oglądał w telewizji. Kiedy lalka „mówiła”, brzuchomówcy lekko drgał jeden kącik ust.

Najgorzej wygląda prawe oko. Całe jest zaklejone.

Teraz Felix żałuje, że nie został na korytarzu. Przestraszył się, że jeśli będzie na nią patrzył zbyt długo, mama może oślepnąć. Może pod opuchlizną nie będzie wtedy oka, tylko czarna dziura? Nadal nie pamięta, co się wtedy wydarzyło, ale może luka pamięciowa w jego umyśle jest jedną z wielu, które powstały, gdy tata bił mamę?

– A co u Vincenta? Czuje się dobrze?

Britt-Marie zadaje to pytanie najstarszemu synowi.

– Jasne. Jest teraz pod opieką Agnethy.

– Nie chodzi głodny?

– Je jak zwykle. Dbam o niego pod każdym względem.

Drugie oko wygląda lepiej, ale i tak widać w nim zmęczenie. Tam, gdzie powinien być biały kolor, porobiły się krwawe wybroczyny. Felix postanawia, że kiedy przyjdzie jego kolej, będzie patrzył tylko w to oko i ani razu nie spojrzy na drugie.

Krwawe wybroczyny są trochę lepsze niż czarne dziury.

– Tak, Vincent czuje się naprawdę dobrze. Potrafi zjeść tyle ciasteczek kokosowych na jednym posiedzeniu.

W tym momencie dzieje się coś, czego Felix się spodziewał. Leo wbija w niego wzrok i przewierca go nim. Ale on udaje, że niczego nie widzi. Musi powiedzieć prawdę.

– Pod łóżkiem mamy ich teraz całe mnóstwo.

Głos mamy po raz pierwszy w czasie tej rozmowy nie przypomina szeptu. Spogląda na niego zmęczonym, zaczerwienionym okiem w typowy dla siebie sposób. Tylko ona tak potrafi.

– O czym ty mówisz?

Felix czuje, jak Leo kopie go w kostkę.

– O niczym, mamó. Felix bredzi.

Ale jest już za późno. Britt-Marie to przecież ich mama, dobrze ich zna. Wie, dlaczego jeden o czymś mówi, a drugi woli milczeć. Nie zauważyła, jak Leo kopnął Felixa w kostkę, ale i tak zaczęła się czegoś domyślać.

– Co wyście nabroili?

Obaj bracia milczą, podczas gdy ich mama spogląda na nich zapuchniętym, nabiegłym krwią okiem. Felix nie bardzo wie, dlaczego jej to powiedział. Jakoś mu się tak wymknęło. To tak jak wtedy, gdy się wymiotuje – najpierw nie można tego powstrzymać, a potem cofnąć.

– Chodzi o kartony z ciastkami i prawie sto soczków ze słomką. Wszystko to leży pod łóżkiem Vincenta.

I znowu mu się wymknęło. Felix ma wrażenie, że łatwiej mu było te słowa z siebie wyrzucić niż zdusić. Kiedy je wypowiadał, nie zastanawiał się nad reakcją mamy. Dopiero teraz żałuje swojej gorliwości.

– Popatrzcie na mnie. Obaj. Tak poważnie. Powiedźcie mi, ale szczerze. Czy to, co leży pod łóżkiem Vincenta, skądś zabraliście? A może ukradliście?

– Nie.

– Tak.

Obaj bracia odpowiedzieli jej prawie jednocześnie. Leo był chyba trochę szybszy. W każdym razie to jemu Britt-Marie chce spojrzeć w oczy. Wygląda to tak, jak gdyby oko, którego Felix do tej chwili nie widział, próbowało się wydostać spod napuchniętej, sianej powieki.

– Leo, przecież wiesz, że nie wolno kraść. Masz czternaście lat i przestałeś być dzieckiem.

Jej głos nie jest już tak słaby jak wcześniej. Wyraźnie to słyhać. Mama się złości, a gdy zaczyna mówić bardziej podniesionym głosem, Felix widzi, że nie ma zęba po prawej stronie. To pewnie dlatego nie zjadła żelków. Są ciągliwe jak guma i ich żucie sprawiałoby jej ból.

– Ciastka kokosowe i napoje w kartonikach? Skąd to macie? Leo, czy to ty je zabrałeś?

Leo patrzy jej prosto w oczy, nie unika jej spojrzenia. Tak postanowił.

– Obiecuję, że zwrócę wszystko, co leży pod łóżkiem Vincenta.

– Jak?

– Położę w miejscu, z którego to zabrałem. Ktoś je tam znajdzie.

Leo sam w to chyba nie wierzy, a Britt-Marie robi jeszcze smutniejszą minę.

– To nie wystarczy. Słyszysz, co mówię? Powinieneś też przeprosić.

– Mamo, drzwi były otwarte, więc wszedłem do środka, a one tam leżały. Pomyślałem więc... że sprawie radość Vincentowi.

Felix od dłuższej chwili milczy. Już i tak powiedział za dużo. Wie jednak, że Leo kłamie. To dziwne, ale ciało mamy jak gdyby się skurczyło. Z trudem wydobywa z siebie głos.

– Jesteś najstarszy z całej trójki, dlatego dopóki leżę w szpitalu, ponosisz odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje w domu. Nie oznacza to jednak, że wolno ci rozwiązywać problemy w taki sposób. Słyszysz, co mówię? Nie zniosę tego, że zaczynasz się zachowywać jak on...

Britt-Marie umilkła. Żałuje wypowiedzianych słów, ale już za późno. Felix domyśla się, kogo miała na myśli. Leo też to wie i dlatego jego wargi robią się nagle wąskie, jak zawsze, gdy ogarnia go złość.

– Nie mogę ich przeprosić, bo jeśli to zrobię... Nie rozumiesz? Wszyscy będą o tym mówić. Niech już zostanie, jak jest. Na razie nikt o niczym nie wie. Nie może tak zostać?

– Nie. Musisz przeprosić. Na tym polega bycie najstarszym.

Czternaście lat. To chyba niezbyt wiele?

Najchętniej by stąd wyszedł, zniknął, pożegnał się z mamą, która niczego nie rozumie. Obiecał jednak tacie, że się wszystkim zajmie.

– Mamo? A jak zareaguje na to tamta kobieta z opieki społecznej?

Leo zadał pytanie takim tonem, jak gdyby chciał ją sprowokować. A może jej groził? Chyba nie mówiła poważnie, chociaż tak to zabrzmiało. Spróbuje jej to jeszcze raz wyjaśnić, tyle że w inny sposób.

– Chciałem tylko, żeby Vincent i Felix... żeby oni... przepraszam, to się już nigdy więcej nie powtórzy.

– Na pewno?

– Obiecuję.

Na twarzy Britt-Marie pojawia się ogromne zmęczenie. Jej oko zapada się w opuchliznie i wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy tu weszli.

– Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy. Jak tylko wrócę do domu.

Przed wyjściem z sali Felix mocno obejmuje mamę, a ona głaska go lekko po policzku i szepta do ucha, że go kocha. Leo jej nie obejmuje, bo nie może. Rzuca tylko „Na razie” i wychodzi. Idąc szpitalnym korytarzem, obaj milczą. Po wejściu do windy Leo staje w jednym, a jego młodszy brat w drugim rogu. Dzieli ich odległość wielu kilometrów.

– Jaka wielka winda. Prawie taka duża, ile skaczę w dal.

Leo nie patrzy bratu w oczy.

– To dlatego, żeby można było do niej wstawiać nosze z chorymi i zmarłymi.

– Zmarłymi?

– Którzy umarli w szpitalu. Ich ciała trafiają ze szpitala do kostnicy.

– Kost...nicy?

– To takie lodowate pomieszczenie w piwnicy szpitala, dla wszystkich, którzy tu umierają. Jest ich tam całe mnóstwo. Trzeba ich pokroić, żeby się dowiedzieć, dlaczego umarli.

Drzwi windy otwierają się i Leo rusza przed siebie szybkim krokiem. Felix z trudem za nim nadąga. Nie może przestać myśleć o miejscu, w którym panuje lodowaty chłód i leżą ciała zmarłych. Przecież ludzie mają tu wracać do zdrowia, nie umierać.

– A... nasza mama?

- Co: mama?
- Ona chyba nie umrze?

Leo zatrzymuje się w pół kroku, Felix chwilę później. Doszli już do parku. Do parku? Felix rozgląda się wokół siebie. Jak to możliwe, że zaszli tak daleko i nawet tego nie zauważyli? Szpital znajduje się w odległości kilkuset metrów od miejsca, w którym przystanęli.

- Nie, braciszku. Mama nie umrze.

To dobrze, że Leo tak powiedział. Mimo to na jego twarzy pojawia się wahanie. Niedobrze. Niech się waha, czy na przykład ukrąść pieniądze ze sklepu, ale nie w sprawie tego, czy ich mama umrze.

- Dopóki będziesz robił to, co ci każe, mama nie umrze.

Leo kładzie rękę na ramieniu Felixa, tak jak to zawsze robił.

- O tym, co robimy, nie wolno ci rozmawiać ani z mamą, ani z nikim innym.

- Mówię, co chcę.

- Nie wolno nam opowiadać rodzinie o naszych sprawach. Tego uczył nas tata.

- Sorry, ale będę robił to, co ja chcę.

- Posłuchaj mnie uważnie: nigdy nie wolno ci z nikim rozmawiać o tych sprawach! Ani o sklepie, ani o skórzanej torbie! Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Czy wiesz, co się może stać, jeśli to zrobisz? Zajmie się nami opieka społeczna: ciebie wyślą do Norrlandu, Vincenta do Skanii, a ja trafię do jakiegoś poprawczaka. Czy tego właśnie chcesz?

- Nie.

- Jeśli tak się stanie, mama poczuje się jeszcze gorzej niż teraz. Chcesz tego?

- Nie.

- No to dlaczego nie trzymasz gęby na kłódkę? Dlaczego na mnie donosisz?

- Bo się boję, że dopadnie cię Świr!

Leo zdjął rękę z ramienia Felixa i mocno go objął.

- Bracie, czy ty naprawdę wierzysz, że coś takiego mogłoby się zdarzyć? Przecież ci tłumaczyłem, że go zrobię w konia. Musisz mi tylko pomóc. Powinniśmy trzymać się razem.

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Już wie, że Felix nie będzie mu się przeciwstawiał.

- Muszę teraz coś załatwić, nie będzie mnie dwie godziny. Pozdrów ode mnie Vincenta. Odsuń mu bandaż z ust, gdy będzie pił. To ważne dla poziomu cukru we krwi.

- A dokąd się wybierasz?

- Wracam do Vincenta. Jak wrócę, przygotuję coś do jedzenia.

Felix się waha, ale w końcu się odwraca i powoli odchodzi. Leo kieruje się w drugą stronę – na dworzec autobusowy. Musi załatwić coś, czego potrzebuje dla Larsa Ćpuna. Ogólnie jest zadowolony. Postąpił słusznie. Wprawdzie Felix się wygadał, ale za to on opanował złość i stłumił ją w sobie. Będzie musiał go przekonać, przeciwną na swoją stronę. Felix jest mu potrzebny. To oczywiste. Ani Felix, ani mama, ani policja, ani nikt inny nie wie, co wydarzy się jutro. Wszystko może się w jednej chwili zawalić, już tak bywało.

Ale nie skończy jak tata. Akurat w tym względzie mama nie ma racji.

Tata nigdy się nie przygotowuje, dlatego on postąpi inaczej. Pójdzie okrężną drogą, żeby rozejrzeć się po parkingu. Parking znajduje się między niskimi domami czynszowymi a gęstymi krzakami, w których można się ukryć. Przy krzakach, na których parkują samochody, stoją automaty parkingowe. To tu zaopatrzy się w resztę pieniędzy, których potrzebuje.

Poczeka, aż się ściemni, żeby nikt go nie zobaczył. O tej porze będzie tu pełno samochodów.

Wszystko odbyło się szybko: autobus, który wybrał, stoi już na stanowisku. Za bilet do Borlänge i z powrotem zapłaci bilonem z kasetki. Ma dokładnie odliczoną kwotę, którą trzyma w plastikowej torbeczce. Same monety o nominale pięciu öre. Za trzydzieści osiem minut dotrze do najbliższego miasta. Droga jest monotonna, przy szosie rosną same drzewa iglaste, co pewien czas przejeżdżają obok jakiegoś pustego parkingu. Po przyjeździe na miejsce idzie do sklepu z kosmetykami. Na półkach stoją anonimowe głowy ze sztucznego tworzywa pozbawione oczu. Leżą na nich peruki. Leo zatrzymuje wzrok na tej, którą pewien facet miał na głowie w pubie w Skogås. Jest ciemniejsza od jego włosów, które mają kolor „popielatoblond”. Cena peruki została obniżona do stu dwudziestu pięciu koron. Potem idzie do sklepu z wyrobami tytoniowymi. Lepiej kupić papierosy kilkadziesiąt kilometrów od Falun. Dzięki temu uniknie wścibskich spojrzeń. Wybiera papierosy marki John Silver – tak się nazywał pirat z *Wyspy skarbów*. Tutaj też płaci bilonem z kasetki. Banknoty nie zabierają tyle miejsca, podczas gdy

monety tworzą w kieszeni kurtki wypukłą „bańkę”. Wszystko idzie zgodnie z planem, dlatego bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje pieniędzy z automatów. Musi dokończyć to, co zaczął z Larsem Ćpunem.

Pełnia księżycza.

Przed oknem wisi duża lampa. Bijący od niej blask miesza się z blaskiem ulicznej latarni i wdziera do środka przez zaciągnięte żaluzje. Za pół godziny wybije północ. Leo odczekał do zapadnięcia zmroku, aż Felix i Vincent zasną. Żelki, bilet autobusowy, peruka, fajki. Zostały mu dwadzieścia cztery korony. To za mało. Brakuje mu jeszcze stu dwudziestu czterech koron, żeby kupić resztę potrzebnych rzeczy.

Właśnie tym chce się teraz zająć.

Do plecaka wkłada dłuto i młotek, bo oba te narzędzia zawsze się do czegoś przydadzą. Z przedpokojku zagląda do pokoju Vincenta. Wcześniejsze chrapanie ustąpiło miejsca regularnemu oddychaniu. Jego młodszemu bratu nic się nie śni – po prostu śpi i taki sen jest dla niego chyba najlepszy. Przy ustach wiszą mu końcówki bandaży. Są jasnobrązowe, jak gdyby Vincent zjadł opakowanie czekoladowych kulek.

Leo idzie przez rozświetlony blaskiem księżycza teren, kierując się w stronę krzaków rosnących wokół parkingu. Wciska się w nie i z ukrycia obserwuje okolice. Trwa to do momentu, aż się upewnia, że jest tutaj sam. Wtedy wychodzi z krzaków i akcja zaczyna się toczyć jak podczas skoku na szkołę. Słychać tylko jego. Sunie po asfalcie w miękkich tenisówkach na nogach.

Uchwyt dłuta owinął taśmą izolacyjną. Będzie musiał silnie uderzyć młotkiem w jego koniec. I to wiele razy. Każdy parkometr obsługuje dwa miejsca parkingowe i składa się z dwóch oddzielnych metalowych „głów”. Każda z nich ma własny otwór wrzutowy na monety. Na parkingu jest ich dziesięć. Do obrobienia ma teoretycznie dwadzieścia pojemników na bilon.

Czasem myśli o automatach ze słodyczami i napojami chłodzącymi albo o tych czerwonych, w których można kupić plastikowe kulki z tanimi zabawkami. Jeśli ktoś chce otrzymać resztę w bilonie, automaty mu ją wydadzą. Za każdym razem kiedy wrzuca monetę do otworu, zastanawia się, co zrobić, żeby ją potem odzyskać. To taka zabawa umysłowa. Polega na wymyśleniu, jak usunąć pokrywę, żeby zajrzeć do środka i zrozumieć mechanizm, który wprawiany jest w ruch po wrzuceniu jednokoronówki albo pięćdziesięciu öre. Ale do żadnego urządzenia ludzie nie wrzucają tyłu monet co do parkometrów. Co za to mają? Czas. Marną godzinę za koronę.

Leo dokładnie ogląda jedną z „główek” parkometru – jest zielona, zrobiona z tworzywa sztucznego i ma kształt kropki. Kiedy czas parkowania dobiega końca, zielony kolor zamienia się na czerwony. Leo ogląda też wąskie szczeliny, przez które wrzuca się monety. Pojemniki, w których lądują, otwierane są kluczem. I właśnie ta szczelina odróżnia parkometry od pozostałych rodzajów automatów na pieniądze: pojemniki są przytwierdzone małymi i delikatnym nitami.

W tych pojemnikach jest najwięcej pieniędzy i to do nich najłatwiej się włamać.

Leo wyciąga dłuto i młotek. Nabiera powietrza, mierzy i uderza. Wystarczy jedno uderzenie i płaska główka nitu odpada od cienkiej nożki.

Leo odsuwa pokrywę pojemnika, wkłada do niego dłoń. W środku jest pełno monet. Wyjmuje dwie pełne garście jednokoronówek i dokładnie je przelicza. Dwadzieścia dwie.

W drugim parkometrze znajduje ich dwadzieścia osiem, w trzecim siedemnaście.

Koncentruje się na tym, co robi, bo taki właśnie jest: samotnik w świetle kasetek na pieniądze. To dlatego nie widzi światła, które poprzedza dźwięk silnika. Reflektory samochodu rozświetlają całą parking, silnik gaśnie dopiero w chwili, gdy wóz zatrzymuje się dwa miejsca dalej.

Leo rzuca się na ziemię. Za późno?

Wstrzymuje oddech, liczy do dziesięciu i wczołguje się między krzaki.

Leży bez ruchu z policzkiem przyciśniętym do ziemi. Obserwuje, jak kierowca wysiada z samochodu. Na nogach ma czarne buty. Zamyka drzwi i zaczyna szukać monet po kieszeniach. W końcu znajduje trzy. Leo słyszy, jak lądują w pustym parkometrze.

Serce bije mu jak młotem, ciało unosi się i opada w rytm uderzeń.

Mężczyzna nadal nie rusza się z miejsca, chyba coś zauważył. W końcu odchodzi, ale nie w stronę domów, tylko krzaków. Tam, gdzie leży Leo.

Czarne buty są już bardzo blisko, zatrzymują się metr od niego.

„Kurde!”

Jeśli facet zobaczy plecak albo narzędzia, będzie po nim.

Leo zamyka oczy, wstrzymuje oddech... i nagle prawie wybucha śmiechem.

Tuż obok niego spada na ziemię strumień cieczy o intensywnym, charakterystycznym zapachu. Spływa po gęstym listowiu.

Mało brakowało.

W ósmym parkometrze jest osiem koron, w dziewiątym dwadzieścia dziewięć, w kolejnym dwadzieścia.

Pieniędzy wystarczy na kupienie tego, co mu jeszcze potrzebne: kurtki, farby, waty. Potem przebranie będzie miał skompletowane.

Lampa świeci mu silnie w oczy, na wysokości okna pokoju wisi księżyc. Felix zapomniał opuścić żaluzje i teraz srebrzysty krążek wysyła błyszczące promienie w stronę ziemi. Ale to nie księżyc go obudził, tylko znany mu dobrze zapach.

Felix siada w łóżku.

Dym z papierosa. Pachnie tatą.

Spuszcza gołe stopy na zimną podłogę, która na szczęście tłumi jego kroki. Podkrađa się w stronę światła bijącego od kuchni. To tam tata zazwyczaj palił. Dzięki temu umieli obliczyć, jak długo będzie siedział – i pił czarne wino – i jak długo będzie spał następnego dnia. Każdy niedopałek, który trafiał do popielniczki, oznaczał kolejną chwilę spokoju.

Zapach jest dość intensywny.

Felix oddycha głęboko trzy razy i wychyla się w stronę kuchni.

Tak, to dym papierosowy.

Na pomalowanym w niebieskie kwiatki spodku do herbaty leży obok siebie pięć papierosów. Żarzą się, tworząc po drodze do sufitu jedną smugę dymu.

Felix wychyla się jeszcze dalej.

Ktoś siedzi w kuchni, widzi jego plecy i kark.

Ale to nie tata, tylko ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widział.

Felix waha się, bo nie wie, co zrobić. Chciałby wejść do kuchni, ale nie ma odwagi. Chciałby też wrócić do łóżka, ale stoi jak wmurowany.

Nie widzi twarzy ani nawet profilu obcego. W kuchni pali się tylko słaba lampka nad piecykiem. Jej blask nie sięga nawet kuchennego stołu, przez co pół ciała nieznanego skrywa cień.

Felix stara się stać nieruchomo, ale z trudem mu to przychodzi. Ostrożnie oddycha, krew pulsuje mu w żyłach.

To mężczyzna, dość wysoki. Długie włosy sięgają mu do ramion.

Nagle nieznaną postać odwraca się i przez chwilę patrzą na siebie. Felix rzuca się do ucieczki.

Pędzi przedpokojem do łazienki i słyszy, że mężczyzna biegnie za nim. Na szczęście zdążył zamknąć drzwi na klucz.

– Felix?

Mężczyzna z długimi włosami szarpie za klamkę, która porusza się w górę i dół.

– Felix? Posłuchaj!

Mężczyzna z długimi włosami zna nawet jego imię.

– To tylko ja, Leo.

A teraz na dodatek twierdzi, że jest jego bratem.

– Wyjdź stamtąd. To naprawdę ja.

Rzeczywiście, jego głos brzmi bardzo znajomo.

– To... ty?

– Tak, to ja.

– Coś ty zrobił z włosami?

– Otwórz, to sam zobaczysz.

Jeden, dwa, trzy. Felix otwiera drzwi. Faktycznie, to Leo. Włosy ma długie, pofarbowane na brązowo.

– Chodź do kuchni. Wszystko ci opowiem.

Na stole leży pięć żarzących się niedopałków, a obok nich stos monet. Felix ich przedtem nie zauważył. To zupełnie nowe monety, same jednokoronówki. Jest ich znacznie więcej od tych, które znaleźli w kasetce.

– Popatrz na moją głowę.

Leo wskazuje palcem na swoje włosy. Ale to nie włosy, tylko jakaś brzydka peruka. Widać to dopiero z bliska.

– Popatrz na dużą brudną kangurkę. I na to.

Leo pokazuje mu dymiące papierosy.

– Zaczęłeś palić?
– Tak, dla zmyłki.
– Dla zmyłki? Nie rozumiem.
– Lars Ćpun. Wyrzucę niedopałki papierosów na ziemię, gdy będę czekał niedaleko sklepu. Policja łatwo je znajdzie.
– Jaka policja?
– To dla zmylenia śladów. Chcę oszukać gliny. Wyobraź sobie, że stoję na rynku. Ktoś przechodzi i widzi...

Leo sięga po papierosa, który zaraz zgaśnie, wkłada go do kącika ust, jak na jakimś filmie. Potem opuszcza głowę i kuca. Strąki włosów spadają mu na oczy, głos ma ochrypły.

– Siemanko, szcunie, mam ksywkę Lars Ćpun.

Felix widzi po minie brata, że Leo świetnie się bawi. Za to jemu wcale nie jest do śmiechu.

– A ty? To ty masz ksywunię Johnny Złodziejaszek? Co byś powiedział na mały skok? Tylko ty i ja? Śmieszna peruka, śmieszny głos, śmieszny akcent.

– Leo... przecież policja będzie cię szukać.

Leo przeciąga się i wraca do swojego normalnego głosu.

– Nie, braciszku. Będą szukać Larsa Ćpuna. Wykiwamy ich, bo jesteśmy sprytniejsi. Czternastolatek i jego o trzy lata młodszy brat. Nikt się nie domyśli, że to nasza sprawka.

Leo obejmuje Felixa ramieniem.

– Wiesz co? Lars Ćpun potrzebuje kumpla, żeby jego plan się powiódł. Potrzebny mu jest Johnny Złodziejaszek.

Ale Felix uwalnia się spod jego ręki.

– Kiedy obudziłeś mnie poprzedniej nocy, miałeś wielką torbę na śmieci i kasetkę. A te pieniądze? Skąd je masz? Te wszystkie jednokoronówki? Ty naprawdę myślisz, że wyrwiemy tej kobiecie torbę, w której jest tyle forsy? Po co to robisz, Leo? Przecież jesteś za nas odpowiedzialny.

Bracia stoją naprzeciwko siebie, tak samo jak po tym, gdy ich tata pobił mamę, a ona uciekła. Leo stanął mu wtedy na drodze. W mieszkaniu pachniało jedzeniem, bo mama nakryła wcześniej do stołu, ale nie zdążyli zacząć jeść. Czekają na nich spaghetti z sosem bolognese. Pachniało jedzeniem i trochę krwią mamy.

Leo przeszkodził ojcu, bo inaczej ten by ją pobił na śmierć. Stali tak i patrzeli na siebie. I właśnie wtedy tata wypowiedział te słowa:

„Od tej pory odpowiedzialność spoczywa na tobie”.

– To prawda, tak wtedy powiedział. Ale ty tego nie słyszałeś, bo uciekłeś, żeby się schować.

– A powiedział ci, że mamy kraść pieniądze? Na pewno nie. A ja usłyszałem jeszcze coś, to co powiedziała mama. Ale ty jej pewnie nie słuchałeś?

Peruka leży na głowie tylko prowizorycznie, więc łatwo ją zdjąć. Leo odkłada ją na stół i po kolei gasi wszystkie papierosy. Teraz, gdy znowu jest sobą, Felixowi łatwiej będzie go przekonać do swoich racji. Felix czuje, jak słowa wypływają mu z ust w szybkim tempie i trafiają do wyobraźni brata.

– Okej... a Vincent? Nasz brat mumia? A mama w szpitalu? Tata w areszcie... a teraz to... czy ty też trafisz za kraty i znikniesz?

– Nie pójde za kraty.

– Przez cztery lata wszystko było... normalne. Potem go wypuścili, a on przyjechał prosto do domu i pobił mamę. Teraz znowu wszystko jest złe.

Kiedy kończą się słowa, zaczynają się łzy. Felix coraz gwałtowniej szlocha – on, który nigdy nie płakał, nawet wtedy, gdy tata go bił. Od czasu gdy to wszystko się zaczęło, nie płakał ani razu. Teraz wypłakuje wszystkie łzy.

– Nie pomogę ci, rozumiesz? Odmawiam.

– Ale przecież wiesz, że Johnny Złodziejaszek zawsze pomaga Larsowi Ćpunowi.

– Nie zrobię tego, bo... bo to nie jest dobre. Po prostu.

Po tych słowach Felix odwraca się do stołu i od razu przypomina mu się ten, który mieli w poprzednim mieszkaniu. Pamięta, jak leżał na podłodze, przy progu i zaglądał do środka, chociaż nikt go nie zapraszał. Na tym dawnym stole znajdowały się różne dziwne rzeczy: benzyna, podarta powłoczka, puste butelki po winie. Tata uczył Leo, jak zrobić koktajl Mołotowa i bomby zapalające, od

których spaliła się babcia i dom dziadka. Teraz na stole, między stosem jednokoronówek a spodkiem do herbaty pełnym niedopałków, leży peruka.

– Na stole było pełno dziwnych rzeczy. Mam gdzieś to, co było cztery lata temu. Leo, ja wiem, że obaj to pamiętamy. Pewnie ci się wydaje, że to ty tu decydujesz, ale przecież mama powiedziała, że nie musisz robić tego samego co tata.

Felix ciągle płacze, łzy napływają mu do oczu. Dopiero gdy Leo sprząta stół, zabiera pustą reklamówkę z logo sieci Konsum i wkłada do niej perukę i paczkę papierosów, płacz ustaje.

– Co robisz?

Leo bierze za uchwyt torby, zawiązuje węzeł i zaciąga go. Potem stawia ją koło wiadra pod zlewem.

– Masz rację.

Felix ociera łzy obiema dłońmi.

– Co powiedziałaś?

– Damy sobie z tym spokój.

Leo mocno obejmuje Felixa.

– Lars Ćpun już o wszystkim zapomniał.

– Na pewno?

Leo znowu go mocno obejmuje.

– Na pewno.

**„Jeśli ty wciągniesz mojego brata, ja
wciągnę twójego”**

Szpadel ciąży mu w rękach. Być może dlatego narzędzie tak łatwo zagłębia się w ziemi. A może kopie mu się tak lekko, bo w tym miejscu nie ma korzeni i ostrych kamieni? Czubek szpadla uderza o drewniane wieko, zagłębia się w porowatej powierzchni. To dlatego, że trumna tak długo leżała w ziemi.

Dobrze wie, kto leży w środku.

Tata.

Uchyła wieko i powoli je unosi.

Jest trochę zaskoczony, bo ze środka nie wydobywa się zapach, którego się spodziewał. A przecież powinien. Zwłoki ojca leżą dokładnie w takiej samej pozycji jak wtedy, gdy przyszedł na identyfikację do szpitalnej kostnicy. Elegancki garnitur, zaczesane do tyłu włosy, popielata cera.

Broncks rozpina mu guziki marynarki w białe prążki i białą koszulę. Krawata nie rusza, tylko odsuwa go na bok, żeby mu nie przeszkadzał. Pochyla się nad trumną i opiera ramieniem o ściankę grobu. Na obnażony brzuch i pierś ojca spadają grudki ziemi. Broncks zaczyna je usuwać, dotyka dłońmi brzegów ran i zaczyna je liczyć. Jest ich dwadzieścia sześć. Na pewno? W raporcie z sekcji zwłok była mowa o dwudziestu siedmiu.

– Poszukaj trochę dalej.

Zabrzmiało to jak głos ojca.

– Żebro pod lewym ramieniem. Ostatnie pchnięcie trafiło tam.

Broncks chwytając ojca za rękę i przekręca ją, żeby zobaczyć dwudziesty siódmy otwór. Słyszy, jak serce ojca mocno bije. Jak gdyby się przed nim bronił.

Puk, puk.

Broncks zerwał się z łóżka.

Puk, puk.

To tylko sen. Okropny, ale tylko sen. Wrażenie, że stoi nad grobem, wydawało mu się takie rzeczywiste, ale na szczęście okazało się nieprawdziwe.

Od razu poczuł ulgę.

Znowu usłyszał pukanie, ale tym razem do drzwi wejściowych.

Jego telefon leżał na podłodze. Zerknął na wyświetlacz – za trzy szósta. Nie przespał nawet dwóch godzin.

Kto, u diabła, wali do drzwi o tak wczesnej porze?

Przeszedł na bosaka po zimnej drewnianej podłodze do przedpokoju swojego dwupokojowego mieszkania. W drzwiach był zamontowany wizjer. Broncks pochylił się, żeby wyjrzeć na klatkę.

Elisa.

– Co ty tu robisz?

– Musimy porozmawiać.

– O czym?

– O Leo Dūvnjacu.

– Chyba dość jasno dałaś mi do zrozumienia, iż nie chcesz współpracować przy tym śledztwie. A właściwie nie przy śledztwie, tylko ze mną.

– Wiesz co?

– Co?

– Zmieniłam zdanie. Mam gdzieś to, że jesteś psychopatą. Facet, którego wczoraj przesłuchiwałam, jest jeszcze gorszy.

Ludzie, którzy uśmiechają się do wizjera, głupio wyglądają, bo taki wizjer zniekształca obraz i perspektywę. To dlatego Elisa miała taki niemądry wyraz twarzy – krzywy, okrągły, zbyt szeroki uśmiech. A może ona naprawdę tak wyglądała? Przecież wcześniej rzadko się do niego uśmiechała. Elisa uniosła rękę i przysunęła ją do wizjera. Teczka z aktami śledztwa. Tak mu się w każdym razie wydawało.

– Chwileczkę, poczekaj.

Broncks wrócił do sypialni. Zamiast zająć się ścieleniem łóżka, włożył dzinsy podniesione z podłogi i T-shirt, który wisiał na oparciu fotela. Dopiero potem poszedł otworzyć drzwi, a gdy Elisa weszła do mieszkania i powiesiła swoją kurtkę na jego kurtce, wydawało mu się, że mierzy uważnym spojrzeniem jego potargane włosy i gołe stopy.

– Tak, dobrze się domyślasz, rzeczywiście mnie obudziłaś. Napijesz się czegoś? Wody, kawy?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie sam się napiję.

Broncks wszedł do kuchni, Elisa ruszyła za nim.

– Przerwałeś przesłuchanie, które prowadziłam.

Nalał wody do czajnika i postawił go na gazie.

– Kazałeś go wyprowadzić i nie wróciłeś.

Ciepła woda. Srebrna herbata.

– Od tamtej pory próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Myślałam, że przyszedł do mnie o tak wczesnej porze, żeby porozmawiać o pracy. Tymczasem ty mnie pytasz, jak spędzam czas.

– Powiedziałam, że chcę porozmawiać o Dûvnjacu.

Broncks nalał sobie wrzącej wody do wielkiego kubka, podczas gdy Elisa rozglądała się po całym mieszkaniu. Była pewna, że Broncks mieszka tu sam. Nie jest gejem, ale też nigdy nie patrzył na nią w sposób typowy dla mężczyzn heteroseksualnych. Mieszkanie urządzone było jak z obrazka z katalogu IKEA. Zero osobistych akcentów, żadnych fotografii. Na ścianach nie wisiało nic, z czego mógłby być dumny. Sympatycznie, ale bez uczucia. Jak zwykły pokój hotelowy, w którym spędza się parę nocy, żeby potem udać się w dalszą podróż.

– Sprawdziłam alibi Dûvnjaca. Nie można go podważyć. Rzeczywiście był w restauracji i spotkał się tam z ojcem o podanej godzinie. Potwierdzają to właściciele lokalu i pewien stały, lekko zawiany klient. Przeszukanie domu jego matki też nic nie dało.

– Słyszałem, że tym przeszukaniem narobiłaś sobie wrogów. Takie publiczne pouczanie kolegów z pracy, gdy wywracali jej sypialnię do góry nogami, jest najlepszym sposobem na to, żeby w miejscu pracy zasłużyć sobie na powszechną niechęć.

– Jeśli słuszność jest po mojej stronie, wcale mi to nie przeszkadza. Nie zostałam policjantką z samotności, ja już mam przyjaciół.

Elisa spojrzała na Broncksa w typowy dla siebie sposób.

– Za to ty nie masz chyba zbyt wielu przyjaciół... więc o co ci chodzi?

Broncks wypił trochę wody. Zrobiło mu się cieplej i od razu poczuł się lepiej.

– Alibi – porażka. Rewizja – porażka. Czy to znaczy, że obudziłaś mnie na próżno? Jeśli tak, to możesz wracać do domu, a ja spróbuję jeszcze pospać.

Ale Elisa nie zamierzała ustępować. Przyciągnęła jedno z drewnianych krzeseł i usiadła przy stole.

– Jeśli nie znajduję tego, czego szukam, szukam dalej. Aż do skutku.

Rozłożyła teczkę, którą pokazała mu na klatce schodowej, i wyjęła z niej jakiś dokument. Na pierwszy rzut oka przypominał wyciąg z rejestru przestępców.

– Wiemy, że Jari Ojala, który zginął podczas napadu w centrum handlowym, odsiadywał ostatnie siedem lat w więzieniu w Österåker. Siedział w celi numer dwa na Oddziale H – to znaczy w tym samym zakładzie karnym i na tym samym oddziale co Leo Dûvnjac. Na pewno się znali, a Dûvnjac mógł wszystko zaplanować i pokierować całą akcją, nie uczestnicząc w niej osobiście.

W górnym rogu kolejnego dokumentu widniało podobne logo rejestru przestępców co na poprzednim.

– Wiemy, że w okresie, gdy przebywali tam Dûvnjac i Ojala, na Oddziale H siedziało czteremastu innych skazanych. Dziesięć z nich nadal odsiadyuje wyroki i żaden z nich nie przebywał wtedy na przepustce. Możemy ich więc skreślić.

– Naprawdę?

– Zostało nam czterech. Pierwszy, nazwijmy go „A”, to Joaquin Sanchez. Skazany za handel narkotykami na dwanaście lat. Pracował dla boliwijskiego kartelu. Jeśli ktoś odważył się przekroczyć granicę z walizką pełną ubrań impregnowanych kokainą, to na pewno nie miałyby żadnych oporów, żeby wziąć udział w napadzie na konwój.

Cztery pliki papierów spiętych spinaczami.

– Teraz drugi, rumiany na twarzy. Nazwijmy go „B”.

Elisa rozłożyła dokumenty na stole w taki sposób, aby utworzyły półkole.

– Nazywa się Thor Bernard i dostał osiem lat za napad. Wcześniej awansował w gangu motocyklowym z pozycji „prospecta” na „hangarouna”. Zrobiłby wszystko, żeby zasłużyć na szacunek przywódcy. Trzeci, to ten plik, to Sam Larsen. Będziemy go nazywać „C”. Skazany za morderstwo na dożywocie, ale już wyszedł. Chociaż nigdy nie dostał wyroku za nic, co miałoby jakikolwiek związek z rabunkiem, siedział wystarczająco długo, żeby zwariować. Ostatni, ten plik, to Semir Mhmedi, nazwijmy go „D”. Sześć lat za zabójstwo, członek marokańskiego, a właściwie północnoafrykańskiego gangu, który swymi mackami sięga aż do granic Algierii. Znany z nienawiści do policji i z tego, że w czasie przesłuchań milczy. Tak jak Ojala.

Woda w czajniku była jeszcze ciepła. Broncks odwrócił się i dołał jej sobie do pełna, chociaż odechciało mu się pić.

„Sam. Znowu ty.

W ciągu ostatnich dwunastu lat spotkał się tylko cztery razy, ostatni, gdy odwiedził go w więzieniu i powiedziałem o śmierci mamy, a ty nie chciałeś mi nawet podać ręki. Wczoraj twoje imię i nazwisko wypłynęło nagle w czasie przesłuchania; pojawiłeś się też w nocy, gdy nie mogłem zasnąć. Teraz znajdujesz się wśród podejrzanych, których będziemy sprawdzać. Znam cię, nie jesteś rabusiem. Ale tak naprawdę wcale cię nie znam”.

– Jak się już ubierzesz, zaczniemy ich sprawdzać. Po kolei.

„Ciebie też, Sam. Jeśli znowu się spotkamy, żeby cię przesłuchać i wykluczyć z kręgu podejrzanych, wolałbym nie robić tego w towarzystwie kogoś, kto nazywa mnie psychopatą”.

– Proponuję, żebyśmy się jakoś podzielili.

„Kogoś, kto nie zna naszej przeszłości i potem też jej nie pozna”.

– Weź dwóch pierwszych, ja wezmę pozostałych.

– Nie rozumiem. Kiedy mi zaproponowałeś współpracę, mówiłeś, że będziemy działać razem.

„Już i tak zbyt wiele postronnych osób grzebie w naszych rodzinnych sprawach”.

– Tak będzie lepiej. Goni nas czas. Jeśli Dûvnjac uderzył pierwszego dnia na wolności, to znaczy, że wyznaczył sobie jakiś cel i konsekwentnie do niego zmierza. Nie sądzisz?

Broncks usiadł przy stole naprzeciwko Elisy i przesunął na swoją stronę dwa pliki dokumentów.

– Wezmę... powiedzmy... tych dwóch, „C” i „D”. Ty weź „A” i „B”. Zgoda?

Zamierzał zrobić to co Elisa – przejrzeć stos papierów, zdjęcia... cały materiał dowodowy. Jednak w przeciwieństwie do Elisy, która metodycznie przeglądała jeden dokument po drugim, Broncks zatrzymał się już na pierwszej fotografii. Przedstawiała młodego więźnia, którego Elisa nazwała „C”. Nazywał się Sam Larsen.

Zdążył zapomnieć, jak jego brat kiedyś wyglądał.

Wydawało mu się, że wszystkie wspomnienia z lat dzieciństwa dotyczące jego starszego brata zostały zastąpione obrazem Sama, którego niedawno spotkał w więzieniu – chodzącej wiązki mięśni, kiepskich tatuaży i odpychającego wzroku. Tymczasem Sam, który patrzył na niego z czarno-białej fotografii sprzed lat, miał osiemnaście lat, chudą szyję i zbyt długą, potarganą grzywkę. Sam Larsen dobrze wiedział, że ostatnie, dwudzieste siódme pchnięcie, które trafiło ich ojca w lewy bok, tuż pod ramieniem, zadano nożem do sprawiania ryb z ząbkowanym ostrzem.

Łydki każdego człowieka wyglądają inaczej.

Leo nigdy się wcześniej nad tym nie zastanawiał. Teraz jednak, gdy widział je przez dwa wąskie, podłużne i dość brudne okna umieszczone tuż nad podziemną kondygnacją budynku przy Hallandsgatan, domyślał się, jak może wyglądać cała reszta – wiek, status, a nawet samopoczucie ich właściciela. A wszystko to na podstawie dwudziestu centymetrów stóp i kostek widocznych przez okno.

– Leo?

Leo rozglądał się po lokalu, który Fredrik Sullo Söderberg nazywał swoim biurem. Sześćdziesiąt metrów kwadratowych w podziemiach domu czynszowego niedaleko parku Rosenlund w centrum Södermalmu.

– Słucham?

– Być może nie powinienem pytać, ale... czy zabrałeś wszystko, co potrzeba?

Leo zdjął torbę z ramienia.

– Dwa rodzaje środków płatniczych, papierowe i metalowe. Dokładnie tak, jak uzgodniliśmy.

– Ja ci ufam, ale musiałem spytać ze względu na sprzedającego. Chyba rozumiesz?

Sullo jak zwykle rozmawiał z nim grzecznym tonem. Taki już był. Nawet wtedy, zanim Leo przestawił mu szcękę, używał uprzejmego tonu. Leo trafił go tak szybko, że klawisze nic nie zauważyli. Kiedyś potwierdził wersję przedstawioną przez Sulla, a mianowicie, że podczas wyciskania na ławeczce w więziennej siłowni na rosyjskiego gwałciciela spadła sztanga. Właśnie wtedy zrodziła się między nimi nić zaufania.

– A ty? Czy ty wszystko załatwiłeś?

Zielony sufit, szara, betonowa podłoga pokryta wytartymi dywanami w perskim stylu. Typowy sposób na utrzymanie ciepła, kiedy robi się zimno. Po tym, co Sullo mu opowiadał, Leo wyobrażał sobie, że jego biuro jest urządzone trochę lepiej. Jego działalność rozwijała się szybko, w sposób niekontrolowany. Stopniowo przy ścianach pojawiały się kolejne regały. Stały na nich kartony i pudła, reklamówki z nierozpakowanymi telefonami komórkowymi, aparatura dźwiękowa, projektory, komputery... Pod regałami leżały trochę większe i bardziej płaskie opakowania na telewizory, monitory i inne urządzenia.

– Leo, twoje rzeczy czekają na ciebie tam dalej.

Sullo wskazał na dalszy róg pomieszczenia, gdzie leżały zamówione rzeczy. Leo był jednym z niewielu klientów, których Sullo zaprosił do swojego królestwa. Nie zrobił tego ze względu na jakieś specjalne zasługi i od razu dał mu to do zrozumienia. Przecież każdy może obrabować bank albo trafić za kraty. Prawdziwym powodem było osiem skoków na banki, o które policja nadal podejrzewała Dúvnjaca. Ktoś, kto ma taką kartotekę, nie nadaje glinom na swoich kumpli.

– Spodnie i kurtki, które zamówiłeś, zostały zwędzone nocą spod drzwi pewnego biura.

– Moja lista życzeń była dłuższa.

– Mam wszystko. Musiałem to załatwić na kilka razy.

Przeszli wzdłuż dwóch długich wieszaków wypełnionych garniturami tak znanych marek jak Armani, Givenchy, Prada czy Hugo Boss. Ubrania wisiały ciasno obok siebie, zapakowane w cienki celofan. Wszystkie wypadły „przypadkiem” z jakiegoś TIR-a na autostradzie E4 między Malmö a Sztokholmem. Pomieszczenie pełniło rolę przechowalni, do której towary trafiały na krótko w drodze od sprzedającego do kupującego. Sullo był tu gospodarzem: gwarantował bezpieczeństwo szemranych transakcji, w których każda ze stron miała sprawiedliwy udział. Taką wersję przedstawił przed czterema laty innym osadzonym w zakładzie karnym w Kumli.

Sullo robił za pośrednika, jeśli sprzedający i kupujący nie chcieli się ze sobą spotkać, poznać nazwisk albo ujawnić swojej tożsamości.

– Całe twoje zamówienie jest tutaj.

Sullo zatrzymał się przed jedyną czystą powierzchnią w całym lokalu i podniósł z podłogi karton, z którego wystawała brązowa tuba kreślarska. Wyglądała jak komin na dachu.

– Najtrudniej było z odznaką...

Sullo otworzył karton i wyjął z niego małą metalową odznakę w niebiesko-czerwono-złotym kolorze. Każdy policjant nosi taką razem z legitymacją służbową. Na lśniącej mosiężnej powierzchni wytłoczone były nazwa rejonu i numer.

– ...sporo się natrudziłem, żeby taką znaleźć. Zresztą opowiadałem ci, jakie to było trudne. Na całym rynku znalazłem tylko jedną sztukę, która sporo mnie kosztowała. Niech to szlag! Nawet najlepsi kieszonkowcy nie potrafią już okraść glin.

Leo położył metalową odznakę na rozłożonej dłoni. Była lekka, ważyła nie więcej niż trzydzieści gramów.

– Ta mi wystarczy, drugą sam załatwię.

Sullo spojrział na niego z zaciekawieniem. Rzadko mu się zdarzały takie sytuacje, bo to przecież on jest od tego, żeby załatwiać różne rzeczy.

– Jakim cudem?

– Cudem techniki. Możesz mi pokazać resztę zamówienia?

Sullo wyjął dwie granatowe kurtki i dwie pary spodni tego samego koloru.

– Mundury policyjne, według obowiązujących przepisów. Model standardowy.

Leo wziął jedną z kurtek i rozwinął ją. Obejrzał pagony, które wyglądały jak przedłużenie grubego kołnierza, i zamek błyskawiczny. Na końcu dokładnie sprawdził oznakowanie stopnia.

– Są jeszcze spodnie, koszule, skórzane rękawice i buty. To też chcesz obejrzeć?

– To nie jest konieczne. Za to chętnie zerknę na pas.

Sullo wyjął z torby nylonowy pasek, pałkę teleskopową, kajdanki, sprej pieprzowy, dodatkowy magazynek, radio, zestaw monofoniczny i kaburę na broń. W sumie cztery kilogramy sprzętu zawieszono na pasie. Leo zważył w ręce najcięższy ze składników wyposażenia – pistolet, model używany przez szwedzką policję: sig sauer P226.

– No i jak? Zadowolony? Wiesz, ile to kosztuje?

Leo otworzył sportową torbę i wyjął z niej dwa pistolety maszynowe.

– Papier i metal. Zacznijmy od metalu.

Sullo odebrał od niego broń i położył ją na stole. Nawet jej nie obejrzał.

– Jest jeszcze pewien drobiazg, Leo. Tytułem wyjaśnienia, żebyś wiedział. Brak mundurów i pasów z wyposażeniem zostanie zauważony jutro albo najpóźniej pojutrze.

– Skąd je masz?

– Z komendy w Örebro.

– Najważniejsze, że nie zwinąłeś tych rzeczy w Sztokholmie. Ci w Örebro będą potrzebować przynajmniej dwóch dni, żeby dotrzeć do Sztokholmu. Ale wtedy ja będę już ubrany w coś zupełnie innego.

Sullo sięgnął po tubę wystającą z pudła, otworzył ją i wyjął ze środka zapisany ręcznie papier formatu A3.

– Prosto od firmy sprzątającej.

Leo pochylił się nad szkicem budynku wykonanym czarnym, wyraźnym tuszem. Budynek odegrał kiedyś ważną rolę w jego życiu. Teraz znowu tak będzie. Schemat przedstawiał korytarze, schody i najważniejsze pomieszczenia na każdym z pięter.

– Mam też kartę do czytników. Będziesz ją mógł wykorzystać w podziemnym przejściu, które zaczyna się w ratuszu. Parę razy obaj tamtędy szliśmy, z bransoletkami na rękach. Ale pamiętaj, na dole możesz wejść tylko do magazynu depozytów. Nie wolno ci się poruszać według własnego uznania. Na przykład do jakiegoś pokoju i z powrotem. Jak ktoś odkryje, skąd ta karta pochodzi, to...

– Możesz być spokojny. Nigdzie indziej nie pójde. Jak już będę miał to, po co przyszedłem, grzecznie się stamtąd oddalę.

Sullo podał mu identyfikator, który był niewiele większy od zwykłej karty kredytowej, ale nie cofnął ręki, gdy Leo wziął ją w palce.

– Dostałem metal, teraz chcę dostać papier. Twoje zamówienie kosztuje. Tak jak uzgodniliśmy: siedem centymetrów pięćsetek w banknotach.

Koperta, którą Leo położył na stole, zawierała siedemset pięćsetek i była podejrzanie wypukła. Leżała na niej druga koperta, znacznie cieńsza.

– To za informację o godzinie transportu do fabryki papieru w Tumbie.

– Nie trzeba, masz to ode mnie gratis. To nasza pierwsza, próbna transakcja. Zadowoleni klienci zawsze wracają.

– Jak daję, to bierz. Zaufałeś mi, chociaż nie miałem ci wtedy czym zapłacić. Teraz potrzebuję jeszcze mieszkania.

Sullo pogrzebał w kartonie i wyjął z niego pęk kluczy.

– Gamla Sickla, Atlasvägen 25, czwarte piętro. Koło domu kultury Dieselverkstaden.

– Zatrzymam się tam najwyżej na dwie noce. Klucze zostawię w skrzynce na listy. Zgoda?

Dwie minuty później Leo zabrał całe swoje zamówienie i wyszedł z niezwykłego biura mieszczącego się w zwykłej piwnicy. Wkrótce on sam przejdzie przed wąskim, zabrudzonym oknem na Hallandsgatan, przez które widać tylko łydki przechodniów. Jeśli ktoś zobaczy dwadzieścia centymetrów jego stóp i kostek, będzie mógł sobie wyobrazić tylko jedną postać. Drugą miał w torbie, którą przerzucił sobie przez ramię.

Szlaban pomalowany był na czerwono-biało. Podnosił się krótkimi zrywami, jak gdyby co jakiś czas musiał się zatrzymać, żeby przed kolejnym ruchem nabrać rozpędu. Broncks wjechał na prom i szlaban od razu opadł. Jego samochód był tam jedynym pojazdem. Pewnie tak tu wygląda na co dzień. Od wyspy Arnö leżącej na środku jeziora Mälaren dzieliło go zaledwie pięć minut. Odwrócił się i pomachał kapitanowi promu na górnym pokładzie. Kiedy on i Sam byli dziećmi, ich ojciec też go tak pozdrowiał, zgodnie z odwiecznym obyczajem mieszkańców wyspy. Ten gest odróżniał ich od turystów. Broncks podjechał na sam koniec rampy, która za kilka minut się otworzy, a on zjedzie po niej z pokładu na wyspę. Za każdym razem kiedy obaj z Samem opuszczali stały łódź i wracali na wyspę na weekend albo na letnie wakacje, czuł się tak, jakby nigdy nie miał z niej wrócić. Jak gdyby wkraczali w inny świat, który istniał w izolacji od zła. Kiedy samochód przejeżdżał nad szczeliną oddzielającą rampę od łądu, Sam szeptał: „Witamy w Alcatraz”.

Broncks czuł, że robi mu się niedobrze. Tak jak dawniej. Wszystko podchodziło mu do gardła. Kiedy stał się dorosłym człowiekiem, odczuwał to tak, jak gdyby w klatce piersiowej tkwiła wielka czarna kula, która nie pozwalała mu oddychać. Teraz – tak jak wtedy – owa kula zaczęła opadać do żołądka, gdzie zadowoliła się na dobre. Jak gdyby najadł się strachu.

Przez cały czas ciążyło mu to na dnie żołądka.

Do cholery, przecież jest już dorosły!

Dzieci, które widział rano, były jego całkowitym zaprzeczeniem. Hałaśliwe, ciekawskie, pełne ufności, ciągle w ruchu. Wchodząc do jednego z mieszkań we Fruängen, ujrzał coś, czego w ogóle nie spodziewał się tam zastać. Oznaczony na liście literą „D” Semir Mhadi doznał bowiem religijnego objawienia, po którym wrócił do żony i dzieci i zaczął nowe życie. Podjął szczerą, odważną próbę. Broncks spotkał go, gdy Mhadi odprowadzał dzieci do szkoły. Poszedł z nimi aż pod samo wejście, a córki całkiem nieświadomie zapewniły ojcu alibi, mówiąc, że „i wczoraj, i przedwczoraj... tak, zaraz po szkole, gdy tata zabrał nas na basen... tak... niech pan sobie wyobrazi, na samym środku basenu zrobił wielką bombę, a woda rozpryskała się tak daleko... tak strasznie daleko”.

To był zupełnie inny świat od tego, w którym kiedyś dorastał.

Zjeżdżając z promu, pomachał na pożegnanie kapitanowi na mostku, tak jak robią to mieszkańcy wyspy. Zrobił to automatycznie, chociaż w dorosłym wieku nie był tu ani razu.

Przed przyjazdem zajrzał do spisu mieszkańców, bo nie wiedział, gdzie jego brat zamieszkał po wyjściu z więzienia. Pamiętał, że Sam odziedziczył letni domek, bo taka była wola ich matki, która umieściła odpowiedni zapis w testamencie. Ogarnęła go wtedy nagła zazdrość, która stopniowo przeszła w obojętność. Jeśli Sam rzeczywiście tak bardzo chce tego domu, to niech sobie z nim robi, co mu się podoba. Nie mógł jednak uhierzyć, że Sam chciałby się tam osiedlić na stałe.

Po drodze minął kościół z trzynastego wieku. Biały niegdyś tynk stracił swoją pierwotną barwę. Trawniki i alejki nie były już tak zadbane jak dawniej. Spotkali się tam na pogrzebie mamy, ale nawet nie zamienili słowa – ani przed pogrzebem, ani później. Gdyby nie dwaj klawisze z więzienia, którzy przez cały czas towarzyszyli Samowi, wyglądaliby jak zwykła rodzina na zwykłej ceremonii pogrzebowej. Strażnicy też byli ubrani w czarne garnitury.

Asfalt przeszedł w gruby żwir, a w miejsce pól pojawił się gęsty las. Wyglądał tak samo ładnie jak dawniej, gdy byli dziećmi. Na wzgórzu wyłączył silnik i zjechał wprost pod czerwony drewniany płot.

Przez pewien czas siedział w wozie.

Letni domek wczesną wiosną zawsze wydawał się niezamieszany.

Czy Sam naprawdę tu mieszkał?

Czyżby z własnej woli postanowił przenieść się w miejsce, w którym wiązały się ich najciemniejsze wspomnienia?

Broncks otworzył drzwi i dopiero w tym momencie usłyszał, jak ktoś rozłupuje siekierą drewniane klocki, które spadały po obu stronach pieńka.

W chwili gdy zamierzał zrobić pierwszy krok, poczuł, że znowu robi mu się niedobrze. Jak gdyby w miejsce „konsumowania” strachu pojawiło się przymusowe „karmienie” nim. Gdyby mógł zwymiotować swoje wspomnienia, od razu by to zrobił.

Powoli ruszył przez zamrznięty trawnik, na którym prawie nie było śniegu. Kierował się w stronę odgłosów, które nabrały coraz większej mocy. Słyszał, jak drewniane klocki wydają jęk w chwili, gdy ostrze siekiery rozrywa je na połowę. Sama ujrzał dopiero wtedy, gdy obszedł krzewy gęstego bzu. Jego brat stał odwrócony do niego plecami, z siekierą uniesioną nad głową. Po chwili ostrze opadło z całą siłą na pień. Broncks odczekał, aż obie połowki klocka spadły na ziemię.

– Cześć.

Sam ani nie drgnął, ani się nie odwrócił, jak gdyby usłyszał kogoś, kto wprawdzie stoi tuż za nim, ale w ogóle go nie obchodzi. Położył na pieńku kolejny brzozowy klocek, uniósł siekierę i z trzaskiem w niego uderzył.

– Powiedziałem „cześć”.

Dopiero po tych słowach Sam się odwrócił. Ich spojrzenia na krótko się spotkały. Potem Sam pochylił się, żeby pozbiierać szczapy leżące na kupce. Broncks tylko przez chwilę widział jego oczy, ale zdążył zauważyć, że Sam postarzał się od śmierci mamy. Obliczył w myślach, że brat skończył czterdzieści dwa lata.

– Myślałem, że już sprzedałeś tę rudę.

Sam nie odpowiedział. Zabrał kawałki drewna z kupki leżącej po drugiej stronie pieńka, zaniósł je do szopy na drewno i ułożył przy jednej ze ścian na stosie podobnych szczap.

– Pewnie jest warta z milion koron?

Sam układał kolejne klocki w taki sposób, aby cała konstrukcja się nie zawałiła. Potem zamknął drzwi szopy na haczyk.

– Bądźmy szczerzy... wydaje ci się, że tak łatwo sprzedać dom mordercy? Do dzisiaj wszyscy tak go nazywają, nawet po tylu latach.

Szopa stała w odległości zaledwie kilku kroków od domu. Sam otworzył drzwi i wszedł do środka. Drzwi zostawił uchylone.

– W takim miejscu plotki nigdy nie cichną, ciągle krążą po całej wyspie. Kurwa, ludzie prawie mnie nie zauważają, szepczą za moimi plecami, że wrócił morderca. Tak właśnie mówią, gdy im się wydaje, że nie słyszę.

Broncks wszedł przez uchylone drzwi do kuchni, ale nie mógł zrobić kroku dalej. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie chciały zabrać go w miejsce, w którym ściany skrywały dawną przemoc.

– Jedynym człowiekiem, który traktuje mnie bez uprzedzeń, jest kapitan promu. Pamiętasz go? Myślę, że chyba mnie nawet lubi. Wcale mnie to nie dziwi. Tylko on przejrzał ojca na wylot.

Broncks stał nieruchomo i wsłuchiwał się w głos, który niezależnie od tego, gdzie się znajdował, zachowywał wobec niego dystans i był całkowicie wyprany z uczuć, jak gdyby obaj znajdowali się w tej chwili w więziennej celi.

– Wypuszczasz ciepłe powietrze.

Broncks obserwował, jak Sam wkłada drewniane szczapy do zardzewiałej metalowej skrzynki, która jak sięgał pamięcią, zawsze stała na prawo od pieca.

– Muszę zamknąć drzwi – decyduj się: wchodzisz albo nie.

Ten przedpokój...

Kiedy był tu ostatnim razem, nie miał jeszcze osiemnastu lat.

Teraz przedpokój wydawał mu się strasznie mały, podobnie jak kuchnia. Sam włożył do pieca drewnianą szczapę i zaczął dłubać pogrzebaczem w czerwonym żarze. Broncks widział jego twarz bardzo wyraźnie – od ich ostatniego spotkania przybyło mu zmarszczek pod oczami. Takie same miał ich ojciec. Nigdy wcześniej nie myślał o tym w ten sposób – że ich ojciec został zamordowany w wieku czterdziestu kilku lat. Miał wtedy mniej więcej tyle lat co teraz jeden z jego synów.

Sam uśmiechnął się szyderczo.

– No proszę! Przyjechałeś tu, żeby mnie stąd wyrzucić? Jeśli tak, to spóźniłeś się o kilka miesięcy.

– Nie. Przyjechałem do ciebie służbowo, jako policjant, bo nie chcesz mnie znać jako osoby prywatnej.

Broncks wyjął z kieszeni płaszcza fotografię i położył ją na stole w miejscu, w którym kiedyś jadł posiłki.

– Znasz go?

Sam nawet nie spojrział na zdjęcie wyciągnięte z rejestru skazanych.

– Nie sypię kumpli. Nic się nie zmieniło.

– Przecież już wyszedłeś z więzienia.

– Za to ty nadal jesteś policjantem.

Broncks podsunął mu zdjęcie bliżej.

– Wiem, że go znasz. Siedzieliście razem w Österåker. Wczoraj Jari Ojala został zastrzelony podczas napadu na konwój z pieniędzmi. Przypuszczamy, że jego współnik, który nam uciekł, siedział razem z nim w tym samym zakładzie. Ty też spędziłeś tam kilka lat. Przyjechałem, żeby cię wykluczyć z kręgu podejrzanych. Potem zrobisz, co zechcesz. Możemy się nigdy więcej nie spotkać.

– No to mnie wyklucz.

– Najpierw musisz mi powiedzieć, co robiłeś w ostatni poniedziałek między szesnastą a siedemnastą.

Broncks położył na stole drugą fotografię, tej samej wielkości co poprzednia.

– Z nim też siedziałeś. To Leo Důvnjac.

– No i co z tego?

– Sam, do cholery... Możemy to załatwić szybko i każdy z nas pójdzie swoją drogą. Ty chcesz, żebym zostawił cię w spokoju, ja chcę stąd jak najszybciej wyjechać. Wystarczy, że ze mną porozmawiasz.

Sam wrzucił do pieca kolejną szczapę drewna, chociaż nie było to konieczne.

– Zgoda. Pytaj.

Broncks obserwował, jak ze szczeliny w piecu wydobywa się gęsta chmura dymu. Z trudem oddychał.

– Siedziałeś razem z Důvnjakiem ponad rok. Tak wynika z dokumentacji zakładu karnego. Z kim się kumpłował?

– Nic na ten temat nie wiem.

„Przecież rozmawialiście ze sobą”.

– Czy utrzymywał z kimś bliższe kontakty?

– Tak jak z każdym na oddziale.

„Opowiedziałeś mu o nas”.

– Więzienny korytarz nie jest aż tak duży. Mijaliście się każdego dnia. Musiałeś widzieć, z kim się trzymał.

– Ludzie przestają się zauważać, gdy tęsknią za wolnością.

„Obaj też się dobrze znaliście”.

W kuchni zapadła cisza, taka sama jak na zewnątrz. Drewniane szczapy w piecu trzaskały teraz głośniejsz niż na początku.

– Nie widzisz, że piec dymi? Powinieneś wymienić górną płytę. Pamiętam, że kiedy byliśmy mali, mama ją wymieniła.

Szary dym utworzył nad piecem ładną zasłonę. Dym unosił się powoli pod sufit. Broncks podszedł do stołu i zabrał zdjęcia. Wiedział, że Sam nie odpowie na żadne pytanie, bez względu na to, ile razy i w jakiej formie je zada.

Otworzył drzwi i chmura dymu popłynęła w jego stronę. Zszedł na kamienne schodki, ale nagle się zatrzymał, zawrócił i wszedł do środka.

– Opowiadałeś komuś o nas?

– O czym?

– O tym, co się tutaj stało.

– A kto pyta? Głina?

– Odpowiedz sobie, jak chcesz.

Sam uśmiechnął się szyderczo, tak jak przedtem.

– A jeśli tak?

Wszedł do dziennego pokoju i wskazał palcem na dwie małe sypialnie.

– Pytasz mnie, co się tam wydarzyło? Wejdz, to ci opowiem. No wejdz!

– Dobrze wiem, co tam się stało.

– Nic, kurwa, nie wiesz!

Sam wszedł do sypialni i zniknął Bronckowskiemu z oczu. Ten też musiał to zrobić, żeby go widzieć.

– Postanowiłem się wyzbyc wszystkich uczuć, ty zdecydowałeś inaczej. Jest to możliwe, jeśli ktoś tylko chce. Można sobie na przykład wyobrazić, że nic nie boli i wtedy ból rzeczywiście znika. Pamiętam, jak ojciec zbił mnie ostatni raz. Powiedziałem mu tylko: „Możesz mnie zbić, ale ja i tak nic

nie poczuje”. Ojciec poczerwieniał na twarzy i znowu zaczął mnie okładać. Ale ja naprawdę nic nie czulem. To było ostatni raz. Nigdy więcej nie podniosł na mnie ręki, bo już wiedział, że nie powinien tego robić. Obaj to wiedzieliśmy. Dlatego zaczął bić ciebie, a ty nie umiałeś zapanować nad bólem.

Sam wskazał głową zielony aparat telefoniczny wiszący na ścianie w tym samym miejscu co dawniej.

– Dlatego zadzwoniłeś do mnie w tamten wieczór. Płakałeś i prosiłeś, żebym tu przyszedł.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, wypełniało jedynie trzaskanie drewna w piecu.

Od żelaznej płyty biło przyjemne ciepło.

Broncks czuł, że nie zdoła zwymiotować wspomnień, bo przecież postanowił, że nadal będzie żył pośród nich w tym samym pieprzonym domu.

Tymczasem Sam sprawiał wrażenie, że pierwsze po tak wielu latach spotkanie z bratem sprawia mu przyjemność. Był wolnym człowiekiem, nie siedział w celi zamknięty na klucz. W przeciwieństwie do Broncksa czuł się w swoim domu bezpiecznie.

– Wejdz tam! Wejdz i połóż się na łóżku, w którym on leżał. Ty, co tak bardzo chcesz wszystko zbadać.

Na półce przeznaczonych na różne bibeloty, wśród fotografii i szklanych miseczek ustawionych na szydełkowej serwetce leżał nóż. Sam wziął go do ręki i pomachał nim.

Broncks od razu go rozpoznał. Tak, to tamten nóż.

Ząbkowane ostrze, złamany czubek.

– Zażądałem, żeby mi go zwrócili. Przez cały czas leżał w policyjnym magazynie jako dowód rzeczowy w mojej sprawie. Jest na nim zaschnięta krew. Czubek się złamał, gdy nóż trafił na kość i utkwiał w ranie.

Broncks wyszedł z domu drugi i ostatni raz. Ruszył przez trawnik do furtki i samochodu, który stał zaparkowany na skraju piaszczystej drogi. Wracając na prom, niewiele myślał, tak jak w chwili, gdy na niego czekał i gdy podczas krótkiej przeprawy wysiadł z wozu. Wiatr owiewał mu twarz, a on obserwował mewy, które unosiły się nad spienioną wodą.

Wiedział, że będzie mu niedobrze do momentu, aż ujrzy zarysy Sztokholmu. Takie są konsekwencje wyjazdu do miejsca, którego już nigdy więcej nie odwiedzi.

Nie przypuszczał jednak, że tej wizycie będą towarzyszyć aż takie wątpliwości. Przyjechał tutaj, żeby wykluczyć brata z kręgu podejrzanych, ale teraz to już niemożliwe. Wokół Důvnjaca piętrzy się zbyt wiele niewiadomych. Kiedy pytał Sama, czy go dobrze zna, ten zachowywał się arogancko, unikał jasnych odpowiedzi, atakował go swoimi pytaniami i był mało konkretny. No tak, ale przynajmniej odpowiadał na jego pytania. Kiedy jednak za pierwszym razem zawrócił z dworu i spytał go o sprawę, która od ostatniego przesłuchania nie dawała mu spokoju, Sam opowiedział mu ich wspólną historię, przypomniał, co wydarzyło się w tym domu przed laty. O takich rzeczach opowiada się tylko najbliższemu osobom. Swoją szczerością Sam wzbudził w nim silne wyrzuty sumienia.

Sam na pewno wiedział, że takim zachowaniem wyprowadzi młodszego brata z równowagi.

Broncks błąkał się bez celu po pustym promie, chodząc od jednej bariery do drugiej. Wszedł do ciepłowni, postukał dłonią o szalupę ratunkową, jak gdyby chciał się upewnić, czy utrzyma się na wodzie, zapoznał się z rozkładem kursowania promu zawieszonym na metalowym stojaku, a gdy zerknął w stronę mostka, zauważył kamerę monitoringu.

W dawnych czasach ich tu nie było.

Zjechał z promu, ale od razu wysiadł z samochodu i podszedł do budynku, w którym w przerwach między jednym kursem promu a drugim urzędował kapitan.

– Przepraszam pana.

Broncks pokazał swoją legitymację służbową. Mężczyzna spojrział na nią obojętnym wzrokiem.

– Pracuję w policji i chciałbym przejrzeć zapisy z kamery monitoringu z ostatniej doby.

– Zapisy z kamery?

– Tej, która jest na mostku.

– Jest tam od wielu lat, ale nikt nigdy nie sprawdzał, co się na niej nagrało.

– W takim razie najwyższy czas, żeby to zrobić. Chodzi mi o ostatnie czterdzieści osiem godzin.

Broncks wszedł za mężczyzną do środka. Podeszli do komputera.

– Myślę, że będzie lepiej, jak pan to sam obejrzy. Ja jeszcze nigdy... nawet nie wiem, czy ten komputer jeszcze działa.

Broncks usiadł przed monitorem, znalazł na ekranie ikonę kamery, kliknął na nią i wybrał datę.

- Czego pan właściwie szuka?
- Sam nie wiem. Powiedziałbym, że szukam czegoś, czego tu pewnie nie ma.
- Nie rozumiem.
- Proszę nikomu nie wspominać, że tu byłem.

Wszystkie ujęcia, które wyświetliły się na ekranie monitora, miały tę samą jakość. Zdjęcia były poruszone, niewyraźne, brakowało koloru i dźwięku. Na dole ciągnął się pasek czasowy z zaznaczonymi na nim datami i godzinami. Broncks ustawił myszką kursor na poniedziałku i kliknął.

Tego dnia prom wykonał sześćdziesiąt cztery kursy. Pojazdów było więcej niż zwykle. Po prawej stronie ekranu pokazało się zbiorcze zestawienie.

Broncks szukał potwierdzenia tego, czego nie chciał znaleźć – że tamtego dnia Sam opuścił wyspę. W pewnej chwili ujrzał na ekranie samochód osobowy, który wjechał na prom odpływający ze stałego lądu o trzynastej. Mały nowy pojazd, chyba toyota. Szyby były lekko zaciemnione, więc nie rozpoznał mężczyzny siedzącego za kierownicą. Ujrzał go dopiero dwie i pół minuty później, gdy prom przebył połowę drogi. Kierowca otworzył drzwi, wysiadł z wozu, podeszedł do relingu i zaczął patrzeć na wodę.

Broncks od razu go poznał.

To był on.

Leo Dûvnjac. Czekał, aż prom dowiezie go na wyspę, na której znajdował się rodzinny dom jego i Sama.

Broncks poczuł, jak znowu robi mu się niedobrze. Uczucie nigdy przedtem nie było aż tak silne. Próbował sobie wmawiać, że w tym, iż dwaj starzy kumple z więzienia, w którym spędzili razem tyle czasu, w którym dobrze się poznali i zawarli szczególnego rodzaju przyjaźń, jaka możliwa jest tylko w warunkach przymusowej izolacji, a teraz postanowili spędzić swój pierwszy dzień na wolności razem, nie ma nic dziwnego.

– Proszę pana?

Kapitan poklepał go po ramieniu i spojrzał na niego intensywnym wzrokiem.

– Poznaję pana.

– Naprawdę? Przed godziną płynąłem tym promem.

– Nie o to mi chodzi. Pamiętam pana z lat dzieciństwa. Jest pan młodszym bratem Sama, prawda? Ma pan na imię John?

– Tak.

– Czytałem o panu, ale nie byłem pewien, czy się nie myłę. Napad stulecia, sto trzy miliony koron.

– Zgadza się.

– I to pan ich dopadł?

– Owszem.

– To znaczy, że nie zmienił pan nazwiska?

– Nie.

– Larsen... co to w ogóle za nazwisko?

– Zadaje pan zbyt wiele pytań.

– Kto pyta, nie błądzi.

– To panińskie nazwisko naszej mamy. Sam przyjął je w dniu, w którym stał się pełnoletni.

– Pamiętam, w jakich warunkach tu żyliście. To było straszne.

Broncks przesuwiał kursorem do momentu, aż trafił na prom, który odchodził z wyspy na ląd o godzinie czternastej. W pewnej chwili zobaczył ten sam samochód co przedtem: stał zaparkowany na środku pokładu, ale płynął w odwrotnym kierunku. Przez szybę widać było twarz Leo Dûvnjaca.

O czternastej trzydzieści promem nie płynął nikt – ani na wyspę, ani z wyspy.

Potem ujrzał jednak coś, czego wolałby nie widzieć: o piętnastej z wyspy odpłynął Sam.

Broncks wstał z krzesła i wyszedł na dwór. Wiatr się wzmagał, mewy wrzeszczały coraz głośniej.

Oparł się o opuszczony szlaban i spojrzał w stronę wyspy. Ogarnęły go strach i złość. Nagle zaczął wymiotować, prosto do wody.

Tak właśnie wyglądają wspomnienia.

– Źle się pan czuje?

Kapitan promu. Broncks skinął mu lekko głową. Przez pewien czas powoli oddychał, a potem wrócił do pokoju, żeby obejrzeć resztę nagrania. Z zestawienia po prawej stronie ekranu wynikało, że do końca dnia z promu skorzystały jeszcze trzydzieści cztery pojazdy.

– A więc został pan policjantem?

Mężczyzna podszedł bliżej, jak gdyby coś go zaniepokoiło i chciał się upewnić, czy jego gość nie zamierza znowu wybiec na dwór.

– Każdy z was wybrał inną drogę. Jeden trafił za kraty, drugi jest od tego, żeby za kraty wsadzać.

Strach i złość pojawiły się jeszcze trzy razy.

O dziewiętnastej, gdy Sam wrócił na wyspę.

O dwudziestej, gdy na wyspę wrócił Leo.

O dwudziestej drugiej, gdy Leo odpłynął przedostatnim promem.

Broncks podziękował kapitanowi, a potem zaczął się zastanawiać nad jednym dniem z życia dwóch mężczyzn, które było w pełni zsynchronizowane z groźnym przestępstwem popełnionym o godzinę jazdy stąd.

Już wiedział.

Co prawda nie miał jeszcze żadnego dowodu, bo sam fakt, że obaj przebywali na tym samym oddziale z zabitym niedawno przestępcą, a potem w czasie pozwalającym na przygotowanie i dokonanie skoku płynęli żółtym promem, nie obroniłby się w żadnym sądzie, ale i tak był pewien. Wystarczyło mu przecucie, którym tak bardzo pogardzała Elisa.

Sam, człowieku, coś ty zrobił? I to z nim?!

Leo znalazł w przedpokoju dwadzieścia siedem folderów reklamowych i bezpłatną gazetkę sprzed trzech tygodni. Na podłodze piętrzył się stos makulatury. Leżąca na samym wierzchu koperta z okienkiem zawierała prawdopodobnie jakieś pismo w sprawie mieszkania. Na kopercie widniało nazwisko Fredrik Söderberg c/o Larsson. Leo domyślił się, że znalazł się w jednym z mieszkań, w których Sullo prowadzi swoją działalność. Przypadkowe mieszkanie dla pojedynczych osób, które na jakiś czas muszą się gdzieś przyczołgać.

Leo postawił na podłodze dwie torby sportowe. W pierwszej, z logo Pумы, znajdowały się przedmioty, które zamówił u Sulla. W drugiej, z logo Adidasa, leżał laptop, za który zapłacił sto tysięcy koron. Tę drugą torbę przekazał mu dzień wcześniej albański ochroniarz w luźnych dresach. Leo wyjął laptop, położył go na kuchennym stole i wpisał do niego dodatkowe wydatki w wysokości pięćdziesięciu tysięcy koron. Po dziesięć kawałków za literę. Policjant, który kiedyś miał ten komputer, albo był jakimś dowcipnisiem, albo miłośnikiem krzyżówek, bo wymyślił hasło, które brzmiało S-M-A-R-T. Czytane od tyłu słowo brzmiało T-R-A-M-S¹.

Leo potrzebował siedmiu i pół minuty, żeby odnaleźć w menu poszukiwany przez siebie dokument, folder i linki, w tym także wzorcowy formularz stosowany przez policję do zabezpieczania dowodów rzeczowych. Utworzył jego kopię i zaczął szukać dwóch ukrytych plików zawierających informacje niezbędne do prawidłowego wypełnienia formularza: schemat dyżurów szefa ochrony i spis depozytów związanych z toczącymi się śledztwami, które będzie mógł wykorzystać dla swoich potrzeb.

Nagły podmuch wiatru szarpnął drzwiami wejściowymi budynku policji przy Kungsholmsgatan. Elisa mocno je przytrzymała, żeby się zbyt gwałtownie nie otworzyły i nie uderzyły o ścianę. Założyła skórzane rękawiczki i wyszła na ulicę. Żeby dotrzeć na miejsce, potrzebowała dziesięciu minut. Najpierw szła ulicą Fleminggatan, potem Sankt Eriksgatan. Nogi jej się ślizgały na nieposypanych piaskiem, oblodzonych chodnikach. Szerokim łukiem obeszła miejsce, w którym czerwone plastikowe tabliczki ostrzegały przed soplami, które mimo zbliżającej się wiosny nadal wisiały przyczepione do rynien dachowych. W każdej chwili któryś z nich mógł spaść na przechodnia, zadając mu śmiertelny cios.

Sprawdzenie dwóch przestępców oznaczonych na jej krótkiej liście literami „A” i „B” poszło szybciej, niż się spodziewała. Pozwoliło jej to wykluczyć obu z kręgu podejrzanych. Według informacji uzyskanych od policji w Boliwii Sanchez wrócił po odsiedzeniu wyroku do rodzinnego kraju. Teraz, to znaczy dwa miesiące później, przebywał w zakładzie karnym El penal de San Pedro w oczekiwaniu na proces. Był podejrzany o potrójne morderstwo związane z handlem narkotykami. Thor Bernard też miał pewne alibi: świadkowie zgodnie zeznali, że tamtego dnia znajdował się na pokładzie promu płynącego z Gdańska do Nynäshamn. Elisa czekała więc na wiadomość od Broncksa, który miał sprawdzić podejrzanych „C” i „D”. Kiedy zobaczyła go w ciasnej kuchni mieszkania, gdzie prawie wyrwał jej z ręki akta obu podejrzanych i uparł się, że sam ich sprawdzi, wyglądał wprost żałośnie. Być może nie powinna była go budzić po zaledwie dwóch godzinach snu. Za to na pewno nie należało nazywać go po raz drugi psychopatą. Za pierwszym razem była to tylko luźna uwaga, za drugim żart, którym Broncks mógł się poczuć urażony. Na żarty reagował zapewne tak samo alergicznie, jak na wcześniejsze upomnienie. Zanim wyszła z korytarza, w którym Broncks miał swoje biuro, przez chwilę się nawet zastanawiała, czy go na pożeganie nie uściśnąć. Później doszła do wniosku, że gdyby to zrobiła, teraz by tego żałowała.

Most Sankt Eriksbron i ulica Rörstrandsgatan. Elisa zatrzymała się na chwilę przed wejściem i zerknęła w górę, żeby się upewnić, czy sople nie spadną jej nagle na głowę. Potem weszła do budynku, gdzie znajdowało się mieszkanie, o którym poinformował ją młodszy brat Leo Dûvnjaca, Felix. Zapewnił ją, że znajduje tam Vincenta, który wykonuje w nim jakieś prace.

Klatka schodowa była naprawdę ładna i elegancka. Jasne ściany, które nie męczyły wzroku, szerokie, kamienne, wyszlizgane od wieloletniego używania schody, doniczki z kwiatami w okrągłych oknach wychodzących na zadbane podwórze. Strasznie drogie miejsce. Cena metra kwadratowego mieszkania odpowiada w tym miejscu cenom w ekskluzywnych dzielnicach Londynu albo Paryża.

Elisa zatrzymała się przed drzwiami lokalu na trzecim piętrze. Były lekko uchylone, po obu stronach stały puste pochłapane puszki. Na klatce zauważyła pojedyncze plamy po farbie. Nacisnęła dzwonek, ale jego dźwięk utonął w odgłosach radiowej muzyki. Właśnie leciała lista przebojów. Widząc, że nikt nie reaguje, Elisa otworzyła drzwi na całą szerokość i weszła do środka. Przedpokój zastawiony był skrzynkami z narzędziami, które stały wzdłuż białych, świeżo pomalowanych ścian. Elisa domyśliła się, że w mieszkaniu trwa generalny remont, i od razu przypomniała sobie, że całkiem niedawno też musiały przez to przejść. Cztery tygodnie w pyle i kurzu, dzień i noc.

– Jest tu kto?

Jej głos rozszedł się echem po pustym mieszkaniu jak muzyka i wrócił bez odpowiedzi. Elisa przeszła więc do pomieszczenia, które wyglądało na pokój dzienny. Było wyźiebione, jak gdyby ktoś wyłączył w nim wszystkie kaloryfery. Pokój wyglądał na w pełni wyremontowany. Wykonawcy nie pozostało tu chyba zbyt wiele do zrobienia.

Po chwili ujrzała mężczyznę, do którego przyszła. A właściwie ujrzała dwóch mężczyzn. Stali na balkonie plecami do niej i palili papierosy. Odwrócili się dopiero wtedy, gdy zapukała w otwarte drzwi balkonowe. Jeden z nich miał około dwudziestu pięciu lat, drugi przekroczył pięćdziesiątkę. Młodszy ubrany był w niebieski kombinezon, starszy w białe spodnie malarskie. Elisa od razu ich rozpoznała. To był Ivan Dûvnjac i jego syn, Vincent.

– Nazywam się Elisa Cuesta, pracuję w wydziale śledczym komendy policji miejskiej w Sztokholmie. Panie Vincencie, mam do pana kilka pytań. Bo ma pan na imię Vincent, prawda?

Vincent zgasił papierosa i wszedł do pokoju.

– Po pierwsze chciałabym się dowiedzieć, gdzie pan przebywał w poniedziałek między godziną szesnastą a siedemnastą.

– Byłem tutaj. Pracuję bez przerwy, żeby dotrzymać terminu.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Ja. Syn naprawdę tu wtedy był. – Ivan Důvnjac wszedł do pokoju. – Razem tu wtedy pracowaliśmy.

Elisa przyglądała mu się tak długo, aż w końcu stało się to dla niego krępujące.

– Pan Ivan Důvnjac, prawda? To, co pan przed chwilą powiedział, brzmi dość dziwnie, jeśli mogę się tak wyrazić. Właściciele restauracji Drava, której jest pan stałym klientem, zeznali bowiem, że przebywał pan wtedy w ich lokalu w towarzystwie najstarszego syna. Dzięki temu obaj macie pewne alibi na czas, który mnie interesuje.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. Wyszedłem stamtąd... Vincent, która to mogła być godzina?... dziesięć albo piętnaście po szóstej. To znaczy, że mogę zapewnić alibi obu moim synom!

– Właściciele lokalu zeznali też, że tamtego dnia zjawił się pan w ich restauracji już o wpół do czwartej. Chciał pan zjeść obiad z synem. Dlatego to, co pan przed chwilą powiedział, się nie zgadza.

Ivan ponownie odwrócił się do Vincenta.

– Czy ktoś inny może potwierdzić, że tu wtedy byłeś?

– Ja naprawdę tu byłem. To konieczne, gdy ktoś wykonuje taką robotę. Termin to termin, trzeba się zdrowo narobić, żeby go dotrzymać i żeby właściciele mieszkania mogli się wprowadzić. Zarobek jest niezły, ale wymagania duże.

– W takim razie kto może potwierdzić pańskie alibi?

– Nie wiem. Ojciec był już po pracy... może ktoś w pizzerii? Nie pamiętam, jaką kupiłem... chyba capriciosę... zawsze ją zamawiam. Może sąsiadka? Była tu po południu, żeby się poskarżyć, że za bardzo hałasuje. A gdzie w tym czasie pani się znajdowała? No, słucham? Czy ktoś panią wtedy widział?

– Rozumiem więc, że nie ma pan alibi. A Leo, pański starszy brat? Gdzie i kiedy spotkaliście się po jego wyjściu z więzienia?

– Po co te wszystkie pytania?

Ivan Důvnjac wypowiedział te słowa podniesionym głosem, chociaż stał blisko Elisy. Teraz podszedł jeszcze bliżej, wysunął brodę i dolną wargę, pochylił czoło i spojrział na nią w taki sposób, jak gdyby chciał ją przestraszyć albo przynajmniej speszzyć.

– Co to panią w ogóle obchodzi? Sama pani przyznała, że mogę zapewnić Leo alibi, a jeśli tak, to po co ta cała gadanina? Proszę stąd wyjść i zostawić moją rodzinę w spokoju.

Elisy nie przestraszył ten gwałtowny wybuch złości Ivana. Przeciwnie, sama się na niego rozżłościła.

– Rodzinę? Jeśli o to chodzi, to wczoraj rozmawiałam z pańską byłą żoną. Wykazała wielką ochotę do współpracy.

– Taka już jest. Zawsze zbyt szczerze gadała z glinami.

– Zbyt szczerze? To zależy, z czyjej perspektywy. Zapoznałam się ze wszystkimi pańskimi wyrokami, także z tymi za pobicia.

– Zaczyna mnie pani wkurzać.

Elisa wyszła z mieszkania, ale drzwi zostawiła uchylone. Zadała Ivanowi kilka pytań, a on trzy razy użył określenia „zmieniłem się”. Zrozumiała, że niczego się nie dowie. Postanowiła zakończyć rozmowę.

Zeszła eleganckimi schodami na parter i popchnęła ciężkie drzwi wychodzące na ulicę. W twarz uderzył ją podmuch tego samego wiatru co na górze, gdy stała przy balkonie.

Nie, Ivan Důvnjac wcale się nie zmienił.

Za to niewykluczone, że zmienił się jego najmłodszy syn. Nie ma żelaznego alibi, ale wiele wskazuje na to, że słowa, które była żona Ivana wypowiedziała podczas przeszukania domu przez policję, a mianowicie, że jej syn już nigdy więcej nie popełni żadnego przestępstwa, były prawdziwe.

Elisa ruszyła z powrotem na komendę.

Z dachów zwisły lodowe sople, chodnik pokrywała warstwa zmrożonej mazi. Pomyślała, że to taka sama dzika i nieprzewidywalna pora roku jak ludzie, których przesłuchuje.

Wczoraj spotkała się z dwoma braćmi i ich matką w domu, w którym pachniało pieczonym łososiem. Pomyślała, że z zewnątrz mogliby uchodzić za typową rodzinę. Teraz, gdy poznała trzeciego brata i ich

ojca, postrzegając to zupełnie inaczej. To Ivan Dûvnjac był uszkodzonym trybikiem w ich rodzinie. To on decydował o ich życiu i prowokował określone reakcje. Nawet jego najstarszy syn zachowywał się podczas przesłuchania w bardziej zrównoważony sposób. Kiedy dotarła do skrzyżowania Sankt Eriksgatan i Fleminggatan, światła zmieniły się z zielonych na czerwone. Zatrzymała się, czekając na charakterystyczny dźwięk sygnalizujący, że można przejść na drugą stronę.

Ivan Dûvnjac wtrącał się do jej rozmowy z Vincentem. Próbował go chronić, ale osiągnął przeciwny skutek. Zauważyła, że Vincent był zmieszany jego zachowaniem. Okazywał to za każdym razem, gdy ojciec jej przerywał. Jak gdyby nadal nie znał go od podszewki i nie wiedział, czego się po nim spodziewać i jak zareagować.

W końcu zapaliło się zielone światło i Elisa przeszła na drugą stronę zatłoczonej ulicy. Skręciła w Sankt Göransgatan, przecięła park w Kronobergu i minęła plac zabaw pełen hałaśliwych dzieci. Wszystkie towarzyszące im mamy były w jej wieku. Wybierała tę trasę za każdym razem, gdy miała trochę wolnego czasu. Nigdy nie potrafiła wyobrazić sobie w tym miejscu samej siebie. Macierzyństwo w ogóle jej nie interesowało, uważała, że to temat nie dla niej, przynajmniej nie teraz. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek w ogóle zdecyduje się na dziecko.

Vincent i jego ojciec zachowywali się jak niezbyt zgrany duet, który zapomniał zrobić próbę przed występem i dopiero gdy wyszedł na scenę i stanął przed publicznością – w tym wypadku przed nią – uświadomił sobie, że wydawane przez nich tony w ogóle ze sobą nie współbrzmiały, że powstała dysharmonia. To rzadko używane słowo, ale w pełni oddaje tamtą scenę.

Do budynku policji weszła od strony Polhemsgatan. Przeszła przez cały kompleks, aż dotarła do pokoju Broncksa, który znajdował się na samym końcu wydziału śledczego.

Dysharmonia.

Słowo, którego można użyć na określenie sytuacji, w której jakaś osoba nie rozumie kogoś, kto pracuje na tym samym piętrze, a teraz nagle musi z nim porozmawiać.

Do pokoju Broncksa weszła bez pukania.

Siedział przed monitorem komputera i oglądał film z nagrania kamery monitoringu. Elisa zauważyła, że studiuje te same sekwencje, które oglądali poprzedniego dnia – nagranie z kamery na zapleczu centrum handlowego. Na ekranie widać było rampę rozładunkową, samochód dostawczy z mlekiem i plecy uciekającego z miejsca przestępstwa bandyty.

Odczekała, aż nagranie dobiegnie końca. Przez cały ten czas przyglądała się Bronckowski. Kiedy rano wychodziła z jego mieszkania, wyglądał żałośnie. Teraz znowu był taki jak zawsze – niedostępny. Bardzo chronił swoją sferę prywatną. Uśmiechnął się do niej, chociaż nigdy wcześniej tego nie robił. Niestety, jego uśmiech też tworzył dysharmonię.

– Popatrz na jego plecy.

Elisa wskazała palcem mężczyznę, który właśnie zeskakiwał z rampy.

– Właśnie ten element go wyklucza.

Mężczyzna widoczny na ekranie biegł do szoferki.

– Vincent Dûvnjac jest czwartym podejrzanym, którego postanowiłam dzisiaj wykluczyć. „A” i „B” – Sanchez i Bernard – mają stuprocentowe alibi, podobnie jak Felix. Vincent nie ma alibi, ale wykluczyłam go ze względu na inne fakty i okoliczności. Wygląda na to, że jako jedyny spośród braci wycofał się z przestępczego życia. Zapłacił nawiązkę za wyrządzone krzywdy na wskazany przez sąd cel, założył firmę i osiąga obroty, które z każdym kwartałem rosną. Władze więzienia poinformowały mnie, że tylko on nie przyjechał pod bramę, gdy Leo wychodził na wolność. Jak gdyby chciał trzymać się od niego na dystans. Vincent nie miał motywu, a poza tym to chodząca wiązka mięśni. Jeśli porównamy go z facetem na nagraniu, to od razu widać, że mamy do czynienia z dwiema różnymi osobami.

Elisa odczekała, aż Bronck opowie jej o swoich ustaleniach, ale ponieważ wcale się na to nie zanosilo, kontynuowała wątek.

– Jest jeszcze jedna sprawa... wydaje mi się, że Vincent posiada pewną wrażliwość, której nie dostrzegłam u innych członków jego rodziny.

– Wrażliwość?

– Tak. Jest otwarty i można do niego dotrzeć. Może nam się to kiedyś przydać.

Elisa znowu przerwała, czekając na reakcję Broncksa.

– Może teraz ty mi opowiesz, co ustaliłeś przez cały dzień?

Znowu zero reakcji.

– Mam na myśli panów „C” i „D”.

Broncks przez cały czas coś notował. Elisa dopiero teraz zauważyła, że leży przed nim kartka formatu A4. Był zajęty robieniem notatek podczas oglądania nagrania z kamery.

To dlatego nie reagował na jej słowa. Widocznie coś znalazł.

Elisa podeszła bliżej i popatrzyła na kartkę pokrytą jakimiś bazgrołami. Broncks narysował jakiegoś potwora z kresiek. A może to był kwiatek? Albo gwiazda?

– John, czy dowiedziałeś się czegoś o Samie Larsenie i Semirze Mhmadim?

Odłożył długopis, a Elisa dopiero w tym momencie domyśliła się, że dziwny rysunek przedstawia ludzką twarz. Broncks zatrzymał nagranie w momencie, gdy uciekający mężczyzna wchodził do szoferki.

W końcu spojrzął na nią.

– Alibi...?

Na jego twarzy pojawił się typowy dla niego, złośliwy uśmiech. Dysharmonia.

– Obaj mają niestety żelazne alibi.

Kępki włosów spadające do białej umywalki nie pasowały do jego mentalnego wizerunku, który prezentował na co dzień. Kolor włosów odziedziczył po mamie, od urodzenia był blondynem. Zawsze się za takiego uważał i przez całe życie tkwił w takim przekonaniu. Dopiero teraz, gdy je golił i konfrontował ze wspomnieniami, kolor włosów dorosłego Leo Dūvnjaca stał się dla niego oczywisty. Okazało się, że są znacznie ciemniejsze.

Golarka była nastawiona na zero milimetrów i w miejscach, po których nią przejechał, pozostawiała po sobie gołą skórę. Stopniowo ogolił całą czaszkę, aż w końcu ujrzał w lustrze prawie zupełnie obcą twarz. Tak by właśnie wyglądała, gdyby nie jasnoniebieskie oczy, które nadal należały do niego.

Jego nowe włosy spoczywały w szarym plastikowym pudełku i były brązowe, a nawet ciemnobrązowe. Leo kolejno ujął delikatnie w palce soczewki kontaktowe i ostrożnie umieścił je na rogówkach oczu. Potem już nie patrzył w lustro, bo nie chciał się pozbawiać pierwszego wrażenia, gdy ujrzy ostateczny efekt swoich starań. Już za chwilę stanie się kimś zupełnie obcym.

Z łazienki przeszedł do pokoju. W kawalerce była też nieumeblowana kuchnia. Mieszkanie znajdowało się na najwyższej kondygnacji budynku w dzielnicy Gamla Sickla. To bardzo popularny rejon miasta ze względu na piękny widok, jaki rozciąga się stąd zarówno na Nackę, jak i centrum Sztokholmu. Nie zważając na to, zaciągnął wszystkie żaluzje.

Jedynym meblem w całym mieszkaniu było wąskie łóżko. Blask bijący od lampy zawieszanej pod sufitem kładł się łagodnie na mundurze i pasku, które położył na koldrze. Pod spodem stała para ciężkich butów.

Szybko się ubrał.

Zanim ponownie podszedł do lustra, chwycił się framugi drzwi i zamknął oczy. Ostatni krok wykonał po omacku i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy biodrem dotknął umywalki. Soczewki kontaktowe drażniły mu spojówki. Za chwilę otworzył oczy i spojrzył w lustro. Najpierw jednak poszukał pięty wysokiego progu i wszedł na niego. Musi zachować właściwą odległość, żeby zobaczyć nie tylko głowę, ale także cały korpus.

Przeciągnął się i otworzył oczy.

W lustrze ujrzał twarz uśmiechniętego policjanta z gładko ogoloną błyszczącą czaszką, o mrocznym, ale za to przyjaznym spojrzeniu. Całą tę iluzję stworzył mundur, dzięki czemu udało się zachować stan równowagi między głową a resztą ciała.

Leo Dūvnjac był bardziej niż zadowolony ze swojego nowego wyglądu.

Całości dopełni jeszcze jeden opisany w protokole przedmiot, a zarazem dowód w prowadzonym śledztwie – okulary przeciwsłoneczne, pozycja numer 4572/56.

„Okłamałem ją”.

Broncks jeszcze bardziej skulił się za ekranem monitora. Wpatrywał się w obraz, chociaż w pewnej chwili stał się rozwodniony i zamazany. Miał nadzieję, że kiedy wyjdzie na korytarz, Elisa go nie zauważy i nie domyśli się, że on coś przed nią ukrywa.

„Obaj mają niestety żelazne alibi”.

Jak zwykle starał się zachowywać wobec niej normalnie i jak zwykle mu się to udało.

Po całym dniu spędzonym przed monitorem, po analizie zapisów z kamery monitoringu, która zapamiętała coś, o czym na razie wie tylko on, nie miał wątpliwości, że jego brat jest rzeczywiście zamieszany w napad na konwój.

Przeciągnął się, oparł o krzesło i zamazany obraz stał się nagle w pełni zrozumiały – zastygłe ujęcie ukrytego pod czarną maską mężczyzny. Nie mógł przestać o nim myśleć. Przez cały czas miał przed oczami twarz człowieka, którego przed dwiema godzinami widział na żywo. Przypominał sobie uniesioną siekierę i ostrze opadające na drewniany pień.

Ujrzał też to, co już wiedział.

Swojego brata, Sama.

Kiedy oglądał na ekranie wolno przesuwające się klatki, z korytarza dobiegły go znajome odgłosy – ktoś robił sobie kawę w automacie. Najpierw usłyszał mielenie ziaren, potem szum wody spływającej do papierowego kubka. Zauważył Elisę, która szła korytarzem do swojego pokoju. Po raz pierwszy mu się zdarzyło, że zaproponował komuś aktywny udział w prowadzonym przez siebie śledztwie. Teraz, gdy okoliczności uległy zmianie, po raz pierwszy będzie musiał poprowadzić to śledztwo zupełnie sam.

„Skłamałem przez wzgląd na ciebie i nadal będę to robił. Bo gdy wyjdzie na jaw, że jesteś moim bratem, odsuną mnie od sprawy i odbiorą śledztwo.

Chcę dopaść Leo Dūvnjaca i wysłać go za kraty. Za wszystko.

Żeby móc to zrobić, muszę też dopaść ciebie, bo działacie razem. Poświęć cię. Chyba rozumiesz, że sytuacja uległa zmianie – ten pieprzony dług, który kiedyś wobec ciebie zaciągnąłem, przestał istnieć.

Kiedy cię odwiedziłem, znowu próbowałeś rzucić winę na mnie. Stałeś wtedy przy łóżku ojca! Zrobiłeś to, żebym dalej żył z poczuciem winy?

Nie jestem ci już nic winien.

To nie przeze mnie ojciec mnie bił.

To nie przeze mnie postanowiłeś go zabić.

Nigdy więcej żaden gnojek nie będzie grzebał w historii naszej rodziny. Nikt nie będzie rozgrzebywał starych ran i szukał winnych.

Dlatego od tego momentu będę prowadził to śledztwo sam.

I sam was aresztuję”.

Przesyłkę zatrzymywano im aż cztery razy, za każdym razem w urzędzie celnym na lotnisku w Arlandzie, chociaż była adresowana do różnych odbiorców. W końcu zrozumieli, że problemem jest wybrany przez nich kanał dostawczy i sam dostawca. Przez to, że przesyłka została zamówiona w Szanghaju, a do Sztokholmu dostarczyła ją amerykańska firma kurierska UPS, musieli ją zgłosić do oclenia na Arlandzie. Kiedy jednak tę samą drukarkę 3D zamówili za pośrednictwem niemieckiego spedytora DHL, dostawa odbyła się bez problemu.

Leo spojrzął na drukarkę, która stała przed nim na stole i wykonywała zadaną jej czynność. Automatycznie przesunął dłonią po głowie – całkiem zapomniał, że już nie ma włosów. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić, że gest, który wykonywał od lat, jest teraz zbędny, bo nie ma już grzywki, którą trzeba poprawiać.

Włosy.

Soczewki kontaktowe.

Mundury.

Rekwizyty.

Numer dowodu w śledztwie.

Plan dyżurów.

Teraz, żeby przejść do trzeciego etapu, musi zrobić jeszcze jedną rzecz: przeprowadzić próbę. Użyje do tego policyjnej legitymacji służbowej i odznaki.

Właśnie po to potrzebował drukarki 3D. Kiedy za pośrednictwem firmy DHL trafiła do jej centrum dystrybucyjnego w Lipsku, wszystko poszło gładko. Paczka odpawiona przez urząd działający na terenie Unii Europejskiej dotarła bez żadnej kontroli do Szwecji.

Leo spojrzął na zegarek. Drukarka zakończy pracę za pół godziny. Po tym czasie on wzbogaci się o nową odznakę policyjną.

Pozostałe rzeczy, od których zależało powodzenie akcji, leżały rozłożone na blacie przy zlewozmywaku.

Czarne skórzane etui.

Dwie legitymacje służbowe z fotografiami, na których Sam miał czarne włosy, a on ogoloną głowę i brązowe oczy. Obaj mieli oczywiście inne nazwiska i fałszywe numery osobowe wydrukowane pod słowem POLICJA zapisanym dużymi czerwonymi literami. Pod spodem znajdował się napis: Komenda Wojewódzka Policji w Sztokholmie. Jak widać, Jari bardzo dobrze się wywiązał ze swojego ostatniego zlecenia przed skokiem: zdążył im załatwić legitymacje służbowe dla dwóch „policjantów” i prawo jazdy dla dwóch kierowców transportujących mleko wozem dostawczym.

Policyjna odznaka. Jedyne egzemplarz, który Sullo zdobył. Dlatego drugą trzeba wyprodukować na drukarce, którą wynaleziono dopiero przed kilku laty, jeszcze zanim trafił do więzienia.

Przez ten czas wydarzyło się tyle rzeczy.

Leo pochylał się nad urządzeniem, które co jakiś czas wydawało z siebie dźwięk przypominający szum, lekko pojękiwało i syczało.

Najpierw zeskanował oryginalną odznakę, a potem dał drukarce trochę czasu na przeanalizowanie jej kształtu, rozmiarów i kolorów: czerwonego i niebieskiego z pewnym odcieniem żółci. Resztę zrobi sama. *Liquid metal printing* – stop różnych metali, który drukarka będzie z siebie „wypluwała”, tworząc idealną kopię. Leo obserwował zafascynowanym wzrokiem, jak urządzenie nakłada poszczególne kolory. Półtorej godziny później leżała przed nim druga odznaka – jak prawdziwa. Okrągła czarna blaszka z niebieskim tłem i namalowaną na niej złotą koroną. Urządzenie wydrukowało też mosiężną blaszkę z napisem SZTOKHOLM 4312.

Wziął do ręki skórzane etui. Legitymację służbową wsunął do lewej, odznakę z blaszką do prawej przegródki, a następnie włożył etui do wewnętrznej kieszeni munduru. Od tej pory będzie mógł otworzyć te same drzwi co inni policjanci posiadający oryginalne odznaki, które otrzymali na komendzie w Kronobergu.

Vincent związał kolejną rolkę brązowej folii malarskiej, odsłaniając coraz większą powierzchnię parkietu w dużym pokoju. Mimo silnego bólu w ręce wcisnął folię do plastikowego worka na śmieci, wyniósł go na klatkę schodową i postawił przed drzwiami. Kiedy wrócił, żeby zwinąć pozostałe warstwy, zajrzał do sypialni, gdzie Ivan nakładał niewielkim pędzlem kolejną powłokę farby na błyszczące okienne listwy. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Ciska, która zapadła po rozmowie z policjantką, zrobiła się w końcu niezręczna. Ivan próbował do niego kilka razy zagadać, ale Vincent zżęcznie unikał rozmowy. Wolał zająć się czymś innym, niż wdawać w wymianę zdań z ojcem. Bał się, że ojciec mógłby się domyślić, czym jego syn się zajmuje.

– Vincent?

Głos Ivana rozszedł się echem po całym mieszkaniu, dotarł do sypialni i odbił się od ścian.

– Ciebie też lubię.

W końcu Vincent się przemógł.

– Co takiego?

– Wiem, dlaczego jesteś taki milczący i nie chcesz ze mną rozmawiać.

– O czym ty mówisz?

– Najpierw przemilczałem przed tobą, że byłem pod więzieniem, a wieczorem spotkałem się z Leo. Teraz muszę ci się przyznać do jeszcze jednej rzeczy: rozmawiałem z nim nawet przez telefon. Takie tam zwykłe sprawy... jak się masz i tak dalej. Prosta rozmowa ojca z synem.

Ivan uśmiechnął się do Vincenta.

– Rozumiem więc, że mój najmłodszy syn może być trochę zazdrosny.

Vincent spojrział na ojca, ale nie odpowiedział. Żebyś ty wiedział, o czym ja teraz myślę... Szkoda, że nie możesz sobie wyobrazić, jak tu wyglądało, gdy przyszedłem o piątą rano, żeby zaszpachlować i pomalować drzwi, które skopałem po rozmowie z Leo.

– Ale ty wiesz, że ciebie też lubię, prawda?

Ivan uderzył dłonią w pierś.

– Wszyscy moi synowie mają tu swoje miejsce.

– Tato, od jak dawna pracujemy razem? Od dwóch miesięcy. To nie wystarczy, żeby być zazdrosnym. Leo jest dla nas... był dla nas... kimś więcej niż ojcem, bez względu na to, jak na to spojrzeć. Chodzi mi o to, ile godzin ze sobą spędziliśmy, kto nas chronił, kto uczył i kto był dla nas wzorem mężczyzny. Bez względu na to.

– To nie znaczy, że nie mogę się interesować tym, jak wam idzie w życiu. Jak tobie idzie w życiu.

– O mnie nie musisz się niepokoić.

Dłoń nadal go bolała.

Wczoraj rozbił nią swój dotychczasowy wzór, który nigdy nie powinien się nim stać, a po wieczornej rozmowie przestał nim być na zawsze. Ów wzór zwrócił się z propozycją najpierw do Felixa, a gdy otrzymał odmowną odpowiedź, przyszedł tutaj, do niego. Nie jak do brata, tylko po to, żeby zastąpić nim kogoś podczas kolejnego skoku.

– Tato?

– Tak?

– Nie przyszło ci do głowy, że Leo przyszedł do restauracji, bo chce cię wykorzystać? Że dzwonił do ciebie i pytał, jak się czujesz, bo cię wykorzystuje? Ciebie i nas?

– O czym ty gadasz? Dlaczego miałby mnie wykorzystywać?

– Może dlatego, że potrzebował alibi?

– Daj spokój. Nie napuszczaj nas na siebie. O co ci właściwie chodzi? Chcesz nas ze sobą skłócić? Tak jak robiła to zawsze wasza pieprzona matka?

Vincent zdążył już zwinąć ostatnią warstwę folii. Rulon był teraz trochę grubszy. Wcisnął go do worka na śmieci i znowu poczuł ból w dłoni. Postanowił się czymś zająć. Stanie do ojca plecami i nie będą musieli na siebie patrzeć.

– Tato, posłuchaj... kiedy Leo planował nasze poprzednie skoki, spotykaliśmy się zazwyczaj w garażu. Przesuwał dwie skrzynki, kładł na nich płytę wiórową i rozkładał duży plan obiektu, który

mieliśmy obrobić.

Vincent nie mógł już wytrzymać badawczego spojrzenia, które czuł na plecach. Kiedy byli chłopcami, ojciec domagał się od nich prawdy i lojalności i zawsze widział, że Vincent wie o planach jego najstarszego syna o wiele więcej, niż chce zdradzić.

– Potem kładł na tym planie jedną albo kilka monet dziesięciokoronowych. Każda z nich symbolizowała bank albo kilka banków. Modele samochodzików udawały prawdziwe wozy, którymi mieliśmy uciec. Leo ustawiał je na ulicach i drogach narysowanych na planie. A wiesz, co symbolizowało nas? Małe zielone żołnierzyki w skali 1:72. Bo tym właśnie dla niego byliśmy: żołnierzykami i wojownikami. Ty też, tato. Leo nigdy się nie zmieni, a my będziemy brać udział w tych jego gierkach. Aż do kolejnego skoku.

Z miejsca, w którym Leo się znajdował, ratusz przypominał pałac. Szerokie skrzydła, które razem z ceglany dachem podtrzymywały wysoką wieżę pokrytą stuletnią zielonkawą patyną.

Od parkingu na placu Kungsholmstorg dzielił go dwie minuty drogi. Można stamtąd podjechać blisko dumnej budowli, nie wysiadając z samochodu, i znaleźć się w samym centrum policyjnego kompleksu. Leo rzadko odczuwał niepokój, bo to nie w jego stylu, żeby się zamartwiać. W ten sposób żadnego problemu się nie rozwiąże. Ale tym razem było inaczej. Już za chwilę wykona pierwszy krok przebrany za policjanta. Zrobi to w samym środku policyjnego kompleksu. Włożył przepisowy mundur, miał legitymację służbową i odznakę. Zabrał ze sobą prawidłowo wypełniony i podpisany przez odpowiedzialnego za te sprawy oficera formularz, na podstawie którego pobierze z magazynu depozytów to, po co przyszedł. Zmienił swój wygląd zewnętrzny i wie, dokąd ma się udać, bo całe trasy nauczył się na pamięć. Można powiedzieć, że w zakresie wyglądu zewnętrznego uczynił wszystko, co się dało. Teraz musi się tylko zachowywać jak prawdziwy policjant, za którego się przebrał. W ten sposób wzmocni iluzję. Będzie tam zdany tylko na siebie. Początkowo zamierzał przyjść tu razem z Samem, żeby się bardziej uwiarygodnić, ale to już niemożliwe. Wkrótce się rozstrzygnie, czy cały rok planowania nie poszedł na marne. Wystarczy, że nie wypali tylko jeden punkt, że coś pójdzie nie tak i cały jutrzejszy plan też się zawali.

Przed głównym wejściem do ratusza, od strony ulicy Scheelegatan, stały trzy radiowozy i dwa samochody do przewożenia więźniów. Właśnie tego się spodziewał. W Ratuszu odbywają się codziennie procesy sądowe, zapadają na nich wyroki skazujące albo uniewinniające. W salach i na korytarzach spotykają się sędziowie i prokuratorzy, adwokaci i pełnomocnicy stron, gliniarze, klawisze i dziennikarze. Każda z tych osób zarabia na życie dzięki oskarżonym.

Leo otworzył ciężkie drzwi i wszedł do budynku, który wyglądał tak, jak gdyby bez przerwy wzdychał. Surowe, zniszczone, ciemne korytarze i schody przypominały świątynię, która spoczywa na fundamencie z ksiąg zawierających przepisy prawa. Każdy jego krok rozchodził się echem.

Przed chwilą zapowiedziano przez głośniki kolejną rozprawę, która miała się zacząć na jednej z dolnych kondygnacji. Leo zerknął instynktownie w sufit. Na drugim piętrze znajdowało się specjalne pomieszczenie dla więźniów, w którym często przebywał podczas trwającego kilka miesięcy procesu. Nigdy nie wprowadzono go przez główne wejście. Za każdym razem wchodził do sali rozpraw schodami po lewej stronie, które zaczynają się w podziemnej kondygnacji. Zawsze miał na nadgarstkach kajdanki i towarzyszyło mu czterech klawiszów.

Teraz też miał tam pójść.

Do wejścia prowadzącego na dół.

Do drzwi, za którymi zaczyna się podziemny korytarz łączący komendę ze światem zewnętrznym.

Ostrożnie rozejrzał się po korytarzu, zerknął w stronę kancelarii, a potem na portiernię dla strażników i na ludzi czekających w kolejce do toalety. Nikt nie zwracał uwagi na samotnego policjanta.

Kiedy szedł po schodach, jego kroki odbijały się echem w taki sam sposób jak kroki wszystkich innych ludzi w tym budynku, chociaż starał się stawiać stopy obute w ciężkie policyjne buty w delikatny sposób. Drzwi prowadzące do podziemnego korytarza wyglądały tak, jak je zapamiętał. Za jego czasów otwierano je, przesuwając specjalną kartę przez czytnik. On też taką ma, od Sulla. Wyjął ją z kieszeni munduru, przeciągnął przez czytnik, poczekał na charakterystyczne mechaniczne kliknięcie i lekko nacisnął klamkę. Metalowe drzwi otworzyły się przed nim. Udało się.

Pierwszy punkt kontrolny ma za sobą.

Nabrał w płuca zakurzonego, ubożego w tlen powietrza.

W telefonie komórkowym uruchomił stoper i wszedł do środka.

Od razu poczuł się inaczej niż wtedy. Nie było z nim strażników, poruszał się swobodnie i nie był zakuty w kajdanki.

Do pierwszego skrzyżowania, na którym skręci w prawo, miał około pięćdziesięciu metrów. W tym samym momencie usłyszał kroki. Dwie, a może nawet trzy pary butów.

Dopiero za zakrętem okazało się, że w jego kierunku idzie dwóch więźniów w towarzystwie czterech klawiszów. Za nimi podążał umundurowany policjant.

Leo wiedział, że musi iść normalnym krokiem, nie przyspieszać i nie zwalniać. Nie powinien odwracać wzroku ani na siłę patrzeć im w oczy.

Za dwa metry się zrównają.

Pozdrowił więźniów skinieniem głowy, ale ci go zignorowali. Przez tysięczny ułamek sekundy zastanawiał się, co zrobił nie tak. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to sprawa munduru. Trudno przecież oczekiwać od osadzonych, żeby witali się z gliniarzem. Za to klawisze odpowiedzieli na jego gest – grzecznie, bez przesady. Tak samo zachował się policjant, który potraktował go jak każdego innego policjanta. Zresztą za kogo miałby go wziąć?

Zanim policjant zareagował, najpierw jak gdyby się zawahał.

A może mu się tylko wydawało?

Wreszcie odpowiedział na jego pozdrowienie skinieniem głowy. Nie wykonał żadnego innego gestu. Pewnie się zastanawiał, czy zna jakiegoś policjanta z ogoloną głową i brązowymi oczami. Może faktycznie kogoś takiego znał, tylko nie mógł sobie przypomnieć?

W końcu się minęli.

Leo chciał się odwrócić i upewnić, czy cała grupa poszła dalej, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Poczuł się pewniej. Kroki powoli ucichły.

Ci, którzy chodzili tędy każdego dnia, kupili iluzję, którą zamierzał im sprzedać.

Najgroźniejszy kasiarz w kraju nie tylko poruszał się swobodnie po komendzie przebrany za policjanta, ale także stał się policjantem, bo za takiego został uznany.

Drugi punkt kontrolny miał więc za sobą.

Sześćdziesiąt pięć metrów dalej było kolejne skrzyżowanie, na którym zbiegały się cztery korytarze. Powinien tam skręcić w lewo. W połowie tego korytarza znajdował się magazyn depozytów – to jego trzeci i ostatni, a zarazem najważniejszy punkt kontrolny. Magazynier miał sprawdzić formularz, który był próbą jego przygotowań. Oceni jego pracę jako przedstawiciel szwedzkiej administracji. Jak to mówią: na końcu tęczy zawsze jest jakiś skarb.

Leo wcisnął dzwonek, uniósł legitymację służbową do kamery zamontowanej na ścianie i czekał, aż drzwi się otworzą. Jednocześnie spoglądał na stoper, żeby sprawdzić pierwszy międzyczas. Pokonanie odcinka z ratusza do magazynu zabrało mu minutę i piętnaście sekund. Trzeba do tego doliczyć z dziesięć sekund, zanim zostanie wpuszczony do środka.

W pomieszczeniu unosiło się jeszcze więcej kurzu niż w korytarzu, ale powietrze nie było aż tak ciężkie. Za pierwszą salą zobaczył następną, znacznie większą. Znajdowały się w niej tysiące przedmiotów, które w toczących się albo w już zakończonych śledztwach – także tych, w których orzeczone wyroki jeszcze się nie uprawomocniły – pomogły udowodnić winę sprawcy albo stanowiły bezpośredni dowód w sprawie. Leżące na półkach i regałach koperty zawierały różne przedmioty.

Mężczyzna za kontuarem, który prawdopodobnie obserwował go przez kamerę, miał ponad sześćdziesiąt lat i wyglądał dokładnie tak, jak Leo się spodziewał. Ubrany był w szarą marynarkę i kraciastą koszulę, miał zaczątki łysiny i dużą nadwagę, która uniemożliwiała mu pościg za przestępcami. Taki magazyn to ostatnie miejsce zaczepienia dla policjanta, który przestał pracować w terenie i wybiera się na emeryturę.

– Przeszedłem po to...

Leo rozwinął formularz.

– ...co jest zapisane pod numerem 2017-0310-BG4743.

Mężczyzna miał podciągnięte wysoko na czoło okulary do czytania. Teraz zsunął je na oczy i zaczął studiować formularz, który podał mu Leo.

– Poproszę o legitymację.

Leo podał mu czarne skórzane etui z dokumentem, który dostał od Jariego, i odznaką, którą sam wydrukował w swoim tymczasowym mieszkaniu w Sickli.

– Czy myśmy się kiedyś nie spotkali?

Mężczyzna nadal trzymał legitymację w ręce. Patrzył to na zdjęcie policjanta, który według tego, co było napisane w legitymacji, nazywał się Peter Eriksson, to na samego interesanta, jak gdyby twarz ze zdjęcia chciał porównać z oryginalną.

– Nie sędzę... Pochodzę z Örebro.

– Z Örebro? To może znasz Zackego?

– Zackego?

– Tak.

Leo zastanawiał się nad odpowiedzią, jak gdyby ktoś zadał mu to pytanie w sali przesłuchań, żeby go przyłapać na kłamstwie.

– Zacke jest chyba w twoim wieku, prawda?

Ale tutaj, w rozmowie dwóch policjantów, chodziło tylko o to, żeby być uprzejmym, zapłacić sobie czas podczas szukania wskazanej koperty, która od innych różniła się tylko numerem sprawy.

– Tak, patrolowaliśmy ulice w latach osiemdziesiątych.

Mężczyzna, który kiedyś jako policjant patrolował ulice, aż w końcu trafił do betonowego magazynu w piwnicy bez okien, udał się do drugiego pomieszczenia i zaczął szukać koperty na półkach i regałach. Leo domyślił się, że to tam stoją sejfy wypełnione przedmiotami o większej wartości. W jednym z nich znajdowało się *to, czego nie ma*. Zamierza to zabrać następnego dnia, będzie na to miał dziesięć minut.

– Znalazłem. To jakiś drobiazg.

Mężczyzna pomachał brązową kopertą, a potem położył ją na kontuarze.

– Jeszcze podpis.

Kratkowany formularz z równymi liniami, data, numer sprawy po lewej stronie, stopień i podpis po lewej. Leo zerknął pospiesznie na górne kratki formularza, gdzie wpisane były daty poprzedniego pobrania koperty. Jej odbiór kwitowali prawdziwi policjanci. Chciał się po prostu upewnić, czy nie popełnia błędu. Potem oddał mężczyźnie długopis.

– Jeśli spotkam kiedyś Zackego, to od kogo...

– Co?

Coś, co dla jednego z nich było zwykłą, uprzejmą rozmową, która miała wypełnić czas, dla drugiego było sposobem na to, żeby został zapamiętany.

– ...od kogo mam go pozdrowić?

– Za nic w świecie go ode mnie nie pozdrawiaj. Nie chcę, żeby wiedział, że skończyłem w takim miejscu.

Leo się uśmiechnął.

– Jasne. A więc od kogo mam go nie pozdrawiać?

Mężczyzna podał mu brązową, lekką jak piórko kopertę z widocznym wybrzuszeniem.

– Od Oscarssona.

– W takim razie miłego dnia.

Stoper pokazywał, że odebranie koperty trwało cztery minuty i dwadzieścia sekund, przy czym Leo był tutaj jedynym klientem. Żeby wrócić podziemnym korytarzem do ratusza, potrzebował jednej minuty i dziesięciu sekund. Tym razem nikogo po drodze nie spotkał. Kolejne dwie minuty i trzydzieści sekund zabrało mu dojście do samochodu zaparkowanego na Kungsholmstorg.

Obok drzwi kierowcy stał kosz na śmieci. Leo otworzył kopertę i wyjął ukryty w niej przedmiot: okulary przeciwsłoneczne marki Versace. Wrzucił je do kosza, gdzie znalazły sobie miejsce między dwiema puszkami po piwie a skórką od banana. Dowód w toczącym się śledztwie, który Leo wybrał na chybił trafił za pośrednictwem komputera od Albańczyków. Okulary były dla niego ważne wyłącznie w związku z ostatnim punktem na checkliście.

Wszystko poszło jak z płatka.

Teraz będzie mógł przystąpić do drugiego etapu planu: skieruje Broncksa na fałszywy trop, jak najdalej stąd, aby następnego dnia o godzinie trzynastej pięćdziesiąt odebrać spokojnie drugi depozyt – ten właściwy.

Tumba 1:21.

Wynik wyszukiwań był łatwy do odczytania, ale za to trudny do zrozumienia. Niestety, podczas dwugodzinnego przeszukiwania zarówno bazy publicznej, jak i tej chronionej – policyjnej – niczego więcej nie udało mu się znaleźć.

Odwiedził Sama, który na początku kłamał, a potem zrzucił na niego winę. Rozmawiał z kapitanem promu i dokonał analizy faktów dotyczących synchronizacji wydarzeń po napadzie na konwój, który zakończył się śmiercią jednego z przestępców. A gdy w końcu uznał, że więzy biologiczne są mniej ważne od policyjnego śledztwa, postawił tezę, że kryminalna podróż Sama i Leo Dûvnjaca musiała się zacząć jeszcze w więzieniu. Po wyjściu Sama na wolność zaczęli po prostu realizować to, co tam zaplanowali. A przecież wiadomo, że jeśli ktoś przygotowuje coś na wolności przez dłuższy czas, wcześniej albo później musi zostawić po sobie jakiś ślad.

Ten ślad wyświetlił mu się właśnie na ekranie monitora, a on siedzi bezradnie i nie potrafi go rozgryźć.

Dokument z krajowego rejestru ksiąg wieczystych.

Działka w miejscowości Tumba, około dziesięciu kilometrów na południe od Sztokholmu. To właśnie ona łączy Sama z Dûvnjacem.

Wiedział, że Sam jest właścicielem domu na wyspie Arnö, ale nie miał pojęcia, że jego brat ma jeszcze jeden dom – w Tumbie. Stał na działce oznaczonej symbolem „Tumba 1:21”. Jego brat nabył ją podczas odsiadki w więzieniu.

Kupujący: Sam George Larsen.

Sprzedający: urząd komornika.

Broncks cofnął się o jedną transakcję do tyłu.

Poprzedni właściciel: Leo Ivan Dûvnjac.

Leo nie tylko był tam zameldowany w czasie, gdy dokonywał swoich przestępstw. Działka wraz z domkiem i dużym garażem była też sercem i mózgiem działalności braci Dûvnjac. To tam, pod przykrywką firmy budowlanej, planowali swoje skoki.

Ten sam dom z takim samym dużym garażem Broncks mógłby zobaczyć, gdyby wyrzwał przez okno restauracji. Byłby to stan zgodny z zapisem w rejestrze, który zachował w postaci pliku na komputerze. Kubek z kawą nadal stał nieruszony obok monitora. Broncks nie przyjechał do pizzerii w Tumbie, żeby się napić kawy. Chciał się po prostu upewnić, że w tym momencie w domu nikogo nie ma. Po trwającej przez trzy kwadransy obserwacji prowadzonej z przeciwnej strony drogi w oknach bez zasłon nie zauważył żadnego ruchu. Przed budynkiem nie zatrzymał się też ani jeden samochód. Dlatego w pewnej chwili zamknął laptop, położył obok niewypitej kawy trzydzieści koron i poszedł na parking mieszczący się przy niebieskim blaszaku, w którym swoją siedzibę miało niewielkie centrum handlowe. Wsunął laptop pod przednie siedzenie – w kryminalnym światku policyjny komputer w niepowołanych rękach jest o wiele bardziej cenny niż nabity pistolet – i poczekał na zmianę światła, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Minął piękną, obłożoną zielonymi płytami willę z przełomu XIX i XX wieku i wszedł przez bramkę zabezpieczoną kolczastym drutem na wylany spękany asfalem plac. Wszystkie wyglądało dokładnie tak samo jak przed wielu laty, podczas obławy na Dûvnjaczów. Brama garażu była zamknięta na klucz, a gdy wspiął się na stos opon, żeby przez długie boczne okno zerknąć do środka, okazało się, że przeznaczony na pięć pojazdów garaż jest pusty. Podobnie było w każdym pokoju, do którego zajrzał. Tylko przed kuchennym piecem zobaczył kanapę. Od razu się domyślił, że od lat nikt tutaj nie mieszka.

Jeśli tak, to dlaczego w dokumentach jako właściciel figuruje Sam?

W drzwiach wejściowych znajdowało się podłużne wąskie okienko w kształcie rombu. Broncks wycelował i rzucił w nie kamieniem, który podniósł z ziemi. Po dwóch kolejnych rzutach usunął resztę ostrych szklanych okruchów i wsunął do środka rękę, żeby sięgnąć do zamka.

W przedpokoju znalazł mnóstwo śladów po przebywających tu osobach.

Odciski wilgotnych gumowców wydały mu się całkiem świeże. Porównał wzory podeszew: należały przynajmniej do dwóch różnych osób. Wszystkie prowadziły w jedno miejsce – do pokoju gościnnego

po lewej stronie przedpokoju.

Broncks zapalił gołą żarówkę zwisającą na kablu z sufitu i zanim wszedł do środka, zobaczył coś, co zwróciło jego szczególną uwagę: szczelinę w podłodze. Jeden z paneli lekko odstawał.

Odsunął go i drugi też się poluzował, podobnie jak dwa inne leżące na środku pokoju. Podniósł je z podłogi. Razem miały powierzchnię dwóch metrów kwadratowych.

Pod spodem ujrzał dwa metalowe pierścienie wmurowane w betonowy bloczek. Chwycił je i pociągnął. Bloczek był tej samej wielkości co cztery panele podłogowe.

Jego oczom ukazały się drzwi sejfów.

Ktoś wmurował go w betonową posadzkę.

Poprzednim razem go tu nie było. A może po prostu przeoczyli to miejsce?

Chwytał za klamkę i otworzył kasę. Przesunął palcami po dnie i ścianach wyłożonych czarnym aksamitem. Nagle rozległ się krótki dźwięk przypominający mruczenie. Jakby dochodził z piwnicy. A przecież w tym domu nie ma piwnicy.

Broncks uderzył pięścią o dno kasy. Stopniowo robił to coraz energiczniej, ale dalej nic się nie działo. W końcu oparł cały ciężar ciała na wyprostowanych rękach, ale i to nie pomogło.

W tym momencie znowu usłyszał mruczenie. Takie samo jak wcześniej.

Mechaniczny dźwięk zakończony krótkim trzeszczącym kaszlem.

„Coś tam jest!”

Domyślił się, że w domu istnieje jakieś ukryte wejście. Na przykład do piwnicy, której nie powinno tu być. Kiedy wychodził z pokoju, żeby je znaleźć, kątem oka zauważył dwa luźne kable wystające z puszek elektrycznej wiszącej na ścianie przy oknie. Bardzo ostrożnie, żeby nie poraził go prąd, chwycił za plastikowe przewody i rozsunął je, żeby sprawdzić, co się za nimi kryje.

Ale i tam nic nie znalazł.

Kiedy jednak zetknął ze sobą końcówki obu kabli, rozległ się mechaniczny dźwięk, który stawał się coraz wyraźniejszy i bardziej przypominał szuranie niż mruczenie. Rozłączył końcówki, dźwięk ustał.

Broncks domyślił się, że odgłos dobiega od strony sejfów.

Szybko tam podszedł i zauważył, że dno kasy znajduje się niżej niż poprzednio. Siedem, może osiem centymetrów. Wsunął rękę w szczelinę i okazało się, że w środku jest pusto. Wrócił pod okno i jeszcze raz zetknął ze sobą końcówki kabli.

Ponownie rozległo się szuranie. Dno kasy opuszczało się coraz niżej w ciemność.

Od razu wyczuł zapach smaru do broni. Rozpoznał go z absolutną pewnością.

Wyjął telefon komórkowy, włączył latarkę i oświetlił nią otwór. W dole ujrzał aluminiową drabinę. Na górnym, lekko zaokrąglonym szczeblu coś wisiało. Okazało się, że to kabel ze standardową końcówką. Broncks wyciągnął go na górę i włączył do gniazdka w pokoju gościnnym.

Pustą przestrzeń pod podłogą rozjaśnił strumień oślepiającego światła. Broncks zszedł po siedmiu szczeblach drabinki na sam dół, gdzie przez dłuższą chwilę stał nieruchomo i rozglądał się wokół siebie.

Przy ścianach stały drewniane regały, które zajmowały przestrzeń wokół całego pomieszczenia. Tuż nad nimi biegingy dwie grube listwy z wyżłobionymi na nich co trzy centymetry nacięciami. Nacięć były setki.

Broncks dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że ta konstrukcja musiała służyć do przechowywania broni.

Jeszcze do niedawna stały tu karabiny AK4 i pistolety maszynowe oparte o górną i dolną listwę. Ich lufy były wciśnięte w nacięcia.

„Wszystko to było pod nami, gdy przeszukiwaliśmy dom”.

Broncks przypomniał sobie zapach smaru do broni i równie świeże ślady gumowego obuwia na podłodze w przedpokoju.

Już wiedział, że trafił do tajnego pomieszczenia, z którego niedawno wyniesiono broń. Wystarczyłoby jej do uzbrojenia całej armii.

Co oni zamierzają z nią zrobić?

Terakota. Licząca tysiące lat mieszanka piasku i gliny, która chroni przed ogniem i upałami. Każda z brązowych, a raczej pomarańczowych płyt miała wielkość dachówki. Leżały obok siebie w kilku rzędach, aby zasłonić pakę ciężarówką, boczne ściany i tylny otwór. To, co na nich umieszczono i bez czego nie mógłby się obejść podczas skoków na banki – o które był oskarżony – miały stopić skwierczące płomienie termitu. Sama ciężarówka powinna wyjść z tego bez szwanku.

Leo postanowił zniszczyć przeszłość, żeby ona nie zniszczyła jego braci, gdy go już przy nich nie będzie.

Nie może sobie pozwolić na pozostawienie nawet najdrobniejszego śladu. Właśnie po to były mu potrzebne dachówki. Pełnią funkcję tarczy, która nie tylko wytrzyma ekstremalnie wysoką temperaturę, ale także utworzy coś w rodzaju kadzi albo wanny, do której po przekroczeniu temperatury trzech tysięcy stopni spłynie termit. Teraz leżą tam karabinki AK4 i pistolety maszynowe – dwieście sztuk broni automatycznej poukładanej na stosie wypełniającym całą pakę samochodu.

Leo jeszcze raz obszedł ciężarówkę zaparkowaną na środku stodoły. Pachniało w niej sianem i czymś, co przywodziło na myśl stare bandaże.

Na składanym krześle stojącym obok ławy, która pełniła funkcję stołu roboczego, leżał jego telefon komórkowy. Co dwie minuty wydawał charakterystyczny dźwięk. Leo miał nadzieję, że to człowiek, a nie jakiś pieprzony ptak, który uruchomił nocą czuły mechanizm kamery.

Obejrzał na małym ekranie pierwszą sekwencję zarejestrowanych obrazów.

Tak, tym razem był to człowiek. Policjant.

Leo oglądał zarejestrowane przez górną kamerę nagranie. Widać na nim było, jak John Broncks zagląda przez kuchenne okno do niewielkiego domu. Tego samego, w którym istniała tajna piwnica, z której niedawno wywieźli z Samem broń. Broncks dotknął drzwi wejściowych, a gdy się okazało, że są zamknięte na klucz, podniósł z ziemi kamień, zbił szybę w drzwiach i wsunął rękę, żeby dosięgnąć zamka.

Na nagraniu z następnej kamery Broncks kręcił się po domu, znalazł kable, które Leo celowo zostawił na wierzchu, i podniósł luźne płyty podłogowe, pod którymi zamontowany był sejf. Dostrzegł też puszkę z kablami na ścianie przy oknie.

W ten sposób znalazł pomieszczenie ukryte pod podłogą. Dokładnie tak, jak Leo to zaplanował.

„Broń była tam przez cały czas, ty palancie”.

Leo zatrzymał nagranie, żeby rozejrzeć się po stodole.

Dwie kamery obejmują swym zasięgiem wnętrze pierwszej podziemnej kryjówki na broń. W nowej kryjówce dwie kamery z powodzeniem wystarczą do tego samego celu. Jedną umieści i zamaskuje wewnątrz, nad wejściem do stodoły, drugą gdzieś przy wjeździe na posesję. Jeśli Broncks zaczął węszyć w domu, do stodoły dotrze na samym końcu.

Na stosie broni złożonej na pace ciężarówką leżał szaro-czerwony karton po butach oklejony taśmą. Był do niego przymocowany telefon komórkowy. Leo pochylił się jak najdalej w głąb paki, żeby się upewnić, czy nie poluzowały się trzy kable, które od tylnej części telefonu biegły do kartonu, gdzie za pomocą przekaźnika były podłączone do baterii.

To, co z zewnątrz przypominało domowej roboty bombę, w rzeczywistości było adapterem, czyli przejściówką, którą uruchamiało się po wybraniu numeru telefonu. Po dotarciu impulsu nastąpi przełączenie przekaźnika i prąd popłynie z kartonu do pojemnika na pace ciężarówką.

Wystarczy dwie sekundy, żeby żarnik się rozgrzał i zapalił to, co leży w środku – dwieście pięć kilogramów termitu.

Żeby się upewnić, czy wszystko funkcjonuje jak należy, Leo przeprowadził test, do którego zużył pół kilograma termitu. Efekt był niesamowity. Jeszcze zanim zdążył usiąść, oba pistolety maszynowe, które rozłożył na części i włożył do glinianego dzbana, zamieniły się w miękką, płynną metalową masę. Kiedy żar się rozprzestrzenił, wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zapalił mnóstwo zimnych ogni. Jasny blask przeszył na wskroś wszystkie jego zmysły, nie wyrządzając krzywdy nikomu, kto stał w pobliżu.

Leo jeszcze raz popatrzył na ciężarówkę i dwieście sztuk broni. Termitowy proszek zamieni się w płynny ogień, który policyjnych techników doprowadzi do rozpaczy, bo gdy cały metal się stopi,

znikną z niego wszystkie odciski palców.
To nie jest bomba, która ma wybuchnąć i zabić.
To jest bomba, którą można przeżyć.

Broncks spędził w ukrytym pomieszczeniu prawie pół godziny. W środku panowały chłód i wilgoć, powietrze było duszące. Zastanawiał się, co począć z wiedzą o tym, że Leo Důvnjac przez kilka lat przechowywał tu ponad dwieście sztuk broni automatycznej, że dom przeszedł na własność Sama i dlatego prawdopodobnie w ciągu ostatniej doby cała broń została stąd wywieziona. Po dłuższej chwili postanowił, że na razie nie rozpocznie oficjalnego dochodzenia, tylko przez pewien czas będzie działał nieoficjalnie, do czasu aż wyjaśni, jaką rolę odgrywał w tej sprawie jego brat. Potem zaczął wydzwaniać do swoich kontaktów osobowych zatrudnionych w największych firmach telekomunikacyjnych.

„Chciałbym cię poprosić, żebyś namierzył telefon, z którego rozmawiam”. Odpowiedź na to pytanie uzyskał za trzecim razem. „A jak już ustalił moją pozycję, sprawdź, czy prowadzono stąd w ciągu ostatniej doby jakieś inne rozmowy”. To był strzał w dziesiątkę, bo szybko się okazało, że ktoś przeprowadził stamtąd rozmowę z telefonu na kartę. Za to rozmówca dzwoniącego miał aparat zarejestrowany. Z dalszych ustaleń wynikało, że owym rozmówcą był Ivan Důvnjac. Zgodnie z tym, co udało się stwierdzić na podstawie danych transmisyjnych z trzech masztów, które tę rozmowę wyłapały, Ivan Důvnjac znajdował się w pewnej węgierskiej restauracji w dzielnicy Skanstull.

Ivan Důvnjac.

No proszę, Leo dzwonił do ojca, z którym zrobił ostatni skok na bank... Broncks poczuł, że wpadł na trop największego w północnej Europie prywatnego składu broni.

To nie był przypadek.

Ojciec i syn nawiązali kontakt. Rozpoczęli współpracę. Coś szykują, a Sam bierze w tym udział.

Broncks był absolutnie pewien, że powinien założyć podsłuch Ivanowi, który doprowadzi go do miejsca, gdzie znajduje się broń. Tak właśnie robi, aby w stosownym momencie włączyć w to kolegów z komendy.

Potem Broncks przeprowadził jeszcze jedną rozmowę. Zadzwoił mianowicie do prokuratora, którego przed kilku laty zdołał przekonać, aby wydał mu zgodę na założenie podsłuchu pewnej strażniczce odpowiadającej za konwoje w jednym z głównych oddziałów Narodowego Banku Szwecji. Zrobił to, chociaż nie miał przeciwko niej żadnych konkretnych dowodów.

„Zrób to samo co poprzednim razem. Podpisz zgodę na założenie podsłuchu bez precyzowania, czego dotyczy moje podejrzenia, i bez wpisywania charakteru przestępstwa. Wtedy też mi zaufałeś, dzięki czemu udało mi się odzyskać sto trzy miliony koron, a tobie cała ta sprawa przyniosła chwałę”.

Broncks zszedł z aluminiowej drabinki i wspiął się na palce, żeby dosięgnąć sufitu. Czekał, aż prokurator oddzwoni.

Nagle w dole rozległ się dźwięk, który przypominał głośny kaszel.

Broncks dopiero teraz się domyślił, że hałas dobiegał z zardzewiałej pompy nad podłogą. Bez niej to pomieszczenie zostałoby zalane wodą dawnego jeziora. Niesłychanie sprytnie urządzenie. Broncks z przykrością musiał przyznać, że pomysłowości Důvnjacowi nie brakuje.

W końcu wszedł po drabince na górę, wyjął kabel z gniazdka, zamknął pokrywę, zwierając dwa kable w puszcze na ścianie, i umieścił na swoim miejscu zarówno betonowy blok, jak i cztery czarno-białe płytki podłogowe. Nikt nie zauważył, że tu był. Nikt nie rozpocznie śledztwa w sprawie tego, o czym na razie wie tylko on.

– To ty, Broncks?

Prokurator.

– Tak.

Broncks wyszedł do przedpokoju i skierował się do wyjścia. Słowa prokuratora zakłócały coraz silniejsze porywy wiatru.

– Masz moją zgodę. Podpiszę wniosek, ale musisz go jak najszybciej złożyć.

– Dużo na tym zyskasz. Przynajmniej tyle co poprzednim razem.

Broncks ruszył nierówną alejką w stronę podjazdu. Zabezpieczona drutem kolczastym furka przypominała więzienną bramę. Udało się. Ma zgodę na podsłuch. Od tej pory wszystko będzie robił zgodnie z prawem.

Teraz na pewno zdobędzie wgląd w przestępczy umysł Leo Důvnjaca.

Dyżurny z Sekcji Techniki Operacyjnej i Podśluchu od razu zaalarmował Broncksa o połączeniu telefonicznym. Ten prawie biegł przez budynek, żeby jak najszybciej dostać się ze skrzydła zajmowanego przez Komendę Miejską Policji do skrzydła, w którym przy ulicy Polhemsgatan mieścił się Centralny Urząd Śledczy. Wsiadł do windy i pojechał na dziewiąte piętro.

– Cześć, tato, to ja. Może znajdziesz trochę czasu na krótką przejażdżkę?

Starszy, lekko zgarbiony mężczyzna siedział jak zwykle w jednym z pokoiów, w których prowadzono nasłuch, aby później analizować rozmowy przychodzące i wychodzące. W pewnej chwili na elektronicznej mapie zapaliła się czerwona lampka. Podsluchiwany aparat telefoniczny znajdował się w dzielnicy Södermalm, w pobliżu północnego filaru mostu Johanneshovsbron.

– Czy znajdę czas? Mam go całe mnóstwo. Akurat piję kawę. Jak zwykle.

Mężczyzna wcisnął jeden z przycisków w górnym rzędzie konsoli, zrobił przerwę w nagraniu i spojrzał na Broncksa.

– Powiedziałeś, że za każdym razem gdy ktoś zadzwoni pod te numery, mam cię informować. To ich pierwsza rozmowa, trwa czterdzieści osiem sekund.

Mężczyzna wskazał na ekran monitora. Pod pulsującą diodą widać było czarny pasek, na którym zaznaczone były godziny, minuty i sekundy.

– Osoba, do której dzwoni, znajduje się tutaj – w jednym z ostatnich domów na ulicy Götgatan.

– Słyszałeś, co powiedziałem? Tylko kawa, ani kropli alkoholu.

– Słyszałem. To dobrze, tato. Wpadnę po ciebie za kilka godzin.

– A dokąd chcesz mnie...

– Coś ci pokażę.

– Co?

– Naszą przyszłość. Punktualnie o siódmej wieczorem czekaj przed wejściem.

Broncks wskazał głową ekran z elektroniczną mapą.

– Czy on nadal tam jest?

– Kto?

– Odbiorca tej rozmowy, którego życie chcemy prześwietlić.

Mężczyzna – ekspert od podsłuchów i intonacji ludzkich głosów – uśmiechnął się.

– Prokurator dał ci zgodę na podsłuchiwanie jego rozmów, nie na prześwietlanie jego życia. Kiedy skończy rozmawiać, nie wolno ci sprawdzać, gdzie się znajduje.

– Ale potrafisz to ustalić?

– Tak.

– No więc gdzie?

– Sprawdzę to w drugim pokoju. Jeśli tylko otrzymam formalny wniosek w tej sprawie, będę mógł przez cały czas śledzić jego ruchy na podstawie telefonicznych impulsów.

Broncks też się uśmiechnął. Tak to właśnie z nimi jest. Mężczyzna, który był w wieku jego ojca, słynął kiedyś jako świetny policjant. Pracował w terenie, to znaczy w świecie, w którym teraz jest obecny jedynie za pośrednictwem słuchawek. Na co dzień siedzi zamknięty w niewielkich, pozbawionych okien pomieszczeniach. Widać było, że tęskni za tamtym światem. Niestety, nie ma już szans na powrót. Nie te plecy, nie te nogi...

– Trzeci pokój po lewej stronie. Jeśli wracając do siebie, zajrzysz tam i zerkniesz na środkowy ekran... w każdym razie ja o niczym nie wiem, bo chciałbym tu jeszcze trochę popracować.

– Sam wiesz najlepiej, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Broncks wyszedł na korytarz i zdążył jeszcze usłyszeć, jak policjant rzuca mu na odchodne „Powodzenia!”. Obserwacja Ivana Dūvnjaca da mu wgląd w przestępcze plany jego syna. Dzięki temu jego nadzieja wkrótce się spełni.

Dziesięć minut.

Jedenaste.

Dwanaście.

Ojciec się spóźnił, chociaż zarówno miejsce spotkania, jak i godzinę wybrał w taki sposób, aby jak najbardziej ułatwić mu dojazd. „Punktualnie o siódmej wieczorem czekaj przed wejściem”. Leo siedział jak na szpilkach. Na dodatek to pieprzone śwędzenie głowy pod czapką paliło go jak ogień.

Próbował zajrzeć przez zapocone szyby samochodu do wnętrza restauracji Drava. Wścibski właściciel oczywiście tam był, podobnie jak jego wścibska żona. Przy oknie siedziała jakaś młoda para zajęta jedzeniem. Starszy mężczyzna stał przewieszony przez kontuar i czekał na dwa kufle piwa, żeby potem zanieść je ostrożnie do zajmowanego przez siebie stolika.

Tylko ojca tam nie było.

Leo zerknął na zegarek. Stracił już trzynaście minut, a przecież do momentu, w którym odbierze to, *czego nie ma*, została mu niecała doba.

Stres nigdy go nie dopada, bo potrafi nad nim zapanować i pokierować swoim zachowaniem.

Gorzej jest z tym śwędzeniem w głowie i uciskiem w piersi. Leo zdawał sobie sprawę, że realizacja planu zależy też od czynników, których nie da się ani przewidzieć, ani kontrolować. Na przykład takich jak jego ojciec.

Już dwa razy dzwonił do niego pod bezpośredni numer.

Zrobi to, co zaplanował: zostawi fałszywy trop, a potem go „uruchomi”.

Za pierwszym razem zostawił taki trop przy kryjówce z bronią. Kiedy podczas napadu na konwój Sam porzucił karabin, Leo miał nadzieję, że dzięki temu Broncks znajdzie ukryte pomieszczenie. Zadzwonił stamtąd pod rejestrowany numer i rozmawiał na tyle długo, żeby policja na pewno zdążyła namierzyć miejsce, z którego telefonował. Potem już tylko czekał, aż kamera monitoringu zarejestruje, jak Broncks włamuje się do domku i wpada w zachwyt na widok drobnych, acz trudnych do przeoczenia „śladów”, które mu tam celowo pozostawił.

Drugi raz skierował Broncksa na fałszywy trop kilka godzin temu, gdy uznał, że ten zdążył już załatwić wszystkie formalności związane z założeniem podsłuchu.

Zerknął na elektroniczny zegar wiszący na fasadzie jednego z sąsiednich budynków. Od czternastu minut czeka tu na kogoś, kto nie ma pojęcia, jak ważne jest wciągnięcie Broncksa w zastawioną na niego pułapkę. Chodzi o to, żeby utrzymać go na fałszywym tropie do momentu, aż ujrzy na własne oczy, jak jego „dowody” ulatują z dymem. Cała ta operacja odbywa się po to, żeby udało mu się wykonać to, co zaplanował w innym miejscu.

Nagle głowa przestała go śwędzieć, ustąpił też ucisk w piersi.

Ivan Dúvnjac wyłonił się z restauracji, jakby zmartwychwstał z niebytu. Poły płaszczka powiewały mu na wietrze, w ustach żarzył się papieros.

Leo dał mu dwa razy znak światłami.

Ivan spojrział w stronę reflektorów i wrzucił papierosa do studzienki kanalizacyjnej.

– Spóźniłeś się czternaście i pół minuty.

– To przez kawę, synu. Chyba wiesz, jak to funkcjonuje? Najpierw trzeba za nią zapłacić, a potem iść się wysikać. Byłem w kiblu. Potem Dacso musiał jeszcze wstukać rachunek na kasę.

Ivan osunął się ciężko na siedzenie, ale nie zamknął drzwi, jak gdyby chciał przez to pokazać, że czekając na przyjazd syna, wcale nie szwendał się po okolicy.

– Zresztą... co to jest czternaście minut spóźnienia? Spiesz się gdzieś?

– Zamknij drzwi.

– Chciałeś się ze mną spotkać... to dobrze... sprawiłeś ojcu radość. Ale będzie on jeszcze bardziej uszczęśliwiony, jeśli mu wyjaśnisz, dlaczego czas jest aż tak ważny?

– O czym ty gadasz?

– O gliniarzu, który zjawia się nagle w mieszkaniu, gdzie razem z twoim młodszym bratem robimy remont, i zaczyna nas o ciebie wypytywać. Na przykład gdzie byłeś o tej i o tej godzinie, z kim

i gdzie... Chyba wiesz, że Vincenta drażnią takie rozmowy? A jeśli tak, to pewne sprawy powinniśmy sobie wytłumaczyć.

Ivan położył dłoń na klamce, ale nie po to, żeby zamknąć drzwi.

– Bo jak ktoś zaczyna sobie coś tłumaczyć na własną rękę, to niektóre rzeczy może zrozumieć całkiem opacznie. Zaczyna mu się wydawać, że...

– Robi się zimno. Zamknij drzwi.

–...że sprawy mają się inaczej, niż wyglądają. Mogą się nawet poczuć wykorzystani. Rozumiesz?

Leo pochylił się w jego stronę, chwycił za klamkę i przyciągnął drzwi, żeby je zamknąć.

– Musimy już jechać.

– I co z tego, że jest zimno? Siedzisz w wozie! I masz czapkę na głowie. A nie pamiętasz, czego cię uczyłem? Że prawdziwy mężczyzna nigdy nie chodzi w krótkich spodniach, a czapkę nosi tylko na dworze?

Leo wzruszył ramionami i zdjął czapkę, odsłaniając ogoloną głowę.

– To dlatego. Zadowolony? Możemy już przestać gadać i jechać? Przecież chciałeś się ze mną spotkać, prawda?

Ivan przyglądał mu się w milczeniu.

– Leo... kurwa... coś ty zrobił? Ogolileś głowę? Mężczyźni w naszej rodzinie, a mówię tu o twoim dziadku w Chorwacji i o jego ojcu, zawsze mieli bujne włosy. Takie mamy geny! Dobre! Gęste włosy. Nie jesteś łysą pałą. Ludzie tracą włosy z dwóch powodów: promieniowania i propagandy. Wyjaśnij mi więc, co ci się stało: zachorowałeś czy może czytałeś *Mein Kampf*?

Leo przekręcił kluczyk w stacyjce, wcisnął pedał gazu, wrzucił jedynekę i zawrócił przez podwójną ciągłą. Jechali na południe. Ivan przez cały czas siedział w milczeniu: gdy przejeżdżali przez Johanneshovsbron i gdy z placu Gullmarsplan skręcili w tunel. Dopiero na wysokości Västbergi, gdy zjeżdżali na drogę E4, przestał się wpatrywać w gołą czaszkę syna.

– Dokąd jedziemy, moja ty ogolona czaszko?

Leo dopiero teraz zrozumiał, o co ojciec pytał go kilka minut wcześniej, gdy nie chciał zamknąć drzwi.

– Wyjaśniłem ci przez telefon.

„Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo masz rację”.

– Zamierzam ci pokazać naszą przyszłość.

„Ale czasem lepiej nie wiedzieć”.

– Co to wszystko znaczy? Chcesz, żebym ja też zgolił włosy?

„Nie musisz znać roli, jaką ci przydzieliłem”.

– Przyszłość, tato. Coś, co zbudujemy razem. Zrozumiesz, gdy dojedziemy na miejsce.

„Twoje prawdziwe zadanie polega na tym, że staniesz się przynętą”.

Kiedy dwanaście minut później Leo wjeżdżał na podwórze, żwir głośno zachrzącał pod oponami samochodu. Ostatni odcinek przejechali w zupełnych ciemnościach. Leo czuł się przez chwilę jak podczas ostatniej wizyty na wyspie, gdy odwiedził Sama. Kiedy jednak podjechali pod budynek, który dumnie prezentował swoje dwie kondygnacje, a potem pod znacznie większą, pomalowaną na biało-czerwoną stodołę, podwórze i zabudowania zalało rześiste oświetlenie. Teraz mogli się orientować dużo łatwiej.

Od najbliższego sąsiada dzieliło ich kilkaset metrów. Po obu stronach drogi rósł gęsty las. Leo uznał, że dom na pustkowiu to idealna kryjówka. Kiedy nadejdzie czas, nikomu nie stanie się krzywda.

– Jesteśmy na miejscu.

Leo zerknął na ojca. Ivan patrzył przez okno, jak gdyby nie zamierzał wysiąść.

– Właśnie to chciałem ci pokazać, tato.

– Jakież pieprzone gospodarstwo wiejskie?

– Właśnie tak. Na razie widzisz tylko deski, ściany i dach, ale jeśli ze mną pójdziesz, pokażę ci, jak tu jest naprawdę.

Między domem mieszkalnym a stodołą rósł mały gęsty sad. Same grusze i śliwy, które ktoś posadził przed wielu laty. Ivan wysiadł powoli z samochodu, oparł się o dach i przeciągnął.

Leo widział podczas całej jazdy, że jego ojcem targają wątpliwości. Kiedy Ivan wysiadł w końcu z wozu, jego powolne ruchy miały być czymś w rodzaju demonstracji braku zainteresowania tym, co zamierza mu pokazać jego syn.

– No powiedz coś... co o tym myślisz?

Ivan nie odpowiedział, tylko spojrzał mu w oczy takim wzrokiem, jak gdyby myślami był gdzie indziej.

– Tylko ty i ja, razem. Tak jak chciałeś. Mamy obiekt do remontu, tego nam potrzeba.

Właśnie w takich warunkach Leo dorastał. Z ojcem, który zarabiał na utrzymanie rodziny jako stolarz i malarz, pracując na czarno dla właścicieli okolicznych domów i mieszkań. Później, zanim doszło do prawdziwego konfliktu, przez kilka lat prowadzili nawet razem firmę budowlaną.

– Proponowałeś nam to przez całe lata, na długo przed tym fatalnym skokiem, którego nie powinniśmy z tobą robić. Spójrz na to tak: ojciec i syn znowu działają razem. Kupiłem tę działkę dla nas. Myślałem, że się ucieszysz.

Zapadła pełna oczekiwania cisza, która w czasach, gdy Ivan pił, zawsze coś znaczyła. Teraz jednak, gdy już od dwóch lat nie miał w ustach kropli alkoholu, znaczyła coś więcej.

– Zrobimy ten remont razem, jak wtedy. Potem sprzedamy tę budę z zyskiem. Mam już potencjalnego kupca. Chce się z nami spotkać, żeby się upewnić, czy jesteśmy w stanie taki remont zrobić. Powiedz mi, czy nie jest tak, że jak ktoś widzi dobry interes, to od razu wie, że powinien w niego wejść?

W ślad za milczeniem pojawiła się podejrzliwość.

Leo zerknął na ojca.

Tego się po nim nie spodziewał – przynęta nie zaakceptowała propozycji wysuniętej przez swoją przynętę. Nawet nie przypuszczał, że po tak długim okresie abstynencji ojciec zachowa krystalicznie jasny umysł.

– Interes? Co ty, kurna, planujesz?

– Co ja planuję? Naszą przyszłość. Sam powiedziałeś: jeśli ty się możesz zmienić, to i ja mogę to zrobić.

Światło na podwórzu padało na zniszczoną stodołę, która kiedyś była elegancko pomalowana. Ivan przez długi czas wodził wzrokiem od jednej strony na drugą, od dachu do ziemi.

– Przywiozłeś mnie tutaj, żeby mi pokazać tę rudere? Przecież na remont będziemy musieli poświęcić kupę czasu.

Leo już jako dziecko potrafił unikać sytuacji, w których ojciec przeszywał go swoim przenikliwym spojrzeniem. Wolał poczekać, aż się upije, i dopiero wtedy zaglądał mu śmiało w oczy. Nauczył się udawać wobec takiego ojca. Za to z jego nową wersją nie miał jeszcze żadnych doświadczeń.

– Wybrałeś do tego taką dziurę zabitą dechami? Kto chciałby tu mieszkać? A może chcesz sprzedać mi miejsce mnie?

Ivan przesuwał palcami po chropowatej powierzchni ściany domu mieszkalnego. Na ziemię posypał się płaty splekanej czerwonej farby. Podszedł do jednego z brudnych okien, przyłożył dłoń do oczu i zajrzał do środka. W oknie nie było zaston, więc nic nie ograniczało mu widoczności. Dlatego od razu się domyślił, że w domu od dawna nikt nie mieszkał.

– Chodźmy, tato.

Leo zaprowadził ojca do stodoły. Przez cały czas starał się trzymać w zasięgu blasku rzucanego przez cztery latarnie oświetlające podwórze. Zależało mu, aby obaj byli widoczni. Od czasu do czasu zerkał w ciemność, jak gdyby się zastanawiał, czy ktoś nie obserwuje ich z ukrycia. Z tego samego powodu muszą otworzyć wielkie wrota stodoły i wejść do środka, żeby przyciągnąć uwagę.

– Idź za mną. Bardzo chciałbym ci coś pokazać.

Leo wyjął klucz, który jak się okazało, pasował do ciężkiej srebrnej kłódki. Włożył go do zamka, przekręcił i pociągnął za dwa metalowe uchwyty na drewnianych drzwiach. Każde skrzydło wisiało na trzech potężnych zawiasach, starych i zardzewiałych. Widać było, że stodołę zbudowano znacznie wcześniej niż budynek mieszkalny.

– Tutaj też zrobimy kiedyś remont.

Leo wykonał szeroki gest ręką.

– Dwie kondygnacje, schody, na górze sypialnie, na dole salon.

Po kilku krokach w nozdrza uderzył ich silny zapach zboża i suchego siana, które przechowywano tu od pokoleń. Patrząc z tego miejsca, można było odnieść wrażenie, że sufit znajduje się znacznie wyżej. Ciężarówka, która stała na samym środku stodoły, wydawała się przez to znacznie mniejsza.

– Ciężarówka? Po co ci ciężarówka?

– Jest załadowana narzędziami. Będą nam potrzebne.

– A więc zdążyłeś nawet kupić narzędzia? Skąd wzięłeś pieniądze? A jeśli ten biznes nie wyjdzie?

– Tato... jeśli w to wejdiesz, zrobimy dobry interes. Może nawet jutro.

Ivan zatrzymał się i spojrzał na syna. Leo czuł na plecach jego krytyczny wzrok, jak gdyby ojciec postanowił, że nie zrobi nawet kroku więcej w stronę ciężarówki w głąb stodoły.

– W moim rodzinnym Karlovacu, gdy wiosną woda wzbierała w rzecze, można było w niej zobaczyć pluskające sumy. Całe mnóstwo. Potem do wody wchodziliśmy my, dzieci, żeby się pobawić. Woda robiła się ciepła, a my skakaliśmy do niej z rosnącej na brzegu wierzby.

Ivan i Leo stali przez długi czas w ogromnym drewnianym pomieszczeniu. Syn – który nie potrafił wytłumaczyć ojcu głównego powodu ich wizyty w tym miejscu – i ojciec, który marzył o pojednaniu, chociaż instynkt mu podpowiadał, że Leo chce go wykorzystać.

– Nurkowaliśmy w zielonkawej wodzie i przy każdym skoku musieliśmy się zginać, żeby nie uderzyć o dno. Wyglądaliśmy wtedy jak litera „U”.

Leo usłyszał, jak jego ojciec robi krok do przodu. Kątem oka zauważył, jak kreśli w powietrzu figurę przypominającą wielkie „U”.

– W naszym mieście pracował pewien policjant. Nogawki spodni miał zawsze wpuszczone w brudne skórzane buty. Na głowę zakładał czapkę z matową, trochę za dużą policyjną blaszką. Nosił koszulę, zawsze pomarszczoną jak purchawka. Był mocny, miał krzepę dwóch ludzi, ale my byliśmy dla niego zbyt szybcy. Biegaliśmy i rzucaliśmy się w wodzie jak latające ryby. On stał nad brzegiem i tylko machał na nas pałką. „Skocz do wody”, krzyczeliśmy do niego. „Boisz się? No skocz... wejdź na drzewo, jak my, i skocz”.

Ivan zrobił kolejny krok i zwrócił się z synem.

– Pewnego dnia facet miał już tego wszystkiego dosyć. Zdjął swój wygnieciony mundur, ale został w butach. Potem wspiął się na najgrubszą gałąź, która wisiała nad wodą jak szyja żyrafy.

Ivan wyciągnął rękę, żeby to zademonstrować.

Te jego pieprzone historyjki. Opowiadał je po to, żeby za ich pośrednictwem przekazać im jakąś podrzędną prawdę. Robił tak, gdy Leo i jego bracia byli jeszcze dziećmi, a on próbował przyłapać ich na kłamstwie. Dziwne obrazy, które się z tych opowieści wyłaniały, wywoływały w ich głowach zamęt i pobawiały oporu, a potem wwiercały się głęboko w ich umysły, wydobywając z nich to, co chcieli ukryć.

– A gdy już był na drzewie, położył się na końcu gałęzi i nagle się przestraszył. Wyraźnie to widzieliśmy. Mimo to dalej pływaliliśmy w rzece i wołaliśmy, żeby się do nas przyłączył. Wrzeszczaliśmy, że się boi, nazywaliśmy go ichórzem i głupkiem.

Ivan umilkł. Leo zauważył, że jego ojciec ma zupełnie trzeźwe spojrzenie.

– W końcu skoczył, ale gdy uderzył w wodę, nie skuł się tak, jak my to robiliśmy. Jego dwa buty sterczały z wody jak jakiś peryskop. Skręcił kark, chociaż był silnym, wielkim facetem. Wyszło na to, że był głupcem, bo nie dokonał własnego wyboru. Zrobił to, czego chciały od niego dzieci, zamiast posłuchać swojego rozumu.

W tym samym momencie Leo poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni spodni. Przez chwilę nie słuchał opowieści ojca, bo chciał szybko wyjąć komórkę, żeby sprawdzić, czy to, czego się spodziewał, rzeczywiście się dzieje.

– Leo, czy ty mnie słuchasz? Ja nie jestem tamtym policjantem. Rozumiesz?

W tym momencie uruchomiła się aplikacja podłączona do obu kamer monitoringu. Sygnał emitowała kamera „A” zamocowana na ogrodzeniu w miejscu, gdzie zaczyna się żwirowa alejka. Kilometr od miejsca, w którym się znajdowali.

– Leo, ja nie jestem stuknięty.

Leo ujrzał na wyświetlaczu samochód jadący z wyłączonymi światłami.

Super! Jesteśmy w komplecie.

– Jeśli więc proponujesz, żebym zaryzykował, to na pewno chodzi ci o coś zupełnie innego. Czy nie mam racji?

Ivan nie spuszczał z niego wzroku. Chciał mu spojrzeć w oczy, ale Leo nie miał odwagi, żeby zrobić to samo.

– Zamierzasz mnie wykorzystać?

– Co?

– Zadałem ci proste pytanie: czy chcesz mnie wykorzystać?

Ivan wypowiedział te słowa opanowanym głosem. Leo od razu to zauważył.

– Tato, przecież to ty do mnie przyszedłeś. Twierdziłeś, że jeśli ty się zmieniłeś, to i ja mogę. Właśnie staram się to zrobić.

Dopiero w tym momencie ich spojrzenia się spotkały.

– Felix i Vincent też chcą się zmienić.

Leo zauważył, że od momentu gdy weszli do stodoły, Ivan pierwszy raz przestał emanować wątpliwościami, którymi jeszcze przed chwilą był naładowany.

– Co powiedziałaś? Felix też?

– Tak.

– I Vincent?

Obaj spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę w milczeniu. Leo odważył się w końcu spojrzeć mu prosto w oczy, chociaż kłamał jak najęty.

– Tak. Spytałem ich o to i obaj się zgodzili.

Leo poczuł wielką ulgę. Był przekonany, że to, po co tu przyszedł, udało mu się przynajmniej częściowo osiągnąć. Chciał, żeby ojciec się do niego przyłączył, i wygląda na to, że tak się stanie. Za chwilę ojciec i jego syn wyjdą razem z pustej, opuszczonej stodoły na odludziu. Jeśli Ivan się zgodzi, jeśli złapie przynętę i sam się nią stanie, fałszywy trop przetrwa do następnego dnia.

– Chcesz powiedzieć, że... cała czwórka? Ojciec i trzej synowie w tej samej firmie budowlanej?

– Tak.

– Sam nie wiem... Mówisz poważnie?

Leo zawahał się, ale tylko na chwilę. Potem wyciągnął przed siebie obie ręce i zrobił coś, czego chyba nigdy przedtem nie zrobił: wykonał ruch, jak gdyby chciał go objąć.

– Tak. Mówię poważnie.

Leo przycisnął go do siebie i dopiero teraz poczuł, jak bardzo jego ojciec schudł w czasie odsiadki.

– Nie musisz się decydować teraz. Zastanów się nad tym w drodze powrotnej.

A może nie schudł, tylko skurczył się pod wpływem kłamstwa?

A jeśli tak, to może łatwiej go będzie załatwić?

Leo popatrzył na człowieka, który kiedyś uczył go tańczyć z niedźwiedziem, a teraz musiał się przemóc, żeby przełknąć to, co stało mu na drodze.

Broncks stał w lesie ukryty wśród drzew i krzaków. Obserwował, jak ojciec i syn wychodzą na zaniedbane podwórze ze stodoły stojącej obok budynku mieszkalnego. Rozmawiali ze sobą tak cicho, że nie mógł wylapać ani jednego słowa. W końcu wsiedli do samochodu i odjechali.

Broncks zaczął analizować to, co przed chwilą zobaczył. Jeden z najgroźniejszych przestępców w kraju spotyka się ze swoim ojcem po krótkiej, „zaszyfrowanej” rozmowie telefonicznej.

- Coś ci pokażę.
- Co?
- Naszą przyszłość.

Policjant z Sekcji Techniki Operacyjnej i Podśluchu – były inspektor policji kryminalnej o dobrodusznym wyrazie twarzy – nadal mu pomaga. Mimo braku oficjalnego wniosku zgodził się śledzić ruchy Ivana Důvnjaca na podstawie logowania jego telefonu. Broncks nawet nie musiał go do tego zbyt długo namawiać. Policjant skierował go najpierw w okolice miejscowości Botkyrka, do zjazdu z drogi E4 na Norsborg, a potem na lokalne drogi. Broncks dziwnie się czuł, jadąc przez nieznaną mu okolicę, wśród rozrzuconych domostw stojących w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów od Sztokholmu. Policjant od nasłuchów sprawdził jeszcze, kto jest właścicielem działki, i okazało się, że należy ona do pewnego przestępcy odsiadującego wyrok w Österåker.

To za jego pośrednictwem Důvnjac trafił do pustej posiadłości na odludziu.

Kiedy Broncks się upewnił, że obaj Důvnjacowie odjechali, opuścił miejsce, w którym ukrył samochód, i podjechał do stodoły. Na tylnym siedzeniu leżała torba, do której spakował trochę sprzętu. To na wypadek gdyby nie mógł skorzystać z policyjnego.

Dziwnie się z tym czuł – jak gdyby sam siebie oszukiwał, wbrew zawodowi, który wykonywał.

Niestety nie miał wyboru. O tym, co robi, nie może powiedzieć ani Elisie, ani żadnemu innemu policjantowi na komendzie. Na razie. Najpierw musi ustalić, co łączy jego brata z Leo Důvnjakiem.

Wyjął z bagażnika latarkę, włączył ją i oświetlił dłuższą ścianę stodoły aż do drzwi, na których wisiała kłódka. Promień zatrzymał się na kawałku zardzewiałego pręta zbrojeniowego, który leżał na ziemi dwa metry od fundamentu.

Okazało się, że sprawa nie jest aż tak skomplikowana. Podniósł pręt, wyłamał skobel i otworzył drzwi. Później wcisnął go na miejsce, żeby nikt nie zauważył włamania.

Na samym środku stodoły stała nieduża ciężarówka. Oprócz niej były tam też niewielka ława i składane krzesło.

Pakę ciężarówki przykryto pokrowcem z grubego sztucznego tworzywa. Broncks rozwiązał trzy gumowe końcówki i uniósł brezent, żeby zajrzeć do środka.

Jego oczom ukazał się widok, na który czekał od dawna. Karabiny i pistolety, które stały albo leżały obok siebie. Nagle ujrzał coś, co zmusiło go do opuszczenia brezentu: trzy kable połączone z czerwonym telefonem komórkowym leżącym na małym pudełku. Cofnął się, ale został na miejscu. Był pewien, że wzrok go nie myli.

Bomba.

Wybuchnie dopiero wtedy, gdy tak zadecyduje Leo.

Broncks widywał podobne urządzenia w sprawach, w których doszło do zagarnięcia mienia znacznej wartości. Stanowiły rodzaj zabezpieczenia dla sprzedającego, który mógł w ten sposób zmusić swojego klienta nie tylko do zapłaty za zamówiony towar, ale także za hasło dostępu albo kod zabezpieczający.

A więc tym się Důvnjac zajmuje. Chce sprzedać broń i nawet ma na nią kupca.

Broncks wyjął z torby rękawiczki.

Zrozumiał, że rysuje się przed nim ogromna szansa. Zjawi się tutaj podczas finalizowania transakcji, dzięki czemu będzie mógł powiązać Důvnjaca zarówno z napadem na konwój, jak i z kradzieżą broni. A przecież za tak ciężkie przestępstwo jak kradzież broni, która zgodnie z prawem uważana jest za czyn o charakterze terrorystycznym, Leo Důvnjac przy odrobinie szczęścia może zasłużyć na dożywocie. Innymi słowy dostanie o wiele dłuższy wyrok niż za wszystkie skoki na banki razem wzięte. Jest tylko jeden warunek: trzeba mu je najpierw udowodnić. Broncks był absolutnie pewien, że próba sprzedaży

dwustu sztuk broni skradzionej z wojskowego magazynu podlega pod paragraf mówiący o czynie „popelnianym w sposób zamierzony i w celu wywołania strachu wśród ludności”.

Broncks skierował strumień światła na brzeg paki i ostrożnie wziął leżący na górze karabin AK4. Położył go na długiej ławie za wozem, wyjął z torby pędzelek i puszkę z czarnym proszkiem do zabezpieczania odcisków palców, a następnie kilka razy przejechał suchym pędzelkiem po powierzchni ławy. Zrobił tak, żeby jego włókna rozłożyły się równomiernie, zanim włoży go do proszku, a potem pokryje odpowiednio grubą warstwą kolbę i lufę. Na szaroczarnym tle ukazały się kręgi świadczące o obecności kilku odcisków palców. Broncks nałożył na nie kawałeczki folii, dzięki czemu przeniósł je na nią. Za jakąś godzinę technik z laboratorium kryminalistycznego porówna je z innymi odciskami palców pobranymi wcześniej od osób podejrzanych w śledztwach. Jest tych odcisków ponad sto tysięcy.

Broncks odłożył karabin na swoje miejsce, opuścił plandekę i zawiązał taśmy. Potem cofnął się o kilka kroków, żeby zapamiętać numer rejestracyjny wozu.

Nawet pan nie wie, panie Dûvnjac, jak bardzo jestem blisko.

Ivan i Leo przez cały czas jechali w milczeniu.

Zostawili za sobą lokalne drogi, aż znaleźli się na czteropasmowej E4 i ruszyli w kierunku Sztokholmu.

Milczeli tak do momentu, aż Leo zjechał do zatoki na przydrożnym parkingu.

– Dlaczego się zatrzymałeś?

Całkiem puste, ale ładne i dobrze oświetlone miejsce. Jest też betonowy budynek z toaletami, a do tego mnóstwo ławek, stolików i koszy na śmieci. Jak na skraju lasu.

– Muszę skoczyć do klopa, żeby się odlać. Zaraz wrócę.

Zdążył pokonać połowę odległości dzielącej go od toalet, gdy Ivan opuścił szybę i zawołał:

– Leo!

Zatrzymał się i odwrócił w stronę samochodu. Jego ojciec nadal siedział w wozie, ale wystawił głowę, żeby lepiej go było słychać.

– Tak?

– To, o czym mówiłeś w stodole... nie żartowałeś?

– Nie mówmy już o tym. Jak nie chcesz, to nie.

– Właśnie że chcę!

Leo stał dość daleko od samochodu i dlatego Ivan nie zauważył uśmiechu zadowolenia na jego twarzy. Poza tym było już ciemno.

– Wiedziałem, że się zgodzisz.

– Zrobimy to razem. Wyremontujemy tę rudę. Ty, ja, Felix i Vincent.

Ivan jeszcze bardziej wystawił głowę z samochodu. Widać było, że jest podekscytowany.

– Zrobimy to całą rodziną. Muszę ci się przyznać, że bardzo mnie to cieszy. Słyszysz? Bardzo!

W toalecie panował półmrok i śmierdziało moczem. Cóż, nie każdy umie trafić do pisuaru. Leo poczuł silny przeciąg – ciągnęło przez uchylone narożne okno. Minął brudny pisuar i wszedł do jedynej kabiny, którą można było zamknąć na skobel.

Kiedy byli z Ivanem w stodole, zauważył na wyświetlaczu telefonu, jak samochód ze zgaszonymi światłami mija kamerę „A” zawieszoną na ogrodzeniu na początku zwirowej alejki. Przed chwilą, gdy siedział z ojcem w aucie, telefon zasygnalizował, że samochód przejechał obok kamery w punkcie „B”. Leo od razu poczuł się lepiej. Jednak to, co zobaczył na wyświetlaczu w tym momencie, przekraczało jego najśmielsze oczekiwania. Pułapka, którą niedawno zastawił, właśnie się zatrzasnęła. Na obrazie z kamery wiszącej na szczycie ściany wewnątrz stodoły ujrzał, jak ciemności panujące w budynku rozświetla promień latarki. Promień zbliżał się do ciężarówki, aż w końcu się na niej zatrzymał. W pewnym momencie osoba trzymająca latarkę oświetliła nią swoją twarz. Leo poznał człowieka, którego znał od lat: Johna Broncksa.

Roześmiał się, a jego śmiech odbił się echem od ścian toalety.

Wiedział, że Broncks nie zdoła popsuć mu planu. Dlatego postanowił, że najpierw wysadzi ojca przy węgierskiej restauracji, a następnie pojedzie po Sama. W tym samym czasie Broncks robi to, co powinien: zaczyna się przygotowywać do akcji. W każdym zakamarku posiadłości, za każdym drzwem i krzakiem ustawia policjantów z jednostki specjalnej i będzie czekał na okazję. Uderzy dopiero wtedy, gdy uzna, że na jego oczach doszło do największej w historii Szwecji nielegalnej sprzedaży broni.

Broncks nie wiedział o dwóch sprawach: że tajemniczy handlarz – Leo Důvnjac – świadomie wprowadził go w błąd i że o godzinie rozpoczęcia akcji zadecyduje rozmowa z podsłuchiwanym przez policję Ivanem Důvnjaczem nieświadomym, że interes, o którym rozmawiał ze swoim synem, dotyczył całkowicie innej sprawy, a do właściwego skoku dojdzie w zupełnie innym miejscu.

Przed zjazdem na Västberge, między drogą E4 a pierwszym rondem, utworzył się korek. W takiej sytuacji Broncks żałował, że nie jedzie oznakowanym radiowozem albo z dyskretną eskortą kolegów z wydziału śledczego. Ponieważ jednak bardzo mu się spieszyło, zjechał na bok, zahaczając prawie o brzeg rowu, po czym nie zważając na gniewne trąbienie zdesperowanych kierowców, objechał z boku cały sznur samochodów. Zaraz za zjazdem znajdowała się stacja benzynowa, na której zaparkował przy jednym z wolnych dystrybutorów. Szybkim krokiem wszedł do budynku i od razu skierował się do kasy, przed którą też stała kolejka. Niestety, nie mógł jej ominąć, jak to zrobił z korkiem. Stało przed nim dwoje klientów: młody mężczyzna, który wypożyczył już film, a teraz zajęty był wybieraniem kiełbaski z sosem, i starsza pani z koszykiem pełnym artykułów spożywczych. Trudno było określić, na co były przeznaczone: na kolację czy na śniadanie.

Serce biło mu niespokojnie, więc żeby zachować cierpliwość, próbował myśleć o czymś, co nie było związane z kolejką i z pośpiechem. Niestety okazało się to niemożliwe. Każda nowa myśl natychmiast ulatywała w niebyt, bo przez cały czas nie dawało mu spokoju wspomnienie o tym, jak przez ostatnie lata krążył w poszukiwaniu skradzionej broni jak dziecko we mgle. Szukał anonimowego cienia, którym okazał się Leo Dûvnjac. Był przekonany, że to właśnie on jest mózgiem zaplanowanej transakcji. Z najstarszym z braci Dûvnjacob miał już do czynienia dawniej, gdy Leo próbował odsprzedać mu broń, co w aktach sądu rejonowego zostało uznane za „próbę szantażowania funkcjonariusza policji”. Dûvnjac zagroził, że jeśli policja nie odkupi od niego dwustu sztuk broni skradzionej z wojskowego magazynu, sprzeda ją – albo nawet podaruje – gangom działającym na terenie Szwecji. Gdyby to rzeczywiście zrobił, ilość broni dużego kalibru dostępnej na rynku znacznie by się zwiększyła.

Młody mężczyzna, który stał na początku kolejki i zjadał kiełbaskę, zdecydował w końcu, że weźmie do niej chilli. Kiedy jednak poprosił o więcej musztardy, Broncks stracił cierpliwość i kazał mu ustąpić miejsca następnej osobie. Stojąca przed nim kobieta obrzuciła go wdzięcznym spojrzeniem, uśmiechnęła się i wyłożyła na ladę swoje zakupy: masło, ser, chleb, pasztet z wątróbki, serwetki, świece i mrożone gołąbki. To ciekawe, pomyślał Broncks. Stacje benzynowe zamieniły się w supermarkety.

Po zakończonym procesie nadal szukał skradzionej broni. Co jakiś czas dochodziło nawet do wznowienia śledztwa. Akta sprawy wciąż leżały rozłożone na podłodze w jego pokoju, chociaż od kradzieży upłynęło tyle lat. Ten stan oczekiwania właśnie się skończył, bo dzisiaj znalazł wejście do tajnego pomieszczenia, w którym broń była przez cały czas przechowywana! W środku pachniało smarem i wszędzie było pełno różnych śladów. Teraz trafił do opuszczonej stodoły, w której tę broń znalazł! Leżała na pace wynajętej ciężarówce. A więc w końcu dopadł Dûvnjaca. Euforia, która go ogarnęła, była silniejsza niż niepokój o brata, który być może jest w tę sprawę zamieszany, i konsekwencje, jakie mogą ich obu spotkać. Ma pewność, że Sama i Dûvnjaca coś łączą, ale nie wie, jak silne są te więzi i w jak dużym stopniu Sam jest we wszystko zamieszany. To dlatego stoi tu w kolejce i cierpliwie czeka, aż starsza pani zapłaci za zakupy, pożegna się i poprosi, aby potrzymać jej drzwi.

W końcu przyszła jego kolej.

– Tankował pan paliwo?

– Nie. Chciałem tylko...

– Ale to pana samochód stoi przy czwartym dystrybutorze?

– ...chciałem tylko potwierdzić, czy...

– No to może kiełbaskę? Albo napój? Mamy niedrogą kawę, a bułeczkę z cynamonem dostanie pan za pół ceny.

– ...czy samochód o numerze rejestracyjnym BGY 397 należy do was?

– Nie rozumiem. Chce pan wynająć samochód?

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy ta ciężarówka należy do was... czy została wynajęta tutaj.

– Tego nie wolno mi powiedzieć.

– Z numeru rejestracyjnego wynika, że tak.

– Chyba sam pan rozumie, że...

Broncks sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął legitymację służbową i położył ją na blacie.

– Niech pan będzie tak miły i odpowie na moje pytanie.

Kasjer spojrzął na Broncksa niechętnym wzrokiem, sięgnął po legitymację, rozłożył ją, sprawdził numer osobowy, dotknął odznaki w prawej przegródce i oddał dokument Bronckowski. Potem otworzył szarą metalową szafkę, która wisiała za nim na ścianie. W środku były klucze wiszące na haczykach. Nad każdym z nich wisiała kartka z wydrukowanym numerem rejestracyjnym.

– Zgadza się. BGY 397 to nasz samochód.

– Kto go wynajął?

– Tego nie wolno mi powiedzieć.

Broncks w końcu wyjął z drugiej kieszeni policyjną odznakę.

– Chyba pan wie, co to za odznaka? Jeśli tak, to ostatni raz grzecznie zapytam, kto ten samochód wynajął.

Kasjer spojrzął na Broncksa, na odznakę i znowu na niego, a następnie na stos papierów leżących w dwóch skrzynkach: oddzielnie dla poczty wychodzącej i oddzielnie dla przychodzącej. Potem znowu spojrzął na człowieka, który twierdził, że jest policjantem, aż w końcu sięgnął po dokumenty leżące na półce, znalazł ten, którego szukał, i przesunął go w stronę Broncksa.

– Lepiej będzie, jak sam pan to przeczyta.

Broncks sięgnął po dokument. Był to formularz umowy wynajmu samochodu zawartej ze stacją benzynową. W górnym rogu znajdowało się jej logo, a cały tekst liczył dwie strony. Na dole pierwszej kartki znajdowały się informacje dotyczące modelu samochodu i numeru rejestracyjnego. Trochę niżej Broncks zobaczył złożony z dziesięciu cyfr numer osobowy, który wydał mu się znajomy. Na samym dole, w wykropkowanej rubryce, ujrzał zapisane czarnym atramentem imię i nazwisko osoby, która wypożyczyła samochód.

Pod spodem widniał własnoręczny podpis Sama.

W lekkich podmuchach wiatru Broncks poczuł słaby zapach spalenizny dobiegający od strony budynku. Przez chwilę miał wrażenie, że sobie tylko wmawia, a zapach jest częścią jego mglistych wspomnień. Ten sam zapach towarzyszył im, gdy mama paliła liście i zeschniętą trawę, a tata wszystkie inne rzeczy, które miały zbyt duże gabaryty, żeby wywozić je na wysypisko śmieci w Strängnäs.

Broncks zatrzymał się z wahaniem przed czerwonym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Na dworze było już ciemno, jak zawsze o tej porze roku. Oświetlił latarką furtkę zamkniętą na haczyk. Żeby trafił na swoje miejsce, musieli zawsze użyć siły.

„Sam Larsen”.

Takie imię i nazwisko widniało na samym dole umowy wynajmu samochodu.

Własnoręczny podpis Sama wiązał go automatycznie z ciężarówką wypełnioną po brzegi bronią. Kiedy przyjdzie pora, żeby aresztować Leo Dūvnjaca, będzie też musiał aresztować jego. Nie powinien mieć z tego tytułu żadnych wyrzutów, ponieważ od dawna nie utrzymują ze sobą kontaktów. Mimo to czuł, jak ogarnia go rozpacz. Uporczywa, krzycząca i klująca, równie silna co nieoczekiwana. Nie wiedział, jaka jest tego przyczyna: niewygasła miłość braterska czy raczej fakt, że to on – rodzony brat – po raz kolejny pozbawi go wolności.

Po wyjeździe ze stacji benzynowej próbował się do niego dodzwonić, ale bez rezultatu. Dlatego gdy był w połowie drogi, tuż za zjazdem z mostu Södertäljebro, zadzwonił do sąsiadki Sama na wyspie. Kobieta poinformowała go, że wprawdzie widziała, jak Sam robił za dnia wiosenne porządki, ale nie potrafiła powiedzieć, gdzie jest w tym momencie. Nie widział go też kapitan promu, który wyświadczył mu przysługę i przewiózł go na wyspę między jednym kursem a drugim.

Wiosenne porządki. To pewnie stąd ten dym.

Broncks stał na wzgórzu, które kończyło się tuż koło jedynego domu, jaki im pozostał. Zszedł na dół i skierował się na tył budynku. W miejscu, w którym ich mama zawsze spalała suche liście i gałęzie z ogrodu, ujrzał stos popiołu pokryty czerwoną, prawie pomarańczową kulą żaru.

W domu panowały ciemności, tak jak na zewnątrz.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz.

– Sam?

Broncks rzucił to pytanie w stronę pustego pokoju. Chciał włączyć górne oświetlenie w kuchni i przedpokoju, ale nie działało, bo elektrownia wyłączyła prąd. W domu panowała całkowita cisza. Nie słuchać było nawet brzęczenia lodówki.

Broncks poświecił sobie latarką i znowu zawołał Sama. Jego głos odbił się od gołych ścian.

– Sam? To ja, John.

Dopiero teraz zrozumiał, co jest nie tak.

Dom był zupełnie pusty.

Z przedpokoju znikły obrazki i wszystkie inne przedmioty. Nie było tam nic – nawet stolika, na którym zazwyczaj leżała czerwona plastikowa łyżka do butów. Została po nim smuga kurzu na podłodze.

Równie pusto było w kuchni.

Znikły składane krzeselka i składany stolik. Na drewnianej podłodze zostały po nich tylko jasne czworokątne ślady.

W małym pokoju dziennym stały kiedyś trójkątny stolik z lat sześćdziesiątych, narożnik, „gruby” telewizor, dwie lampy, fotel i dwuosobowa kanapa z wytartym obiciem po prawej stronie. To tam siadywała mama, gdy oglądała w telewizji wiadomości i rozmowy z udziałem zaproszonych gości. Wszystko to znikło, łącznie z poobdzieranymi tapetami.

Najpierw przyszło mu do głowy niezbyt logiczne wyjaśnienie: Sam opróżnił dom, bo zamierza go sprzedać. Nowy właściciel wstawi do poszczególnych pomieszczeń to, co ma dla niego znaczenie. To on będzie tu żył ze swoją rodziną.

Druga myśl była bardziej konkretna.

Kiedy zobaczył, co Sam spalił w ognisku, od razu zrozumiał. Jego brat pozbył się wszystkich mebli, bo nie chciał tu dłużej mieszkać ze swoimi wspomnieniami. Chciał się ich pozbyć, żeby zostawić je za

sobą.

Wszystkie z wyjątkiem jednego.

W ciemnej sypialni został jeden mebel. Broncks poświęcił sobie latarką.

Łóżko taty.

Promienie światła przesuwają się po gołym materacu. Na środku leżał nóż do oprawiania ryb.

Złamany czubek, poplamione krwią ostrze.

Oczami wyobraźni ujrzał młode umięśnione plecy Sama, który unosi nóż i wiele razy wbija go ojcowi w ciało. Słychać trzask rozrywanych mięśni i zgrzytanie ostrza po żebrach, które stawiają mu opór.

W czasie poprzedniej wizyty Broncks poczuł się niedobrze. Teraz ogarnęła go złość. Długo ją w sobie tłumił i całkiem świadomie wyłączył, żeby nie stała się groźna. Zrobił to, bo złość nie pozwala kontrolować odruchów i prowadzi do zachowań, które trwają chwilę, ale ich konsekwencje są nie do odwrócenia.

Jego brat zostawił w domu nóż, który teraz leży na łóżku.

Broncks wszedł do sypialni i potrząsnął drewnianą ramą. Zabrał z łóżka gruby, brudny i zleżały materac, wyniósł go na dwór i wrzucił do żarzącego się ogniska. Potem wrócił do pokoju, kopniakami rozwalil łóżko na kawałki i też je tam rzucił. Drewno od razu zajęło się ogniem.

W całym domu został tylko nóż. Leżał mu w dłoni jak ułał.

Nad materacem unosiły się snopy iskier, rama łóżka zajęła się ogniem. Broncks wpatrywał się w płomienie i czuł na twarzy ich żar.

Tak właśnie było: on, młodszy brat, poprosił starszego brata, żeby go ratował. Nie żądał od Sama, żeby zadźgał ojca nożem, ale obaj się bali, że wcześniej czy później ich ojciec posunie się za daleko i zabije swojego młodszego syna.

Sam podjął samodzielną decyzję. Postanowił go zamordować.

Wolał zrobić to, niż czekać, aż ojciec zabije jego młodszego brata.

Kiedy było już po wszystkim, on – uratowany młodszy brat – podszedł do zielonego telefonu wiszącego na ścianie i zadzwonił na policję. Wydał swojego rodzzonego brata, nie dał mu szans. Nieświadomie skazał go na dożywocie.

Teraz ten telefon leżał w ognisku. Z popiołu wystawał kawałek słuchawki.

Broncks wiedział, że po tym wszystkim, co się stało, będzie musiał dać Samowi szansę, bo inaczej jego starszy brat spędzi resztę życia w więzieniu.

Zanim zorganizuje akcję w miejscu, gdzie znalazł skrytkę z bronią i zanim aresztuje Sama, musi go znaleźć i porozmawiać z nim. Wyjaśnić, że jutro może być za późno.

Jeśli mimo tego ostrzeżenia Sam się nie wycofa i nie uwierzy, że jego młodszy brat o wszystkim wie, sam wyda na siebie wyrok.

Broncks wiedział, że powinien dać mu szansę na dokonanie wyboru. Jest policjantem, ponosi odpowiedzialność. Jeśli ostatnia droga nawiązania kontaktu z Samem skończy się na tym podwórku z płonącym ogniskiem, w miejscu, z którego nie ma odwrotu, będzie musiał poszukać innego sposobu. Z prośbą o pomoc będzie się musiał zwrócić do pewnej osoby, chociaż kiedyś postanowił, że nigdy więcej nie pozwoli, aby go poniżono.

Mocno zacisnął palce na trzonku noża i wrzucił go do ogniska.

Dość ładna dzielnica willowa wciśnięta między centrum Tallkrogen a hałaśliwą drogę krajową do Nynäshamn. Typowe sztokholmskie przedmieście, gdzie nadal widać ślady osiedlającej się w tym miejscu w latach pięćdziesiątych klasy średniej. Samochody na prawie każdym podjeździe, wypielegnowane, czasem nawet z przesadą ogrody, okna rozjaśnione ciepłym blaskiem lamp. To była ta rzeczywistość, o której Broncks zawsze marzył, w której chciał się zanurzyć, dać się jej opleść. Niestety, to nie dla niego. On nie ma własnego miejsca. Zapomniał, jak się żyje, bo jego drogi zostały wytyczone dawno temu i wszystko leżało przed nim gotowe do wzięcia.

Zadzwoił do drzwi wejściowych z owalną połączoną tabliczką z nazwiskiem AXELSSON. Po naciśnięciu dzwonka rozległ się długi, jednolity, trzykrotny dźwięk.

Czekał, aż ktoś otworzy, ale dość długo nic się nie działo. Zajrzał więc do środka przez kuchenne, jasno oświetlone okno. Na parapecie, obok doniczki z kwiatkiem i figurki porcelanowego kota, stały dwie srebrne świece.

Stos popiołu na podwórzu za domem, w którym spędzili dzieciństwo.

To wszystko.

Tylko tyle po nim zostało.

Na zawsze.

Nie ma już żadnego przesłania.

Broncks próbował się bronić przed nawrotem wspomnień, ale drgawki, które nagle wstrząsnęły całym jego ciałem, były nie do powstrzymania. Poczul chłód i samotność, jak nigdy przedtem.

Jego brat zastosował taktykę spalonej ziemi. Polega ona na tym, aby zniszczyć wszystko co się da, zdemoralizować ludzi, zatruć wodę w studniach i wszystko, co nadaje się do zjedzenia, a pozostawić tylko to, co może przeciwnika osłabić. Pozostawić na łóżku nóż do sprawiania ryb.

Okazywać niechęć wobec młodszego brata. Broncks nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego Sam uznał go kiedyś za wroga i nadal go tak traktuje, i dlaczego darzy go nieuzasadnioną nienawiścią.

Znowu poczul drżenie. Tym razem w całej klatce piersiowej.

Sam już tyle razy chciał się go wyrzec, ale najwidoczniej mu to nie wystarczyło.

Broncks wiedział jedno: że muszą się jeszcze raz spotkać. Da mu możliwość wyboru, a potem nie pozostanie mu nic innego, jak tylko ponownie zadzwonić do tych drzwi.

Nagle usłyszał za sobą słabe dźwięki przypominające kroki.

Niewielkie okienko w drzwiach na moment pociemniało, a po chwili ktoś przekreślił klucz w zamku.

W progu stanęła kobieta o rudych kręconych włosach i czujnych oczach.

– Dzień dobry. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze. Nazywam się John Broncks i jestem...

– Wiem, kim pan jest i gdzie pan pracuje. Pamiętam pana z procesu.

Głos kobiety nie zawierał oskarżycielskich tonów. Po prostu stwierdziła fakt.

– Faktycznie, jest już późno. Czego pan chce?

Broncks chciał powiedzieć, że też ją zapamiętał, bo każdego dnia procesu siadała z przodu i słuchała w milczeniu wystąpień prokuratora, który odczytywał zarzuty wobec jej trzech synów. Chciał też dodać, że często obserwował członków rodzin oskarżonych, jak siadali w pierwszym rzędzie, żeby nikt się na nich nie gapił z ciekawością. Czuli się pewniej, gdy wścibskie spojrzenia zatrzymywały się na ich plecach.

– Szukam pani syna, Leo. Jest zameldowany pod tym adresem.

– Nie ma go w domu.

– W takim razie chciałbym poprosić panią o pomoc. Proszę do niego zadzwonić... bo zakładam, że ma pani numer jego telefonu? Proszę mu przekazać, że chciałbym z nim porozmawiać.

Kobieta nadal trzymała dłoń na klamce i spoglądała na niego pozbawionym emocji wzrokiem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie podoba mi się pańska wizyta w moim domu, ale nie wyprowadzi mnie pan z równowagi, bo jeśli pan przeszedł w życiu tyle co ja, to dobrze pan wie, że nic i nikt nie jest w stanie mną wstrząsnąć”. A może to tylko maska? Może dlatego siadała zawsze z przodu? Może po to, aby po rozstaniu z mężem, który ją bił, a nawet usiłował zabić, nie musiała zmagać się ze

świadomością, że jej synowie są groźnymi przestępcami i niedługo trafią na wiele lat do więzienia? Tak to właśnie jest: jeśli ktoś nie rozumie reakcji innych osób i nie wystawia się na oskarżające spojrzenia, nie upada, ale także nie obraża się na innych.

– Przyszliście tu wczoraj w porze obiadu, to był jego drugi dzień na wolności. Zabraliście go na przesłuchanie, a przy okazji przewróciliście mi dom do góry nogami. Pytam więc, o co chodzi? Czy mój syn jest o coś podejrzany?

Kobieta znowu zareagowała jak przed chwilą. Nie krzyczała, nie zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem i nawet nie zażądała, aby okazał legitymację służbową i odznakę. Po prostu spoglądała na niego i rzeczowym tonem starała się ustalić, co się stało.

Nie zamierzała upaść.

– Gdybym chciał zatrzymać pani syna, nie przyszedłbym tu sam. Ten dom zostałby otoczony przez uzbrojonych policjantów, których wysłaliśmy do unieszkodliwiania przestępców uznanych przez nas za bardzo groźnych. Łatwo się więc domyślić, że żadne formalne śledztwo nie zostało jeszcze wszczęte. Ale ja nie przyszedłem do pani jako policjant, tylko jako osoba prywatna.

Początek kwietnia, późny wieczór. Dość chłodna pora dnia dla kogoś, kto stoi w drzwiach w cienkim ubraniu. Broncks był jednak pewien, że to nie z powodu zimna kobieta skrzyżowała ręce na piersi.

– Osoba prywatna? W takim razie już zupełnie nie rozumiem, po co miałabym się z nim kontaktować. Chyba nie staliście się nagle bliskimi przyjaciółmi?

Broncks spojrział na nią i od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

Na tak postawione pytanie nie było dobrej odpowiedzi.

Nie przyszedł do niej z powodu jej najstarszego syna, tylko ze względu na swojego starszego brata. Jedyne żyjącego członka swojej rodziny.

Miał jeszcze cień nadziei, że Sam nie ma nic wspólnego z napadem na konwój, że zdoła do niego jakoś dotrzeć i przeszkodzić mu we wspólnej z Důvnjakiem transakcji sprzedaży broni, że nie dopuści, aby jego starszy brat dostał dożywocie.

– To prawda. Przy okazji... czy mogę mówić do pani Britt-Marie? A wracając do rozmowy: jeśli nie uda mi się nawiązać z nim kontaktu, jeśli ze sobą nie porozmawiamy i czegoś nie uzgodnimy, to obawiam się, że nieprzyjemne uczucie, którego doznała pani podczas wczorajszego przeszukania domu, gdy jeszcze nie było mowy o jakichkolwiek podejrzeniach, wkrótce zamieni się w prawdziwe piekło. Stanie się tak, gdy pani syn popełni przestępstwo, które zaplanował. Wiemy o tym z całą pewnością.

– Nie, nie może mi pan mówić po imieniu. Aż tak dobrze się nie znamy. Gdyby mnie pan znał, łatwo by się pan domyślił, że nie będę mogła pomóc. Jestem jego matką. Nie przyłożę ręki do jego aresztowania.

– Mnie nie chodzi o pomoc przy aresztowaniu. Wprost przeciwnie: zależy mi na tym, żeby do tego nie dopuścić.

Broncks znowu skłamał. Zasugerował, że chodzi mu o jej syna, podczas gdy okłamał ją ze względu na Sama, tak jak niedawno okłamał inną mądrą kobietę, a przy okazji zdolną policjantkę. Gardził sobą tak silnie, że wolałby nigdy więcej nie doznać takiego uczucia.

– Proszę... Britt-Marie... niech mi pani zaufa.

– Nie mogę, bo nie wiem, w jakim celu pan do mnie przyszedł.

– W jakim celu?

– Każdy ma zawsze jakiś cel.

Rozpacz to siła, która wypacza zamiary. Przecież w tych drzwiach mogłaby stać jego własna matka, żeby chronić Sama albo jego. Niestety, nie ma innego wyjścia. Musi wykorzystać jej synów, chociaż bardzo chciałby tego uniknąć. Jakoś do niej dotrze, a ona skontaktuje się z Leo.

– W sprawę zamieszanych jest więcej osób.

– Jakich osób?

– Leo zamierza wciągnąć w przestępstwo swoich młodszych braci, chociaż sobie na to nie zasłużyli. Wcześniej też to robił. Chce pani, żeby znowu do tego doszło?

– Ma pan na myśli Felixa?

Broncks dostrzegł, jak jego własna rozpacz staje się stopniowo jej rozpaczą. Czuł też, że coraz bardziej sobą pogardza.

– Chodzi panu o Felixa? A może... nie... ja ... może o Vincenta? Czy Leo...

– Tu nie chodzi tylko o jednego z nich, Britt-Marie. Więcej nie wolno mi powiedzieć.

Broncks z trudem się powstrzymywał, żeby nie krzyknąć: „Tu chodzi o mojego własnego brata”. Chciał to zrobić, ale nie mógł. W pewnej chwili zauważył to, na co czekał: jej niewzruszona twarz zaczęła się zmieniać, kobieta traciła siły i powoli się załamywała. Być może udało mu się przebić przez skorupę, która ją chroniła.

– Niech pani do niego zadzwoni.

Broncks podał jej swój telefon.

– Proszę zadzwonić.

– Nie.

Britt-Marie była całkiem bezradna, ale jeszcze na tyle silna, żeby pokręcić przecząco głową.

– Proszę mnie posłuchać. Musi pani...

– Nie słyszał pan, co powiedziałam?

I nagle krzyknęła:

– Vincent już nigdy więcej nie popełni żadnego przestępstwa! Wiem o tym! Jestem jego matką i czuję to!

Jej słowa wydobyły się z trzewi, przemknęły przez klatkę piersiową, minęły Broncksa i ucichły gdzieś w głębi osiedla.

– Więc nie zadzwonię do niego tylko dlatego, że pan tak chce!

Britt-Marie uniosła obie ręce i skierowała je w stronę podjazdu przed garażem i oświetlonej uliczki, która do niego prowadziła.

– Czy może pan stąd wyjść?

Tym razem to nie był krzyk, tylko cichy, ostry ton.

– A może pan woli, żebym zadzwoniła do któregoś z policjantów, którzy są teraz na służbie?

Leo miał mieszane uczucia, gdy po dwugodzinnej bezsensownej jeździe po pustych lokalnych drogach i po być może pierwszej w pełni sensownej rozmowie z ojcem wysadził go w końcu przed Dravą. Czuł, że nie jest sobą, co bardzo mu się nie podobało. Żeby plan się powiódł, musi usunąć wszelkie przeszkody, które staną mu na drodze. Mieszane uczucia wcale w tym nie pomogą. Z jednej strony odczuwał zadowolenie, bo Broncks dał się złapać na haczyk, podobnie jak ojciec. Kiedy jednak siedząc za kierownicą, wpatrywał się w okno restauracji, poczuł się paskudnie. Jego ojciec, który lekkim krokiem podszedł do barku, zamienił kilka słów z właścicielem i tuż przed zamknięciem lokalu zamówił kubek kawy, wyglądał na bardzo... zadowolonego. Po rozmowie z synem tryskał nadzieją, której on już wkrótce go pozbawi.

Paskudne uczucie.

To tak jak wtedy, gdy ojciec wzbudzał w nich jakąś nadzieję, a potem im ją odbierał.

Żeby plan się udał, Broncks musi się znaleźć kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym on, Leo Důvnjac, jutro go obrobi.

Ojciec będzie bardzo rozczarowany, poczuje się urażony. Czekają ich jeszcze jedna rozmowa, a potem nie będzie mu już do niczego potrzebny. Cała sprawa nie będzie też miała dla niego żadnych skutków prawnych, bo kiedy będzie już po wszystkim, ojciec zrozumie, że został zredukowany do roli pionka w grze, o prowadzenie której tak bardzo podejrzewał swojego syna podczas rozmowy w stodole.

Ivan Důvnjac roześmiał się głośno w odpowiedzi na jakąś uwagę rzuconą przez właściciela lokalu. Zrobił to w tym samym momencie, w którym Leo przestał go obserwować, zawrócił, przejechał ciągną linię i skręcił za róg, w Ringvägen, a potem w tunel prowadzący bezpośrednio do garażu pod dużym hotelem. Czekają tam na niego Sam. Razem pojedą starym mostem Skanstullsbron do mieszkania, które w Gamla Sickla załatwił im Sullo. Muszą poczynić ostatnie przygotowania. Nagle w kieszeni kurtki poczuł wibrowanie telefonu – tego z numerem, który znało tylko kilka osób. Spojrzyła na wyświetlacz. Mama. To jej numer domowy. Postanowił nie odbierać, bo nie chciał się z nią żegnać. Uznał, że łatwiej mu będzie, jeśli po prostu zniknie. Z drugiej strony nie chciał jej niepokoić...

– Cześć, mammo.

Jeśli zdecydowała się zadzwonić pod ten numer, to znaczy, że sprawa jest ważna.

– Leo, to ja. Możesz rozmawiać?

– Tak, mogę.

– Przed chwilą...

Leo domyślił się, że jego matka nie zadzwoniła ze strachu. Jej głos brzmiał inaczej. Była raczej oburzona, a może nawet zła.

– ...przed chwilą był u mnie policjant. Powiedział, że nazywa się John Broncks. Od razu go poznałam. To na pewno był on.

„Broncks?”

– Powiedział, że musi z tobą natychmiast porozmawiać. Osobiście.

„Przed chwilą?”

– Chce się z tobą dogadać, żebyś nie wciągał w swoje sprawy innych osób. Innych braci, tak się wyraził.

„U niej? W domu?”

– Powiedział: braci. Nie mam pojęcia, kogo miał na myśli... Felixa, a może Vincenta? Ale ty się pewnie domyślasz?

„Broncks! Przed chwilą! U niej!”

– Zajmę się tym. Nie ma powodów do niepokoju.

Leo się rozłączył. Niech to szlag! Czy musiał z nią rozmawiać takim tonem? Przecież to ich ostatnia rozmowa.

– Twoja matka?

Sam się uśmiechnął, ale Leo zachował kamienną twarz.

– Nie. Twój pieprzony brat gliniarz.

Kiedy Leo zreferował mu treść tej krótkiej rozmowy, Sam zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle jej nie słyszał, i po każdym słowie coraz bardziej się wyłączał.

– Ja i John jesteśmy ostatnimi żyjącymi członkami naszej rodziny. Rozumiesz to? Jedydami.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby Sam się z nim żegnał.

– Ale dla mnie to bez znaczenia. Traktuj go jak przeciwnika. Tak go postrzegam od wielu lat.

Jak gdyby rozmawiali o kimś, kto nie istnieje.

– Przeciwnik, a przy okazji ostatni członek naszej rodziny. Tym właśnie jest.

Kiedy na Gullmarsplan zapaliło się zielone światło, skręcili w lewo. Pojechali Hammarbyvägen, minęli siedzibę organizacji Fryshuset i stację benzynową Statoil. W pewnej chwili Leo uświadomił sobie, że to właśnie Sam jest najbliższą mu osobą. Miał też nadzieję, że dla Sama on również jest kimś najważniejszym – on, a nie Broncks. Już wkrótce wspólnie wkroczą w następny etap życia, w którym nikt inny nie będzie im towarzyszył. Tyle że Sam o czymś zapomniał – bez względu na to, jak bardzo się starał usunąć Broncksa ze swojej rzeczywistości, Broncks najwidoczniej nie zamierzał się odwzajemniać tym samym. Sam nie potrafił tego rozsądnie wyjaśnić. Być może Broncks liczył na coś w rodzaju pojednania... że niby ostrzeże go przed aresztowaniem, które zbliżało się wielkimi krokami. A gdy przyjdzie już co do czego, gdy policja otoczy stodołę, Broncks weźmie na muszkę jego, a Samowi pozwoli uciec.

Leo wyjął z kieszeni telefon.

Po rozmowie z matką czuł się fatalnie.

Odebrała od razu.

– To ty, Leo?

– Tak. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro rano wpadnę do ciebie. Chcę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Leo wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Razem z nim trafiły tam słowa, których nie był w stanie wypowiedzieć.

Że chce się z nią na zawsze pożegnać.

Zbliżali się do Gamla Sickla. Sullo załatwił im mieszkanie w Tallbacken, w budynku numer dwadzieścia pięć. Leo wjechał między dwa stojące samochody i zaparkował, ale został za kierownicą. Sam otworzył drzwi i wysiadł z wozu.

– Niedługo wrócę. Muszę jeszcze załatwić coś, co jest związane z naszymi jutrzejszymi planami. Tak jak ty muszę coś wykasować z mojego systemu.

Skinął Samowi głowę i zjechał w dół. Na Södermalm i Högalidsgatan miał niedaleko. Najwyżej kwadrans.

„Broncks, właśnie dzisiaj popełniłeś fatalny błąd”.

Złość, która go przepelniała, powoli przeszła we wściekłość. Na dzień przed skokiem wolał jej nie uzewnętrzniać przed Samem. Musi się wziąć w garść, zapanować nad uczuciami, bo nie był w stanie ich kontrolować.

„Wmieszałeś w nasze sprawy moją rodzinę”.

Wściekłość wprost go rozsadała. Zaczął głośno krzyczeć. Na szczęście nikt go nie słyszał, bo karoseria tłumiła dźwięki.

„Groziłeś, że bez wahania zniszczysz przyszłość moich braci”.

Leo znowu krzyknął, a ponieważ okna były szczelnie zamknięte, jego frustracja pozostała w samochodzie.

Co za piękne uczucie.

Prawie.

Tam.

Gdyby popchnął lekko zderzakiem samochód stojący przed nim, a potem lekko uderzył ten z tyłu, mógłby bez problemu wcisnąć swój wóz w jedyne, jak mu się wydawało, wolne miejsce parkingowe na całym Södermalmie. Za każdym razem kiedy do domu wracał przed północą i szukał miejsca, musiał krążyć po wyludnionych, zastawionych samochodami ulicach. Ostatni skrawek wolnego asfaltu znalazł na końcu Lundagatan. Wysiadł z samochodu i ruszył do domu. Po drodze minął słynną posiadłość Ekermanska Malmgården, skręcił w Varvsgatan i zszedł po schodach, żeby wyjść na Högalidsgatan. W tym momencie pojawiły się pierwsze objawy zmęczenia. Wprost marzył, żeby się wyspać. Wystarczy jedna spokojnie przespana noc i następnego dnia przystąpi do pracy z nowymi siłami.

Minął słynną posiadłość, która po dwustu latach użytkowania zamieniła się w jeden długi budynek z dużą liczbą mieszkań zbudowanych na początku dwudziestego wieku. Na dworze panowały ciemności, ulica była słabo oświetlona. Broncks zauważył to dopiero w chwili, gdy stanął przed wejściem do budynku. Tak jakby ktoś celowo wyłączył wszystkie latarnie. Tylko od potężnej bryły kościoła po drugiej stronie ulicy bił snop światła. Jego dwie wieże rzucały długie cienie, jak gdyby trzymały tu straż. W pewnej chwili rozległy się trzy głuche uderzenia kościelnych dzwonów. Za kwadrans jedenasta. Kiedy się tu wprowadził, częste bicie dzwonów doprowadzało go do szału. Cztery razy na godzinę! Cakkiem nieświadomie krążył wtedy po mieszkaniu, odliczając czas do kolejnego uderzenia. Teraz nawet lubi te regularne dźwięki. Dumna budowla się nie poddaje: nadal stoi w samym centrum wielkiego miasta i co kwadrans oznajmia, że życie toczy się jak zawsze.

Ale tym razem było inaczej.

Rozpacz, która stopniowo przechodziła w pogardę dla samego siebie, coraz bardziej mu doskwierała. Zaczął się bać, że w jakimś momencie może się posunąć za daleko. A może już to zrobił? Przecież nie jest zbyt łatwy w pożyciu i nie należy do osób, przed którymi inni otwierają swoje serca. Mimo to zawsze miał jakiś wewnętrzny moralny kompas, który wskazywał mu właściwy kierunek. Tym razem ten kompas nie zadziałał. Czuł się tak, jak gdyby trafił między dwa silne pola magnetyczne – Leo Dûvnjaca i Sama – przez co igła kompasu zatrzymała się, potem zaczęła skakać z jednej strony na drugą, a w końcu zmiażdżyła... jego. Co on wyprawia? Odwiedza ludzi i udaje, że robi to prywatnie? Okłamuje ich? Rani i obraża, a nawet im grozi? I robi to wszystko z pobudek osobistych? Czy Sam jest tego wart? Przecież nawet nie chce utrzymywać z nim kontaktów. Czy jest tego wart bez względu na to, kto i dlaczego użył wtedy tamtego noża do ryb?

Broncks nie miał na te pytania gotowych odpowiedzi. Z wyjątkiem jednej sprawy: wiedział, że takim człowiekiem nie będzie umiał zbyt długo być.

Dopiero kiedy się wyjął pęk kluczy i zaczęła szukać tego jednego, który chciał włożyć do zamka, zauważył, że latarnia, zawsze oświetlająca wejście do budynku, jest uszkodzona.

Zamarł.

Ogarnęło go niemiłe przecucie, że nie jest sam. Jak gdyby ktoś szybko przemknął w jego stronę i stanął za nim.

– Ani ty, ani ja już nigdy nie będziemy osobami prywatnymi.

Broncks od razu rozpoznał ten głos.

Zerknął na szybę w drzwiach wejściowych i na widoczne w niej odbicie.

Tak, to był Leo Dûvnjac.

– Następnym razem, glino, jak będziesz chciał porozmawiać z kimś z mojej rodziny, zrób to służbowo, jako policjant.

„A więc jednak cię znalazłem. Ale to ty wybrałeś miejsce”.

Broncks powoli się odwrócił. Nie wykonał przy tym żadnego zbędnego ruchu, który Dûvnjac mógłby fałszywie zinterpretować. Jeśli przeciwnika ma się za plecami, sprawa jest oczywista: to on ma przewagę.

– Właśnie to próbowałem zrobić wczoraj w pokoju przesłuchań, ale ty uczyniłeś z tego prywatną sprawę. To ty, Leo, z własnej inicjatywy postanowiłeś wykorzystać naszą wspólną historię, to znaczący mój i Sama, przeciwko mnie.

– Z własnej inicjatywy? Przecież on sam postanowił opowiedzieć mi o wszystkim w zaufaniu. Takie rzeczy robi się tylko wtedy, gdy się komuś ufa.

Potem wszystko potoczyło się w szybkim tempie.

Dûvnjac sięgnął ręką za plecy, wyjął zza pasa pistolet i przyłożył go Bronckowski do lewej skroni.

– Widzisz? Tak wygląda mój pokój przesłuchań. To, co zrobiłeś dziś wieczorem, nie miało z nim nic wspólnego: nachodziłeś moją matkę, przestraszyłeś ją i próbowałeś jej wmówić, że zamierzam wciągnąć moich braci w to, czym się teraz zajmuję. Na dodatek zachowałeś się jak jakiś pieprzony przebieraniec!

Chociaż Leo dość mocno przyciskał wylot metalowej lufy do skroni Broncksa, ten nie czuł ani strachu, ani przerażenia.

– Nie rozumiem twojego pytania, Leo. Chyba wolno mi cię tak nazywać? Twojej matce bardzo się nie spodobało, że zwracałem się do niej po imieniu. Może ty jesteś taki sam? A twojego pytania nie rozumiem, bo po prostu o nic mnie nie pytałeś.

Pustka. Nic więcej.

Bronckowski miał w głowie całkowitą pustkę. Wpatrywał się w oczy, które zdawały się nie mieć żadnego związku z ruchem. Szybko się domyślił, że Dûvnjac nie zjawił się tu po to, żeby wykonać na nim wyrok. Z jego strony była to tylko groźba.

– Po to jest pokój przesłuchań. Zadajemy w nim pytania, żeby otrzymać na nie odpowiedzi. A może chciałbyś usłyszeć, dlaczego odwiedziłem twoją mamusię?

Bronckowski poczuł, że lufa jeszcze mocniej wbiła mu się w skroń. Metal, który przed chwilą tylko go uciskał, teraz prawie wwiercał mu się w głowę. Po policzku spływała mu strużka krwi.

– Coś ty powiedział? Jak ją nazwałeś?

– To była moja odpowiedź na pytanie, którego mi nie zadałeś. Odwiedziłem twoją matkę, żeby za jej pośrednictwem skontaktować się z tobą.

Bronckowski poczuł, że ucisk na skroń zelżał. A przecież jeszcze kilka sekund wcześniej groziła mu śmierć. Wystarczyło tylko, żeby Leo pociągnął za spust. To raptem kilka milimetrów.

W końcu Leo opuścił rękę, w której trzymał broń.

– Tym razem ci się udało, glino. Ale jeśli jeszcze raz spróbujesz się ze mną skontaktować, nie będę się już bawił w przykładanie ci lufy do skroni, tylko cię po prostu zastrzelę.

Leo uśmiechnął się do Broncksa, odwrócił się i ruszył w głąb ulicy.

– Na pewno wiesz, gdzie jest Sam!

Słowa rzucone przez Broncksa dosięgły Dûvnjaca w chwili, gdy był już prawie po drugiej stronie ulicy.

– Muszę się z nim pilnie skontaktować!

Leo stanął na środku ulicy, a potem odwrócił się do niego.

– Spierdalaj, glino!

Po czym znowu się uśmiechnął i ruszył w swoją stronę.

– Zadzwoń do niego! Powiedz mu, że...

Bronckowski dokończył zdanie, chociaż Leo był już odwrócony do niego plecami.

– ...musimy się spotkać!

Bronckowski ruszył za Dûvnjakiem i po chwili zrównał się z nim. Szli obok siebie ulicą Långholmsgatan.

– Zadzwoń do niego! Słyszysz? Pomóż mi się z nim spotkać!

– Człowieku, o czym ty bredzisz? Po jaką cholere miałbym ci pomagać?

Bronckowski zdążył już zauważyć, że stracił nad sobą kontrolę. Rozpacz w połączeniu z pogardą dla samego siebie zamienia się w desperację. Mało brakowało, a wprost by to powiedział, a może nawet wykrzyczał.

„Masz mi pomóc, bo nie wiesz, że ja wiem, gdzie trzymasz tę swoją broń. Wiem też, gdzie chcesz jej użyć”.

Ale Bronckowski ani nie powiedział, ani nie wykrzyczał, dlatego tak bardzo zależy mu na rozmowie z Samem i dlatego od tyłu minut poniża się przed tym bandziorem.

„I tak cię dopadnę, gnojku. A jak zamknę cię, będę też musiał zamknąć mojego brata”.

– Widzę, glino, że jednak nie znasz własnego brata.

Bronckowski prawie się potknął o krawężnik.

Poczuł dławienie w gardle. A jednak: znowu zaczął krzyczeć.

– Nie znasz go tak dobrze jak ja. Gdybyś go znał, wiedziałabyś, że wolałby dostać kulkę, niż znowu trafić za kraty.

Doszli do skrzyżowania, na którym kończyła się Högalidsgatan i zaczynała Långholmsgatan. Leo skręcił w lewo i ruszył w kierunku placu Hornsplan. Broncks zrobił to samo. Szedł obok człowieka, którego nienawidził z całego serca i który obdarzał go taką samą nienawiścią.

– No dobrze. W takim razie powiem to inaczej.

Znaleźli się w miejscu, w którym oprócz nich było jeszcze trochę innych ludzi. Broncks poczuł na sobie ich uważne spojrzenia. Powinien ściszyć głos, ale nie zrobił tego.

– Posłuchaj mnie: jeśli nie zależy ci na losie mojego brata, to rozumiem, że los twoich braci też jest ci obojętny?

Leo dopiero po tych słowach się zatrzymał.

Broncks zrobił to samo.

– Co chcesz przez to powiedzieć, glino?

Na asfalt padał snop światła z jedynej ulicznej latarni, która nie była uszkodzona. Leo i Broncks zatrzymali się dokładnie na granicy światła i mroku i stali w milczeniu i bezruchu. Może dlatego, że przed chwilą Leo tylko groził Bronckowski, a następnym razem będzie musiał pociągnąć za spust? A może Broncks już za chwilę posunie się naprawdę za daleko i przekroczy granicę swoich kompetencji?

– Co chcę przez to powiedzieć? Przesuń się trochę dalej i stań w świetle latarni, żebym cię mógł zobaczyć. Dopiero wtedy ci powiem, o co mi chodzi.

Broncks wykonał zdecydowany krok do przodu i znalazł się w strefie blasku rzucanego przez latarnię. Potem wskazał ręką na asfalt.

– Stań tutaj, pod latarnią!

– Wiesz co, Broncks? Wydawało mi się, że została ci jeszcze jakaś resztką godności... idź do domu i prześpij się.

– Stań tutaj, gnojku!

– No proszę, jaki dzielny policjant. Wracaj do domu i zachowaj siły na inną okazję, bo obiecuję, że jeszcze cię odwiedzę. Nawet nie będziesz się spodziewał. Zrobię to wtedy, gdy ci odbiorę to, z czego jesteś najbardziej dumny.

Przez chwilę mu się wydawało, że Dúvnjac się roześmiał. Tymczasem usłyszał odgłos oddalających się kroków, a po chwili Dúvnjac zniknął w ciemnościach.

– Sam tego chciałeś, Leo! To twój wybór!

Broncks przestał się przejmować ludźmi stojącymi na ulicy i zawołał na cały głos:

– I zapamiętaj sobie jedną rzecz: jeśli wciągniesz w swoje sprawy mojego brata, ja zrobię to samo z twoim.

Za oknem zapadła noc.

Elisa krążyła od regału na książki do okna i z powrotem.

W swojej pracy kierowała się pewnymi zasadami. Dzięki nim stała się lepszą policjantką. Za to w życiu prywatnym istniała tylko jedna zasada – nigdy więcej nie wracać do konfliktów. Kobiety i mężczyźni, którzy byli ze sobą blisko i tej bliskości nadużyli, następnym razem znowu zranią – tym razem głębiej.

To prawdopodobnie bardziej ludzka zasada niż ta, która dotyczy kalekich relacji. Dlatego łatwiej byłoby ją przenieść do życia zawodowego, w którym i tak miała uporządkowany zbiór zasad. Tutaj też pasował.

Broncks tej zasady nie znał.

To dlatego w chwili gdy zegar na wieży kościoła wybił trzy kwadranse, Elisa nadal krążyła po swoim pokoju, zachowując się jak stereotypowy policjant. A przecież kiedyś sobie obiecała, że nigdy taka nie będzie. Nie utrzymuje bliskich kontaktów z tymi, których lubi, i nawet kiedy śpi, nie może się pozbyć myśli o śledztwie. Zachowuje się tak, bo różnica jest zasadnicza. Tu już nie chodzi wyłącznie o jakiegoś gnojka z kryminalną przeszłością, który powinien trafić za kraty. Tym razem problemem stał się jej kolega z pracy.

Zrobiła kolejną rundę od regału do okna, ale tym razem dodatkowo obeszła biurko wraz z leżącymi na nim trzema stosami dokumentów stanowiących zaczątek prowadzonych śledztw. Coraz mocniej czuła, jak rośnie w niej frustracja, jak ją dopada i naśmiewa się z niej. Alibi. Obaj mają żelazne alibi. Niestety. Podczas przesłuchania Leo Dûvnjac spoglądał na nią z diabolicznym uśmieszkiem na twarzy, który tworzył pewną dysharmonię. To właśnie tam i wtedy po raz pierwszy usłyszała jego przewrotny ton, którego nadal nie potrafi zrozumieć.

LD: Rozmawiałem właśnie z twoją marionetką o tym, jak dobrze ludzie znają swoich sąsiadów z korytarza.

Elisa zatrzymała się po lewej stronie biurka przy stosie akt, które nazywała „Uderzyłeś pierwszy, gnojku”. Był wśród nich wydruk protokołu przesłuchania, któremu poddała Leo Dûvnjaca. Tak naprawdę to Broncks go przesłuchiwał.

LD: Poznałem kiedyś pewnego więźnia... wyobraź sobie, że mi opowiedział, jak w domku letniskowym zadźgał nożem swojego ojca.

Elisa ponownie zagłębiła się w lekturę akt. Przypomniała sobie, jak Dûvnjac pukał palcami w obiektyw kamery, uderzył dłonią w mikrofon i odwrócił się w stronę Broncksa, który siedział w sąsiednim pokoju i przysłuchiwał się ich rozmowie.

LD: Dwadzieścia siedem pchnięć zadanych własnemu ojcu w klatkę piersiową.

W pewnym momencie Broncks wpadł do pokoju i przerwał przesłuchanie. Dûvnjac zdołał go sprowokować. Kilka razy pytała kolegę, co się wtedy stało i co Dûvnjac miał na myśli. Za każdym razem zbywał ją milczącym uśmiechem.

Wprawdzie nie lubi działać na podstawie instynktu, ale wydruk przesłuchania zawierał same suche fakty.

Broncks coś ukrywa, a jej rola polega na tym, żeby takie tajemnice wyjaśniać.

Kiedy robiła kolejną rundę po pokoju, poczuła, że złość w niej powoli opada. Zawsze tak jest, gdy wie, w którą stronę powinna się zwrócić. Od tej pory będzie musiała uważniej przyglądać się temu, co robi Broncks, bo jej kolega nie przestrzega zasad. Reguła mówiąca o tym, że nigdy nie wolno wracać do konfliktu, dla każdego policjanta oznacza mniej więcej to samo, co nigdy nie aresztować tej samej osoby dwa razy. Zwłaszcza po tym, gdy wcześniej poddało się ją śledztwu po serii napadów na banki, a potem spędziło z nią kilka miesięcy w pokoju przesłuchań. W takim przypadku między przesłuchiwanym a przesłuchującym tworzy się pewna specyficzna relacja. Policjant przestaje być obiektywny. Ty (policjant) i on (przestępca) dotykacie się i któryś z was w końcu nadużyje tej bliskości.

Elisa znowu zatrzymała się przy stosie akt.

W rubryce „Podejrzany”, gdzie figurowało nazwisko Důvnjac, dopisała ołówkiem słowo „Broncks”. Potem przełożyła dokument na stos o nazwie „Spieprzyłeś to” – ten, który leżał na środku biurka.

Będzie tam leżał do momentu, aż uda jej się wyjaśnić, dlaczego podczas tamtego przesłuchania Broncks zachował się tak dziwnie. A jeśli odmówi jej wyjaśnień, rano spotka się z kimś, kto zna prawdę: z Leo Důvnjakiem.

Pożegnanie.

Leo nigdy przedtem nie zastanawiał się nad znaczeniem tego słowa. Było takie przestarzałe, górnotłone, zdystansowane. Mimo to przyszedł, żeby się pożegnać. Jednak tym razem nie powie „No to cześć” albo „Na razie”. Musi zamknąć za sobą wszystkie drzwi. Żadne z nich nie mogą pozostać otwarte.

Musi się pożegnać – na zawsze.

Włożył klucz do zamka. Zdążył go przekręcić do połowy i nagle coś sobie przypomniał. Stał na schodach, na których przed kilkoma godzinami zjawił się Broncks, żeby zakłócić spokój jego rodziny. Spojrzał na zamknięte drzwi wejściowe i szybko przebiegł w myślach wszystkie osiem punktów, które składały się na ostatni etap planu. Za kilka godzin przystąpi do realizacji tej części, której nadał roboczy tytuł „Komenda policji”. Ostatni z ośmiu punktów obejmuje wyjazd z kraju. Punktualnie o dziesiętnastej. Pierwszy punkt to „Pożegnanie”, bez względu na to, jak paskudnie się z tym czuje. Tylko pod tym warunkiem zneutralizuje wszystkie ewentualne przeszkody. Musi po prostu wejść do środka i o niczym innym nie myśleć. W głowie powinien mieć tylko jedną rzecz: że zamierza zabrać to, czego nie ma.

Podczas poprzednich skoków na bank nigdy nie miał problemu ze sforsowaniem drzwi wejściowych. Potem za pomocą broni zmuszał obcych ludzi do posłuszeństwa. Nigdy się nie zawahał ani nie zastanawiał się nad tym, że ryzykuje albo że ktoś inny skieruje w jego stronę wylot lufy.

Ale stanie pod tymi drzwiami to coś zupełnie innego.

Za chwilę je otworzy i spotka się z osobą, która w jego dawnym świecie była miłością i dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Ta osoba nawet się nie domyśli, że widzą się ostatni raz.

Leo spojrzął na Sama, który czekał w samochodzie zaparkowanym na podjeździe, wziął głęboki oddech, przekręcił klucz do końca i otworzył drzwi. W przedpokoju i w kuchni paliło się światło i chociaż była jeszcze wczesna pora, w nozdrza uderzył go zapach świeżo parzonej kawy. Kiedy byli mali, ich mama pakowała wieczorem jedzenie do pudełka i jechała do domu opieki w Sköndal. Przez całą noc czuwała nad niepełnosprawnymi, a spać kładła się rano, gdy jej trzej synowie wyszli do szkoły. Teraz pracuje tylko w dzień.

Leo usłyszał szelest gazety. Dawniej ich mama nie była taka samotna.

– Cześć, mamo.

Britt-Marie siedziała przy sosnowym stole, tuż przy oknie i kaloryferze. Leo przypomniał sobie, że to jej stałe miejsce. Na blacie stał talerz z resztkami kaszy jęczmiennej i mrożonych jagód. Britt-Marie była już ubrana. Na nosie miała czerwone okulary do czytania, które na jego widok zdjęła.

– Leo? Nie słyszałam, jak wszedłeś.

Na blacie stał letni ekspres do kawy. Leo nalał sobie pół kubka.

– Mogę wypić resztę?

– Proszę. Ja i tak za kilka minut wychodzę.

– W takim razie pójdziemy razem. Mam coś do załatwienia.

Leo oparł się o szafkę. Kiedyś często tam stał, popijając kawę w biegu. Teraz było inaczej: brzegi szafek wrzynały mu się głęboko w plecy.

– Mamo...

– Tak?

– Przepraszam za to, co się wczoraj wydarzyło. Chodzi mi o tego durnia, który cię tak przestraszył.

Britt-Marie złożyła okulary i schowała je ostrożnie do futerału. Zebrała ze stołu okruszki i wrzuciła je na talerzyk.

– Wcale mnie nie przestraszył. Ale całe zdarzenie mnie zastanowiło.

– Nie musisz sobie zaprzątać nim głowy. Ten gliniarz bredził nie wiadomo o czym. Słyszysz, co mówię? Nie ma powodu do niepokoju.

Britt-Marie rozłożyła gazetę. Przewracała strony, pomijając cały dział kulturalny, sportowy i wiadomości lokalne.

– Czy wiesz, od czego od pewnego czasu zaczynam lekturę porannej gazety?

Britt-Marie zatrzymała się na dziale krajowym.

– Zawsze zaczynam od tego. Nie od kultury, nie od sportu albo gospodarki, nie od spraw zagranicznych, nie od Sztokholmu ani rozrywki. Nie robię tego bez powodu. Żeby móc w miarę normalnie funkcjonować, muszę wiedzieć, czy coś się nie wydarzyło. Na przykład czy ktoś nie napadł na bank, czy nie doszło do strzelaniny albo do innego przestępstwa. Kiedyś w ogóle tam nie zaglądałam. Zaczęłam to robić po waszym aresztowaniu, po serii skoków na banki.

Britt-Marie przerzuciła kolejne strony: siódmą, ósmą, dziewiątą.

– Każdego dnia o czymś pisali. O kolejnych oskarżeniach, o świeżych dowodach, o nowych świadkach. Kiedy po dwóch miesiącach pozwolono mi was w końcu odwiedzić, spytałam, jak się czujecie i czy wszystko, co o was piszą, jest prawdą... Pamiętasz, co mi wtedy odpowiedziałeś? „Nie ma powodu do niepokoju”. Tak jak przed chwilą.

Britt-Marie podała mu gazetę, jak gdyby chciała, żeby się nią zaopiekował.

– Mamo... obiecuję ci, że ani Felixowi, ani Vincentowi nic się więcej nie stanie.

– A co z tobą?

Leo rozłożył ręce i ciepło się uśmiechnął. Wiedział, że jego matka bardzo lubi ten uśmiech.

– Ze mną? Ja sobie zawsze poradzę.

– Popatrz na mnie i wyjaśnij mi... Po co przyszła do mnie policja? I to dwa razy w ciągu zaledwie trzech dni po twoim wyjściu z więzienia.

– Bo gliniarze już tacy są.

Britt-Marie zrobiła taką minę, jak gdyby chciała jeszcze o coś spytać, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Wzięła okulary i wstała od stołu. Uśmiechnęła się po swojemu, wyłączyła ekspres do kawy i wyszła do przedpokoju. Włożyła płaszcz, szalik i krótkie skórzane buty na zamek błyskawiczny.

Teraz.

Powiedz jej. Przecież tak to zaplanowałeś.

– Muszę już pędzić. Zaczynam o ósmej, nie chcę utknąć w korku.

Teraz! Musisz jej to powiedzieć teraz! Przecież po to tu przyszedłeś.

– Mamo...

– Tak?

– Ja... ty...

– Słucham.

– ...przejdę się z tobą.

Britt-Marie sięgnęła na półkę po torebkę i położyła dłoń na klamce.

– Chcesz już iść?

– Tak.

– To po co tu przyszedłeś?

– Żeby... wspomniałem ci o tym wczoraj wieczorem. Chciałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Nie kręć, tylko mów prawdę. Po co do mnie przyszedłeś?

Britt-Marie czekała na odpowiedź, ale na próżno. Nacisnęła więc klamkę i pchnęła drzwi, które z powodu porannego wiatru stawiały jej lekki opór. Przepuściła Leo, zamknęła drzwi na klucz i podeszła do samochodu stojącego na wyasfaltowanym podjeździe. Za każdym razem gdy miała dyżur w szpitalu w Huddinge, jechała do pracy samochodem. W chwili gdy chciała usiąść za kierownicą, zauważyła drugi wóz, który prawie zablokował jej wyjazd.

– Kto to jest?

Za kierownicą siedział barczysty jasnowłosy mężczyzna, który mógł mieć około czterdziestu kilku lat. Britt-Marie popatrzyła na niego, a on skinął jej niepewnie głową. Przypomniała sobie, że dwa dni wcześniej też zauważyła wóz, który krążył po dzielnicy. Siedzieli w nim policjanci, którzy później przyszli po jej syna. Była pewna, że stojący przed jej domem samochód ma coś wspólnego z Leo i że mężczyzna siedzący za kierownicą nie jest jego wrogiem.

– Leo... kto to jest?

– Sam.

– Aha.

– Mój dobry przyjaciel.

Britt-Marie od razu zrozumiała, że niczego więcej się nie dowie. Dlatego wyłączyła pilotem alarm w samochodzie, usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Kiedy jednak chciała zamknąć drzwi, Leo przytrzymał je.

– No to na razie, mammo...

Chwycił dłonią za ramę drzwi i przewiesił się przez nie.

– ...trzymaj się... miłego dnia.

Britt-Marie wcisnęła lekko pedał gazu, żeby silnik nie zgasł.

– ...no i nie martw się o mnie.

Siedziała w milczeniu i uważnie spoglądała na swojego najstarszego syna. W jej wzroku nie było ani zarzutu, ani rezygnacji.

– Leo?

– Tak, mammo?

– Kocham cię.

Powiedziała to takim tonem, jak gdyby wiedziała, że następnego dnia lekturę gazety powinna zacząć od wiadomości krajowych.

Dwa kubki czarnej kawy, do tego dwie kanapki z serem i szynką na ładnym metalowym stoliku. Niewielka, zwyczajna kawiarnia, prawie zupełnie pusta o tej porze dnia, nie licząc kobiety, która stała za ladą zastawioną szarlotką i stosami cynamonowych bułeczek i wyglądała na właścicielkę lokalu. Przy oknie wychodzącym na Bergsgatan i budynek policji siedziało dwóch mężczyzn.

– Sam... powinieneś coś zjeść.

– Nie mogę. Nie wmuszę w siebie. Nie jestem w stanie niczego przełknąć.

Sam grzebał na talerzyku, przy którym stała nieruszona kawa, jak gdyby chciał w ten sposób pokazać, że naprawdę nic nie zje. Widać było, że jest zdenerwowany jak nigdy przedtem. Leo jeszcze go takim nie widział. Nawet wtedy, gdy Sam uciekał wozem mleczarskim po napadzie na konwój z pieniędzmi.

– Wiem, że mamy mało czasu, ale nic na to nie poradzę.

– Przecież wiesz, że nie o to chodzi.

– Poczekaj chwilę.

Leo wstał z krzesła i podszedł do drugiego stolika. Stał na nim dzbanek z wodą, a obok leżały białe serwetki i sztucce. Z tego miejsca widok na drugą stronę ulicy był jeszcze lepszy. Kronoberg. To tu bije serce szwedzkiej policji. Z budynków wysypywały się grupy umundurowanych funkcjonariuszy, trwał nieustanny ruch kolorowych radiowozów, a wszystko po to, żeby strzec bezpieczeństwa. Piętnaście kroków. Żaden z nich nie wiedział, że za kilka godzin Leo znajdzie się w środku tego kompleksu i swobodnie będzie się w nim poruszał.

Leo postawił przed Samem szklankę wypełnioną po brzegi wodą.

– No to chociaż wody się napij.

– Miało nas być trzech, Leo. Miałeś załatwić kogoś za Jariego. Któregoś z twoich braci.

Któregoś dnia, gdy jeszcze siedzieli za kratami, oglądali w więziennej świetlicy program telewizyjny o napadzie stulecia. Prawdziwa powieść w odcinkach, która leciała w telewizji przez prawie rok. Miał nadzieję, że do momentu, aż wyrok się uprawomocni, upłynie jeszcze trochę czasu. Niestety, na dwa tygodnie przed wyjściem na wolność dotarła do niego fatalna wiadomość: Sąd Najwyższy postanowił nie zajmować się ich sprawą. Po jego orzeczeniu wszystko się zmieniło. Zaczęli odmierzać mijający czas. Sullo przekazał mu wiadomość, że transport odjeżdża z komendy policji w co drugi czwartek o czternastej, a najbliższy będzie nietypowy: będą w nim przewożone pieniądze, które policja odzyskała po największym skoku w historii Szwecji. Cały ten majątek ma trafić do fabryki papieru w Tumbie. Takie rozwiązanie przewiduje szwedzkie prawo: banknoty odegrały swoją rolę jako dowód w sprawie i teraz zostaną komisyjnie zniszczone.

Taka szansa trafia się tylko raz w życiu.

– Żaden z nich nie chciał, a nikomu innemu nie ufam. Jakoś sobie poradzimy.

– Plan zakładał, że ktoś stanie na czatach i będzie obserwował prawdziwych gliniarzy wchodzących do budynku. W środku miało nas być dwóch. Co teraz? Musimy sami wszystkiego pilnować. Nie podoba mi się to.

– Najważniejsze, że wczoraj przeprowadziłem udany test. Bez niczyjej pomocy. Z magazynu depozytów zabrałem głupie okulary przeciwsłoneczne. Chciałem sprawdzić, jakie zasady obowiązują w środku, porównać plan budynku ze szkicem i obliczyć czas trwania wszystkich czynności. Chciałem się też pokazać obsłudze magazynu. Wszystko się udało! Nie było ani jednej wpadki. Oni nawet nie dopuszczają myśli, że ktoś byłby na tyle głupi, żeby ich zaatakować na ich terenie, w budynku, w którym śledczy nie robią nic innego, jak tylko zastanawiają się, co tacy jak my chcą zrobić na wolności, żeby ich potem przymknąć.

Leo pochylił się nad stolikiem i wskazał palcem przez okno.

– Widzisz to?

Sam wmusił w siebie kilka łyków wody, która i tak stanęła mu w gardle. Spojrzał we wskazanym kierunku, ale widział tylko coraz więcej policjantów i coraz więcej radiowozów.

– Popatrz na tamte dwa wozy. Odjeżdżają z miejsca, które ich zdaniem jest lepiej strzeżone. Popatrz dalej: czterech mundurowi wychodzą z budynku przez główne drzwi. Śmieją się, a ten z wąsami na

przedzie opowiada coś zabawnego. Idąca obok policjantka cała się trzęsie ze śmiechu. Wszyscy świetnie się bawią. A wiesz dlaczego? Bo są blisko miejsca, w którym zawsze czują się bezpiecznie. My im to poczucie bezpieczeństwa odbierzemy, i to raz na zawsze!

Przesunął szklankę z wodą w stronę Sama, ale ten tylko machnął ręką.

Leo zrozumiał, że sytuacja nie wygląda najlepiej.

Nie mają teraz czasu na taką nerwówkę.

Odrobina niepięcia przed skokiem nigdy nikomu nie zaszkodzi, bo to zaostrza zmysły. Nie wolno tylko dopuścić, żeby niepokój paraliżował.

– Sam, posłuchaj... masz do zrobienia tylko jedną rzecz: dopilnować, żeby puste walizki znalazły się w samochodzie w miejscu, które ustaliliśmy. Potem, gdy dam ci sygnał, że jestem już na zewnątrz, zabierzesz mnie i kartony z pieniędzmi. Z miejsca, w którym będziesz stał, masz przez cały czas obserwować wejście na komendę od strony Kungsholmsgatan i wejście do ratusza od strony Scheelegatan.

Leo pochylił się i położył dłoń na ramieniu Sama. Kiedyś pocieszał w ten sposób Vincenta, gdy ten się wahał.

– Jak więc widzisz, do momentu gdy po zakończonej akcji odjedziemy z tego miejsca, nic złego cię nie spotka. Ryzykuję tylko ja, bo to ja wejdę do budynku.

W tej chwili rozdzwonił się stary błyszczący dzwoneczek, który zwisał z sufitu na sznurku i uderzał o górną krawędź drzwi. Do środka weszła czwórka roześmianych policjantów, tych samych, których Leo i Sam widzieli przez okno. Na szczęście tym razem nie zamierzali nikogo aresztować. Przyszli tu tylko po to, żeby zjeść ciastko i podtrzymać dobry humor.

– Na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdzimy, czy o wszystkim pomyśleliśmy.

Leo ściszył głos, chociaż policjanci usiedli w drugim końcu sali, obok lady. Uśmiechnął się do Sama.

„Siedzimy tak blisko nich, a ja zamierzam przejrzeć za chwilę listę spraw, jakie mamy do załatwienia przed najbardziej beczelnym włamaniem w historii”.

– Zabrać okulary z magazynu depozytów, z podpisem strażnika, który według planu będzie tego dnia pełnił dyżur; ustalić numer formularza potrzebnego do odbioru rzeczy z depozytu – gotowe; dziesięć paczek o wymiarach 25 cm x 32 cm x 30 cm; od biedy je jakoś wciśniemy w dwa większe kartony. Mundury – ja włożę jeden, ty drugi; prawdziwe policyjne odznaki – są; moją założę zaraz po tym, jak wysadzisz mnie przed ratuszem.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Przysłuchiwali się roześmianym policjantom i tykaniu dużego zegara na ścianie. W końcu Sam sięgnął po szklankę i opróżnił ją do połowy. Zmusił się też do zjedzenia kanapki z serem i szynką.

– Super. A teraz zabieramy się do roboty.

Po wejściu do lokalu Leo powiesił swoją skórzaną kurtkę na oparciu pustego krzesła. Teraz wyjął z jej wewnętrznej kieszeni telefon, z którego mógł dzwonić tylko pod zaprogramowane numery, i wyszedł na chwilę na dwór. Czekać na połączenie, spoglądał na żółte fasady budynku policji, gdzie nikt się niczego nie spodziewał.

„Za piętnaście druga nie będzie tam ani jednego gliny.

Aresztowałeś mnie, gnojku. Jedynie ty możesz rozpoznać nie tylko Sama, ale nawet mnie – mimo szkieł kontaktowych i ogolonej głowy. Dlatego muszę cię wysłać daleko stąd. Żeby to zrobić, skieruję cię na fałszywy trop”.

W słuchawce usłyszał regularny sygnał. Ucichł dopiero w chwili, gdy ktoś odebrał i w słuchawce rozległ się znajomy głos.

Broncks po raz pierwszy w życiu otarł się o śmierć. Pomyśleć, że mógł zginąć. Nic by nawet nie poczuł. Nadal nie był pewien, czy to dobrze czy źle. Leo Dûvnjac pojawił się w cieniu kościoła i zepsutej latarni ulicznej i zniemacka przytknął mu do skroni pistolet – sig sauer, służbową broń policji. Zrobił to z tak dużą siłą, że lufa odcisnęła na jego wrażliwej skórze okrągły czerwony ślad.

Broncks się przeciągnął. Dwuosobowa skórzana kanapa to nie najlepsze miejsce na sen.

Ale po tym zdarzeniu i tak nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, oblewał strumieniami potu, plątał w prześcieradle i poduszce, aż w końcu po godzinie takich męczarni skapitulował. Sen nie chciał przyjść, choć nie miało to nic wspólnego ze strachem przed śmiercią. Wylot lufy to nic strasznego. Chodzi o Sama... Całe jego życie zamieniło się w kupkę popiołu: rodzina, dom, w którym spędzili dzieciństwo – wszystko pochłonął ogień. I właśnie to go w nim przerażało – ma brata, który nie chce się z nim spotykać ani utrzymywać żadnych kontaktów. Jego brat go nienawidzi. Tylko tyle zostało z dawnych czasów.

W końcu wstał, owinął się w przeproconą kołdrę i nalał sobie wody do szklanki. Usiadł na kanapie i włączył telewizor. Programy dokumentalne i historyczne, programy o dyktatorach, bitwach morskich i psychopatach z rodzin królewskich. W pewnej chwili, w samym środku sceny egzekucji pewnego szlachcica, którego za zdradę małżeńską skazano na ścięcie głowy, podszedł do regału z książkami i sięgnął po stojącą na nim butelkę whisky. On, który nigdy nie pije alkoholu samotnie! Dostał ją w prezencie od kolegów z pracy z okazji zakończenia śledztwa w sprawie napadu stulecia. Nalał sobie pół szklanki trunku i dalej oglądał telewizję. Po kilku kolejnych scenach z egzekucji – ścięcia głowy – zapadł w drzemkę.

Chwilę potem zadzwonił telefon.

Znajomy policjant z Sekcji Techniki Operacyjnej i Podśluchu poinformował go, że za moment wyśle mu na maila nagranie, bo telefon, który podsłuchują, został drugi raz aktywowany.

– Tato, przyjadę po ciebie za trzy godziny, okej?

Broncks od razu rozpoznał oba głosy.

– Skanstull, przed restauracją.

Starszy mężczyzna rozmawiał po szwedzku z wyraźnym akcentem. Młodszy mówił znacznie ciszej. Z jego głosu przebijał pewien rodzaj autorytetu.

– Kupiec spotka się z nami za kwadrans druga. Wczoraj ci o tym mówiłem, chce się upewnić, czy będziemy w stanie zorganizować dostawę.

– Leo, zanim się rozłączysz, muszę cię o coś spytać.

– Tak?

– Chcę, żebyś wiedział jedno: na początku byłem dość sceptycznie nastawiony do twojego pieprzonego pomysłu. Dziś w nocy doznałem oślnienia: to naprawdę jest dobry interes. Wszyscy na nim zarobimy. Cała rodzina.

– Super, że przestałeś się wahać, bo ja naprawdę będę potrzebował twojej pomocy.

Nagranie dobiegło prawie końca, został tylko krótki fragment. Według zapisu w dolnym rogu rozmowa zaczęła się dwanaście minut po dziewiątej i trwała osiemdziesiąt siedem sekund. Potem zapadła cisza, ale nie była to pauza techniczna, tylko przerwa w rozmowie, jak gdyby obaj się nad czymś zastanawiali. Ojciec i syn już za kilka godzin sprzedadzą największy prywatny skład broni w kraju.

– Na koniec jeszcze jedno: nie muszą chyba dodawać, jak ważne jest to, żebyś zjawił się tam punktualnie. Nie spóźnij się tak jak ostatnio.

Broncks zerknął na zegar wiszący na ścianie nad telewizorem. Za kwadrans dziesiąta. Leo spotka się z kupcem za cztery godziny.

Zostało mu niewiele czasu, żeby ustalić, w jak dużym stopniu Sam jest zamieszany w tę sprawę.

Musi opracować plan, który wprowadzi w życie w chwili, gdy Leo Dûvnjac odbierze zapłatę za broń.

Broncks ziewnął i wyprostował się.

Wieczorem, gdy siądzie na tej kanapie, będzie wiedział, czy już na zawsze stracił ostatniego członka swojej rodziny.

W żadnym innym miejscu czas nie płynie tak powoli jak na szpitalnym korytarzu.

Na początku Elisa liczyła sekundy, potem kroki, a na końcu oddechy.

Jednak bez względu na metodę jej ruchy były straszliwie powolne. Ciągłe jej się wydawało, że nigdy nie dotrze do końca długiego korytarza.

Może dlatego, że wszystko było tam tak jednoznaczne. Wszechobecne białe ściany i żółte gumoleum, które zlewało się z podłogą. Brak jakichkolwiek punktów odniesienia, które pomogłyby się tu łatwiej orientować. A może chodziło o wewnętrzne punkty odniesienia – na przykład dystans, jaki należy przebyć, żeby przyjąć do wiadomości coś, czego boimy się usłyszeć? Bezradność podczas oczekiwania na informację, w której prawdopodobieństwo życia jest równe prawdopodobieństwu śmierci? Stan, który kiedyś zmienił ją na zawsze i przez który nigdy więcej nie chciałaby przechodzić.

Tak czy inaczej poszła tam.

Dotarła na sam koniec długiego korytarza. Do rozsuwanych drzwi, które według tego, co było napisane na tablicy informacyjnej, prowadziły na oddział ortopedii K83. W odróżnieniu od oddziału, na którym kiedyś leżała Britt-Marie, drzwi emanowały całkowitym spokojem. W takim miejscu naprawia się ludzi, podnosi na wyższy poziom jakość życia. Pacjenci, którzy tam trafiają, po leczeniu wychodzą zazwyczaj w lepszym stanie niż ten, w jakim tam trafili. Britt-Marie stała w głębi korytarza, który był krótszy, bardziej kolorowy i przytulny od innych korytarzy. Rozmawiała z jedną ze swoich koleżanek z pracy. Obie ubrane były w białe fartuchy i białe buty z grubymi, miękkimi, gumowymi podeszwami.

– Dzień dobry, to znowu ja... przepraszam, że...

Kiedy Britt-Marie ujrzała Elisę, przerwała rozmowę i odwróciła się do niej.

– ...przychodzę tu i przeszkadzam w pracy, ale właśnie ten adres wpisała pani w rubryce „Miejsce pobytu w ciągu dnia”. A ponieważ nie zastałam pani w domu i nie odbiera pani telefonu, więc...

– Widziałam na wyświetlaczu, że pani dzwoni, ale postanowiłam nie odbierać. Jestem teraz w pracy. To moja strefa chroniona. To, co robi mój syn, nie ma z tym miejscem nic wspólnego. Nie będę tu rozmawiała z policją.

– Mam tylko jedno pytanie i...

– No dobrze. Porozmawiamy o tym w drodze do wyjścia.

Idąc korytarzem, miały identyczne pokoje, w których stały po cztery łóżka, a właściwie łóżka na kółkach z metalowymi ogranicznikami. W każdej sali było za to dużo wózków dla niepełnosprawnych i kul. W chwili gdy Britt-Marie rozsunęła drzwi i wyszły na korytarz, Elisa domyśliła się po jej zachowaniu, że ich spotkanie skończy się równie szybko, jak się zaczęło.

– Czego pani chce? Co to za pytanie?

– Chcę porozmawiać o Leo.

– To nie pytanie.

– Muszę się z nim skontaktować. To dla mnie ważne. Inaczej bym tu nie przyszła.

W oczach kobiety – do tego momentu zdecydowanych i pewnych siebie – pojawiło się zmęczenie.

– Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? Jakkolwiek na to spojrzeć, syn zameldowany jest u pani.

– To już drugie pytanie.

Elisa nie mogła zrozumieć, dlaczego kobieta okazuje jej taką niechęć.

Domyślała się, że powodem może być rozczarowanie synem i tym, jak ułożyło mu się życie. Zamiast czekać na wnuki, musi być przygotowana na rozmowy z policją, wezwania do sądu i wizyty w więzieniu. Elisa nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego matka Leo okazywała jej o wiele większą niechęć teraz niż podczas przeszukania domu, gdy razem z innymi policjantami przewróciła wszystko do góry nogami.

– Proszę posłuchać. Prowadzę śledztwo i zadałam pani pytanie: kiedy widziała go pani po raz ostatni? Wyraz zmęczenia w oczach kobiety jeszcze bardziej się pogłębił.

– Dziś rano.

– Naprawdę?

– Tak. Odwiedził mnie tuż przed moim wyjazdem do szpitala. Krótko potem wyszliśmy razem z domu.

– Czy dobrze zrozumiałam? Przyszedł do pani dziś rano i został tylko kilka minut? Dokąd pojechał później?

Britt-Marie odwróciła wzrok, jak gdyby szukała punktu zaczepienia, na którym mogłaby zatrzymać spojrzenie. Prawdopodobnie doznała tego samego uczucia co Elisa na szpitalnym korytarzu.

– Proszę na mnie spojrzeć. Czy pani wie, dokąd udał się syn?

– Nie, nie wiem. Być może zabrzmi to dziwnie, ale myślę, że on już nie wróci. Mam przeczucie, że to było pożegnanie. Powiedział mi o tym, nie mówiąc tego wprost.

Białe fartuch, białe buty, identyfikator w klapie z napisem „Britt-Marie Axelsson, pielęgniarka”. Jej wcześniejsze gesty i zachowanie wskazywały na pewność siebie. W tym momencie wszystko się zmieniło. Stała załamana i podminowana, twarz jej się zaczerwieniła.

– A teraz ja o coś spytam. I żądam odpowiedzi. Czy pani przysłała do mnie w tej samej sprawie, o którą wczoraj wieczorem wypytywał mnie pani kolega? Czy oboje przychodzicie do mnie z tego samego powodu?

– Odwiedził panią mój kolega?

– Tak. Czy coś się stało? Jeśli tak, to proszę mi o tym od razu powiedzieć.

– A kto u pani był?

– Broncks. Ten, który prowadził śledztwa w sprawie napadów na banki. Pytam jeszcze raz: czy coś się stało?

Elisa nie odpowiedziała na jej pytanie, ale nie dlatego, że nie chciała.

Po prostu nie wiedziała, co powiedzieć.

– Niechże mi pani odpowie!

„Broncks? Znowu? I nawet mnie o tym nie poinformował?”

– A czego chciał?

– To ja zadałam pani pytanie!

– Proszę odpowiedzieć: czego chciał od pani Broncks?

Zrozpaczona kobieta chyba się trochę uspokoiła, bo jej policzki nie były już tak czerwone.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, czego mógł ode mnie chcieć. Mogę się tylko domyślać, że chciał się skontaktować z Leo, i to ja miałam pośredniczyć w nawiązaniu tego kontaktu. Dlaczego sama go pani o to nie spyta? Przecież pracujecie razem!

Zdumienie, które w pierwszej chwili ogarnęło Elisę, zamieniło się w rodzaj irytacji, który potem przechodzi w złość.

Broncks, co ty knujesz?

– Bardzo mi przykro, ale nie potrafię tego wyjaśnić. Mimo to musi mi pani pomóc. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia, żeby dalej prowadzić śledztwo. Na razie wiem tylko tyle, że Leo był dziś u pani w domu. Jak się tam dostał? Czym stamtąd odjechał?

– Samochodem.

– Jakim samochodem?

– Nie wiem. Po prostu... samochodem. To chyba nie był jego wóz. Ktoś go podwiózł.

– Podwiózł?

– Jakiś mężczyzna. Leo powiedział, że to przyjaciel. Nazywał się Sam... jakoś tam.

Złość zamieniła się we wściekłość.

Przyjaciel, który nazywał się Sam Jakoś Tam. To ona wytypowała czterech mężczyzn, którymi zamierzała zająć się bliżej. Cała czwórka siedziała z Düvnjakiem w więzieniu, teraz są na wolności. Jeden z nich nazywał się Sam Larsen. Broncks nalegał, że sam go sprawdzi.

– Proszę popatrzeć na to zdjęcie.

Elisa miała w swoim telefonie komórkowym link do akt śledztwa. Wyszukała stosowne zdjęcie i podesunęła je Britt-Marie przed oczy.

Zdjęcie pochodziło z bazy danych należącej do Służby Więziennej.

– Czy to był on?

Britt-Marie sięgnęła po okulary, które wisiały na sznurku na szyi, i przysunęła je do twarzy.

– Czy właśnie tego mężczyznę widziała pani w samochodzie?

– Tak. To był on.

W końcu Elisa pożegnała się i ruszyła do wyjścia. Tym razem poszło jej o wiele szybciej niż wtedy, gdy wchodziła do budynku. Tak jej się przynajmniej wydawało. Musiała się teraz zająć ważniejszymi sprawami niż rozmyślanie o białych ścianach i żółtym gumoleum. Podczas rozmowy z Britt-Marie dowiedziała się bowiem dwóch nowych rzeczy: że Broncks ukrywa przed nią informacje i że Leo pożegnał się z matką, co może oznaczać, iż coś szykuje.

Elisa była przekonana, że oba te fakty są ze sobą powiązane. Teraz musiała ustalić, w jaki sposób.

Broncks przyłożył policzek do pnia i poczuł na skórze dotyk chropowatej kory. Sosna. Nie jakaś tam brzoza, świerk czy inny dąb. Szedł ostrożnie przez gęsty, zaniedbany las rosnący w odległości stu pięćdziesięciu metrów od opuszczonego gospodarstwa. W jego zachodniej części stał budynek mieszkalny, we wschodniej wałęsa się stodoła. Pomiędzy zabudowaniami rósł ładny, ale rzadki sad.

Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty miał z tego miejsca świetny widok na cały teren, a sam nie był widoczny.

Zaparkował na ustronnej leśnej drodze, mniej więcej kilometr dalej. Do gospodarstwa dotarł piechotą. Postanowił, że w oczekiwaniu na to, co się zdarzy, będzie co dziesięć minut dzwonił do Sama. Niestety, za każdym razem słyszał w słuchawce mechaniczny głos, który monotonnym tonem informował go, że abonent jest niedostępny. Pięć razy dzwonił do sąsiadki Sama na wyspie, ale usłyszał od niej, że go nie widziała, a gdy na jego prośbę zajrzała do wnętrza domu, okazało się, że jest pusty. Trzy razy kontaktował się z kapitanem promu, który w końcu zaniepokoił się tą sprawą w takim samym stopniu jak on. Spokojnym głosem poinformował Broncksa, że w ciągu trzech ostatnich dób Sam nie płynął promem ani z łądu na wyspę, ani z wyspy na łąd.

Broncks postanowił, że dalej będzie go szukał.

Musi się z nim skontaktować.

Kiedy zjawi się Leo, żeby zrealizować swój plan, będzie za późno.

Skóra na policzku zaczęła go swędzieć, więc oparł się ramieniem o sąsiednie drzewo. Rozejrzał się i stwierdził, że w dziennym świetle okolica wygląda inaczej. Wrażenie odludzia stało się jeszcze bardziej namacalne. Posiadłość oddalona jest od centrum miasta o dwadzieścia kilometrów. To wprost idealna lokalizacja dla kogoś, kto chciałby działać w ukryciu.

Czekając na Leo, wykonał jeszcze jeden telefon.

Jego rozmówcą był dowódca jednostki specjalnej, którego poznał siedem lat wcześniej w czasie akcji zatrzymania Ivana i Leo Dûvnjáców w letnim domku.

Broncks spytał go o ewentualne wsparcie podczas operacji, do której może dojść tego dnia po południu. W odpowiedzi uzyskał potwierdzenie, że cała jednostka jest gotowa do działania, a jego ludzie mogą dotrzeć na miejsce w ciągu pół godziny od powiadomienia. W tym samym czasie policja ustawi blokadę na drogach.

Broncks przyglądał się obdrapanej stodołę, w której dawni właściciele trzymali z pewnością bydło. Teraz stała w niej ciężarówka pełna śmiercionośnego sprzętu. Dwieście sztuk broni automatycznej, materiały wybuchowe i zdalnie sterowana bomba, która eksploduje pod wpływem impulsu wysłanego przez telefon.

Jeszcze raz zerknął na zegarek.

Według informacji pochodzących z podsłuchanej rozmowy Dûvnjac powinien się tu wkrótce zjawić.

Postanowił wykonać jeszcze jedno połączenie.

Miał nieodparte wrażenie, że będzie to taka sama rozmowa, jaką przeprowadził kiedyś latem, gdy przechodził z podstawówki do gimnazjum. Zadzwoił wtedy do Sama, a on słuchał, jak jego przerażony brat błaga go o natychmiastową pomoc. Tamta rozmowa doprowadziła do tragedii. Teraz jednak, jeśli tylko uda mu się z nim porozmawiać, efekt będzie odwrotny – zapobiegnie tragedii, która się już nie powtórzy.

Broncks wybrał numer i wstrzymał oddech. Czekał, aż impuls dotrze do odbiorcy.

W końcu usłyszał głos, który mechanicznym tonem poinformował go, że abonent jest aktualnie niedostępny. Broncks poczuł się tak, jak gdyby dostał drgawek albo wstrząsały nim dreszcze. Wiedział, że musi to po prostu przeczekać.

Uznał, że nic więcej nie jest w stanie zrobić.

Została mu tylko nadzieja, że za kilka minut, gdy Leo i jego ojciec zjawią się na miejscu, a na dany sygnał do akcji wkroczy jednostka specjalna, Sama z nimi nie będzie, bo wcześniej zrezygnuje z udziału w przestępstwie. Niestety, na razie nic na to nie wskazywało.

Sala sądowa numer dwanaście, Wydział II. Komisje, sędziowie, prokuratorzy, obrońcy i tylko dwie osoby na sali: on i starsza pani, która albo była babcią oskarżonego, albo jedną z tych osób, które wędrują z jednej sali do drugiej i z rozprawy na rozprawę, jak gdyby uczestniczyły w jakichś widowiskach rozrywkowych. Leo doszedł do takiego wniosku na podstawie jej ubioru: kobieta nie miała paska, skórzanych butów ani biżuterii, z powodu których na punkcie kontroli zostałyby zatrzymana przez detektor do wykrywania metali.

Oparł się o niewygodną drewnianą ławkę stojącą w małej, skromnie urządzonej sali rozpraw. Znacznie się różniła od tej, do której przez wiele miesięcy przyprowadzano go razem z braćmi, podczas procesu, na którym próbowano im udowodnić udział w serii napadów na bank. Dopiero teraz do niego dotarło, że nigdy wcześniej nie uczestniczył w rozprawie sądowej, siedząc w tej części sali. Na dodatek miał na sobie policyjny mundur. Obserwował rozprawę jakiegoś nastolatka, który ukradł kilka przypadkowo wybranych samochodów, a teraz wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Zwykły amator, bo w każdym z tych wozów technicy znaleźli odciski jego palców. Porównano je z odciskami przechowywanymi w policyjnej bazie i okazało się, że chłopak był już notowany. Poprzednim razem też go skazano za kradzież samochodów.

Grube ściany obite dębową okładziną. Duże okna wychodzące na Scheelegatan. Akustyka, która wzmacniała każde szurnięcie nogami po podłodze, każde nerwowe chrząknięcie.

To idealne miejsce na czekanie, bo wszystko zacznie się tu, w ratuszu.

Za trzy i pół minuty przystąpi do realizacji pierwszej fazy planu, nad którym pracował od roku.

Telefon komórkowy położył na ławce, obok prawej nogi. Przez kilka ostatnich godzin obserwował miejsce, w którym zostawił fałszywy trop. Włączył podgląd kamery „A”, która była przymocowana do ogrodzenia na początku żwirowej alejki i rejestrowała wszystko to, co działo się w tej części posiadłości. Na wyświetlaczu ujrzał samochód osobowy, w którym za kierownicą siedział Broncks. Wszystko przebiegało zgodnie z założeniami, z tą różnicą, że Broncks przyjechał sam, czego Leo w swoim planie nie uwzględnił. Spodziewał się, że będzie mu towarzyszyć jednostka specjalna, że za każdym krzakiem będzie stać glina, aby na dany sygnał aresztować kogoś, kto tego dnia wcale nie zamierzał się tam zjawić. Leo nie wiedział, dlaczego tak jest. Nie mógł jednak dłużej czekać. Powinien zacząć realizować to, co zaplanował, aby w odpowiedniej chwili zabrać *to, czego nie ma*, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Musi to zrobić na tyle wcześnie, aby odebrać cały depozyt, zanim o czternastej zjawi się prawdziwy konwój.

Leo wstał z ławki w chwili, gdy prokurator zażądał roku więzienia dla nastolatka oskarżonego o kradzież samochodów. Wyszedł na korytarz, dotarł szerokimi schodami na parter i skierował się w stronę drzwi prowadzących do podziemnego korytarza. Był tam poprzedniego dnia i po raz pierwszy w życiu przemierzył go bez kajdańek na nadgarstkach.

Broncksa nie było jeszcze w pokoju. Trudno. Na razie jest za wcześnie, żeby zacząć zadawać mu pytania wprost. Najpierw powinna ustalić, co łączy go z kryminalistą Samem Larsenem – przyjacielem Leo Dívnjaca.

Weszła do swojego pokoju. Nie mogła się już doczekać i dlatego z dużą kanapką w jednej i kubkiem świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego w drugiej ręce włączyła komputer i usiadła za biurkiem, chociaż lunch jada zazwyczaj w niewielkiej kawiarni po drugiej stronie ulicy Bergsgatan. Ma stamtąd widok na budynek policji. Jednak tego dnia jej się spieszyło. Nigdy nie polegała na samym instynkcie, jeśli nie był on potwierdzony faktami albo dowodami. Teraz najbardziej doskwierała jej świadomość, że jeden z najbardziej szanowanych policjantów na komendzie ukrył przed nią pewne informacje, a na dodatek zrobił to w określonym celu. Będzie musiała to zbadać, wgrzyźć się w tę sprawę, a instynkt zastąpić konkretnymi faktami. Powinna znaleźć powód, dla którego zachowanie Broncksa stało się dla niej niezrozumiałe. Będzie jak kobieta, która podejrzewa swojego chłopaka o niewierność: żeby mu cokolwiek udowodnić, musi zdobyć jakieś dowody – rachunek z hotelu, billing połączeń, wyciąg ze służbowej karty (ten dureń był na tyle nieostrożny, że kupił jej bieliznę Victoria's Secret, a potem stanowczo temu zaprzeczał, chociaż wieczorem pokazała mu w kuchni wyciąg z operacji dokonanych kartą Visa).

Nie wolno pozwolić na to, żeby zwyciężyło kłamstwo.

Bo gdy już doprowadzi do konfrontacji z Broncksem, nie powtórzy tego samego błędu co kiedyś, gdy pod wpływem impulsu zachowała się niewłaściwie wobec dupka, który utopił swoją kochankę ubraną w koronkową bieliznę. Do prawdy o Broncksie będzie dochodzić spokojnie i profesjonalnie. Nie pozwoli, żeby się wymigał przy pomocy jakiegoś zgrabnie wymyślonego kłamstwa.

Zjadła połowę kanapki z serem i wypila pół kubka soku.

Komputer, który pracował wyjątkowo powoli, otworzył w końcu okienko z kartoteką skazanych. Elisa szybko wprowadziła dziesięciocyfrowy numer osobowy Sama Larsena i czekała na wynik.

Komputer pracował bardzo wolno, ale w końcu się obudził.

Elisa przysunęła się bliżej.

Na ekranie zobaczyła to, czego szukała: jedyny wynik w rejestrze pod hasłem Sam Larsen.

ZABÓJSTWO – § 1, rozdz. 3 Kodeksu karnego

KARA DOŻYTOWNIEGO WIĘZIENIA.
SKAZANY ROZPOCZĄŁ ODBYWANIE KARY.

Przestępstwo i dożywocie. Całe życie w więzieniu.

KARĘ ZAMIENIONO NA 34 LATA I 6 MIESIĘCY WIĘZIENIA.
ZWOLNIONY WARUNKOWO.
DO ZAKOŃCZENIA KARY POZOSTAŁO: 11 LAT I 6 MIESIĘCY.

Elisa czytała kolejne wpisy, aż doszła do zeskanowanej pierwszej strony orzeczenia sądowego. Z umieszczonej w prawym górnym rogu rubryki dowiedziała się, że wyrok zapadł w sądzie rejonowym w Eskilstunie. Dwie linijki niżej znajdował się następujący zapis:

Imię i nazwisko: Larsen, Sam George.

Powódka: Broncks, Gunilla Ewa.

Z początku Elisa nie rozumiała treści wpisu. Wydawało jej się, że ktoś się po prostu pomylił i wpisał w formularzu nie to co trzeba. Ale wzrok jej nie mylił. Przez chwilę miała wrażenie, że złość na Broncksa oślepiła ją do tego stopnia, że wszędzie widzi nazwisko, które nie powinno się tam znajdować.

Broncks, Gunilla Ewa.

W końcu to do niej dotarło.

Próbowała sobie wmawiać, że Broncks nie zataił przed nią żadnych informacji. Teraz już wie, że to zrobił.

Sam Larsen, który wyrok odsiadywał na tym samym oddziale więzienia w Österåker co Leo Dûvnjac, zamordował kogoś, kto był powiązany z powódką o nazwisku Broncks.

Kto był jego ofiarą? I dlaczego?

Cały wyrok trafił wraz z resztą akt do podziemnego archiwum policji miejskiej w Sztokholmie. Elisa często odwiedzała to miejsce, gdy miała do załatwienia jakąś sprawę w magazynie depozytów.

Wstała z krzesła. Natychmiast musi tam pójść.

Kiedy karta przechodzi przez czytnik, rozlega się czasem dźwięk przypominający skrzypienie albo zgrzytanie. U kogoś, kto go słyszy, wywołuje nerwową reakcję.

Leo też usłyszał taki dźwięk i aż się wzdygnął.

Może nie do końca z powodu samego dźwięku, ale po prostu dlatego, że karta i tym razem zadziałała bez zarzutu. Przeszedł go dreszcz. Karta, którą sprzedał mu Sullo, należała do jednego z pracowników firmy sprzątającej. Po jej przeciągnięciu przez czytnik system uruchomił mechanizm otwierający metalowe drzwi prowadzące do podziemnego korytarza łączącego ratusz z komendą policji.

Leo zerknął na zegarek.

13.35.00

Zostało mu dwadzieścia pięć minut. Zanim punktualnie o czternastej w magazynie depozytów zjawią się ochroniarze z konwoju, on będzie miał za sobą wszystkie formalności; zdąży też opuścić budynek drzwiami od Scheelegatan i załadować przesyłkę do samochodu.

Zanim poszedł do sali rozpraw, gdzie zamierzał poczekać na rozpoczęcie akcji, niedaleko postawił wózek, na którym stały dwa duże, wzmocnione kartony. Teraz do niego podszedł i zaczął go pchać. Zanurzył się w korytarz, który wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednim razem: ostre światło, gołe ręciovki i suche, ciepłe powietrze. W takim miejscu pory roku nie istnieją. Pięćdziesiąt metrów dalej, na pierwszym skrzyżowaniu, skręcił w prawo; po kolejnych szesnastu odbił w lewo. Poprzednim razem pokonanie pierwszego odcinka zabrało mu minutę i dziesięć sekund; kolejnych dziesięciu sekund potrzebował, żeby dotrzeć do miejsca, w którym wisiała kamera monitoringu. To przez nią strażnicy dokonywali identyfikacji poszczególnych osób. Tym razem na pokonanie całego odcinka dał sobie dwie minuty. Poprzednio, jeszcze zanim dotarł do pierwszego zakrętu, uderzenia ciężkich butów o posadzkę ostrzegły go, że ktoś się zbliża. Byli to dwaj więźniowie w towarzystwie czterech klawiszy i jednego umundurowanego policjanta. Tym razem słyszał tylko pisk wózka. Zaczął żałować, że go wcześniej nie sprawdził i nie naoliwił.

Zostało mu niecałe sto metrów. Już wkrótce przystąpi do ostatniej fazy planu. Wpadł na pomysł, o którym nikt przed nim nie odważył się nawet pomyśleć. Tym razem jego łupem padnie stos banknotów, które mają trafić do zakładu papierniczego w Tumbie, gdzie zostaną zniszczone i spalone. Riksbanken zablokował numery seryjne całej partii i zastąpił je nowymi numerami, które pojawiły się na nowych banknotach. Te stare stały się dowodem w sprawie. Mimo to nadal są prawdziwe i warte tyle, na ile wskazuje ich nominał. Banknoty wykupi od niego Daria – zatrudniona w Sberbanku Rosjanka. Daria dostanie od niego znaczny rabat, a banknoty odsprzeda szwedzkiemu Riksbankowi. Zgodnie z prawem będzie miała prawo do nagrody w wysokości stu procent wartości banknotów.

Pięćdziesiąt metrów. Pierwsze skrzyżowanie.

Poczucie nierealności.

Oto jeden z najbardziej znanych, a do ostatniego poniedziałku rano, gdy zwolniono go z więzienia, także jeden z najgroźniejszych przestępców w kraju chodzi sobie swobodnie po budynku policji wyposażony w prawdziwą legitymację służbową i ubrany w policyjny mundur.

Cała ta sytuacja była tak nierzeczywista, że nagle zachciało mu się śmiać.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Na razie nikogo nie spotkał. Wszystko przebiega łatwiej, niż się spodziewał.

Leo wiedział, że luki w każdym systemie sprzyjają tym, którzy potrafią sięgnąć myślami w przyszłość. Przed dwoma laty przetestowano w Belgii porozumienie mówiące o tym, że pieniądze zawsze mają tę wartość, jaka na nich widnieje. Zapisano w nim, że banknoty i monety wyemitowane na zlecenie centralnego banku danego państwa zawsze posiadają tę wartość, na jaką opiewają.

Banque Nationale de Belgique oddał wtedy do zniszczenia miliard monet o nominale dwóch euro, które zamierzał zastąpić nowymi. Stare monety miały pierścień zewnętrzny w kolorze srebrnym i rdzeń w kolorze złotym. Bolce niszczarek dzieliły każdą z monet na dwie części: kawałki złote odrzucały na prawo, srebrne na lewo. Później bank sprzedał to wszystko na złom. Właściciele chińskich firm, którzy poddali to zlecenie głębszej analizie, wykorzystali luki w systemie, kupili obie partie ze złomowanych

monet i kazali swoim pracownikom złożyć je ponownie w całość. Ręcznie! Dwa miliardy euro! Kupili za grosze złom, a potem odesłali go do Banque Nationale de Belgique jako monety, dołączając list o treści: „Dziękujemy, a teraz proszę nam wypłacić ich pełną wartość”.

Sześćdziesiąt pięć metrów, na kolejnym skrzyżowaniu w lewo.

Leo przebył połowę drogi prowadzącej do magazynu depozytów.

Nagle na drugim końcu korytarza ujrzał kobietę, która zmierzała w jego kierunku. Miała na sobie cywilne ubranie i szła pewnym krokiem. Widać było, że świetnie się tu orientuje. Leo wyliczył szybko, że jeśli oboje utrzymają to samo tempo, spotkają się przy kamerze wiszącej w miejscu, do którego się kierował.

Przesunął dłońią po огоłonej głowie i poczuł delikatny meszek – cienką warstwę włosów, które zdążyły mu wyrosnąć. Kilka razy zamrugał oczami, żeby się upewnić, czy soczewki kontaktowe są na swoim miejscu, i zjechał wózkem pod betonową ścianę, żeby zrobić kobiecie miejsce. Może nie zwróci na niego uwagi.

Za kilka sekund popatrzą na siebie, pozdrowią się i pójdą dalej. Ale dlaczego kobieta ubrana jest po cywilnemu? Nie ma też przy sobie żadnej rzeczy, która mogłaby wskazywać, jaki wykonuje zawód. Może niepokoi się bez powodu? Może wcale nie jest policjantką?

Chwilę potem okazało się, że jego obawy nie były bezpodstawne.

To rzeczywiście była policjantka.

I to akurat ONA!

Ciemne kręcone włosy. Srebrne kolczyki i to jej spojrzenie. Podczas przesłuchania nie spuszczała z niego oczu.

Elisa Jakaś Tam.

Zgodnie z planem wysłał Broncksa jak najdalej od tego miejsca. To Broncks znał go najlepiej i dlatego dopilnował, żeby nie stanął mu na drodze.

Za to zupełnie się nie spodziewał, że spotka tutaj ją. Policjantkę, która przyjechała po niego do domu matki. Potem usiadła naprzeciwko niego, a on był dla niej celowo niegrzeczny i wyzywający, żeby w ten sposób dopiec Bronckswi. Zrobił na niej tak złe wrażenie, że nigdy go nie zapomni.

W tym momencie po raz pierwszy zwątpił w swoje przebranie.

Dzieliły ich już tylko trzy, cztery kroki.

Co się stanie, jeśli go rozpozna?

Co jest gotów zrobić dla stu trzech milionów koron?

Wszystko.

W końcu się spotkali. Spojrzeli na siebie, ale policjantka miała taką minę, jak gdyby myślni była gdzieś indziej. Widać było, że jest zajęta własnymi sprawami. Kiedy Leo skinął jej głową, ledwo odważemniła jego pozdrowienie.

Tak wyglądało ich ponowne spotkanie.

Elisa minęła go w chwili, gdy skrzywienie wózka ustało. Leo zatrzymał się przed wejściem do magazynu depozytów i kamerą monitoringową. Zostanie dokładnie obejrzany i sprawdzony.

Ostatnie spojrzenie w jej kierunku.

Elisa też się zatrzymała.

Kurwa! Niech to szlag!

Na szczęście policjantka wcale na niego nie spojrzała, tylko wyjęła plastikową kartę, przeciągnęła ją przez czytnik i otworzyła drzwi z napisem ARCHIWUM.

Leo odetchnął. Nie poznała go.

Żeby się uspokoić, zaczął oddychać w zwolnionym, regularnym tempie. Spojrzał w obiektyw kamery, uniósł legitymację służbową i tak długo ją trzymał, aż drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

Zerknął na zegarek. Wejście do magazynu depozytów zabrało mu minutę i czterdzieści sekund. Ma dwadzieścia sekund zapasu.

W pomieszczeniu, do którego wszedł, było mnóstwo brązowych kopert i pudeł. Nikt nie stał w kolejce, ale za ladą, przy której odbywało się wydawanie depozytów, też nikogo nie było. Leo rozglądał się po magazynie, w którym na regałach i półkach leżały albo stały przedmioty stanowiące dowód rzeczowy w aktualnych czy w zakończonych śledztwach. Tak jak podczas jego poprzedniej

wizyty, w gęstym powietrzu unosiły się cząsteczki kurzu. W pewnym momencie usłyszał dźwięk w sąsiednim pomieszczeniu. Nie mógł tam zajrzeć, ale na pewno było bardzo duże, bo przechowywano w nim większość depozytów. Wspomniany dźwięk przypominał szuranie kartonów przesuwanych z jednego miejsca na drugie, jak gdyby ktoś robił porządki na strychu, żeby pozbyć się najstarszych rupieci, a na ich miejsce wstawić nowe.

– Przepraszam, ale mam tu trochę roboty. Widzę, że znowu cię przysłali po jakiś depozyt?

Ta sama marynarka co wczoraj, ta sama koszula w kratę w czerwonym odcieniu, który pasował do spoonych policzków. Oscarsson. Leo nie zdążył zdobyć grafiku dyżurów dla pracowników zatrudnionych w samym magazynie, więc na widok znajomej twarzy poczuł ulgę.

– Tak, to znowu ja.

– Eriksson, o ile się nie mylę?

Leo skinął głową.

– Peter Eriksson. Mam dzisiaj...

– Stare sprawy, które muszą ustąpić miejsca nowym. Czy wiesz, ile depozytów przypada dzisiaj na każde śledztwo?

– To chyba zależy od tego, ile padło strzałów, ile osób uczestniczyło w przestępstwie, ile...

– No właśnie! Masz całkowitą rację. Mam tu mnóstwo drobiazgów, bo każdy śledczy uważa, że mają one decydujące znaczenie dla prowadzonej przez niego sprawy: z miejsca zbrodni, z mieszkania sprawcy, z mieszkania ofiary... Większość czasu spędzam na przenoszeniu pudełek i kopert z jednego kąta w drugi, żeby zrobić trochę miejsca na nowe dowody.

Leo nie przerywał Oscarssonowi. Wiedział, że nie wolno mu okazywać zdenerwowania ani zadawać zbędnych pytań na temat depozytu opisanego w leżącym między nimi na ladzie formularzu, który wydrukował z tego samego skradzionego policyjnego komputera, z którego pochodził poprzedni formularz. W górnej rubryce widniało nazwisko oficera dyżurnego, w dolnym numer depozytu.

– I wiesz, co ci jeszcze powiem? Że przy takim obciążeniu pracą, jakiemu jesteśmy dzisiaj poddawani, kiedy kończy się jedno śledztwo, zaraz zaczyna się nowe. To dlatego ludzie nie mają czasu, żeby zejść do mnie i zabrać to, co przestało im być potrzebne.

Leo delikatnie przesunął formularz w stronę Oscarssona, a nawet odwrócił go na drugą stronę, żeby ułatwić mu pracę, a następnie wskazał palcem na numer depozytu, po który przyszedł.

– W takim razie uszczęśliwię cię, bo zaraz zwolnię ci trochę miejsca. Mam stąd zabrać dziesięć pudełek.

Oscarsson zaczął wodzić palcem po numerze depozytu. Pierwszy z nich miał numer 2016-0407-BG1713, ostatni 2016-0407-BG1722. Uniósł głowę i spojrzął na Leo takim wzrokiem, jak gdyby chciał się przed nim usprawiedliwić.

– Wiem... sprawdzałem cię wczoraj... ale tak dla porządku... pokaż mi jeszcze raz swoją legitymację służbową.

Leo wyjął z kieszeni skórzane etui i podsunął je Oscarssonowi w taki sposób, żeby ten mógł sprawdzić dane i obejrzeć zdjęcie. Pokazał mu też odznakę służbową.

– Dzięki. No popatrz, wszystkie twoje pudła leżą w najlepszych sejfach firmy EA Rosengrens. To pewnie coś wartościowego?

– Wiesz, co w tym wszystkim jest dobre? Że ani ty, ani ja nie wiemy, co znajduje się w tych wszystkich kopertach i kartonach. Ty mi przekazujesz zabezpieczony dowód w sprawie, a ja go przewożę. Dzięki temu nie kusi nas, żeby zrobić coś głupiego. Nie mam racji?

W końcu Oscarsson zabrał formularz z lady i zniknął między półkami w tej części magazynu, w której stały sejfy do przechowywania wartościowych depozytów. Leo zerknął na zegarek.

Zaplanował, że cała akcja potrwa dwadzieścia jeden minut. Uznał, że tyle czasu mu wystarczy. Ani minuty dłużej. Ulga wywołana faktem, że za kontuarem znowu zastał Oscarssona – co znacznie uprościło proces identyfikacji – zamieniła się w stres, gdy po przedłużającej się wymianie zdań na temat trudów pracy okazało się, że to, co pierwotnie miało trwać trzydzieści sekund, przedłużyło się aż do dwóch minut.

Po wyjściu Oscarssona Leo z nadzieją nasłuchiwał odgłosów dobiegających z zaplecza. Zamiast szurania kartonów i kopert słychać było ciężkie, mechaniczne dźwięki, które z łatwością rozpoznawał.

Najpierw w jednym z sejfów firmy EA Rosengrens puściły grube stalowe rygle. Takie sejfy stały w każdym szwedzkim banku w latach, gdy potrzebował znacznie więcej czasu, żeby wejść w posiadanie znacznie mniejszych kwot. Dlatego gdy usłyszał charakterystyczne, metaliczne trzaski będące dowodem na to, że uczestniczy w skoku, o którym marzył i który w pewnym sensie planował przez całe swoje życie, doznał uczucia, którego tak rzadko doświadczał: był szczęśliwy.

Najważniejsze jest zawsze to, żeby być tym, co się robi.

Oddychać pełną piersią, prowadzić upojne życie i w zależności od stopnia ryzyka kontrolować poziom adrenaliny: oszczędnie z niej korzystać i zawsze mieć ją w zapasie.

– Pierwsza paczka... cholernie ciężka... pewnie waży ze dwadzieścia kilogramów.

Oscarsson przytaszczył do lady karton. Obchodził się z nim jak z dzieckiem.

– Cholera... co w nich może być?

„Mnóstwo banknotów. Nie wiedziałeś?”

– Już ci mówiłem: nie mam pojęcia.

„Dwadzieścia kilogramów... jeśli każdy banknot pięćsetkoronowy waży 0.96 gramów, to w paczce jest mniej więcej dziesięć milionów koron. Ponad sto milionów koron zapakowanych do dziesięciu kartonów podobnej wielkości”.

Oscarsson położył karton na ladzie i ponownie oddalił się w głąb magazynu.

– Muszę je nosić po jednym. Zostało mi jeszcze dziewięć rund.

Karton owinięty był w brązowy papier pakowy i zabezpieczony taśmą klejącą w tym samym kolorze.

Leo pochylił się nad nim i zabrał *to, czego nie było*.

Banknoty przeznaczone do spalenia zostaną zastąpione nowymi, chociaż te stare nadal mają swoją dawną wartość. Stanowiły dowód w sprawie, którą kiedyś prowadził Broncks. Dostał za nią nagrodę.

Leo włożył paczkę na dno jednego ze swoich wzmocnionych kartonów. Zostało ich jeszcze dziewięć. Wszystko dobrze obliczył, miejsca na pewno mu wystarczy.

Ponownie zerknął na zegarek.

13.41.40

Do zakończenia akcji zostało szesnaście minut. Oscarsson miał już swój wiek i poruszał się powoli, a po przyniesieniu kolejnych kartonów za każdym razem jakoś ten fakt komentował. Ryzyko, że do magazynu zgłoszą się po odbiór dziesięciu paczek prawdziwi policjanci, z każdą chwilą stawało się coraz bardziej prawdopodobne.

A jeśli mimo wszystko plan się uda? W chwili gdy oszustwo wyjdzie na jaw, zostanie ogłoszony alarm. On będzie wtedy przebywał – w najlepszym wypadku – w podziemnym korytarzu z kilkuminutową przewagą nad tamtymi. Mając do dyspozycji wózek ze skrzypiącymi kółkami załadowany banknotami o wadze dwustu kilogramów, nie będzie się mógł zbyt szybko poruszać, aby ująć pościgu w podziemiach budynku policji. Mimo to musi podjąć próbę dotarcia do wyjścia z ratusza, bo tam czeka wolność.

Elisa złapała za okrągły uchwyt. Obróciła nim i prawie cała sekcja regałów rozsunała się na boki, odsłaniając dwie metalowe ściany zastawione od góry do dołu aktami zakończonych śledztw. W pomieszczeniu panowała cisza, jakiej nigdzie indziej nie mogłaby doświadczyć.

Teczki, segregatory i kartony zawierające wiedzę o popełnionych przestępstwach przechowywano w porządku chronologicznym. Na krótszej ścianie tej części magazynu stały akta oznaczone hasłem „Marzec 1993-czerwiec 1993”. Tekst wypisany był na maszynie. Kiedy Elisa weszła w ciasny korytarz, emocje powoli opadły. Nie tak dawno denerwowała ją świadomość faktu, że Broncks prowadzi z nią podwójną grę; przed chwilą z równowagi wyprowadziło ją skrzywienie wózka pchanego przez tamtego policjanta, który siedł do magazynu depozytów. Jej koledzy skarżyli się zawsze na niezdrowe powietrze i brak dziennego światła, ale ona widziała w tym miejscu coś zupełnie innego – harmonię. W archiwum należącym do policji miejskiej w Sztokholmie panował spokój, a całe to miejsce dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Przy ścianach stały półki z dokumentami ułożonymi według dat. Zawierały opisy dramatycznych wydarzeń, przemocy i chaosu. Wszystko to zostało zbadane, ocenione i wyjaśnione.

Każdy regał składał się z siedmiu poziomów. Elisa szukała akt o symbolu B 347/9317, który znalazła w bazie skazanych pod hasłem „Sam Larsen”. Okazało się, że znajdzie je na końcu i na samej górze jednego z regałów. Przyciągnęła stojącą przy drzwiach wejściowych drabinkę, wspięła się na najwyższy stopień i zdjęła z półki duże, jasnobezwowe, dosyć ciężkie pudło. Zaniosiła je w róg sali, gdzie stały dwa stoliki do czytania, i wyjęła z niego dwa pliki leżących na wierzchu dokumentów. Protokół techniczny. Na pierwszych stronach znajdował się prosty szkic letniego domku o powierzchni czterdziestu siedmiu metrów kwadratowych. Na kolejnych dwudziestu ośmiu kartkach Elisa znalazła czarno-białe fotografie przedstawiające dowody w sprawie. Wywarły na niej równie ponure wrażenie co niektórzy policyjni technicy. Jej szczególną uwagę przykuły dwa zdjęcia. Jedno z nich było opisane w następujący sposób:

Fotografia nr 5: północno-wschodni róg sypialni, ujęcie z dziennego pokoju. Przy najdalej położonej ścianie sypialni stoi łóżko. Kołdra, prześcieradło, materac i poduszka silnie poplamione krwią ofiary.

Drugie zdjęcie przedstawiało znacznie mniejszy obiekt opisany następująco:

Fotografia nr 14: Nóż marki Rapala. Znaleziony na podłodze. Żłobiona rękojeść z osłoną na palce. Czubek noża jest złamany.

Elisa przysunęła lampkę, a ponieważ snop światła był zbyt silny, skierowała go w drugą stronę. Żarówka powinna mieć moc czterdziestu, a nie sześćdziesięciu watów. Zdjęcie przypominało jej nóż, który znała z dzieciństwa, gdy po wielu godzinach spędzonych z wędką nad wodą oprawiali nim jedyne okonia, którego udało im się złowić.

Czy to tym nożem Sam Larsen zabił swojego ojca?

I dlaczego to zrobił? Co się wydarzyło między nim a ofiarą i powódką Gunillą Broncks?

Raport lekarza medycyny sądowej był krótki i liczył siedem stron.

Przyczyna śmierci: niewydolność wielonarządowa na skutek bezpośredniego, poważnego uszkodzenia organów wewnętrznych, jak również z powodu obfitego krwotoku zewnętrznego i wewnętrznego. Na zdjęciu widać łącznie 27 ran ciętych, w tym 21 ma ostre brzegi, i 6 ran szarpanych z postrzępionymi brzegami.

Raport kończył się opisem noża, którym sprawca zadał ofierze tyle ran:

W jednej z ciętych ran z ostrym brzegiem znaleziono - pod szóstym żebrzem - w boku - złamany czubek przedmiotu przypominającego fragment noża. Wymieniony czubek ma pow. 2.5 x 3 cm.

Co doprowadziło Sama Larsena do takiej furii, że tak potraktował swoją ofiarę?

Treść wyroku została zapisana na dwustu trzydziestu stronach. Elisa pominęła go. Na razie wystarczyło jej streszczenie, z którym zapoznała się w swoim biurze. Za to akta samego śledztwa mogą

zawierać odpowiedzi na wiele pytań. Zresztą wystarczyła jej lektura pierwszej rozmowy, żeby ten chyba najbardziej niezwykły tydzień w jej dotychczasowej pracy na policji stał się jeszcze bardziej niezwykły. Znalazła odpowiedź na pytanie, dlaczego Broncks konsekwentnie łamał kodeks honorowy policji, posługując się kłamstwami i świadomymi manipulacjami, które utrudniały wspólne prowadzenie śledztwa.

- Nazywam się John Broncks. Chciałbym zgłosić zabójstwo.

To samo przestępstwo zgłosiły telefonicznie dwie osoby: powódka Gunilla Ewa Broncks, która uciekła do sąsiadów, i pewien szesnastolatek – bezpośrednio z miejsca zbrodni.

- Rozumiem. Pomożemy ci. Z jakiego numeru dzwonisz?
- Zero jeden siedem jeden. Potem osiem cztery zero osiem cztery.
- Jesteś pewien, że ta osoba nie żyje?
- Tak, całe łóżko jest pełne krwi.
- Wiesz, kto to jest?
- Mój tata.

Elisa oderwała na chwilę wzrok od stosu papierów.

Nagle odkryła coś, czego wcześniej w Broncksi nie dostrzegała: ten jego neutralny wygląd, który chronił go przed przemocą. Z oczu, głosu i ruchów śledczego nigdy nie można było odczytać, czym się akurat zajmował. Dopiero teraz to zrozumiała: Broncks postanowił, że przemoc nigdy go nie osiągnie.

- Jesteś w domu sam?
- Mama pobiegła do sąsiada, ale jest tu gdzieś mój starszy brat. To on wbił mu nóż. Wiele razy.
- W takim razie posłuchaj, co ci teraz powiem, John. Ty też natychmiast pobiegnij do sąsiada i poczekaj tam na przyjazd policji.
- Ja nie muszę się już ukrywać. Tata nie żyje.

W końcu szczęście go opuściło i przemoc go dopadła.

Elisa zamknęła gruby segregator z aktami śledztwa i włożyła go z powrotem do kartonu razem z wyrokiem sądu, raportem lekarza medycyny sądowej i protokołem technicznym. Zapoznała się z faktami i wszystko rozumiała. Ten gnojek sabotował ich wspólne śledztwo, świadomie ją okłamał. Powód, dla którego to robił, w ogóle jej nie interesował. Nie zwalniał go od odpowiedzialności.

Weszła na drabinkę i odłożyła pudło z aktami na swoje miejsce, to znaczy na siódmą półkę. Pomieszczenie, które tak bardzo lubiła, znowu wzbogaciło jej wiedzę. Wychodząc, postanowiła kontynuować śledztwo, w którym po raz pierwszy w jej dotychczasowej karierze ktoś jej przeszkadzał i w którym musiała tropić dwie strony: sprawcę napadu i swojego kolegę z pracy, bo dopuścił się innego przestępstwa – zdrady i braku lojalności. W jej oczach oba te czyny niczym się od siebie nie różniły.

Elisa Jakaś Tam przeszła korytarzem między siódmą a ósmą rundą Oscarssona po kartony z pieniędzmi. Leo obserwował na monitorze stojącym na stoliku po drugiej stronie lady, jak policjantka zdecydowanym krokiem zmierza z powrotem do wyjścia. Od razu się domyślił, po co tu przyszła. Tylko ona i Broncks mogliby go rozpoznać. Na razie w magazynie był sam. Nikt nie ustawił się w kolejce, żeby dla potrzeb jakiegoś śledztwa pobrać któryś z tysięcy depozytów zapakowanych w brązowe koperty albo pudełka.

W pewnej chwili Leo znowu usłyszał głośne sapanie.

Oscarsson. Wyszedł z pomieszczenia, w którym stały wielkie sejfy, i pojawił się w ciasnym korytarzu, targając dziewiąty ciężki karton. Po obu stronach korytarza stały zapchane pudełkami regały. Oscarsson miał zaczerwienioną twarz i skronie, czoło i kark zroszone potem. Jego cienka warstwa pokrywała mu właściwie całą skórę. Wilgotna plama wykwitła nawet na brązowym papierze, w który owinięty był karton. Oscarsson dotarł do lady, na której po przyniesieniu czwartego pudła położył swoją szarą marynarkę i z trzaskiem postawił na niej to, które przytaszczył.

– To już... przed... ostatnie.

Oscarsson ciężko oddychał i z trudem mówił. Widać było, że brakuje mu powietrza. Leo przyznał jednak w duchu, że mimo wieku i warunków fizycznych policjant utrzymywał jak na razie niezłe tempo. Gdyby jeszcze przestał się skarżyć na swoją pracę i naprawdę się za nią zabrał, na przyniesienie każdego pudełka potrzebowałby dokładnie minutę i czterdzieści pięć sekund.

13.55.30

Na wykonanie tej części planu Leo przeznaczył dwadzieścia jeden minut. Zostały mu tylko dwie.

– Świetnie ci idzie. Jeszcze tylko jedno.

Gdyby Oscarsson nie wpadł na pomysł, żeby zrobić sobie przerwę, i gdyby ostatnie pudło przyniósł w równie szybkim tempie co pozostałe, i tak przekroczyłby zaplanowany przez Důvnjaca czas, chociaż nie na tyle, żeby narazić go na spotkanie z prawdziwymi policjantami. Leo musiał przecież podpisać pokwitowanie odbioru i zapieczętować kartony. Szansa na to, że skok się uda, nadal była duża.

– Mam rację? Potem to już ja będę musiał się nimi zająć.

– Jasne. Osta... tnie... dzie... siąte... przyniosę... jak się...

Po drugiej stronie lady stała butelka po coca-coli wypełniona do połowy wodą. Oscarsson nagle sobie o niej przypomniał i jego twarz rozpromienił uśmiech. Ostatni raz pił po przyniesieniu piątego pudła.

– ...trochę napiję.

Wziął butelkę i zaczął pić. Tymczasem Leo z niepokojem liczył upływające sekundy. Starał się opanować nerwy, żeby niczego po sobie nie pokazać. Dlatego Oscarssona pogańiał tylko na tyle, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń. Przecież nie mógł mu kazać przestać pić.

– Co wycopę, to uzupełnię, prawda?

Oscarsson mrugnął do niego jednym okiem i wyszedł do magazynu po ostatni depozyt. W tym samym momencie Leo poczuł wibrowanie telefonu w wewnętrznej kieszeni munduru. Od razu odebrał.

– Przyjechali! Trochę... – Leo poznał go głosem, że Sam jest bardzo zdenerwowany. – ...za wcześniej. Musisz uciekać, Leo! Natychmiast!

Leo słyszał, jak Oscarsson grzebie między pudłami i głośno sapie.

„Musisz uciekać”.

Nie. Jeszcze nie teraz.

Gdyby wyszedł z dziewięcioma pudłami zamiast dziesięciu i gdyby na dodatek nie pokwitował ich odbioru, Oscarsson na pewno wszcząłby alarm. Byłoby to o wiele bardziej ryzykowne niż dalsze czekanie na ostatni karton. Dlatego odwrócił się w drugą stronę i szepnął do słuchawki:

– Czekam na ostatnią przesyłkę, potem od razu wyjdę.

Celowo okłamał Sama, żeby go uspokoić.

– Niech ci będzie. Ja już spadam, idę do metra.

Ale siebie Leo nie mógł oszukać. Słyszał, jak Oscarsson dotarł w końcu do sejfu i szybko wyliczył, ile czasu będzie potrzebował, żeby wyjąć z niego pudło i przynieść je do swojego kantorka.

Mimo to znowu szepnął do telefonu:

– Spotkamy się jutro w umówionym miejscu. Powodzenia.

Potem już tylko liczył sekundy, żeby nie oszaleć z nerwów. Sześćdziesiąt trzy... w końcu usłyszał sapanie. Oscarsson podszedł do lady i z trzaskiem postawił na niej dziesiąte pudło, w którym znajdowało się dziesięć milionów w pięciusetkoronowych banknotach.

– Gdzie mam pokwitować?

Leo sięgnął szybko po pióro. Oscarsson oddychał już tak gwałtownie, że nie mógł mówić. Dlatego bez słowa wyciągnął białą kartkę i zgiętym palcem pokazał rubrykę, w której Leo miał złożyć podpis.

„Peter Eriksson”.

Podpis, który złożył, w jakimś stopniu przypominał ten poprzedni.

Potem zdjął z lady ostatnie pudło i włożył je do kartonu na wózku. Złożył cztery skrzydełka, zamknął karton i szybko zerknął na zegarek.

13.59.10

Półtorej minuty spóźnienia. Na dodatek prawdziwy konwój zjawił się pięć minut przed czasem.

Musi stąd jak najszybciej wyjść.

– Czy mógłbyś mnie już wypuścić?

Oscarsson skinął w milczeniu głową. Widać było, że jest zmęczony. Nacisnął guzik w ścianie i w grubych metalowych drzwiach rozległo się kliknięcie. Oba wielkie pudła, do których Leo spakował kartony z banknotami, zachowywały równowagę. Cały ładunek ważył dwieście kilogramów, ale przynajmniej kółko przy wózku przestało w końcu skrzypieć. Leo popchnął drzwi plecami i użył wszystkich sił, żeby przeciągnąć wózek przez próg. Potem ostatni raz zerknął na Oscarssona, który wsparty na łokciach całym ciężarem ciała opierał się o ladę.

W końcu Leo znalazł się w podziemnym korytarzu. Znowu był sam.

Czterdzieści metrów dalej znajdowało się pierwsze skrzyżowanie. Musi na nim skręcić w prawo. Kiedy to zrobi, nie zobaczy go już nikt, kto pojawi się w tej części podziemnego korytarza. Zwłaszcza ci, którzy wkrótce zjawiają się w magazynie po te same kartony, bo oni wejdą przez zachodnie wejście. Leo prawie nie czuł, że na wózku leży dwieście kilogramów. Kiedyś w podobny sposób wywoził ważącą czterysta kilogramów kuchenkę, a wózek ciągnął przez nierówny ogród. Ten był o połowę lżejszy, a kółka miał napompowane do maksimum, dzięki czemu nie kołysał się na boki. Leo czuł się, jak gdyby frunął.

Nagle usłyszał kroki.

Zanim skręcił w następną odnogę, odwrócił się. Sto metrów dalej, po drugiej stronie, ujrzał dwóch umundurowanych policjantów z wózkiem. Kierowali się wprost do magazynu depozytów.

Leo wyliczył, że dotrą tam za niecałą minutę. Za dwie minuty – kiedy Oscarsson pokaże im formularz i pokwitowanie odbioru tych samych pudeł, po które przyszli i które „jeden z waszych kolegów przed chwilą odebrał” – włączy się alarm.

Broncks przesunął się ostrożnie o kilka metrów dalej. Nadal stał ukryty wśród drzew, żeby nikt go nie zauważył. Kwadrans wcześniej wszystkie jego oczekiwania i cała nadzieja, jaką wiązał z tą akcją, sprawiły, że serce zaczęło mu bić szybkim, nierównym rytmem. Przestał się ruszać, w piersi dostał dziwnych skurczów i nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, które od niedawna go nachodziło. Przed kwadrans Leo miał się zjawić z ojcem w pomalowanej na brzydki kolor stodole, w której ukryli broń. Od razu by się okazało, czy Sam jest zamieszany w tę sprawę w aż tak dużym stopniu, jak się tego obawiał. Gdyby tak było, musiałby się skontaktować z dowódcą jednostki specjalnej i poprosić go o natychmiastowe wkroczenie do akcji.

Pustka.

Nadal nic się nie działo.

Rozczarowanie.

Broncks czuł się jak dziecko, które czeka na upragniony prezent owinięty w błyszczący papier i przewiązany ozdobnym sznurkiem, ale po otwarciu pudełka widzi, że w środku jest coś zupełnie innego niż to, czego się spodziewało.

Coś się tu nie zgadza.

Leo Dúvnjac, którego ściga od tak dawna, ten sam Leo, który śmieje się w twarz całej szwedzkiej policji, a nawet całemu szwedzkiemu społeczeństwu, za każdym razem dokonywał napadu o zaplanowanej godzinie i za każdym razem taki skok trwał określony czas. W stodole czeka największy łup, jaki kiedykolwiek wpadł mu w ręce: wojskowa broń, której wystarczy dla sporego oddziału. Kiedy ją sprzeda, jego konto wzbogaci się o pokaźną sumkę, większą niż kiedykolwiek wcześniej. Leo Dúvnjac, którego rozpracowywał i przesłuchiwał, nigdy nie zrobiłby niczego bez przygotowania. Tym bardziej nie każałby czekać swojemu klientowi.

W tym momencie usłyszał w słuchawce charakterystyczne trzaski.

„Do wszystkich jednostek”.

Słuchawka podłączona była do zestawu przy pasku. Za jego pośrednictwem Broncks mógł się porozumiewać z innymi uczestnikami obławy.

„Prawdopodobnie doszło do napadu na magazyn depozytów w Kronobergu”.

Broncks zastygł nieruchomo.

Napad? W budynku policji?

Pustka. Rozczarowanie.

Sens tego komunikatu zaczął docierać do świadomości poszczególnych policjantów dopiero po chwili. Ale nie do Broncksa.

„Sprawca jest mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, wzrost metr dziewięćdziesiąt, brązowe oczy, ogolona głowa”.

Poważne przestępstwo w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od miejsca, w którym Broncks się akurat znajdował.

Popelniono je dokładnie w tym samym czasie, w którym Leo miał się dopuścić równie groźnego przestępstwa, tyle że tutaj.

Broncks dopiero po chwili uświadomił sobie sens tego, co się stało, a nawet potrafił wyrazić to słowami. Świetnie znał tę metodę działania.

„Sprawca ubrany jest w policyjny mundur i posiada fałszywą legitymację służbową wystawioną na nazwisko Peter Eriksson”.

Leo nie przyjechał tu o ustalonym czasie, bo po prostu był zajęty dokonywaniem przestępstwa gdzie indziej. Broncks dowiedział się o posiadłości w lesie tylko dlatego, że tamten tego chciał. Broń w stodole to zwykła przynęta – żeby go tutaj zwabić.

Manewr odwracający uwagę przeciwnika. Fałszywy trop.

Kiedyś Leo wykreślił podobny numer. Dał im do zrozumienia, że podłożył bombę na Dworcu Centralnym, a gdy policja go przeszukiwała, kilkadziesiąt kilometrów od Sztokholmu napadał na bank.

A rysopis? Brązowe oczy, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, policyjny mundur i legitymacja służbowa?

To tylko przebranie. Fasada. Ucieczka od własnego wyglądu, czary.

Jak kiedyś, gdy zaparkował dwa różne samochody na osiedlu i zmusił policjantów, żeby prowadzili poszukiwania w dwóch różnych kierunkach.

Tak, to on.

Leo Dûvnjac.

Ostatnie stopnie prowadzące do żelaznych drzwi. Leo ustawił na chwilę wózek w takiej pozycji, żeby się nie przewrócił i zachował równowagę, a potem przeciągnął kartę przez czytnik.

Zero reakcji.

Lampka nie zapaliła się na zielono, nie usłyszał też charakterystycznego, metalicznego kliknięcia w zamku.

Kurwa!

Jeszcze raz przeciągnął kartę przez czytnik, ale drzwi oddzielające policyjny podziemny korytarz od ratusza nawet nie drgnęły. Leo potarł kartę o mundur i po raz trzeci przeciągnął ją przez czytnik.

Kurwa! Niech to szlag!

Od momentu gdy w korytarzu ujrzął prawdziwych policjantów, którzy przyjechali po pudła z pieniędzmi, pokonał już taki dystans, że dzieliło ich od niego pół korytarza. Funkcjonariusze szybko przeszli przez kontrolę, Oscarsson wpuścił ich do magazynu, doszło do zamieszania, a potem jego podejrzenie zamieniło się w pewność.

„Pieprzona karta! No otwórz te drzwi!”

Leo odwrócił się, ale nikt go nie ścigał. Ostatni odcinek pokonał, nie spotykając na swej drodze ani jednej osoby. Poruszał się w szybkim tempie, bo mimo ciężkiego ładunku wózek jechał bezszelestnie.

Kolejna próba. Wsunął kartę do czytnika i dokładnie ją przeciągnął.

Wreszcie! Zapaliła się zielona lampka!

Chwilę później usłyszał metaliczne kliknięcie.

Oparł się plecami o drzwi, chwycił obiema rękami za uchwyt wózka i jednym szarpnięciem przeciągnął go przez próg, który był trochę szerszy od progu w magazynie depozytów. Znalazł się po właściwej stronie podziemnego wejścia do ratusza.

Winda nie była zbyt duża, więc kiedy wjechał do niej z wózkiem, na którym stały dwa duże kartony, w środku zrobiło się ciasno. Zdjął mundur, pod którym miał założony niebieski kombinezon, wyjął z kieszeni bejsbolówkę i rozwinął ją. Na daszku widniał wykonany dużymi literami napis GONIEC.

Główne wyjście z ratusza znajdowało się dwie kondygnacje wyżej. Wystarczyło więc podczas jazdy windą ukryć policyjny mundur w górnym kartonie. Kiedy winda stanęła, Leo ruszył w stronę drzwi wyjściowych z budynku i po chwili znalazł się na ulicy, na świeżym powietrzu. Odetchnął głęboko z ulgą i rozejrzał się w poszukiwaniu ciężarówki, która miała tu na niego czekać.

Dotarł na umówione miejsce, ale Sama nie było.

Spojrzał w kierunku Kungsholmsgatan i wejścia do metra, potem w kierunku Bergsgatan i drugiego wejścia do metra.

Sam – gdzie ty, człowieku, jesteś?

Ostatnie kępy trawy, skok przez mokry rów i zwykły drewniany płot. Do żwirowej alejki.

Broncks próbował pozbyć się uporczywej myśli, która nie dawała mu spokoju i przy każdym kroku kołatała mu się po głowie. „Prawdopodobnie doszło do napadu na magazyn depozytów w Kronobergu”. Godzina napadu pokrywała się z zaplanowaną dziś na czternastą transakcją zakupu broni. Na dodatek dwa tygodnie temu o tej samej godzinie uprawomocnił się wyrok za tak zwany „napad stulecia”. Dwa odnośniki czasowe, które były ze sobą blisko powiązane, bo łączyły je sto trzy miliony koron. Ich żywot już się skończył i miały trafić na przemiał.

Ty gnojku!

Zmanipulowałeś mojego brata i namówiłeś go do udziału w przestępstwie, za które grozi dożywocie. Ukradłeś mi to, co w pewnym stopniu było rekompensatą za moją pracę policjanta.

Naprowadziłeś mnie na fałszywy trop, a potem przebrany za policjanta zadałeś mi cios, którym zmiażdżyłeś mi nie tylko serce, ale i życie – rodzinne i zawodowe.

Kiedy to wszystko w końcu do niego dotarło, nie mógł już tak po prostu iść. Zrozumiał, że musi natychmiast pobiec do tej pieprzonej stodoły.

Natrętne pikanie towarzyszyło ciężarówce cofającej się w stronę fasady budynku sztokholmskiego ratusza. Sam opuścił podnośnik, a Leo chwycił za wózek, wtoczył go na platformę i nacisnął guzik, żeby ją podnieść do właściwego poziomu. Dwie skrzynie z kartonami pełnymi banknotów o wartości stu trzech milionów koron wyglądały tak samo jak inne brązowe kartony znajdujące się wewnątrz samochodu. W końcu Leo zeskoczył na ziemię, zamknął tylną burtę i wszedł do szoferki od strony pasażera.

– Możesz jechać.

Ciężarówka ruszyła powoli ulicą Scheelegatan. Na pierwszym skrzyżowaniu skręciła w lewo w Hantverkargatan, kierując się w stronę centrum. Leo wyliczył, że za piętnaście, a maksymalnie dwadzieścia minut powinni dotrzeć do miejskiego parkingu. Stamtąd będą potrzebować mniej więcej tyle samo czasu, żeby dostać się do Värtahamnen.

– Spóźniłeś się, Sam.

– Tak, ale tylko dlatego, że metro się spóźniło. Jakiś skład utknął na peronie i dlatego nas zatrzymali. Torbę z mundurem wyrzuciłem dopiero po jego odjeździe.

Przed nimi zatrzymał się autobus pełen pasażerów. Na przystanku tłoczyła się kolejna liczna grupa, która chciała się dostać do środka. Trochę to trwało, ale tak jak uzgodnili, Sam przez cały czas zachowywał spokój. Zamiast autobus ominąć, poczekał, aż odjedzie.

– A co u ciebie? Jak poszło?

Kierowca autobusu zamknął w końcu wszystkie drzwi i ruszyli dalej. Kiedy przejeżdżali obok Urzędu Miejskiego, ich oczom ukazały się białe okręty kursujące wśród szkieł. Ich sylwetki odbijały się od powierzchni jeziora Mälaren.

– Chcesz wiedzieć, jak mi poszło?

– Tak.

– Na pace mamy dwieście kilogramów banknotów.

Broncks biegł piaszczystą drogą ze świadomością, że Leo Dûvnjac go oszukał, a broń w stodole była tylko przynętą. Tak jak poprzednio zrezygnował z forsowania głównych drzwi, na których wisiała potężna kłódka, i podszedł do mniejszych, na długiej ścianie. Na samym końcu drogi, w miejscu gdzie zaczynała się trawa, leżał ten sam pręt zbrojeniowy co ostatnio. Broncks podniósł go z ziemi, wyważył metalowy zawias, na którym wisiała mniejsza kłódka, popchnął drzwi i wszedł do środka.

Wszystko wyglądało tu dokładnie tak jak poprzednim razem. Nic się chyba nie zmieniło.

Broncks podszedł do ciężarówki i zerwał gumową końcówkę, żeby zsunąć plandekę. Ładunek też był na swoim miejscu, podobnie jak ceramiczne płytki, którymi wyłożone było dno i burty ciężarówki. W tym samym miejscu, na środku paki, leżało też dwieście sztuk broni automatycznej. Na szczycie stała skrzynka, a na niej pakunek z bombą.

Stacja metra Ratusz chwilowo zamknięta.

Kolejny komunikat jednostki specjalnej.

Broncks wyjął z ucha słuchawkę i odczepił od paska krótkofalówkę, żeby lepiej słyszeć. Przecież i tak był tu sam.

Przy końcu peronu znaleziono na torach policyjny mundur. Sprawca znajduje się prawdopodobnie wewnątrz sieci metra.

Dûvnjac oszukał nie tylko jego, ale także tych, którzy znaleźli mundur i zablokowali ruch w metrze, a teraz informowali o tym przez radio. Całkowicie wyprowadził ich wszystkich w pole. Inni policjanci nie wiedzieli, że jego umysł funkcjonuje właśnie w taki sposób. Leo nie jest zwykłym zbiegłym przestępcą, którego ściga policja. Zrzucił skórę i stał się tym, kim zawsze chciał zostać – autorem wielkiego skoku. Policja szuka go w niewłaściwym miejscu, bo tak to zaplanował. Skierował ich tam, gdzie znaleźli jego starą skórę, której zdążył się pozbyć.

Broncks wyjął telefon, żeby po kolei obdzwonić dowódców poszczególnych jednostek i poinformować ich, z kim mają do czynienia. Chciał im też poradzić, żeby zaczęli szukać zbiega w zupełnie innym miejscu.

Nie zdążył jednak wybrać numeru, bo w tym samym momencie zadzwonił jego telefon.

On? Teraz? Broncks prawie wykrzyczał jego imię do słuchawki.

– To ty, Sam?!

W słuchawce panowało milczenie.

– Sam, do cholery, odezwij się, przecież widzę, że to ty! Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę! Tyle razy próbowałem się do ciebie dodzwonić i...

– Zauważyłem, że dzwoniłeś. Mam na wyświetlaczu czterdzieści trzy nieodebrane połączenia.

Ten głos... W telefonie Sama?

– Widzę, że nadal nie rozumiesz, że twój brat nie chce z tobą rozmawiać?

Głos należał do Leo Důvnjaca.

– A jeśli on nie chce, to ja muszę porozmawiać za niego.

W tle słychać było uliczny szum. Broncks przycisnął telefon bliżej ucha. Aparat, z którego dzwonił Leo, znajdował się chyba w samochodzie, bo jego głos brzmiał tak, jak gdyby dochodził ze słabo izolowanego wnętrza.

– A tak przy okazji... Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to uważam, że powinniśmy się widzieć. Mam na myśli kontakt wzrokowy. Odwróć się, zrób pół obrotu w lewo i popatrz lekko w górę. Czy widzisz nad drzwiami kamerę?

Broncks odwrócił się i rzeczywiście – we wskazanym miejscu ujrzał kamerę.

– Świetnie. Teraz cię widzę. Wydaje mi się, że chyba trochę schudłeś? Na dodatek jesteś nieogolony. Żle się czujesz? Zbyt wiele spraw na głowie?

Te jego złośliwości... Ale Broncks i tak miał je gdzieś. Nie może dopuścić, żeby Leo go sprowokował. Wiedział, że za chwilę usłyszy coś nowego, i dlatego postanowił panować nad emocjami. Ten gnojek nie dzwoni po to, żeby go obrażać.

– Zakładam, że jeśli znalazłeś ciężarówkę, to się domyśliłeś, że mnie tam dzisiaj nie zastaniesz? Mam inne plany i jest już za późno, żeby je zmienić.

Broncks wpatrywał się w obiektyw kamery, która reprezentowała w tym miejscu konkretną osobę. Dopiero teraz zauważył, że cała jej powierzchnia jest pomalowana na czerwony kolor – tak jak stodoła.

– Ale nie martw się tym. Bo chociaż do naszego spotkania nie doszło, pozwolę ci zatrzymać całą broń, którą zostawiłem. Jest twoja. Pod warunkiem że nie zobaczę nagle w kamerze czegoś, co mi się nie spodoba albo nie usłyszę w policyjnym radiu czegoś, czego nie chciałbym usłyszeć.

Broncks zastanawiał się, czy Sam siedzi w samochodzie obok Důvnjaca i przysłuchuje się ich rozmowie.

– Powiem wprost: nie chcę usłyszeć w policyjnym radiu ani o mnie, ani o Samie. Jeśli się dowiem, że jesteśmy poszukiwani listem gończym, cała broń zostanie zniszczona. Jeśli wyłączycie kamery i na moim monitorze pojawi się czarny obraz, broń też zostanie zniszczona. Jeśli zobaczę, że do ciężarówki zbliża się policyjny robot, broń też zostanie zniszczona.

Ten jego głos. Taki spokojny, że aż nieprzyjemny. Te same kłamstwa, które każdy strażnik albo ochroniarz słyszał z jego ust podczas napadów.

– Dlatego od tej pory będziesz działał tak jak ostatnio: jako osoba prywatna, a nie policjant na służbie. To chyba lubisz najbardziej?

Potem rozległo się kliknięcie i w słuchawce zapadła cisza. Leo się rozłączył.

Broncks stał z telefonem w ręce i wpatrywał się w ścianę stodoły. Powinien poczuć się w tym momencie całkowicie unicestwiony, tak jak zapowiadał mu to Důvnjac, ale nic takiego nie czuł, bo podczas rozmowy, która tak naprawdę była pełnym żądań i poleceń monologiem Důvnjaca, wpadł na pewien pomysł. Postanowił mianowicie, że nie zastosuje się do żądań przestępcy, który obserwował go przez obiektyw kamery.

Przód ciężarówki prawie dotykał betonowej ściany z szerokimi szczelinami, przez które widać było brązową fasadę domu towarowego Nordiska Kompaniet, chodnik i ulicę.

Taki widok rozciągał się z szóstego poziomu miejskiego parkingu położonego w samym sercu Sztokholmu. Im wyżej, tym mniej pojazdów i ich właścicieli, którzy mogliby przypadkiem ujrzeć coś, co nie było przeznaczone dla ich oczu. Sam i Leo stanęli za burtą ciężarówki, zdjęli z siebie niebieskie kombinezony i przebrali się w zwykłe dżinsy, koszule i marynarki, aby podczas rejsu przez Bałtyk nie odróżniać się od innych pasażerów. Zawartość dwóch skrzyń rozłożyli do czterech dużych walizek i przenieśli je do szarego volvo, które wyglądało dokładnie tak samo jak tysiące innych samochodów tej marki, jakich jest pełno między centrum miasta a Värtahamnen. Potem Sam ruszył w dół. Brał ostre zakręty i zjeżdżał na coraz niższe piętra, aż w końcu dotarł do poziomu zerowego. Leo przez cały czas obserwował w telefonie obraz z kamery w stodole i wokół niej. Wszędzie było pusto. Cofnął zapis i na podstawie sekwencji sprzed trzynastu minut ustalił, że Broncks opuścił posiadłość i odjechał. Oznaczało to, że posłusznie wykonał jego instrukcje. Nie przekazał ich nazwisk przez policyjne radio, nie zniszczył kamer i nie wezwał posiłków.

W końcu opuścili parkingowy labirynt i wtopili się w popołudniowy ruch uliczny. Liczni turyści robiący zakupy zakłócali spokój zestresowanym urzędnikom w garniturach.

Prom odpływa za cztery i pół godziny.

Potem zaczną nowe życie.

Świeżo lakierowana podłoga, po której nikt jeszcze nie chodził. Kredowobiałe sufity, które w przyjemny sposób absorbują światło. Czyste ściany, które nie mogą jeszcze nic opowiedzieć.

Vincent lubił to uczucie, gdy wchodził do świeżo wyremontowanego mieszkania. To zupełnie coś innego niż odsiadanie wyroku w więziennej celi albo gdy po wyjściu na wolność były więzieni wprowadza się do przejściowego mieszkania wskazanego przez urzędnika, który nad takimi jak on sprawuje pieczę.

Wpadł tu ostatni raz, żeby sprawdzić, czy nie pominął jakichś drobniaków albo nie zapomniał o niezbędnych poprawkach. Potem nie chciało mu się wychodzić, więc tylko stał i patrzył. Już niedługo zrobi się tu ruch, pojawią się nowe zapachy, rozkwitnie nowe życie. Miłość i konflikty nie zdążyły się tu jeszcze zadomowić.

Vincent wiedział, dlaczego tak trudno było mu stąd wyjść.

Na zewnątrz czekały na niego same kłopoty.

Przed chwilą słyszał w radiu o napadzie w budynku policji. Łupem sprawców padła wielka kwota pieniędzy. To był naprawdę wielki skok. Leo zawsze o nim opowiadał, a ostatnio próbował namówić swoich młodszych braci, żeby mu w nim pomogli. Niedawno siedział tu nawet na skrzynce z narzędziami i rozmawiali o tym.

Jeszcze raz zerknął na świeżo odremontowane mieszkanie i zanim wyszedł na ulicę, zamknął drzwi na klucz. Następnego dnia odda go właścicielom. Idąc, usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach. Był na siebie zły, że został w mieszkaniu tak długo. Przestraszył się, że spotka się z parą, do której ono należy. Może przyszli tutaj, żeby je obejrzeć, coś zaplanować albo „wprowadzić się mentalnie”? Nie miał nastroju do takich rozmów. Nie dzisiaj.

Na szczęście okazało się, że to tylko sąsiad. Włosy miał związane w koński ogon, śmierdział terpentyną i farbą olejną. Od dnia, w którym zaczął się remont, spotykali się tu prawie każdego dnia i ani razu nie zamienili słowa. Tym razem też pozdrowili się tylko skinieniem głowy.

Wóz stał na parkingu należącym do wspólnoty mieszkaniowej. Kiedy Vincent podszedł bliżej, zobaczył mężczyznę opartego o maskę. Ubrany był w skórzaną kurtkę, dzinsy i miał czterdzieści kilka lat. Vincent od razu go rozpoznał, chociaż nie widzieli się od ponad sześciu lat.

– Dzień dobry, Vincencie. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś. Pomyślałem więc, że przyjadę tutaj.

John Broncks.

Glina, który prowadził śledztwo w sprawie napadów na banki. Sprawców nazywano Gangiem Wojskowym.

– Nie odbieram telefonów od numerów, których nie znam. Brudzi mi pan samochód.

– Nie szkodzi. Na razie nie będzie ci potrzebny. Pojedziesz ze mną.

– Nigdzie nie pojadę. Odsiedziałem wyrok i od wyjścia na wolność nie popełniłem żadnego przestępstwa. Dobrze pan o tym wie. A na pewno wie o tym pańska koleżanka, która przyszła mnie tu wypytywać o alibi.

Broncks uderzył kilka razy dłonią o burtę samochodu.

– To twoja firma?

– Tak.

– Domyślam się, że dobrze ci idzie? Interes się kręci?

Broncks ponownie uderzył ręką o blachę samochodu, tym razem w sam środek napisu V BYGG. To logo firmy.

– Owszem.

– W takim razie po co ryzykować? Przecież nie musimy wysyłać po ciebie umundurowanych policjantów w oznakowanych wozach? Czy twoi klienci znają twoją przeszłość?

„Ty dumniu, zostaw mnie w spokoju”.

Vincent miał ochotę wyrzyczyć te słowa. Wsiąść do samochodu, a cofając, rozjechać tego gnojka, który mu wyraźnie groził. Ostrzegł go, że zrobi coś, co mogłoby zaszkodzić jego reputacji w branży. A jeśli nagle zjawią się właściciele i zaczną go wypytywać, z kim i o czym rozmawiał?

– To nieuczciwe. Czego pan chce?
– Czegoś, z czym tacy jak ty muszą się po odsiadce pogodzić. Co jakiś czas pod twój dom podjedzie radiowóz, który zabierze cię na komendę, żebyś odpowiedział na parę pytań. To rutynowa czynność. Spytaj kumpli spod celi.

Vincent miał ochotę wsiąść do samochodu, przejechać po Broncksie, cofnąć i znowu po nim przejechać.

- O co chodzi?
- Porozmawiamy o tym w samochodzie.
- Nie. Najpierw chcę usłyszeć, o co chodzi.
- O twojego brata, Leo.

Vincent czuł, że znalazł się w niezbyt komfortowej sytuacji. Jest rano, a on ma zwrócić właścicielom klucze i dać im fakturę.

– Dobrze, ale najpierw muszę zadzwonić.

Vincent odszedł od samochodu i wybrał jeden z numerów zapisanych w telefonie.

– Mam nadzieję, że nie dzwonisz do brata, bo jeśli tak, to ostrzegam, że popełnisz przestępstwo. Chyba sam to rozumiesz?

Vincent podsunął Broncksowi telefon pod oczy. Na wyświetlaczu widać było słowo MAMA.

– Czy to też przestępstwo?

Vincent odwrócił się, a po kilku sygnałach ściszył głos.

– To ty, mamó?

– Tak.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, żebyś nie czekała na mnie z kolacją.

– Czemu nie? Co się stało?

– Przykro mi.

– Przecież ci mówiłam, że Leo nie przyjdzie. Nie będziesz się czuł niezręcznie jak przy tamtym lunchu. Domyśliłam się, dlaczego tak było, i dlatego na kolację zaprosiłam tylko ciebie.

Vincent zrobił jeszcze jeden krok, żeby bardziej oddalić się od Broncksa, i szepnął:

– Sytuacja jest trochę niezręczna...

Britt-Marie nie odpowiedziała. Może nie usłyszała jego ostatnich słów?

– Chodzi mi o to, że...

– Dlaczego sytuacja jest niezręczna?

– Przyszła po mnie policja. Pod dom, w którym remontowałem mieszkanie. To dlatego nie mogę przyjechać. Ten policjant chce mnie zabrać na przesłuchanie.

– Jaki policjant?

– Ten sam, który prowadził śledztwo w sprawie napadów na banki.

Britt-Marie umilkła. Vincent słyszał tylko jej oddech. Wiedział, że jest zaniepokojona. Poznał to po jej głosie.

– Nic z tego nie rozumiem. Zerwałeś z przestępczym życiem, zapłaciłeś nawiązkę i odsiedziałeś wyrok. Powinni ci dać spokój!

– Ale tu nie chodzi o mnie.

Tym razem Vincent na chwilę się zawahał.

– Chcą mnie przesłuchać w sprawie Leo.

Przy nowym nabrzeżu w Värtahamnen cumował olbrzymi prom pasażerski. Do odplynięcia zostały tylko cztery godziny. Za trzy będą mogli tam wejść i zająć luksusową kabinę na górnym pokładzie z widokiem na Bałtyk. Czas do odplynięcia promu spędzą w hotelu położonym zaledwie dwieście metrów od terminalu. Przed chwilą podjechali samochodem przed wejście. Odebrali w recepcji klucze i weszli do windy. Jej wnętrze przypominało im ciasną celę, w której planowali skok. Jadąc na górę, czuli ssanie w żołądku. W dobrym nastroju utrzymywał ich tylko widok czterech walizek wypełnionych banknotami.

Na skrzyżowaniu Broncks skręcił na Fridhemsplan, a potem na Drottningholmsvägen. Jednak nie w lewo, gdzie znajduje się komenda policji w Kronobergu, tylko w przeciwną stronę.

– Dokąd jedziemy?!

– Już powiedziałem. Chcę ci zadać kilka pytań.

Vincent odwrócił się, żeby lepiej wszystko widzieć. Po raz pierwszy jechał radiowozem na przednim siedzeniu i mógł się swobodnie poruszać. Wcześniej za każdym razem miał na rękach kajdanki i siedział z tyłu.

Ale i teraz nie czuł się najlepiej.

– Tak, miał mnie pan przesłuchać, ale na komendzie.

Broncks wzruszył ramionami.

– Pewnie słyszałeś, że doszło dzisiaj do różnych wydarzeń. Drogi są zablokowane i panuje na nich duży ruch.

– No i co z tego? Jasne, że słyszałem. Ale my jedziemy przecież za miasto.

– Faktycznie, masz rację.

Kiedy po przejechaniu przez Thorildsplan skręcili w prowadzącą na południe autostradę Essingeleden, Vincent rozejrzał się po samochodzie.

– Coś mi tu śmierdzi. O co mnie pan podejrzewa? No słucham! Od razu odpowiem na każde pytanie! Od kiedy jestem na warunkowym zwolnieniu, które kończy się za niecały miesiąc, prowadzę dokładny dziennik. Zapisuję wszystko, co robiłem, godzinę po godzinie. Będę to robił także wtedy, gdy w pełni odzyskam wolność, żebyście już nigdy nie mogli mnie dopaść!

Vincent odwrócił się do Broncksa, który siedział w milczeniu za kierownicą ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– To dobrze, Vincencie. Bardzo sprytnie.

Kiedy wyjechali z pierwszego tunelu, przyspieszył.

– Ale teraz w niczym ci to nie pomoże, bo chodzi o przestępstwo popełnione na długo przedtem, zanim zacząłeś ten swój dziennik prowadzić.

Poczekalnia. Właśnie taką funkcję pełnił ich hotelowy pokój. Był tymczasowym schronieniem w ostatniej fazie planu. W oczekiwaniu na odpiływanie pasażerskiego promu, który widzieli przez okno.

Leo usiadł na pomarańczowej kanapie wciśniętej między garderobę a nienaturalnej wielkości lampę podłogową. Wyjął z kieszeni kurtki dwa bilety i położył je na stoliku. Pierwszy z nich wystawiony był na niejakiego Johana Martina Erika Lundberga, który przed trzema dniami bez problemu przejechał przez policyjny kordon wozem do rozwożenia mleka. Drugi bilet sprzedano dla Petera Erikssona, który przebrany w policyjny mundur skradł z magazynu depozytów dziesięć kartonów banknotów. Leo wyjął z tylnej kieszeni spodni służbowy pistolet, który kupił od stukniętego Sulla w zimnej piwnicy. Przytknął go Broncksonowi do skroni tuż przed wybicciem północy przez kościelne dzwony. Potem miał ten pistolet przy sobie podczas skoku.

Sam zaciągnął zasłony, żeby nikt nie zaglądał do ich pokoju z budynku po przeciwnej stronie ulicy. Leo otworzył jedną z walizek, wyjął z niej policyjne radio wciśnięte między dwie paczki banknotów i zaczął podsłuchiwać rozmowy funkcjonariuszy. Ich głównym tematem był skok na magazyn depozytów. Policja ustawiła wokół całego terenu blokady i ruszyła w pościg za przestępcą, który prawdopodobnie ukrył się w tunelu wschodniej linii metra, w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono porzucony mundur.

Czasu do odpiływania promu pozostało niewiele.

Za chwilę do ich kabiny numer pięćset siedemdziesiąt jeden wjedzie butelka szampana, a oni ją otworzą i wychylą toast.

– Podejdz tutaj i ustaw się w tym miejscu.

Broncks pomachał ręką Vincentowi, który nadal stał w drzwiach prowadzących do stodoły.

– Chwyć mocno za brezent po twojej stronie i pomóż mi go ściągnąć z ciężarówki.

– Nadal nie rozumiem, o co chodzi. Po co mnie pan tu przywiozł? Co to za sztuczki?

– Najwyższej jakości. Jak wtedy, gdy ma się dowody i można wsadzić sprawcę za kraty.

– Jeśli rzeczywiście chce mnie pan przesłuchać w tym zapuszczonym gospodarstwie, to proszę bardzo, zróbmy to od razu. Czy możemy zacząć? Chcę już wrócić do domu. Wieczorem jestem umówiony na kolację.

Przez liczne szczeliny, które czas wyrzeźbił w ścianach, przebijały resztki dziennego światła. Mimo to w niektórych miejscach było już zupełnie ciemno. Broncks włączył prowizoryczne górne oświetlenie.

– No powiedz, nie jesteś choć odrobinę ciekaw, co jest na pace samochodu? Przyjechaliśmy tu tylko z tego powodu. Właśnie to chciałem ci pokazać.

– Uważa mnie pan za głupca? Cokolwiek to jest, na pewno nie zostawię na tym odcisków palców.

Broncks uśmiechnął się i sam zaczął odwiązywać plandekę. Potem lekko ją unosił, żeby odsłonić to, co zakrywała. A ponieważ Vincent znajdował się w zasięgu jego wzroku i patrzył na ciężarówkę, Broncks z łatwością obserwował jego reakcję. Vincent od razu się domyślił, skąd pochodzi broń na wozie.

– Dwieście sztuk broni. Tej samej, którą zrabowaliście razem z braćmi. Nigdy was za to nie skazano. A teraz leży tutaj. Wyobrażasz to sobie? Kiedy wybrałem z tego stosu pięć dowolnych karabinów i przejechałem po nich moim pędzelkiem do zabezpieczania śladów, okazało się, że na każdym z nich są swoje odciski! Tak więc o to akurat nie musisz się martwić, bo twoje i tak już mamy.

Po tych słowach w stodole zapadła cisza.

Można by pomyśleć, że Vincent zachowuje całkowity spokój, gdyby nie oczy, które przesłały do mózgu Broncksa wiadomość, że zobaczył to, co przeczuwał. I że słaby zapach, który wychwyił w chwili, gdy stanął w drzwiach stodoły, to rzeczywiście zapach smaru, którym naoliwiono broń, żeby zabezpieczyć ją przed wilgocią i upływem czasu.

– A teraz zaczęną zadawać pytania, z powodu których cię tu przywiozłem. Ale nie tobie, tylko twojemu bratu.

Leo ściszył radio. Głosy policjantów, którzy dali się wpuścić w zastawioną przez niego pułapkę i teraz szukali go w tunelu metra, stały się głośniejsze, a nawet nazbyt głośne. Na pewno nie zdawali sobie z tego sprawy. Kiedy sprawdził obraz rejestrowany przez kamery zamontowane w leśnej posiadłości, okazało się, że kamera „A” nagrała samochód jadący w kierunku stodoły. Leo ponownie odtworzył tę sekwencję. Tak, to auto Broncksa. To on siedzi za kierownicą. I jeszcze kogoś przywiozł.

Pewnie jakiegoś innego glinę.

„Broncks, ty dumniu, nie ma znaczenia, ilu gliniarzy ze sobą przywieziesz. Mnie na pewno nie dopadniesz, za to ty stracisz całą broń”.

Trzymając telefon komórkowy w jednej ręce, drugą wpisał ośmiocyfrowy numer, który jednak nie należał do żadnego abonenta. Był to numer telefonu, który znajdował się w stodole i łączył z mechanizmem, który pod wpływem impulsu miał aktywować bombę termitową. Teraz wystarczyło już tylko wcisnąć klawisz z zielonym symbolem. Zanim jednak Leo to zrobił, jeszcze raz spojrzył na obraz zarejestrowany przez kamerę „B”. Widać było wyraźnie, że obaj przybyścze poruszają się ostrożnie, aby nie wystawić się na ryzyko śmierci.

Broncks podszedł do samochodu, rozwiązał sznurki, unosił brezent i odsłonił ładunek leżący na pace. Widać było, że z kimś rozmawia, prawdopodobnie z drugim gliną, który z jakiegoś powodu nadal stał w drzwiach poza zasięgiem kamery.

Zbyt blisko. Broncks stał zbyt blisko bomby.

Leo unosił palec, ale nadal czekał na jego kolejny ruch. Kiedy Broncks ruszył w kierunku drugiego policjanta, ten znalazł się w zasięgu kamery.

„A teraz, panie Broncks, doświadczy pan na własnej skórze, jak to jest, gdy dwieście sztuk broni roztapia się w temperaturze trzech tysięcy stopni”.

Leo już chciał wcisnąć klawisz, gdy nagle zadzwonił jego telefon.

Na wyświetlaczu, zamiast obrazu emitowanego przez kamerę, pojawił się numer telefonu, którego się nie spodziewał.

– Vincent?

W słuchawce usłyszał czyjś oddech. Nic więcej.

– Vincent... braciszku? Powiedz coś... Po co do mnie dzwonisz?

– To nie on do ciebie dzwoni.

Ten głos... w telefonie Vincenta?

– Przecież ci powiedziałem...

Tak, to Broncks.

– ...że jeśli wciągniesz w to mojego brata, ja wciągnę twojego.

Broncks znowu znalazł się w zasięgu kamery. W dłoni trzymał czarny pistolet, który wciskał komuś w plecy, między łopatki. Także ta osoba pojawiła się w końcu na ekranie.

Vincent.

– Na pewno widzisz w swojej kamerze, że jestem tutaj z twoim bratem. Właśnie przed chwilą zatrzymałem go za terroryzm. Za taki czyn zgodnie z prawem grozi nawet dożywocie.

Cztery metry, chyba nie więcej. Broncksa i Vincenta dzieliła od ciężarówka właśnie taka odległość.

Na tyle bezpieczna, żeby uaktywnić ładunek.

– Jak się pewnie domyślasz, jego odciski palców znaleźliśmy na każdym karabinie. Twoje zresztą też, podobnie jak odciski waszego trzeciego brata.

„Za dziesięć sekund z twoich dowodów nie pozostanie nawet ślad”.

– O tym miejscu nie wie żaden inny policjant. Nikt nie ma też pojęcia, że jestem tutaj z twoim bratem. Pomyślałem więc, Leo, że usunę z broni wszystkie odciski palców z wyjątkiem twoich.

„Panie Broncks, właśnie kładę palec na klawiszu”.

– Zrobię to pod warunkiem, że tu do nas przyjedziesz i oddasz się w moje ręce. Jeśli to zrobisz, uwolnię twojego brata.

– Ty gnojku, chyba wiesz, że w samochodzie jest bomba?

– Wiem, ale jestem pewien, że dopóki stoję tu z twoim bratem, nie uruchomisz mechanizmu.

„Wystarczy. Naciskam guzik. Nie będzie żadnych odcisków. Niech ci się nie wydaje, że to zwykła bomba. To raczej taki stacjonarny piec odlewniczy. Taką bombę człowiek czuje, ale od niej nie ginie”.

Leo wcisnął klawisz z zielonym symbolem, ale nic się nie wydarzyło. Jeszcze raz go wcisnął i znowu nic. Ciężarówka jak stała, tak stała. Nie pojawił się żaden gwałtowny błysk wywołany wybuchem gorącego termitu, który z pojemnika umieszczonego nad wozem miał spłynąć na broń.

Obraz znowu się zmienił. Broncks podszedł do kamery i spojrzał w obiektyw.

– Leo, musisz chyba podjąć decyzję. Albo twoi bracia, albo ty.

– Leo?

Niewypał!

– Leo... co ty, kurwa, robisz?

Bomba powinna była wybuchnąć w wyniku reakcji chemicznej aluminium, hematytu i tlenku żelaza. Taka mieszanka miała wytworzyć ilość ciepła wystarczającą do likwidacji dowodu w sprawie. Coś jednak poszło nie tak.

– Leo? Uzgodniliśmy, że zostaniemy tutaj do odejścia promu.

Sam dogonił go na korytarzu, tuż przed wyjściem z hotelu.

– Muszę tam pojechać.

Obaj oglądali ten sam zarejestrowany przez kamerę obraz i obaj słyszeli przez telefon tę samą rozmowę. Komentarz był zbyteczny.

A to, czego nie wiedzieli?

– Muszę tam pojechać, żeby zdetonować bombę ręcznie.

Zrobił to, czego życzyła sobie mama. Postanowił zerwać więzi z rodziną. Potem się pożegnał, ale jak widać nie zadziałało.

– Jeśli tego nie zrobię, Felix i Vincent dostaną dożywocie.

– Nie wolno ci tam jechać!

– Zdążę.

– Znam mojego brata lepiej niż ty i wiem, na czym mu zależy: chce cię dopaść, gdy będziesz uciekał z łupem ze skoku stulecia. Wymieni cię na twoich braci. Jeśli stąd teraz wyjdiesz, cały nasz plan trafi szlag. Nie uda ci się wrócić!

Leo rozglądał się po pokoju za swoim biletem i pistoletem. W końcu znalazł obie te rzeczy na stoliku i zabrał je stamtąd.

– Masz rację. Dlatego gdy zaczniesz się odprawa, wejdiesz na pokład. Obiecuję, że odpłyniemy stąd razem.

Leo wyszedł, a Sam przestał go zatrzymywać. I chyba tylko dlatego Leo odwrócił się jeszcze na korytarzu, jak gdyby winien mu był wyjaśnienie.

– Sam?

– Co?

– Przykro mi, ale nie mogę ci obiecać, że jak już będzie po wszystkim, twój brat nadal będzie żył.

Leo zatrzymał samochód po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy postanowił przejrzeć zapis z kamer monitoringu, to znaczy w momencie, kiedy znalazł się tak blisko opuszczonej posiadłości, że mógł ją obserwować ze zwirowej drogi. Zamontowana na ogrodzeniu kamera „A” pokazywała nieruchomy obraz. Oznaczało to, że tą drogą na teren posiadłości nie wjechały żadne policyjne posiłki. Z kolei obraz emitowany przez zamontowaną w stodole kamerę „B” był czarny. Oznaczało to, że Broncks albo ją zdjął, albo czymś zasłonił. Leo wiedział, że w chwili gdy Broncks pokazał mu Vincenta, stracił nad nim przewagę.

Wysiadł z samochodu, żeby ostatni odcinek pokonać piechotą. Zamierzał obejść posiadłość szerokim łukiem przez las i zbliżyć się do niej od tyłu, aby się upewnić, czy także od tej strony na teren gospodarstwa nie wjechały żadne jednostki policyjne.

Musiał zniszczyć przeszłość, żeby ona nie zniszczyła jego braci.

Pokonał ostatni odcinek i znalazł się przy tej ścianie stodoły, na której nie było ani okien, ani drzwi. Był już pewien, że Broncks działa na własną rękę. Nie tylko dlatego, że w pobliżu nikogo innego nie zauważył, ale także ze względu na fakt, że jeśli funkcjonariusz szwedzkiej policji postanawia zatrzymać podejrzanego i w tym celu szantażuje go groźbami kierowanymi wobec jego brata, to takie działanie na pewno nie obroniłoby się w żadnym sądzie.

Na podwórzu panowała cisza. Leo przyłożył ucho do drewnianej ściany stodoły, ale ze środka też nie dobiegały żadne dźwięki.

Teraz był już na sto procent pewien, że Broncks działa na własną rękę. Wiedział też, że jeśli staną naprzeciwko siebie – z bronią albo bez – na pewno go pokona. Broncks miał jednak zakładnika, który był jego zabezpieczeniem w tej rozgrywce. Sytuacja zmieniła się o tyle, że bombę na samochodzie trzeba będzie odpalić ręcznie, aby nie pozostał najmniejszy ślad. Odbędzie się to w tym samym miejscu, które zaplanował, ale w nowych okolicznościach efekt końcowy nie jest już tak oczywisty, jak zapewniał o tym Sama. Poza tym musi wrócić na terminal, bo czasu do odpłynięcia pozostawało coraz mniej. Nie zdąży więc opracować jakiegos racjonalnego planu. Dlatego niewiele się zastanawiając, obszedł stodołę dookoła i wszedł do środka przez drzwi.

– Już jestem, Broncks.

Wnętrze stodoły wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy był tu ostatni raz. Pośrodku stała ciężarówka wyładowana bronią, na końcu widać było niewielkie poddasze.

– A ja stoję za samochodem.

Leo od razu rozpoznał pewny siebie głos policjanta dobiegający z drugiej strony wozu. Wsunął rękę pod kurtkę i położył ją na kolbie pistoletu. Idąc w kierunku wozu, czuł, jak końcówka lufy wgniata mu się w skórę.

– Gdzie jest mój brat?

– Obejdź samochód, to go zobaczysz.

Leo zdjął dłoń z pistoletu. Wiedział, że musi błyskawicznie zorientować się w sytuacji, a przede wszystkim w pozycji Vincenta. Ogarnie, co jest grane, i dopiero wtedy zacznie działać.

Ostrożnie obszedł wóz z drugiej strony.

Najpierw ujrzał Broncksa – siedział przy stole warsztatowym na tym samym składanym krześle, na którym całkiem niedawno siedział on, gdy konstruował bombę termitową. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i znalazł się przed maską samochodu. Dopiero w tym momencie ujrzał Vincenta. Jego brat stał w nienaturalnej pozycji przy drzwiach od strony pasażera. Na prawym nadgarstku miał kajdanki, którymi był przykuty do klamki drzwi samochodu. Tego samego, który on zamierzał zniszczyć.

– Jeśli zrobisz to, co ci każę, nikomu nie stanie się krzywda.

Broncks wypowiedział te słowa łagodnym tonem. Na razie miał nad nim przewagę. Vincent stał pochylony lekko do przodu ze wzrokiem wbitym w spróchniałe deski podłogi. Nie patrzył na Leo, nie okazywał żadnych uczuć.

– Załóż ręce za głowę, a potem idź powoli w moją stronę.

Broncks wymierzył w niego swój służbowy pistolet. Było to wyraźne ostrzeżenie, żeby Leo nie zrobił czegoś nieprzemyslanego.

– Vincent... jak się czujesz, braciszku?

Leo próbował zajrzeć mu w oczy, ale Vincent unikał jego wzroku. W końcu jednak spojrzął na brata.

– Obiecuję ci, że cię z tego wyciągnę. I to zaraz.

W oczach brata Leo ujrzał pełną rezygnacji złość. Właśnie złość – nie strach.

– Obiecuję ci to, bracie.

Po tych słowach Leo znowu odwrócił się do Broncksa.

– Powiedz mi, John... skąd pomysł, że to ci się może udać?

Czekając na odpowiedź, zerknął ukradkiem na Vincenta i ciężarówkę. Uwolnienie brata z kajdanek bez specjalistycznych narzędzi uznał za bardzo trudne. Znacznie łatwiejsze będzie wyrwanie klamki z drzwi.

Zaczął szukać słabej strony w planie Broncksa. Taka słaba strona objawia się nagle, w ułamku sekundy. Człowiek uświadamia sobie tę możliwość, jeszcze zanim się pojawi.

– Obiecałeś, że mój brat wyjdzie z tego cało. Czy możesz mi dać taką gwarancję?

Broncks bez słowa wymierzył pistolet w jego brzuch.

– Zgłupiałeś? Chcesz mnie zastrzelić? Wtedy będziesz musiał zastrzelić Vincenta. A przecież i tak wydarzyło się już tyle rzeczy, z których będziesz się musiał wytłumaczyć. Nie będzie ci łatwo. Chcesz do tego dołożyć jeszcze dwa trupy?

Broncks lekko się uśmiechnął. Z kieszeni kurtki wyjął drugą parę kajdanek.

– Nie będzie żadnej strzelaniny... bądź tak grzeczny i załóż je na prawy nadgarstek.

Po tych słowach rzucił kajdanki Dūvnjacowi.

– Drugi koniec przyczep do tej samej klamki, do której przykułem twojego brata.

Dwaj bracia przyczepieni kajdankami do samochodu, na którym leży niewypał. Wystarczy elektryczny impuls i wszystko wyleci w powietrze. Dojdzie do reakcji chemicznej, podczas której wydzieli się tak duża ilość ciepła, że stopi żelazo, spali im skórę i tkanki.

Tysiące stopni Celsjusza sparaliżują zmysły. Są od tego o włos.

– Jeśli chcesz mnie wziąć żywcem...

Leo rzucił kajdanki na podłogę. W stodole rozległ się głośny trzask.

– ...musisz natychmiast wypuścić mojego brata. Potem mi opowiesz, w jaki sposób zamierzasz wyłączyć go ze śledztwa.

Broncks podeszedł wolnym krokiem do Vincenta. W tym momencie był mniej więcej w połowie drogi do Leo.

– Wypuszczę go dopiero wtedy, gdy się przykujesz. Ale on i tak nie będzie mógł stąd tak po prostu odejść. Musi mi najpierw pomóc w rozładunku broni. Potem usuniemy z kolb, luf i spustów wszystkie odciski palców. Na ostatnim karabinie zostawimy twoje. Potem stanie się tak, jak obiecałem. Masz moje słowo.

– Twoje... co? Słowo?

– Tak. I mojego brata. Mam rację? Wiesz, że przyjechałem tu sam, i pewnie się domyśliłeś dlaczego. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że namówię Sama, żeby się z tego wycofał. To dlatego popełniłem tyle gaf.

– Chciałeś powiedzieć „błądów”?

– Nazywaj to, jak chcesz.

– Błędy, przez które możesz stracić robotę, chcesz wymienić na mojego młodszego brata?

Leo pochylił się, żeby podnieść kajdanki.

– Uważasz, że to sprawiedliwe? Ja dostanę dożywocie, a ty spokojnie wrócisz do pracy?

Nagle Leo rzucił kajdanki w kierunku Broncksa, ale zrobił to w taki sposób, że nie zatoczyły łuku – jak wtedy, gdy rzucił je Broncks – tylko poleciały prosto w niego. Leo mierzył w twarz, ale Broncks instynktownie uniósł ręce, żeby się zasłonić, i na chwilę przestał kontrolować sytuację. Leo czekał na taką okazję od chwili, gdy wszedł do stodoly.

Sprężył się jak drapieźnik, a potem rzucił gwałtownie do nóg Broncksa. Użył całej siły, a ciężar ciała i energię wykorzystał po to, żeby trafić w cel i przewrócić na ziemię człowieka, który chciał mu przeszkodzić w ucieczce. Zrobił to w taki sposób, żeby nie być na linii strzału.

To, co wydarzyło się chwilę później, było już tylko konsekwencją jego wcześniejszych ruchów.

Leo wytrącił Broncksovi broń z ręki, chwycił go za głowę i uderzył nią o podłogę z taką siłą, że policjant stracił przytomność. Leo podniósł się z ziemi, wyciągnął zza kurtki swój własny pistolet

i przyłożył go Bronckowski do czoła. Wiedział, że musi go zabić.

– Nie!

Vincent zaczął się szarpać jak przywiązany do budy pies, uderzając kajdankami o drzwi samochodu.

– Nie zabijaj go!

– Musimy go zlikwidować! On się nigdy nie podda. Nigdy! Nie zamierzam iść przez niego do pierdła na resztę życia.

Vincent dalej się szarpał, jak gdyby chciał podbiec do starszego brata.

– Leo, posłuchaj... to, co zrobisz, i tak nie ma żadnego znaczenia. Te gnojki i tak nas dopadną! Mnie, Felixa, mamę, a nawet ojca! Tego, co zrobisz, nie da się wymazać, a jeśli ty uciekniesz, dopadną nas. Czy ty tego jeszcze nie rozumiałeś? Nie strzelaj! Jeśli to zrobisz, uwikłasz mnie, a ja już nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Vincent z taką siłą kopał i szarpał za klamkę, że cały samochód zaczął się ruszać.

– Daj spokój, przecież nikogo do niczego nie zmuszam!

– Urodziliśmy się w tej samej pieprzonej rodzinie! Wtedy też nikt nas nie zmuszał! Nikt!

Po twarzy Vincenta zaczęły spływać łzy.

– Nie rozumiesz, że staram się posprzątać to gówno? Robię to codziennie, po trochu. Ale jeśli go zabijesz, nic się już nie da sprzątnąć.

Vincent szarpał za kajdanki, ale nadal nie mógł się uwolnić.

Chwilę później zrobił ostatnią rzecz w swoim życiu.

Drgania ciężarówky przeniosły się z klamki do dwóch kabli podłączonych do biegunów na mniejszej z obu baterii, chociaż Leo zaplanował to inaczej: kable miały się ze sobą połączyć, gdy on wyśle sygnał. Z nieznanых powodów coś poszło nie tak i system zadziałał dopiero wtedy, gdy impuls przeskoczył z jednego ogniwa na drugie na skutek szarpania się Vincenta z klamką i kajdankami.

Z początku Leo nic nie słyszał – żarzące się ogniwa rozgrzały się w termitowej mieszance siarczanu żelaza i aluminium wypełniającej pudełko leżące na ciężarówce. Biały intensywny blask wirował i wypływał z siebie ogniste języki, które w ciągu zaledwie kilku sekund zamieniały gruby plastik w parę. W miarę jak białozółty gęsty ogień atakował stos karabinów leżących na wozie, skwierczący dźwięk przybierał na sile.

Leo odskoczył od ogniowego tsunami, które chciało go dopaść, a gdy minęła pierwsza fala, spojrzął na brata.

Ciało Vincenta wisiało ciężko i nieruchomo na kajdankach, którymi nadal był przykuty do klamki. Wyglądał jak torba wypełniona narządami wewnętrznymi.

Żar równie szybko ustąpił, jak się pojawił, ale nadal pożerał fragmenty broni leżącej na dnie platformy między płytkami a benzyną.

Leo rozejrzał się po ziemi. Pod stołem warsztatowym ujrzał żłobiony kawałek żelaza, który kiedyś był częścią jakiegoś większego urządzenia. Chwytał go, wsunął pod klamkę i bez problemu ją wyrwał. Poszło mu łatwo, tak jak przypuszczał. Potem wziął Vincenta na ręce i wyniósł go na dwór.

Jego młodszy brat miał rozgrzane ciało, wilgotne i klejące się palce.

Leo położył go ostrożnie na trawie i zaczął szukać oznak życia. Vincent miał tak miękki i spalony kark, jak gdyby się zagotował.

W tym momencie rozległ się głośny huk.

Termit przeżarł się w końcu przez zbiornik z benzyną, ale tym razem siła wybuchu była łagodniejsza, a ogień mniej intensywny niż poprzednio. Huk narastał, jak gdyby chciał się wyrwać z wnętrza stodoły.

To dlatego Leo nie słyszał kroków Broncksa. Kątem oka zdążył tylko zauważyć za sobą jego uniesioną rękę. Policjant trzymał w niej pistolet.

Bronck trafił go silnie kolbą w tył głowy, ale Leo niczego nie poczuł, bo w jednej chwili ogarnęła go głucha ciemność.

Złota nić

Szkolny korytarz przypomina szpitalny, który prowadzi do sali, gdzie na stalowym łóżku leży mama. Leo nigdy wcześniej nie zauważył tego podobieństwa. Gołe lampy, podłogi przykryte chodnikami. Kiedy się tędy idzie, dźwięki zaczynają wirować wokół głowy i przed twarzą. Robią to wiele razy i wcale nie tracą na sile. Teraz też wszędzie je słychać, a najbardziej trzaskanie butów dyrektora, który w taki sposób daje znać o swojej obecności. „Mnich” – bo tak go w szkole nazywają – ma tu pół etatu jako dyrektor i pół etatu jako nauczyciel wychowania technicznego. Jest twardy i surowy. Wokół głowy został mu tylko rzadki wianuszek włosów, jak u mnicha. Leo zawsze uważał, że facet jest w porzo, chociaż nie do końca był pewien, czy jego opinia wynikała z faktu, że pod koniec każdego semestru należał do nielicznej grupy uczniów, którzy najwyższe oceny otrzymywali z wychowania technicznego i z angielskiego. Kiedy spotykali się w cztery oczy i rozmawiali o ocenach, Mnich mówił mu, że jest zdolnym uczniem, który posiada umiejętność rozwiązywania problemów. Leo bardzo lubił słuchać takich pochwał. Mnich był jedynym nauczycielem, którego nigdy nie zawiódł. Niestety, wkrótce go rozczaruje. Na lekcji fizyki Mnich wszedł do klasy i oznajmił, że Leo Důvnjac musi na chwilę wyjść z sali i udać się z nim na spotkanie z pewną osobą. Mnich już chyba wiedział, że jeden z jego najlepszych uczniów, który był zdolny i potrafił rozwiązywać problemy, wykorzystał tę wiedzę po to, żeby za pomocą młotka i dłuta włamać się do szkolnego bufetu w korytarzu. Powoli zbliżają się do świetlicy. Słychać ich, bo obaj zachowują milczenie. Zresztą w całej szkole panuje cisza, bo trwają lekcje.

Leo ma się spotkać z „pewną osobą”.

Policjanci.

Leo zauważył ich już rano. Dwaj mundurowi stali przy lufciku łącznika i coś oglądali. Potem, w czasie lunchu, widział, jak woźny wymienia zamek w drzwiach magazynku, a drewniany rygiel zastępuje metalowym, żeby nikt go nie wyrwał. Od razu się domyślił, że kartka, którą Lena powiesiła przy kontuarze, informowała, że z powodu włamania bufet jest nieczynny.

Skąd oni wiedzą, że to jego sprawka?

Przy jednym z długich stołów, który stał na samym końcu sali, siedzi „pewna osoba”. Mężczyzna w szarym garniturze i niebieskim krawacie, z otwartą teczką na kolanach. Po cywilnemu. Leo przypomniał sobie, że takich jak on spotkał wcześniej. Prowadzili śledztwo w sprawie pożaru, a potem posłali ojca za kraty.

To na pewno przez Felixa. Ten gnojek wszystko im wyśpiewał.

– Rozmawiałem z Agnethą.

Mężczyzna wyciągnął do Leo chudą rękę.

– Powiedziała mi, że znajduję cię w szkole, chociaż cała wasza trójka ma wolne. Nazywam się Per Lindh i jestem adwokatem.

Adwokat? Będzie mi potrzebny?

– Nie stać mnie na adwokata.

– Słucham?

– Nie stać mnie na pana.

– Nie musisz się tym martwić. Reprezentuję twojego ojca, jestem adwokatem z urzędu.

Adwokat ojca? Nie mój? A więc Felix jednak nic nie wyśpiewał.

– Leo, zostawię cię teraz z panem adwokatem, żebyście mogli swobodnie porozmawiać. Potem idź do domu i zajmij się młodszymi braćmi. Po tym, co się stało, nie musisz przychodzić do szkoły. Na pewno nie w tym tygodniu. Rozumiesz?

Leo skinął głową. Mnich wyszedł z sali i po chwili na korytarzu rozległy się jego ciężkie kroki.

– Twój ojciec prosił, żebym cię odwiedził.

W tym wielkim pomieszczeniu są zupełnie sami. Siedzą po obu stronach stolika, przy którym Leo i inni uczniowie grywają w czasie przerw w karty. Gra nazywa się „Chicago”, a zaczęli w nią grać w siódmej klasie.

– Wasz ojciec chce się z wami spotkać.

– Z nami trzema?

- Tak. Prosił, żebym takie spotkanie zorganizował.
- To się nie uda. Felix nigdy nie przyjdzie. A Vincent chyba nie do końca wie, co się wydarzyło.
- A ty?
- Peruka i fajka, pod zlewozmywakiem.
- Co ty na to? Chciałbyś go odwiedzić?
- Niech tam leżą, obiecał to Felixowi.
- Wydaje mi się, że twój ojciec chce się spotkać przede wszystkim z tobą. Zamierza ci wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił.
- Nie ma takiej potrzeby. Ja dobrze wiem, co zrobił, bo byłem wtedy na miejscu.
- Adwokat skinął głową i zaczął grzebać w teczce. Zachowywał się tak, jak gdyby szukał czegoś ważnego. W końcu znalazł. Opakowanie gumy do żucia.
- Chcesz jedną?
- Leo pokręcił głową, a adwokat rozpakował dwie gumy i zaczął je żuć.
- Wasz ojciec szczegółowo opisał, co się wydarzyło, gdy zjawił się przed waszym domem i wpadł do środka. Twierdzi, że bardzo dobrze się stało, że tam wtedy byłeś.
- Musiałem interweniować.
- I pewnie o tym chciałby z tobą porozmawiać, żebyś poznał jego wersję.
- Uratowałem jej życie.
- Gdybyś jednak chciał posłuchać, co ma ci do powiedzenia, powinieneś się pośpieszyć, bo wkrótce mają go przenieść do więzienia w innym mieście.

Jeśli popatrzyć na budynek policji w Falun z góry, swoim kształtem przypomina końską podkowę. Za to wewnątrz wygląda jak szpital albo szkoła. Dawniej uważano, że budynki użyteczności publicznej powinny reprezentować podobny standard. Dlatego tak samo wyglądają, wydają te same dźwięki i podobnie pachną. Panuje w nich taka sama temperatura. Ale cała ta wiedza i tak staje się bezwartościowa, jeśli nie można za nią zdobyć najwyższej oceny. Właśnie tego Leo nauczył się podczas tamtych dni.

Długie lśniące korytarze. Ponure drzwi prowadzące donikąd.

Za to mundury ludzi, którzy pracują w policji, nie mają nic wspólnego z białymi fartuchami albo szkolnymi mundurkami. Wszędzie widać kolor czarny. Dopiero gdy przeszedł pod eskortą przez cały budynek i dotarł to skrzydła, w którym mieszczą się cele aresztu, uświadomił sobie, że panuje tu całkowita cisza. Z wnętrza cel i z samego korytarza nie dobiega żaden dźwięk. Pokój odwiedzin, do którego wprowadza go zwykły strażnik, też jest wyciszony, żeby do środka nie docierał żaden hałas.

Właściwie to lubi takie małe pomieszczenia. Może się w nich ukryć albo odciąć od świata zewnętrznego, gdy tylko chce albo gdy czuje taką potrzebę.

Ale tutaj jest inaczej. Ktoś go tu zamknął, i to od zewnątrz. Jeśli będzie się chciał wysikać, musi nacisnąć czerwony guzik. Poinformował go o tym strażnik, zanim przekręcił klucz w zamku. Leo wiedział, że tym razem to nie on zdecydował o tym, jakie warunki będą panować w zamkniętym pomieszczeniu.

Pokój robi się ciasny dopiero wtedy, gdy tego nie chcemy.

Już kiedyś czekał w takim pokoju odwiedzin zamkniętym na klucz. Zanim jego ojciec poszedł do więzienia za podpalenie, dwa razy siedział za ciężkie pobicie – na szczęście nikogo z rodziny. On go za każdym razem odwiedzał, ale nigdy w areszcie śledczym. Zapamiętał to, bo różnica była wyraźna. Areszt jest ciemniejszy i bardziej izolowany. W więzieniu jest inaczej. Wprawdzie każde z nich otacza szary, gruby i wysoki mur z betonu, ale dzienne światło dociera tam wszędzie. Ten pokój jest bardzo mały, farba na ścianach spękana, w jarzeniówce nie ma oprawek. Dlatego czuje się tu inaczej. A może różnica polega na tym, że w areszcie śledczym siedzą ci, którzy dopiero czekają na wyrok? Ciągłe mają nadzieję, że wyjdą na wolność, a w swojej tęsknocie za tą chwilą stają się coraz bardziej zdesperowani? Niewykluczone, że właśnie dlatego człowiek może doświadczać w takim miejscu ciasnoty. Natomiast w więzieniu wszystko jest jasne i chodzi tylko o to, żeby się zaadaptować i doczekać do końca wyroku.

Dwa plastikowe krzeselka i drewniany stolik. Drzwi z wielką szybą, żeby strażnicy mieli go na oku. Okno zrobione jest ze specjalnego szkła, którego nie można rozbić. Korytarzem chodzą ludzie ubrani w niebieskie koszule. To personel aresztu. Ale Leo ich nie słyszy, bo dźwięki też są zamknięte na klucz. To dlatego nie słyszy kroków, które tak dobrze zna. Kroków ojca. Zbliża się w towarzystwie strażnika.

Jest świeżo ogolony, spojrzenie ma jasne i czyste jak woda. Właśnie tak wyglądał wiele lat temu, gdy wszystko było w ich rodzinie dobrze. I nawet obiecał mamie, że nie będzie ich bił ani pił alkoholu.

Ojciec pachnie mydłem, ale z jego jasnego spojrzenia wyziera troska, którą teraz widać wyraźniej. Ich ojciec umie wyglądać na zatroskanego, ale niczego mu to nie odbiera. Większość ludzi ugina się pod ciężarem troski. Ivan wszedł do pokoju i spogląda na syna, który siedzi przy stoliku. Patrzy na niego i uśmiecha się. Leo zaczyna się czuć niezręcznie. Takie zachowanie nie pasuje do ojca.

– Gdzie jest Vincent?

Ivan Důvnjac ubrany był w niebieskie płócienne spodnie i biały T-shirt ze zbyt długimi rękawami. Na nogach miał jakieś dziwne pantofle – on, który zawsze nosił klasyczne, brązowe, męskie obuwie.

– Leo, pytam jeszcze raz: gdzie jest Vincent?

Chociaż Leo uzgodnił z adwokatem, że przyjdzie tutaj sam, próbował namówić do przyjścia obu młodszych braci. Najpierw poszedł do Vincenta, ale ten nawet nie odpowiedział na jego propozycję, tylko położył się na łóżku i wbił oczy w sufit.

– Nie chciał przyjść.

– A Felix?

Potem poszedł do Felixa, który zdumiewająco jasnym i rzeczowym tonem oznajmił, że bez względu na to, ile razy ich mama będzie miała podbite oczy, zawsze chętnie odwiedzi ją w szpitalu. Za to do ojca

nigdy nie pójdzie. Leo nie protestował. Zrozumiał.

– Felix... hm... sam wiesz, jak on się czasem zachowuje.

Ivan odwraca głowę, patrzy przed siebie. Jak gdyby był w domu.

– Od kiedy mnie tu zamknęli, ani razu go nie widziałem... znaczy się Vincenta.

– Felix stał wtedy za mną. Potem, kiedy próbowałem was rozdzielić, uciekł z apteczką mamy.

– Uciekł z apteczką? Jak to?

– Po prostu zamknął się z nią w pokoju na klucz.

Oprócz troski w oczach ojca pojawia się też wstyd. Jak ten, który uwidaczniał się w jego spojrzeniu za każdym razem, gdy bił mamę, a potem sobie uświadamiał, jak bardzo ją skrzywdził. Nagle pokój staje się jakby mniejszy. Brakuje miejsca dla nich trzech: jego, ojca i wstydu. Nie da się tu oddychać. Metalowe drzwi są zamknięte na klucz i odcinają ich od świata zewnętrznego. Leo nigdy wcześniej nie był zamknięty z ojcem w pokoju, w którym by brakowało powietrza. Musi zapamiętać, jak się teraz czuje, żeby już nigdy nie znalazł się razem z nim w takiej sytuacji.

– Czy nie ma tu innego pokoju, w którym moglibyśmy się spotkać? Trochę większego? Ten jest...

– Nikt inny mnie nie odwiedza, więc nie potrafisz ci odpowiedzieć. Moja cela ma... pięć metrów kwadratowych... i brakuje w niej nawet okna.

Nagle Ivan pochyla się i kładzie mu na ramieniu swoją twardą rękę. Leo aż się wzdyga, chociaż sam nie wie dlaczego. Ivan to zauważa i szybko cofa dłoń. Żałuje, że się tak zachował. Leo też, bo nie taki był sens jego reakcji.

– Siedzenie pod kluczem to nic trudnego... trudne jest siedzenie pod kluczem tutaj.

Ivan przyciska dłoń do piersi.

– Nikt nie chce tu trafić... Musiałem zrobić to, co zrobiłem. Rozumiesz mnie? Czy rozumiesz, dlaczego przyszedłem wtedy do was i do mamy?

– Nie rozumiem. Ale przypominam sobie jedną rzecz: przyszedłeś do naszego domu, żeby mamę zabić.

Wygląda na to, że Ivan Dûvnjac zareaguje instynktownie, to znaczy wybuchnie gniewem albo zaatakuje. Leo jest tego pewien, bo chociaż jego ojciec jest trzeźwy, wysuwa do przodu dolną szczękę i przesywa go wzrokiem.

– Myślałem, że właśnie po to miałem do ciebie przyjść. Że chciałeś mi wszystko wytłumaczyć. Tak przynajmniej twierdził twój adwokat.

Ojciec rezygnuje z ataku. Równie szybko, jak się do niego szykował, nagle odpuszcza. Przeciąga palcami po włosach, twarz mu łagodnieje.

– To znaczy, że jednak nie rozumiesz? Zrobiłem to, bo musiałem.

Ivan wstaje od chwiejnego stołu, który trzeszczy pod jego ciężarem, podchodzi do oszklonych drzwi i obserwuje ludzi na korytarzu. Leo odnosi przez chwilę wrażenie, że jego ojciec albo zaraz słucze szybko, albo wciśnie czerwony guzik i poinformuje strażnika, że rozmowa dobiegła końca.

Ale on ani nie rozbija szyby, ani nie wciska guzika.

– Czy wiesz, synu, jak powstaje prawdziwy dywan? Nie mówię tu o fabrycznej tandecie z IKEA, tylko o prawdziwym, ręcznie tkanym dywanie.

Mówiąc to, wykonuje taki ruch, jakby pracował na niewidzialnych krosnach.

– Polega to na tym, że co pewien czas wsuwasz między inne nici jedną pojedynczą nić.

Dywan? O czym on gada? Przecież pachnie mydłem, nie winem.

– Każdego dnia pojawia się nowa nić. Wplatasz ją między inne.

Ivan odwraca się i znowu siada przy stole.

– Trzysta sześćdziesiąt pięć nici, dzień po dniu, rok za rokiem.

Najstarszy z Dûvnjáców obrazuje swoje słowa zamaszystymi ruchami ramion, jak gdyby nawlekał kolejne włókna na krosno.

– Nici są często szare i brzydkie, robota nudna. Jesz, idziesz do kibla, śpisz. Czasem jednak, kiedy robisz to, co lubisz, pojawiają się nici czerwone albo zielone. Innym razem – jak wtedy gdy zjawiłem się w waszym domu – nici są czarne jak smoła.

Leo obserwuje ojca, bo często z nim rozmawiał w ten sposób. Nie tylko mówił wtedy silnym głosem, ale także używał barwnego słownictwa. Kiedyś próbował mu wyjaśnić, dlaczego chciał stworzyć rodzinny klan. Opowiedział mu wtedy o odludziących dzikich gęsiach, które zmierzają do jakiegoś celu, ale nagle zmieniają zamiar i lądują u jakiejś rodziny; opowiadał mu też o Kozakach, którzy wykonują

Taniec Niedźwiedzia i zwyciężają wielkie armie; opowiadał o cienkich patyczkach, których nie można złamać, jeśli zbierze się je razem. Dość wcześnie nauczył się, jak udawać zainteresowanie, nie słuchając jego słów. Teraz było to niemożliwe. Ojciec jest trzeźwy, jego głos nie przypomina bełkotu. Przeciwnie – przykuwa uwagę.

– Co jakiś czas, choć zdarza się to rzadko, wplatasz między pozostałe nici jedną nić złotą. Siedzisz tak i tkasz to swoje życie i nagle pojawia się w nim prawdziwe złoto! Zanim umrzesz, zdążyś obejrzeć cały twój dywan, a na nim główny motyw utkany z różnokolorowych nici. Pomyśl na przykład o dywanie Hitlera. Był czarny jak smoła! A dywan Matki Teresy z Kalkuty? Było w nim czyste, lśniące złoto! Inne dywany przypominają te nasze. Przeważnie są szare, ale znajdziesz w nich trochę zieleni i czerwieni. Są też dywany czarne jak smoła. W nich też miejscami przebija złoty kolor.

Ivan bije się w pierś.

– Sam wiesz najlepiej... życie bywa naprawdę ciężkie.

Leo siedzi demonstracyjnie rozparty na krześle, byle dalej od ojca, zwłaszcza po tym, jak ten położył mu dłoń na ramieniu. Teraz pochyla się do przodu, chociaż robi to nieświadomie.

– A jak jest w niektóre dni? Czy wtedy pojawiają się dwie nici różnego koloru? Obok siebie? A może splatają się w jedną?

Leo opiera się łokciami o stolik – tak jak ojciec – i mówi dalej.

– A te twoje nici... która jest czarna? Chodzi mi o to, co zrobiłeś mamie. A moja nić? Może choć trochę była złota? Wtedy, gdy... tak w każdym razie mi powiedzieli... gdyby nie było mnie wtedy w domu, mama już by nie żyła.

Na twarzy Ivana pojawił się dziwny uśmiech, jak gdyby nic nie zrozumiał albo nie pasował do tego pokoju.

– Leo?

– Tak?

– Nie mieszaj naszych dywanów.

Leo cofa się znad stolika. Nie powinien się zbliżyć do ojca aż tak bardzo. To nie był dobry pomysł. Pokój od razu się skurczył.

– Gdybym chciał zabić waszą mamę, zrobiłbym to.

Gdyby dalej siedział w tej pozycji, jego twarz mógłby spotkać ten sam los co twarz mamy.

– Nie rozumiesz? Musiałem to zrobić, ale wszystko miałem pod kontrolą.

Poczuł się tak, jak gdyby dostał cios.

– Ty naprawdę wierzysz, że mógłbym ją zabić na waszych oczach? Nie słuchałeś, o czym mówiłem?

„Owszem. Słuchałem. I mam gdzieś twój pieprzony dywan razem z twoimi pieprzonymi niciami. Wskoczyłem ci na plecy, żebyś przestał ją bić”.

– Ostatniej nocy...

„Czarny jak smoła. Taki dywan chcesz mieć?”

– Ostatniej nocy byliśmy z Felixem w szkole. Zabraliśmy ze sobą duży worek na śmieci. Napelniliśmy go.

Jak cios. Który zabolął. Mimo to ustała na nogach.

– Ukradliśmy kasetkę z pieniędzmi.

Teraz to on zadaje, a właściwie oddaje cios. Z twarzy znika dziwny uśmiezek.

– Po powrocie do domu rozbiłem ją. Była pełna monet i banknotów.

Mama się zezłościła.

Ale po ojcu nie widać żadnych emocji. Nie komentuje słów syna, tylko podchodzi do okna i patrzy na ulicę.

– Powiedziałeś, że była pełna monet i banknotów?

– Tak.

– Czy ktoś was widział?

– Żartujesz? Sytuację miałem pod kontrolą.

Czerwony guzik na ścianie. Ojciec unosi rękę i wciska go.

– Możesz już wrócić do domu, do braci.

Więźniowie wciskają ten guzik, kiedy chcą, żeby strażnik odprowadził ich do celi. Robią to wtedy, gdy nie mają chęci na dalszą rozmowę albo gdy ich gość zaczyna mówić.

– Mama uważa, że powinienem wszystko oddać. Co do grosza.

Otwierają się wewnętrzne drzwi, w progu stoją dwaj strażnicy w niebieskich koszulach. Ivan rusza w ich kierunku. Jego miękkie pantofle ślizgają się po posadzce.

W pokoju znowu robi się cicho. Nagle Ivan zatrzymuje się i odwraca do syna.

– Leo?

– Tak?

– Jeśli nikt cię nie widział, to znaczy, że nikt o tobie nie wie.

Przez całe swoje życie był tylko na jednym pogrzebie. Kiedy po ceremonii opuścił kościół, czuł się dokładnie tak jak teraz, gdy wyszedł z budynku policji. Nabrał głęboko powietrza i od razu zakręciło mu się w głowie. Poczuł, jak powoli wraca życie będące przeciwieństwem trumien i czarnych nici.

„Gdybym chciał zabić waszą mamę, zrobiłbym to”.

O co mu chodziło? Czy to, że jego syn interweniował i zmusił go, żeby przestał bić ich mamę, nic dla niego nie znaczy?

„Jeśli nikt cię nie widział, to znaczy, że nikt o tobie nie wie”.

Czy to dobrze, że za pomocą zwykłego młotka i dłuta otworzył okno, drzwi, szafkę i kasetkę? Czuł się tak, jak gdyby ojciec najpierw mu coś zabrał, a potem się rozmyślił i w zamian oddał mu coś zupełnie innego.

Leo idzie powoli, ale nagle nogi same zaczynają go nieść. Biegnie przez most nad rzeką, która przepływa przez centrum Falun i każdej wiosny niesie masy wody z topniejącego śniegu.

Oddał? A może wziął? Żółtą czy czarną nić?

Leo przyspiesza. Ma to wszystko gdzieś. Postanowił, że nie stanie się taki jak jego ojciec. Chce być lepszy od kogoś, kto ucieka do ciasnego pokoju, bo nie ma odwagi tkwić w swojej własnej cielesnej powłoce.

Po drugiej stronie mostu zaczyna się centrum miasta. Leo mija bibliotekę i kieruje się w stronę pasażu, przy którym znajduje się sklep H&M. W środkowej witrynie stoi manekin ubrany w szarą kurtkę z kapturem.

Ma już perukę i fajki, teraz zdobędzie resztę.

Wchodzi do sklepu i wjeżdża ruchomymi schodami do działu z męską odzieżą. Już wie, że takie kurtki wiszą na samym końcu sali, w rogu po prawej stronie, gdzie stoi podest z wielkimi tablicami reklamującymi jesienne okrycia. Od razu zauważa te, które go interesują. Sześć sztuk. Obojętnie przechodzi obok małych i średnich kurtek i bierze do ręki wieszak z tą, która ma rozmiar XL. Jasnoszara kurtka z kapturem, taka jak na wystawie. W ogóle nie przypomina habitu noszonego przez mnichów. Wykonana z solidnego materiału, jest idealna na przykład dla tych, którzy chodzą do lasu na grzyby i chcą mieć kaptur, żeby chronić głowę przed deszczem. Przechodzi obok pustej przymierzalni, bo wie, że kurtka i tak na niego nie pasuje. Kładzie ją na ladzie koło kasy i czeka, aż ekspedientka elegancko ją złoży.

– To rozmiar *extra large*... dość duży, nie będzie leżał na tobie zbyt dobrze.

Kobieta ma jakieś dwadzieścia pięć lat. Wpatruje się w niego intensywnym wzrokiem, ocenia szerokość ramion i wysoką, szczupłą sylwetkę.

– Wiem o tym. To prezent dla kogoś.

Ekspedientka uśmiecha się do niego ślicznie.

– Rozumiem... Mam ją ładnie zapakować?

– A po co?

– Jeśli to ma być prezent... Ja wolałabym dostać go w ładnym opakowaniu.

– Racja... proszę zapakować.

Leo obserwuje, jak ekspedientka owija kurtkę w papier, który ma taki sam czerwony odcień jak lakier na jej paznokciach, a potem obwiązuje ją sznurkiem.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć koron i pięćdziesiąt óre.

Leo kiwa głową. Jest lekko zaniepokojony. Czy zdołał ją przekonać? Może kobieta nadal ma jakieś wątpliwości? W końcu dochodzi do wniosku, że to bez znaczenia, bo i tak zamierza kurtkę szefarbować i wypchać watą.

Ekspedientka wkłada paczkę do reklamówki, a Leo płaci pieniędzmi z innej reklamówki, którą trzyma w kieszeni. Ma wielkość piłki tenisowej i jest w niej pełno monet. Podaje dwie pełne garście ekspedientce, która znowu się do niego ślicznie uśmiecha.

– Ze skarbonki?

– Zgadza się.

Leo kłęczy w łazience, opiera się piersią o brzeg wanny i moczy rękę w ciepłej, głębokiej na dziesięć centymetrów wodzie.

Po wyjściu z H&M poszedł z nową kurtką do sklepu z akcesoriami krawieckimi na Holmgatan. Ekspedientce powiedział, że mama kazała mu kupić watę w kawałkach do wypełniania ramion i watę innego gatunku, która w dotyku przypomina filtry do odkurzaczy i sprzedawana jest na metry. Kupił trzy, a do tego barwnik w ciemnozielonym odcieniu do farbowania materiału. Zapłacił jednokoronówkami z parkometrów – ostatnimi, jakie mu zostały.

Założył gumowe rękawiczki mamy i miesza rękami wodę. Mama zakłada je, kiedy myje podłogę albo zmywa naczynia, żeby nie dostać uczulenia. On ma wysypki i uczulenia w nosie, chce tylko uniknąć zabarwienia skóry, bo trudno je potem usunąć, za to łatwo rzuca się w oczy. Miesza rękami jak chochlą w zupie, zatacza kręgi i czeka, aż proszek rozpuści się w wodzie. Instrukcja mówi, jak uprać kurtkę w pralce, żeby zabarwiła się równomiernie. Ale on nie chce, żeby farba rozłożyła się w taki sposób. Woli, żeby kurtka wyglądała jak brudna albo poplamiona. Wsypuje więc do wanny całą zawartość puszek i wkłada do niej jasnoszarą kurtkę. Porusza nią i pociera w kilku miejscach, żeby pokryła się plamami i żeby zabarwienie nie było równomierne. Kiedy uznaje, że materiał wchłonął już wystarczająco dużo farby, płucze kurtkę pod bieżącą wodą w kranie, wyciska ją jak wilgotny ręcznik, wieszka na plastikowym wieszaku i zaczyna suszyć suszarką do włosów.

– Co ty tam robisz? Strasznie hałasujesz, wyłącz...

W progu stoi Felix.

– ...tę suszarkę. W ogóle nie słyszę telewizora.

– Daj sobie spokój z telewizorem i przynieś mapę.

– Jaką mapę?

– Twoją, tę samą co poprzednio, w skali 1:5000. Po prostu ją przynieś.

Leo wyłącza suszarkę i rozkłada mapę na pokrywie sedesu. Pochyla się nad nią i uważnie coś studiuje.

– Co robisz?

– Szukam ścieżek rowerowych.

Felix podchodzi do swojego starszego brata. Poprzednim razem, gdy leżeli na podłodze w pokoju Vincenta, szukali ścieżek rowerowych koło sklepu ICA. To miały być dla nich drogi ucieczki.

– Przecież obiecałeś, że już nie będziesz tego robił.

– Nie musisz się o mnie martwić, bracie. Zrobię to bez ciebie.

– Sam? Przeciwno Świrowi?

– A nie pamiętasz, co mi powiedziałeś? „A Vincent? Nasz brat mumia? A mama w szpitalu? Tata w areszcie... a teraz... czy ty też trafisz za kraty i znikniesz?” Właśnie dlatego, chociaż do tej ostatniej rzeczy nie dojdzie. Nie rozumiesz? Właśnie dlatego! Zostaliśmy tylko my i tylko my możemy to zrobić.

– My? Już ci powiedziałem, że nie chcę brać w tym udziału. To głupi pomysł. Kiedy na niego wpadłeś? Na spotkaniu z tatą? Wy zawsze coś wymyślicie.

Leo wychodzi z łazienki i idzie do kuchni. Mapę zostawia na sedesie. Wyciąga z szuflady wieczne pióro i wraca.

– To dokładnie w tym miejscu.

Leo rysuje krzyżyk na mapie w miejscu niezbyt oddalonym od ścieżki rowerowej. Potem ciągnie kreskę do zielonej plamy oznaczającej las.

– No trudno, nie chcesz, to nie. Ale nie mów mi, że mój pomysł jest głupi, bo to nieprawda. Zrealizuję go bez względu na to, jakie masz o nim zdanie.

Leo ciągnie kreskę od krzyżyka do najbliższej ścieżki rowerowej, a potem dalej, aż dociera do rynku, przy którym znajduje się sklep ICA.

– Jeśli to zrobisz, o wszystkim powiem mamie.

Leo sztywnieje i wpada w złość, co rzadko mu się zdarza. Na szczęście robi to inaczej niż ich ojciec. Jego złość wygląda tak, jak gdyby zaraz miał się rozplakać, a jednocześnie było mu przykro.

– Felix, co ty bredzisz!

Głośno krzyczy i w ogóle nie zwraca uwagi na to, że słyszy go Vincent.

– Jesteśmy przecież braćmi! Nigdy, ale to nigdy nie wolno nam na siebie skarżyć! Dobrze o tym wiesz!

Felix zaczyna rozumieć, że jego starszy brat ma rację.

– Okej, nie naskarżę mamie, ale uważam, że to głupi pomysł.

Ale Vincent i tak wszystko usłyszał. Wszedł do łazienki i patrzy na nich. Nadal jest cały obandażowany. Końcówka brązowego jak czekolada materiału zwisa mu z ust i powiewa pod wpływem ruchu. Brudne od farby ręce są teraz jeszcze brudniejsze.

– Okej, w takim razie niech Vincent oceni, czy mój pomysł jest do dupy.

– Mówisz o mumii? To ona ma decydować? Leo!

– Jest naszym bratem. Niech decyduje.

Leo kładzie rękę na ramieniu Vincenta. Robi to w taki sam sposób jak ojciec, który w areszcie położył rękę na jego ramieniu. W przeciwieństwie do niego Vincent się nie uchyla.

– Co o tym myślisz, Vincent? Powinienem zrobić Świra w konia czy nie?

Najmłodszy brat spogląda to na Felixa, to na Leo. W końcu decyduje się coś powiedzieć.

– Tak. Nie.

Bierze do ręki zwisającą luźno końcówkę bandaża i powtarza:

– Tak. Nie. Tak. Nie. Tak. Nie.

Wreszcie Felix woła podniesionym głosem:

– Sam słyszysz. Vincent powiedział „nie”.

– Najpierw powiedział „tak”, a potem „nie”. Wyglupia się.

Leo chwyta Vincenta za ramię.

– To poważna sprawa. Musisz nam powiedzieć, czy mam to zrobić czy nie.

Tym razem Vincent chwilę się zastanawia, jak gdyby na podjęcie rozsądnej decyzji potrzebował więcej czasu. W końcu chwyta końcówkę bandaża i unosi ją do nosa.

– Tak, masz to zrobić.

Teraz to Felix sztywnieje. Leo i Vincent czekają na jego reakcję.

Niech czekają. Felix wzrusza ramionami.

– No trudno, wszystko jest jasne. Mumia poparła głupi pomysł. Ale jak będzie już po wszystkim, masz mi, Leo, kupić nową mapę, bo tę zniszczyłeś swoimi bazgrołami.

„Jeśli ty wydasz mnie, ja wydam cię”

Zapach oleju, który zawsze dociera na dolne pokłady każdego statku, na górnym pokładzie z kajutami pierwszej klasy był zupełnie nieodczuwalny. Na podłodze leżała miękka wykładzina. Ale nawet tutaj panowała ciasnota. Wózek, na którym jechały walizki, obijał się o ściany korytarzy. Sam szukał kabiny z numerem 571. Prom lekko się kołysał, chociaż nadal cumował przy nabrzeżu w Värtahamnen. Do odpłynięcia została tylko godzina.

559, 561, 563.

Jeszcze tylko kilka kajut i Sam przeciągnął kartę przez czytnik w drzwiach i wszedł do kajuty. Tym samym rozpoczęła się ostatnia faza ucieczki.

Dopiero teraz poczuł ów dziwny spokój, który czasem przenika przez skórę i rozchodzi się po całej klatce piersiowej, zmuszając organizm do rozluźnienia mięśni. Taki rodzaj spokoju wynika ze świadomości, że wszystko zostało wykonane jak należy i nic więcej nie da się zrobić. Od tego momentu człowiek nie ma już żadnego wpływu na ostateczny wynik. Podenerwowanie, strach przed pościgiem, adrenalina, której poziom stale rósł, przyprawiając go o kołatanie serca – wszystko to ponownie odczuł w chwili, gdy Leo oznajmił, że musi jechać. „Jeśli będę zmuszony zabić twojego brata, zrobię to, ale na pewno wrócę”. Po wejściu do kajuty Sam poczuł, że wszystko to znikło, jak przypadkowy gość, o którym zdążył zapomnieć. W tym momencie cały jego świat ograniczył się do tej luksusowej kabiny: wszedł do niej, postawił na podłodze walizki ze stu trzema milionami koron i sprawdził, czy szampan na stoliku jest odpowiednio schłodzony. Za chwilę zasiądzie w jednym z foteli obitych czerwono-brązową skórą i będzie patrzył przez okno na morze, czekając z nadzieją na powrót Leo. Ich wspólna podróż powinna mieć też wspólne zakończenie.

W przeciwieństwie do niego Leo ma wiele do stracenia. Dlatego wrócił do miasta i podjął ryzyko.

Leo ma braci i rodziców, którzy będą za nim tęsknić, tak jak on będzie tęsknił za nimi. Zostawił za sobą całe swoje dotychczasowe życie. Wiele to dla niego znaczy. Za to on, Sam, nie będzie tęsknił za nikim. I nikt nie zatęskni za nim.

Odrzucił się od okna i przejechał palcem po butelce drogiego alkoholu. Dom Pérignon. Żaden z nich nigdy nie pił takiego trunku, ale w tym momencie liczyło się tylko to, że była to najdroższa pozycja w oferowanym na promie menu. „Nie, nie jesteście jeszcze wolni. Na razie siedzimy na tym pieprzonym promie w drodze do Rygi, Sankt Petersburga i Sberbanku”. Odwinął sreberko z szyjki butelki, wcisnął ją do pojemnika z lodem i ustawił na stoliku eleganckie kieliszki. „Napijemy się w naszym apartamencie. Zamówimy całą skrzynkę szampana. Dopiero wtedy będziemy wolni”. Od razu mu się przypomniało, jak trudno mu było poczęstować Leo zupą w niewielkiej kuchni jego domku przed ich pierwszym skokiem.

W tym momencie ktoś zapukał dwa razy do drzwi kabiny.

Tak to przynajmniej zabrzmiało.

Nadstawił uszu i wstrzymał oddech.

Po chwili pukanie się powtórzyło.

Sam zerknął na budzik na szafce. Trzy minuty po wpół do siódmej. Dwadzieścia siedem minut do odpłynięcia promu.

„A więc jednak zdążyłeś”.

Nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Ale to nie był Leo, tylko John Broncks.

– Witaj.

Jego rodzony brat.

– Twój współnik nie wróci.

To naprawdę on!

– Siedzi teraz w radiowozie. Na rękach ma kajdanki i pojedzie ze mną do aresztu w Kronobergu.

John.

– To tam zarabował dzisiaj sto trzy miliony koron. Wiem, że zrobił to z twoją pomocą.

„John? Nic nie rozumiem. Nie czekałem tu na ciebie”.

– Leo moim współnikiem? Nie wiem, o czym ty pieprzysz.

Sam starał się mówić opanowanym głosem. Był pewien, że tak to właśnie zabrzmiało, chociaż sytuacja, w której się nagle znalazł, zupełnie do tego nie pasowała.

– Wpuścisz mnie w końcu do tej kabiny czy nie?

W głębi korytarza rozległy się głosy. To kolejni pasażerowie szukali swoich kajut. Sam doszedł do wniosku, że nie może załatwić Broncksa w takim miejscu. To zbyt duże ryzyko. Usunął się więc na bok i wpuścił go do środka. Od razu zauważył, że spod rozpiętej skórzanej kurtki, którą jego brat miał na sobie podczas niezapowiedzianej wizyty na wyspie, wystaje kabura ze służbową bronią.

– Szampan? Nieźle sobie poczynasz.

Kabina należała do luksusowych, ale nie była zbyt duża. Teraz jeszcze bardziej się skurczyła. Bez względu na to, w którym miejscu obaj się znajdują, i tak będą stać zbyt blisko siebie.

– Szkoda tylko, że nie będzie czego świętować.

Broncks poruszył butelkę szampana, aż w metalowym wiaderku zadźwięczały kostki lodu. Potem uważnie przyjrzał się walizkom, jak gdyby chciał ocenić, czy są na tyle duże, żeby pomieścić banknoty z magazynu depozytów. W końcu wziął do ręki bilet promowy wystawiony na Leo Dűwnjaca.

– Nie umiałem cię wtedy powstrzymać. Nie zdążyłem ci przeszkodzić i zabiłem naszego ojca. Za to mogę cię powstrzymać dzisiaj. Teraz to ja zdecyduję, jak cała ta sprawa się skończy.

Sam wyjął z wiaderka chłodną i wilgotną butelkę szampana i odkorkował ją.

– No to może mi o tym opowiesz?

Wystarczy jeden cios.

Sam zacisnął dłoń na szyjce butelki. Po palcach pociekła mu spieniona jasnobursztynowa ciecz.

„Wystarczy jeden cios butelką w twoją skroń i to ja zdecyduję, jak to się skończy”.

– Sprawa zakończy się tak samo jak wszystkie bajki, które mają szczęśliwy finał. Zabierzesz walizki, w których są zapewne sto trzy miliony koron, i pojedziesz ze mną na komendę.

– Wtedy mnie nie powstrzymałeś i teraz też tego nie zrobisz. Jesteś tu sam. Jeśli zamierzałeś mnie aresztować, powinieneś zabrać całą armię psów, bo widzę, że jesteś zdeterminowany. Do samego końca.

– Tak, jestem. Miałem nadzieję, że sprawa skończy się w godny dla ciebie sposób, i dlatego przyjechałem sam. Chciałem ci dać szansę, żebyś się poddał. Jeśli tego nie zrobisz, po drugiej stronie Bałtyku będą czekać na ciebie inni policjanci, a oni nie zajmą się tobą w tak godny sposób.

– To znaczy, że na mnie doniesiesz? Znowu?

– Tak, jeśli nie będę miał wyboru.

Sam zrobił krok w jego stronę i kajuta jeszcze bardziej się zmniejszyła.

– Jak dobrze wiesz, kiedyś zabiłem kogoś z naszej rodziny, bo nie było innego wyjścia. Mógłbym więc zakłuć następnego członka mojej rodziny, który też nie zostawia mi innego wyboru, i zostawić go w łóżku, tak jak ojca. Kiedy dopłyniemy do Rygi, a ja zejdzę na brzeg, znajdzie cię sprzątaczką. Będziesz leżał na poplamionym krwią prześcieradle, tak jak nasz stary.

– Obaj wiemy, że nie jesteś mordercą.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Sam nadal trzymał w ręce otwartą butelkę, która była o wiele cięższa od noża do sprawiania ryb ze żłobioną rękojeścią.

Sam wiedział, że nie potrafiłby zabić dla pieniędzy. Ojca też nie zabił dla własnych celów.

– Gdybym wtedy nie załatwił ojca, już byś nie żył. Nie byłoby cię tu ze mną. Odwracasz wzrok? Jesteś mi winien dwadzieścia trzy lata życia.

Tym razem to Broncks zrobił krok w jego stronę.

– Mylisz się. Byłem ci to winien wtedy, ale gróźb i ciosów przestałem się bać dawno temu. Teraz jest inaczej. Przestałem się bać kogoś, kto stoi przede mną i mi grozi. Prawda, jesteś moim starszym bratem, wazysz trzydzieści kilogramów więcej i jeśli ze mną pojedziesz, wszystko stracisz. Mimo to nie przestraszysz mnie. To ty sięgnąłeś po nóż, nie ja. To ty postanowiłeś go użyć. Do końca swoich dni będziesz żył ze świadomością, że taka jest prawda.

– Święta racja! To ty do mnie zadzwoniłeś i tego też nigdy nie wymażesz z pamięci! Nie pamiętasz, co powiedziałeś? „Musisz tu przyjechać, bo inaczej ojciec mnie zabije. Ja już nie mogę”. Na pewno nie zapomniałeś tych słów! Przyjechałem. Zrobiłem to dla ciebie. Wbiłem mu ten nóż dwadzieścia siedem razy, dla ciebie. A ty... co ty potem zrobiłeś? Zadzwoniłeś po gliny. Ja uratowałem ci życie, a ty zawiadomiłeś policję. To nie ja zachowałem się niewłaściwie, tylko ty! Dlatego jesteś mi coś winien! Będziesz musiał dalej z tym żyć, bracie.

Gdyby któryś z nich zrobił jeszcze jeden krok, zderzyliby się ze sobą. Dlatego stali w miejscu i wpatrywali się w siebie. Byli tak blisko, że czuli swój oddech i mogli śledzić najdrobniejsze ruchy gałek ocznych.

Nagle prom drgnął. Wstrząs zaczął się w siłowni i po chwili dotarł na górny pokład. Z głośników popłynął komunikat, że prom odpłynie za piętnaście minut.

– Nalej mi trochę.

Broncks wskazał na butelkę szampana, którą Sam trzymał za szyjkę w zaciśniętej dłoni. Ponieważ jednak jego brat nie zareagował, wziął od niego butelkę, nalał spienionego trunku do dwóch kieliszków i jeden podał Samowi. Szampan smakował zielonym jabłkiem, smażonym chlebem i odrobiną cytrusów, czyli dokładnie tak, jak powinien. Na pewno miał temperaturę ośmiu stopni, ale żaden z nich tego nie poczuł.

Pili alkohol jak dwoje obcych ludzi, których łączą te same wspomnienia i którzy na zawsze żegnają się z przeszłością.

Plaski telewizor miał jedną zasadniczą wadę: brak synchronizacji obrazu z dźwiękiem, który był przez to opóźniony. Dla niego nie miało to znaczenia, bo i tak w żadnym programie informacyjnym nigdy nie widział tylu metrów bieżących niebiesko-białej policyjnej taśmy. Dlatego sam obraz mu wystarczył. Z ruchomej układanki zdarzeń ścieżki dźwiękowej powstała dziwna gra obrazów.

Ivan uśmiechnął się na widok rozgorączkowanych, uzbrojonych w automatyczną broń policjantów w czarnych kaskach z lunetą, którzy nadbiegali w długim szeregu, jeden za drugim. Przypominali ogon długiego szczura, który siedział na stacji metra koło budynku policji.

Policjantów było mniej więcej piętnastu, może dwudziestu.

Czego oni szukają w tunelu metra?

Przecież to, co najważniejsze, wydarzyło się na górze.

Kamery monitoringu pokazywały, jak policjanci otaczają cały kompleks budynków komendy w Kronobergu i rozstawiają posterunki. Umundurowani funkcjonariusze stanęli przy niebiesko-białej taśmie. Przypominało to wielką paczkę, której nikt nie chce otworzyć, dopóki przestępstwo nie zostanie wyjaśnione.

Å propos przestępstwa... całkowicie mu dyndało i zwisało. Spoglądał na nie z pogardliwą wyższością. Było mu najzupełniej obojętne, co na ten temat mieli do powiedzenia poważni dziennikarze. Ich głosy dochodziły z głośników ustawionych na półce nad wąskim barkiem restauracji Drava. Za to nie były mu obojętne czarna kawa i pojemnik z kostkami cukru. Niestety, z ekspresu do parzenia kawy za stanowiskiem kasowym unosił się tylko zapach kofeiny, a dno szklanego dzbanka pokrywała gruba warstwa fusów. Dacso i jego żona zapomnieli o zrobieniu nowej porcji, a na dodatek oboje gdzieś zniknęli. Nie było ich ani za barkiem, ani w kuchni. Ivan ustalił to, zaglądając do środka przez szybę drzwi prowadzących na zaplecze.

W restauracji było prawie pusto. Oprócz niego zjawiła się tu jeszcze jakaś kobieta, która siedziała w bardziej zaciemnionym miejscu, kilka stolików dalej. Jasne, pojedyncze pasma rzadkich włosów były prawie niewidoczne na jej głowie, ale zebrane tworzyły fryzurę, która klóciła się swoim wyglądem z pomarańczowożółtą twarzą i suchymi wargami. Kobieta siadywała przy tym samym stoliku każdego dnia i wypijała pół karafki białego wina domowej roboty.

Ivan chciał ją spytać, czy widziała gdzieś właścicieli lokalu, ale się rozmyślił. Samotni ludzie, którzy odwiedzają takie restauracje jak Drava, zawsze szukają okazji, żeby po kilku głębszych z kimś porozmawiać. Takie rozmowy trwają zazwyczaj bardzo długo i z czasem zamieniają się w tzw. żucie szmat. Widać było, że kobieta jest piękna, ale z nieznanых powodów nie dba o urodę. Udało jej się do pewnego stopnia zachować swój pierwotny wygląd z czasów, gdy była bardzo ładna, ale wiele zrobiła, żeby ten wizerunek zniszczyć. Uśmiechała się i poruszała zgodnie z nim, ale nie zdawała sobie sprawy, że picie alkoholu go burzy, tworząc fałszywy obraz, który tak łatwo się utrwała. Ivan przypomniał sobie, że z nim było podobnie: kiedyś prawie utkwiał w swoim nowym, gorszym wizerunku, ale na szczęście w odpowiednim momencie podjął decyzję, że musi się zmienić.

Ivan postanowił, że w oczekiwaniu na powrót właścicieli lokalu skupi uwagę na dużym ekranie telewizora. Po relacji z komendy policji na Kungsholmen pojawił się materiał o bombardowaniach domach na Zachodnim Brzegu. Że też są na tym świecie rzeczy, które mają aż tak czarną barwę, chociaż niebo nad nimi jest niebieskie! Ivan nie mógł się pogodzić z faktem, że są wojny, które trwają dłużej, niż jego synowie żyją na tym świecie. W końcu, nie mogąc się doczekać, postanowił pójść do kuchni, żeby odszukać Dacsa i poprosić o kawę. Zanim to jednak zrobił, zobaczył na ekranie telewizora, że kolor nieba znowu się zmienił – teraz było szare jak ołów. Relacja z Zachodniego Brzegu dobiegła końca i na ekranie pojawił się fragment zwykłego szwedzkiego lasu iglastego rosnącego przy jakiejś wyboistej zwirowej drodze.

W tym momencie Ivan znowu poczuł znane mu klucie w karku.

Po plecach znowu zaczęły mu płynąć strużki potu.

To, co zobaczył, na pewno miało coś wspólnego z Leo.

Pochylił się nad barkiem, żeby znaleźć pilota. Od razu rozpoznał tamtą drogę i wiedział, że kończy się przy zapuszczonym budynku mieszkalnym i stodole z wielkimi drzwiami na zardzewiałych

zawiasach.

Teraz!

Chciał usłyszeć komentarz do materiału, ale nie mógł.

Na pilocie było mnóstwo różnokolorowych, nieznanych mu przycisków i symboli, więc w końcu poprzestał na obrazie. Wpatrywał się w niemy ekran i obserwował, jak znana mu stodoła płonie. Tak, stodoła płonęła! Czerwonozłote płomienie pochłaniały drewniane ściany i pięły się do nieba, emitując kłęby czarnego dymu.

To tam Leo przechowywał swój sprzęt i narzędzia.

„Co ja planuję? Naszą przyszłość. Sam powiedziałaś: jeśli ty się możesz zmienić, to i ja mogę to zrobić”.

Na ciężarówce leżało to, czego potrzebowali, żeby wszystko odbudować. Razem. Ojciec i syn.

„To dobrze, że przestałaś wątpić, tato. Bo ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy”.

Teraz wszystko płonie. A przecież nie tak dawno Leo stał tam obok niego, coś mu pokazywał i wyjaśniał.

Czerwonozłote płomienie. Pochłaniają wszystko.

Ivan wyjął z kieszeni marynarki telefon, z którym nigdy się nie rozstawał. To ich własne narzędzie komunikacji. Wcisnął klawisz z zaprogramowanym numerem telefonu i czekał na sygnał. Niestety, telefon syna był wyłączony. Ich komunikacyjny kanał nie działał.

Leo... a może twój młodszy brat miał rację?

Czy ty mnie wykorzystujesz?

Ivan zamknął oczy i zaczął się nad tym intensywnie zastanawiać. Jak Leo odpowiedział na jego pytanie? Nie mógł sobie przypomnieć. A może nie chciał pamiętać słów, które wtedy brzmiały tak przekonująco?

„Tak. Mówię poważnie”.

– Kawy?

Ekran telewizora nadal wypełniały płomienie. Pożar trwał w najlepsze.

– Chcesz kawy?

Wszystko to kłamstwa. One też płoną. Jedno wielkie obrzydliwe kłamstwo. Wszystko, za co człowiek się bierze i czego dokona, spłonie. Wcześniej albo później.

Tak to właśnie jest. Wszystko spłonie, obróci się w popiół. To dlatego po mnie nie przyjechałeś. Ja stawiałem się na czas, ale ciebie nie było.

– Ivan... chcesz kawy?

– Co?

– Wstawiłem świeżą porcję.

Dacso. W końcu wrócił, nie wiadomo skąd.

– Nie... żadnej kawy.

Leo wykorzystał swojego rodzzonego ojca. Ivan nie wiedział, jak albo dlaczego to zrobił, ale jednego był pewien: Vincent miał rację, kiedy twierdził, że Leo zredukował go do roli pionka w jakiejś pieprzonej grze. Stał się ołowianym żołnierzkiem, małą zieloną figurką. I nawet nie wiedział, jaką rolę odgrywa w szerszym kontekście. Czuł to całym ciałem – w karku, w piersi i w żołądku. Wiedział też, że w takich sytuacjach jest tylko jeden sposób na pozbycie się bólu, który męczył go od środka i od zewnątrz.

– Daj mi butelkę wina.

Ucisk w karku. To już drugi raz w tym tygodniu. Jeden raz za dużo. Dlatego Ivan Dûvnjac nie będzie mógł dotrzymać obietnicy, którą sobie złożył.

– Ale przecież ty nie pijesz! Naprawdę chcesz wina?

– Przynieś, kurwa, butelkę!

Dacso wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy. Klient nasz pan. Dwieście dwadzieścia pięć koron.

Na półce, która biegła wokół barku, stał cały rząd butelek. Dacso zdjął jedną z tych, w których było czerwone wino.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? Przecież rzuciłeś picie.

– Daj mi butelkę.

Dacso powoli wyjął korek i sięgnął po świeżo wymyty kieliszek.

– Dwieście dwadzieścia pięć koron. Dostaniesz za to całą butelkę. Albo sześćdziesiąt koron za kieliszek.

A obietnica, którą kiedyś sobie złożył? To żadna obietnica, bo niczego nie zmienia.

– Wezmę całą butelkę. Możesz to sobie odliczyć z pieniędzy, które dał ci Leo.

– Twój syn nie zapłacił mi za wino, tylko za kolację, którą tu kiedyś zjecie.

„Sam powiedziałeś: jeśli ty się możesz zmienić, to i ja mogę to zrobić”.

Kłamstwo. Nawet to było kłamstwem, które spłonie. Jak wszystko.

– Właśnie o tych pieniądzach mówię: za paskudne jedzenie, którego nie zjedliśmy i na pewno w tej twojej norze nie zjemy. Daj mi w końcu tę pieprzoną butelkę. I oddaj resztę kasy.

– Twój chłopak powiedział, że mam zatrzymać pieniądze do jego powrotu.

– Mój syn już nigdy nie wróci!

Ivan wyrwał mu butelkę z ręki. Lepiej będzie, jeśli sam naleje sobie wina. Egri bikaver to po węgiersku „bycza krew”. Dobrze wie, co ta nazwa znaczy. Popijając pierwszy łyk chłodnego trunku, patrzył, jak Dacso kładzie na ladzie cztery banknoty pięćsetkoronowe. Te pieniądze należały do jego syna, a teraz on je przepije. Poczul, jak błogi smak rozchodzi się po całym ciele. To tak jak wtedy, gdy twój przyjaciel przez dwa lata szczerze cię nienawidził, a potem nagle robi coś takiego, że znowu zacznasz się uśmiechać.

To, co jest poza nim, i to, co tkwi w nim.

Broncks doświadczył tego uczucia w równie silnym stopniu tylko raz w życiu: gdy świat zaczął się nagle poruszać zupełnie innym rytmem niż on.

Jego ojciec leżał wtedy na łóżku z nożem w piersi.

W tym samym czasie życie toczyło się niezmiennym trybem: przed oknem ich domu przeszła młoda kobieta z lodem w ręce, a dwaj starsi wędkarze, którzy siedzieli na pomoście, złowili okonia i popijali piłznera.

Tego samego uczucia doświadczał teraz: siedział w samochodzie w podziemnym garażu komendy policji, podczas gdy jego koledzy z pracy żyli zwykłym rytmem w zupełnie innej rzeczywistości. Szukali odpowiedzi, którą on już znalazł.

To dlatego nie mógł się zmusić, żeby wysiąść z wozu.

Najpierw musi podjąć decyzję.

Ma do wyboru: albo raz na zawsze tę odpowiedź pogrzebie, albo otworzy drzwi i zawoła: „Znalazłem rozwiązanie”.

Tylko on zna całą prawdę.

Tylko on potrafi skanalizować energię, która gromadzi się wokół niego, aby jej potem użyć przeciwko dwóm bandytom.

Tylko on wie, że zrabowane przed kilkoma godzinami pieniądze spoczywają w czterech walizkach na promie, który jutro dobieje do nabrzeża w Rydze.

To, co jest poza nim, i to, co tkwi w nim. Świat i on.

Zabrakło mu sił, żeby zatrzymać Sama. Powinien więc dopilnować, żeby zrobił to ktoś inny.

Położył rękę na klamce, ale nadal siedział nieruchomo.

Czy naprawdę powinien wtrącić za kraty kogoś, kto się dla niego poświęcił i spędził w celi dwadzieścia trzy lata życia?

W końcu nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Znalazł się w innej rzeczywistości, ale wcale się w niej nie zagłębił.

Czy powinien wydać człowieka, który uratował mu życie?

Ruszył powoli przez rozległy garaż pachnący smarem i wilgocią. Pozdrowiał kolegów, ale ich nie widział, tak jak nie wiedział, dlaczego to robi. Kierował się w stronę windy. Potem zostaną mu już tylko schody prowadzące do pomieszczeń zajmowanych przez wydział śledczy.

W tej sprawie nie chodziło o to, że jest dwóch braci: starszy i młodszy.

Nie chodziło też o więzy krwi ani o poczucie lojalności.

A może chodziło o dług, którego nigdy nie spłacił?

Znowu patrzy na to wszystko w uproszczony sposób.

To dlatego po pewnym czasie przestał się spotykać z Samem. Za każdym razem gdy siadał naprzeciwko niego przy chwiejącym się stoliku w pokoju wideń, ów dług przysiadł się do nich i szeptał: „Tak, to on uratował ci życie, ale za chwilę tylko ty wyjdiesz stąd na wolność”. W końcu przestał tam przychodzić, bo ile razy człowiek może wysłuchiwać tego samego?

Otworzył windę, wcisnął guzik trzeciego piętra, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Schody. Jeśli pójdzie na górę schodami, zajmie mu to trochę więcej czasu.

Potrwa to na tyle długo, że zdąży się upewnić, czy decyzja o tym, aby raz na zawsze spłacić zaległy dług za cenę stu trzech milionów koron, była słuszna.

Niepokój, który ją ogarnął, był tak silny, że nie mogła nad nim zapanować. Przez dziesięć minut stała bez ruchu w zapadających ciemnościach, ale i tak jej to w niczym nie pomogło. Żeby się nie poddać, dwa razy obeszła komendę policji w Kronobergu. Szła wzdłuż niebiesko-białej taśmy policyjnej, która oddzielała zabudowania policji od otoczenia. Britt-Marie nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała, bo funkcjonariusze rozciągali taką taśmę zazwyczaj z dala od komendy. Wejście od strony Bergsgatan wyglądało dokładnie tak samo jak wejścia od Polhemsgatan, Kungsholmsgatan i od strony parku. Teren należący do policji stał się nagle jednym wielkim miejscem przestępstwa. Nawet metro przestało tu kursować, a autobusy miejskie puszczono inną trasą. Od gapiów, którzy zebrali się na miejscu razem z grupą dziennikarzy i fotoreporterów, Britt-Marie dowiedziała się, że w budynku policji popełniono jakieś poważne przestępstwo. Ktoś szepnął podekscytowanym głosem, że najprawdopodobniej doszło do największej kradzieży w historii Szwecji.

Po drugiej rundzie Britt-Marie zatrzymała się przy niskim kamiennym murku odgradzającym policyjny kompleks od ratusza. To właśnie w tym miejscu umówiła się na spotkanie z tą samą młodą policjantką, która przyjechała po Leo, przewróciła jej dom do góry nogami, a w szpitalu, w jej miejscu pracy, gdzie chronił ją mir, pokazała jej zdjęcie jakiegoś mężczyzny, który siedział w samochodzie należącym do jej najstarszego syna. Elisa. To dość rzadkie, ale ładne imię.

Właśnie wyszła z komendy. Przeszła pod cienką taśmą i zaczęła się przeciskać zygzakiem przez tłum gapiów.

– Mogę pani poświęcić tylko kilka minut. Jak widać, trochę się tu dzieje.

Britt-Marie skinęła głową i uśmiechnęła się do niej, jak tylko umiała najładniej. Zaczęła sobie szukać jakiejś wygodnej pozycji. Nie mogła ustać w miejscu i nie wiedziała, co zrobić z rękami, żeby jej tak nie zwisły po bokach. W końcu skrzyżowała je na zimowym płaszczu na wysokości piersi.

– Dzwonił do mnie Vincent, mój najmłodszy syn... jego chyba też pani spotkała? Był wzburzony i lekko przestraszony. Powiedział, że kontaktowała się z nim policja.

Elisa odwróciła się w stronę gapiów. Któryś z nich próbował przejść pod taśmą, ale od razu został cofnięty.

– Przepraszam, musiałam... co pani mówiła? Że kontaktowała się z nim policja? Ktoś z naszych ludzi?

– Tak powiedział. Czy pani coś wie o tej sprawie?

– Nie. Pani syna spotkałam tylko raz, wczoraj, w remontowanym przez niego mieszkaniu. Wydawało mi się, że był całkiem spokojny. Czy wspomniął, czego ten policjant od niego chciał?

– Powiedział, że ma to coś wspólnego z Leo, i kazał mu z sobą jechać. To był ten sam funkcjonariusz, który prowadził śledztwo w sprawie napadów na banki.

Elisa znowu się odwróciła w stronę gapiów, którzy zachowywali się coraz głośniejsze. Przy okazji włączyła się w dyskusję prowadzoną przez rozstawionych wzdłuż taśmy funkcjonariuszy z fotoreporterami, którzy przez cały czas pchali się do przodu. Britt-Marie stała w pewnej odległości od niej i czekała na jakieś wyjaśnienia. W końcu Elisa znowu się do niej odwróciła. Przez cały czas zastanawiała się nad słowami, które przed chwilą usłyszała.

Jakiś policjant kazał mu zrobić coś, czego Vincent nigdy by nie zrobił, a mianowicie żeby wziął udział w śledztwie dotyczącym jego najstarszego brata.

– Jeszcze raz panią przepraszam, ale robi się coraz większe zamieszanie. Dziennikarze domagają się informacji dla swoich szefów, którzy ich tutaj przysłali. Przestępstwo w siedzibie policji to kuszący temat. Zaraz wrócę.

Vincent postanowił przecież, że nigdy więcej nie splami się przestępstwem i nigdy więcej nie chce mieć do czynienia z policją.

– A jeśli chodzi o Vincenta... niestety, nie mogę pani pomóc. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje. Obiecuję jednak, że natychmiast to sprawdzę.

Ale przecież dobrze wiedziała.

Vincent uwikłał się w coś, czego tak bardzo się bał.

Wygląda na to, że miał rację – nie wygląda to dla niego najlepiej.

Broncks nigdy nie bał się ciemności. Przeciwnie – zawsze go chroniła, podobnie jak cisza.

Tym razem było inaczej.

Dopiero po podjęciu decyzji w sprawie Sama, kiedy przy zgaszonym świetle usiadł za biurkiem i znalazł się zupełnie sam w nicości, odważył się odblokować zmysły, poczuł nieznośny żar, doświadczyć intensywnego blasku jasnego światła.

Bomba zapalająca.

Żaden z nich nie zdążył nawet krzyknąć.

Nigdy nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak po czymś takim wygląda zwęglona skóra.

Podszedł do parapetu i popchnął, a właściwie wypchnął okno, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec komendy. Do środka wdarło się chłodne wieczorne powietrze. Broncks zamknął oczy i powoli oddychał. Wychylił się smagany podmuchami wiatru, ale żadnej różnicy nie poczuł.

Żar uwolniony potężną eksplozją przerwał ciszę, tak jak białe światło przedarło się przez bezpieczną ciemność.

Nigdy nikogo nie zabił ani nawet nie zranił. Przez całe swoje dorosłe życie miał do czynienia z przemocą w wykonaniu innych, ale nigdy nie musiał się nią sam posłużyć. Badał skutki coraz to nowych okropnych zbrodni, ale zawsze odbywało się to po fakcie. Niedawno znalazł się w sytuacji, gdy przemoc mogła się skończyć jego śmiercią. Można nawet powiedzieć, że leżała przed nim na ziemi.

Wiedział dlaczego.

Po raz pierwszy w całej swojej karierze zawodowej działał nie jako policjant, tylko osoba prywatna. Decyzje, które podjął John Broncks jako osoba prywatna, będą teraz miały swoje konsekwencje dla Johna Broncksa policjanta.

Do tej pory zawsze było odwrotnie.

Przemoc, z którą miał do czynienia – każdego dnia i wieczora, w każdym kolejnym śledztwie – doprowadziła do tego, że stał się bardziej ostry i zaangażowany. Siła, która go napędzała, utrzymywała go we właściwym rytmie do czasu, aż sprawca przestępstwa trafiał do aresztu śledczego na czwartym piętrze.

Wychylił się bardziej, żeby poczuć na twarzy więcej chłodu i lodowatego wiatru. Nawet jego ubranie wydzielalo zapach, który pachniał konsekwencjami – spalone włosy, spieczona skóra, ślady fosforu i prochu. W końcu dotarło do niego, że bez względu na to, jak bardzo będzie się wychylał przez okno, wspomnienie tego dnia i decyzji, których efektem były eksplozja i śmierć człowieka w stodole, nigdy go nie opuści.

Dlatego musi stąd uciec – tak jak przestępcy, którzy odpowiadali za skutki swojej przemocy, a podczas śledztw próbowali mu się wymknąć. Będzie musiał przemodelować prawdę, a strach znosić w taki sposób, żeby nikt się tego nie domyślił. Nigdy nie opowie żadnemu ze swoich kolegów o tym, co się wydarzyło, a właściwie o tym, co się rzeczywiście wydarzyło.

Wychodząc z pokoju, zostawił zgaszone światło. Przedtem podszedł do drugiego okna i też je otworzył, żeby do środka wpadło świeże, chłodne powietrze.

Elisa uniosła niebiesko-białą taśmę, która poruszała się wstrząsana lekkimi podmuchami wiatru, przeszła pod nią i ruszyła w stronę wschodniego wejścia do budynku policji. W pewnej chwili z tłumu gapiów na samym końcu ktoś do niej zawołał: „Co tu się stało? Kiedy otrzymamy jakieś informacje?”. Elisa odwróciła się, żeby sprawdzić, kto to, ale zamiast tego zatrzymała wzrok na kobiecie stojącej w niewielkiej odległości za tłumem.

Britt-Marie, matka Leo, Felixa i Vincenta Dûvnjáców.

Siedziała na niskim murku i wydawała się taka krucha.

Widać było, że nadal niepokoi się o los syna.

„Ten policjant kazał mu z sobą jechać”.

Pieprzony Broncks.

To do niego powinna zadzwonić, żeby uzyskać odpowiedź na pytanie, które zadała jej ta zatroskana kobieta. Ale do ludzi, którzy ukrywają informacje, nie warto dzwonić. Najlepiej porozmawiać z nimi bezpośrednio. W końcu postanowiła zrobić coś innego. Wyjęła telefon i wybrała inny numer.

– Oficer dyżurny.

Zrobiła to, chociaż wiedziała, że dyżurny jest teraz zajęty kradzieżą w magazynie depozytów.

– Mówi Elisa Cuesta. Potrzebuję danych z naszej bazy na temat Vincenta Dûvnjaca. Przeliteruję: D-Û-V-N-J-A-C. Jest w naszym rejestrze. Wszystkie nasze patrole powinny otrzymać jego zdjęcie i rysopis.

– Czy to coś ważnego?

– Sprawa najwyższej wagi.

Nie zdążyła nawet dojść do schodów prowadzących na piętro wydziału śledczego, gdy dyżurny oddzwonił.

– Mam odpowiedź.

– Słucham.

– Jakąś godzinę temu jeden z naszych patroli odebrał zgłoszenie na południe od miasta.

– No i?

– Vincent Dûvnjac, o którego pytałaś, został znaleziony martwy.

Po godzinie osiemnastej na korytarzu wydziału śledczego jest już zupełnie ciemno. Śledczy mają wreszcie za sobą ostatnie rozmowy telefoniczne do techników i zaplanowane na ten dzień przesłuchania, do odpowiednich teczek włożyli wydruki najnowszych zeznań świadków. Jednak tego wieczoru było inaczej, bo wszyscy nadal byli w pracy: w podziemiach i korytarzach prowadzących do magazynu depozytów i w okolicach stacji metra koło ratusza, gdzie w tunelu znaleziono świeży ślad – policyjny mundur porzucony na torach.

W połowie korytarza miejsce ciemności zajął chłód, jak gdyby w którymś miejscu wiatr wdzierał się do budynku. Elisa zauważyła, że drzwi w pokoju Broncksa poruszają się pod wpływem przeciągu.

On sam zniknął z komendy przed południem i od tej pory nikt go nie widział.

Elisa wiedziała, że Broncks ma swój własny plan działania. W tajemnicy skontaktował się z człowiekiem, z którym ona też się spotkała i któremu jeszcze wczoraj zadawała pytania. Przed chwilą usłyszała, że ten człowiek nie żyje.

Przechodząc koło automatu do kawy, wydłużyła krok. Tym razem nie naleje do kubka srebrnej herbaty. Szła prosto do pokoju Broncksa. Popchnęła drzwi, które głośno trzaskały, i bez pukania weszła do środka. Broncks siedział przed biurkiem przy zgaszonym świetle. Oba okna były otwarte na oścież.

– Chcę cię poprosić, żebyś poszedł ze mną do mojego pokoju. Muszę ci coś pokazać.

– Nie teraz.

– Właśnie teraz.

Elisa nie widziała jego twarzy, bo była ukryta w ciemnościach. Usłyszała tylko głębokie westchnienie.

– Nie jestem teraz w stanie rozmawiać o śledztwach. Wybrałaś zły moment. Muszę cię poprosić, żebyś zostawiła mnie w spokoju.

Elisa nie była pewna, ale zdawało jej się, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Taki sam jak wtedy, gdy zasnęła w pokoju socjalnym, a on tam przyszedł i zaproponował jej współpracę przy prowadzeniu śledztwa.

Elisa przekręciła kontakt w ścianie.

– Do jasnej cholery, wyjdź z mojego...

– Nie.

Ciemność rozświetlił ostry blask jarzeniówki.

– To ty pójdziesz ze mną. Do mojego pokoju. Musimy porozmawiać. Zaczniemy od kogoś, kto jest centralną postacią naszego wspólnego śledztwa. Mimo to ukryłeś przede mną wszystkie fakty związane z tym człowiekiem.

Elisa się nie pomyliła. Dopiero teraz zobaczyła na jego twarzy ten pieprzony uśmiech.

– Mówię o Samie Larsenie. Twoim bracie.

Dzielnica Birkastan. Czarne dachy przypominają pofałdowany, blaszany krajobraz. Niebo robi się o wiele jaśniejsze, gdy światło nie odbija się od śniegu, który zsunął się z nich w ciągu dnia. A może to wino sprawiło, że komórki mózgowie poruszają się wolniej, swobodniej, a gwiazdy wydają mu się bardziej roziskrzone i wcale nie tak bardzo oddalone od Ziemi? Ivan oparł się biodrem o poręcz balkonu i uniósł rękę, w której trzymał papierosa. Z tego miejsca mógł ich prawie dotknąć; nie były już oddalone o lata świetlne, tylko raczej o długość ramienia. Zaciągnął się kilka razy i rzucił niedopałek do pustej puszki po szpachlówce. Wylądował wśród innych, leży ich tam pewnie ze czterysta. Jedna paczka dziennie przez cztery tygodnie. Na pewno jest ich więcej, jeśli uwzględnić niedopałki Vincenta. Nie podoba mu się, że jego najmłodszy syn pali, ale kiedy tu razem stoją, nie protestuje. Poczucie wspólnoty jest silniejsze.

Vincent powinien już tu być, ale nigdzie nie zauważył radia z tą pieprzoną narkotyczną muzyką, której słuchają wszyscy młodzi ludzie. Światło w mieszkaniu też było zgaszone. Jutro mają się do niego wprowadzić właściciele. Vincent powinien już tu być.

Popchnął drzwi balkonowe, a idąc przez salon z fachowo pomalowanym sufitem, od razu poczuł się lepiej. Wiedział, że jest równie szybki jak jego synowie, ale znacznie od nich sprawniejszy. Nierówno położona farba zawsze doprowadzała go do szału. Był przekonany, że Vincent zatrudni go też przy remoncie kolejnego mieszkania – nie tylko po to, żeby lepiej poznać swojego ojca, ale głównie dlatego, że trudno mu będzie znaleźć lepszego fachowca.

Na zlewozmywaku stała butelka wina. To tam ją postawił, nasłuchując, czy nie usłyszy gdzieś tej pieprzonej muzyki. Bycza krew. Prosto z butelki. Szybko przełknął alkohol, ale smak nie był najważniejszy. Zależało mu tylko na tym, żeby poczuć rozlewające się ciepło. Odstawił butelkę na zlewozmywak i w tej samej chwili rozległ się ładnie brzmiący dźwięk.

Pling plong. Pling plong.

Ktoś dzwonił do drzwi wejściowych.

– Wejść i siadaj.

Ivan zaniósł butelkę do pustej spiżarni. Może to sąsiadka, co się zawsze skarży? Albo właściciel, który przyszedł sprawdzić, czy wszystko jest elegancko zrobione?

– No wejść!

Po krokach poznał, że to kobieta. Lekkie, trochę niepewne.

– Vincent?

To nie sąsiadka. Ani właściciel mieszkania.

– Vincent... jesteś tutaj?

Matka trzech synów.

Britt-Marie.

Ivan otworzył spiżarnię i pociągnął z butelki trzy porządne łyki. Kiedy się już napił, ujrzał, że Britt-Marie stoi w kuchni i obserwuje go.

– To już dwa lata.

Britt-Marie była zdziwiona jego widokiem. On też się zdziwił, widząc ją w tym miejscu.

– Dwa lata, Britt-Marie. Ale to koniec. Znowu zacząłem pić.

Pociągnął kilka porządných łyków wina i podał jej butelkę.

– Napijesz się? Egri bikaver. Po węgiersku „bycza krew”.

– Szukam Vincenta.

Britt-Marie rozejrzała się, jak gdyby coś usłyszała.

– Podobno tu pracuje. Felix mi tak powiedział.

– Felix mówił prawdę. Tak, Vincent tu pracuje, razem ze swoim tatą.

– W takim razie gdzie jest?

Ivan zrobił zamaszty ruch ręką, wskazując świeżo pomalowany sufit w kuchni, ściany i kafle położone między zlewozmywakiem a szafkami.

– Widzisz, jak elegancko? To my wszystko zrobiliśmy, ja i mój najmłodszy syn. Mucha nie siada. Vincent jest bardzo dokładny. Pamiętasz, jak był małym chłopcem i układał ołówki w jednym równym

rzędzie? Teraz też taki jest. Wszystko musi być na swoim miejscu.

– Czy mógłbyś mi odpowiedzieć na moje pytanie? Gdzie jest Vincent?

– A czemu go szukasz?

– Dzwonił do mnie po południu, był zdenerwowany. Skontaktował się z nim jakiś policjant i twierdził, że chodzi o Leo. Od tamtej pory nie mogę się do niego dodzwonić. Zaczynam się niepokoić.

Kilkadziesiąt kilometrów za Sztokholmem rozciąga się rozległy teren, na którym nie ma ani jednego policjanta. W tym samym czasie wokół komendy i ratusza w centrum miasta wprost się od nich roi.

Ivan nie potrafił wyjaśnić, skąd to wie, ale był pewien, że Leo go wykorzystał. Nie wiedział tylko jak i dlaczego. Stał się pionkiem w jego grze, tak jak ostrzegwał go Vincent. Doszedł do wniosku, że ma to coś wspólnego z tym, co pokazywała telewizja. Czy Leo rzeczywiście wciągnął w to Vincenta? Trudno mu było w to uwierzyć. Vincent podjął decyzję i wszystko wskazywało na to, że twardo przy niej obstawał.

– Przyznam ci się, że podczas naszej wspólnej pracy dobrze poznałem Vincenta. I mogę cię zapewnić: nie musisz się niepokoić. On już nigdy nie popełni żadnego przestępstwa.

Britt-Marie uśmiechnęła się, ale nie był to przyjazny uśmiech.

– Czy to znaczy, że ty też nie wiesz, gdzie on jest? Jak zwykle nie masz o niczym pojęcia?

– Pewnie niedługo się zjawi. Niepotrzebnie się niepokoisz. Co to znaczy, że „nie mam o niczym pojęcia”? A czy ty „miałaś pojęcie”, że napadali na banki? O niczym ci nie mówili. Leo przychodził ze wszystkim do mnie. To nas skazano, jego i mnie.

Britt-Marie pokręciła lekko głową. Była zatroskana i zrezygnowana.

– Myślałam, że każdy z nich pójdzie własną drogą. Miałam szczerą nadzieję, że ten proces już się zaczął i że te twoje szalone i absurdałne więzi rodzinne, które im narzuciłeś w dzieciństwie i które utwierdzały ich we wzajemnej lojalności na zasadzie „razem przeciwko całemu światu”, osłabną w więzieniu, a po tak długim czasie każdy z naszych synów pójdzie w końcu w swoją stronę.

Na początku rozmowy Britt-Marie prawie szeptała, ale stopniowo podnosiła głos; jeszcze trochę i zacznie krzyczeć.

– Vincent nie chciał nawet przyjść na obiad, bo wiedział, że będzie na nim Leo. Bał się, że Leo znowu go wciągnie. Rozumiesz? Tak bardzo bym chciała, żeby tu teraz był. Robi pewnie to, czego nie chciał już nigdy więcej robić. To wszystko twoja wina! To przez te twoje cholerne więzi rodzinne, tę twoją lojalność! Wszystko, co sobą reprezentujesz, niszczy moje dzieci, wszystko, co kiedykolwiek...

Britt-Marie nie dokończyła, bo Ivan uderzył ją otwartą dłonią w lewy policzek. Czuli nawet, jak czubki jego palców grzęzną w jej włosach. Gdyby nie upadła, uderzyłby ją pięścią.

Ale kolejnych ciosów nie było.

Britt-Marie nie krzyczała jak dawniej, nie uciekała przed nim, tylko usiadła na świeżo wycyklinowanej podłodze i popatrzyła na niego. Z nosa kapła jej krew.

Ivan sięgnął po butelkę, na dnie zostało jeszcze kilka łyków wina. Na tyle dużo, żeby odpędzić uczucie, które go naszło.

Jedno uderzenie.

Tylko tyle potrzebował, żeby jego wewnętrzna przemiana dobiegła końca. W tym momencie stał się na powrót sobą.

– Ivan?

Wstając z podłogi, Britt-Marie przez cały czas na niego patrzyła.

– Po naszym ostatnim spotkaniu sprzątała po tobie nasi synowie. Teraz zrób to sam.

Po tych słowach wyszła z pokoju.

Numer 41.

Broncks domyślił się, że to właśnie ten przycisk powinien wybrać w automacie, żeby kupić czarną kawę z odrobiną mleka. Jego własny kubek nie pasował do żadnego z uchwytów, więc ciepłą wodę brał po prostu z automatu na wydziale śledczym. Kwadrans. Mniej więcej na tyle czasu udało mu się odłożyć rozmowę z Elisą w jej pokoju. Teraz musi zebrać myśli, żeby szybko spreparować jakieś kłamstwo, bo Elisa weszła w posiadanie wiedzy, która stanowi zagrożenie dla jego egzystencji – prywatnej i zawodowej.

Broncks dobrze wiedział, jak to kłamstwo powinno wyglądać i jak należy je przedstawić. Jako doświadczony śledczy orientował się, że zdolni kłamcy, których przesłuchiwał, zaczynają zawsze od mówienia prawdy, bo tylko w taki sposób potrafią zaciemnić to, co chcieliby ukryć. Kłamstwo powinno być na tyle wiarygodne, żeby rozmówca w nie uwierzył.

Poczekał, aż ostatnie krople kawy skapną do kartonowego kubka, i poszedł do pokoju Elisy.

– Puk puk.

Broncks naśladował zachowanie Elisy – unióś kubki na dowód tego, że obie ręce ma zajęte i dlatego nie mógł zapukać. Wszedł do pokoju i postawił kubek z parującą kawą na jej biurku, między stosami papierów.

– Jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

Zaczął od powiedzenia prawdy.

W zaplanowanym przez niego kłamstwie chodziło o to, aby przyznać się do tego, co Elisa i tak już wiedziała: że Sam jest jego bratem i że powinien być jej o tym powiedzieć. Nie zrobił tego, i to był jego błąd. Nigdy jednak się nie przyzna do popełnienia przestępstwa ani do faktu, że nie na każdym etapie śledztwa postępował zgodnie z policyjną etyką. Nie tylko umożliwił Samowi ucieczkę po zbrojnym napadzie na konwój z pieniędzmi, podczas którego zginął człowiek, ale także pozwolił mu zabrać walizki ze sto trzema milionami koron skradzionymi w podziemiach budynku.

– Mówisz poważnie? To kawa?

– Tak.

– John... czy ty naprawdę nie rozumiesz, że wspólne picie kawy to jedyna rzecz, jakiej nie powinniśmy teraz robić?

Elisa wzięła kubek i postawiła go między segregatorami na segmencie w rogu pokoju.

– Niech wystygnie. Wypiję ją, jak stąd wyjdiesz.

Elisa przeciągnęła dłońią po aktach śledztw ułożonych w trzech stosach na biurku i poklepała je, jak gdyby to były żywe stworzenia.

– Popatrz na te papiery... to mój własny system prowadzenia spraw. Nigdy cię szczególnie nie zainteresował. A wiesz dlaczego? Bo zasadniczo się różnimy: ja opieram się w pracy na faktach, ty na przecuciach. Każdy z tych stosów oparty jest na faktach. Na przykład ten, po twojej lewej stronie, nazwałam „Uderzyłeś pierwszy, gnojku”. Umieszczam w nim opis okoliczności, które doprowadziły do przestępstwa.

Elisa wyjęła pierwszy z brzegu dokument. Było to zdjęcie wykonane przez policyjnego technika. Przedstawiało garść łusek leżących na posadzce przed dwoma bankomatami.

– Na przykład... o, tutaj... zdjęcie amunicji. Dzięki niej sprawcy zdołali dostać się na miejsce przestępstwa. Skąd te pociski? Z magazynu należącego do szwedzkiej armii. Do jakiej broni pasują? Do AK4 skradzionego z tegoż magazynu. Co mi to daje w mojej pracy śledczej? Fakty, które mogę powiązać z podejrzanym.

Elisa wyjęła ze stosu papierów kolejny przypadkowy dokument.

– Inny przykład, żebyś to zrozumiał... mam tu następne zdjęcie. Przedstawia zwykłą tablicę rejestracyjną. Ze zgłoszenia wynika, że została skradziona w noc przed napadem. Potem przykręcono ją do furgonetki, którą drugi ze sprawców uciekł z miejsca przestępstwa. Dzięki temu mógł udawać pracownika firmy Arla, która dostarcza produkty mleczne. To fakty, które możemy powiązać z podejrzanym.

Elisa odłożyła oba zdjęcia na bok i zdjęła ze stosu dokumentów plik papierów. To już nie był przypadkowy wybór, jak przed chwilą. Broncks ocenił, że plik zawiera siedem albo osiem kartek.

– Najdziwniejsze jest to, że mam tutaj coś, co można powiązać z tobą.

Elisa przesunęła w stronę Broncksa plik dokumentów.

– Wyrok sądu rejonowego sprzed dwudziestu czterech lat. Zabójstwo – chłopak zadźgał nożem swojego ojca. A teraz popatrz tutaj...

Elisa przesunęła palcem po fragmencie tekstu w górnej części pierwszej kartki.

– ...ofiara zbrodni nazywała się George Broncks. To twój ojciec. A teraz popatrz na to zdanie... skazany przestępca nazywał się Sam Larsen. To panieńskie nazwisko twojej matki. Przedtem nazywał się Broncks.

Ten wyrok. Na jej biurku.

Elisa zrobiła coś, czego nikt inny by nie zrobił: dokopała się do informacji o jego rodzinie – ojcu, który ich bił, mamie, która udawała, że tego nie widzi, starszym bracie, który zabił, żeby chronić młodszego brata, i o nim, który zadenuncjował go na policji.

– A co cię to obchodzi? Po co ciskasz mi tymi papierami w twarz! Tamte sprawy nie mają dziś z mną żadnego związku.

Elisa udawała, że nie widzi jego zaczerwienionych policzków i nie słyszy podniesionego tonu. A może faktycznie niczego nie zauważyła, bo była skoncentrowana na tym, co chciała udowodnić?

– Ty, Johnie Broncks, znajdujesz się na pierwszym stosie akt, tam, gdzie fakty wskazują na okoliczności, które doprowadziły do przestępstwa. Fakty są takie, że jesteście z Samem braćmi. Spójrzmy teraz na drugi stos dokumentów, ten w środku. Nazywam go „Spieprzyłeś to!”. Obejmuje fazę, w której fakty naprowadzają na trop. Jestem pewna, że ty też tam jesteś. Dlaczego? Bo na tym stosie znajduje się to.

Elisa podała Bronckowski dokument leżący na wierzchu. Broncks domyślił się, że przygotowała go wcześniej. Na kartce były tylko cztery linijki tekstu. Broncks nabazgrał je sam, w swojej kuchni, gdy Elisa wpadła do niego z niezapowiedzianą wizytą.

– Mieliśmy sprawdzić nazwiska czterech osadzonych, którzy odbywali wyrok na tym samym oddziale więzienia w Österåker co Leo Dúvnjac, w tym samym czasie co on. Jakos tak się złożyło, że z całej czwórki postanowiłeś sprawdzić tego, który nazywa się Sam Larsen. Wyjaśniłeś mi, że mamy mało czasu i dlatego każde z nas sprawdzi po dwóch z listy. Nie przyznałeś się, że Larsen jest twoim bratem ani że jego wygląd pasuje do rysopisu sprawcy, którego oboje widzieliśmy na nagraniu zarejestrowanym przez kamerę monitoringu. Powiedziałeś tylko, że Larsen ma alibi. Nigdy mi go nie przedstawiłeś.

Elisa położyła dłoń na trzecim stosie akt.

– Akta leżące tutaj nazywam „Nie myśl sobie, że się z tego wykręcisz”. To te, w których pojawia się przestępca. Wśród tych dokumentów mam też to.

Elisa podała Bronckowski trzecią kartkę.

– Raport sporządzony przez patrol policji w Eskilstunie. Poprosiłam ich, żeby pojechali pod adres, gdzie twój brat jest zameldowany na stałe. Policjanci zastali na podwórzu dopalające się ognisko. Znaleźli w nim resztki mebli, ubrań, książek, a nawet fotografii. Ustalili też, że lodówka i zamrażarka są puste, a prąd odłączony, chociaż sąsiad widział tam Sama poprzedniego dnia.

Piętnaście minut.

Tylko tyle czasu miał na wymyślenie kłamstwa.

– John, czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? Wszystkie fakty wskazują na to, że twój brat zniknął. Na zawsze.

Większość tego czasu poświęcił na rozmowę z telefonem stacjonarnego. Rozmawiał z kimś, kto miał mu rzucić koło ratunkowe.

– Czy wiedziałeś o tym wszystkim? I dopuściłeś do tego?

Broncks oparł się o krzesło i znowu udał kogoś, kim nie był – zwykłego faceta.

– Masz rację. Popeniłem błąd.

Najchętniej by stamtąd uciekł.

– Rzeczywiście, powinienem ci od razu powiedzieć, że Sam jest moim bratem. Ale nigdy nie łączyły nas zbyt silne więzi rodzinne. W ciągu ostatnich dwudziestu lat widzieliśmy się zaledwie kilka razy. W tym przypadku więzi krwi nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Wyrok sądu orzeczony w okresie, gdy był dzieckiem, nadal leżał przed nim na biurku. Broncks wziął go do ręki. Na razie mówił prawdę. Teraz zacznij kłamać.

– Czytałaś ten wyrok, prawda? Jeśli tak, to wiesz, że to ja wydałem Sama policji. To dzięki mnie został aresztowany. Teraz też bym to zrobił, gdyby popełnił przestępstwo. Ale Sam jest czysty. On naprawdę miał alibi.

Elisa postanowiła od razu sprawdzić, czy to alibi trzyma się kupy. Potem spróbuje je podważyć.

– W takim razie przedstaw mi je. Chętnie posłucham.

Przed rozmową z Elisą zdążył jeszcze zadzwonić.

– Pamięta pan obietnicę sprzed lat? Że jeśli będę miał jakieś problemy, pomoże mi pan?

I rzucił mi koło ratunkowe.

– Tak, pamiętam.

– Właśnie teraz potrzebuję tej pomocy.

– Jest pewien człowiek... nazywa się Bertil Lundin. Pracuje na promie samochodowym kursującym między stałym lądem a wyspą, na której mieszkaliśmy z Samem w okresie, gdy zapadł wyrok, którym mi tak machałaś przed nosem. Po wyjściu z więzienia Sam przeprowadził się na tę wyspę. Prom to jedyny łącznik między nią a lądem. Spytaj Lundina. On potwierdzi, że tamtego dnia Sam był na promie odpływającym na wyspę o szesnastej trzydzieści.

Broncks przerzucił kilka dokumentów leżących na środkowym stole, nie pytając Elisy o pozwolenie. Szukał zdjęcia zamaskowanego bandyty, który biegł w kierunku furgonetki z mlekiem.

– To zdjęcie zostało zrobione w tym samym czasie.

Miał szczęście, bo kapitan promu nie stwarzał problemów. Właśnie taką miał nadzieję.

– Powiedział pan... szesnasta trzydzieści?

– Tak. Tym kursem.

– W takim razie... nie wykluczam, że pański brat mógł być wtedy na promie. Powinienem go zapamiętać, bo być może wysiadł z wozu i pomachał mi w stronę mostka. Zawsze to robił.

– Dziękuję. A kamera monitoringu?

– Tak się nieszczęśliwie składa, że w tym czasie się zepsuła i stała się bezużyteczna. Jest uszkodzona od tygodnia.

– Jeszcze raz dziękuję. Przykro mi, ale nie mogę wyjaśnić, po co to wszystko.

– Nie musi pan. Powinienem był wam pomóc dawno temu, gdy byliśmy dziećmi.

Broncks wstał z krzesła z kubkiem swojej srebrnej herbaty w ręce. Nie zdążył jeszcze wypić ani jednego łyka. Wyrzucił z siebie te swoje kłamstwa, a teraz chciał po prostu wyjść na korytarz, żeby znaleźć się jak najdalej od jej pytań. Nie miał już siły, żeby na nie odpowiadać.

– Będziesz musiała to wszystko sprawdzić, a wyniki położyć na jednym ze swoich stołów. Tymczasem ja wrócę do mojego pokoju, zgaszę światło i otworzę okna, bo tak mi się podoba.

Broncks zdążył dojść do drzwi, gdy zatrzymał go głos Elisy.

– Ja jeszcze nie skończyłam. Mam jeszcze jedną rzecz do omówienia. Interesuje mnie Vincent Dûvnjac.

Broncks zatrzymał się, ale nie odwrócił do niej.

– A konkretnie?

Nie chciał znowu siadać przed biurkiem zavalonym stosem papierów. Nie był na to przygotowany. Kłamstwo oznacza, że kłamca powinien rozumieć, co się stało. A on jeszcze nie wiedział, czy tego chce.

– Vincent nie żyje.

– Wiem.

– Byłeś tam, gdy to się stało.

Tak.

– Interesuje mnie, jak do tego doszło. A jeszcze bardziej: jak to się stało, że Vincent był tam razem z tobą.

– Wszystkiego dowiesz się z raportu, który jutro rano przekażę prowadzącemu śledztwo. A teraz już dobranoc.

Broncks zdążył dojść do drzwi i nie widział, co robi Elisa. Usłyszał tylko, jak z trzeciego stosu akt wyciąga jakiś dokument.

– Domyślam się, że przed chwilą do kogoś dzwoniłeś. Czekając, aż do mnie przyjdiesz, ja też do kogoś zadzwoniłam. To mój kontakt operacyjny w jednej z firm telekomunikacyjnych. Vincent był ich klientem. Mam tu listę numerów, z których dzisiaj do niego dzwonił. Dwa z nich są szczególnie obciążające, bo potwierdzają wersję przedstawioną przez matkę Vincenta. Uważa ona, że pewien policjant, który dawniej prowadził śledztwo w sprawie jej synów, skontaktował się z Vincentem i zmusił go, żeby z nim pojechał. Ów policjant twierdził, że ma to coś wspólnego z jego najstarszym bratem.

Elisa wstała od biurka, podeszła do Broncksa, chwyciła go za ramię i zmusiła, żeby na nią spojrzął.

– John... powtórzę, co powiedziałam: w moim systemie ten trzeci stos nazwałam „Nie myśl sobie, że się z tego wykręcisz”.

Jej oczy płonęły.

– Jest w nim Leo Dûvnjac. Nie wykręci się. Jest też twój brat, Sam Larsen. On też się nie wykręci. Będę szukała dowodów tak długo, aż je znajdę i zmuszę go do mówienia. Od dzisiaj na tym stosie jesteś także ty. Dopilnuję, żebyś poszedł siedzieć. Znasz mnie i wiesz, że dopóki mam rację, jest mi obojętne, czy narobię sobie tutaj wrogów. Dlatego zapewniam cię, że już się z tego nie wywiniesz.

Tego wieczoru Broncks nie zapalił światła w swoim pokoju. Nie zrobił tego także w nocy. Nie zamknął obu okien.

Jeśli bowiem po spłaceniu wszystkich długów człowiek nie chce wrócić do przeszłości ani tkwić w teraźniejszości, gdzie czekają na niego nieznośny żar i intensywny blask światła, który emituje eksplodująca bomba, pozostaje mu tylko jedno wyjście: wykonać ruch do przodu.

Żeby to zrobić, musi wiedzieć nie tylko jak, ale i dokąd ma się udać.

Dlatego będzie siedział w ciemnościach i w lodowatym chłódzie do świtu, aż w ryskim porcie podniesie się mgła.

Wtedy powinien już wiedzieć, mieć tę decyzję za sobą.

Potem będzie już po wszystkim.

Wczesny świt. Na niebie są już pierwsze przebłyski światła. Korytarz w areszcie śledczym w Kronobergu nie wydawał się już taki ciemny.

Niedługo podpisze pakt z diabłem. Ale ten diabeł nawet na niego nie spojrział, tylko siedział na pryczy ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Otworzyć?

Młody zaspany strażnik z pękiem kluczy w ręce powtórzył to pytanie dwa razy.

– Jeszcze nie.

Przez niewielki czworokątny otwór w drzwiach celi Leo Dûvnjac wyglądał na niższego, niż był w rzeczywistości. Broncks zastanawiał się przez chwilę, czy wobec jego milczenia nie powinien po prostu zasunąć kłapki w otworze w drzwiach i odejść. Niestety nie miał innego wyjścia. Jeśli ktoś chce przystąpić do negocjacji z diabłem, nie powinien się spodziewać, że zostanie zaproszony.

– Teraz możesz już otworzyć.

Trzasnęły klucze, a potem rozległo się mechaniczne kliknięcie, gdy równolegle umieszczone rygle oddzieliły się od futryny.

– Dziękuję. Jak wejść do środka, zamknij za mną drzwi i zostaw nas samych.

– Jest pan pewien?

Broncks skinął niecierpliwie głową.

– Tak, jestem pewien.

– Chce pan z nim zostać sam na sam? Bez urządzenia alarmowego?

– Daj mi je i zostaw nas.

Strażnik wyjął z kieszeni spodni niewielkie, czarne, plastikowe pudełeczko i podał je Broncksowi.

– Wystarczy lekko nacisnąć na ten guzik w środku. Od razu uruchomi się alarm.

Strażnik się oddalił. Broncks czekał, aż brzęk kluczy umilknie.

W niewielkiej celi aresztu były tylko niezaścielona prycza, przymocowany do ściany stolik i umywalka z kapiącym kranem. Jej powierzchnia zmniejszyła się jeszcze bardziej, gdy zajęło ją dwóch mężczyzn połączonych wzajemną nienawiścią. Przez sześć lat ta nienawiść pozostawała w stanie uśpienia, ale przez kilka ostatnich dni osiągnęła taki poziom, że aż musiało paść ostrzeżenie: „Jeśli wydasz mojego brata, ja wydam twój”.

– To, co wydarzyło się wczoraj...

Broncks miał niczym nieuzasadnioną nadzieję, że o śmierci Vincenta Dûvnjaca opowie jedynie w policyjnym raporcie. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że będzie o niej rozmawiał z człowiekiem, który siedział zamknięty w celi i wpatrywał się w niego pustym wzrokiem.

– ...nigdy nie powinno mieć miejsca. Twój... Vincent... on...

– Ani słowa więcej o moim bracie.

Leo nie wykrzyczał tych słów, choć byłoby prościej, gdyby to zrobił. Bo chociaż dźwięk to fale, które żeby dotrzeć w określone miejsce, potrzebują powietrza, to jednak rozpacz kryjąca się w głosie Dûvnjaca odbiła się echem w ubogim w tlen pomieszczeniu.

– A teraz naciśnij to swoje urządzenie, bo nie chcę cię tu dłużej widzieć.

Broncks nawet nie ruszył się z miejsca. Jeśli się nie ma wyboru, przebywanie w obecności kogoś, kto nienawidzi, staje się łatwe.

– Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

– Wyjdź stąd.

– Daj mi dwie minuty.

– Wyjdź!

Broncks wykonał krok w stronę grubych, żelaznych drzwi i lekko je uchylił. Wysunął na zewnątrz rękę, zasunął kłapkę w czworokątnym otworze i zamknął drzwi.

– Ta rozmowa dotyczy nas dwóch. Nie policjanta i podejrzanego, tylko dwóch facetów, którzy mają za sobą okropny dzień.

Broncks położył rękę na klamce, jak gdyby chciał sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte.

– Nie zrozumiałem, co miałeś na myśli, gdy poprzednim razem spotkaliśmy się na komendzie. Wypuściłem cię, a ty odwróciłeś się i zawołałeś coś w stylu „Broncks, to, co wydarzyło się dzisiaj, to dla ciebie prawdziwa czarna nić”.

Wydawało mu się, że Leo po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spojrzął mu w oczy. W jego wzroku pojawił się słaby blask, który mógł świadczyć o tym, że obudziło się w nim życie.

– Próbuję sobie wmówić, że to, o czym powinniśmy porozmawiać, to właśnie taka nić.

Broncks uważnie obserwował swojego rozmówcę. Rzeczywiście, w jego oczach pojawiło się coś, co przypominało życie. Jak gdyby te oczy próbowały ustalić, co tak naprawdę widzą.

– Dam ci te dwie minuty, ale pod jednym warunkiem.

Leo wyciągnął do Broncksa rękę.

– Że dasz mi to urządzenie.

Broncks zrozumiał, co to dla niego znaczy. Mimo to wyjął czarne pudełko z kieszeni i położył je Důvnjacowi na wyciągniętej dłoni.

– Jeśli w ciągu najbliższych dwóch minut nie powiesz czegoś, co pokaże cię w innym świetle, rozbiję ci głowę o tę betonową ścianę.

Leo wstał z pryczy i cęła jeszcze bardziej się skurczyła.

Broncks zerknął na zamknięte drzwi i zrozumiał, że jeśli nie wymyśli czegoś, co osłabi wściekłość Důvnjaca, za niecałe sto dwadzieścia sekund w celi zostanie tylko jeden żywy człowiek.

– Chyba rozumiesz, że czarna nić nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia. Żeby mnie dopaść, wykorzystasteś Vincenta, ale sprawa się rypla i to ty jesteś winien jego śmierci.

Leo był wyższy od Broncksa o ponad dziesięć centymetrów. Kiedy się nad nim pochylił, żeby mu coś szeptnąć, musiał się zniżyć, żeby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Czy ty też słyszysz, jak zegar odmierza kolejne sekundy? Tik-tak, tik-tak...

Tak, Broncks też to słyszał, a nawet czuł. Czuł się doskonale, bo wiedział, że wkrótce wszystko się rozstrzygnie. Bez względu na to, co się wydarzy, za chwilę będzie po wszystkim, a wtedy nie będzie się już musiał do niczego przygotowywać ani nad niczym zastanawiać.

– Prawda jest taka, że jestem jedynym policjantem, który wie o wszystkim, co się działo w ciągu kilku ostatnich dni.

– Tik-tak, tik-tak...

– Tylko ja wiem, że to ty zaaranżowałeś napad na konwój i że przeprowadził go mój brat z Jarim Ojalą; grozi za to osiem lat więzienia. Tylko ja wiem, że ty i mój brat dokonaliście wspólnie napadu na magazyn depozytów w komendzie policji; za taki czyn grozi dziesięć lat więzienia. Tylko ja wiem, że przechowywałeś dwieście sztuk wojskowej broni automatycznej na terenie swojej nieruchomości. Za taki czyn, który kodeks karny określa jako „akt terroru”, grozi dożywocie.

– Tik-tak, tik-tak...

– Powtarzam: jestem jedynym policjantem, który wie o tych wszystkich sprawach. Ale moi koledzy... zdolni i doświadczeni śledczy... zaczęli w nich grzebać. Próbują znaleźć powiązania, które ja wcześniej ustaliłem. Masz więc następujący wybór: albo im o wszystkim opowiem, albo zostanie to między nami, pod warunkiem że zrobisz to, co do tej pory świetnie ci się udawało, a mianowicie, że będziesz milczał.

W tym samym momencie Broncks poczuł, jak Leo dotyka jego skroni. Człowiek, który tak bardzo go nienawidził, wyciągnął przed siebie rękę, jak gdyby chciał mu pokazać, z jaką łatwością może zrealizować swoją groźbę.

– Została ci minuta.

Leo pogładził chłodną, twardą powierzchnię betonowej ściany koło głowy Broncksa. Była to wyraźna aluzja. Ale Broncks się nie odsunął i nie przestał mówić. Przeciwnie: podszedł do ściany i oparł się o nią plecami.

– Ja też straciłem dzisiaj brata.

Broncks wypowiedział te słowa takim tonem, jak gdyby chciał pokazać, że godzi się na układ: wolno ci mnie zabić, jeśli nie zdołam cię przekonać. Po tym, jak Leo uderzył otwartą dłonią w ścianę, tuż koło jego policzka, nawet się nie poruszył. W celi rozległ się głośny trzask.

– O czym ty, kurwa, bredzisz! Nie masz pojęcia, co to znaczy stracić brata!

– Wczoraj wieczorem siedziałem z moim bratem w luksusowej kajuście promu, który zaraz miał odpłynąć. Piłem z nim szampana, którego nalał tobie. Mogłem doprowadzić do jego aresztowania.

Nadal mogę sprawić, że za godzinę, gdy prom przybędzie do Rygi, Sam zostanie zatrzymany. Zapomnę o tym, jeśli zrobisz to, co ci zaproponuję.

Minęło kilka sekund, może więcej.

W końcu Leo opuścił ramię. Przestał się wpatrywać w ścianę, „tykać” jak zegar i liczyć upływające sekundy.

– Twojego brata poznałem w Österåker. Myślałem, że pracuje dla ciebie.

Broncks był już pewien – na jakiś czas udało mu się go uspokoić. Zdołał wzbudzić jego zainteresowanie tym, z czym przyszedł.

– No to gadaj, czego chcesz?

– Żebyś nikomu nie mówił, że Sam był zamieszany w te napady.

– A niby dlaczego miałbym się na to zgodzić? Dlaczego nie miałbym skorzystać z okazji, żeby wsadzić do pierdła faceta, który jest winien śmierci Vincenta?

– Nic mam nic wspólnego z jego śmiercią.

– Oszukałeś go! Przykułeś kajdankami do drzwi samochodu!

– Takie same kajdanki rzuciłem tobie, zanim zjawili się inni policjanci. Dla każdego postronnego obserwatora twoja obecność w tamtym miejscu jest o wiele trudniejsza do wyjaśnienia niż moja. A może się mylę? W mojej wersji istnieje odpowiedź na pytanie, co znajdowało się na ciężarówce stojącej na środku stodoły, skąd się to wzięło i jak wygląda cały łańcuch poszlakowy... Jeśli nie pójdziesz ze mną na układ, dowiodę, że ty też jesteś w to wszystko zamieszany. Za pięć minut możemy razem wyjść na ulicę i nigdy więcej się nie spotkać. Potem odzujesz Sama, który ma walizki z pieniędzmi. Zrobisz to, co wcześniej zaplanowałeś.

Broncks starał się wyczytać w oczach Leo, co się dzieje w jego głowie.

Na próżno.

– Pięćdziesiąt milionów? Taka jest twoja cena za śmierć Vincenta?

W tym momencie Broncks był pewien tylko jednej rzeczy: że umówione dwie minuty dawno minęły.

– Oczywiście, że...

I że urządzenie alarmowe, które Leo trzymał w ręce, zaraz do niego wróci.

– ...robię to przez wzgląd na Sama.

Obaj spoglądali na siebie, aż w końcu ich dłonie się dotknęły.

– Najciekawsze w tym wszystkim jest to, dla kogo robisz to naprawdę.

Broncks wziął od Leo czarne pudełko, otworzył drzwi i zawołał młodego strażnika, żeby zamknął je na klucz. Potem wyszedł z celi, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Fatalnie by się poczuł, gdyby musiał przyznać, że robi to tylko dla swojego własnego dobra.

Niebiesko-biała taśma poruszała się w lekkich porywach kwietniowego wiatru. Rozciągnięto ją zaledwie kilka metrów od wejścia od ulicy Bergsgatan. Leo naciągnął kaptur i minął pierwszy posterunek, na którym stali mundurowi. Kiedy Broncks uniósł taśmę, popatrzyli na siebie ostatni raz. Było to chłodne, szybkie spojrzenie, po którym każdy ruszył w swoją stronę: Broncks wrócił do budynku, Leo ruszył wolnym krokiem w stronę Hantverkargatan i centrum miasta.

Kiedy znalazł się na chodniku, nie mógł się powstrzymać. Odwrócił się i spojrzął na budynek policji owinięty taśmą. Największy w historii Skandynawii skok wydarzył się na terenie komendy, a jego sprawcą był człowiek, który przed chwilą z niej wyszedł.

Udało mu się odzyskać *to, czego nie ma*.

Przy okazji odebrał Broncksowi to, z czego ten był tak bardzo dumny i za co go wychwalano.

Dla niego nie miało to żadnego znaczenia.

Jedynie podobieństwo między wyjściem na wolność dzisiaj a wyjściem na wolność przed tygodniem polegało na tym, że dzisiaj też zabrakło Vincenta. Cztery dni. W ciągu czterech dni stracił wszystkich.

Pierwszego wieczoru zobaczył mamę: była taka silna, stała mocno na nogach. „Bez względu na to, co zrobisz, Leo...” Tak samo stała dawniej, gdy sprzeciwiała się Ivanowi. „Nie wciągaj w to swoich braci”. Patrzyła na niego, głaskała go po policzku.

Ruszył dalej ulicą.

Sam.

Był wczesny sztokholmski poranek.

Mijał zestresowanych ludzi w drodze do pracy, samochody, których kierowcy trąbili ze złością na innych kierowców, autobusy, które przedzierały się przez korki. Mijał ich wszystkich, ale nie widział. W pewnym momencie, całkiem niespodzianie, nie mógł się dłużej powstrzymać.

Tak to czasem bywa.

Człowiek się nagle wyłącza, bo za bardzo kocha, a gdy się znowu otwiera, czuje i rozumie, że smutek karmi się wspomnieniami.

Nagle poczuł się tak, jak gdyby bez jego wiedzy zważyło się na niego wszystko to, co było ze sobą jakoś powiązane: ludzie, którzy przez niego musieli zerwać łączące ich więzi; rodzice w pustym, remontowanym mieszkaniu; John Broncks i Sam Larsen w kajucie pierwszej klasy; on i jego ukochany brat w opuszczonej stodole.

Wszyscy oni znaleźli się w jednym miejscu, żeby raz na zawsze z tym skończyć.

Leo nigdy nie płakał, bo przecież nie wypadało, ale tym razem nie mógł się powstrzymać i wybuchnął płaczem.

Stalowe oko

Krzyżyk na mapie. Właśnie w tym miejscu stoją – w samym środku lasu na mapie zaznaczonym zielonym kolorem, niedaleko ścieżki rowerowej, którą Leo wyróżnił niebieską kreską.

Felix siedzi wygodnie na wielkim kamieniu w kształcie jajka, który z wyglądu przypomina głowę olbrzyma. Kiwa nogami, a po chwili zeskakuje. Jego stopy zapadają się w miękkim mchu. Chce się z bliska przyjrzeć, jak Leo opróżnia zawartość dwóch plastikowych toreb.

Za późno.

Zaczyna żałować tego, co zrobił, jednak nie może się już wycofać.

Słowo się rzekło.

Niech Vincent zdecyduje. Ich młodszy brat stoi między nimi i jest obandażowany trochę mniej niż zwykle. Pokazuje rękami raz „tak”, raz „nie”, aż w końcu ponaglany przez nich decyduje się na „tak”. Decyzja zapadła i głupi plan zostanie zrealizowany. I nagle, gdy wszystko stało się jasne, Leo oznajmia niespodziewanie, że nie potrzebuje niczyjej pomocy, bo wszystko woli zrobić sam. Felix krzyczy na niego, bo chciałby się przyłączyć. Prawie się rozpląkał. On naprawdę chciał. Sam nie rozumiał, jak to się stało, że jego zdecydowane „nie” zamieniło się nagle w „tak”. Właściwie to wie, dlaczego zmienił zdanie. Nie żeby chciał... chodzi o to, żeby jego starszemu bratu nie powinęła się noga.

Leo opowiedział im o wszystkim w kuchni. Wyjaśnił, że krzyżyk na mapie to świerkowy zagajnik, w którym się obecnie znajdują. Wybrał go, żeby ich tutaj nikt nie zauważył, chociaż całkiem niedaleko od tego miejsca biegnie ścieżka rowerowa. Dokładnie to sprawdził, bo zawsze wszystko dokładnie sprawdza. Na ściętym drzewie w zagajniku powiesił biało-niebieską bluzę drużyny hokejowej z Leksand. Takie kolory nie pasują do lasu jesienną porą. Potem dziesięć razy przejechał na rowerze pobliską ścieżką i ani razu jej nie zauważył. Po tym teście postanowił, że właśnie w tym lasku czternastoletni chłopak zamieni się w Larsa Ćpuna. Później, w tym samym miejscu, Lars Ćpun stanie się na powrót czternastolatkiem.

Na ziemi leży przed nimi ludzka postać. Ma na sobie kurtkę pokrytą zielonymi nierównymi plamami, a na głowie perukę do ramion. Obok znajdują się zmięte opakowanie po papierosach John Silver i pocięte kawałki zbitej waty.

Widać, że Leo jest zadowolony z efektów swojej pracy. Cztery warstwy waty połączone z dwiema kolejnymi warstwami na samym dole. Przypomina to obwisły brzuch. Obie warstwy zszył ręcznie, grubym ścięciem. Przyczepił do nich sznurek.

– Zawiąż.

Sztywny brzuch ma zasłonić ten prawdziwy, znacznie chudszy. Zmienił jego kształt.

– Felix... Zwiąż to na plecach, w tym miejscu.

Felix ciągnie za sznurek, żeby tak wykonany gorset porządnie się trzymał. Widząc efekt swojej pracy, kręci głową.

– Nazywasz go Larsem Ćpunem? To niewłaściwe określenie.

– Tak się nazywa.

– Żaden ćpun nie ma takiego wielkiego brzucha.

– Lars nie tylko ćpa, ale i pije.

– Są chudzi jak patyczek.

– Lars cierpi na okresowe opilstwo. Pije bardzo dużo piwa, trochę wódki i mnóstwo napojów gazowanych.

Leo wypycha więcej waty na wysokości klatki piersiowej. Dzięki temu będzie wyglądał na bardziej otyłego. Odmianą wypustki w ramionach sprawia, że będzie się wydawał szerszy w barkach. Ramiona wypcha dodatkową warstwą waty, a Felix przymocuje ją taśmą klejącą.

– O co chodzi?

Leo próbuje zajrzeć mu w oczy, bo jego młodszy brat zachowuje się od pewnego czasu dziwnie spokojnie. Zbyt spokojnie. Trwa to za długo.

– Felix...?

Dopiero teraz Leo zaczyna się domyślać, że Felixowi wcale nie chodziło o obwisły brzuch Larsa Ćpuna. Jego młodszy brat ma po prostu wątpliwości. Niewykluczone, że będzie chciał mu coś odradzić.

– Powiedz... o co chodzi?

Felix przykleja ostatni kawałek taśmy i odrywa końcówkę. Prawe ramię jest gotowe.

– Nigdy wcześniej niczego nie ukradłem.

Felix robi dwa kroki do przodu. Teraz będzie się starał go przekonać, bo to pierwsze nie zadziałało. To drugie zresztą też nie.

– Ale to chyba dobrze, co, Felix? Dzięki temu będzie to wyglądać bardziej wiarygodnie. Chodzi o to, żebyś rzeczywiście trafił do pułda.

Leo ma w kieszeni kurtki lusterko w drewnianą oprawkę. Bierze je do ręki, drugą dokonuje poprawek. Zachowuje się jak ich mama, gdy poprawia włosy i makijaż. Wszystko przygotował jeszcze w domu: grubym ołówkiem porysował starą poszewkę, której mama używa do mycia okien. Teraz naciera nią twarz. Na policzkach i pod oczami powstają ciemne, grafitowe plamy.

– Świr ma cię zauważyć dokładnie za dziesięć szósta. Pamiętaj, żeby nakraść jak najwięcej.

Jeszcze tylko cienka warstwa na szczękach, żeby twarz wyglądała na zmęczoną i zapadłą.

– Potem, jak cię zgarnie, zaprowadzi cię do swojego biura. Trochę tam razem posiedzicie. Spyta cię, gdzie mieszkasz i jak się nazywa twoja mama. Na początku nic mu nie powiesz, będziesz milczał ze skrzywioną miną. Potem coś mu rzucisz... cokolwiek... że masz ciężkie życie i fatalną sytuację w domu i tak dalej. To wszystko. Nic ci nie zrobią, bo jesteś niepełnoletni. Najważniejsze jest to, żebyście poszli razem na zaplecze. Świr zrobi ci burę za zamkniętymi drzwiami, a w tym samym czasie ja zrobię swoje. Kiedy tamta kobieta wyjdzie z kasą ze sklepu do banku, Świr ma być nadal z tobą. Zrozumiałeś?

Leo zakłada perukę, która zakrywa jego jasne włosy. Potem wkłada kurtkę, która dzięki wypustkom z waty świetnie na nim leży. W końcu naciąga kaptur, który zasłania mu część głowy.

W tym momencie Felix ma przed sobą obcego człowieka. Na pewno nie jest to jego brat.

Stoi przed nim Lars Ćpun. Nawet peruka, która wystaje mu spod kaptura, wygląda jak prawdziwe, sterczące włosy.

– O kurde... to naprawdę działa.

– Przecież ci mówiłem. A teraz jeszcze raz powtórz wszystko od początku.

Felix unosi demonstracyjnym ruchem rękę z zegarkiem i bez jednego słowa rusza w stronę „rynku i sklepu”. W połowie drogi przez zagajnik odwraca się.

– Mam nakraść tyle, żeby Świr zabrał mnie do swojego biura na zapleczu.

– Świetnie, braciszku. O której?

– Punktualnie za dziesięć szósta. Nie później i nie wcześniej.

Leo hamuje i zeskakuje ze skradzionego roweru. Łatwo mu to poszło, chociaż sprawia wrażenie dużego i ciężkiego. To dlatego, że wata prawie nic nie waży. Za to cały się spocił. Czuje, jak po plecach ściekają mu dwie grube strugi, tworząc nad pośladkami małe jezioro. W miejscu, gdzie peruka styka się ze skórą, odczuwa silne swędzenie, zwłaszcza pod taśmą, która trzyma perukę na miejscu. Swędzi go tak bardzo, że prawie doprowadza go to do szału.

Jego cel znajduje się za następnym wzgórzem. Kiedy zjeżdża ze ścieżki rowerowej, w szprychy kół wplątują się mniejsze i większe gałęzie. Dźwięk, który przy tym wydają, przypomina mu lata dzieciństwa, gdy do przednich widełek przyczepiał klamerkami do bielizny karty do gry: króla i damę trefl. Ponieważ już wcześniej upewnił się, że z asfaltowej ścieżki nikt roweru nie zauważy, oparł go o drzewo i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Szedł zygakiem między poskręcanymi brzoźami i strzelistymi sosnami. Przez cały czas czuł, jak po plecach ściekały mu strużki potu.

W końcu dotarł na miejsce, gdzie urywa się linia lasu i zaczyna centrum miasta.

Tam, gdzie kończą się drzewa, a roślinność dochodzi do czworokątnego kamienia na placu, stał Lars Ćpun. Był tak zdenerwowany, że aby dodać sobie odwagi, palił jednego papierosa za drugim. Leo wymyślił taki scenariusz, żeby policja doszła właśnie do takiego wniosku. To będzie fałszywy trop. Przed wyjściem z domu wypalił pięć papierosów, po których zostały niedopałki. Włożył je do plastikowego woreczka, a teraz wysypie na mech.

Lustro fenickie, przez które personel sklepu obserwuje klientów, pomaga zapobiegać kradzieżom i przypomina oko mastodonta. Zrobione jest z błyszczącej stali i zwisa z sufitu w miejscu, które z punktu widzenia funkcji, jaką ma spełniać, wydaje się oczywiste. Idąc alejką, przy której na półkach stoją butelki z sokiem i dżemem, Felix czuje na sobie jego spojrzenie.

Oko, które wszystko widzi.

Każdego klienta, który wchodzi do sklepu z pustą, a wychodzi z wyładowaną zakupami reklamówką. Każdą osobę, która przechodzi przez rozsuwane drzwi obok stojącego przy nich umundurowanego ochroniarza. Każdego, kto wchodzi do jasnej sali z dworu targanego podmuchami jesiennego wiatru.

Za kwadrans szósta.

Czy to znaczy, że Świr zatrzyma go już za pięć minut? Felix uzgadnia godzinę na swoim zegarku z godziną, którą wskazuje duży czworokątny zegar wiszący na ścianie między kasami. Wie, że może się zdarzyć coś znacznie gorszego. Na przykład w chwili gdy Leo wyrwie kobiecie skórzaną torbę, niespodziewanie zjawi się radiowóz. Leo nie będzie miał szans. To dlatego Felixowi tak bardzo trzęsą się nogi. Za chwilę wszystko się zacznie i nie wiadomo, jak się skończy.

Unosi wzrok i patrzy w lustro. Wie, że jest widoczny ze wszystkich stron.

Stalowe oko.

Być może dlatego myśli o mamie.

Kiedy Świr go zatrzyma, gdy będzie siedział naprzeciwko niego w jego biurze, będzie musiał powiedzieć, jak nazywa się mama. Takie są przepisy.

Felix podszedł do półki ze słodyczami, która znajdowała się koło kasy, w pobliżu drzwi, gdzie stał Świr i obserwował salę. Zostały cztery minuty i trzydzieści sekund. Przez resztę czasu będzie udawał, że się zastanawia, którą tabliczkę czekolady wybrać. Wszystkie ważą po sto gramów, ale różnią się smakami. Jest czekolada mleczna, czekolada z całymi kawałkami orzechów albo z orzechami szwajcarskimi. Jest też ulubiony przysmak mamy: czekolada nadziewana owocami i migdałami.

Świr zapyta go, jak nazywa się mama. Oznacza to, że mama od razu się dowie, co jej syn za chwilę zrobi. Jutro, gdy przyjdzie ją odwiedzić w szpitalu, jej nabiegłe krwią oko będzie na niego spoglądać w taki sam sposób jak to stalowe oko w sklepie pod sufitem.

Nie. Nie zrobi tego za żadne skarby. Tak postanowił.

I wcale nie chodzi o wybór czekolady, tylko o to, że w ogóle nic nie ukradnie.

Zostawi słodycze i nawet ich nie dotknie. Wszystko oleje i po prostu wróci do domu. Nie trafi do paskudnego biura na zapleczu i nie będzie się musiał tłumaczyć przed mamą w szpitalu, jak jakiś złodziej.

Nagle pojawia się kobieta ze skórzaną torbą. Wychodzi ze sklepu.

Felix zerka w lustro i widzi, że to, co się dzieje, rozgrywa się jakby w odwrotnym kierunku. Ogląda siebie, kobietę i Świra, tyle że w górze i na dole, w lekkim zakrzywieniu.

Stalowe oko widzi wszystko, ale nic nie wygląda tak, jak powinno.

Felix zaczyna się trząść. Cały drży. Kobieta z torbą idzie w stronę wyjścia, zaraz wyjdzie na plac i przejdzie na drugą stronę. Jeśli Leo wyrwie jej torbę z pieniędzmi, a Świr nadal będzie stał w tym samym miejscu, bez problemu go dopadnie. Tak jak tatę.

W końcu do niego dociera, że będzie musiał ukraść tę pieprzoną czekoladę.

Sięga w stronę półki, zamyka oczy i bierze do ręki pierwszą lepszą tabliczkę o wadze stu gramów. W tym samym momencie czekolada upada na podłogę.

Ręce tak mu się trzęsą, że palce stały się zupełnie bezużyteczne.

Jeszcz raz. Prawą ręką. Czekolada z całymi orzechami o wadze dwustu gramów. Błyskawicznie wsuwa ją za spodnie. Potem bierze następną, też o tej samej wadze. Pasek ma zapięty tak ciasno, że obie tabliczki przełamują się na pół.

Nagle czuje ból w ramieniu. Jakby zacisnęła się na nim mokra od śliny paszcza psa. Ból jest naprawdę silny.

– Natychmiast odłóż je na miejsce, chłopcze! Migiem!

Świr. Mechaniczny chwyt, jak szpony smoka, z których nie można się wyswobodzić.

– Rozepnij kurtkę i pokaż, co pod nią chowasz!

Świr stoi nad nim i głośno na niego wrzeszczy. W tym samym momencie na ulicy rozlega się krzyk kobiety ze skórzaną torbą. Świr rozluźnia trochę swój żelazny chwyt i odwraca się w stronę wielkiej witryny sklepowej.

Ponieważ kobieta nie przestaje krzyczeć, podchodzi bliżej okna, żeby lepiej widzieć, skąd krzyk dobiega i co jest jego przyczyną. Ciągnie za sobą jedenastoletniego złodziejaszka. Szarpie go tak silnie, że buty Felixa ślizgają się po sklepowej posadzce.

Cała scena przypomina te z telewizji albo ze szpitala, gdzie Leo zamknął cały świat w szparze między swoim ramieniem a futryną drzwi. Tym razem „ekran telewizora” jest większy, to po prostu witryna okienna. Dlatego to, co rozgrywa się na zewnątrz, ulega zniekształceniu, wydaje się mniej rzeczywiste.

Scena przedstawia kobietę, która siedzi na ziemi i zakrywa rękami usta. Okrzyk, który z siebie wydaje, przebija się między palcami. Kobieta płacze, głos emitowany przez „telewizor” ma znakomitą jakość. Łatwo się domyślić sześciu słów, które stale powtarza: „On mi wyrwał torbę. Zabrał pieniądze”.

W lewej części obrazu widać wysokiego mężczyznę, który nadbiega od strony sklepu. Ubrany jest w zieloną brzydką kurtkę z kapturem naciągniętym na głowę. Świr od razu go zauważa. Ciągnie Felixa i przyciska go mocno do ściany.

– Zostań tu, gnojku! Rozumiesz, co powiedziałem?

– Tak.

Głos Felixa drży tak bardzo, że prawie sam siebie nie słyszy.

– Rozumiem.

Ostatnia scena, jaką Felix zapamiętał, przedstawia Świra, który na tle pustej witryny okiennej biegnie przez plac.

W tym samym kierunku pobiegł Lars Ćpun.

Leo biegnie swobodnie i bez wysiłku pośród chłodnych pni drzew i po zasypanym liśćmi mchu. Czuję się tak, jak gdyby unosił się w powietrzu. W ręce ściska skórzaną torbę, ale nie tak mocno jak tamta kobieta, której wyrwał ją z ręki. Musiał trzy razy porządnie szarpnąć, żeby upadła.

Potem rzucił się do ucieczki i coraz bardziej oddalał się od jej krzyku.

Nie mógł tego zrozumieć: kobieta darła się na całe gardło z powodu pieprzonej torby, podczas gdy ich matka, bita przez ojca, ani razu nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Nagle słyszy za sobą czyjś oddech i trzask łamanych gałęzi miażdżonych przez czarne buty ochroniarza.

Świr! Kurde, to on!

Skąd u niego takie tempo?

Mija zagajnik i porośnięty mchem kamień i dobiega do drzewa, przy którym zostawił rower.

Ciągnie go do siebie, wskakuje na siodełko i naciska pedały, ale słabo mu to idzie. Gałęzie wplątują się w szprychy, on staje na pedały, a pieprzony ochroniarz jest coraz bliżej.

Szybciej, szybciej, szybciej!

Obniżenie terenu, wykrot, krzak. Leo znowu zerka przez ramię – dokładnie w tej samej chwili, w której Świr wyciąga rękę i uderza nią w metalowy bagażnik nad tylnym kołem.

– Zatrzymaj się, gnojku!

Pchnięcie było lekkie, ale Leo zwolnił. Świr chwycił rower ręką.

To już koniec!

I nagle, w tej samej chwili, w której dwie siły zaczęły działać na siebie w dwóch przeciwnych kierunkach, ochroniarz potyka się o własne nogi. Puszczą metalowy bagażnik, wpada na rower i przewraca go na ziemię.

Leo łąduje w miękkich jagodzinach, a Świr robi dwa koziołki na kamiennych płytach. Z czoła tryska mu krew. Mimo to obaj podnoszą się z ziemi w tym samym momencie.

Ten gnojek nie zrezygnuje!

Leo wie, że musi wsiąść na rower, z całej siły nacisnąć na pedały i odjechać, zanim ochroniarz go dopadnie.

Kilka metrów dalej biegnie ścieżka rowerowa, która w tym miejscu prowadzi w dół.

To jego ostatnia szansa.

Felix opiera ręce o kolana, dzięki czemu spoczywa na nich cały ciężar ciała. Jest pochylony do przodu, gwałtownie oddycha. Musi poczekać za drzwiami, żeby uregulować oddech. Agnetha, która mieszka na drugim piętrze, nie powinna usłyszeć, jak wchodzi na górę.

Zrobił tak, jak kazał mu Świr – czekał za drzwiami sklepu, przed wielką tablicą ogłoszeniową. Ochroniarz nie musiał mu tego nawet mówić, bo i tak nie mógł się ruszyć z miejsca. Był sparaliżowany strachem, widząc, jak Świr rzuca się w pościg za jego starszym bratem, przebiega przez plac i znika wśród drzew. W tym samym czasie wokół kobiety, której Leo wyrwał torbę z pieniędzmi, zgromadzili się ludzie. Jedni próbowali jej pomóc, inni ją pocieszali. Korzystając z zamieszania, uciekł. Ale nie po to, żeby uniknąć odpowiedzialności. Po prostu nie chciał wiedzieć, jak Świr przyprowadzi z lasu jego wierzącącego i krzyczącego brata.

Do domu dobiegł w kwadrans, ale chociaż serce biło mu jak młotem, nie czuł zmęczenia. Istniała jakaś szansa, że Leo uciekł, że jest już w domu. Miał rower, więc na pewno poszło mu o wiele szybciej.

Felix nie może się już doczekać – otwiera energicznie drzwi, wbiega po schodach i wpada do mieszkania.

– Leo!

Zagląda do każdego pokoju, za każde drzwi.

– Gdzie jesteś?

W końcu wchodzi do pokoju Vincenta, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, jego młodszy brat kręci przecząco głową. Robi to tak energicznie, że bandaże na jego twarzy poruszają się jak na wietrze.

– Tutaj go nie ma. Jeszcze nie.

Kurde! Świr na pewno go dopadł.

Teraz wiozą go do aresztu, w którym policja trzyma już ich ojca.

Mama zacznie zadawać pytania.

Co ma jej odpowiedzieć, jeśli nic nie wie?

Radio Dalarna. Mama zawsze słucha tej rozgłośni. Co pół godziny lecą w niej lokalne wiadomości. Felix biegnie do jej sypialni, włącza radio i ustawia potencjometr na częstotliwości 100,2.

Na razie leci jakaś dumna muzyka. Do wiadomości zostały dwie minuty. Felix nie szuka innej stacji, bo nie chce ryzykować, że przegapi początek serwisu informacyjnego. Swojego młodszego brata zauważa dopiero w chwili, gdy obwinęta bandażami mumia zaczyna tańczyć. Vincent unosi się w łóżku i zaczyna energicznie podskakiwać. Końcówki bandaży powiewają mu w powietrzu.

– Przestań!

– Nie!

Właśnie zaczynają się wiadomości. Najpierw czołówka.

– Uspokój się, głupku!

Vincent robi obrażoną minę, ale Felix nie ma czasu, żeby się nim przejmować.

– Masz siedzieć cicho i nic nie mówić, bo chcę tego posłuchać.

Czołówka się kończy, przysłała kolej na spikera. Głos ma przyjemny, ale poważny. Zaczyna czytać najważniejsze wiadomości:

Pół godziny temu, tuż przed osiemną, doszło do napadu na sklep w dzielnicy Slåtta. Obiektem ataku była kobieta, której skradziono dużą kwotę pieniędzy.

Felixa ogarniają coraz większy strach i coraz większa złość na Vincenta. Kiedy jego młodszy brat znowu zaczyna podskakiwać na łóżku, wrzeszczy na niego, a gdy i to nie pomaga, uderza go w rękę, tam, gdzie boli go najbardziej.

– Czemu mnie bijesz?!

– Przecież ty nic nie czujesz... cały jesteś zabandażowany.

– Ale to boli!

– No to obwin się jeszcze bardziej i daj mi spokojnie posłuchać radia!

Świadkowie zeznali, że widzieli samotnego mężczyznę, który uciekł z miejsca zdarzenia, a potem oddalił się na rowerze.

I to wszystko. Spiker obiecuje, że jeśli dowie się więcej, w następnym wydaniu wiadomości wróci do tego tematu. Kolejny temat to deficyt budżetowy w Falun. Gościem prowadzącego jest jeden z radnych. W tym momencie Vincent trzeci raz skacze na Felixa, który odczuwa to boleśniej niż przedtem.

– Vincent, ostrzegałem cię, że...

Kiedy jednak Felix odwraca się, żeby go znowu uderzyć, dostrzega przed sobą zupełnie inną twarz. Pod oczami i na policzkach widać na niej wyraźne, grafitowe plamy.

Leo wszedł do mieszkania tak cicho, że obaj z Vincentem niczego nie zauważyli.

– Wróciłeś?

– A ty?

Nie padają sobie w ramiona, ale widać, że cieszą się swoim widokiem.

– Uciekłem, kiedy Świr rzucił się w pościg za tobą.

– Powiedziałeś mi, jak się nazywałeś?

– Co?

– Czy zdążyłeś mu podać imię i nazwisko?

– Chciałem mu to powiedzieć, ale wtedy ta kobieta zaczęła krzyczeć, a ty uciekałeś z torbą.

Na twarzy Leo pojawia się uśmiech. Podnosi coś z podłogi i kładzie to na łóżko.

– Wyrwałem jej tę torbę i pędziłem jak szalony. Potem wsiadłem na rower i uciekłem, a ten pieprzony ochroniarz został w rowie i tylko głośno jęczał.

Brązowa skórzana torba. Leo kładzie ją między sobą a Felixem.

– Jeszcze chwilę.

Leo odwraca się w stronę przedpokoju i woła:

– Vincent, chodź tu do nas. Coś ci pokażę!

Na odpowiedź muszą chwilę poczekać. W końcu Vincent reaguje, ale głos ma cichy i mruklivy, jak zawsze, gdy jest czymś poirytowany albo z czego niezadowolony i ży.

– Nie chcę.

– Chodź, coś zobaczysz.

– Nie chcę! Felix mnie uderzył.

– Daj spokój. Zobacz, co przyniosłem. Ty też brałeś w tym udział, bo to ty zdecydowałeś, że mamy to zrobić. Takie coś też się liczy.

rozlega się szuranie po podłodze. Widać, że Vincent jest zaciekawiony, chociaż nadal zachowuje postawę wyczekującą.

– Chodź i usiądź z nami na łóżku.

Vincent waha się, próbuje spojrzeć braciom w oczy, najpierw starszemu, potem Felixowi. Felix daje mu ręką znak, żeby wszedł do pokoju.

– Przepraszam. Słyszysz? Nie powinienem cię uderzyć. Chodź już.

Vincent ciągnie niepewnym ruchem za jedną z końcówek bandaży, jakby chciał ją poprawić i związać to, co poluzowało się podczas tańca mumii. W końcu wskakuje na łóżko.

– Świetnie. Teraz jesteśmy tu wszyscy razem.

Torba jest zamknięta na zamek błyskawiczny. Leo otwiera go i rozchyła jej klapy. Potem odsuwa się, żeby Felix mógł zajrzeć do środka, a gdy ten już się napatrzył, robi miejsce Vincentowi.

– Kiedy banknoty są poukładane w taki sposób, wydaje się, że jest ich mało. Ale ja już je policzyłem. Najpierw jednak zakopałem ubranie i perukę, a potem zasypałem je liśćmi.

Leo wymienia kwotę, a jego usta układają się w napuszony, zarozumiały kształt.

– Trzydzieści. Siedem. Tysięcy. Osiemset. Pięćdziesiąt. Koron.

Potem wypowiada te słowa, szybciej, jednym ciągiem.

– Trzydzieścisiedemtysięcyosiemsetpięćdziesiątkoron.

Trzej bracia. Są razem. W łóżku mamy, pochyleni nad skórzaną torbą pełną banknotów. Ich oddechy mieszają się z sobą, w tle słychać tę samą głupawą muzykę co poprzednio. Zaraz zaczną się wiadomości. Nagle rozlegają się... czyjeś kroki. Na klatce schodowej. To chyba więcej niż jedna osoba. Kroki cichną na ich piętrze.

– Leo, gliny!

Ktoś dzwoni do drzwi. Dwa razy, jak gdyby nie chciał czekać.

Leo zeskakuje z łóżka, bierze torbę i rzuca się w stronę szaf na ubranie. Wybiera tę, w której mama przechowuje białą pościelową z ręcznikami, i wsuwa torbę między prześcieradła a poszewki.

– Wy obaj zostańcie w pokoju.

Dzwonek rozlega się po raz trzeci. Leo usuwa z twarzy resztki grafitowych plam, wyciera ją do sucha i pospieszonym krokiem idzie do drzwi. Rzuca ostatnie spojrzenie w szparę między drzwiami sypialni a futryną i widzi, jak usta Felixa układają się w słowo „gliny”. Zachowuje się tak samo jak przed chwilą, gdy Leo im oznajmił, ile w torbie jest pieniędzy.

Leo zamyka oczy, liczy do trzech i przekręca klucz w zamku.

W progu stoi kuratorka z opieki społecznej, a za nią Agnetha.

Żadnych glin.

Kobiety witają się i dają mu do zrozumienia, że chcą wejść do mieszkania. Ta obca jest bez płaszcza, co oznacza, że wcześniej była na rozmowie z Agnethą w jej mieszkaniu.

– Czy twoi bracia też są w domu?

Leo wskazuje głową uchylone drzwi sypialni.

– Są tam. W pokoju mamy.

Kobieta nie pyta o pozwolenie, tylko wchodzi do środka. Agnetha idzie za nią. Leo zamyka drzwi i też kieruje się do sypialni. Vincent leży na łóżku owinięty brudnymi luźnymi bandażami. Felix leży na drugim końcu łóżka z uchem przyciśniętym do radia. Akurat lecą lokalne wiadomości. Kuratorka nawet się nie wita, tylko od razu wyjaśnia, z czym przyszła. Zachowuje się tak, jak gdyby nie wiedziała, od czego zacząć, i dlatego chciała wyrzucić z siebie wszystko już na samym początku.

– Wasza mama na razie nie wróci do domu.

Felix słucha jej jednym uchem, bo drugie nadal ma przyłożone do radia. Właśnie zaczęły się wiadomości. Spiker odczytał najświeższe doniesienia w sprawie napadu przed sklepem. Felix chciałby o wszystkim opowiedzieć, od razu poczułby się lepiej, ale wie, że nie wolno mu tego zrobić, bo sam jest w tę kradzież zamieszany. To, co dziś zrobili, od napadu na szkolny sklepik, gdzie ich łupem padły ciastka kokosowe i napoje ze słomką, dzieli wprost kosmiczna odległość.

– Myślę... to znaczy tak myśli wasza mama... że nie będzie jej jeszcze przez dwa miesiące.

W tym momencie Felix skupia się całkowicie na jej słowach.

– Dwa miesiące?

– Tak. Musicie to zrozumieć... na początku musi wyleczyć obrażenia zewnętrzne, a potem wewnętrzne. Będzie ją badać wielu lekarzy różnych specjalizacji. Za dwa miesiące, jak już całkowicie wróci do zdrowia, znowu będzie z wami.

Dwa miesiące. Osiem i pół tygodnia. Sześćdziesiąt dni.

Felix przypomina sobie oko mamy. Wyglądało na zmęczone, a w miejscu, w którym powinno być białe, było całe czerwone. Teraz już na pewno wie, że tak jest lepiej: czerwona wybroczyna jest lepsza niż czarne dziury. Czerwone wybroczyny goją rany lepiej niż czarne dziury.

– Przeprowadzicie się do pewnej rodziny.

Kobieta próbuje się uśmiechnąć, jak gdyby chciała im zakomunikować coś przyjemnego, ale to nie jest szczerzy uśmiech. Ma taką minę, jak gdyby było jej ich żal.

– To porządna rodzina, na pewno się wami zaopiekuje. Mieszkają w Hosjö. Zostaniecie u nich do powrotu mamy. Nie dłużej.

Ale Leo ma gdzieś ten jej uśmiech.

– Nie rozumiem. Przecież Agnetha świetnie sobie radzi. Może do nas przychodzić w każdej chwili.

– Dwa dni temu już z tobą o tym rozmawiałam, nie pamiętasz? Ustaliliśmy, że Agnetha to tylko chwilowe rozwiązanie.

– Chwilowe? Co za okropne słowo.

Leo odwraca się do Agnethy, która nie uśmiecha się tak głupio jak kuratorka.

– A co ty o tym sądzisz? Przecież wszystko funkcjonuje jak należy. Nie możesz z nią o tym porozmawiać? Może tobie uda się ją przekonać?

Agnetha spogląda to na kobietę, to na niego, to na jego braci.

– Tak, do tej pory wszystko funkcjonowało dobrze. Jesteście fajnymi chłopcami, cała wasza trójka. Ale ja pracuję na pełny etat i nie dam rady opiekować się wami przez dwa miesiące. Postaraj się mnie zrozumieć.

Kobieta próbuje położyć mu dłoń na ramieniu albo nawet na karku, ale Leo uchyla się i ręką przecina powietrze. Kuratorka zbyt krótko go zna i nie wie, że Leo nie lubi takich gestów. Po chwili wskazuje głową przedpokój.

– Chodź ze mną. Porozmawiamy w cztery oczy.

Kobieta zamyka za sobą drzwi i próbuje dobrać właściwe słowa. Być może po raz pierwszy w swojej dotychczasowej pracy musi zdefiniować problem, który ma do rozwiązania. Pewnie nigdy przedtem nie znalazła się w sytuacji, gdy dwójka rodziców znika w tym samym czasie z domu, a dwaj młodsi bracia trafiają pod opiekę czternastoletniego, który uczył się życia, tańcząc z niedźwiedziem.

– Posłuchaj, co ci powiem. Wiem, że wcale nie jest ci tak łatwo, chociaż twierdzisz coś przeciwnego. Uważam, że Felixowi też jest źle, bez względu na to, ile razy by powtarzał, że jest inaczej. Podobnie z Vincentem. Jestem pewna, że nawet ty nie potrafiłbyś powiedzieć, czy twój brat czuje się w tej sytuacji dobrze. Czy nie mam racji? Całe ciało ma nadal owinięte w bandaż. Potrzebuje pomocy, której w tym mieszkaniu ty nie potrafisz mu udzielić.

Za oknem zachodzi słońce. Niebo jest nadal pomarańczowe, Leo podnosi żaluzje.

Ubrania. Książki szkolne. Sprzęt sportowy. Przybory toaletowe. Część banknotów stukoronowych, które pochodzą z depozytu bankowego, ale w tym momencie leżą wciśnięte między prześcieradła a poszewki.

Leo pakuje rzeczy do sportowej torby i w dwie reklamówki. Mają im wystarczyć na dwa miesiące

– Vincent nie chce spakować swoich rzeczy.

Felix postanowił zabrać tylko jedną walizkę, którą właśnie trzyma w ręce.

– Nie chce nawet powiedzieć, co chciałby ze sobą zabrać. Będę musiał go sam spakować.

Za godzinę przyjedzie taksówka, która zabierze ich do Hosjö.

Leo idzie do pokoju Vincenta i nawet się nie dziwi. Dobrze wie, dlaczego jego najmłodszy brat nie chce się spakować. Na środku pokoju leży mały plecak i coś, co przypomina pusty szkolny worek na kapcie. Vincent zajęty jest budowaniem samolotu z klocków Lego. A może tylko składa pojedyncze elementy, z których i tak nic nie powstanie?

Leo siada obok niego na podłodze. Są teraz blisko siebie – starszy i młodszy brat. Razem.

– Vincent, przestań układać ten... cokolwiek to jest. Zacznij się w końcu pakować. Ani ja, ani Felix nie wiemy, co chciałbyś ze sobą zabrać.

Vincent nie reaguje, tylko dalej składa klocki, z których być może nic nie powstanie.

– Słyszałeś, co powiedziała tamta pani z opieki społecznej? Słyszałeś, co powiedziała Agnetha? Mamy się przeprowadzić do innej rodziny. Do dzielnicy z ładnymi domami.

Vincent połączył czerwony okrągły klocek z podłużnym niebieskim.

– Sam słyszałeś, co powiedziały. To dlatego się tak burmuszysz, prawda? Nie martw się. Czas szybko minie i mama wróci do domu. I znowu wszystko będzie jak dawniej.

Niebieski płaski klocek na czarny szeroki. Dwa żółte boki obok czterech białych.

– Vincent?

Leo kładzie dłoń na stosie różnokolorowych klocków i zmusza brata, żeby na niego spojrział.

– Proszę cię, bardzo cię proszę.

W końcu Vincent decyduje się odpowiedzieć.

– Może...

– Co może?

– Musisz mi obiecać, że mama wróci i że my też tu wrócimy.

– Obiecuję.

– Dajesz słowo honoru?

– Słowo honoru. Pod warunkiem że ty też mi coś obiecasz. Musisz mi obiecać, że nikt, dosłownie nikt, ani ta kobieta, ani Agnetha, ani ta nowa rodzina, nie dowie się, że pod twoim łóżkiem trzymałem tak dużo kokosowych kulek. Ani że w torbie w szafie u mamy jest tak dużo pieniędzy. Nigdy! Rozumiesz?

Vincent to mądry chłopiec. W jego małej główce zawsze coś się tli. Vincent jest też szybki. Niestety po tym, jak ojciec go uderzył, chodzi owinięty w bandaż, a całe jego życie będzie niesłuchanie wolno. Dzikie myśli muszą nabrać odpowiedniego tempa.

– Zgadzasz się? Przybijesz kciuka?

Vincent owinął w bandaż całe ciało w wyjątkiem jednego kciuka. Teraz dotyka nim najpierw kciuka Leo, a potem Felixa.

– Zgoda.

– To był ten jeden raz. Mówię o skórzanej torbie w szafie. Tak nam obiecał Leo. Prawda, Leo? Tylko ten jeden raz?

Felix obserwuje starszego brata, czeka na odpowiedź. Pytanie było skierowane wprost do niego.

– Obiecuję. Tylko ten jeden raz.

Leo udaje, że składa przysięgę na wymagowaną Biblię, i robi ruch, jak gdyby wykonywał ręką znak krzyża. Vincent uśmiecha się słabo. Od dawna tego nie robił. Być może teraz też to zadziała.

– Vincent?

Leo chwyta ostrożnie dwie częściowo obandażowane dłonie, które znowu chciały zacząć składać z klocków nie wiadomo co.

– Kiedy wieczorem zapukamy do drzwi tej pieprzonej rodziny, nie możesz wyglądać tak jak teraz. Musisz zdjąć z siebie te bandaże, bo inaczej odeślą nas w inne miejsce, a ciebie od nas oddzielą. Rozumiesz, prawda? Przecież rozumiesz tyle rzeczy.

Leo szuka wzroku brata, który zawsze jest czujny, w stanie pełnej gotowości. Niestety ostatnio oczy Vincenta jak gdyby się zapadły.

– Zaczniemy od lewej ręki. Na początku odwinimy tylko mały kawałek.

Leo chwyta zwisającą końcówkę bandaża, składa go na dwa i odsłania kawałek skóry Vincenta.

– Widzisz? Świetnie nam idzie. A teraz daj prawą rękę. Znowu odwinimy tylko kawałek. Okej?

Chwilę później z obu rąk Vincenta zwisają luźne końcówki, które przypominają złuszczoną skórę węża. Leo ostrożnie je zwija i składa. Ręce są już uwolnione, teraz kolej na korpus owinięty trzema warstwami bandażu. Robi się trochę więcej wolnego miejsca, widać coraz więcej gołej skóry. Kolejne dwa opakowania Vincent zużył do owinięcia powierzchni od górnej części ud do kostek, gdzie zawiązał je na zwykłe węzły.

– Zaufaj mi.

– Została jeszcze jedna warstwa... usunąłem ci bandaż z szyi... czujesz na niej powiew powietrza?

– A teraz odwinimy jeszcze to miejsce... obiecuję, że nie zaboli.

Kiedy połowa ciała jest już uwolniona od niegdyś białych bandażu, Vincent postanawia, że to on je zwinnie, i odpycha ręce brata.

– Sam to zrobię.

Metodycznie zrzuca na podłogę kolejne warstwy brudnego opatrunku. Kiedyś w równie metodyczny sposób obwinął nim całe ciało.

Leo uśmiecha się na ten widok. W tej samej chwili oczami wyobraźni dostrzega życie.

Uśmiecha się, bo wie, że na pewno miał rację.

Wcale nie musieli pakować walizek i przeprowadzać się na dwa miesiące do nowej rodziny – on to jakoś załatwił, bo tak obiecał. To i wszystko inne, co się jeszcze może zdarzyć. Wszystko można załatwić, jeśli ktoś umie myśleć i planować, aby potem zrobić coś, czego nikt się nie spodziewa.

Leo spogląda na Vincenta, który nie ma już na sobie bandażu. Siedzą w sypialni mamy, naprzeciwko garderoby w przedpokoju, w której ukryta jest torba z ponad trzydziestoma tysiącami koron. Leo patrzy na Felixa, który dopiero w dorosłym życiu zrozumie, że aby móc tknąć złotą nić, czasem trzeba najpierw utkać tę czarną. I że jego starszy brat naprawdę dotrzyma słowa, gdy obiecał, że to tylko ten jeden raz. A gdyby mimo wszystko coś się jeszcze miało wydarzyć, to na pewno nie wcześniej niż za wiele lat. A gdyby potem coś się jeszcze wydarzyło, to też dopiero za wiele lat.

O tym wszystkim myśli, siedząc na podłodze dziecięcego pokoju z obu braćmi u swoich boków.

Jeszcze nie wie, że te jesienne dni w jego wspomnieniach na zawsze pozostaną jego szczęśliwymi dniami.

Od autorów:

We wszystkim, o czym piszemy, w opisach zdarzeń i ludzi w prawdziwym życiu zawsze istnieje okruczeństwo rzeczywistości, który nie daje nam spokoju i domaga się, aby o nim opowiedzieć. Jednak w tej powieści dominuje fikcja. Oznacza to, że osób, które zainspirowały taki, a nie inny charakter tej książki, nie należy winić za czyny jej bohaterów.

Wielkie podziękowania od autorów:

Na nasze szczególne podziękowania zasługują następujące osoby:

Calle – za to, że dzielił się z nami swoimi wewnętrznymi przemyśleniami, dzięki czemu udało nam się rozebrać rzeczywistość na poszczególne składniki, a następnie stworzyć z nich zupełnie nową fikcję.

Petra Cabbe i Fia Roslund – za to, że byliście przy nas i z naszym tekstem podczas całego procesu twórczego.

Niclas Breimar – za niezwykle mądre komentarze do tekstu.

Eric Thunfors – za projekt okładki, która bardzo nam się podoba.

Anna Silberstein i Astrid Sivander – za drobiazgową korektę.

Mattias Boström, Cherie Fusser, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Christina Kivi, Anders Olofsson, Anna Karin Sigling, Ann-Marie Skarp, Lottis Wahlöö z wydawnictwa Piratförlaget – za to, że w tak fachowy i ciepły sposób zajmowaliście się nami i naszym tekstem.

Federico Ambrosini, Julia Angelin, Anna Carlander, Malin Gyllenhammar Broman, Marie Gyllenhammar, Tor Jonasson, Karin Lindgren, Joel Pettersson oraz Alexia Wennberg z Salomonsson Agency – za kompetentną wiedzę i za to, że wszędzie mogliśmy na was liczyć.

Anna Hirvi Sigurdsson – za liczne nadgodziny, które spędziłaś nad naszym tekstem, i za szczególną uwagę, jaką mu poświęciłaś.

Osobne podziękowania chcielibyśmy przekazać na ręce Sofii Brattselius Thunfors, która była naszym wydawcą, jak również Niclasa Salomonssona, naszego agenta literackiego.

[1](#) Szw. głupoty, bzdury, brednie (przyp. tłum.).